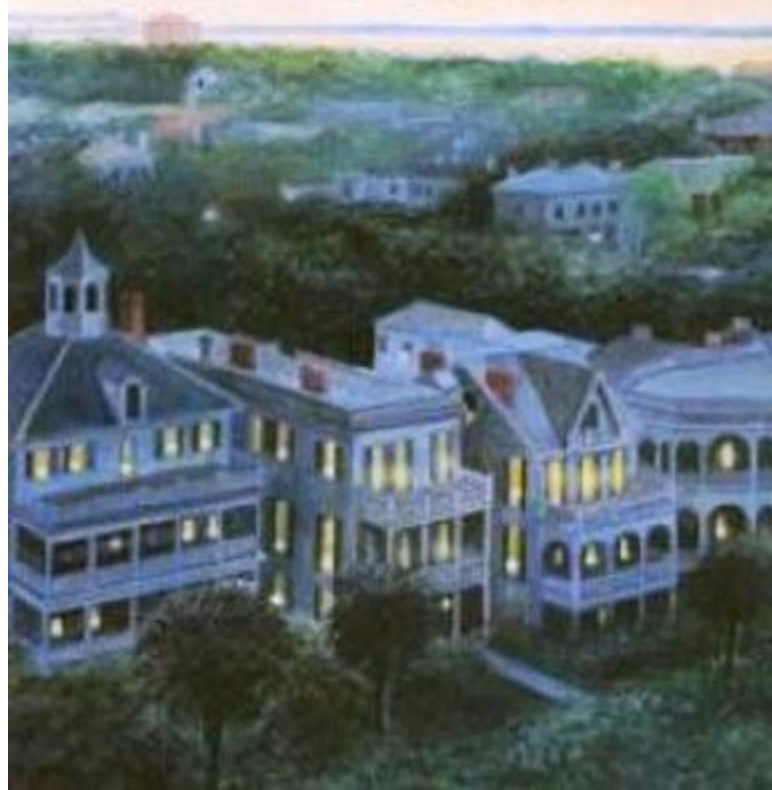


Na południe

PAT CONROY

od Broad



Na południe

PAT CONROY

od Broad

Z angielskiego przełożył ROBERT GINALSKI



Tytuł oryginału:
SOUTH OF BROAD

Copyright © Pat Conroy 2009
All rights reserved

Published by arrangement with Nan A. Tálese, an imprint
of Doubleday Publishing Group, a division of Random House Inc.
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010
Polish translation copyright © Robert Ginalski 2010

Redakcja: Beata Słama

Ilustracja na okładce: Wendell Minor

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-137-7 (oprawa twarda)

ISBN 978-83-7659-136-0 (oprawa miękka)

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I/oprawa miękka
Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

*Książkę tę poświęcam Cassandrze King,
mojej żonie i koleżance po piórze,
która jak nikt inny pomogła doprowadzić do wydania
Na południe od Broad.
Moim zdaniem na farmach Alabamy
nie wyrosło nic lepszego niż ona.*

PROLOG

Posiadłość nad Rzeką

Nazwę Posiadłość nad Rzeką miasteczko zawdzięczało mojemu ojcu.

W ten sposób wyrażał się o Charlestonie w Karolinie Południowej, swoim rodzinnym mieście, z którego był dumny jak paw. To miasteczko tak piękne, że rozkosz przechadzki urzekającymi wąskimi uliczkami wręcz ścinała z nóg. Było jego obiektem kultu, konikiem, skrywaną obsesją i największą miłością życia. To ojciec rozpałił moją namiętność do tego miasta, którego nigdy się nie wyrzekłem i nie wyrzeknę. Ja też urodziłem się i wychowałem w Charlestonie. Każdy dzień mojego życia na tym półwyspie, który zapisał się w historii złotymi zgłoskami, wypełniały i kształtowały dwie tutejsze rzeki, Ashley i Cooper.

Kruchą jak porcelana urodę Charlestonu traktuję niczym otwartą skorupę delikatnego mięczaka. Moja dusza w kształcie półwyspu jest ogorzała od słońca i wezbrana rzeką. Moją świadomość codziennie zalewają fale przyptywu miasta, uzależnione od kaprysów i harmonii faz księżyca wynurzającego się z Atlantyku. Spokojem napawa mnie widok szeregów karłowatych palm strzegących brzegów jeziora Colonial i rytm wybijany przez dzwony od Świętego Michała, niosący się po całej Meeting Street, wśród śpiewu cykad na drzewach. Już

od małego w głębi serca wiedziałem, że należę do kasty niepoprawnych charlestońskich mieszczuchów. Z zaskoczeniem przyjąłem do wiadomości, że żyję tu z powołania, a nie dlatego, że tak mi było dane, że jest to moje przeznaczenie, nie wybór.

Poczytuję sobie za zaszczyt, iż pochodzę z jednego z najbardziej urokliwych miasteczek Stanów Zjednoczonych – nie z któregoś z tych niebosiężnych, lśniących, uszminkowanych molochów, nie z miasta z dzwonekami u palców* albo z krzykliwe pomalowanymi paznokciami nóg, lecz z paradnej mieściny o niskiej zabudowie, pełnej prostoty i nietolerującej bylejakości ani pretensjonalności. I chociaż charlestończycy uważają swoje miasto za odpicowane i wyfraczone, to jednak zdecydowanie przedkłada się tu powściągliwość nad próżność.

* Nawiązanie do dziecięcej rymowanki z XVIII wieku i piosenki *I've Got Rings On My Fingers* z 1909 roku.

Jako dziecko mogłem z naszego podwórka za domem nałapać kosz krabów niebieskich, girlandę płastug i tuzin karmazynów, zebrać siatkę białych krewetek. A wszystko to w miasteczku tak uroczym, że jego piękno byłoby zdolne wywabić kobrę z koszyka, tak ozdobnym i filigranowym, że u obcych wzbudza najwyższy podziw, u miejscowych zaś poczucie głębokiej satysfakcji. W jego zakamarkach można napotkać metaloplastykę delikatną jak koronka i spiralne schody wyszukane niczym jachty. W ustroniach ogrodów można znaleźć jaśminy, kamelie i setki innych roślin, które wyglądają jak haftowane i wykradzione z ogrodów Edenu, z umiłowania przepychu i dla czystej frajdy okpienia bogów. W kuchniach rozpalone piece radośnie buchają żarem, podczas gdy jagnięcina marynuje się w zalewie z czerwonego wina, szykuje się sos winegret do sałatek, mięso krabów namaszcza się sherry, w piekarniku dochodzą ciasteczka z kremem z mleka i jaj, a na blacie stygną babeczki na maślanec.

Z powodu nabożnego, świątobliwego pociągu do jadła, ogrodów i architektury Charleston opowiada się za wszystkimi zasadami, które

głoszą, że życie jest w równym stopniu cnotą obywatelską, co normą. Dorastanie w nim wzbudza zachwyt, lecz także pozostawia piętno. Wszystko, co wam teraz ujawnię, jest ukształtowane przez Charleston, rządzone przez Charleston, a niekiedy nawet przez nie zrujnowane. Ale to ja, nie miasto, ponoszę winę za to, że omal mnie nie zniszczyło. Każdy reaguje na piękno na swój sposób. I chociaż Charleston potrafi zdziałać niemało, to jednak nie zawsze ma wpływ na osobliwe postępowanie człowieka. Wszelako wykazuje wielką tolerancję wobec ekscentryczności i ogłupienia. Jego pretensjonalność jest w dobrym guście, co wynika ze świadomości, iż stanowi trwałą zmarszczkę na subtelnej linii nieba, podczas gdy my jesteśmy tu tylko przelotnie.

Ojciec był niezwykle uzdolnionym nauczycielem przedmiotów ścisłych. Potrafił przekształcić plażę na Wyspie Sullivana tak, że wyglądała niczym laboratorium, które stworzył dla własnej przyjemności i na swój sposób. Wyszukiwał roztargniętą albo opisywał ostatnie koszarne chwile ostrygi w płaskim koszu sto metrów od miejsca, gdzie staliśmy. Na gwiazdkę robił ozdoby z przypominających bransoletki muszli trąbików. W ogrodzie mojej matki pokazywał mi, jak biedronki chowają swoje jajka pod liśćmi bazylii i rukoli. Na bagnach Congaree odkrył nowy gatunek salamandry, nazwany potem jego imieniem. Każdego motyla, który wkroczył w nasze życie, rozpoznawał na pierwszy rzut oka. Nocami zabierał mojego brata Steve'a i mnie, wypływaliśmy łodzią na środek portu w Charlestonie i kazał nam uczyć się na pamięć nazw gwiazdozbiorów. Traktował gwiazdy jak pieśni miłosne napisane dla niego przez Boga. Z nabożnym szacunkiem pokazywał nam konstelacje Wielkiego Psa, Pas Oriona, Strzelca, *Cygnusa*, czyli Łabędzia, przykutą do skał łańcuchami Andromedę czy siedzącą na krześle Kasjopeję. Dla ojca niebo stanowiło wciąż nowe źródło zaskoczenia gwiazdami. „O, spójrzcie dziś na Jowisza.

A jaki czerwony jest Mars! Czyżby Wenus znów zasiadła na tronie?”. W bezksiężycowe noce ten zapalony astronom pisał z

radości, gdy gwiazdy puszczały do niego oko w tajemniczym, wzruszającym graffiti z roztańczonego jak baletnica światła. A jeśli noc była bezchmurna, z niepohamowaną radością bił brawo, bo każda gwiazda na niebie sprawiała mu tyle frajdy, co kolejny srebrny dolar w kieszeni.

Był bardziej Gwiazdą Północną niż ojcem. Za każdym razem budził się uwznioślony ciekawością ziemi. Jego ziemia miała miliard nóg, w każdej kropli wody, sadzonce i źdźble trawy kryły się nieznanne światy. Jakże była szczodra. Modlił się do niej, bo dla niego była synonimem Boga.

Matka także jest nieodrodną córą Charlestonu, ale jej osobowość trąca dużo mroczniejsze harmonie, niż skrywała dusza ojca. Jest nawiedzona przez Boga, pobożna, i to w mieście, która zatrzęsieniem kościelnych iglic zasłużyła sobie na miano Świętego Miasta. Niebywale utalentowana uczona – swego czasu napisała krytyczną analizę biografii Jamesa Joyce'a pióra Richarda Ellmana dla „New York Review of Books” – przez większą część swojego życia pracowała jako dyrektorka szkoły średniej i atmosfera domu przywodziła na myśl korytarz dobrze prowadzonej szkoły. Wśród jej uczniów granica między strachem a szacunkiem była bardzo cienka. W szkole doktor Lindsay King nie odbywały się dzikie harce, nie pałętano się bez celu. Znałem dzieciaki, które bały się mnie tylko dlatego, że to ona była moją matką. Nigdy się nie maluje, jeśli nie liczyć pomadki do ust. Pomijając obrączkę, jedyną biżuterią, jaką posiada, jest sznur pereł, który mój ojciec kupił jej z okazji miesiąca miodowego.

O dziwo, bez żadnych sztuczek czy podstępów, świat matki zdawała się przepelniać rozpacz i tragedia, zanim naprawdę dowiedziała się, jak bardzo tragiczne potrafi być życie. A kiedy już zrozumiała, że nie sposób uciec od konsekwencji tragedii, złagodniała i ascetycznie pogodziła się z iluzoryczną stroną egzystencji. To przykre przebudzenie sprawiło, że całym sercem oddała się religii.

Jej zdecydowanym ulubieńcem był mój starszy brat, Steve, co

każdemu, w tym także mnie, wydawało się naturalne. Jasnowłosy, wysportowany i charyzmatyczny, od urodzenia miał w sobie coś, co przemawiało do najlepszych instynktów dorosłych. Potrafił doprowadzić matkę do paroksyzmu śmiechu, opowiadając anegdotkę o nauczycielu albo o czymś, co wyczytał w książce. Ja natomiast nie byłbym w stanie wywołać uśmiechu na twarzy matki, nawet gdybym pospołu z papieżem udawał, że pierdzimy w Kaplicy Sykstyńskiej. Ale ponieważ wielbiłem brata niczym idola, nie przyszło mi do głowy, że mógłbym być o niego zazdrosny. Otaczał mnie troską i opieką, moja wrodzona nieśmiałość wzbudzała w nim instynkty obronne. Świat dzieci mnie przerażał i ledwo wszedłem z nim w kontakt, odkryłem, że jest niebezpieczny. Steve, dopóki nie umarł, torował mi drogę.

Z perspektywy czasu uważam, że po pogrzebie Steve'a rodzina przeżyła zbiorowe załamanie nerwowe. Jego nagła, niewytłumaczalna śmierć spowodowała, że wpadłem w spiralę zasysającą mnie w dół i przez wiele lat walczyłem, by się z niej wyrwać i z powrotem wydostać na światło. Moja wstydlivość stała się chorobliwa. Systemy alarmowe organizmu zamarły.

Dzieciństwo płynnie i niezauważalnie przeszło z naznaczonego strachem w beznadziejne. Zerwałem się z więzi nie z powodu nieopisanego koszmaru po utracie brata, lecz ponieważ uświadomiłem sobie, że sam nigdy nie zrobiłem nic, by zdobyć własnych przyjaciół, że wystarczyło mi towarzystwo wyszczebanego kręgu dziewcząt i chłopców, dla których Steve był tak wspaniały, że tolerowali obecność pałętającego mu się pod nogami braciszka. Po śmierci Steve'a ten krąg porzucił mnie, zanim jeszcze zwiędły kwiaty na jego grobie. Podobnie jak on, były to rozcgarnięte, efektowne dzieciaki, a ja czułem się przy nich jak jakaś karykatura posadzona na zewnątrz kręgu ognia strzegącego ich tajemnic i atrakcji.

Dlatego kiedy Steve na zawsze odszedł z mojej rodziny, zacząłem swój Wielki Dryf. Stwierdziłem, że jestem całkowicie niezdolny do wypełniania obowiązków jedyne dziecko. Każdym posunięciem

wywoływałem bezsilny gniew matki, bo w tak oczywisty sposób różniłem się od Stephena. Wzbudzałem jej pogardę, bo nie byłem wygimnastykowanym blondynem, chłopakiem, który napawał dumą cały Charleston. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że matka mogłaby mieć mi za złe, iż nie potrafię zamienić się w dziecko, które dostarczało jej tyle radości, a które straciła. Latami zamykałem się w mrocznych zakamarkach mojej duszy i z zaskoczeniem przekonałem się, że ich dręczące badanie do końca życia będzie dla mnie źródłem podniety i niepokoju. Wyraźny ślad szaleństwa wystarczył, żebym w kruchym chłopięcym wieku popłynął z prądem, i musiałem się nieźle naharować, żeby wszystko wróciło do normy. Nieustannie czułem, że z mangrowców i nieprzebytych lasów deszczowych wewnątrz mnie wзира twardy jak kamień, niezwyciężony duch, duch z cierpliwością minerału czekający na dzień, kiedy przemożne pragnienie przeżycia sprawi, że postanowię wrócić. W najgorszych czasach było coś, co żyło w izolacji, a także zaangażowanie, które na moje polecenie stawało u mego boku, ramię w ramię, kiedy postanawiałem stawić czoło światu na własnych warunkach.

Okazało się, że rozkwitłem późno, czego latami żałowałem. Moi rodzice niepotrzebnie cierpieli z tego powodu, że tak długo szukałem drogi do ich stołu. Ja jednak dostrzegłem oznaki powrotu do zdrowia o wiele wcześniej niż oni. Matka postawiła na mnie krzyżyk, gdy byłem tak młody, że nawet w najbardziej fantastycznych snach nie marzyła o moim powrocie. Jednak w trakcie nijakiej – zdecydowanie poniżej oczekiwań – kariery szkolnej stworzyłem podstawy pod ostry finisz, ale matka nie przypuszczała, że w końcu może wyrosnąć ze mnie coś dobrego. Najpierw zbudowałem wokół siebie niezdołbyty zamek samotności, a potem zacząłem go burzyć, nie przejmując się skutkami ubocznymi ani tym, kto może przy tym ucierpieć.

Miałem osiemnaście lat i ani jednego przyjaciela w moim wieku. W całym Charlestonie nie znalazłby się ani jeden chłopak, który

miałby ochotę zaprosić mnie na imprezę albo na weekend do rodzinnego domku na plaży.

Zamierzałem zmienić ten stan rzeczy. Postanowiłem, że zostanę najbardziej interesującym chłopakiem, jakiego wydał Charleston, i wyjawiałem tę tajemnicę rodzicom.

W ospałym letnim powietrzu osiemnastego roku życia, ze zwinnością wynikającą z nieustannej praktyki, wdrapałem się na stojącą przed domem, najbliższą rzeki Ashley magnolię. Z najwyższych konarów obserwowałem swoje miasto, smażące się w gorąco krwistych sokach czerwca, a tymczasem zachodzące słońce barwiło na czerwono kamizelkę cirrusów zbierających się na horyzoncie od zachodu. Po drugiej stronie widziałem miasto filarów, dachów płaskich i dachów dwuspadowych, będące moją ojczyzną. Z całego serca pragnąłem tego, co właśnie obiecałem rodzicom – i dla nich, i dla siebie. Ale chciałem też tego dla Charlestonu. Pragnąłem zostać wartościowym obywatelem tak zasłużonego w historii miasta.

Charleston ma własne tętno i odciski palców, własne zdjęcia policyjne, szanse na pstryknięcie ciekawej fotki politykowi i własne okazania podejrzanych. To miasto podstępów i strategii, umiłowania stylu życia, które pada na kolana przed pięknem przyrody. Czułem, jak pośród liści, wysoko nad miastem, formuje się moje przeznaczenie. Podobnie jak Charleston, ja także miałem swoje zaułki i prowadzące donikąd ślepe uliczki, ale w mojej krwi rezydencje powstawały niczym klejnoty. Patrzyłem w dół, badając rozkład mojego miasta, tego, które nauczyło mnie wszelkich uroków atrakcyjności, ale też bycia podejrzliwym wobec pretensjonalności oraz prowizorki. Spojrzałem na gwiazdy. Już miałem wykonać zły rzut kostką i spróbować przewidzieć przyszłość, ale w porę się powstrzymałem.

Chłopiec zawieszony w czasie, w mieście, gdzie życie ma barwę bursztynu i roztacza splendor zakazany dla pomniejszych aniołów.

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

16 czerwca 1969 roku

Nic nie dzieje się przypadkiem. Odczułem to na własnej skórze na długo przed tym, zanim zorientowałem się, że tylko zebrane cięgi są drogą do prawdziwej, pewnej wiedzy. Od najmłodszych lat lękałem się potęgi tego, w jak dziwny sposób jedne rzeczy wpływają na drugie. I chociaż zawsze wydawało mi się, że obieram najmniej ryzykowną drogę, okazałem się bezsilny, jeśli chodzi o unikanie drobnych zdradzieckich knowań losu. Ponieważ byłem nieśmiały, dorastałem w poczuciu strachu i w głębi duszy wiedziałem, że świat chce mi się dobrać do skóry. W ostatniej klasie szkoły średniej, zanim nadeszło lato, prawdziwe życie, jakie od zawsze chciałem wieść, leżało zwinięte jak sprężyna, gotowe do skoku w gorących charlestońskich dniach, które nastąpiły później.

Szesnastego czerwca 1969 roku nastąpił szereg niepowiązanych ze sobą zdarzeń: odkryłem, że moja matka swego czasu była katoliczką siostrą zakonną wyświęconą u Najświętszego Serca Pana Jezusa; ciężarówka firmy przewozowej Atlas wjechała tyłem na podjazd dziewiętnastowiecznego, wolno stojącego domu naprzeciwko nas przy tej samej ulicy; dwie sieroty stały się u bram sierocińca Świętego Judy na tyłach katedry przy Broad Street, a w „News and Courier” odnotowano nalot na narkomanów w domu Rutledge'a-Benneta

przy East Bay Street. Miałem osiemnaście lat i opinię chłopaka z kiepskim startem, nie mogłem więc poczuć ruchów tektonicznych czekającego mnie przeznaczenia, gdy moja historia zaczęła się toczyć z własnej woli. Minęło wiele lat, zanim dowiedziałem się, że los potrafi nas ścigać, wyciągać po nas krwawe szpony, a kiedy odwracamy się, by zmierzyć się z najgorszym, odkrywamy, że wygląda jak uosobienie niewinności i działa pod postacią ciężarówka do przeprowadzek, sierocińca i nalotu na narkomanów na południe od Broad. Gdybym wtedy wiedział to, czego nauczyłem się z czasem, nie upiekłbym ciasteczek dla nowej rodziny z naprzeciwnika, ani słowem nie odezwałbym się do sierot i nie przedstawiłbym się parze studentów, którzy wylani ze szkoły Porter-Gaud, raz-dwa zapisali się do ostatniej klasy w moim ogólniaku Peninsula.

Tyle że przeznaczenie podkrada się do nas bezszelestnie jak kot, nieuchronnie, złaźnione krwi. W chwili narodzin nasza śmierć jest przepowiedziana przez nowo wytworzone komórki, gdy matka podnosi nas, a potem przekazuje ojcu, który delikatnie łaskocze nas po brzuszku, gdzie pewnego dnia wyrośnie rak, uważnie przygląda się oczom, gdzie złowrogi podpis czerniaka jest już wypisany na nerwie wzrokowym, dotyka w miejscu, gdzie pewnego dnia pojawi się marskość wątroby, wyczuwa przepływ krwi, którą kiedyś osłodzi cukrzyca, podziwiał kształt głowy, którą jak obuchem zdzieli kiedyś udar, albo nasłuchuje bicia naszego serca, które wyczerpane życiem pełnym strachu, upokorzeń i niemoralnych występów, wybuchnie w piersi, jak gdyby na całym świecie zgasło światło.

W każdym z nas zamieszkuje śmierć, która z chwilą narodzin zaczyna odliczanie i bez pardonu wkracza w ostatnim momencie, dokładnie o czasie.

*

Tego czerwcowego dnia obudziłem się o czwartej trzydzięci, wskoczyłem w ubranie i pojechałem na rowerze na północno- wschodni

skraj jeziora Colonial, gdzie w ciemności stała na jałowym biegu furgonetka dostarczająca „News and Courier”, czekając, aż się pojawię. Zacząłem składać ogromną stertę gazet i – zwinięte ciasno gumką – wsuwać je do jednej z przepastnych toreb wiszących na moim ramieniu. Przygotowanie roweru do porannej wyprawy zajęło mi kwadrans, ale w tym, co robię, jestem szybki i sprawny. Już od trzech lat rozwoziłem gazety. W świetle reflektorów furgonetki patrzyłem, jak Eugene Haverford zapisuje adresy nowych klientów i skargi od moich stałych odbiorców. Palił już drugie tego dnia cygaro Swisher Sweets, a w jego oddechu wyczuwałem zapach bourbona Four Roses. Sądził, że dym z cygara ukryje fakt, iż popija od samego rana.

– Witaj, Leo, przyjacielu, wybitny dzentelmenie z Charlestonu – odezwał się pan Haverford głosem równie powolnym jak jego ruchy.

– Siemanko.

– Mam dla ciebie dwie nowe prenumeraty. Jedna na Gibbes Street, druga na South Battery. – Podał mi dwie kartki zapisane wielkimi literami. – Jest też jedna skarga... ta wariatka z Legare Street twierdzi, że nie dostaje gazety już od tygodnia.

– Wręczałem jej gazetę do rąk własnych, proszę pana. Pamięć jej szwankuje.

– Zrób coś dla siebie i dla mnie i zepchnij ją ze schodów. Oprócz niej żaden klient nigdy się na ciebie nie skarżył.

– Mieszkanie w tak wielkim domu napawa ją coraz większym strachem – odparłem. – Wkrótce będzie jej potrzebna pomoc.

– A jak, u diaska, żeś się o tym dowiedział, dzentelmenie z Charlestonu?

– Zwracam uwagę na swoich klientów – wyjaśniłem. – Taka praca.

– Dostarczamy im wieści ze świata pod same drzwi, prawda, dzentelmenie z Charlestonu?

– Dzień w dzień, proszę pana, przez okrągły rok.

– Znowu dzwoniła do mnie twoja kuratorka – poinformował mnie. – Powiedziałem jej to co zawsze... że przez trzydzieści lat pracy w firmie nie miałem lepszego roznosiciela gazet. Powtarzam jej, że „News and Courier” ma szczęście, że cię zatrudniła.

– Dzięki – rzuciłem. – Już niedługo nadzór mi się kończy. Wkrótce przestanie się panu naprzykrzać.

– Twoja staruszka też zawracała mi gitarę, jak co tydzień – dodał.

– Matka pewnie będzie do pana wydzwaniała do końca życia.

– Po tym, co usłyszała ode mnie wczoraj, raczej nie. Leo, masz osiemnaście lat, po mojemu jesteś już mężczyzną. Twoja matka to kawał sekutnicy. Nie gustuję w takich kobitkach. Ale pytała mnie, czy należycie wypełniasz obowiązki. Właśnie tak się wyraziła, jakbyś nie wiedział. No więc posłuchaj mnie, Leo. Oto, co jej powiedziałem: „Gdybym miał kiedyś dzieciaka, co mi akurat nie grozi, chciałbym, żeby był z niego wykapany Leo King. Dokładnie taki sam. W każdym calu”. Właśnie tak się wyraziłem, jakbyś nie wiedział.

– To ładnie z pańskiej strony.

– Przestań wreszcie być taki naiwny, Leo. Wciąż ci to powtarzam. Nie wychodź z sercem na dłoni do świata, który na ciebie sra.

– Tak jest, proszę pana. Koniec z naiwnością.

– Ty sakramencki dżentelmenie z Charlestonu.

Z piskiem opon odjechał w ciemność, a jego cygaro jarzyło się w sfoferce niczym robaczek świętojański. Ja popedałowałem na rowery w trasę.

Jadąc na południe Rutledge Avenue, ciskałem wysokim łukiem zwinięte gazety na werandy wszystkich domów przy tej ulicy, tylko nie do Burbage'a Eliota, który nawet w znanym ze skąpstwa Charlestonie uchodził za wyjątkową kutwę. Pożyczał gazetę od pani Wilson, która czytała ją przy śniadaniu złożonym z jajka na miękko, mielonych na żarnach płatków owsianych i herbaty z kwiatami rumianku i lawendy, a potem oddawała skąpemu sąsiadowi, rzucając

ją na werandę z tyłu jego domu.

Potrafiłem rzucać gazety obiema rękami. Po skręcie w Tradd Street wyglądałem jak ambitny akrobata ciskający gazety na prawo i lewo, coraz bardziej zbliżając się do rzeki Cooper i wschodzącego słońca, które muskało poranne fale w porcie, tańczyło między pierzastymi liśćmi palm i wiecznie zielonymi dębami, aż w końcu całą ulicę zalały pierwsze promienie światła. W chwili gdy nadjeżdżałem do pogodnego spokoju rodzinnej posiadłości Compsona Brailsforda, prawnika, czekał już na mnie na podwórku, schylony w pozie łapacza, z szeroko rozstawionymi nogami. Kiedy go mijałem, wystartował w garniturze z marszczoną bawełną, elegancki jak szwajcarski scyzoryk, i zamachnął się sierpowym, stojąc w przystrzyżonej trawie. Jeśli byłem w dobrej formie, gazeta śmigła już w powietrzu, gdy odwracał się i truchtał do umownego rozgrywającego w Cytadeli – słynnej uczelni wojskowej; był zagorzałym kibicem Konferencji Południowej. Tego dnia ruszał się z perfekcyjną koordynacją, skutecznie, a moje podanie nadeszło w idealnym momencie. Ta nasza gra zaczęła się całkiem przypadkowo, ale toczyliśmy ją dzień w dzień, chyba że akurat nie było go w mieście albo niepogoda okazywała się zbyt surowa dla dobrze ubranego prawnika z Charlestonu.

Ogrody Charlestonu są tajemnicami zamkniętymi w porośniętych bluszczem szkatułkach, wydzielających specyficzne zapachy ponad wysokimi murami. Lato okazało się łaskawsze dla kwitnących późno magnolii. Minąłem stare, wysokie na trzynaście metrów drzewo, które wyglądało, jakby obsiadły je setki białych gołębi szukających drugiej połówki. Mój zmysł powonienia wyczułał się wraz ze wzrostem temperatury, gdy rosa parowała z wydzielającego brzoskwińową woń osmanthusa i jaśminu. Spociłem się pod pachami, ofiarowując swój zapach ulicom, gdzie kawa zaczynała pyrkotać w ukrytych kuchniach, a uderzenie gazet spadających na miękkie drewno werand przypominało plusk barwen radośnie wyskakujących z wody w olbrzymich lagunach. Skręcając w prawo w Legare, złapałem właściwy rytm i pędząc środkiem jezdni, wykonałem najdłuższy rzut

tego poranka, do rezydencji za Sword Gate House, tak że gazeta wylądowała na trzecim stopniu. Przy domu Ravenelów na końcu ulicy po raz pierwszy tego dnia, w którym działałem z precyzją maszyny, chybiłem i cisnąłem gazetę w gąszcz przerośniętych kamelii. Zahamowałem, przejechałem rowerem przez bramę, zdjąłem gazetę z górnych gałęzi i rzuciłem tak, że poszybowała pod drzwi frontowe.

Spod siatki ogrodzenia posiadłości naprzeciwko domu Ravenelów wysunął się mały czarny nos Virginii – spanielki king charles – więc rzuciłem gazetę w najdalszy róg ogrodu, a kunsztownie ubarwiony trójkolorowy pies porwał ją w mgnieniu oka i triumfalnie zaniósł na wycieraczkę przed drzwiami swojego pana. Potem cisnąłem tam jeszcze niewielki psi biszkopt, po który Virginia wróciła powoli i z godnością.

Kiedy podejmowałem się tego zajęcia przed trzema laty, plejada gwiazd sterujących moim życiem krążyła dziwacznie i zbaczała z kursu. Przyrzekłem więc sobie, że będę wykonywał tę pracę jak należy. Jeśli słyszałem, że klient przetrząsa ogród w poszukiwaniu porannej gazety, zawsze głośno go przeproszałem. Dobry roznosiciel gazet jest wzorem punktualności, niezłomności i precyzji, i właśnie to chciałem zapewnić moim odbiorcom. Eugene Haverford wbijał mi to w głowę burkliwym głosem w pierwszym tygodniu, podczas szkolenia.

I tak oto zostałem roznosicielem krążącym po mieście, którego uroda atakowała mnie za każdym skrętem kierownicy, nagradzała każdą cierpliwą inspekcję i zewsząd wdzierała się w pory i krew. Takie obrazy mogły zmienić odbieranie całego świata. Było to miasto, które ukształtowało architekturę moich wspomnień i snów, dodając gzymsy, parapety i łukowaty mrok palladiańskich okien za każdym razem, gdy pędziłem ulicami, niezłomnie dążąc do wypełnienia obowiązków. Raz po raz rzucałem pociski zbudowane ze stron wypełnionych po brzegi najnowszymi wiadomościami, a także ogłoszeniami o premierach wystaw na King Street i o ustawie o podatku dochodowym, której projekt trafił właśnie pod obrady komisji senackich w

Columbii, o przewidywanym na jesień całkowitym zaćmieniu Słońca i niesamowitej wyprzedaży ciuchów w sklepie odzieżowym Berlina, która w przyszłym tygodniu dobiega końca.

Gdy zaczynałem tę pracę, moje życie tkwiło w martwym punkcie, paleta wyborów skurczyła się do jednej możliwości, a wszelkie inne opcje spaliły na panewce. Od pierwszego dnia byłem pod nieustannym nadzorem sądu dla nieletnich Karoliny Południowej, psychiatry dziecięcego związanego ze szpitalem Ropera, zatroskanej i nadopiekuńczej matki oraz nieokrzesanego prostaczka mieszkającego w przyczepie w północnym Charlestonie, Eugene'a Haverforda. W rozwożeniu gazet dostrzegałem szansę odkupienia, ostatnią okazję do uratowania dzieciństwa, zmarnowanego przez mój zaskakujący charakterek oraz tragedię, na której opisanie brak mi słów. Gdy spadła na mnie moja porcja okrucieństwa tego świata, miałem dziewięć lat. Już jako dorosły zmarnowałem dużo czasu, by uświadomić sobie, że tragedia spada na każdego wbrew jego woli, niczym tani szmatławiec z reklamami sex-shopów i klubów ze striptizem, rzucony do zapuszczonego ogrodu. Zanim skończyłem dziesięć lat, byłem już starym człowiekiem i pojąłem okropieństwa tego świata wiele lat wcześniej, nim wybiła moja godzina.

Do siedemnastego roku życia przetrwałem najgorsze czasy bez większego uszczerbku i jakoś funkcjonowałem, zostawiwszy przyjaciół poza bezosobowym oddziałem psychiatrycznym swojej kondycji, której matowe oczy zalewała mętna, nieokreślona furia. Kochałem bliskie mi twarze beznadziejnych przypadków i przytrzymywałem je, gdy drżały w halucynacjach, które nie dawały im ani chwili spokoju. Żyjąc wśród nich, odkryłem, że nie jestem taki jak oni, a jednak zniechęcili mnie, kiedy dostrzegli, że odzyskuję spokój, wiele lat po tym, jak znalazłem ukochanego starszego brata z podciętymi żyłami, martwego, w wannie, w której kąpaliśmy się razem, a na posadzce łazienki leżała brzytwa ojca. Słyszając moje wrzaski, sąsiedzi wdarli się do domu przez okno na parterze i zastali mnie, rozhisteryzowanego, gdy próbowałem wyciągnąć z wanny bezwładne ciało.

Tego wieczoru skończyło się moje pogodne, wolne od dramatycznych wydarzeń dzieciństwo. Kiedy rodzice wrócili z kina przy Dock Street, zwłoki Steve'a spoczywały, nienaturalnie spokojne, w policyjnej kostnicy. Policjanci próbowali zrobić coś, żebym się opamiętał, żebym mógł złożyć zeznania. Lekarz wstrzyknął mi środek uspokajający i w ten sposób zaczęło się moje życie wśród narkotyków, strzykawek, psychiatrów, testów psychologicznych, terapeutów i księży. Do dziś uważam, że to właśnie tamten okres zniszczył życie moich rodziców.

Gdy skręciłem w Meeting Street, słońce weszło nad horyzont na tyle wysoko, że mogłem zgasić lampkę przy kierownicy. Meeting – szeroka, paradna, ze wspaniałymi posiadłościami po obu stronach, szpanerska ulica w mieście, w którym takich było pełno. Jechałem zygzakiem od krawężnika do krawężnika, celnie rzucając gazetami we frontowe drzwi, tak ciężkie i okazałe, jakby prowadziły do rezydencji królewskich. Ruch wciąż był jeszcze niewielki i utrzymując właściwy rytm, mogłem obsłużyć całą ulicę aż do Broad w pięć, góra siedem minut.

Skręciwszy w prawo w Broad, znalazłem się przed drzwiami kilkunastu kancelarii. Bywało, że jedno wejście prowadziło do trzech, pod jedyneką mieściły się cztery, a w siedzibie Darcy, Rutledge i Sinkler, największej kancelarii prawnej w mieście – aż sześć. Przy Church i Broad, na południowo-wschodnim rogu, czekały na mnie nowe sterty gazet. Nie wypadając z rytmu, zatrzymałem się, żeby je załadować, jednocześnie zwracając uwagę na wzmożony ruch, gdy prawnicy nieposiadający stałej siedziby udawali się do swoich ulubionych restauracji i kafejek. Ulica zaczęła pachnieć kawą i smażonym bekonem, lekka bryza od portu niosła woń boi i kadłubów statków zakonserwowanych w słonej wodzie przez morskie fale i upływ lat. Przebudzenie mew zbiegło się w czasie z wypłynięciem pierwszego frachtowca, który skręcał na pełne morze, a rachitycznym, niemal ludzkim ptasim krzykiem zawtórowały dzwony u Świętego

Michała. Uwijając się, szybko załadowałem ostatnią na mojej trasie setkę gazet i śmignąłem Church Street, znów wywijając rękami w ekscentrycznym porannym tańcu gazeciarzy.

Wkrótce po objęciu tej posady odczułem zbawienne skutki ciężkiej pracy i pławiłem się w pochwałach pana Haverforda oraz klientów zasiedlających tę enklawę miasta na półwyspie. Mój poprzednik pochodził z rodziny o wysokiej pozycji społecznej i mieszkał w jednym z domów, które teraz ja obsługiwałem. Dla niego godziny pracy okazały się jednak zbyt wczesne, a wysiłek za bardzo kolidował z bujnym nocnym życiem towarzyskim. Szybko więc pozwolono mu odejść, ale go nie zwolniono, a to z powodu ustosunkowanej rodziny, której korzenie sięgały czasów założenia tutejszej kolonii. Kiedy najwyższe kierownictwo „News and Courier” postanowiło zaryzykować i dać mi szansę, był to wyraz wdzięczności i uznania dla wybitnej działalności edukacyjnej moich rodziców, a także sposób na wyciągnięcie rodziny z załamania po śmierci mojego brata. Śmierć Steve'a głęboko, choć w bliżej nieokreślony sposób, zraniła całe miasto. Otrzymałem tę pracę nie ze względu na swoje zasługi, lecz z powodu tego, kim był Steve.

A cóż to był za chłopak! – pomyślałem, skręcając w prawo w South Battery i rzucając cudownie pachnące gazety na schody najpiękniejszych, moim zdaniem, rezydencji w mieście. Steve także zamieszkałby kiedyś w jednym z takich domostw, gdy już poślubiłby najbardziej nadobną i błyskotliwą debiutantkę w Charlestonie, ukończył studia na Harvardzie i wrócił do Karoliny Południowej, by wykładać prawo na uniwersytecie. W moich myślach był i pozostał osiemnaście miesięcy starszy ode mnie – urodzony przywódca, znany z ciętego dowcipu i uroku. Powszechnie uważano, że wyrośnie na jednego, z najwybitniejszych sportowców, jakich wydał Charleston. Latem zamieniał się w nowy odcień złota, jego płowe włosy kojarzyły mi się z maścią sierści kotów syjamskich. Kiedy oceniał nieznanego bądź nową sytuację, jasnoniebieskie oczy były pozbawione emocji i faktury. Cały Charleston zgadzał się, że był ostatnią osobą

pod słońcem, która sięgnęłaby po brzytwę, żeby podciąć sobie żyły i napęlić wannę własną krwią. To ja byłem melancholijnym, trwożliwym dzieckiem, mimożą żyjącą w cieniu rumianego, zaskakującego swoimi osiągnięciami brata, i właśnie ja byłbym zdolny popełnić tak potworną zbrodnię wobec siebie i wizerunku miasta, jakim cieszyło się w swoim mniemaniu.

Zobaczyłem pannę Ophelię Simms podlewającą kwiaty w donicach przed domem. Zatrzymałem rower i podałem jej gazetę.

– Odpowiada pani taka obsługa, panno Simms?

– Moim zdaniem jest bliska ideału, Leo – odparła. – A jak się dziś mamy?

– Mamy się świetnie. – Zawsze sprawiało mi ogromną radość, że panna Simms zwraca się do mnie w iście królewski sposób, w liczbie mnogiej. – A jak się mają nasze kwiaty?

– Są nieco urażone. – Zawsze tak odpowiadała podczas naszych rzadkich spotkań pośród jej floksów i niecierpków. Według mnie z panny Simms była szalowa babka, chociaż wiedziałem, że w tym roku kończy pięćdziesiąt lat. Miałem nadzieję, że pewnego dnia poślubię dziewczynę, która mając dwadzieścia kilka lat, będzie choć w połowie tak śliczna jak panna Simms. Szanse na to miałem jednak mizerne, o czym przekonywałem się za każdym razem, gdy spoglądałem w lustro. Wprawdzie nie nazwałbym siebie brzydalem, ale też nie zdziwiłbym się, słysząc taką opinię z ust kogoś innego. Kładłem to na karb okularów w czarnej rogowej oprawie, które sprawiła mi matka. Byłem tak krótkowzroczny, że szkła wyglądały jak szyby w bulajach statku. W dodatku wyolbrzymiały zęza rozbieżnego, który był obiektem kpin rówieśników, acz tylko pod nieobecność mojego brata. Steve przejawiał nadopiekuńczość wobec młodszego braciszka i krążył nade mną, patrolując jak myszołów okrutne prądy powietrzne nad szkolnym boiskiem. Nieustraszony, o ciętym języku, nikomu nie pozwalał znęcać się nad młodszym bratem. W dzieciństwie jego oczywista przewaga wprawiała mnie w zakłopotanie, wręcz miałem mu ją za złe, ale bronił mnie tak zaciekle i kochał tak bezwarunkowo,

że czułem się kimś wyjątkowym. Brat był przystojny i za każdym razem, gdy matka na mnie spoglądała, wyczuwałem jej rozczarowanie.

Jadąc zygzakiem mniejszymi ulicami i zaułkami na południe od Broad, docierałem w końcu do posterunku straży przybrzeżnej, gdzie przystawałem na minutkę czy dwie, by odpocząć. Potrafiłbym przejechać tę trasę z zamkniętymi oczami i szczyłem się tym, że na konkretne skrzyżowania docieram we właściwym czasie. Dysząc z wysiłku i czując przyjemny ból przesywający moje uda i ramiona, co chwila zerkałem na zegarek, sprawdzając, jak mi idzie. Znow wskoczyłem na wysokie obroty i ruszyłem dalej, mając po prawej skrzące się wody Ashley – rzeki, której uderzenia o wał nadmorski w pobliżu naszego domu słyszałem podczas sztormowych nocy. To nad Ashley mój ojciec bawił się w dzieciństwie, a matka wdychała jej zapach, stając przy otwartym oknie po całym dniu ciężkiej pracy, kiedy już urodziła najpierw mojego brata, a potem mnie. Rzeka o niskim zasoleniu dostarcza ludziom wody pitnej i orzeźwia, słona zaś każe wracać do rzeczy podstawowych, do ruchów fal podlegających fazom księżyca, do ryb pędzących na tarło, do umiłowania języka widocznego w rytmie grzywaczy, wciętych w talii jak osa, i do poplamionych farbą drukarską rąk gazeciarza, który uważa Ashley za najpiękniejszą rzekę stworzoną przez Boga. Zaczynałem ostatni sprint na trasie i znow kierując się na wschód, ciskałem gazety pewnie i energicznie, dostarczając je do nowych domów na zabudowanych zwłokach słonych moczarów. Mijając pędem ogrody White Point, wiedziałem, że skręcę na północ, kiedy w oddali zobaczę Fort Sumter, który jak żółw skórzasty rozsiadł się na środku portu w Charlestonie. Obsłużwszy naprawdę wielkie rezydencje przy East Bay i Rainbow Row, skręcałem w lewo w Broad i załatwiałem obie strony ulicy, lawirując między samochodami i kolejnymi prawnikami, młodymi wilkami i starymi wyjadaczami, snującymi się ulicą.

Podjeżdżałem pod agencję nieruchomości Rileya, biuro podróży, wreszcie pod ratusz, a ostatnią poranną gazetę ciskałem przed frontowe drzwi sklepu z odzieżą dla panów Henry'ego Berlina.

A kiedy ostatnia gazeta spoczywała na schodkach magazynu Berlina, Charleston przestawał być mój i oddawałem go w posiadanie innym rannym ptaszkom, które miały do niego większe prawo, niż kiedykolwiek będę miał ja – chłopiec odnajdujący spokój w ciemności.

*

Przez te trzy lata, kiedy chodziłem do szkoły średniej, stałem się znaną, wręcz sławną postacią przemierzającą bladym świtem ulice na południe od Broad. Z czasem usłyszałem od ludzi, że mogli regulować zegarki, widząc, jak mijam ich domy przed i po pierwszym promyku światła. Wszyscy oni wiedzieli o śmierci mojego brata, w rezultacie której załamałem się i zniknąłem, i później opowiadali mi, jak to trzymali za mnie kciuki podczas długiego okresu mojej pokuty i odkupienia. Kiedy jak co miesiąc zbierałem od nich należność za prenumeratę, dorośli doceniali fakt, że zjawiam się w ich progach wystrojony w sportową marynarkę, pod krawatem i w nienagannie wypastowanych tanich mokasynach. Podziwiali moje poprawne, wręcz oficjalne maniery, doceniali nieporadne próby nawiązania rozmowy, a także to, że zawsze przynosiłem smakołyki rodzinom mającym koty albo psy. Nigdy nie zapominałem imion ich zwierząt. Pytałem, jak się miewają dzieci. Z początku traktowali moją żalną nieśmiałość jak wizytówkę, choć większość rodzin dostrzegą, że stopniowo odzyskuję pewność siebie, bo czułem się coraz swobodniej, stając w ich progach. Uwielbiali fakt, że jeśli padało, wstawiałem godzinę wcześniej, by własnoręcznie położyć gazetę na suchej części werandy, bo nie byłem pewny, czy rzucając, trafię tam, gdzie trzeba. Później zapewniali mnie, że ani przez chwilę nie wątpili, iż jestem na najlepszej drodze, by stać się uroczym i fascynującym młodym człowiekiem.

Jednak szesnastego czerwca 1969 roku, kiedy przemierzałem rowerem krótki odcinek między sklepem odzieżowym Berlina a katedrą Świętego Jana Chrzciciela, postrzegałem siebie jako urodzonego nieudacznika, który w wieku osiemnastu lat ani razu nie był na randce i nie tańczył z dziewczyną, nie miał przyjaciela od serca ani szóstki na świadectwie i nigdy nie wyrzuci z pamięci tej chwili, kiedy znalazł beztroskiego, jedyne w swoim rodzaju brata skapanego we krwi. Przez cały czas, jaki upłynął od tego niezacieralnego w pamięci dnia, ani rodzice, ani żaden psychiatra czy pracownik opieki społecznej, ani ksiądz czy zakonnica, ani krewny czy przyjaciel rodziny nie potrafili wskazać mi drogi do zwykłego pożytecznego życia z tą upiorną wizją wjazdową, którą miałem wbitą do paszportu.

W trakcie modlitwy podczas uroczystości pogrzebowych brata wymknąłem się do męskiej ubikacji, zamknąłem w kabynie i dopiero tam zaniósłem się cichym niepohamowanym płaczem, bo w porównaniu ze zdruzgotanymi rodzicami mój nieukoiony ból zakrawał na przejaw egoizmu.

Odliczałem czas od tamtej chwili, gdy ziemia rozwarła paszczę, żeby mnie połknąć. Zostawiłem zwyczajny ból za sobą i trzymałem szaleństwo na dystans, kiedy jego niestrudzone zastępy atakowały mury mojego dzieciństwa, raz za razem nacierając bezlitośnie na najbardziej czułe punkty mojej psychiki. Przez trzy lata poruszałem się w świecie zmięwatych. W każdym śnie widziałem czekające na mnie jadowite węże: mokasy na błotnego zwiniętego w korzeniach cyprysa, węża koralowego pod wydrążonym pniem drzewa, mokasy miedziogłowca niewidocznego pod jasnym dywanem jesiennych liści i grzechotnika diamentowego ze śmiercionośną ostrzegającą grzechotką – samotnego muzyka, układającego poniżające libretto mojej rozpacz, furii i bezsilnego smutku. Lekarze nazwali to załamaniem nerwowym – i stwierdziłem, że określenie to jest nader trafne. Rozsypałem się. A potem, przy pomocy życzliwych ludzi, którzy dodawali mi otuchy, wzięłem się w garść. Węże zareagowały na ten powrót do zdrowia, wycofując się po cichu z moich snów, i

już nigdy więcej się ich nie bałem, ba, przyznawałem wręcz, że odegrały ważną rolę w procesie rekonwalescencji. Ponieważ od dawna lękałem się ich duszą i ciałem, tych złowrogich kształtów, tych zakrzywionych kłów i jadu, nie wpuszczały do mojego nocnego świata twarzy brata, który zajmował stałe miejsce w mojej psychice dopiero za dnia, po przebudzeniu. Z perspektywy czasu zrozumiałem, że moja tragedia polegała na tym, iż nie potrafiłem przywołać obrazu tego rumianego, wysportowanego, przystojnego i emanującego dekoracyjnym urokiem Steve'a. Odkąd znalazłem brata martwego, nigdy nie mogłem go wyciągnąć z tej makabrycznej wanny.

Ustawiłem rower na stojaku obok szkoły podstawowej i jak co rano tylnym wejściem wśliznąłem się do katedry – wejściem znanym wszystkim zainteresowanym, od biskupa i księży po zakonnice i ministrantów, jak ja. Gdy otworzyłem drzwi, wchłonął mnie zapach katolickiego świata. Przeszedłem do pomieszczenia, w którym monsinior Maxwell Sadler niemal już skończył stroić się w paradne, odświętne szaty na poranną mszę. Monsinior Max stał się elementem dramatu mojej rodziny na długo przed tym, zanim się urodziłem – w roku 1938 był nauczycielem moich rodziców w liceum imienia Biskupa Irelanda. To on udzielił im ślubu, to on ochrzcił Steve'a i mnie i to on położył mi hostię na języku w dniu pierwszej komunii. Gdy po raz pierwszy służyłem do mszy, byłem ministrantem razem ze Steve'em. Po śmierci brata monsinior stale kręcił się po naszym domu, wszechobecny jak fotel do czytania mojej matki. A kiedy biskup Charlestonu odmówił pochowania Steve'a w poświęconej ziemi, monsinior Max (wówczas jeszcze ojciec Max) przedarł się przez trzeszczącą w szwach, ale wciąż nie do pokonania biurokrację Kościoła sprzed II Soboru Watykańskiego, doprowadził do ekshumacji zwłok Stephena na cmentarzu publicznym na zachodnim brzegu Ashley i pochował go po raz drugi, tym razem w poświęconej ziemi kościoła pod wezwaniem Świętej Marii, wśród członków rodziny mojej matki.

W tamtym czasie przysparzałem nieustannych kłopotów i w tytanicznym porywie uczniackiej furii odszedłem od wiary katolickiej, a także odmówiłem wielbienia Boga i przynależności do jakiegokolwiek Kościoła. Kościół katolicki wyrzekł się zwłok mojego brata. Następnie wkroczyłem w świat psychiatrii dziecięcej, cierpiących na niedobór personelu szpitali dla umysłowo chorych oraz ziewających prywatnych nauczycieli, bo w taki sposób rodzice próbowali naprawić popsutego chłopca, którego mieli na głowie po tym, jak opuścił ich ukochany syn. W tym najczarniejszym okresie monsinior Max pozostał nam wierny. Wyjaśnił mi, że Kościół jest cierpliwy i że zawsze będzie czekał na mój powrót. Rzeczywiście był cierpliwy, podobnie jak monsinior.

Patrzyłem, jak monsinior Max wprawnie czesze włosy, pilnując, by przedziałek po lewej stronie głowy był prosty jak strzała. Gdy zobaczył mnie w lustrze, rzekł:

– Leo, mój ministrant właśnie zadzwonił, że jest chory. Wkładaj sutannę i komżę. Twój rodzice już są. Wiesz, że dla twojej matki to szczególny dzień. Dzień Blooma.

Spośród wszystkiego, co składało się na moje dzieciństwo, najbardziej fałszywie pobrzmiwał fakt, że byłem jedynym chłopakiem na południu Stanów Zjednoczonych, którego matka zrobiła doktorat, pisząc z gruntu niestrawną rozprawę na temat symboliki religijnej w równie niestrawnym *Ulissiesie* Joyce'a – moim zdaniem najgorszej książce, jaką kiedykolwiek napisano.

Szesnasty czerwca to ten niekończący się dzień, kiedy Leopold Bloom miota się jak ta ciota, zagląda do barów, zadaje się z kurwami, a potem wraca do swojej napalonej żoneczki, Molly, której końcowy monolog – według mnie – włókł się, jakby miał sześć tysięcy stron, gdy matka na siłę karmiła mnie tą książką w dziesiątej klasie. Maniacy na punkcie Joyce'a, tacy jak moja matka, uważają szesnasty czerwca za uświęcony mityczny dzień w kalendarzu gregoriańskim. Kiedy po sześciu miesiącach męczarni skończyłem wreszcie książkę i wyrzuciłem ją przez okno, matka wpadła we wściekłość.

W mgnieniu oka przebrałem się w sutannę i komżę i stanąłem przed olśniewającym urodą monsiniorem, który z lubością przeglądał się w lustrze. Odkąd go poznałem, nieustannie słyszałem, jak kobiety z naszej parafii szepczą: „Co za strata!”, kiedy ich elegancki gwiazdor, czyli ksiądz, sunął w kierunku ołtarza we wspaniałych szatach.

– Wesołego Dnia Blooma, monsinior Max – powiedziałem.

– Nie nabijaj się z matki, młody człowieku. *Ulisses* jest jej pasją, a James Joyce największą literacką miłością jej życia.

– A ja i tak uważam, że ta książka jest dziwna – upierałem się.

– Trzeba wybaczać bliźnim ich namiętności.

– Wybaczyłbym jej, gdyby nie to, że przez nią nazywam się Leopold Bloom King. A mój brat Stephen Dedalus King. Trochę przeholowała. Czytał pan *Ulisses*?

– Ależ skąd! Joyce to jawny antykatolik. Ja osobiście skłaniam się do Chestertona.

Poczułem dawny przyływ dumy, gdy prowadząc monsiniora do głównego ołtarza, zauważyłem rodziców siedzących w pierwszej ławce. Oboje odmawiali różaniec. Ojciec podniósł głowę, uśmiechnął się na mój widok i teatralnie puścił do mnie oko – prawe, żeby matka nic nie zauważyła. W kościele nie tolerowała najmniejszych swawoli. Na mszy zawsze miała minę osoby gotowej na ukrzyżowanie, jak gdyby za każdym razem, kiedy klękała w ławce, była naocznym świadkiem śmierci Jezusa.

Monsinior Max odwrócił się do nielicznej grupki parafian, głównie osiemdziesięciolatek, i rozpoczął mszę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Słowa, które wypowiadał operowym głosem, spływały na mnie niczym czysty strumień z czasów dzieciństwa, delikatna sieć utkana ze wspomnień i języka.

– Udam się do ołtarza Boga.

Poszedłem za nim, poddając się pradawnym, świętym rytmom Kościoła. Gdy poprosił o wodę, podałem mu ją. Gdy musiał umyć ręce przed misterium, polałem mu palce wodą z buteleczki. Gdy

poprosił o wino, wręczyłem mu je w blasku złotych kielichów. W chwili konsekracji, kiedy zamieniał wino w krew Chrystusa, a chleb w jego ciało, potrząsałem dzwonkami, których dźwięk rozbrzmiewał pod ołtarzami od dwóch tysięcy lat. Gdy otworzyłem usta i z poświęconego palca wskazującego i kciuka księdza wziąłem prząsny chleb, poczułem na języku dotyk Boga, Jego smak na podniebieniu, Jego krew mieszającą się z moją krwią. Wróciłem do Niego po tym, jak z goryczą ślubowałem, że się wycofam, po tym, jak zabrał mi brata z sypialni i zabił go w naszej wannie.

A jednak wróciłem do Niego, i to właśnie część mojej opowieści.

Po mszy poszliśmy na śniadanie do restauracji Cleo: letni rytuał, równie mocno zakorzeniony w naszym życiu rodzinnym jak codzienna msza. Cleo była młodą Greczynką, która wyrzucała słowa z prędkością karabinu maszynowego, a z kasą obchodziła się tak, jakby łądowała M16 dla snajperów. Paplała i bluźniła jak najęta, aż weszli rodzice – wtedy zaczęła się zachowywać niemal jak świętoszka. Mama i tata uczyli ją w liceum imienia Biskupa Irelanda i nie straciła szacunku dla ostatnich nauczycieli w życiu, jaki żywią dzieciaki, które po maturze nie idą na studia. Kiedy rodzice stanęli w progu, nawet młoda kelnerka nabrała wigoru, a Cleo dawała znaki personelowi w kuchni oznaczające, że na stole ma się pojawić gorąca kawa, sok pomarańczowy i woda z lodem. Ponieważ trenowałem przed sezonem futbolowym, zamówiłem dwa jajka sadzone ze ściętym białkiem, ale płynnym żółtkiem, kaszę kukurydzianą z sosem, robionym z wytopionego z szynki tłuszczu zmieszanego z kawą, i trzy plastry bekonu.

Ojciec uznał, że rzuci się na wiejską szynkę z bułeczkami, a do tego wziął starte ziemniaki smażone z cebulą. Matka, mimo że był to dla niej najbardziej uroczysty dzień w roku, zachowała silną wolę i dyscypliną, które rządziły wszelkimi aspektami jej życia – zamówiła połówkę grejpfruta i owsiankę. Przyznawała się do potrzeb takich jak jedzenie, ale do apetytu – nigdy.

– Wesołego Dnia Blooma, kochanie – powiedział do niej ojciec, cmokając ją w policzek. – To twój dzień i każde twoje życzenie jest dla nas rozkazem. Prawda, Leo?

– Jak najbardziej – przytaknąłem. – Jesteśmy na każde twoje skinienie.

– Bardzo dobrze, Leo – pochwaliła mnie matka. – Mimo że się przeciwko temu buntujesz, twoje słownictwo wykazuje stałą poprawę. Proszę, oto lista pięciu słów do zapamiętania na dzisiaj. – Podała mi wydartą z notesu, złożoną kartkę.

Jak co rano jęknąłem, rozłożyłem kartkę i przeczytałem pięć słów, których nikt nigdy nie używa w normalnej rozmowie: „skrzętny”, „wnikliwy”, „sprośny”, „wiwisekcja” i „bombastyczny”.

– Czy wiesz, co znaczy któreś z tych słów? – zapytała matka.

– Oczywiście, że nie. – Upiłem łyk kawy.

– A zapamiętałeś te pięć, które ci dałam wczoraj?

– Oczywiście.

– Zastosuj dwa z nich w jakimś zdaniu – poleciła.

– Rozmyślania nad dziełami Jamesa Joyce'a przyprawiły mnie o nudności.

Ojciec parsknął śmiechem, ale pohamował się, gdy matka zwróciła na niego blade oczy.

– Słyszałeś, co mówił ojciec. To dla mnie wyjątkowy dzień. Dzień Blooma, obchodzony na całym świecie przez wielbicieli Jamesa Joyce'a.

– Powinniście spotkać się kiedyś we trójkę – odparłem.

– On ma całe rzesze wielbicieli – oświadczyła. – Chociaż w naszej rodzinie jestem w tym osamotniona.

– Leo i ja szykujemy dla ciebie specjalną kolację – odezwał się ojciec. – Wszystko według przepisów z *Ulissesa*. To Leo wpadł na ten pomysł.

– Dziękuję, Leo. Miło, że o tym pomyślałeś.

– Sam nie będę tego jadł. Ja tylko gotuję – zastrzegłem. I chociaż rzuciłem to żartem, matka natychmiast się obraziła. Potrafiła

zmrozić mnie wzrokiem, przy którym środek zimy wydawał się idealną porą na sadzenie roślin. Odkąd nauczyłem się mówić, stale słyszałem, jak mężczyźni i kobiety wynoszą pod niebiosa fizyczną atrakcyjność mojej matki, jej nienaganny wygląd i klasę, z jaką się nosiła. Rozumiałem, co mają na myśli, nigdy jednak nie potrafiłem w pełni utożsamiać się z ich zachwytem nad jej szorstką urodą. Z mojego punktu widzenia łatwo było podziwiać jej piękność, ale kochać ją – trudno.

Od śmierci Steve'a prawie nigdy mnie nie całowała. Owszem, przytulała mnie, i to na okrągło. Ale żeby całować mnie tak jak wtedy, gdy byłem małym dzieckiem – co to, to nie. Moje dzieciństwo nie sprawiało jej radości i kiedy na mnie patrzyła, potrafiłem odczytać dezaprobatę na jej twarzy równie wyraźnie jak tytuły w gazecie. Usilnie staraliśmy się stwarzać pozory szczęśliwej rodziny i o ile mi wiadomo, wychodziło nam to znakomicie. Tylko trzy osoby na świecie wiedziały, jak głęboką, beznadziejną rozpacz czuliśmy, przebywając w swoim towarzystwie.

W tym momencie kelnerka dołała nam kawy.

Ojciec z konsternacją, rozbawieniem i niepokojem przyglądał się tej ozięblej rozgrywce między mną a matką. W naszej obecności był otumaniony jakąś durną miłością, ale jego troska i dobroć w stosunku do mnie działała na matkę jak czerwona płachta na byka i prowadziła do nagłej wojny między nimi.

Śmierć Steve'a o mało nie zabiła rodziców, nie zmieniła jednak z natury życzliwego usposobienia i pełnego uroku optymizmu ojca, który poświęcił mi całą uwagę i próbował mnie kochać jeszcze bardziej, ponieważ nie byłem swoim bratem. W przeciwieństwie do matki, która radziła sobie ze śmiercią Steve'a w jedyny znany sobie sposób, i dlatego obawiałem się, że nigdy już nie pokocha nikogo, kto nie jest nim.

– No cóż – powiedziała matka, przeglądając się w lusterku puderniczki i poprawiając szminkę na ustach. Ten gest stanowił sygnał dla kelnerki, że skończyliśmy śniadanie i że może już sprzątnąć ze

stołu. – Ojciec zna plany na dzisiaj, Leo. Chcę, żebyś upiekł dwa tuziny czekoladowych kruchych ciasteczek dla nowych sąsiadów, którzy wprowadzają się dziś do domu naprzeciwko. To bliźniacy. Są dokładnie w twoim wieku i będą chodzili do tej samej klasy co ty w Peninsuli.

– Zgoda. Coś jeszcze? – zapytałem.

– Dzwoniła do mnie siostra Maria Polycarp z sierocińca. Dostali dwie nowe sieroty z Atlanty. Uciekinierów. To także brat i siostra. Powitasz ich w Charlestonie. A potem przez cały rok nie będziesz odstępował ich na krok. Masz nad nimi czuwać. Ich życie to był istny koszmar.

– Było cudowne. Poczekaj, aż spędzą rok z Polycarp. To dopiero prawdziwy potwór! Myślałem, że wyrzucili ją z klasztoru.

– Mówicie o tej zakonnicy, która uderzyła córkę Wallace'ów w oko linijką? – zainteresował się ojciec.

– To był nieszczęśliwy wypadek – odparła matka.

– Byłem przy tym – zaprotestowałem. – Skaleczyła jej oko. Uszkodziła nerw wzrokowy. Oślepiła ją.

– Straciła prawo do nauczania. O mało nie wydalono jej z zakonu – wyjaśniła matka.

– Kiedy byłem w trzeciej klasie, tak często biła chłopców po twarzy i tyłu z nas leciała potem krew, że nadałem jej przezwisko Czerwony Krzyż.

Ojciec zachichotał, ale nagły błysk w oku matki sprawił, że zamilkł.

– Bardzo zabawne! – warknęła. – Oby ten twój dowcip przełożył się na wyniki testu na studia.

– Leo nie wypada w testach najlepiej, kochanie – przypomniał ojciec.

– Za to jest duszą towarzystwa – odcięła się. – Po południu masz się zgłosić do gabinetu dyrektorki, poznasz nowego trenera futbolu.

– Przecież to ty jesteś moją dyrektorką, mamó. A moim trenerem futbolu jest trener Ogburn.

– Wczoraj zrezygnował z pracy.

– Dlaczego, na miłość boską? – zdziwił się ojciec. – Był tuż przed emeryturą.

– Odmówił dalszego trenowania uczniów, kiedy dowiedział się, że jego asystentem będzie Murzyn – wyjaśniła matka. – Zatrudniłam więc Jeffersona z liceum Brooksa jako głównego trenera i powierzyłam mu stanowisko dyrektora do spraw sportowych. W kwestii integracji nie będziemy w tym roku chowali głowy w piasek.

– Dlaczego chcesz, żebym się spotkał z trenerem Jeffersonem? – zapytałem.

– Dlatego że jesteś jego środkowym z pierwszej linii.

– Zawsze grałem w drugiej linii, za Choppym Sargentem.

– Choppy i trzej inni przeszli za trenerem Ogburnem do nowej szkoły na zachodnim brzegu Ashley. Obowiązuje w niej segregacja rasowa. Trener Jefferson liczy na ciebie, chce, żebyś powstrzymał innych białych chłopców przed pójściem w ich ślady.

Sporządziłem w pamięci listę spraw do załatwienia: czekoladowe kruche ciasteczka, sieroty od Polycarp, trener Jefferson.

– Coś jeszcze, mamó?

– Po marszu pracowników szpitala masz dyżur przy mrożonej herbacie. Kolację zjemy późno. – Matka po raz ostatni sprawdziła w lusterku szminek i wreszcie spojrzała mi w oczy. – Na dwudziestego szóstego czerwca masz termin w sprawie nadzoru kuratorskiego. Nareszcie się od niego uwolniesz.

– Masz czyste konto, synu – dorzucił ojciec z radością. – Znów masz czystą hipotekę.

– Nie u mnie – zauważyła szybko matka. – Nie wiem, jak możesz spać w nocy po tym, na co naraziłeś ojca i mnie.

– Kochanie – powiedział ojciec cicho.

– Leo wie, co mam na myśli. – Matka nie patrzyła na mnie.

– Wiesz, o co jej chodzi, Leo? – zapytał ojciec.

– Wie! – warknęła matka.

– Mówisz o mojej nienawiści do Jamesa Joyce'a? – spytałem.

– Udajesz, że nie znosisz Jamesa Joyce'a, bo to łatwiejsze niż przyznanie się, że nienawidzisz mnie – odparowała matka.

– Leo, powiedz matce, że jej nie nienawidzisz. – Ojciec swobodnie poruszał się w gąszczu formułek prawniczych, ale w obliczu walki z falami przypływu uczuć zupełnie się gubił. – Nie, powiedz matce, że ją kochasz. To rozkaz.

– Kocham cię, mamó – powiedziałem, ale nawet w moich uszach zabrzmiało to nieszczerze.

– Zamelduj się w moim gabinecie o czwartej po południu, Leo – poleciła matka. – Teraz czekają cię inne zadania.

Rodzice jednocześnie wstali od stołu. Patrzyłem, jak ojciec płaci Cleo za posiłek. Następnie dziewczyna podeszła i usiadła przy stoliku naprzeciwko mnie.

– Posłuchaj jedynej mądrości życiowej, jaką ci mogę przekazać, Leo. Bycie dzieciakiem jest do dupy. Ale dziesięć razy gorzej jest być dorosłym. A mówi ci to Cleo, Greczynka pochodząca z narodu, który wydał Platona, Sokratesa i resztę tych palantów.

ROZDZIAŁ 2

Nowi przyjaciele

Po wyjściu z restauracji naciśnąłem dzwonek w kolorze kości słoniowej przy drzwiach sierocińca Świętego Judy, w labiryncie uliczek na tyłach katedry. Jego dźwięk był irytujący, nieludzki, podobny do brzęczenia owadów. Sierociniec kojarzył mi się ze wszystkim co katolickie, od probostwa po klasztor żeński.

Drzwi otworzył olbrzymi Murzyn, Clayton Lafayette. Uśmiechnął się na mój widok. Pan Lafayette pełnił w sierocińcu funkcję człowieka do wszystkiego. Do jego obowiązków należało między innymi codziennie odprowadzanie dzieciaków w wieku licealnym do ogólniaka Peninsula, co wykonywał z upodobaniem i wojskową precyzją. Był pogodny i życzliwy, chociaż prymitywny z postury.

– Leo Lew – powitał mnie.

– Hrabia Lafayette. – Podaliśmy sobie ręce. – Jestem umówiony z siostrą Marią Polycarp.

– Sieroty przezywają ją już Karpicą – poinformował mnie szeptem. – Mówiła mi, że mama cię tu wysłała.

– Nie rozpowiadaj wszem i wobec o tej Karpicy, hrabio – poradziłem, również szeptem. – Z niej jest kawał zołzy.

Przeszedłem długą drogą korytarzem budynku zaprojektowanego

przez kogoś, kto z całego serca nie znosił sierot. Dom był tak ponury, że zakrawało to na parodię, a kobieta siedząca za stalowym biurkiem z dostaw rządowych idealnie komponowała się z upiornie przygnębiającą architekturą.

W gronie katolików z mojego pokolenia uprawiamy pewną grę towarzyską, wprawdzie niegodziwą i stronnictwą, za to nieodmiennie wywołującą salwy śmiechu i zmuszającą młodzież do przywoływania zbiorowych wspomnień: opowiadamy sobie historie o zakonnicach. Robimy to bez wstydu, bo każda religia, która afiszuje się gipsowymi popiersiami pomordowanych świętych w swoich świątyniach i krucyfikami z wizerunkami sprawiającymi wrażenie, jakby stawały do konkursu na najbardziej barbarzyńską rzeź Jezusa, Boga na ziemi, z całą pewnością jest w stanie zrodzić komunikantów obmyślających wyrafinowane tortury dla sióstr miłosierdzia, które biciem kształtują ich dusze w ramach przygotowania do życia wiecznego. Niektóre zakonnice z czasów naszej młodości w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych należały do najpiękniejszych kobiet, jakie zdarzyło nam się poznać. Ale najbardziej niezatarte piętno wypaliła nikczemna zakonnica o bezgranicznie bezlitosnej wyobraźni. Swego czasu uczyła mnie siostra zakonna, która kiedy pod szkołą przejeżdżał wóz straży pożarnej, kazała nam wstawać i recytować Modlitwę Pańską w intencji tego, żeby płonący dom nie należał przypadkiem do katolików. Inna, jeśli rozrabialiśmy w szkole, przypinała nam do uszu klamerki do wieszania bielizny i fioletowe sińce od razu zdradzały rodzicom, że poczeiwa siostra była z nas niezadowolona. Zawsze słyszeliśmy, kiedy nadchodzi zakonnica, po złowieszczym grzechotaniu różańców, które przypominało dźwięki wydawane przez grzechotnika diamentowego.

W drugiej klasie ukradkiem przekazałem karteczkę od jednego chłopca dla drugiego – byli najlepszymi przyjaciółmi – i w rezultacie wszyscy trzej zostaliśmy wezwani na środek, żeby ponieść karę na oczach całej klasy. Siostra Weronika nigdy nie uderzyła żadnego z

uczniów, za to stosowała metody szatańskie i pomysłowe. Kazała nam stanąć przed tablicą i wyciągnąć ręce na boki niczym ukrzyżowany Chrystus. Przez pierwsze dziesięć minut kara wydawała się łagodna. Ale po godzinie Joe McBride wybuchnął płaczem – jego tricepsy dygotały z koszmarnego bólu – na co zakonnica zbeształa go pogardliwie:

- Jezus musiał trzymać tak ręce na krzyżu przez trzy godziny.
- Ależ, sestro! – wystękał Joe przez łzy. – Jezusowi było łatwiej. Miał gwoździe.

Na co wszyscy uczniowie, nie mogąc się powstrzymać, gruchnęli zakazanym śmiechem.

Tego dnia rano w sierocińcu dawny strach przed zakonnicami ścisnął mi gardło, gdy wyjąkałem:

- Dzień dobry, sestro Mario.
- Witaj, Leo. Byłam twoją nauczycielką, prawda? W pierwszej czy w drugiej klasie?
- W trzeciej.
- Jeśli dobrze pamiętam, byłeś okropnie ślamazarny.
- Tak, sestro, to ja.
- Ale bardzo uprzejmy. Zawsze można się zorientować, które dzieci pochodzą z porządnych rodzin. Czytałam w gazetach o tym, jak wyrzucono cię z liceum imienia Biskupa Irlandia.
- Tak było, sestro, popełniłem ciężki błąd.
- Nie wysłali cię do więzienia albo co?
- Nie. Dostałem nadzór kuratorski – wyjaśniłem, skrępowany tym tematem, całą sytuacją, a zwłaszcza tą zakonnica.
- Nigdy nie uważałam, żebyś był szczególnie mądry, ale też nie przypuszczałam, że zostaniesz skazańcem – oświadczyła.
- Trafiłem pod nadzór kuratorski, sestro, nie do więzienia.
- Dla mnie to żadna różnica. – Wbiła wzrok w dwie teczki z aktami leżące na biurku. – Czy matka wyjaśniła ci, na czym polega nasz wielki problem?

– Nie, siostró. Kazała mi spotkać się z dwójką dzieciaków, które trafią do starszej klasy, i pomóc im odnaleźć się w nowym liceum.

– A mówiła ci, że to para złodziei i przestępców, którzy uciekli z domu? Jakby tego było mało, dziś po południu diecezja przysłała pięć kolejnych sierot, kolorowych.

– Nie, siostró. Nie opowiadała mi o tym.

– Uznałam, że możesz im się przydać, skoro sam też siedziałeś w więzieniu i zmieniłeś się na lepsze. Sprowadź ich, że tak się wyrażę, na dobrą drogę. Ale ostrzegam, to spryciarze i urodzeni kłamcy. Pochodzą z gór w Karolinie Północnej, z wysokich gór, a nie ma gorszej białej hołoty niż górale. To fakt socjologiczny. Czy wiesz, Leo, że zrobiłam magisterium z socjologii?

– Nie, siostró.

– Czekają na ciebie w bibliotece. Pan Lafayette będzie miał na was oko z oddali... na wszelki wypadek, żeby nie było żadnych problemów – zaznaczyła.

– Dlaczego miałyby być problemy? Wyjaśnię im tylko, czego się mogą spodziewać ze strony szkoły.

– Uciekali tak często, że w świecie sierocińców nazywają ich swobodnymi jeźdźcami – poinformowała mnie. – Zaliczyli sierocińce od Nowego Orleanu po Richmond, od Birmingham po Orlando. Swobodni jeźdźcy to dzieci, które szukają czegoś, czego i tak nie znajdują, bo to coś po prostu nie istnieje. Te tutaj nazywają się Starla i Niles Whiteheadowie. Są bardzo inteligentni, oboje. On specjalnie powtarzał klasę, bo chciał być razem z siostrą.

Przeszedłem do biblioteki mieszczącej się po drugiej stronie sierocińca, gdzie mój ojciec, przebrany za niedożywionego Świętego Mikołaja, co roku na Boże Narodzenie rozdawał sierotom prezenty. Była to jedna z tych żalonych bibliotek pełnych książek, których nikt nigdy nie wypożyczał. Między porzuconymi dziećmi a książkami, do których nikt nie zagląda, istnieje przedziwne pokrewieństwo, byłem jednak zbyt młody, żeby pokusić się o takie analogie, gdy

wchodziłem do olbrzymiego pomieszczenia na spotkanie ze Starłą i Nilesem Whiteheadami. Siedzieli na końcu sali i wyglądali równie przyjaźnie jak skorpiony w butelce. Ich wrogie spojrzenia działały mi na nerwy. Ze zdziwieniem przekonałem się, że są niezwykle atrakcyjni – oboje mieli wydatne kości policzkowe i pięknie wyrzeźbione rysy twarzy, zdradzające, że w ich żyłach płynie krew Irokezów. Kiedy usiadłem przed nimi na krześle, zlustrowali mnie badawczym wzrokiem. Oczy dziewczyny były ciemnobrązowe, w odcieniu przywodzącym na myśl płynną czekoladę.

Skrępowany rozejrzałem się po pomieszczeniu i zerknąłem przez okno na zapuszczony teren i zaniedbany ogród. Odchrząknąłem i zdałem sobie sprawę, że matka nie wyjaśniła mi, po co właściwie mam się spotkać z tą parą wrogo nastawionych obcych.

– Cześć – rzuciłem w końcu. – Gdy się jest sierotą, nie ma to jak wylądować w takim byczym miejscu jak to.

Oboje bez słowa przeszywali mnie wzrokiem, jakbym w ogóle się nie odezwał.

– Tylko żartowałem. No wiecie, żeby przełamać lody.

I znów napotkałem tylko wrogie puste spojrzenia. Zacząłem więc od nowa:

– Witajcie, Starlo i Nilesie Whitehead. Nazywam się Leo King. Moja matka jest dyrektorką waszej nowej szkoły. Prosiła, żebym się z wami spotkał i zobaczył, czy mogę wam w czymś pomóc. Wiem, że w nowej szkole nie jest łatwo.

– Moim zdaniem nie ma nic gorszego niż maminsynek i lizus w jednej osobie – przemówiła dziewczyna. – A ty jak sądzisz, braciszku?

– Wszyscy oni są siebie warci.

Oboje mówili znudzonym apatycznym tonem, jakby mnie tam w ogóle nie było i jakbym ich nie słyszał.

– Ale ten dowcip o sierotach jest taki, że boki zrywać ze śmiechu – dodała.

– Po prostu chciałem być miły – wyjaśniłem.

Brat i siostra spojrzeli na siebie z drwiącymi uśmiezkami.

– Dlaczego uciekliście z ostatniego sierocińca? – zapytałem.

– Żeby móc poznać takich fajnych gości jak ty – odparł Niles.

– Aluzja dotarła, Leo? Tak masz na imię, prawda? Nie chcemy twojej pomocy. Sami dajemy sobie radę – powiedziała Starla. Gdy odgarnęła z oczu kosmyk czarnych włosów, zauważyłem, że lekko zezuje na lewe oko. Widząc, że to dostrzegłem, potrząsnęła głową i ściana prostych włosów znów przesłoniła błakające się oko.

– Ale ja naprawdę mogę wam pomóc. Słowo.

Niles zmierzył mnie twardym męskim spojrzeniem, a ja po raz pierwszy dobrze mu się przyjrzałem. Mimo że siedział, jego postura budziła podziw – na oko miał blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Długie ręce były muskularne i żyłaste. Jasnoniebieskie oczy wyglądały jak ukradzione z twarzy Skandynawa. Dziewczyna, nawet pomimo zęza, była ładniutka, ale surowa twarz Nilesa Whiteheada była po prostu piękna.

– Jeśli interesuje was, którzy nauczyciele są naprawdę dobrzy, mogę wam doradzić – powiedziałem. – A jeżeli chcecie się dostać do tych niewymagających, to też ich znam.

– Chcemy tylko wiedzieć, kiedy wreszcie zostawisz nas samych – odparł chłopak.

– Niles, stary byku, teraz rozumiem, dlaczego rodzice porzucili was na schodkach sierocińca – odciąłem się.

Rzucił się na mnie nad stołem, lewą ręką sięgając mi do gardła. Dopiero wtedy zobaczyłem, że ich prawe ręce są przykute do krzesła.

– Hrabio! Hrabio Lafayette! – zawołałem, na co wielki facet wpadł pędem do biblioteki. – Proszę zdjąć im kajdanki – poleciłem.

Zesztywniał.

– Uwierz mi, tych dwoje zasłużyło sobie na kajdanki. A nawet na dużo gorsze rzeczy – przekonywał.

– Idź i poproś siostrę Polycarp, żeby ich rozkuła, albo zadzwonię do matki – zagroziłem. – Przypomnij siostrze, że matka przydzieliła mi te dzieciaki w ramach trzystu godzin prac społecznych, które muszą przepracować. Nie spodoba jej się, że zostali przykuci do krzeseł. – Wystarczyło wspomnieć moją matkę, by serca większości mieszkańców Charlestonu ścisnęło przerażenie. – Kajdankami skuwa się przestępców – ciągnąłem. – A oni będą chodzić ze mną do klasy. Poza tym obiecali mi, że nie uciekną, jeśli ich uwolnisz.

– Naprawdę? – Pan Lafayette obrzucił chłopaka i dziewczynę podejrzliwym wzrokiem. Wyraźnie ich nie lubił.

– Właśnie się umówiliśmy i dali mi słowo honoru. Powiedźcie mu – zwróciłem się do rodzeństwa.

– Chłopcze – rzekł pan Lafayette do Nilesa. – Obiecaliście mu to?

– Się wie – burknął Niles.

– Zaczekajcie, pójdę zapytać siostrę Polycarp – mruknął, ruszając do drzwi.

Odwróciłem się i pochyliłem nad stołem.

– Słuchajcie, cudaki, jeśli dacie mi sobie pomoc, to wam pomogę – rzuciłem szybko. – A jak nie chcecie mojej pomocy, powiedźcie słowo, a już mnie tu nie ma.

Brat odwrócił się do siostry, a ja patrzyłem, jak bez słowa, w niesamowitym skupieniu, wymieniają się informacjami.

– Niles, musimy przetrwać jeszcze ten jeden rok, a potem raz na zawsze będziemy mieli sierocińce z głowy – powiedziała Starla.

Ciemne włosy odsłoniły jej twarz. Pod wpływem jej spojrzenia wściekłość brata osłabła.

– Powiedz, co mamy robić, Leo – rzekł Niles.

– Dajcie mi słowo, że nie uciekniecie. Natychmiast. Szybko, ja nie żartuję.

– Słowo – obiecali jednocześnie.

– Polycarp to podła baba – szepnąłem. – Sadystka i psychopatka.

Nauście się odpowiadać: „Tak, siostró; nie, siostró”. A do hrabiego mówcie: „Tak jest, proszę pana; nie, proszę pana”. On ma złote serce. Przeciągnijcie go na swoją stronę. Skończcie z robieniem takich min, jakbyście wciąż zadzierali nosa. I chociaż raz do roku spróbujcie się uśmiechnąć. Można się tu całkiem nieźle urządzić.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytała Starla.

– Po śmierci brata nie bardzo sobie radziłem i w rezultacie na dwa lata wylądowałem w psychiatriku. Musiałem nieźle kombinować, żeby się stamtąd wydostać.

– Znaczy się, wcale nie jesteś lepszy od nas, barani łbie – stwierdził Niles.

– Ale przynajmniej nie siedzę przykuty do krzesła, buraku – odszczeknąłem się. – Dlaczego nosicie te szpetne kombinezony?

– Na plecach mają wymalowane słowo „sieroty” – wyjaśnił Niles. – Siostra kazała je uszyć specjalnie dla nas. Bo wciąż uciekamy.

– Dlaczego to robicie?

– Mamy mamę. I babcię. One nas szukają – wyjaśniła Starla.

– A niby skąd to wiecie?

– Bo jakbyśmy uznali, że nas nie szukają, już dawno byśmy się zabili – odparł Niles.

Słyszając, że za moimi plecami otwierają się drzwi, odwróciłem się i zobaczyłem pana Lafayette'a, który zmierzał do nas z pękiem kluczy w ręku. Obszedł stół i najpierw zdjął kajdanki Starli, a potem Nilesowi. Zaczęli masować obolałe nadgarstki.

Pan Lafayette miał wprawdzie pogodne usposobienie, ale kiedy zwrócił się do mnie, był wyraźnie strapiony i znękaný.

– Leo, jeśli te dzieciaki uciekną, wylecę stąd. A nie mogę sobie pozwolić na utratę pracy.

– Pan Lafayette ma czwórkę dzieci – wyjaśniłem rodzeństwu. – Czy pańska żona wciąż chodzi na dializy?

– Tak. Niedobrze z nią.

- Nigdzie nie uciekniemy, panie Lafayette – zapewniła Starla.
- Mów za siebie – burknął jej brat.
- Przymknij się, Niles. Mówię także w imieniu brata. Nie straci pan przez nas pracy, panie Lafayette.
- Będę was pilnował – zapowiedział pan Lafayette, oglądając się na wejście do biblioteki. – Mogę wam pomóc na milion sposobów. – Co rzekłszy, wyszedł na korytarz.

Wstałem i też chciałem się zbierać, lecz zaskoczyły mnie słowa Starli Whitehead.

- Te, okularnik! Mówił ci kto, jak szpetne są te patrzalki? Twoje gały wyglądają w nich jak dziury po szpuntach wybitych z beczki.

Oblałem się ciemnym rumieńcem, a wkrótce miałem się pokryć plamami i wyglądać jeszcze bardziej komicznie. Odziedziczyłem po ojcu nieśmiałość, bladą jak kreda cerę i skłonność do czerwienienia się od szyi po czubki włosów, gdy ktoś mnie czymś zaskoczył. Już jako małe dziecko na własnej skórze przekonałem się, co znaczy być nieatrakcyjnym, ale nigdy nie przywykłem do tego, żeby moi rówieśnicy wytykali mi to albo się ze mnie nabijali. Teraz jednak zaskoczyłem sam siebie, wybuchając płaczem – trudno o bardziej infantylną i nieuzasadnioną reakcję, a nie tak chciałem się zaprezentować nieznanym, którzy wkroczyli w moje życie. Miałem ochotę dać nogę i ukryć się przed samym sobą.

I wtedy Starla zaskoczyła mnie jeszcze raz: też się rozplakała, załżała się łzami, gdy zdała sobie sprawę, jaką krzywdę mi wyrządziła. Myślę, że dopiero teraz po raz pierwszy zobaczyła mnie naprawdę.

- Przepraszam cię, Leo. Tak mi przykro. Ja stale to robię. Nic na to nie mogę poradzić. Robię tak za każdym razem, kiedy ktoś jest dla mnie miły. Mówię mu coś bolesnego, coś, czego nikt nie wybaczy. Coś złego, paskudnego. Nie ufam tym, którzy są dla mnie mili. Dlatego mówię im coś takiego, żeby mnie znienawidzili. Powiedz mu, Niles. Ja stale tak robię, prawda?

– Ona ciągle wygaduje takie rzeczy, Leo – potwierdził jej brat. – Ale sama w to nie wierzy.

– Popatrz – powiedziała, odgarniając z oczu długie włosy. – Spójrz tylko na moje lewe oko. Co za zezowata suka. Patrz! Patrz, jaka ze mnie szpetna zezowata suka. To dlatego, że byłeś miły... ale gdybyś nie był dla mnie miły, i tak bym to powiedziała. Taka już jestem – dodała bezradnie, wzruszając ramionami, jakby nie potrafiła tego wyjaśnić jak należy.

Zdjąłem okulary, przetarłem je chusteczką, a potem osuszyłem nią oczy, próbując wziąć się w garść. Włożyłem okulary i zwróciłem się do Starli:

– Znam chirurga od oczu. Najlepszego w mieście. Poproszę go, żeby przyjrzał się twojemu oku. Może będzie mógł coś zaradzić.

– A niby dlaczego miałby się zająć jej okiem? – zaperzył się Niles, stając w obronie siostry. – Ona ni ma grosza przy duszy.

– Nie ma – sprostowała jego siostra. – Nie rób wsi.

– Ona nie ma grosza przy duszy.

– Ten lekarz to wspaniały człowiek – zapewniłem ich.

– A skąd ty go znasz, ważniaku? – chciał wiedzieć Niles.

– Stąd, że rozwożę gazety i znam każdego w moim rejonie. – Zerknąłem na zegarek i pamiętając o liście spraw do załatwienia od matki, wstałem i rzuciłem na pożegnanie: – Muszę się zbierać, ale poproszę ojca, żeby zaprosił was na kolację, zgoda? Zadzwoń i powiem wam kiedy.

Oboje wydawali się szczerze zaskoczeni czymś tak zwyczajnym jak zaproszenie na kolację. Gdy odwracałem się do wyjścia, Niles zerknął niespokojnie na siostrę, która rzuciła:

– Aha, Leo, przepraszam cię za to, co powiedziałam. Naprawdę.

– Ja dzisiaj powiedziałem coś paskudnego matce – wyznałem. – Dlatego mi się należało. W ten sposób Bóg mi się odpłacił.

– Leo? – powiedział Niles.

– Tak?

– Dzięki za to. – Uniósł ręce, pokazując nadgarstki. – Kiedy się spotkaliśmy, byliśmy w kajdankach. Teraz odchodzisz, a my mamy wolne ręce. Ja i siostra nie zapomnimy ci tego.

– Zachowamy to w pamięci do końca życia – potwierdziła.

– Dlaczego? – spytałem.

– Bo dla nas nikt nigdy nie jest miły – wyjaśnił Niles.

*

Bez pośpiechu wracając rowerem do domu, gratulowałem sobie, że okiełznałem siostrę Polycarp i niesforne sieroty w sposób godny dyplomaty. O godzinę wyprzedziłem narzucony sobie harmonogram i zastanawiałem się, jakie ciasteczka upiec dla nowych sąsiadów, którzy wprowadzili się do domu naprzeciwko. Matka zamówiła czekoladowe, ja jednak myślałem o takich, które bardziej oddawałyby dziedzictwo i smak Charlestonu. Wstawiając rower marki Schwinn do garażu, ze zdziwieniem zauważyłem na podjeździe starego buicka matki. Ojciec własnoręcznie zbudował nasz dom w roku 1950. Nic w jego dziele nie zdradzało najmniejszych zalet architektonicznych: był to zwyczajny jednopiętrowy klocek z pięcioma sypialniami, przez wielu mieszkańców miasta uważany za najbrzydszy budynek w tej historycznej dzielnicy.

– Hej, mamó! – zawołałem z kuchni w głąb domu. – Co ty tu robisz?

Zastałem ją w uporządkowanym domowym gabinecie – pisała list swoim pięknym charakterem pisma. Misterne zdania łączyły się jak kółka solidnej bransoletki. Jak zawsze, najpierw skończyła akapit, a dopiero potem podniosła głowę i spojrzała na mnie.

– Zazwyczaj Dzień Blooma wiąże się z ospałym nieróbstwem, ale tym razem sprawy nabierają tempa. Właśnie dzwoniła do mnie siostra Polycarp, chwaliła cię, że dobrze sobie poradziłeś z sierotami. A zatem wypełniłeś wytyczną numer jeden. Dyrektorka twojej

szkoły ma jednak dla ciebie kolejne zadania.

– Zleciłaś mi już dwie kolejne rzeczy: mam upiec ciastka dla nowych sąsiadów, a potem spotkać się o szesnastej w sali gimnastycznej z nowym trenerem futbolu.

– W związku z pewnymi wydarzeniami muszę coś dodać. Lunchjemy dziś w jachtklubie. Ubierz się stosownie. W południe.

– W południe – powtórzyłem.

– Tak. Spotykamy się z dwoma uczniami ze starszej klasy, których dziś rano wyrzucono z Porter-Gaud. A także z ich rodzicami, ma się rozumieć. Chcę, żebyś zajął się nimi w szkole przez pierwsze dwa tygodnie. Są rozgoryczeni, że w ostatniej klasie musieli zmienić liceum. Ale nie zawieraj bliższej znajomości z żadnym z tych nowych uczniów, pod żadnym pozorem. Ani z sierotami, ani z dziećmi z naprzeciwnika, ani z tymi z Porter-Gaud. Także nie z synem trenera, z którym się spotkasz po południu. Oni zapowiadają kłopoty, każde na swój sposób, a ty masz dostatecznie dużo własnych problemów. Pomóż im, ale się nie zaprzyjaźniaj, Leopoldzie Bloomie Kingu.

Zatkałem uszy i jęknąłem.

– Błagam, nie nazywaj mnie tak. Leo i tak już jest wystarczająco paskudne. Ale gdyby ludzie się dowiedzieli, że nadałaś mi imię postaci z *Ulisses*a, umarłbym ze wstydu.

– Przyznaję, kiedy kazałam ci przeczytać *Ulisses*a, byłeś jeszcze zbyt młody. Ale zabraniam ci w ten szczególny dzień uwłaczać największemu powieściopisarzowi, jakiego wydał świat, i najwspanialszej powieści, jaką napisano. Czy wyrażam się jasno?

– Żaden nastolatek w Ameryce nie miałby zielonego pojęcia, o czym my tu mówimy – odparłem. – Dlaczego nadałaś mi imię irlandzkiego Żyda, który mieszkał w Dublinie i który w dodatku nie był nawet prawdziwą postacią?

– Leopold Bloom jest żywy w dużo większym stopniu niż każdy znany mi mężczyzna. Oczywiście z wyjątkiem twojego ojca.

– Wobec tego mogłaś mi nadać imię taty! Bardzo by mi się to podobało.

– Nie zrobiłam tego, ponieważ twój ojciec wiedział, że ożenił się z wielką romantyczką, a mężczyźni, których kochamy, zostawiają wielkim romantyczkom dużo swobody. Oni rozumieją nasze wielkie serca. Na przykład twój ojciec wzdrygał się na myśl, że nazwalibyśmy twojego brata Steve'a...

Matka urwała i na dźwięk imienia syna, które od czasu jego śmierci w tych ścianach wypowiedano rzadko, jej oczy zaszyły łzami. Wspomnienia odebrały jej mowę w chwili, gdy już miała wyznać, że ojciec wzdrygał się przed nazwaniem ich pierworodnego Stephen Dedalus King, uciekła się jednak do swojej elokwencji i użyła całej siły perswazji; gdyby pod wpływem natchnienia zechciała dać Steve'owi na imię „Hitler”, a mnie „Stalin”, bez trudu przekonałaby do tego mojego życzliwego i małomównego ojca. W jej rękach był niczym glina lub alabaster, z których urobiła go na idealnego męża na długo przed tym, nim pojawiłem się na scenie.

Szukałem stosownych słów, żeby przeprosić ją za swój wybuch, ale słowa wlatywały mi do głowy jak oszalałe ćmy, bezładną, niedającą się rozszyfrować chmurą. Z utęsknieniem wyczekiwałem dnia, gdy wreszcie będę potrafił wyrazić wszystko, co chcę powiedzieć, od razu, gdy przyjdzie mi to na myśl. Na razie jednak ten dzień jeszcze nie nadszedł.

W naszym domu wszystko obracało się wokół kolosalnej dumy, jaką napawało matkę uznanie jej za wybitną badaczkę Joyce'a, która uzyskała doktorat na Uniwersytecie Katolickim za niestrawną (wiem, bo próbowałem przeczytać) rozprawę zatytułowaną *Mitologia katolicka i totemizm w Ulisiesie Jamesa Joyce'a*, wydaną nakładem Purdue University Press w roku 1954. W każdym semestrze na wyższej uczelni w Charlestonie prowadziła seminarium z Joyce'a dla słuchaczy studiów magisterskich, wysoko cenione i oblegane przez studentów, białych i wątych jak czapla biała. Trzykrotnie dostarczyła dokumenty na temat Joyce'a zachwyconym uniwersyteckim

badaczom jego twórczości, którzy podziwiali jej oddanie i zapał w poszukiwaniu dziury w całym w nawet najrzęczniejszych ukrytych drobiazgach związanych z niepokojącym katolickim dzieciństwem pisarza. To moja matka porównała miesięczki Molly Bloom do skąpanych w krwi stacji Drogi Krzyżowej i ich związku z boskością Jezusa, co zapewniło jej trwałe uznanie wśród ogłupiałych akolitów. Ojciec i ja wielokrotnie przyrządzaliśmy wyszukane potrawy dla największych badaczy twórczości Joyce'a, którzy przybywali do Charlestonu, by siedząc u stóp mojej matki, ćwiczyć przerzucanie się namaszczoneymi bredniami. W głębi duszy uważam, że ojciec nauczył mnie gotować tylko po to, żebyśmy obaj mogli się schronić podczas tych upiornych wieczorów, kiedy w naszych progach stawał świat akademicki, by rozprawiać o Joysie, o nicości, a potem znów o Joysie.

Matka zebrała papiery do teczki, a następnie sprawdziła moją listę zadań.

– Masz wypełniony cały dzień, młody człowieku. Nie będziesz miał wolnej chwili, żeby wpaść w tarapaty.

– Bankierzy nie muszą się mnie obawiać. Przynajmniej dzisiaj – zapewnilem.

– Podkradłeś tę odzywkę ojcu. Wszystkie żarty zapożyczyłeś od ojca. Postaraj się być oryginalny. Co ugotowaliście na ucztę z okazji Dnia Blooma?

– To ściśle tajne.

– Daj mi jakąś odpowiedź.

– Kurze łapki po florencku.

– Jeszcze jeden dowcip z brodą twojego ojca. Silisz się tylko na żarty, które zasłyszałeś od niego. Ja nigdy w życiu nie powiedziałam nic śmiesznego. Uważam, że to strata czasu. No, komu w drogę, temu czas, kochanie.

– Komu w drogę, temu czas.

Poszedłem do kuchni, żeby upiec ciasteczka. W odróżnieniu od wszystkich innych znanych mi rodzin u nas kuchnia była wyłącznym królestwem ojca. Jasper King gotował wszystkie posiłki, jakie

kiedykolwiek jadła moja rodzina, a swoich synów, odkąd tylko sięgam pamięcią, nauczył nakrywać do stołu i wyszkolił na podkuchennych. Matkę widywałem w kuchni tylko wtedy, gdy przechodziła na skróty do garażu.

Mógłbym przysiąc przed sądem, że ani razu nie zapaliła gazu, nie rozmroziła lodówki, nie dosypała pieprzu do młynka, nie wyrzuciła skwaśniałego mleka, a nawet nie orientowała się, gdzie jest szafka z przyprawami, w której trzymaliśmy także oleje. To ojciec prał i prasował ubrania, utrzymywał w nieskazitelnej czystości zlewy i toalety i prowadził dom z wprawą, której nie mogłem się nadziwić. Z biegiem lat nauczył mnie wszystkiego, co wiedział na temat gotowania, pieczenia na ruszcie i przyrządzania ciast, tak że nawet następczyni tronu z Europy byłyby zachwycona, zasiadając przy naszym stole.

Otworzyłem egzemplarz *Przepisów z Charlestonu*, którą to książkę ojciec kupił w dniu, kiedy przyszedłem na świat w szpitalu Świętego Franciszka, i zajrzałem na stronę z cienkimi jak opłatek ciasteczkami sezamowymi – przepisem pani Gustawowej P. Maxwell, *de domo* Lizetty Simons. Wraz z ojcem ugotowaliśmy prawie wszystkie potrawy z *Przepisów z Charlestonu*, niezrównanej książki kucharskiej opracowanej przez Junior League i wydanej w roku 1950, co spotkało się z powszechną aprobatą. Korzystając z niej, za każdym razem stawialiśmy gwiazdki przy danym przepisie; przy ciasteczkach sezamowych zebrała się ich cała plejada. Zacząłem smażyć ziarna sezamu na grubej patelni. Utałem dwie filiżanki brązowego cukru z kostką niesolonego masła. Dodałem filiżankę mąki przesianej przez sito wraz z proszkiem do pieczenia, szczyptę soli oraz ubite jajko – ojciec kupował jajka na farmie pod Summerville. Kiedy sprawdzałem, czy sezam dostatecznie zbrązowiał, zadzwonił telefon. Zakląłem, ale tylko w duchu, ponieważ rodzice byli przeczułeni na punkcie przekleństw – chcieli wychować syna, któremu słowa „bez jaj!” nie przeszłyby przez gardło. Syna bez jaj, pomyślałem, odbierając telefon.

– Halo, tu rezydencja Kingów. Leo przy aparacie. – Nie ma to jak wprawa, kurtuazją południowca sypię jak z rękawa.

– Poproszę z siostrą Marią Norbertą – odezwał się nieznany mi damski głos.

– Z Marią Norbertą? Przykro mi, nikt taki tu nie mieszka.

– Wybacz, młody człowieku, ale chyba się mylisz. Przed wielu laty siostra Maria Norberta i ja odbywałyśmy nowicjat w klasztorze Najświętszego Serca Pana Jezusa.

– Moja matka jest dyrektorką liceum. Tego samego, do którego uczęszczam. Zapewniam panią, że to pomyłka.

– Ty jesteś Leo, jej młodszy syn?

– Tak, proszę pani, jestem jej synem, Leo.

– Gdyby nie te okulary, byłbyś bardzo atrakcyjnym młodym człowiekiem – oświadczyła kobieta. – Proponuję, żebyś zdejmował szkła, kiedy ojciec robi ci zdjęcie.

– On mnie fotografuje przez całe życie. Nie wiem, jak wygląda jego twarz, za to doskonale wiem, jak wygląda jego aparat fotograficzny.

– Twoja matka przechwala się, jaki jesteś dowcipny – rzekł głos.

– Masz to po ojcu.

– Skąd pani wie?

– Och, nie przedstawiłam się, prawda? Jestem siostra Maria Scholastyka. Dzwonię do twojej matki z życzeniami wesołego Dnia Blooma. Założę się, że coś ci to mówi, prawda?

– Pierwsze słyszę... siostrzo Scholastyko.

– Nigdy nie opowiadała ci o swoim pobycie w klasztorze?

– Nie pisała na ten temat ani słówka.

– A to ci dopiero! Mam nadzieję, że nie zdradziłam tajemnicy – zatroskała się zakonnica.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Czy twierdzi pani, że mój brat i ja jesteśmy dziećmi nieślubnymi?

– Boże przenajświętszy, alez skąd! Chyba muszę iść po ścierkę, tak się wychlapałam. Hm... a czy wychowała cię na feministę? Bo przechwalała się, że tak robi.

Rzeczywiście, moja matka zapowiadała to wszem i wobec, odkąd tylko się urodziłem.

– Wielkie nieba – wyszeptalem. – Pani naprawdę ją zna. Siostra Norberta, tak?

– W życiu nie widziałam piękniejszej zakonnicy. Prawdę mówiąc, żadna z nas nie widziała równie ślicznej. W habicie wyglądała jak anioł. Czy zastanę ją później?

– Dam pani jej numer do szkoły.

Tak też zrobiłem, czując, że nie panuję nad rozsadzającą mnie wściekłością. Mimo to dokończyłem zadanie: dodałem wanilię i nasiona sezamu, wylałem odmierzone łyżeczką do kawy porcję na wyłożoną aluminiową folią blachę i włożyłem ją do piekarnika nastawionego na niską temperaturę. A potem wybrałem numer matki.

Kiedy podniosła słuchawkę, powiedziałem:

– Owszem, przyznaję, kiedyś nazywałem cię matką. Ale od tej pory będziesz dla mnie siostrą Marią Norbertą.

– Czy to kolejny z twoich żarcików?

– Ależ to ty mi powiedz, mamusiu kochana, czy to jest żart, czy nie. Padam na kolana i modlę się do świętego Judy, patrona od spraw beznadziejnych, żeby to był żart.

– Kto ci o tym doniósł? – zapytała matka stanowczo.

– Ktoś o imieniu jeszcze durniejszym niż Norberta. Niejaka Scholastyka.

– Ona wie, że nie wolno jej dzwonić do mnie do domu.

– Przecież jest Dzień Blooma, matko – odparłem z więcej niż szczyptą sarkazmu w głosie. – Chciała się radować razem z tobą.

– Czy była pijana?

– Nie mam zielonego pojęcia. Rozmawialiśmy przez telefon.

– Zmień ton, mój panie, i to już! – poleciła.

- Tak, siostró. Przykro mi, siostró. Proszę o wybaczenie, siostró.
- Wcale nie robiłam z tego tajemnicy. Spójrz na fotografię stojącą na mojej komódce, tę z twoim ojcem i jego rodzicami, a sam zobaczysz.
- Dlaczego po prostu mi nie powiedziałaś? – spytał. – I skończ rozmawiać, jak to wychowujesz mnie na feministę.
- Ty, Leo, zawsze byłeś trochę dziwny. Steve wiedział wszystko o moim życiu w klasztorze. Ale ty byłeś tak inny niż on i tak trudny, że nie wiedziałam, jak byś to przyjął.
- Trochę potrwa, zanim się z tym oswoję. Nie co dzień chłopak się dowiaduje, że jego matka jest zawodową dziewczicą.
- Powołanie dawało mi wielką satysfakcję – poinformowała mnie stanowczo, po czym zmieniła temat. Takie uniki były nie w jej stylu. – Czy zaniósłes już ciasteczka naszym nowym sąsiadom?
- Właśnie je piekę. A potem muszą wystygnać.
- Tylko się nie spóźnij. Lunch w jachtklubie, a o szesnastej masz spotkanie z nowym trenerem. Aha, Leo, jestem dumna, że wychowuję cię na feministę.
- Nic dziwnego, że wszyscy traktują mnie jak cudaka. Wychowała mnie zakonnica.

*

Tuż po piętnastej zacząłem pakować ciasteczka do puszek i właśnie wtedy do kuchni wszedł ojciec, taszcząc dwie torby z zakupami.

– Ciasteczka sezamowe? – zdziwił się. – W *Ulissesie* nie ma o nich słowa.

– One nie są na ucztę z okazji Dnia Blooma – wyjaśniłem. – Do domu naprzeciwno wprowadziła się nowa rodzina, pamiętasz?

Jasper King postawił torby z zakupami na blacie.

– Najwspanialszy chłopak pod słońcem zasługuje na całusa od ojca.

Jęknąłem, wiedziałem jednak, że wszelki opór zakrawałby na głupotę. Ojciec pocałował mnie w oba policzki tak, jak nauczył się

tego we Włoszech podczas drugiej wojny światowej. Odkąd byłem małym chłopcem, korzystał z każdego pretekstu, żeby całować mnie i mojego brata w oba policzki. W dzieciństwie ćwiczyliśmy ze Steve'em jęki, które potem wydawaliśmy, gdy tylko ojciec się do nas zbliżał.

Ostrożnie zapakowałem cieniutkie ciasteczka do puszki, która pierwotnie zawierała solone orzeszki pekanowe. Skosztowałem jedno, chcąc sprawdzić, czy są godne tego, żeby zawitać do domu obcych ludzi. Były tego warte.

– Zniosę je nowym sąsiadom – oznajmiłem. – A tak przy okazji, dzwoniła siostra Scholastyka.

– To już kawał czasu, jak się nie odzywała.

– Znasz ją? – zapytałem, odkładając temat zakonnej przeszłości matki na później.

– Oczywiście, że znam Scholastykę. Kiedy pobierałem się z twoją matką, była druhną na naszym ślubie. A swoją drogą, na Broad wpadłem na sędziego Alexandra. Chwalił cię, podobno kurator wyraża się o tobie w samych superlatywach. Opowiedziałem mu, jak świetnie sobie radzisz.

*

Kiedy przechodziłem na drugą stronę ulicy do domu Poeów, ciężarówka do przeprowadzek już odjechała. Wbiegając na schodki dziewiętnastowiecznego domu, któremu przydałby się lifting i nieco makijażu, czułem ciepło ciasteczek w puszcze.

Zapukałem dwa razy i usłyszałem zbliżające się kroki bosych stóp. Drzwi stanęły otworem i po raz pierwszy moje oko spoczęło z zachwytem na Shebie Poe, najpiękniejszej kobiecie w Charlestonie od chwili, gdy przekroczyła granicę hrabstwa.

Wszyscy znani mi ludzie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, dokładnie pamiętają miejsce, w którym pierwszy raz ujrzeli to olśniewające, niewiarygodne jasnowłose чудо. I wcale nie dlatego, że brak nam doświadczenia w obcowaniu z urodziwymi niewiastami –

Charleston słynął z krasy dobrze urodzonych i rozpieszczonych dam. Gdy jednak Sheba stanęła w progu z wysoko podniesioną głową, emanowała taką zmysłowością, że moje myśli, kiedy wybałuszałem na nią oczy, ocierały się o ciężki grzech. Czułem, że nie tylko podziwiam ten niezwykły powab, lecz naruszam zakaz dotyczący pożądlivosti czy obżarstwa. Wchłonęły mnie jej zielone oczy, w których dojrzałem złote cętki.

– Cześć – odezwała się. – Jestem Sheba Poe. Nowa w tej dzielnicy. Za mną czai się mój brat Trevor. Nosi moje baletki.

– Dziękuję ci uprzejmie, noszę własne baletki. – Trevor Poe stanął obok siostry. Oniemiałem, zarówno z powodu jego opanowania, jak zwiewnej postury. Jeśli to w ogóle możliwe, był nawet ładniejszy od siostry, tyle że ten tok myślenia byłby sprzeczny z prawami natury. Trevor zauważył, że zaniemówiłem. – Nie przejmuj się, Sheba na każdego tak działa. Ja też wywieram na ludziach podobne wrażenie, chociaż z zupełnie innych powodów. Nie zliczę, w ilu szkolnych przedstawieniach grywałem Dzwoneczka.

– Upiekłem wam ciastka – powiedziałem wytrącony z równowagi. – Na powitanie w naszej dzielnicy. Sezamowe, specjalność z Charlestonu.

– Czy to coś jakoś się nazywa? – zwrócił się Trevor do siostry. Pobrzmiewało w tym dziwne echo mojej porannej rozmowy z sierotami, jak gdyby mnie tam nie było.

– To coś nazywa się Leo King – odpowiedziałem tym razem.

– Kingowie z Charlestonu?! Ci od King Street? – zapytała Sheba.

– Nie, nie jesteśmy spokrewnieni ze sławnymi Kingami z Charlestonu. Pochodzę z nic nieznaczących Kingów.

– Miło zaprzyjaźnić się z nic nieznaczącym Kingiem – odrzekła Sheba. Wzięła puszkę z ciasteczkami, przekazała ją bratu, a następnie ujęła mnie za rękę i uściśnęła. Uścisk był szelmowski i kokieteryjny, a ona śliczna.

Nagle z głębi domu niepewnie wychynęła mroczna i złowroga postać, poruszająca się jak pies na trzech łapach.

– Kto to? – Z głosem kobiety było coś nie tak. W progu stanęła piękna, pomniejszona wersja bliźniaków, rozsuwając swoje dzieci jak fala. – Czego od nas chcesz? – zapytała. – Dostałeś już czek za przewodzątkę.

– Ci od przewodządek już dawno odjechali – wyjaśnił Trevor.

– Mamo, on nam przyniósł ciasteczka – powiedziała Sheba. W jej nerwowym głosie pobrzmiwała koturnowa sztuczność. – Upieczone zgodnie ze starym rodzinnym przepisem.

– Właściwie to według *Przepisów z Charlestonu* – sprostowałem. – To miejscowa książka kucharska.

– Jeden z przepisów w tej książce pochodzi od mojej stryjecznej babki – oznajmiła kobieta. Do bełkotliwego głosu wkradła się rodowa duma, a ja nareszcie zorientowałem się, że jest po prostu pijana.

– Która potrawa? – zapytałem. – Przyrządę ją dla pani.

– Nazywa się „krewetki śniadaniowe”. Moją stryjecną babką jest Louisa Whaley.

– Często je gotowałem. Nazywamy je krewetki grzane z korzeniami i podajemy z kaszą kukurydzianą.

– Gotujesz? Cóż za pedalskie zajęcie! Będziecie z moim synem dobrymi kumplami, to jest wam przeznaczone.

– Mamo, wróć do środka, dobrze? – zaproponowała Sheba dyplomatycznie.

– Gdybyś się ze mną zaprzyjaźnił, Leo, dla matki byłby to istny pocałunek śmierci – rzekł chłopak.

– Ależ, Trevorze, mama tylko żartuje – rzuciła Sheba, prowadząc matkę w mrok domu.

– Akurat – mruknął jej brat.

– Może chciałaby pani zaprenumerować „News and Courier”? – spytałem wycofującą się panią Poe. – Dla nowych klientów mamy specjalną ofertę: pierwszy tydzień jest bezpłatny, z wyjątkiem wydania niedzielnego.

– Wpisz nas na listę – powiedziała. – A jeżeli rozwozisz też mleko, to potrzeba nam mleka, no i jajek.

– Dam znać mleczarzowi – obiecałem. – Nazywa się Reggie Schuler.

Sheba znów pojawiła się w drzwiach.

– Panno Evangeline, nie wyobrażam sobie, co poczęłaby moja matka, gdyby nie życzliwość tych skończonych dupków – zadrwiła z przejaszczonym akcentem z Południa.

Wybuchnąłem gromkim śmiechem, zaskoczony, że z tak pięknych ust padło niecenzuralne słowo, i mając świadomość dowcipnego nawiązania do Tennessee Williamsa, co wyglądało niebezpiecznie.

Jej bliźniak bynajmniej nie był tak ubawiony jak ja.

– Najpierw poczekajmy, aż któreś z nas się zaprzyjaźni, Shebo, a dopiero potem pokazujmy, jaka z nas naprawdę hołota. Siostra bardzo cię przeprasza, Leo.

– W żadnym razie – zaprotestowała Sheba, hipnotyzując mnie wzrokiem. Jej południowy akcent miał niespotykaną głębię, z pewnością jednak nie był to akcent z Charlestonu, który przystrojony jest w charakterystyczne krzykliwe dzwony i hugenockie akcesoria. Piskliwy głos brata trudno było umiejscowić w sensie geograficznym, chociaż ja stawałbym na Zachód. – Mój wrodzony wdzięk zauroczył Leo, prawda, malutki sezamku? – Sheba otworzyła puszkę i pogryzając ciasteczko, podała drugie Trevorowi.

Nagły powrót matki zaskoczył ich oboje.

– Jeszcze sobie nie poszedłeś? Zapomniałam, jak się nazywasz, młody człowieku.

– Chyba nie zdążyłem się pani przedstawić. Jestem Leo King. Mieszkam w tym ceglany domu po drugiej stronie ulicy.

– Moim zdaniem niczym się nie wyróżnia.

– Ojciec zbudował go w czasach, kiedy opinie konserwatora nie miały jeszcze większego znaczenia – wyjaśniłem. – Większość obywateli Charlestonu uważa, że jest okropny.

– Ale jesteś Kingiem. Przypuszczam, że z tych Kingów od King Street.

– Nie, proszę pani. Jesteśmy tymi nic nieznaczącymi Kingami. Tłumaczyłem to już pani dzieciom.

– A, poznałeś już moje kochanie dzieci. Peđał i ładacznicą. Nie-
źle jak na jedną matkę, nie sądzisz? I pomyśleć, że pochodzę z tutej-
szej arystokracji. Jak Barnwellowie, Smythesowie, Sinklerowie i
reszta, a nawet więcej. O wiele więcej, panie King Nicieznaczący.
W tych żyłach płynie krew założycieli kolonii. Niestety, moje dzieci
okropnie mnie rozczarowały. Zatruwają wszystko, czego się dotkną.

Pani Poe urwała w połowie tego ni to wykładu z genealogii, ni to
tyrady i dopiła zawartość kryształowej szklanki. Potem przytknęła
nos do wychodzących na werandę siatkowych drzwi i oznajmiła:

– Chyba się porzygam.

Nie porzygała się, ale przeleciała przez siatkowe drzwi i padła
wprost w moje ramiona. Złapałem ją, zachwiałem się, odzyskałem
równowagę i powstrzymałem ją przed upadkiem na podłogę weran-
dy, co mogłoby się dla niej skończyć poważnymi obrażeniami twa-
rzy. Sheba i Trevor krzyknęli, po czym wspólnymi siłami zataszczy-
liśmy ich matkę do sypialni na piętrze. Mijane meble – tanie podrób-
ki antyków – pachniały nowością, nawet plantatorskie łóże z balda-
chmem, na którym ją położyliśmy.

Bliźniaki wyglądały na zdruzgotane faktem, że byłem świadkiem
tego upokarzającego incydentu. Ja zaś czułem się bohaterem, bo
złapałem ich matkę, gdy wyleciała przez frontowe drzwi, i stosując
zasadę rodem z baseballu, natychmiast wyłączyłem ją z gry i usuną-
łem z widoku, zanim ktoś na ulicy zdążył coś zauważyć.

Po powrocie na schodki Sheba złapała mnie za rękę.

– Leo, proszę cię, nie opowiadaj nikomu o tym, co tu widziałeś
– prawie błagała. – To nasz ostatni rok w liceum i gonimy resztką sił.

– Nikomu nie pisnę ani słowa – przyrzekłem jak najbardziej po-
ważnie.

– To już nasze czwarte liceum – dodał Trevor. – Sąsiedzi mają tego powyżej uszu. Mama jest zdolna do znacznie gorszych rzeczy.

– Nie powiem nawet moim rodzicom – obiecałem. – Zwłaszcza im. Matka jest dyrektorką waszego nowego liceum, a ojciec w tym roku będzie was uczył fizyki.

– Nie pozwolisz, żeby ten incydent popsuł naszą dopiero co zawartą przyjaźń? – wyjąkała Sheba, bliska łez.

– Absolutnie nic nie popsuje naszej przyjaźni – zapewniłem ją. – Nie dopuszczę do tego.

– A więc czas na szczyptę prawdy. Odrobinę – powiedział Trevor. – Matka pochodzi z Jackson w Wyoming. Ostatnio mieszkaliśmy w Oregonie. O naszym ojcu lepiej nie wspominać. W żyłach matki nie płynie ani kropla krwi z Charlestonu. A moja siostra jest jedną z największych aktorek w historii – dorzucił.

W tym momencie Sheba mnie zaskoczyła – wytarła oczy i posłała mi olśniewający uśmiech.

– Ale to również tajemnica. O tym też nikt nie może wiedzieć.

– Nikomu nie pisnę ani słowa – powtórzyłem.

– Jesteś kochany – powiedziała Sheba Poe, która znów wzięła się w garść, i pocałowała mnie delikatnie, tym samym stając się pierwszą dziewczyną, która pocałowała mnie w usta. Następnie pocałował mnie Trevor, także w usta i całkiem miło, czym zaskoczył mnie jeszcze bardziej.

Gdy zszedłem ze schodków, odwróciłem się do bliźniaków. Nie chciałem jeszcze się z nimi rozstawać.

– Nic się nie wydarzyło. Proste jak drut.

– A jednak coś się stało, gazeciarzu – mruknął Trevor, wracając do domu.

Jego siostra ociągała się z wejściem do domu.

– Hej, Leo Kingu Nicnieznaczący. Dzięki, że mieszkasz w naszej dzielnicy. A tak przy okazji, Leo, zakochasz się we mnie nie tylko z powodu mojej urody. Nie uwierzysz, jaka potrafię być miła, dzieciaku.

– Shebo Poe, nawet gdybyś była podła jak piekło i szpetna jak grzech, i tak bym się w tobie zakochał – oświadczyłem. Odczekałem kilka uderzeń serca i dorzuciłem: – Dzieciaku.

Odpływając do domu, uświadomiłem sobie, że jeszcze nigdy nie powiedziałem niczego podobnego żadnej dziewczynie. Ani razu. Po raz pierwszy flirtowałem z dziewczyną. Kiedy w podskokach biegłem do domu, przez jezdnię przeszedłem nie ja, lecz jakiś odmieniec – po raz pierwszy pocałowany przez dziewczynę i przez chłopaka.

ROZDZIAŁ 3

Jachtklub

W południe, w ludożerczym słońcu Charlestonu, powietrze było tak wilgotne, że żałowałem, iż pod płatkami uszu nie mam skrzeli. Przyszedłem do głównej sali jadalnej jachtklubu w Charlestonie, na lunch, w którym miałem uczestniczyć na rozkaz matki. Jachtklub był luksusowy, ale podniszczony, i wymagał remontu. W moich oczach reprezentował cichą groźbę terytorium wroga, gdy przechodziłem pod pogardliwymi spojrzeniami jego założycieli. Gniewne oblicza patrzyły na mnie z góry, oszpecone nieudolnością malarza. Za sprawą artystów z Charlestonu najbardziej wpływowi obywatele tego miasta o kształcie rzeki wyglądali, jakby przydał im się dobry dentysta i skuteczny środek przeczyszczający. W świeżo wypastowanych butach kroczyłem po orientalnych dywanach, rozglądając się za strażnikiem w mundurze, który powstrzyma mnie w drodze do azylu klubu, ale nieliczni mijani mężczyźni ani nie zwrócili na mnie uwagi, ani się nie odezwali, kiedy zbliżałem się do prowadzonych szeptem rozmów przybyłych na lunch gości. Rzeka Cooper upstrzona była białymi żaglami, wiszącymi w stojącym powietrzu bezwładnie niczym motyle uwięzione w dziwnym, spłodzonym przez miasto bursztynie powstałym z maślanki i kości słoniowej. Nawet pomimo zamkniętych okien słyszałem bluźnierstwa unieruchomionych żeglarzy, przeklinających bezwietrzną pogodę. Zanim wszedłem do jadalni,

odetchnąłem głęboko, zachodząc w głowę, co ja tu właściwie robię. Charleston potrafił stworzyć kobiety i mężczyzn tak arystokratycznych, że byli w stanie wyczuć zapach chromosomów włóczęgi pod pachami grającego w tenisa Ravenela. To miasto i ten klub dokładnie wiedzieli, kto jest tu mile widziany, a ja nie pasowałem tutaj pod żadnym względem. I doskonale zdawałem sobie z tego sprawę.

Po drugiej stronie sali mój ojciec wstał z krzesła, skinął mi ręką, a ja, przechodząc przez salę, czułem się jak zaschnięty smark na chusteczce higienicznej. Zauważyłem jednak, że bezruch rzeki przydał jej zielonego, niemal turkusowego blasku. Lekki ruch wody rzucał na sufit cienie, przesuujące się niechętnie od żyrandola do żyrandola jak fale.

Przy stole, do którego się przysiadłem, panowała niewesoła atmosfera i wyglądało na to, że wszyscy z ulgą przyjęli moje nadzieje.

– To nasz syn, Leo King – przedstawił mnie ojciec. – Synu, to pan Chadworth Rutledge i jego małżonka Hess. Obok nich siedzą pan Simmons Huger i pani Posey Huger.

Uścisnąłem ręce dorosłym i dopiero potem spojrzałem na troje nastolatków mniej więcej w moim wieku. Spotkania z rówieśnikami często onieśmiały mnie bardziej niż poznawanie dorosłych. A ponieważ siedziałem naprzeciwko nich, nic nie mogłem poradzić na to, że czułem się nieswojo pod ich badawczymi spojrzeniami. Ale były to tylko moje wewnętrzne demony, niemające nic wspólnego z trojgiem nastolatków przede mną.

– Synu, ten młody człowiek naprzeciwko ciebie to Chadworth Rutledge dziesiąty – poinformował mnie ojciec.

Podąłem mu rękę nad stołem i mimo woli wyrwało mi się:

– Dziesiąty?!

– Stary ród, Leo. Bardzo stary – wyjaśnił Chadworth junior.

– A ta śliczna młoda dama siedząca obok niego to jego sympatia,

Molly Huger, której rodziców właśnie poznałeś.

– Cześć, Molly. – Uścisnąłem jej rękę. – Miło cię poznać.

Było miło, bez dwóch zdań. Molly Huger sprawiała wrażenie, jakby od dawna przywykła do myśli, że zawsze jest najładniejszą dziewczyną na balu debutantek.

– Cześć, Leo – rzuciła. – Wygląda na to, że w tym roku będziemy chodzić do tej samej klasy.

– Spodoba ci się w Peninsuli – obiecałem. – To miła szkoła.

– Drugą młodą damą jest Fraser Rutledge – ciągnął ojciec. – Chodzi do młodszej klasy w Ashley Hall. Jest siostrą Chada i najlepszą przyjaciółką Molly.

– Fraser Rutledge? Ta koszykarka? – zapytałem.

Dziewczyna spłonęła ciemnym rumieńcem, który zabarwił porcelanową skórę. Jej włosy lśniły jak sierść żrebaka. Silna, wysoka, zdrowa i szeroka w ramionach, ot – startująca na olimpiadzie sportsmenka podczas odpoczynku. Pamiętałem, że w meczu, który oglądałem przed rokiem, pod tablicą walczyła zażarcie jak lwica. Fraser kiwnęła głową, ale spuściła wzrok.

– Widziałem cię w meczu przeciwko Porter-Gaud – powiedziałem. – Zdobyłaś trzydzieści punktów i zaliczyłaś dwadzieścia zbiórek. Byłaś wspaniała. Po prostu wspaniała.

– Zdobyli mistrzostwo stanu – odezwał się Worth Rutledge, jej ojciec, z drugiej strony stołu. – Bez niej Ashley Hall nie wygrałaby tego meczu.

– Fraser zawsze była niepoprawna, jeśli chodzi o zamiłowanie do sportu – dorzuciła Hess Rutledge. – Zanim skończyła dwa lata, na plaży na Wyspie Sullivana robiła już gwiazdy.

– Wywijała gwiazdy, zamiast umawiać się na randki – wtrącił jej brat.

– Odczep się od Fraser. – Molly spokojnie zbesztła swojego chłopaka.

– A wy uprawiacie jakieś sporty? – zwróciłem się do Chada i Molly.

– Ja żegluję – powiedziała dziewczyna.

– A ja poluję na kaczki, jelenie i z nagonką – odparł jej chłopak.

– Poza tym również żegluję, bo wychowałem się w tym klubie. No i w Porter-Gaud grałem trochę w futbol.

Wtedy odezwała się matka, reasumując pokrótce to, co wydarzyło się tego dnia:

– Rano zapisaliśmy Chada i Molly do ich klas. Pomyślałam, Leo, że udzielisz im odpowiedzi na wszelkie pytania związane z liceum Peninsula.

Zdjąłem okulary i zacząłem przecierać je chusteczką. Mam taki nerwowy nawyk. Pomieszczenie się rozmyło. Dopóki nie włożyłem okularów, w ogóle nie widziałem twarzy ludzi siedzących po przeciwnej stronie stołu. Przez cały czas, gdy taksowali mnie wzrokiem, czułem się jak gupik w słoju z dżemem.

– To bardzo miło z twojej strony, że zechciałeś spotkać się z nami bez wcześniejszego powiadomienia – oznajmiła pani Rutledge.

– Masz na imię Lee, tak? Czy dobrze usłyszałam?

– Nie, proszę pani – sprostowałem. – Leo.

– Myślałam, że dostałeś imię po generale. Chyba nie znam nikogo o imieniu Leo. Po kim nosisz to imię?

– Po dziadku – rzuciłem szybko. Usłyszałem chichot ojca i łypnąłem na matkę spode łba, lojalnie uprzedzając, co ją czeka, jeśli zdradzi żenującą proveniencję mojego imienia.

– Czy jedzenie w stołówce jest znośne, Leo? – zapytała Molly.

Odwróciłem się do tej ślicznej, nieprzystępnej dziewczyny, jednej z tych, które tak naturalnie wywodzą się z rodzin przedstawicieli klasy wyższej mieszkańców tego miasta – ich włosy, skóra, całe ciała promieniują zaskakującym wewnętrznym światłem. Wyglądają jak stworzone z muszli wyrzuconych perłopławów i grzyw koni palomino. Molly była tak ładna, że patrząc na nią, trudno było nie czuć się jak kaszalot.

– Jak w każdej szkolnej stołówce, niejadalne. Przez dziewięć miesięcy wszyscy na nie narzekają.

Po drugiej stronie stołu nadgorliwy i rzeczowy Worth Rutledge zaklaskał.

– No nic, wracajmy do rzeczy – powiedział. – Pozwoliłem sobie zamówić jedzenie dla wszystkich... Pomyślałem, że dzięki temu zaoszczędzimy cenny czas.

Pokazał, że jest człowiekiem czynu, i nie czekał na lepsze pomysły. Jego żona przytaknęła ruchem wyblakłej głowy. Na twarzy ojca Molly pojawił się wyraz rezygnacji, wręcz porażki. Ale pani Huger również skinęła głową, nieświadomie wiernie naśladowując żonę pana Rutledge'a.

– Mieliśmy ciężki poranek – rzekł Worth Rutledge. – Myślicie, że omówiliśmy już wszystko? Nie chcemy przecież, żeby dzieci wpadły w nowe tarapaty, prawda?

– Sądzę, że wszystkim już się zajęliśmy – odpowiedziała mu moja matka, spoglądając na listę leżącą obok jej talerza w chwili, gdy kelner w białym smokingu przyniósł koszyki pełne bułek, babeczek i chleba z mąki kukurydzianej. Uzupełniono wodę w szklankach i zawartość kieliszków na stole.

Moi rodzice pili mrożoną herbatę, ale pan Rutledge sączył martini z nadzianymi na wykałaczkę trzema szalotkami, które przywodziły na myśl malutkie, spreparowane głowy albinosów. Reszta dorosłych piła Krwawe Mary w wysokich szklankach, tradycyjnie przybranych oskubanymi z liści łądygami selera.

Matka znów spojrzała na listę i zaczęła rozwodzić się nad duperelnymi szczegółami, w czym celowała.

– Omówiliśmy kwestię ubezpieczenia zdrowotnego oraz politykę zwolnień z powodu choroby. Koszt sygnetów dla uczniów ostatniej klasy. Zasady dotyczące stroju. Kary za posiadanie narkotyków czy alkoholu na terenie obiektów należących do szkoły. Wycieczkę w ostatniej klasie. Kwalifikacje niezbędne do uczęszczania na zajęcia poza programowe.

Niespodziewanie Worth Rutledge wpadł matce w słowo:

– Dlaczego znów wspomniała pani o narkotykach, doktor King?

– Na miłość boską, Worth! – prychnął Simmons Huger, mężczyzna o trupio bladej twarzy, który, odkąd przyszedłem, prawie się nie odzywał. – Przecież jesteśmy tu właśnie z powodu narkotyków. Nasze dzieci aresztowano i wyrzucono z Porter-Gaud. Kingowie wyświadczyli nam grzeczność, przychodząc z pomocą.

– Zaszło tu jakieś nieporozumienie, Simmons – odparował Worth z miażdżącą ironią w głosie. – Jeśli się nie mylę, moje pytanie nie było skierowane do ciebie. Byłbym więc wdzięczny, gdybyś zamilkł, skoro nie mogę liczyć na wsparcie z twojej strony.

– Doktor King sprawdza swoją listę – odparł Simmons. – Dopiero co ją pytałeś, czy omówiliśmy wszystkie szczegóły. Dlatego robi to, o co prosiłeś. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Głos w dyskusji zabrała pani Rutledge:

– Za moich czasów tylko popijaliśmy i przez to wpadaliśmy w kłopoty. Nic nie rozumiem z tej subkultury narkotykowej. Skoro już Molly i Chad koniecznie chcą być niegrzeczni, niech po prostu pojedą do domku na plaży i się upiją. Odeśpią kaca, następnego dnia wrócą do domu i nikt się o niczym nie dowie.

– Jeśli pozwolisz, Hess – przerwał jej Simmons. – Wolelibyśmy, żeby Molly się nie upijała i spała w naszym domu, a nie w twoim domku na plaży.

W trakcie tej spokojnej sprzeczki patrzyłem ze swojego miejsca przy stole, jak Worth Rutledge wychyla do dna kieliszek martini i wysysa szalotki z wykałaczki. Nie dał znaku ręką, nie wykonał najmniejszego gestu, ale obok jego talerza natychmiast pojawiło się następne martini. Gdy kelner zaczął nalewać chochlą z wazy tradycyjną charlestońską zupę z krabów, usłyszałem, że rozmowa zesłała na mnie.

– Hej, Leo! – rzucił pan Rutledge. – Ty też za młodu miałeś spore kłopoty z narkotykami, dobrze mówię?

Tymi słowami Worth Rutledge zmienił nastrój lunchu.

– Na miłość boską, Worth! Ani słowa! – zrugła go żona.

– Nie wydaje mi się, żeby mój syn miał coś wspólnego z naszym dzisiejszym spotkaniem – odezwał się mój ojciec. Nigdy nie podziwiałem go za spokój pod ostrzałem tak bardzo, jak w tej chwili.

– Zadałem ci proste pytanie, Leo – powiedział pan Rutledge. – W tych okolicznościach, moim zdaniem, całkowicie usprawiedliwione. Może mógłbyś coś doradzić naszym dzieciom i opowiedzieć im, jak wróciłeś do zdrowia. Przejrzałem twoje akta. Wywalono cię z liceum imienia Biskupa Irelanda, gdy znaleziono przy tobie pół funta kokainy. Wyobrażam więc sobie, że potrafisz właściwie doradzić Molly i mojemu chłopakowi.

– Napadasz na dziecko – zaprotestował Simmons Huger. – Jak ci nie wstyd, Worth?

– Chcę, żeby Leo podzielił się z nami swoimi doświadczeniami, które najwidoczniej mają dużo wspólnego z tym, o czym rozmawialiśmy – odparł Worth.

– To prawda, proszę pana – przyznałem. – Zostałem przyłapany i oskarżony o posiadanie kokainy. Wciąż jeszcze mam nadzór kuratora i trochę prac społecznych do odrobienia.

– Jesteś więc żywym dowodem na to, że dla Molly i mojego syna to jeszcze nie koniec świata. Dobrze mówię, Leo? – Ton pana Rutledge'a sprawił mnie w konsternację, wręcz zastraszył.

– Czekają mnie jeszcze dwa tygodnie terapii, na którą skierował mnie sąd, a potem... – wyjąkałem.

– Terapii? Chodzisz do psychiatry, Leo? – Pan Rutledge świdrował mnie wzrokiem, nieświadomy lodowatego, niewróżącego niczego dobrego milczenia mojej matki.

– Owszem, proszę pana. Raz w tygodniu. Ale już prawie skończyłem.

– Synu, nie musisz się spowiadać panu Rutledge'owi ze swojego życia – wtrącił się ojciec. – To nie jego sprawa.

Pan Rutledge odwrócił się do niego.

– Pozwolisz, Jasperze, że się z tobą nie zgodzę. – Imię ojca wymówił z wyraźną drwiną. Wiedziałem, że ojciec jest uczulony na punkcie swojego imienia i żałował, że ojciec jego matki nie nazywał się inaczej.

– Tato, zmień ton. – Fraser zwróciła uwagę ojcu, z zażenowania oblewając się rumieńcem.

– Ciebie również nikt nie pytał o zdanie, młoda damo – odciął się.

Hess Rutledge, aczkolwiek wystraszona, ruszyła do boju:

– Kochanie, ona usłyszała w twoim głosie gniew. Wiesz, jak bardzo się denerwuje, kiedy jesteś rozgniewany.

Jej mąż uniósł ręce.

– Od rana wysłuchuję protekcyjnych uwag na temat mojego syna, tego, jak jego postawa wpływa na szansę dostania się na dobrą uczelnię, a nawet tego, czy w ogóle skończy szkołę na wiosnę.

I wtedy usłyszałem moją matkę:

– Kto mianowicie traktował pana protekcyjnie, drogi panie?

– Pani. I siedzący tu Jasper, szanownej pani małżonek i nauczyciel. Nie doszłoby do tego, gdyby ten złamany kutas, dyrektor w Porter-Gaud, dał sobie przemówić do rozsądku. Wybaczcie mi te słowa. Przepraszam za mój język. – Krew uderzyła mu do głowy. Ta wściekłość wprawiła jego syna w podniecenie, żonę w zakłopotanie, a córkę, która siedząc naprzeciwko mnie, była bliska łez, upokorzyła.

Simmons Huger próbował rozładować napięcie, jednak jego słowa znów zabrzmiały słabo i nieprzekonująco.

– Worth, nasze dzieci wpadły w kłopoty. Kingowie pomagają nam wybrnąć z tej niefortunnej sytuacji.

– W Porter-Gaud powinni to załatwić we własnym zakresie. Nie musielibyśmy tu błagać na kolanach o przyjęcie naszych dzieci do jakiejś gównianej szkoły publicznej – oświadczył pan Rutledge.

– Skończył pan wreszcie? – zapytała moja matka. Kelnerzy przyszli sprzątnąć naczynia, choć nikt przy stole nawet nie tknął zupy.

– Na razie tak – odparł. – Chwilowo.

Czarni kelnerzy niczym zjawy uwijali się wokół stołu, podając na drugie danie cielecinę w marsali z dodatkiem koszmarnie tłuczonych ziemniaków i marchewki tak rozgotowanej, że straciła wszelki smak. Skupienie się na jedzeniu wszystkim wyszło na dobre i zanim posiłek dobiegł końca, atmosfera przy stole stała się nieco mniej napięta.

Kiedy sprzątnięto talerze, Simmons Huger odchrząknął i rzekł:

– Doktor King, ja i Posey jesteśmy pani niezmiernie wdzięczni, że zajęła się pani tą sprawą tak profesjonalnie. Ostatnie dni były dla nas wszystkich niezwykle traumatycznym przeżyciem. Molly nigdy w życiu nie przysporzyła nam najmniejszych kłopotów, więc ta historia spadła na nas jak grom z jasnego nieba.

– Nie sprawię pani zawodu, doktor King – obiecała cicho Molly.

– Jestem już zupełnie innym człowiekiem, proszę pani – zapewnił młodszy Rutledge. – Ta lekcja wiele mnie nauczyła.

– Mężczyźni w rodzinie Rutledge'ów od pokoleń tradycyjnie są łobuzami – wyjaśnił jego ojciec. – Teraz to już poniekąd styl życia, rodowa sched.

– Ale pani nie będzie miała okazji się o tym przekonać, doktor King – wpadła mu w słowo Hess Rutledge. – Syn przysiągł mi, że będzie się zachowywał należycie.

– Bo jeśli nie, to przestanie spotykać się z Molly, kiedy pod koniec lata cofniemy jej karę – dorzucił pan Huger.

– Dostałaś karę? – zapytał Chad swoją dziewczynę. – Dlaczego?

– Trafieś do aresztu, kochanie – wyjaśniła Molly. – Rodzice nie byli tym zachwyceni, zgodzisz się?

– Dzieciaki są młode tylko raz w życiu – oświadczył ojciec Chada. – Ich główny obowiązek to imprezować i czerpać z życia tyle frajdy, ile się da. Tamtego wieczoru jedyny ich błąd polegał na tym,

że dali się przyłapać. Mam rację? Tak czy nie?

– Zdecydowanie nie, drogi panie – odpowiedziała mu moja matka. – Myli się pan tak, jak tylko rodzic potrafi się mylić.

– No proszę, doktor King, i znów ten protekcyjny ton. W najlepszym razie działający na nerwy i irytujący. A w najgorszym doprowadzający do szału. – Worth Rutledge przeszył ją wzrokiem, którym mógłby usunąć kwas z akumulatora. – Przyjrzyjmy się faktom: nasze dzieci przyłapano z kilkoma gramami kokainy. Zgoda, postąpiły źle. Ale oto mamy dyrektorkę szkoły, która tak wychowała syna, że dał się złapać na imprezie, mając przy sobie pół funta kokainy. Od tej pory jest pod nadzorem sądu dla nieletnich w Charlestonie.

– Powiedziano mi, że spotykamy się tu, żeby się zastanowić, w jaki sposób pomóc pańskiemu synowi i Molly wybrnąć z trudnej sytuacji – rzekł mój ojciec, którego wrodzoną uprzejmość okrywała kamizelka kuloodporna. – Nie przypuszczałem, że zamierza pan wygłosić wykład o przeszłości mojego syna.

W duchocie, jaka niespodziewanie zawisła w sali, opuściłem głowę i wbilem wzrok w talerz. Poziom zakłopotania osiągnął punkt wrzenia. Wreszcie ojciec Molly odkaszlnął, ale w tej kluczowej chwili słowa uwięzły mu w gardle.

– Moim zdaniem mój ojciec chce powiedzieć, że w porównaniu z Leo ja i Molly jesteśmy amatorami – odezwał się młodszy Chadworth.

Z zażenowania spiekłem raka, wiedziałem jednak, że umyślnie prowokacyjna uwaga Chada Rutledge'a spotka się z wyważoną, acz płomienną ripostą jednego z moich rodziców, a może obojga.

Tymczasem to Fraser Rutledge, wspaniała koszykarka z Ashley Hall, uwolniła się z kokonu nieśmiałości i powiedziała:

– Zamknij się, tato. Ty też siedź cicho, Chad. Pogarszacie tylko sprawę, a zwłaszcza sytuację Molly.

– Nie waz się odzywać do ojca w ten sposób, młoda damo! –

syknęła Hess Rutledge.

– Sytuacji Molly nie da się już pogorszyć – dodała Posey Huger.
– Do końca lata ma zakaz wychodzenia z domu.

– Czyżby? – zakpił pan Rutledge. – To zabawne, bo dobrze pamiętam, jak syn mówił mi, że w przyszły weekend wybierają się z Molly na tańce na moło w Folly Beach.

– Tata nigdy nie potrafił dochować tajemnicy – skwitował Chad, puszczając oko do wszystkich przy stole; jakimś cudem wyszedł na uroczonego urwisa, a nie ponurą postać, której wzrok czułem na sobie za każdym razem, kiedy spoglądał w moją stronę. Dworskie maniery stanowiły tylko nonszalancką przykrywkę dla jego agresji. Nie było to może zbyt ładne, ale męskie i – moim zdaniem – na wskroś charlestońskie.

– W przyszły piątek nigdzie nie pójdziesz – oświadczyła Hess synowi. Najwyraźniej zdała sobie sprawę, jak rozpuszczony musi być ten chłopak, skoro docina mojej milczącej, ale oceniającej go matce.

– Ależ mam – zaprotestował Chad. – Myślałem nawet, jak by załatwić siostrze... tej naszej siłaczce z plaży... randkę w ciemno na te tańce.

Fraser wstała spokojnie, z godnością, przeprosiła nas i wyszła do toalety. Nie mogłem znieść udręki zwykłych dziewcząt, na których od urodzenia w bogatych i płytkich rodzinach ciążył obowiązek bycia piękną. Już miałem wstać i pójść za nią, ale pomyślałem, że dziwnie bym wyglądał w damskiej toalecie.

Natomiast Molly Huger zerwała się z krzesła, przeprosiła nas, zmiażdżyła swojego chłopaka morderczym spojrzeniem i poszła za przyjaciółką. Urodziwa, trzymająca się prosto, spełniała najbardziej konieczne, niezbędne kryteria dla dziewczyny z Charlestonu ze swojego pokolenia. Do końca życia nie musiałyby robić nic, tylko obnosić się z urodą, i poślubiwszy Chadwortha dziesiątego, wychowywać jego następców, awansować na przewodniczącą Junior League i składać świeże kwiaty na ołtarzu u Świętego Michała. Z bezmyślną

beztroską mogłaby wydawać przyjęcia dla pracowników kancelarii prawnej męża, zasiadać w zarządzie kina przy Dock Street i odnawiać posiadłość na południe od Broad. Mógłbym napisać dla Molly całą jej dalszą historię, kiedy mijala mnie w zacieklej pogoni za zranioną przyjaciółką. Ale ponieważ była ładna, nie miała w sobie niczego, co w moich oczach nie trąciłoby banałem. Nie wyobrażałem sobie jednak, jak historia obejdzie się z Fraser, dziewczyną o barach męczyzny, z dwudziestoma zbiórkami w jednym meczu na koncie, przyszłością pełną niepewności i – czego byłem pewny – wielkiego smutku. Przez głowę przemknęła mi niepokojąca myśl, że Molly pociąga mnie zdecydowanie bardziej niż Fraser.

– Chad, nie powinieneś się tak wyrażać o siostrze – odezwał się Simmons Huger, ze wszech miar stosownie i w samą porę. – Kiedy podrośnie, będziesz tego żałował.

Matka Fraser wyszła za dziewczętami.

– Ja tylko żartowałem, proszę pana – powiedział skruszony Chadworth dziesiąty. – Ale ona nie ma poczucia humoru.

– To bardzo wrażliwa dziewczyna – przyznał mu rację pan Huger i zwrócił się do moich rodziców: – Doktor King, panie King, dziękuję, że poświęciliście nam czas i że pomagacie Molly. Muszę się zbierać, inaczej nie zdążę na spotkanie.

– Ależ oczywiście – powiedział mój ojciec. – Damy panu znać, co postanowiliśmy.

– Dzięki, że to zorganizowałeś, Worth – dodał pan Huger. – I że pojawiłeś się na lunchu.

Nikt nie zwrócił uwagi na to, że moja matka siedzi cicha jak tundra, podczas gdy wokół niej rozgrywa się to drugorzędne misterium pasyjne zatroskanych rodzin. Wywołanie tematu mojego związku z narkotykami w celu usprawiedliwienia postępów własnego syna było ze strony Wortha Rutledge'a kolosalnym błędem taktycznym, ale on słynął w całym Charlestonie z upodobania do procesowania się, dlatego nie rezygnował z żadnej okazji do zwady, gdy tylko wy czuł w wodzie krew.

Pani Rutledge wróciła z dziewczętami do jadalni. Za przykładem ojca wstałem i usiadłem dopiero wtedy, gdy wszystkie panie zajęły już miejsca przy stole. Kelnerzy w białych smokingach nadbiegli z rogu sali, żeby przytrzymać im krzesła.

– Oho, powrót tubylców!* – rzucił Chadworth senior.

* Nawiązanie do powieści Thomasa Hardy'ego *The return of the native*, w polskim przekładzie zatytułowanej *Powrót na wrzosowisko*.

Spojrzał na matkę, oczekując jej aprobaty, i dodał: – To literacka aluzja na pani cześć, doktor King. Hardy mu było, prawda? A jak miał na imię?

– Thomas – odparła matka.

– Zasięgnąłem informacji i o ile wiem, napisała pani rozprawę doktorską na temat Jamesa Joyce'a. Chodziło o *Odyseję* czy coś w tym guście. Dobrze mówię?

– Coś w tym guście – mruknęła.

– Fraser ma nam wszystkim coś do zakomunikowania – oznajmiła pani Rutledge.

Fraser, z zaczerwienionymi oczami, powiedziała:

– Przykro mi, że wywołałam scysję, i przepraszam tatę i brata za to, że zawstydziłam ich publicznie. Obaj wiecie, jak bardzo was Kocham.

– Nie ma o czym mówić, skarbie – odrzekł jej ojciec. – Ostatnio wszyscy żyliśmy w dużym stresie.

Moja matka ocknęła się z długiego okresu niemal nieprzerwanego milczenia.

– Panno Rutledge, podczas dzisiejszego lunchu przyglądałam się pani z wielkim zainteresowaniem – rzekła. – I doszłam do wniosku, że jest pani młodą kobietą o silnej osobowości.

Fraser z błyszczącymi oczami popatrzyła na siedzących przy stole.

– Ale ja naprawdę nie zamierzałam popsuć tego lunchu. Nie miałam prawa się odzywać.

– Miała pani prawo zabrać głos, jak najbardziej – orzekła matka.

– Jest pani kobietą o szerokich talentach.

Przy stole zapadła cisza jak makiem zasiał. W końcu Chad popełnił gruby błąd – próbując dorównać mojej matce w wychwalaniu jego siostry, zażartował wyjątkowo niefortunnie:

– No, cała jest szeroka, jeszcze jak. Szerokie bary, szerokie uda, szerokie stopy.

– Cicho bądź, młodzieńcze! – zgromiła go moja matka, wstając z krzesła. – Po prostu trzymaj buzię na kłódkę.

– Niech się pani nie waży odzywać do mojego syna w ten sposób, doktor King! – warknął rozjuszony Worth Rutledge. – Chyba że chce pani szukać sobie nowej pracy.

– Jest zapisany do mojej szkoły – odcięła się matka. – Jeżeli w kuratorium dojdą do wniosku, że nie wykonuję obowiązków należycie, sami dadzą mi znać.

– Doktor King, jeśli zechce pani wpaść po lunchu do mojej kancelarii, to zadzwonimy do kuratorium – zaproponował Rutledge.

– Kwestie wychowawcze w Peninsuli załatwia się z mojego biura, drogi panie. Chętnie przyjmę pana u siebie. Proszę ustalić termin z moją sekretarką.

Myślę, że gdyby ta scena rozgrywała się gdzie indziej, a nie w charlestońskim jachtklubie, w promieniach słońca padających na kruchą porcelanę i srebrne sztuce, Worth Rutledge pewnie by wybuchł. Próba sił na tle pozycji społecznej, o czym miałem raczej mgliste pojęcie, wprowadziła element anarchii do tego spokojnego lunchu, który na wstępie był popisem biurokracji, kurtuazji i dobrej woli.

Siedząca naprzeciwko Molly Huger, zaszokowana, wlepiła we mnie wzrok.

– Miałaś kiedyś równie dobry ubaw, Molly? – zapytałem.

Ku mojemu zaskoczeniu wszyscy przy stole gruchnęli śmiechem, z wyjątkiem Chada, który z kamienną twarzą przyjął powszechne rozbrojenie upiornej atmosfery. W uprzywilejowanym świetle młodego Chada Rutledge'a tacy jak ja urodzili się po to, by miał

słuchaczy, gdy akurat postanowił błaznować. Jeśli zaś zebrało mu się na powagę, do mnie należało odgrywanie roli pełnego podziwu głupka. A kiedy Chad wydawał oświadczenie, miałem w środku nocy wskakiwać na koń i rozgłaszać tę doniosłą wieść po wsiach. Do zrozumienia tego doszedłem jednak po długich latach nauki.

Moja matka usiadła i spotkanie potoczyło się znowu w serdecznej, pragmatycznej atmosferze. Gdy podano kawę i ciasto orzechowe, lunch szybko dobiegł końca. W trakcie pożegnania galanteria, która jest podstawą, ale i grząskim gruntem wszelkich sytuacji towarzyskich w Charlestonie, sprawiła, że ostatni akt posiłku nabrał lekkości i spokoju. Wymieniano uściski rąk, chociaż główni uczestnicy zebrania nienawidzili się z całego serca.

Rodzice i ja pożegnaliśmy się i wyszliśmy z jachtklubu. W progu buchnął na nas potężny skwar. Matka – co do niej niepodobne – cmoknęła mnie w policzek i we troje poszliśmy pieszo w kierunku East Bay Street i naszego miasta wielu posiadłości, z dala od jachtklubu, którego członkostwa nigdy nam nie proponują.

*

Czekało mnie spotkanie z trenerem Anthonym Jeffersonem. Wszedłem do sali gimnastycznej śmierdzącej pleśnią, chłopięcym potem i stęchlizną sflaczałych piłek do futbolu i koszykówki. Przez okno gabinetu patrzyłem, jak trener bada zawartość grubej brązowej koperty, zawierającej – o czym wiedziałem – moje akta. Z czołem przeciętym trzema nierównymi zmarszczkami, najwyraźniej próbował się skoncentrować, zapoznając się z moimi życiowymi dołkami, po których następowały jeszcze większe upadki. Idąc do pierwszej klasy liceum, uważałem, że wyrosłem na rozsądnego i wzorowego obywatela liceum Peninsula, chociaż doskonale zdawałem sobie sprawę, jak nisko zawiesiłem poprzeczkę.

Trener Jefferson miał twarz w kolorze kawy, posiwiałe baki i nieprzeniknione mahoniowe oczy. Gdy tylko wszedłem do jego biura, zmroził mnie spojrzaniem. We wczesnych latach pięćdziesiątych,

grając na pozycji pomocnika, był gwiazdą drużyny Uniwersytetu Stanowego Karoliny Południowej i jedną z pierwszych osób, które znalazły się w sportowej galerii sław tego uniwersytetu dla czarnych.

– Domyślam się, że jesteś Leo King. – Jego głos był łagodniejszy, niż się spodziewałem.

– Tak jest, proszę pana. Przysłała mnie matka.

Wrócił spojrzeniem do moich akt.

– Aresztowano cię za posiadanie pół funta kokainy.

– To prawda, proszę pana.

– A więc nie zaprzeczasz?

– Przyłapali mnie na gorącym uczynku – przyznałem. – To była moja pierwsza impreza w domu na południe od Broad.

– Ale ktoś podrzucił ci towar do kieszeni, żeby z nim nie wpaść, a ty odmówiłeś podania jego nazwiska. Tak to wyglądało?

– Tak jest, proszę pana.

– Nie sądzisz, Leo, że społeczeństwo liczy, iż ludzie tacy jak ty... ludzie niewinni, tak jak ty... będą współpracowali z policją? Czy tamten chłopak był twoim przyjacielem?

– Nie, proszę pana. Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa.

– Wobec tego dlaczego go nie wydałeś? Przecież to bez sensu.

– Bardzo go podziwiałem, proszę pana.

– Powiedziałeś o tym policji?

– Nie, proszę pana, w ogóle o nim nie wspominałem. Nawet nie powiedziałem, że to był chłopak.

– I nikomu nie zdradziłeś jego nazwiska? Ani matce, ani ojcu, ani przyjacielowi, psychiatrze czy tym z opieki społecznej? Dlaczego wziąłeś na siebie winę za jakiegoś drania, który cię wrobił?

– Podjąłem decyzję. Pod wpływem impulsu. I trzymałem się tej wersji – wyjaśniłem. – Przykro mi.

– Nie wyglądasz mi na zawodnika, King.

– To przez te okulary, proszę pana. Wyglądam w nich jak jakieś chuchro.

– Nosisz je podczas meczu?

– Tak, proszę pana. Inaczej nie widziałbym przeciwników. Jestem ślepy jak kret.

– I jesteś łapaczem w drużynie baseballu? – zdziwił się trener. – O łapaczy teraz niełatwo.

– Mój ojciec był łapaczem w Cytadeli. Już jako małego chłopca uczył mnie, jak pokierować grą.

– A mimo to rzadko grasz w baseball, prawda?

– Gdy byłem młodszy, trenerze, miałem trochę kłopotów z głową. W szpitalach dla umysłowo chorych nie mają drużyn baseballowych. Ale bardzo często grywałem w naprędce zorganizowanych meczach z sanitariuszami i dozorcami, no i zawsze trafiło się kilku strażników. Sporo się od nich nauczyłem.

Trener Jefferson przyglądał mi się, jakby próbował zrozumieć coś z naszej rozmowy, wyrobić sobie zdanie na mój temat. Każdy znany mi dobry trener jest nieprzenikniony. Z jego twarzy niczego nie dało się wyczytać. Był tak zaabsorbowany, że wytrącił mnie z równowagi, bo sprawiał wrażenie, jakby się modlił.

– Leo, dobijmy targu – odezwał się w końcu. – Coś mi się zdaje, że w tym roku przydasz mi się o wiele bardziej niż ja tobie. Sześciu białych chłopaków odeszło już ze szkoły, bo nie chcieli, żeby trenował ich czarnuch. Słyszałeś o tym?

– Tak, proszę pana. Niektórzy z nich do mnie dzwonili. Chcieli, żebym odszedł razem z nimi.

– Ten rok będzie nieprzewidywalny. Możemy się spodziewać wszystkiego, od rozruchów na tle rasowym po bomby zapalające. A mnie jest potrzebny w drużynie biały chłopak, któremu mogę zaufać.

– Trenerze, w drużynie jest już kilku fajnych chłopaków. Z początku pewnie będzie niełatwo, ale w końcu pana polubią.

– Udowodnij mi, że mogę na tobie polegać – powiedział. – Muszę wiedzieć, że jesteś ze mną na dobre i na złe.

– W jaki sposób mam tego dowieść?

Trener Jefferson wstał, wyszedł z biura i rozejrzał się po sali gimnastycznej. Kiedy upewnił się, że nikogo poza nami tam nie ma,

wrócił do swojej klitki, splótł potężne ramiona na piersi i oparł się o stół.

– Chciałbym poznać nazwisko chłopaka, który podrzucił kokainę do twojej sportowej marynarki, Leo – powiedział.

Wzdrygnąłem się, ale uspokoił mnie, podnosząc rękę, i ciągnął: – Podaj mi je, a dam ci coś w zamian.

– A niby co mógłby mi pan dać w zamian? – spytałem. – Obiecałem sobie, że nikomu nie zdradzę, kim był ten chłopak.

– Podziwiam cię za to, że dotrzymałeś obietnicy. Właśnie dlatego ci ufam. Ale chcę poznać nazwisko tego chłopaka i powody, dla których milczałeś. A oto, co mam dla ciebie w zamian: żeby nie wiem co, nigdy nikomu nie wyjawię, kim jest ten chłopak. Nikomu... ani żonie, ani tacie, ani kaznodziei, ani nawet samemu Jezusowi, gdyby objawił mi się na białej chmurze. I nigdy więcej nie poruszę przy tobie tego tematu. Zupełnie jakby tej rozmowy nie było.

– A skąd mam wiedzieć, czy pan jest godny zaufania?

– Znikąd, Leo. Spójrz na mnie. Przyjrzyj mi się i wyrob sobie taką czy inną opinię na mój temat. Czy to jest facet, z którym jestem gotowy szturmować kryjówkę snajpera, czy Judasz, który zaprzeda duszę za trzydzieści srebrników? A może to Szymon, który pomoże Jezusowi dźwigać krzyż na Kalwarię? Musisz się zdecydować co do mnie, Leo. I to szybko.

Przez chwilę obserwowałem twarz Anthony'ego Jeffersona, a potem powiedziałem:

– Nazywa się Howard Drawdy.

Trener zagwizdał, a ja wiedziałem, że od razu rozpoznał to nazwisko.

– Najlepszy rozgrywający w historii liceum imienia Biskupa Irlandia. A jednak załatwił cię na cacy. Wpakował cię w kłopoty po same uszy.

– Howard Drawdy był idolem mojego brata Steve'a. I zawsze był dla niego bardzo miły.

– Mówisz o tym bracie, który popełnił samobójstwo? – upewnił się trener.

– Tak, proszę pana. Steve opowiedział mi kiedyś, jaki Howard jest biedny, że jego ojciec nie żyje, że mieszka w przyczepie i że gdyby nie stypendium, nie byłoby go stać na liceum imienia Biskupa Irlandia.

– On ci jest winny cały bank, Leo – oświadczył trener. – W tym roku zaczyna karierę jako rozgrywający w Clemson. Czy chociaż ci podziękował?

– Nie, proszę pana, nie musiał. Ale zawsze, kiedy się widzimy, jest dla mnie bardzo miły.

– A więc zostałeś aresztowany. Stałeś przed sądem. Jesteś notowany. Dostałeś nadzór, musisz się meldować u swojego kuratora. Odrabiasz prace społeczne, wyrzucono cię ze szkoły. A ten gość nigdy ci nie podziękował?

– Myślę, trenerze, że on nie wie, co powiedzieć.

– A ja myślę, że to rzadki gnojek, Leo. – Przerwał na chwilę. – No dobra. – Wstał i wyciągnął rękę. – Przybij piątkę. Nikomu nie pisnę słowa o tym, co mi właśnie powiedziałaś. Prędzej zdechnę, niż złamię daną ci obietnicę.

Wstałem i uściśnąłem jego wielką, silną dłoń.

– Leo, mam problem i potrzebuję pomocy.

– Dla pana wszystko, trenerze. Wszystko.

– W mojej drużynie będziesz jednym z liderów. Ale musisz mi w czymś pomóc. Mój syn, Ike, jest rozgoryczony, że w ostatniej klasie musi zmienić szkołę. Ja skończyłem ogólniak Brooksa, tak samo jak jego dziadek, jego matka i jej matka.

– Co miałbym zrobić?

– Spotkaj się z moim synem jutro o dziewiątej na stadionie Johnsona Hagooda. Poćwiczcie razem. Poznajcie się. Napisałem dla niego program kondycyjny. Ty też na tym skorzystasz. Obowiązuje cię tylko jedna zasada na lato: jeśli choć raz nazwiesz mojego syna czarnuchem, zabiję!

– Nie zdąży pan, jeśli wcześniej dopadnie mnie ojciec albo matka – odparłem.

– Nie pozwalają ci używać tego słowa?

– Nawet w żartach.

– Mojemu synowi też nie wolno mówić na ciebie „białas”, „biała hołota” czy „biała ciota”.

– A jak wolno mu mnie nazywać? – zapytałem. – Grając w futbol, człowiek zawsze wkurza się na gościa, przez którego wylądował na dupie. Zawsze. Więc trzeba go jakoś nazwać.

– Już o tym myślałem. Gdyby mój syn wkurzył cię tak bardzo, że chciałbyś mu urwać łeb i zwymyślać od najgorszych, mów na niego doktor George Washington Carver, tak się nazywał ten wielki czarny uczony z Uniwersytetu Tuskegee.

– Ten od orzeszków ziemnych?

– Tak, ten sam.

– A on jak może na mnie mówić?

– Ma cię nazywać Strom Thurmond*. To chyba najgorsza obelga, jaką czarny może obrzucić białego.

* Strom Thurmond – rasistowski gubernator Karoliny Południowej.

– Proszę pana, a gdybym wkurzył się na pana podczas treningu, czy też mam pana nazywać doktor George Washington Carver?

– Ty masz się do mnie zwracać trenerze Jefferson. Inaczej skopię ci dupsko. To jak, King? Myślisz, że reszta białych chłopaków będzie u mnie grała?

– Tak, proszę pana. Ja to wiem.

– Skąd ta pewność?

– Bo uwielbiają tę grę. I sędzę, że nasze mecze w piątkowe wieczory podobają im się o wiele bardziej niż segregacja rasowa.

*

Następnego dnia, punktualnie o dziewiątej rano, stałem na południowym skraju stadionu Johnsona Hagooda i patrzyłem, jak Ike Jefferson nadchodzi z północnego krańca. Powoli zbliżaliśmy się do

siebie, tak że spotkanie wypadło na linii pięćdziesięciu jardów. Między nami panowała dziwna nieufność. Ike nie uśmiechnął się, nie podał mi ręki ani nie powiedział „cześć”. Żuł gumę i podrzucał piłkę na znak, że ma mnie gdzieś. Rzucił ją nieustannie, łapał jedną ręką i podrzucał ponownie.

– Przyniosłeś plan ćwiczeń od ojca? – zapytałem go.

– Zdaje się, że zapomniałem, biały chłopcze. – Spojrzał na mnie po raz pierwszy.

– Rany, Ike. To „biały chłopcze” nie zabrzmiało najlepiej, stary.

– Bo wcale nie miało takie być.

– Skoro zapomniałeś wziąć instrukcji trenera, to co robimy? Może przebiegniemy kilka okrążeń na rozgrzewkę? Chyba że wolisz rytmikę?

– Rób to, co lubią biali – odburknął.

– Ike, wiedziałem, że integracja będzie upierdliwa jak cholera – powiedziałem. – Wierz mi. Ale myślałem, że będę miał więcej kłopotu z moimi białymi ówokami niż z czarnymi.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem, biały chłopcze.

– Hej, doktorze George'u Washingtonie Carverze juniorze, jeśli nadal będziesz mnie nazywał „białym chłopcem”, to ci się odwzajemnię słowem, które na Południu ma długą tradycję i rymuje się z imieniem konia Roya Rogersa*.

* Roy Rogers (właśc. Leonard Franklin Slye) – piosenkarz i aktor zwany „Królem Kowbojów”. Jego koń, z którym wystąpił w ponad stu filmach, miał na imię Trigger (Cyngiel), co rymuje się z *nigger* (czarnuch).

– Coś ty taki porywczy, Stromie Thurmondzie? – odrzekł.

– Nabijasz się ze mnie, doktorze George'u Washingtonie Carverze juniorze.

– Troszeczkę, Strom. Ty nie bądź taki drażliwy, co? Chciałeś mi przyłożyć, może nie?

– No. Jeszcze jak.

– A nie boisz się, że skopię ci dupsko?

– Trochę. Ale chciałem wyprowadzić pierwszy cios, kiedy rzucisz piłkę w powietrze. Zanimby spadła, złamałbym ci szczękę.

– Dałbyś radę pobić któregoś z białych chłopaków w tej twojej szkole?

– Niewielu – przyznałem. – Nie jestem nawet pewny, czy dałbym radę większości białych dziewcząt.

Ike zaskoczył mnie, nagle szeroko się uśmiechnął. Rzucił mi piłkę.

– Wiesz co, Strom, obawiam się, że zanim skończymy, może cię nawet polubię.

– Oby nie – odciąłem się, rzucając mu piłkę z boku.

Ike wyciągnął z tylnej kieszeni spodni kartkę z planem ćwiczeń spisanych przez jego ojca. Przeczytawszy ją, gwizdnąłem.

– On chce nas wykończyć.

– Jego zawodnicy zawsze są w lepszej kondycji niż gracze drużyny przeciwnej – wyjaśnił Ike. – Zaczniemy od dziesięciu okrążeń boiska, Strom.

– Z miłą chęcią, doktorze George'u Washingtonie Carverze juniorze.

– Pewnie spodoba ci się widok mojego tłustego tyłka przed tobą. I puścił się biegiem.

– Widzisz, i właśnie tego ty i twój ojciec o mnie nie wiecie – rzekłem. – Może i wyglądam na matoła, ale biegam bardzo szybko.

Popędziłem za nim i przez godzinę uprawialiśmy sprinty oraz rozmaite ćwiczenia poprawiające zwinność, a co dwadzieścia minut robiliśmy pompki i przysiady. Pod koniec treningu weszliśmy na trybuny. Wziąłem Ike'a na barana i spróbowałem wbiec z nim na szczyt stadionu, ale po dwudziestu schodkach padłem z wyczerpania. Wróciliśmy do stóp schodów i teraz to Ike wziął mnie na plecy. Zanim padł, udało mu się wbiec na trzydzieści pięć stopni. Tego pierwszego dnia, skonani, ze śmiechem zataczaliśmy się na schodach, zlanii potem, zasapani i utytlani trawą.

To Ike wymyślił określenie „dźwiganie krzyża”. Po wyroku w procesie, który wytoczył Brown Kuratorium Oświaty*, wszyscy mieli wrażenie, jakby odbywali drogę krzyżową, gdy na chłopców takich jak ja i Ike oraz dorosłych takich jak moi rodzice czy trener Jefferson spadło szlachetne zadanie wprowadzenia tego w czyn.

* Chodzi o wyrok z 1954 roku, w którym Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych orzekł, że tworzenie osobnych szkół dla białych i Murzynów jest sprzeczne z konstytucją.

Dysząc w cieniu dolnych trybun, odezwałem się:

- George'u Washingtonie Carverze juniorze, masz kawał tłustego dupska. Może byś tak zrzucił parę kilogramów?
- Następnym razem, jak cię będę taszczył na górę, zdejmij te patrzalki – odgryzł się Ike. – Ile one ważą... dziesięć kilo?
- Jesteś słaby jak cienka herbata.
- Ja? Słaby? Jeżeli reszta białych chłopaków wygląda tak jak ty, to w tym roku złożą nam tyłek jak się patrzy.
- Ilu z twojej drużyny przechodzi do Peninsuli? – zapytałem.
- Z dziesięciu. Tata chciał ściągnąć jeszcze kilkunastu, ale wielu chłopaków chciało zostać w szkole w swojej dzielnicy. Tak jak ja. Ale twoja stara mianowała tu tatę trenerem i moje plany szlag trafił.
- Ike, nie chce mi się codziennie słuchać, jak kłapiesz dziobem. Zejdźmy na boisko, stoczmy walkę na pięści na linii pięćdziesięciu jardów. Miejmy to wreszcie z głowy, a potem wrócimy do ćwiczeń.
- Nie możemy się bić przed lunchem – odparł Ike. – Dzisiajjemy lunch u nas w domu, a nie chcę, żebyś zakrwawił nowy dywan matki.
- Kto powiedział, że jem lunch u was w domu?
- Mój tata – wyjaśnił Ike ze złością. – Nasz trener. W życiu nie jadałem z białymi chłopakami. Przy tobie każde żarcie pewnie smakuje jak sraczka.
- Postaram się, żeby ci się to śniło po nocach.

– Przez ciebie i tak już mam koszmary. A teraz weź się przy-
mknij. Nadchodzi tata.

Trener Jefferson stanął w wejściu dla wychowanków i powoli
podszedł do miejsca, gdzie siedzieliśmy przy dolnych trybunach.

– Wyglądacie, jakbyście się solidnie napracowali, chłopaki. Je-
steście całkiem mokrzy. I jak wam się układa?

– Na początku pański syn nie chciał mi nawet podać ręki, tren-
rze – odparłem. – Ale potem dogadaliśmy się świetnie.

– Dogadaliśmy się świetnie – powtórzył Ike. W jego głosie za-
brzmiała beczelna nuta, którą trener Jefferson natychmiast wy-
chwycił.

– Nie pyskuj, synu. – Przyjrzał się Ike'owi i dodał: – Powiedz
Leo, dlaczego nie chciałeś mu podać ręki, tylko gadaj prawdę. To nie
jest prośba... on musi się dowiedzieć.

– Odkąd skończyłem przedszkole, zawsze chodziłem do Brooks
– wyjaśnił Ike. – Myślałem, że w tym roku skończę tę szkołę. Od
dziecka bałem się białych ludzi. Ze strachu przed nimi robię w gacie.

– Powiedz mu dlaczego, Ike – polecił trener.

– Biały gliniarz z Walterboro zastrzelił mojego wujka Rushtona.
Wpakował mu kulkę w plecy i go zabił. Potem tłumaczył, że wuj mu
się odszczekiwał i groził. Skończyło się tak, że gliniarz dostał tylko
upomnienie.

– Mów dalej. Opowiadaj do końca.

– Wujek był głuchoniemy. W życiu nie powiedział ani słowa –
dodał Ike, a potem zaskoczył nas obu, wybuchając płaczem, gniew-
nym płaczem, choć za wszelką cenę starał się ukryć łzy.

– W życiu nie słyszałem równie okropnej historii – wybąkałem
zbity z tropu, ale najzupelniej szczerze.

– Co prawda, to prawda – przytaknął trener. Objął nas w ramio-
nach i poprowadził na północny skraj boiska. Przez chwilę szliśmy w
mileniu, czekając, aż Ike opanuje wzruszenie.

– Mianuję was obu współkapitanami drużyny Renegatów z liceum Peninsula na najbliższy sezon – oznajmił trener.

– Trenerze, z zeszłorocznej drużyny wraca wielu chłopaków, którzy grają w futbol o wiele lepiej niż ja – powiedziałem. – Sługus Ledbetter jest jednym z najlepszych obrońców w całym stanie.

– Nie twierdzę, że ciebie jako pierwszego wybrałem na białego współkapitana, King. Prawdę mówiąc, zadzwoniłem do Sługusa, żeby powierzyć mu tę zaszczytną funkcję. Jest lepszym graczem niż ty. Widziałem wszystkie filmy.

– I co powiedział? – zainteresowałem się.

– Ani słowa, w każdym razie nie do mnie. Jego ojciec dowiedział się, kim jestem, i oświadczył, że nie życzy sobie, żeby jakiś jebany czarnuch wydzwaniał do niego do domu. Zapewniłem go więc, że to się nie powtórzy. Zadzwoniłem do dwóch innych białych graczy, z takim samym skutkiem. Będziemy mieli fart, jeśli uda nam się w tym roku sklecić zespół. Ale to ty jesteś moim białym współkapitanem, a Ike jest czarnym. Chłopaki, razem przejdziemy do historii. Przez całe lato, z wyjątkiem niedziel, macie się spotykać codziennie o dziewiątej rano. Trener Red Parker powiedział, że możemy korzystać z siłowni w Cytadeli. Chal Port opracuje wam specjalne ćwiczenia z ciężarkami, a ja wycisnę z was na treningu siódme poty. Będziecie zdychali ze zmęczenia. Mnie przy tym nie będzie, to wbrew przepisom. Ale ufam wam, chłopaki, daję za was i głowę, i moją pracę. Kiedy zaczną się rozgrywki, to wy będziecie tymi ogierami, na których grzbietach wjadę za końcową linię.

Spojrzałem na Ike'a.

– Pokonam cię na siłowni – zapowiedziałem.

– Niedoczekanie, biały złamasie – odciął się.

– Biegiem, synu! – warknął trener. – Pięć okrążeń.

– Zapomniałem, tato.

– Zdaje się, że doktor George Washington Carver junior ma kiepską pamięć, trenerze.

– Pocałuj mnie w dupę! – rzucił Ike, po czym dodał: – Stromie Thurmondzie.

Obaj roześmialiśmy się i pobiegłem za Ikiem.

– King, nie biegnij! Ty nie dałeś dupy! – zawołał trener.

– Jeśli mój współkapitan biegnie, ja też biegnę! – odrzyknąłem.

– Zgoda, trenerze?

– Niech ci będzie. – Cisnął kapelusz na ziemię. – Na mój gust to wygląda na początek sakramenckiej drużyny.

Zanim lato dobiegło końca, wnosiłem Ike'a Jeffersona na szczyt stadionu Johnsona Hagooda i znosiłem na boisko dwa razy z rzędu. Ike był silniejszy, więc udało mu się wtaszczyć mnie na górę trzy razy, ale padł na ostatnim stopniu. I chociaż nigdy wcześniej nie zaznałem takich katuszy fizycznych, w sierpniu, kiedy zaczęły się rozgrywki, Ike i ja byliśmy gotowi na dwieście procent. Zaskoczeniem tego lata było to, że wyrosłem na silnego i potężnego młodego człowieka. Wszystkimi najbardziej wstrząsnął jednak fakt, że Ike Jefferson i ja do końca życia pozostaliśmy serdecznymi przyjaciółmi.

ROZDZIAŁ 4

Śródmieście

Kilka dni po Dniu Blooma, idąc Broad Street, zauważyłem, że Henry Berlin zdejmuje centymetrem miarę z ramion jakiegoś klienta. Zapukałem w szybę witryny sklepu odzieżowego. Berlin postawił znak kredą, pomachał mi ręką i zawołał: „Witaj, kryminalisto!”. To złośliwe, acz dobroduszne pozdrowienie zawsze doprowadzało mnie do śmiechu. Nie zapomniałem, że Henry Berlin jako jeden z pierwszych dorosłych mieszkańców Charlestonu powitał mnie z otwartymi ramionami, gdy po burzliwym tygodniu powróciłem do życia jako najślynniejszy anonimowy handlarz narkotyków w hrabstwie. Wprawdzie w „News and Courier” nie mogli podać mojego nazwiska, bo byłem nieletni, ale tego miesiąca w rozmowach na choćby najbardziej obojętne tematy na każdej ulicy i w każdej restauracji zawsze pojawiał się Leo King. Nazywając mnie „kryminalistą”, pan Berlin jako pierwszy pomógł mi wyjść z kłopotliwej sytuacji, bo dzięki niemu mogłem się śmiać sam z siebie.

Normalnie zatrzymałbym się i z nim pogadał, ale miał klienta i był zajęty, a mnie śpieszyło się na spotkanie z psychiatrą Jacqueline Criddle, która traktowała punktualność równie poważnie jak zegarmistrz. Potruchtałem więc do jej gabinetu nad antykwariatem. Wbiegłem w zaułek i wszedłem rozpadającymi się schodami na pierwsze piętro, do klimatyzowanego gabinetu – oazy dobrego smaku i spokoju

w samym sercu śródmieścia. Z głośników sączyła się muzyka grana na sitarze. Kiedy po raz pierwszy tu wszedłem, byłem świeżo po traumatycznej rozprawie w sądzie dla nieletnich. Minął ponad rok, zanim zacząłem doceniać przywodzący na myśl lasy deszczowe spokój panujący w tym pomieszczeniu pachnącym hiacyntami i paprociami. Po wyboistym początku z czasem nabrałem szacunku dla umiejętności doktor Criddle, która z bezgraniczną troską zaczęła zaprowadzać porządek w moim życiu.

Nad drzwiami gabinetu bezdźwięcznie rozbłysło zielone światło. Wszedłem i od razu ruszyłem do fotela z zielonej skóry, w którym zawsze siadałem naprzeciwko terapeutki.

- Dzień dobry, pani doktor – przywitałem się.
- Dzień dobry, Leo – odpowiedziała.

Mimo że byłem nastolatkiem uwięzionym w tym nieznośnym stanie nieporadności i niewyrobienia towarzyskiego, uważałem, że wszystkie kobiety po trzydziestce są już w okresie przekwitania i tylko patrzeć, jak zlegną na łożu śmierci. A jednak nie umknęło mojej uwagi, że doktor Criddle jest niezwykle atrakcyjną kobietą o godnej podziwu figurze i zgrabnych nogach.

– No i co tam słyhać, panie Leo King? – Przejrzała kilka kartek z moich akt.

Dobrze zastanowiłem się nad odpowiedzią.

- Wspaniale, pani doktor.

Podniosła głowę i obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem.

– Spędziliśmy razem tyle czasu, a nigdy nie słyszałam od ciebie czegoś takiego. Czy coś się stało, Leo?

– Mam wrażenie, że jestem w środku udanego tygodnia. Może nawet bardzo udanego.

- Ho, ho! Zaraz. Nie tak prędko. Mówisz, jakbyś był naćpany.

– Czuję się tak wspaniale... – Przerwałem na chwilę. – Polubiłem nawet trochę swoją matkę.

Moja pani doktor parsknęła śmiechem.

- No, teraz to już niewątpliwie masz halucynacje.

– Stwierdziłem, że jest mi jej żal. Naraziłem rodziców na ciężkie przejścia. Wiedziała pani, że matka była kiedyś katolicką zakonnicą?

– Tak. Wiedziałam o tym.

– Dlaczego mi pani nie powiedziała?

– Nie poruszaliśmy tego tematu, Leo. Nigdy o tym nie wspominałeś.

– Dopiero co się dowiedziałem. Dlaczego sama mi się do tego nie przyznała?

– Pewnie uznała, że tylko pogorszyłyby twój stan.

– Może i tak. Ale trudno, żeby było gorzej niż wtedy, prawda?

– Było bardzo źle – przyznała doktor Criddle. – Ale przeszedłeś długą drogę. Jesteś dumą sądu dla nieletnich.

Roześmiałem się.

– Balsam na serce mojej matki.

– Ona naprawdę jest dumna z tego, co osiągnąłeś – zapewniła doktor Criddle. – Zrobiłeś wszystko, co nakazał ci sąd. A nawet o wiele, wiele więcej.

– Wszyscy dopilnowaliście, żebym miał pełne ręce roboty.

– Dzwonił dziś sędzia Alexander. Chce, żebyśmy wszyscy zakończyli nasze sprawy z tobą przed końcem lata.

– Zostało mi jeszcze sto godzin prac społecznych do odrobienia.

– Zmniejszył ci je do pięćdziesięciu.

– A co z panem Canonem? On mnie potrzebuje.

– Rozmawiałam z nim, Leo. Nie da się ukryć, spodziewał się, że zostaniesz jego osobistym służącym do końca życia, ale będzie musiał obejść się bez ciebie.

– Tak, mówił mi o tym.

– Cóż to za okropny człowiek! – fuknęła. – Kiedy przydzielili cię do niego, protestowałam, że to zbyt okrutna, niespotykana kara.

– On został sam jak palec – tłumaczyłem. – Oprócz mnie nie ma nikogo. Boi się pokazywać ludziom z dobrej strony. Nic, tylko oczekuje kłopotów, które nigdy na niego nie spadają. Jestem mu

wdzięczny. Wam wszystkim. A zwłaszcza pani, pani doktor.

– Zrobiłeś, co do ciebie należało, Leo – powiedziała. Czuję, że chowa się w skorupie jak nadeptany w lesie żółw skrytoszyjny. – Ja tylko ułatwiłam ci terapię. Nie zapominaj, że zostałam wyznaczona do tego przez sąd.

– Pamięta pani, jaki byłem, kiedy po raz pierwszy przyszedłem do tego gabinetu z rodzicami?

– Jedna wielka kupka nieszczęścia.

– Jak wielka?

Wzięła moje akta z blatu stołu stojącego między nami. Były tak grube, że za każdym razem, kiedy je wyciągała, ogarniało mnie złowieszcze uczucie. W moich oczach kartoteka stanowiła beznamienny brewiarz, złośliwie spisany przez najbardziej przebiegłego wroga z okresu mojego dzieciństwa – przeze mnie samego.

– Posłuchaj, jak cię wtedy opisałam: *Wydaje się, że Leo King jest przerażony, pogrążony w depresji, wylękniony, zawstydzony, ma mętlik w głowie i zapewne myśli samobójcze.*

– I nie brakuje go pani? – zapytałem.

– Nie, wcale. Ale dotarcie do punktu, w którym jesteśmy teraz, wymagało mnóstwa pracy. Nigdy nie trafił mi się chłopak w wieku dojrzewania, który tak ciężko harował, żeby wyzdrowieć. Tamtego dnia twoja matka wyglądała, jakby chciała cię zabić. A twój tata sprawiał wrażenie, że ma ochotę uciec z tobą na koniec świata, nie zostawiając nikomu adresu. Taka tu wtedy panowała udręka. To było prawie trzy lata temu.

– Obserwowała pani wtedy moją matkę – przypomniałem sobie.

– Ona robi wrażenie. To dobra kobieta, ale tamtego dnia przytłoczyła i ciebie, i twojego tatę.

– Od tamtej pory nic się nie zmieniło – poinformowałem ją. – Wciąż nie gramy w tej samej lidze.

– Ale opanowałeś strategię, jak sobie z nią radzić. I jak z nią pracować. Pamiętasz, co twój tata zrobił tamtego dnia?

– Płakał bitą godzinę. W ogóle nie mógł przestać. Powiedział, że obwiniam go o śmierć Steve'a.

– Bo mu to zarzucałeś... przynajmniej w pewnym stopniu.

– Pani doktor, to była jedyna wskazówka, jaką miałem. Tydzień przed śmiercią Steve spał, kiedy usłyszałem, jak krzyczy: „Nie, ojczy! Proszę cię, nie!”. Obudziłem go, a wtedy powiedział mi, że przyśnił mu się koszmar. Zbył to śmiechem. A krótko potem nie żył.

– Nie widziałam ojca, który kochałby syna tak, jak on kocha ciebie, Leo.

– Ale mojej matki nigdy pani nie lubiła.

– Nie przypisuj mi słów, których nie powiedziałam – zaprotestowała.

– Zgoda, pani doktor. Ale uczyła mnie pani, żebym zawsze mówił prawdę. Inaczej terapia nie będzie warta funta kłaków. Dokładnie tak się pani wyraziła. A zatem powtarzam coś, co w moim przekonaniu jest prawdą: pani nie lubi mojej matki.

– Moje zdanie na jej temat nie ma tu nic do rzeczy. Liczy się to, co ty o niej myślisz.

– Pogodziłem się z nią.

– To wielkie osiągnięcie. Czasami jest to najlepsze wyjście. Stałeś się cierpliwy i wyrozumiały wobec mamy. Nie jestem przekonana, czy na twoim miejscu byłabym do tego zdolna.

– Bo to nie pani matka.

– Bogu dzięki! – westchnęła doktor Criddle i oboje parsknęliśmy śmiechem.

*

Zmierzając King Street na północ, przeszedłem przez jezdnię w niedozwolonym miejscu – kierowałem się do antykwariatu Harringtona Canona, usytuowanego naprzeciwko kina Sottile. Ponieważ cierpiałem na typową dla chłopaków z Południa przypadłość polegającą na tym, że chcieliśmy być lubiani przez wszystkich dookoła, miałem dylemat dotyczący pana Canona, którego nijak nie sposób

było zadowolnić. Nie musiałem sobie zawracać głowy tym, czy będzie w dobrym humorze – całe jego życie stanowiło hymn na cześć paskudnego nastroju. Nasze pierwsze wspólne tygodnie były wręcz koszmarnie i nieprędko przywykłem do jego szorstkiego obejścia. Nie przejmowałem się tym, że żył, jakby dźwigał na głowie koronę cierniową, lecz tym, że umiłował te ciernie i nie zamierzał tego zmieniać.

Kiedy stanąłem w progu sklepu, panowały tam takie ciemności, że moje oczy musiały się przyzwyczaić do mroku, zanim zobaczyłem go, siedzącego przy angielskim sekretarzyku pod ścianą na wprost drzwi, z głową przywodzącą na myśl puchacza.

– Pocisz się jak wieprz z głębi kraju – oświadczył na powitanie. – Idź się umyć, inaczej poplamisz płynami ustrojowymi mój cenny towar.

– Siemanko, panie Canon. U mnie wszystko kapitałnie, a co! U mojej rodziny też. Dzięki za zainteresowanie, to miłe z pańskiej strony.

– Jesteś niczym więcej, jak tylko białą hołotą, Leo. To smutny fakt, którego będziesz gorzko żałował. Do głowy by mi nie przyszło, żeby dopytywać się o twoją rodzinę. A to dlatego, drogi panie, że oni, podobnie jak ty, nic dla mnie nie znaczą.

– Czy wieprze z głębi kraju pocą się bardziej niż te z okolic Charlestonu? – zapytałem.

– Wieprze ze stanów nadmorskich są zbyt dobrze wychowane, żeby się pocić.

– Widziałem, że pan też się pocił. Dużo bardziej niż wieprze z głębi kraju.

– Sugerowanie czegoś podobnego to czyste draństwo. – Spojrzał na mnie przez okulary, których szkła były równie grube jak moje. – Charlestończycy nigdy się nie pocą. Czasami tylko pokrywamy się rosą jak krzaki hortensji albo dobrze utrzymany trawnik.

– Hm, pan z pewnością „pokrywa się rosą” co niemiara. Zawsze myślałem, iż to dlatego, że ma pan węża w kieszeni i nie zgadza się

na włączenie klimatyzacji w sklepie.

– Aha, nawiązujesz do tego, że jestem roztropny, do mojej godnej podziwu oszczędności.

– Nie, proszę pana. Nawiązuję do pańskiego skąpstwa. Kiedyś mi pan powiedział, że potrafi wycisnąć każdego centa tak, że Lincolnowi poszłaby krew z nosa.

– Lincoln, ten wielki antychryst. Hańba Południa. Z miłą chęcią załatwiłbym mu coś więcej niż tylko krwotok z nosa. Moim zdaniem jednym z najbardziej niedocenionych amerykańskich bohaterów jest John Wilkes Booth*.

* John Wilkes Booth – aktor szekspirowski, zabójca prezydenta Abrahama Lincolna.

– A jak tam pańskie stopy?

– Odkąd to zostałeś dyplomowanym lekarzem, mój panie? – prychnął. – Ostatnim razem, kiedy patrzyłem na moje stopy, należały tylko i wyłącznie do mnie. Nie przypominam sobie, żebym ci je oddał wraz z dowodem sprzedaży.

– Proszę pana – powiedziałem, zmęczony już tym tematem. – Wie pan doskonale, że pański lekarz kazał mi pilnować, żeby moczył pan stopy w gorącej wodzie z solą gorzką. Martwi go, że w ogóle pan o siebie nie dba.

– To skandaliczne naruszenie tajemnicy lekarskiej – oświadczył pan Canon. – Zastanawiam się, czy nie zgłosić tego do Izby Lekarskiej i nie zażądać, żeby zakazali mu wykonywania zawodu. Nie miał prawa zdradzać tak intymnych szczegółów z mojego życia pospolitemu przestępcy.

Lawirując wąskim przesmykiem między komodami i serwantkami, dotarłem do wystrzępionej zasłony, za którą mieściła się zdezelowana kuchnia. Puściłem gorącą wodę, odczekałem, aż zaczęła parzyć mi ręce, po czym do połowy napełniłem emaliowaną miednicę. Wsypałem do niej filiżankę soli gorzkiej i wróciłem do biurka pana Canona dużo wolniejszym krokiem. Swego czasu rozlałem

gorącą wodę na jeden ze stołów, które sprzedawał po znacznie zawyżonej cenie, na co zareagował tak, jak bym uciął kciuk dzieciątku Jezus. Jego humory były łatwo przewidywalne – wahały się od zmienności nastrojów do porywczosci. Dzisiaj wyglądało na to, że nie jest tak źle, więc spodziewałem się jedynie drobnych uszczypliwości.

– Nie zanurzę stóp w tej lawie – oświadczył, zaciskając usta w wąską kreskę.

– Ostygnie w trzy miga – uspokoiłem go, spoglądając na zegarek.

– W trzy miga... Czy to jednostka czasu? Mieszkam na Południu już ponad sześćdziesiąt lat, ale jakoś nie słyszałem o czymś takim jak „trzy miga”. A może w tej podrzędnej szkole publicznej, do której uczęszczasz, nauczyłeś się jakiegoś obcego języka?

Palcem wskazującym sprawdziłem temperaturę wody i w tym momencie usłyszałem ryk pana Canona:

– Bądź łaskaw nie zanieczyszczać mojego brodzika zarazkami ze szkolnego podwórka! Może i jestem pedantyczny jak stara panna, ale do kwestii higieny podchodzę z najwyższą powagą.

– Niech pan tu wsadzi swoje śmierzące stopki, panie Canon.

Patrzyłem, jak ściąga eleganckie mokasyny z tłoczonej skóry. Kiedy zanurzył stopy w gorącej wodzie, jęknął z rozkoszy.

Znowu spojrzałem na zegarek.

– Dziesięć minut, a potem wracam i wysuszę panu stopy swoimi włosami. Zupełnie jak Maria Magdalena.

– Mógłbyś dziś pozamiatać za mnie, Leo? A jeśli starczy ci czasu, chciałbym, żebyś wypolerował te dwa angielskie kredensy stojące przy wejściu do sklepu. Byle porządnie i z należnym szacunkiem. One jak mało co świadczą o wyższości Matki Anglii.

– Chętnie, proszę pana. A potem na jednej nodze wracam zmienić panu wodę.

– Na jednej nodze? Nie zauważyłem, żebyś okulał. A może chcesz dokonać samookaleczenia? Albo zamierzasz bawić się w

cyrkowca? Skoro upierasz się, żeby mówić do mnie po angielsku, Leo, to wiedz, że od swoich pracowników wymagam choć odrobiny precyzji.

Chwyliłem miotłę i śmietniczkę.

– Nie jestem pańskim pracownikiem – wyprowadziłem go z błędu. – W ramach kary sąd w Charlestonie uczynił ze mnie pańskiego niewolnika. Spłacam dług wobec społeczeństwa, sprząając pański cuchnący antykwariat i myjąc pana śmierdzące nogi. Pan przecież jest zwolennikiem niewolnictwa.

– Uwielbiam je! Od dziecka wiedziałem, że tak będzie. Moja rodzina przez stulecia miała setki niewolników. Niestety, Lincoln ogłosił Proklamację Emancypacji. Niestety, bitwa pod Appomattox została przegrana. Niestety, nastąpiła rekonstrukcja. Urodziłem się w epoce „niestety”. A kiedy uznałem, że nic gorszego nie może mnie już spotkać... pojawił się Leo King, niestety. – Wybuchnął rzadkim u niego śmiechem. – Zdecydowanie wołałem, jak trzęsły ci się nogi, kiedy wchodziłeś do tego sklepu. Uwielbiam ten gruczołowy, nikczemny zapach strachu wydzielany przez klasę służących. Ale w końcu mnie rozgryzłeś, Leo. Przeklinam dzień, w którym do tego doszło.

– Ma pan na myśli dzień, kiedy odkryłem, jaki z pana mięczak?

– Tak, właśnie ten dzień, ten przeklęty dzień! W jakże nietypowej dla mnie chwili słabości opuściłem gardę – przyznał pan Canon. – Nie cierpię tych pierwotnych uczuć, całej tej sentymentalnej mowy-trawy. Wziąłeś mnie z zaskoczenia, kiedy straciłem czujność. Nie mogłeś o tym wiedzieć, ale tego dnia byłem pod wpływem silnych lekarstw. Nie byłem sobą, a ty wykorzystałeś moją niedyspozycję.

– Przyniosłem panu kartkę z okazji Dnia Ojca – powiedziałem. – A pan się rozplakał jak dziecko.

– Nic podobnego.

– A właśnie że tak. Dzień Ojca znowu się zbliża. I znów dostanie pan ode mnie kartkę.

– Zabraniam! – warknął.

– Niech mi pan poleci po pensji. – Ruszyłem schodami do czekających mnie pięciu funtów charlestońskiego kurzu. Pan Canon zapewnił mnie, że kłęby pyłu, w których pracuję, są arystokratyczne, uświęcone historią rodzin, dzięki którym moje miasto jest tak przepiękne i wspaniałe.

Dwukrotnie zmieniałem wodę i dosypywałem soli gorzkiej, żeby mógł porządnie wymoczyć swoje niezgrabne platfusy. Poszedłem do łazienki po rozmaite olejki i maści, które wtarłem w jego opuchnięte stopy. Jako człowiek niezwyklej wstydlivosti, zawsze wzbudzał we mnie poczucie, że jestem gwałcicielem najgorszego sortu, gdy przysuwałem sobie krzesło i wycierałem mu stopy delikatnymi ręcznikami z monogramem – spadkiem sprzed wielu lat po rodzinie, która od dawna nie żyła. Była to jednak część reżimu narzuconego przez lekarza i gdybym nie wymasował przedpotopowych stóp pana Canona, nie zaliczyłby mi pracy społecznej. Ten element cotygodniowego rytuału zawsze starał się maksymalnie udramatyzować.

– Zostaw moje stópki w spokoju, szubrawcze! – burknął.

– To należy do moich obowiązków, proszę pana – odparłem. – A pan zawsze mi to utrudnia. Ale obaj wiemy, że pan to lubi. Dzięki temu pańskim stopom jest przyjemnie.

– Nie wymyślaj słów, które nigdy nie padły z moich ust, chłopcze.

Złapałem jego prawą stopę, zarzuciłem sobie na kolano i dokładnie ją wytarłem. Ta poufałość wytrącała go z równowagi – kiedy zająłem się jego lewą stopą, zakrył głowę ręcznikiem.

– Za tydzień trzeba będzie się zająć pedikiurem. – Obejrzałem jego palce stóp. – Ale w tym tygodniu pańskie małe palce wyglądają całkiem nieźle.

– Panie, czym sobie na to zasłużyłem? – jęknął. – Żeby pospolity przestępca wychwalał moje stopy!

Zacząłem nakładać krem z aloesu i eukaliptusa i masować mu

stopy od pięt po czubki palców. Czasami jęczał z rozkoszy, a czasami z bólu, jeśli ucisnąłem zbyt mocno. Za cel stawiałem sobie masowanie jego stóp dopóty, dopóki nie odzyska krążenia i nie nabiorą zdrowego koloru... a w każdym razie taki cel postawił mi jego lekarz. Pan Canon miał rwę kulszową i chory kręgosłup, nie mógł więc zgąć się tak, żeby dotknąć swoich stóp. Wiedział, że moje starania dobrze wpływają na jego zdrowie fizyczne, nawet jeśli obrażam jego przesadne poczucie wstydlivości.

– W zeszłym tygodniu dzwonił do mnie doktor Shermetta – poinformowałem go.

– Jak mi Bóg miły, nie pojmuję, jak mogłem się oddać w ręce Ukraińca.

– Ten Ukrainiec chce, żebym robił panu prysznic. Od tej pory mam obowiązek spryskiwać całe pańskie ciało. – Uśmiechnąłem się do jego owiniętej rącznikiem głowy.

– Tylko spróbuj, a wpakuję ci kulkę między oczy! Co za koszmar! Proszę, i oto jak skończyłem. A kiedy już się napatrzę, jak dogorywasz w agonii, wezwę taksówkę, pojedę do szpitala Ropera i załatwię tego parwениuszowskiego Ukraińca na cacy. A na koniec zabiję się jednym strzałem w głowę.

– A więc nie podoba się panu pomysł z prysznicem? Czy zapisałby pan swoje zwłoki dla celów naukowych?

– W tym celu Bóg stworzył nędzarzy. Moje ciało spocznie w rodzinnym grobowcu pośród dystyngowanych przodków na cmentarzu Magnolia.

– Jak bardzo dystyngowani są pańscy przodkowie, proszę pana? – zakpiłem.

Wyczuł drwinę w moim głosie i zagrzmiął:

– Canonowie? Canonowie?! Wystarczy otworzyć pierwszą lepszą książkę o historii Karoliny Południowej, a nawet analfabeta dostrzeże moje rodowe nazwisko. Przy nich twoja żalonna rodzina wygląda jak Haitańscy, Portorykańscy albo nawet Ukraińcy.

– Pański podiatra musi już iść – oznajmiłem. – Proszę pamiętać o odmawianiu modlitwy. I o czyszczeniu zębów nicią dentystyczną.

– Po czym dodałem ostrzegawczo: – Już niedługo spłacę swój dług wobec społeczeństwa.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał.

– Sędzia Alexander zmniejszył mi prace społeczne ze stu godzin do pięćdziesięciu.

– Toż to absurd! W tej chwili dzwonię do sędziego. Złapali cię z kokainą w takiej ilości, że wystarczyłoby dla całego getta w Charlestonie na tydzień.

– Do zobaczenia w przyszły czwartek. Coś panu przynieść?

Ruszyłem do drzwi frontowych.

– Owszem, Leo. Spróbuj mi przynieść oznaki dobrego wychowania, porządnego rodowodu, biegłego opanowania drobnych grzeczności i o wiele większego szacunku dla starszych.

– Załatwione.

– Bardzo mnie rozczarowałeś. Myślałem, że zdołam coś z ciebie wykrzesać. Niestety okazałeś się fatalną pomyłką.

– To dlaczego trzyma pan moją kartkę z okazji Dnia Ojca w górnej szufladzie biurka po prawej stronie?

– Jesteś kawał łajdaka i szubrawca! – krzyknął. – Żeby twoja noga więcej nie przestąpiła progu tego sklepu, bo każę cię aresztować!

– Widzimy się w przyszły czwartek, Harrington.

– Jak śmiesz?! To szczyt bezczelności zwracać się do mnie po imieniu! – A potem, ciszej, dorzucił: – Leo.

ROZDZIAŁ 5

Wychowany przez zakonnice

Poszedłem Ashley Street na północ, w kierunku akademii medycznej i szpitala Świętego Franciszka, gdzie urodziliśmy się i ja, i mój brat. Przy starej kaplicy Porter-Gaud skręciłem w prawo, potem znów w prawo w Rutledge i dotarłem na parking, gdzie przypiąłem rower do klamki buicka matki. Tablica z napisem: MIEJSCE DLA DYREKCJI napełniła mnie dumą z drugiej ręki, gdy zmierzałem do szkoły, która stała się dla mnie bezpiecznym portem. Wstąpiłem do liceum Peninsula okryty hańbą. Wiedziałem, że właśnie o tym matka chce ze mną pogadać, skoro zbliża się ostatni rok mojej nauki.

Siedząc sztywno wyprostowana przy biurku, wyglądała, jakby potrafiła poprowadzić niszczyciel do walki.

- Sądziłam, że wiesz, iż byłam zakonnice – powitała mnie.
- Nie. Nigdy mi o tym nie mówiłaś.
- Byłeś już wystarczająco dziwny. Nie chciałam powiedzieć czegoś, co dałoby ci pretekst, żeby robić z siebie jeszcze większego cudaka. Zgodzisz się ze mną, że byłeś dziwadłem?
- Ty nigdy nie byłaś ze mnie zadowolona, matko – odparłem, patrząc przez okno na samochody sunące Rutledge Avenue.
- To twoja błędna teoria, nie moja. I patrz mi prosto w oczy. – Otworzyła teczkę zajmującą stałe miejsce na jej biurku i przez dłuższą chwilę studiowała akta z taką miną, jakby coś jej śmierdziało pod

nosem. – Nie wyróżnił się pan jako uczeń liceum, panie King.

– Jestem twoim synem, matko. Wiesz, że nienawidzę, kiedy udajesz, że nie jesteśmy spokrewnieni.

– Traktuję cię tak samo jak każdego innego ucznia w tej szkole. Jeśli ukończysz liceum z kiepskimi stopniami, żadna wyższa uczelnia cię nie przyjmie.

– Na jakąś się dostanę – obiecałem.

– Na taką, którą ja uważam za dobrą?

– Gdyby mnie przyjęli na Harvard, uznałabyś, że wszystkie najlepsze uniwersytety obniżyły poziom.

– Żadna dobra uczelnia nawet na ciebie nie spojrzy. – Sprawdziła moje stopnie, cmokając. Cmokanie jest ojczystym językiem zakonnic i nauczycielek w koszmarnie kiepskich szkołach publicznych.

– Na cztery możliwe punkty twoja średnia ocen wynosi dwa koma cztery. Poniżej przeciętnej. Na egzaminie decydującym o przyjęciu na studia uzyskałeś niecały tysiąc punktów. Masz wielki potencjał, jak dotąd jednak zmarnowałeś najlepsze lata życia. Stopnie z dziesiątej klasy obniżyły twoją średnią.

– Miałem kiepski rok, matko.

– Ja bym powiedziała, że skandaliczny. – Podniosła jedną kartkę i pchnęła ją w moją stronę po blacie biurka. Rozpoznałem ten dokument i zignorowałem go. – Oto kopia nakazu aresztowania wydane-go w nocy trzydziestego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku. Tej samej, gdy w kieszeni twojej sportowej marynarki znaleziono pół funta kokainy. Ten czterdziestostronicowy dokument to protokół z rozprawy przed sądem dla nieletnich. Tu mam doroczne sprawozdania twojego kuratora. Z kolei te papiery pochodzą od psychoterapeutki, tej miłości twojego życia.

– Doktor Criddle bardzo mi pomogła.

– To są listy od sędziego Alexandra, w których opisuje twoje postępy – ciągnęła. – Tu mam jeszcze inne listy opisujące prace

społeczne, które wykonywałeś, żeby uniknąć odsiadki w zakładzie poprawczym.

– Przykro mi, że naraziłem rodzinę na takie przykrości. Ale wszystko to już wiesz.

Odchrząknęła (kolejna sztuczka zakonnicy) i oświadczyła:

– Tamta noc będzie się ciągnąć za tobą do końca życia.

– Popelniłem błąd, matko. Po tym, co się stało ze Steve'em, wciąż tylko zmieniałem szpitale psychiatryczne. Ale od jego śmierci minęło już sześć lat.

– Bądź łaskaw milczeć na temat swojego brata. To nie jego wina, że jesteś stuknięty.

– Zacząłem chodzić do Biskupa Irlandia w dziewiątej klasie. Wszyscy w szkole traktowali mnie jak świra. Dzieciaki denerwowały się w mojej obecności. Dostałem zaproszenie na imprezę, pierwszą imprezę, odkąd poszedłem do liceum. Ty i tata cieszyliście się, że znów będę normalnym dzieciakiem. A tam popijali i w końcu przyjechała policja. Chłopak z drużyny futbolowej wsadził mi coś do kieszeni i poprosił, żebym mu to przechował. Zgodziłem się. Pochlebiali mi, że ten gość z reprezentacji szkoły wie, jak się nazywam. No i wpadłem.

– Tak, a następnego dnia dyrektor szkoły cię wyrzucił, niwecząc marzenie twoich rodziców, żebyś uzyskał katolickie wykształcenie.

– To ty byłaś moją dyrektorką, matko. Sama wyrzuciłaś mnie z tego liceum.

– Postępowałam zgodnie z polityką szkoły. Tego samego dnia ustąpiłam ze stanowiska. Twój ojciec też zrezygnował. W ramach poparcia dla ciebie oboje rzuciliśmy się na miecze. A ty nas zdradziłeś, odmawiając wyjawienia policji nazwiska chłopaka, który podłożył ci kokainę.

– Nawaliłem.

– Gdybyś powiedział, kim jest tamten chłopak, nic złego by ci się nie stało.

- Wydanie go byłoby nie w porządku – powtórzyłem po raz setny.
- Ale podrzucenie narkotyków niewinnemu uczniowi pierwszej klasy przez chłopaka, który kończył szkołę, było na miejscu?
- Nie, postąpił bardzo źle.
- No, nareszcie to przyznałeś... po trzech latach.
- Nie powinien robić mi czegoś takiego. Teraz to rozumiem. Jestem starszy i widzę to w innym świetle.
- Nie musiało do tego dojść. – Podniosła głos. – Nie miałeś zielonego pojęcia, czym są narkotyki. Byłeś niewinny. Zostałeś paskudnie wykorzystany przez starszego chłopaka. Wszystko przez ten twój upór, przez to, że jesteś uparty jak osioł. Masz to po mnie. Jasna cholera, że po mnie odziedziczyłeś ten upór.
- Cóż za brak ogłady, siostrze Norberto. – Próbowałem zmniejszyć tym żartem cierpienie matki, ale i tak było mi jej żal.
- Przejdźmy do innego niemiłego tematu – powiedziała. – Siostra Scholastyka poinformowała mnie, że przez telefon byłeś wobec niej bezczelny.
- Wcale nie. Zaskoczyła mnie. Poprosiła do aparatu siostrę Marię Norbertę. Nie wiedziałem, że to twój kryptonim.
- Nie spodobał jej się twój ton. Wyczuła w nim sarkazm.
- Byłem dla niej miły – zaprotestowałem. – Myślałem, że to pomyłka.
- Wciąż powtarzam zakonnicom, które zostały w klasztorze, że wychowuję cię na feministę. – Jej głos skrzył się samozadowoleniem.
- Jestem jedynym chłopakiem na świecie, który potrafi obsługiwać maszynę do szycia Singera – powiedziałem. – Z czego wynika, że chciałaś mieć córkę.
- Nie podoba mi się, że coś podobnego w ogóle przyszło ci do głowy – odgryzła się. – Nauczyłam cię pożytecznych rzeczy, rzeczy, których sama uczyłam się podczas nowicjatu, chociaż ich nie znosiłam. Ale są pożyteczne.

– Jasne, cała drużyna futbolowa pokładała się ze śmiechu, kiedy się dowiedzieli, że uszyłem ci sukienkę. – Do dziś wstydzę się na samo wspomnienie tamtej chwili.

– Uszyłeś mi sukienkę z okazji Dnia Matki, kiedy byłeś w drugiej klasie. Nie masz pojęcia, jak się wtedy wzruszyłam. Do tej pory to moja ulubiona sukienka.

– Mów tak dalej, matko, a uszyję ci następną. Tyle że to ja wystąpię w niej na balu maturalnym.

Puściła moje słowa mimo uszu, schyliła się obok biurka i z teczki z cielęcej skóry wyjęła oprawioną w ramki fotografię. Postawiła ją pionowo przede mną i kazała mi się jej przyjrzeć.

– Wiesz, oczywiście, co to za zdjęcie.

– Stoi na komodzie ojca. Ale bardzo wysoko. Jako mały dzieciak ledwo je widziałem.

– Od urodzenia nie przejawiałeś ciekawości. W każdej chwili mogłeś poprosić, żeby ci pokazać to zdjęcie. A teraz je widzisz?

– Przedstawia ojca i jego rodziców, których nie poznałem, stojących obok nieznannej mi zakonnicy.

– Przyjrzyj się dobrze tej siostrze zakonnej.

Widziałem tę fotografię tysiąc razy, zawsze jednak dostrzegałem jedynie ojca stojącego na baczność między parą nieznanymi, którzy umarli, zanim się urodziłem. Zakrytą kapturem twarz zakonnicy przesłaniał cień – sztywna postać w średniowiecznym stroju, zgodnie z uświęconą tradycją anonimowa. Dopiero przy bliższym spojrzeniu objawiła mi się twarz matki. Niemal czułem, jak pole magnetyczne przyciąga moich rodziców do siebie. Przypominało to obserwację pornograficznego rozdziału mojej historii zapisanego atramentem sympatycznym. Poczulem się, jakbym był uwięziony w opowiedzianym tylko częściowo życiu, w świecie półkłamstw i zaskakujących strzępów kontrowersyjnych półprawd. Gapiłem się na fotografię, którą widywałem codziennie. Niemal padłem na kolana, gdy uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy zostaję wtajemniczony w zagadki jej sekretów i niejasności. Oto, czarno na białym, miałem przed sobą

dowód, że matka należała niegdyś do zakonu. Próbowałem rozwikłać skomplikowaną trygonometrię radykalnego konceptu, że milczenie bywa największym z kłamstw, jakie kiedykolwiek wypowiedziano. Tamtego dnia byłem jednak o wiele za młody i nieukształtowany, żeby w pełni pojąć tak głęboką myśl. Krążyła wokół mnie jak eter, podczas gdy ja znalazłem się pod obstrzałem miażdżącego spojrzenia matki.

– Matko, nie miałem pojęcia, że była z ciebie taka lala – odezwałem się w końcu.

– Dziękuję do entej potęgi, synu.

– Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. – Jeszcze uważniej przyjrzałem się zdjęciu. – Ty i ojciec zawsze byliście o wiele starsi niż rodzice innych dzieci.

– Już mając pierwsze dziecko, czułam się stara. A przy drugim jeszcze starsza.

– Przy drugim? Domyślam się, że chodzi o mnie.

– Dobrze się domyślasz – odpowiedziała matka bezbarwnym głosem, tym, który nie strzelał prawdziwymi nabojami ani niczym, co wydawało się prawdziwe.

– I przestałaś być zakonnica tak po prostu? Nie wiedziałem, że tak można.

– Bo nie można. Ojciec wszystko ci wyjaśni. Scedowałam to zadanie na niego. – Spojrzała na zegarek. – Właśnie na ciebie czeka.

*

Ojciec wręczył mi dwa pudła ze sprzętem wędkarskim, nasze ulubione wędki i kołowrotki oraz wiadro z żywą przynętą, którą złapałem, zarzucając sieć na krewetki w jeziorze przy estuarium nad Lockwood Boulevard – w jeziorze, które podczas silnego wiosennego przypływu zalewało podwórko za naszym domem. Przeszliśmy się do portu. Ojciec zrzucił cumy z miejskiego nabrzeża, gdzie trzymaliśmy małą łódkę do wędkowania, pociągnął rozrusznik małego silnika zaburtowego o mocy zaledwie piętnastu koni mechanicznych

i wypłynęliśmy na środek rzeki Ashley, ograniczającej od zachodu półwysep Charleston. Nadzialiśmy przynętę na haczyki i zarzuciliśmy wędkę po obu stronach łódki. Na wschodzie akurat pojawił się księżyc, błyszczący jak łyżeczka.

Ashley stanowiła dla ojca kryjówkę, warsztat pracy i azyl, gdzie mogliśmy przebywać ze sobą sam na sam, napawać się wzajemnie swoim towarzystwem i leczyć rany, jakie zadał nam świat. Z początku łowiliśmy w milczeniu, w pierwotnej ciszy rzeki stanowiliśmy tylko dryfujące sylwetki. Te wody były poematem, który mógł stworzyć jedynie czas. Obserwowałem ich strumień, ruch i nieustający pęd do domu, do oceanu. Słońce zachodziło szybko, na zachodnim horyzoncie rozciągał się sznur do wieszania bielizny pełen cirrusów, niczym boa z białego płótna, ustępujący złotej aureoli wokół głowy mojego ojca. Przez krótką chwilę rzeka odbijała złoty blask, po czym pociemniała, gdy za naszymi plecami wstał księżyc. Łowiliśmy w milczeniu, jak ojciec i syn, wpatrzeni w żyłki swoich wędek.

W bladym świetle błyszcząca postać ojca przypominała cesarza wyrytego na nieznanym monecie. W ruchu fal, w ciszy szlachetnych ojców i w bólu wywołanym śmiercią upalnego charlestońskiego dnia wzywał nas Atlantyck. Dzięki wędkowaniu mogłem pomyśleć, pomodlić się i posiedzieć z człowiekiem, który przez całe moje dzieciństwo ani razu nie podniósł na mnie głosu. Jako naukowiec uważał, że rola ojca sprowadza się do objaśniania, i dlatego, będąc jego synem, czułem się jak na korepetycjach. Nawet w koszmarnym okresie po śmierci Steve'a nigdy nie zwrócił się do mnie tonem, który pod każdym względem nie wyrażałby szacunku dla mojego chłopięcego wieku. Po pogrzebie Steve'a, gdy całymi dniami zachowywałem się jak obłąkany, uważał to za najzwyczajszą rzecz pod słońcem. I chociaż wkraczałem już w okres, kiedy prawie nie potrafiłem sobie przypomnieć wyglądu i głosu brata, to patrząc na twarz ojca, widziałem Steve'a siedzącego z nami w łodzi. Zwykle mina ojca wyrażała czułość, a jednak często wyraz jego twarzy podpowiadał mi, że on

także myśli o starszym synu. Zaciskał wtedy usta w wąską kreskę, jakby narysowaną od linijki. Miał wysokie, wydatne kości policzkowe, a krzaczaste symetryczne brwi były zakrzywione tak samo jak nos. Okulary ze szklami równie grubymi jak moje wyolbrzymiały oczy w odcieniu mahoni. Był życzliwy, nieco figlarny i nieprzytomnie zakochany w mojej matce. Ta wyprawa na ryby została zorganizowana specjalnie po to, by mi o tym powiedział, czekałem więc na zapadnięcie ciemności, żeby mógł zagaić. O ważnych rzeczach ojciec mówił mi tylko po ciemku i w taki właśnie wieczór, kiedy jako małe dziecko byłem na łodzi z nim i z bratem, przerwał, zadumał się nad wspaniałością zachodów słońca w Charlestonie, skąpanych w szkarłacie, westchnął i powiedział: „Ach, chłopcy. Patrzcie, oto Posiadłość nad Rzeką”.

Tego wieczoru wyruszyliśmy później niż zwykle – kiedy unoszeni prądem mijaliśmy port bazy straży przybrzeżnej, czerwień zniknęła z horyzontu, a niebo przybrało stalowoniebieski odcień. Podałem ojcu wędkę, chwyciłem za wiosła i cofnąłem łódkę na środek rzeki. Wyrównałem kurs i zaczęliśmy dryfować przed domami stojącymi wzdłuż Battery. Były oświetlone jak kina, dolatywały do nas odgłosy rozmów rodzin siedzących na werandach i gankach. W dole rzeki orkiestra kameralna rozgrzewała się przed skromną publicznością zebraną w ogrodach White Point. Z tej odległości dźwięki instrumentów przypominały rozmowy polnych myszy. Dwukrotnie rzuciliśmy kotwicę i w końcu popłynęliśmy z prądem w kierunku Fortu Sumter.

– Opowiedz mi o tym telefonie od siostry Scholastyki, synu – poprosił ojciec, gdy stanęliśmy na kotwicy po raz trzeci.

– Nie ma o czym mówić. Zwaliała mnie z nóg informacją, że kiedyś razem z matką przebywały w tym samym klasztorze. Zaskoczyła mnie, i tyle.

– Po tym, co spotkało Steve'a... – zaczął ojciec i urwał, by wziąć się w garść i odzyskać normalny głos. – Po tym, co spotkało Steve'a, twoja matka nalegała, żeby lata jej młodości zachować w tajemnicy. Steve wiedział coś na ten temat, ale niewiele. Zależało nam na tym,

zeby zacieśniać więzy rodzinne, a nie roztrząsać życie twojej matki z okresu, kiedy nie byliśmy jeszcze małżeństwem.

– Nie sądzisz, że to trochę dziwne?

– Nie. Życie każdego człowieka przechodzi różne fazy, Leo, tak jak ten księżyc nad nami. Takie jest prawo natury. Zanim związaliśmy się na dobre, twoja matka przechodziła taką fazę, kiedy przez kilka lat była pełnoprawną zakonnica. Zgoda, trwało to bardzo długo. A jednak była to tylko faza przejściowa.

– To wszystko wyjaśnia. Chryste Panie, wychowała mnie zakonnica! Idę o zakład, że to dlatego mówię do niej „matko”, a do ciebie „ojcze”. Może nie? Mieszkamy w samym sercu krainy mamus i tatusiów, na „Południu”, a ja wciąż ją tytułuję „droga matko” jak, nie przymierzając, księżę Karol.

– Nie ma w tym nic złego – odparł mój ojciec, nie tata.

– Ona wygląda jak zakonnica, zachowuje się jak zakonnica, oddycha jak zakonnica. Zostałem wychowany w oszustwie. Rówieśnicy zawsze uważali mnie za cudaka, i mieli rację. Ze mną zawsze coś było nie tak.

– Moim zdaniem byłeś doskonały pod każdym względem.

– Nie jesteś obiektywny.

– Taka już moja rola.

– Fakt, że wychowała mnie zakonnica, o czym nie wiedziałem, tłumaczy, dlaczego w zasadzie przez całe życie byłem ministrantem na każdej porannej mszy. Dlaczego codziennie przed pójściem spać odmawiamy w nieskończoność różaniec. Daj spokój, ojcze, co takiego jest w Zdrowaś Mario, czego nie rozumie się po odklepaniu jej pierwsze kilka tysięcy razy? A tego, kto wymyślił różaniec, chętnie wykopałbym z grobu i zbecześcił jego zwłoki.

Ojciec zachichotał, lecz opanował się i znów spoważniał.

– Odmawianie różańca, Leo, to dyscyplina duchowa. Pozwala nam zbliżyć się do Boga.

– Jest nudne jak flaki z olejem – skwitowałem i dodałem po chwili: – I upierdliwe.

– Nie wyrażaj się, synu.
– Przepraszam. A jak poznałeś matkę? Obiecała, że wszystko mi opowiesz.

– To ładna historia – powiedział nieśmiało. – Najwspanialsza, jaka mogła przydarzyć się takiemu mężczyźnie jak ja.

– Co masz na myśli, mówiąc: „mężczyzna taki jak ja”?

– Dobrze wiesz, co mam na myśli. Mężczyzna nieatrakcyjny. Brzydki.

– Dlaczego uważasz, że jesteś brzydki?

Uśmiechnął się szeroko.

– Kiedy następnym razem będziesz przechodził koło mojej łazienki, wejdź do środka i się rozejrzyj. Tak się składa, że mam lustro.

– Ojcie, wcale nie jesteś brzydki!

– Wobec tego muszę zmienić lustro. Widocznie moje kłamie.

Roześmiał się ze swojego żartu, pociągnął za linkę i znów zapalił silnik, a ja wyciągnąłem kotwicę. Nasze oczy obserwowały rodziny w luksusowych domach nad rzeką. Zobaczyliśmy balerinę ćwiczącą w studiu na piętrze i dwóch wrotkarzy, którzy ze splecionymi na plecach rękami śmigali bez wysiłku po wale nadmorskim wzdłuż Battery, jakby sunęli na tyżwach po lodzie. Ulicami jeździły rowery oświetlające sobie drogę lampkami przyćmionymi jak małe latarki. Kiedy znaleźliśmy się naprzeciwko hotelu Fort Sumter, zgasiliśmy silnik i patrzyliśmy, jak klienci restauracji wybierają przy świecach potrawy z jadłospisów. Wzdłuż i wszecz Battery spacerowały zadowolone pary. Niektórzy przystawali i całowali się dokładnie w miejscu, gdzie Ashley zbiega się z Cooper, tworząc wonny charlestoński port.

Nadzialiśmy przynęty i zarzuciliśmy wędkę.

– Znam twoją matkę przez całe życie, Leo – powiedział ojciec. – Ale tak naprawdę zacząłem ją poznawać w pierwszej klasie Biskupa Irelanda, kiedy zobaczyłem, jak opala się na pływającej platformie, wyglądającej jak tratwa, przed plantacją na James Island. To było

latem tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku, wkrótce świat miał się zmienić nie do poznania. Przyszedłem na przyjęcie trochę za wcześnie. Podobnie jak ty, w liceum rzadko chodziłem na randki. Nie jestem pewien, czy byłem aż tak nieśmiały jak ty, ale niewykluczone. Kiedy dziewczyna czekała, aż się odezwę, zapomniałem języka w gębie. Ale widok twojej matki na tej platformie wszystko zmienił. Coś we mnie pękło, poczułem, że muszę wyrzucić z siebie milion słów, więc zbiegłem po trawniku plantacji do tratwy. Po drodze dotarło do mnie, że chcę poślubić twoją matkę.

– Nie żartuj! Nic nie dzieje się tak szybko!

– Kto opowiada, ja czy ty? – Opisał jasnyniebieski kostium kąpielowy mojej matki, jej zgrabne nogi i figurę oraz to jak był zaskoczony, gdy wstała i zanurkowała do słonej wody tuż przed tym, nim dotarł do celu. Płynąc na plecach pod prąd, matka zobaczyła jego sylwetkę odcinającą się na tle słońca i zapytała:

– Jasperze, a gdzie twoje kąpielówki? Moglibyśmy popływać razem.

Ojciec przytrzymał się jednej z dętek utrzymujących platformę na powierzchni, zrzucił tylko buty i wskoczył do wody w ubraniu, co uważał za najbardziej romantyczny i spontaniczny gest w swoim życiu.

– Jasperze, odbiło ci?

Matka wybuchła śmiechem, gdy usłyszała w odpowiedzi:

– Tak jakby. Chyba odbiło mi na twoim punkcie.

– Przecież zniszczyłeś sobie ubranie!

– Ubraniu nic się nie stanie. Ale mogłabyś mnie dofinansować, żebym mógł wymienić zegarek i całkiem nowiutki skórzany portfel.

– To kara za to, że postradałeś zmysły, Jasperze Kingu.

– Gdybyś widziała, jak wyglądałaś z góry, leżąc na trawniku, zrozumiałabyś, dlaczego trochę mnie poniosło, Lindsay Weaver.

– Jak wyglądałaś? Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Że wyglądałaś jak królowa świata.

Płynąc z prądem w kierunku Charlestonu, oświadczyła:

– Podoba mi się twoja odpowiedź, Jasperze Kingu. Bardzo mi się podoba.

Patrząc na siebie przez otwór dętki platformy, zaczęli sobie opowiadać historyjki ze swojego życia, te naprawdę istotne, te, które pozostają tajemnicą, aż zza rogu wyjdzie odpowiedni chłopak albo na ulicy pojawi się idealna dziewczyna. Na zmianę opowiadali o swoim niewinnym życiu to, co określa ich jako ludzi.

Zanim ojciec mojego ojca nadpłynął łódką po parę pływaków, Jasper i Lindsay byli już zakochani w sobie po uszy i mieli gdzieś, czy ktoś to widzi. Koledzy i koleżanki z klasy oraz krewni pokpiwali sobie z ich ucieczki na morze, gdy wróciwszy do towarzystwa, spaleni słońcem, nie odrywali od siebie oczu. Kiedy wieczorem nadeszła burza, zostali razem na platformie, trzymając się za ręce, a reszta gości obserwowała ich, ukryta przed ulewą w rezydencji, podczas gdy wściekle poddmuchy wiatru zginały karłowate palmy i smagały wiecznie zielone dęby na brzegu rzeki. Deszcz lał jak z cebra, a Lindsay i Jasper nadal siedzieli, trzymając się za ręce – zapomnieli o bożym świecie i o przyjęciu, które toczyło się za ich plecami. Rozmawiali ze sobą tak, jakby dopiero co nauczyli się mówić. Żadne z nich nie miało dotychczas prawdziwego chłopaka czy dziewczyny i oboje zapewniali, że czekali na ten dzień przez całe życie. Nikomu, kto widział ich owego dnia, nie przyszłoby do głowy, że któreś z nich mogłoby wziąć ślub z kimś innym.

Jeżeli jesteście głęboko religijni – tak jak moi rodzice i wtedy, i teraz – to powinniście wiedzieć, że ich zdaniem sam Bóg zaaranżował ich spotkanie. A oni tylko wypełniali Jego nieubłagany zamysł, jak ma wyglądać ich życie. Tego lata moi rodzice uważali, że przeżywają najpiękniejszy romans, jaki kiedykolwiek opisano.

Opowiadając mi, jak zalecał się do mojej matki, ojciec, człowiek cichy i spokojny, mówił tak, jakby się modlił. Nie spuszczał wzroku z żyłki, która ginęła w czarnej wodzie, i starannie dobierał słowa.

Przed tym wieczorem zwierzeń nie wiedziałem, że rodzice związali się już jako nastolatki. Byli starsi niż rodzice moich rówieśników i kiedyś ktoś wziął ich nawet za moich dziadków. Siedząc z wędką, słuchając i przetrawiając słowa ojca, zdałem sobie sprawę, że oto zapoznaje mnie z namiętną parą, o której istnieniu nawet mi się nie śniło.

W czerwcu tamtego roku Jasper dostał pracę w domu odzieżowym Berlina. W każdą niedzielę po wieczornej mszy jadał kolację u Weaverów. Tego magicznego lata Lindsay i Jasper spacerowali po zadbanych eterycznych parkach, przykościelnych cmentarzach i alejach Charlestonu, rozprawiając o świetlanej przyszłości, jaka ich czeka, gdy już zostaną mężem i żoną. Trzymając się za ręce, wędrowali z jednego końca Battery na drugi, machając frachtowcom wypływającym w morze. Pewnego razu Jasper wdrapał się na magnolię, szukając idealnego kwiatu jako dodatku do kruczoczarnych włosów mojej matki. Kiedy wpiął jej go we włosy, a ona przejrzała się w bocznym lusterku zaparkowanego buicka, oświadczyli, że jest to ich ulubiony kwiat i że pobiorą się dopiero wtedy, gdy będzie ich stać na pokrycie całego ołtarza magnoliami. Innym znów razem postanowili całować się wieczorem przed tymi domami w Charlestonie, które najbardziej im się podobały, i o mały włos Lindsay nie zdążyłaby wrócić do domu przed ustaloną godziną.

– Nic nie rozumiem – wyznałem. – Jak się ma to wasze całowanie do klasztoru?

Ojciec zachichotał.

– Właśnie do tego zmierzam.

Jasper i Lindsay codziennie przystępowali do komunii, co rano spotykali się więc na schodach katedry przed pierwszą mszą. Jasper nie znał nikogo – ani mężczyzny, ani kobiety – kto zmieniałby się tak bardzo pod wpływem siły modlitwy jak jego ukochana każdego poranka. Przyjmowała eucharystię z tak bezbrzeżnym zachwytem, jak gdyby ucztowała z bóstwem. Poddawała się jej tajemnicom z uległością wykluczającą wszelką rywalizację. O ile Jasper wynajdywał przeszkody i utrudnienia na drodze do harmonii ze światem

duchowym, o tyle Lindsay trafiała tam bez problemu. Podejście Jaspersa do katolicyzmu było proste – miał za zadanie uznawać nauki Kościoła i starać się żyć godnie i przyzwoicie. Lindsay zaś całym sercem wierzyła, że jedyną logiczną drogą dla dobrego chrześcijanina jest dążenie do świętości. Nie dość, że pragnęła łączyć się z Chrystusem w cierpieniu podczas jego kryzysu w Getsemani, to jeszcze chciała, żeby w całym ogrodzie były ślady jej stóp – żeby to był azyl, do którego mogłaby pobiec bosą, z rękami wyciągniętymi do swego Pana w agonii. Lindsay Weaver codziennie przynosiła do balustrady przed ołtarzem nie tylko wiarę, lecz całkowite zanurzenie i idealne zespolenie z jego tajemnicami. W starciu z tak niewzruszoną wiarą miłość Jaspersa nie miała najmniejszych szans.

W następnym roku szkolnym Jasper King stracił Lindsay Weaver. We wrześniu do katedry Świętego Jana Chrzciciela przybył Maxwell Sadler, młody ksiądz świeżo po święceniach w Rzymie, by objąć stanowisko proboszcza, a także nauczać religii w liceum imienia Biskupa Irlandia. W świecie katolików kazanie księdza podczas niedzielnej mszy jest jedyną częścią nabożeństwa odprawianą po angielsku. Dostarcza jednak takiej stawy duchowej, że równie dobrze mogłoby być wygłaszane w sanskrycie. Wygłaszając homilię, katolicki ksiądz usypia wszystko co żywe.

W diecezji Charleston Maxwell Sadler zmienił to wyobrażenie raz na zawsze. Jasper i Lindsay siedzieli obok siebie, kiedy uderzając przystojny ksiądz ruszył dostojnie do ambony, żeby wygłosić swoje pierwsze kazanie. Przez dłuższy czas wpatrywał się w wierzniach, czekając, aż skrępowani jego milczeniem zaczną się wiercić. A wtedy ryknął na cały głos:

– Johnny Jones w każdą niedzielę chodził do kościoła!

Znów zapadła długa cisza, wyczekiwanie, aż wreszcie ojciec Max dokończył swój dwuwiersz:

– Za to, co robił w poniedziałek, piekło już go woła!

Nowy ksiądz przemawiał z żarem południowca i katedra zaczęła wypełniać się wiernymi. Już w pierwszych miesiącach posługi wzbudził zazdrość biskupa Rice'a, który w jego kazaniach doszukał się próżności, a nawet uznał je za złowieszcze. Kiedy we wrześniu Maxwell Sadler zaczął nauczać ostatnie klasy w liceum Biskupa Irlandia, nazwał te wykłady „Teologia 101” i zmienił sposób, w jaki uczniowie postrzegali swoje relacje z ukochanym Bogiem. Zupełnie jakby bożyszcze kobiet odcisnęło ślad swojej dłoni na ich duszy. To on pierwszy powiadomił Lindsay, że w jego przekonaniu ma powołanie do zakonu. Powiedział, że zna idealny klasztor w Karolinie Północnej, do którego mogłaby wstąpić. Twierdził, jakoby miał wizję, w której był świadkiem uroczystości przyjęcia Lindsay do zakonu.

Potajemnie, nie mówiąc Jasperowi ani słowa, Lindsay złożyła podanie i została przyjęta jako nowicjuszka do klasztoru w Belmont, w Karolinie Północnej.

Mojego ojca Maxwell Sadler również próbował namawiać, żeby poważnie zastanowił się nad wstąpieniem do stanu duchownego. Na co ojciec, w całej swej niewinności, poinformował go, że poświęcił już swoje życie temu, by ożenić się z moją matką i założyć dobrą katolicką rodzinę.

Podczas przerwy świątecznej w ostatniej klasie Lindsay zerwała z Jasperem i zapowiedziała, że w czerwcu, zaraz po maturze, zamierza wstąpić do klasztoru. Źle to przyjął. Nagadał Lindsay rzeczy, których wstydził się do końca życia, a teraz, kiedy razem łowiliśmy ryby w wodach Ashley, wróciło to do niego w natłoku uczuć. Zarzucił jej, że go podpuszczała, że z czysto egoistycznych pobudek zrujnowała mu życie. Godzinami błagał ją, żeby zmieniła zdanie – bez skutku. Potem przez miesiąc nie odzywali się do siebie, nawet nie potrafili spojrzeć sobie w oczy, mijając się na korytarzach szkoły.

Siła nawyku sprawiła, że spotykali się w katedrze i w końcu ich przyjaźń przetrwała ciężką próbę zerwania. Czasami gorycz Jaspera brała górę, wtedy jednak Lindsay znów przyciągała go do siebie,

przypominając mu jego przywiązanie do tego Boga, dla którego poświęciła swoje życie oraz ich przyszłość. Opuszczając rodzinny dom i wyjeżdżając do Belmont, prosiła Jaspera, żeby wyświadczył jej tę grzeczność i odprowadził ją na próg klasztoru. Zrezygnowany, zgodził się na to. Rankiem szesnastego czerwca 1938 roku pojechał bocznymi drogami i o zmroku dotarli na teren klasztorny. Lindsay spakowała niewiele rzeczy – cały jej ziemski dobytek zmieścił się w jednej malutkiej torbie.

Wysiedli z samochodu. Jasper został z tyłu, a ona nacisnęła dzwonek, którego dźwięk rozbrzmiał w całym klasztorze. Siostra, która otworzyła wrota, skinęła na Lindsay, żeby weszła. W długim korytarzu czekały już na nią dwie inne zakonnice. Zaczynała nowe życie.

– Ty jesteś Jasper? – zapytała pierwsza zakonnica.

– Tak, siostrze. Jasper to ja.

– Pisała mi o tobie – oznajmiła zakonnica i przedstawiła się. – Siostra Maria Michele. Jestem tu matką przełożoną.

– Czy mogę odwiedzać Lindsay? Nie za często, tylko od czasu do czasu.

– To raczej zły pomysł – odparła siostra Michele.

– A wolno mi do niej pisać?

– Skoro sobie życzysz. Ale nie obiecuję, że otrzyma te listy. Teraz należy już do zakonu.

– Wobec tego czy mogę zrobić coś dla klasztoru? Może czegoś potrzebujecie? Mógłbym wam to kupić.

Zakonnica zastanowiła się i w końcu odparła:

– Mydło. Przydałoby nam się trochę mydła, żeby siostry miały się czym myć.

Następnego dnia Jasper pojechał do Charlotte i załatwił z kierownikiem domu towarowego Belka, by wysłał dziesięć kartonów niewyszukanego, ale eleganckiego mydła w płynie dla kobiet do klasztoru Najświętszego Serca Pana Jezusa. W pierwszym liście do Jaspera siostra Michele zdradziła, że podarunek od razu wywołał kontrowersje,

gdyż część starszych sióstr uznała, że mydło jest zbyt luksusowe jak na użytek klasztorny. Siostra Michele wdała się z nimi w dyskusję i wyjaśniła charakter podarunku, jak również grzech marnotrawstwa oraz znaczenie czystości w codziennym życiu zgromadzeniu.

Jasper King zaczął odbywać doroczne pielgrzymki. Co roku szesnastego czerwca stawał u wrót klasztoru i pytał siostrę Marię Michele, czy może zobaczyć się z Lindsay, która tymczasem przeobraziła się w siostrę Marię Norbertę. I chociaż jego wizyty często zaskakiwały siostrę Marię Michele, to jednak była kobietą praktyczną.

– Czego klasztor potrzebuje w tym roku? – zainteresował się Jasper pewnego dnia.

– Proszku do prania – odparła siostra Michele i następnego dnia przed wejściem dla dostawców na tyłach klasztoru pojawił się zapas proszku na cały rok. W kolejnym roku była to pasta do podłogi, w następnym ręczniki do rak, a jeszcze później pasta do butów.

Jaspera i siostrę Michele połączyła niezobowiązująca, acz ważna przyjaźń, i oboje wyczekiwali dorocznych spotkań szesnastego czerwca. Ona zdawała mu sprawozdanie z postępów Norberty, a kiedyś oznajmiła:

– Siostra Norberta ma wrodzony talent, jakiego nie spotkałam jeszcze u innych młodych kobiet w tym klasztorze.

Sprawozdania te z jednej strony cieszyły Jaspera, z drugiej jednak napawały go lękiem. Za każdym razem zbliżał się do ładnego budynku klasztoru z nadzieją, że Lindsay będzie go oczekiwała na schodach od frontu, z niedużą torbą w rękę i w tej samej sukience, w której przyjechała z Charlestonu. Chciał zobaczyć, jak rzuca mu się w objęcia i oświadcza, że wszystko to było tylko godnym pożalowania nieporozumieniem.

We wrześniu pierwszego roku po zerwaniu wstąpił w mury Cytadeli, idąc w ślady swojego ojca i dziadka, co niezwykle ucieszyło całą rodzinę. Doskonale jednak zdawał sobie sprawę, iż zdecydował się na Cytadelę tylko dlatego, że nigdy nie planował przyszłości, w

której nie było miejsca dla Lindsay. Na przedmiot kierunkowy wybrał fizykę i wkrótce zrozumiał, że podlega prawom inercji w takim samym stopniu, co wszystkie obiekty na świecie, i że odejście Lindsay pchnęło go w kierunku nieplanowanego, aczkolwiek nieuchronnego przeznaczenia. Łatwo poddał się zasadom dyscypliny obowiązującym w Cytadeli, zakochał się w naturalnym porządku panującym w pułku i, jak to młody człowiek, czerpał przyjemność z dbania o mundury i z maszerowania do wtóru werbli i narzucanego krzykiem rytmu. I tak jak klasztor był pustelnią dla kobiet oddanych modlitwie, tak Cytadela stała się dla Jaspera kapłaństwem, które siódmego grudnia 1941 roku, kiedy to Japończycy zaatakowali Pearl Harbor, zamieniło się w warowny zamek.

Gdy skierowano Jaspera na badania lekarskie, wykuł na pamięć tablicę znaków używaną przez okulistów wojskowych, dzięki czemu przeszedł badanie wzroku z doskonałym wynikiem. Do wojny przystąpił w stopniu podporucznika i zasłużył się w walkach na terenie Europy. Wylądował w Normandii wraz z trzecią falą aliantów, brał udział w wyzwoleniu Paryża i zdążył spędzić swoją pierwszą noc w Niemczech, gdy ogłoszono dzień zwycięstwa. Przez rok służył w armii okupacyjnej na terenie Niemiec, po czym odesłano go do Charlestonu, gdzie zaczął prawdziwe życie bez Lindsay. Przez całą wojnę pisywał do niej listy raz w tygodniu, ale żadnego z nich nie dostała. Siostra Maria Michele szczyliła się znajomością ludzkiej natury wykraczającą poza wiedzę zwykłych laików i czuła, że każde zdanie Jaspera pulsuje miłością do Lindsay. Dlatego nie przekazywała tej korespondencji młodej kobiecie.

Jasper nalegał, żeby podczas wojny jego ojciec co roku stawiał się szesnastego czerwca w progach klasztoru Najświętszego Serca Pana Jezusa i pytał siostrę Michele, czego potrzebują na następny rok. Mojemu dziadkowi nie podobało się to zlecenie, ale wykonywał je, bo jako człowiek przesądny obawiał się, że jeśli odmówi charytatywnych darów dla klasztoru pełnego zakonnic, jego syn może zginąć na polu bitwy. Zgodnie z prośbą honorował więc rocznicę dnia,

w którym Lindsay oddała się powołaniu, i szesnastego czerwca niezawodnie stawiał się przed klasztorem. Na europejskich polach bitew Jasper czterokrotnie otrzymał zwięzłe podziękowania od siostry Michele wraz z zapewnieniem, że siostra Norberta wyrasta na gwiazdę.

Przełożone Lindsay szybko doceniły jej intelekt, kiedy więc wstąpiła do zakonu, zapisała się na Uniwersytet Katolicki. W ramach rygorystycznego przyspieszonego programu ukończyła przygotowania do doktoratu z literatury angielskiej i zabrała się do pisania rozprawy na temat *Ulissesa*. Czytając tę powieść po raz pierwszy, odkryła, że cała akcja rozgrywa się w ciągu jednego dnia, szesnastego czerwca 1904 roku. A ponieważ to szesnastego czerwca Jasper odwiózł ją do klasztoru, by mogła rozpocząć życie zakonne, nadała tej dacie magiczne znaczenie. Często myślała o Jasperze. Wiedziała od rodziców, że walczy na wojnie w Europie, więc co rano, przyjmując komunię, modliła się o jego bezpieczny powrót do domu. Wiadomość od siostry Michele, że przeżył wojnę, tylko umocniła ją w przekonaniu, że naturalnym, niepodważalnym źródłem dobra we wszechświecie jest potęga modlitwy. W głębi duszy wierzyła, że to dzięki jej modlitwom i błaganiom Jasper wrócił z Europy cały i zdrowy.

Po powrocie do Charlestonu został nauczycielem przedmiotów ścisłych w liceum imienia Biskupa Irelanda i wprowadził się do swojego starego pokoju w domu rodziców przy Rutledge Avenue. Życie towarzyskie ograniczał do sporadycznych randek z nową nauczycielką z Biskupa Irelanda albo z siostrami swoich kumpli z Cytadeli. Był na tyle życzliwym i atrakcyjnym partnerem, że kilka kobiet dało mu do zrozumienia, iż są gotowe na poważny związek, jeśli wyleczy się w końcu ze swojej słynnej szczenięcej miłości. Ale gdy tylko ten temat wypływał, ojciec obracał to w żart, śmiejąc się, że zadurzył się na zabój w kobiecie, która na własne życzenie stała się nieosiągalna dla każdego mężczyzny. Obiecał sobie jednak, że się nie ożeni,

dopóki nie poczuje tego samego, co czuł, gdy w wieku lat siedemnastu pływał, w ubraniu, uczepiony dętki tratwy niesionej prądem z portu w Charlestonie. Dokładnie wiedział, czym jest miłość i co się wtedy czuje.

Latem 1949 roku kupił dwuakrową parcelę nad słonym jeziorem ciągnącym się wzdłuż Ashley i oddzielonym od niej tylko bulwarem Lockwood. Z pomocą przyjaciół zbudował jednopiętrowy ceglany dom, który nie wniósł nic ciekawego do architektury miasta. Dom ten był równie funkcjonalny i przytulny jak katolicki kościół zbudowany na przedmieściach Charlestonu w tym samym okresie. W pokoju na piętrze na tyłach urządził laboratorium. Nawet jego matka nabijała się z niego, że postawił pięciopokojowy dom zamiast kawalerki. Ale Jasper opracował długofalowy plan, licząc na to, że złagodzi on nieco niedogodności stanu kawalerskiego i pomoże mu spłacić kredyt hipoteczny: zaproponował innym kawalerom, którzy wykładali w tej samej szkole, że wynajmie im pokoje, więc stale miał w domu co najmniej trzech nauczycieli. Wspominał te czasy jako bardzo szczęśliwe, bo niemal w każdy weekend urządzali imprezy, a ten dom zdecydowanie potrzebował muzyki, jakiej dostarczał śmiech tańczących młodych mężczyzn i kobiet.

Kilku z tych mężczyzn zostało najbliższymi przyjaciółmi Jaspera, którego życie obfitowało w przyjaźnie. Nawet ojciec Maxwell Sadler spędził pół roku w sypialni na piętrze, gdy pożar spowodowany zwarcieniem elektryczności strawił jego plebanię. Jasper nie brał od ojca Maksa pieniędzy za wynajem i z przykrością przyjął jego wypowiedzkę, kiedy w końcu plebania została wyremontowana. Kilku lokatorów wiedziało o tym, jak głęboko kocha Lindsay, i bez oporów rozmawiał z ojcem Maksem o swoim niegasnącym uczuciu. Ksiądz, bezgranicznie cierpliwy, nie próbował go namówić, by złamał wierność wobec Lindsay. Przedstawiał mu natomiast ładne i młode katolickie dziewczęta, które poznał z racji swojego zawodu.

Ponieważ Jasper trwał w stanie kawalerskim, po korytarzach

liceum zaczęły krążyć fałszywe pogłoski, że jest homoseksualistą, czego nawet nie próbował prostować, tylko pogodził się z życiem w samotności. Kilka lat po powrocie Jaspera do miasta coraz rzadziej widywano go na balach debutantek, w śródmiejskich restauracjach na kolacjach z pannami do wzięcia albo siedzącego w tylnych rzędach kina przy Dock Street. Kolega po fachu, nauczyciel angielskiego, zaproponował mu kiedyś wypad do baru dla gejów i od tamtej pory Jasper przestał się do niego odzywać. Z upływem lat coraz bardziej zamykał się w sobie, krytykował wszystko i wszystkich, wpadł w bigoterie, stał się sztywniakiem i młodym nauczycielom przestało się podobać wynajmowanie pokoi w jego domu.

Samotne życie nie wyszło Jasperowi na dobre, stopniowo jego nawyki stawały się coraz bardziej ekscentryczne. Widział efekty alienacji, nie dostrzegał jednak oznak rozpadu swej pogodnej osobowości. Wszechobecna w domu cisza skłaniała go do refleksji i rozpaczy nad życiem, które mogło być idealne. A mimo to co tydzień pisywał do ukochanej zakonnicy i wysyłał listy do klasztoru na ręce siostry Michele. Czasami powtarzał sobie, że już najwyższy czas poznać jakąś kobietę i się zakochać, jednak fałsz bijący z tych słów był dla niego nie do zniesienia. W listach do byłej dziewczyny opisywał zmyślane imprezy na plaży, rejsy jachtem na Bermudy, wernisaże, planowany letni wypad do Europy, kupno golden retrievera, łowienie ryb w Zatoce Meksykańskiej, duchowe rekolekcje w opactwie Mepkin i setki innych niesamowitych wydarzeń, do których nigdy nie doszło. Była to czysta fikcja literacka. Ojciec był zapewne pierwszym mężczyzną w dziejach, który obawiał się, że zanudzi zakonnicę.

Nadal co roku szesnastego czerwca spotykał się z siostrą Michele w Belmont. Kiedyś przytaszczył dwadzieścia pięć kilogramów świeżych krewetek w lodzie, które odebrał z kutra na Shem Creek. Innym razem wypakował sto małych azalii, które osobiście zasadził i wyhodował w prowizorycznej szklarni na tyłach domu. Zawsze też

przywoził masę świeżych pomidorów, ogórków i kukurydzy pochodzących z farmy na wyspie Wadmalaw. A poza tym gotowane niedojrzałe orzeszki ziemne, słoiki dżemu, sosy chutney i inne własnoręcznie robione przetwory. Matce przełożonej podobało się poczucie humoru młodego człowieka i romantyczna beznadziejność celu, do którego dążył, mimo że ani go do tego nie zachęcała, ani nie pozwalała poruszać tematu byłej dziewczyny. Siostra Michele nigdy nie powiedziała mu, że od 1940 roku siostra Norberta nie mieszka już w klasztorze i że tego lata wykląda literaturę na uniwersytecie Notre Dame. Nie zdradziła się też ani słowem, że reguła zakonu zabraniała jej przekazywać listy Jaspersa do byłej ukochanej. Złamała jednak regułę, bo zachowała całą tę korespondencję i trzymała ją w swoim gabinecie, w pudełku przewiązanym białą wstążką. Nie przejmowała się tym, że nie wyrzuciła jego listów, ale fakt, że przeczytała wszystkie z zapalem, a wręcz z przyjemnością, uważała za pośledni grzech.

Szesnastego czerwca 1948 roku zaprosiła Jaspersa do śródmiejskiej restauracji Charlotte, słynącej ze wspaniałych steków.

Podczas lunchu zapytał ją:

– Co w tym roku przyda się klasztorowi, siostrzo?

Zakonnica roześmiała się.

– Nie uwierzysz, Jasperze, ale potrzeba nam mydła w płynie.

– Załatwiłem je wam po naszym pierwszym spotkaniu. No tak, ale wy, dziewczyny, częściej musicie się kąpać.

Kiedy żegnali się tego dnia, siostra Michele zaskoczyła Jaspersa, całując go lekko w policzek i dziękując mu za wszystko, co zrobił dla klasztoru przez te wszystkie lata. Pocałunek ten był czymś dziwnym, ale życzliwym, i ojciec przez cały rok starał się zinterpretować jego znaczenie. W szkole pożar spowodowany przypadkowym zaproszeniem ognia przez nieuważnego ucznia doprowadził do zamknięcia pracowni chemicznej Jaspersa. Jego matka zaczęła zdradzać pierwsze oznaki demencji, u ojca zaś wykryto raka krtani. Wrócił więc na stare śmieci, żeby zająć się rodzicami, a swoją siedzibę

wynajął czterem kawalerom z różnych ogólniaków. Jego dom zyskał niechlubną sławę miejsca, gdzie odbywają się najbardziej wyuzdane imprezy w całym mieście. On jednak był zbyt zajęty, żeby się tym przejmować, i po raz pierwszy o mało nie zapomniał pojechać szesnastego, czerwca na spotkanie w klasztorze Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Jedenaście lat po tym, jak przywiózł Lindsay Weaver do klasztoru, drzwi otworzyła mu młodsza zakonnica, której dotychczas nie widział. Kiedy powiedział, że jest umówiony z matką przełożoną, ruchem ręki zaprosiła go do pokoju dla odwiedzających. Następnie skinęła mu głową i zniknęła bezszelestnie jak duch.

Na szczycie schodów prowadzących do pomieszczenia dla odwiedzających pojawiła się inna zakonnica. Wpadające przez palladiańskie okno słońce tworzyło ramę dla tej nowej siostry, która poruszała się z gracją wskazującą, że nie jest to siostra Michele.

Promienie słoneczne padły na okulary Jaspera, oślepiając go na chwilę. Mrużąc oczy, zwrócił się do postaci na schodach:

- Oczekiwałem mojej starej znajomej, siostry Michele.
- Siostra Michele zmarła na udar ponad miesiąc temu – odparła zakonnica. – Wybrano mnie i teraz ja pełnię obowiązki przełożonej klasztoru. To dlatego spotykam się tu dzisiaj z panem.
- Dlaczego nikt mnie o tym nie poinformował? – zapytał Jasper.
- Jej śmierć była nagłą i nieoczekiwana.
- Przykro mi. Zżyłem się z siostrą Michele. – Wciąż oślepiony przez jaskrawe słońce odwrócił głowę, zdjął okulary i zaczął wycierać je białą chusteczką.
- Wprawdzie nie widzisz mnie dokładnie, Jasperze, ale czyżbyś nie poznał mojego głosu? – spytała zakonnica pełniąca obowiązki matki przełożonej. Przeszła ze słońca w cień tego pogrzebowego pokoju, do którego goście i członkowie rodzin wzywali zakonnice swego życia z tajemnych kryjówek na górnych piętrach. Widząc jej twarz, Jasper padł na kolana i zawył jak ranny zwierz. Wrzask ściągnął

zakonnice; nadbiegły z wszystkich stron klasztoru. Siostra Norberta znalazła się w pozycji nie do pozazdroszczenia – musiała wyjaśnić, dlaczego ten niepanujący nad sobą człowiek przed nią klęczy. Jedyne siostra Michele знаła historię tego zakochanego, łkającego człowieka.

– Czy wezwać policję? – spytała młoda zakonnica, ta sama, która wprowadziła Jaspera do pokoju.

– Nie, cóż za pomysł! To pan Jasper King. Co rok obdarowuje klasztor hojnymi datkami. Właśnie powiadomiłam go o śmierci naszej kochanej siostry Michele. Byli serdecznymi przyjaciółmi.

– Więc może wezwę księdza? – zaproponowała inna zakonnica.

– Nie, nie, Jasperowi nic nie jest. Czy ktoś może przynieść szklankę mrożonej herbaty? Nadal lubisz słodką herbatę, Jasperze?

Kilka zakonnice pomogło mu wstać i posadziły go w fotelu. Wydawało się, że jego ciało jest pozbawione kości i nic nie waży. Gdy podano herbatę, nieco się ożywił i podziękował zakonnicy, która ją przyniosła. Był zdezorientowany i zawstydzony, że zrobił z siebie widowisko. Inne zakonnice bezszelestnie znikły.

– Wybacz, Lindsay... to znaczy siostró Norberto – wykrztusił. – Straciłem nadzieję, że jeszcze cię kiedyś zobaczę. Zaskoczyłaś mnie.

– Zaskoczyłam cię, Jasperze? – Roześmiała się. – Przypuszczam, że tak. Nie miałam pojęcia o twoich zdolnościach aktorskich.

– Ja też nie – odparł i oboje parsknęli śmiechem.

Siedząc w naszej małej łódce, w ciepłym, pełnym soli powietrzu wyciągnąłem całkiem sporego okonia, podczas gdy ojciec opisywał swoją euforię na widok Lindsay Weaver po latach.

– A więc jej nie poznałeś? – zapytałem, gdy uświadomiłem sobie, że z nadmiaru wzruszeń nie jest w stanie mówić dalej.

– Stała pod światło – wyjaśnił wreszcie. – Promienie słońca znad jej ramion padały mi prosto w oczy.

– A głos?

– Nie sądziłem, że kiedykolwiek jeszcze go usłyszę. Nie byłem przygotowany na to spotkanie, Leo. Pogodziłem się z tym, że więcej jej nie zobaczę. Sam nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale tak było.

– A co powiedziała matka? – dopytywałem się. – Czy już się uspokoiłeś?

Ojciec wciągnął żyłkę, nadział na haczyk kolejną krewetkę i płynnym ruchem zarzucił wędkę w kierunku James Island. Dopiero wtedy podjął opowieść.

Kiedy siedzieli naprzeciwko siebie w fotelach, Jasper wpatrywał się w twarz siostry Norberty i z przerażeniem stwierdził, że jedenaście lat rozłąki nie ostudziło jego chłopięcego uczucia do niej. Z wiekiem i pod wpływem kontemplacyjnego trybu życia, jaki wybrała, jej uroda tylko rozkwitła.

– Nigdy nie doszedłem do siebie po naszym rozstaniu, Lindsay – wyznał.

– Proszę, nazywaj mnie siostrą Norberta.

– Nigdy nie doszedłem do siebie po naszym rozstaniu, siostrze Norberto.

– Wiem, Jasperze. Siostra Michele mówiła mi o twoich wizytach. Na początku była ci przeciwna. Ale z wiekiem złagodniała. Zyskałeś w jej oczach swoim uporem, hojnością dla klasztoru i dobrocią. Z czasem zaczęła bardzo cenić twoje doroczne wizyty. I uwielbiała twoje listy.

– Widziałaś kiedyś choć jeden z nich?

– Nie wtedy, kiedy je pisałeś. Ale ubiegłego lata siostra Michele i ja udałyśmy się razem na rekolekcje. Obok ośrodka rekolekcyjnego był las, a w nim piękne ścieżki, więc chodziłyśmy na długie spacerunki. Zaczęła mówić o tobie. Powiedziała, że tak naprawdę nie widziała mnie w roli zakonnicy. Tego wieczoru dała mi pudło z twoimi listami.

– Przeczytałaś je?

- Tak, Jasperze. Przeczytałam je co do jednego.
- I co sobie pomyślałaś?
- Kiedyś ci odpowiem. Nie dzisiaj. Ale niedługo, dam słowo.

Lindsay już wtedy była w toku zawilego, skomplikowanego procesu uwalniania się od ślubów zakonnych. Jej decyzja wszystkim była nie w smak, musiała więc przekonać zwierzchnika swojego zakonu na Amerykę, że nie żartuje, a ten przekazał jej prośbę do świata mężczyzn, do gabinetu samego papieża. Dla Lindsay sprawa wlokła się w ślimaczym tempie i była nader bolesna. Ale zważywszy na pozycję i czas spędzony w Kościele zamkniętym w żarze niezłomnych praw, wybawienie Lindsay od ślubów nadeszło w samą porę. Stolica Apostolska, wyczerpana kłopotami podczas drugiej wojny światowej, zajmowała się złamaną katolicką duszą obróconej w zgliszcza Europy. Nie zamierzała tracić energii na jakąś zakonnicę z amerykańskiego Południa, która poniewczasie odkryła, że ma na głowie ważniejsze sprawy. List zwracający jej wolność podpisał papież Pius XII we własnej osobie.

Kiedy jesienią 1949 roku Jasper King przyjechał po Lindsay Weaver, miała na sobie to samo ubranie, w którym przybyła do klasztoru. Ślub był skromny. Pobrali się przed głównym ołtarzem u Świętego Jana Chrzciciela. Ojciec Maxwell Sadler poprowadził uroczystość z polotem, który zapewnił mu taką sławę w diecezji Charleston. Dziesięć miesięcy później, w 1950 roku, urodził się Stephen Dedalus King, a ja przyszedłem na świat w roku 1951. I tak cierpliwością Jasper zdobył w końcu miłość swego życia.

– Wiatr się wzmaga, Leo – powiedział ojciec. – Wracajmy na przystań.

Zwinęliśmy żyłki. Ja zająłem się sprzętem, a ojciec uruchomił łódź i popłynęliśmy w górę rzeki. Mały silnik brzdąkał na falach.

Z ręką zanurzoną w ciepłej słonej wodzie próbowałem myśleć o osobliwości czasów, kiedy jeszcze nie było mnie na świecie, i o tym, jak ten niewyobrażalny świat zaprzeczał skulonemu, swędzącemu

istnieniu Leo Kinga. Mimo to ojciec umożliwił mi wkroczenie w pejzaż, gdzie matki żyły w izolacji i celibacie, a ojcowie w samotności i zgorzknieniu. Gdybym tydzień wcześniej napisał autobiografię, nawet nie zbliżyłbym się do kluczowej prawdy. Jeżeli początek wiedzy następuje wtedy, gdy w swojej przeszłości odkrywamy więcej gargulców niż rzeczywistości, to wraz z ojcem spędziłem na rzece Ashley długi i owocny wieczór.

W przystani zacumowaliśmy łódź, pozbieraliśmy sprzęt, zabezpieczyliśmy jak należy wędki i kołowrotki, po czym szybko i sprawnie wypatroszyliśmy złowione ryby. Ojciec traktował prawidłowe wykonanie każdej czynności jak fetysz. Jego ruchy były tak zwinne i ekonomiczne, że obserwowanie go zawsze sprawiało mi przyjemność, choć naśladowanie było bolesne. Przeszliśmy na drugą stronę Lockwood Boulevard, wróciliśmy do domu i podczas gdy ojciec chował ryby do zamrażalnika, ja podszedłem do sypialni matki i zapukałem do drzwi. Jak można się było spodziewać, czytała *Ulisessa*.

– Złapaliście coś? – zapytała, odkładając książkę z oślimi uszami na nocny stolik.

– Mieliśmy udany wieczór – odparłem, wszedłem do pokoju i położyłem się obok niej. Z natury nie jestem zbyt czuły, więc taki gest był u mnie rzadkością.

Objęła mnie, a ja wtuliłem twarz w jej ramię, co także było niezwykłe u kobiety niesłyszanej z tkliwości.

– Dziękuję ci, matko, że wystąpiłaś z klasztoru – powiedziałem.
– Zrobiłaś coś bardzo trudnego.

Milczała przez chwilę, a potem zapytała:

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo cię znam. Idę o zakład, że w klasztorze byłaś szczęśliwa. Czulaś się tam bezpieczna.

– Chciałam wyjść za mąż. Pragnęłam być matką. Chciałam mieć wszystko. A przynajmniej tak mi się wydawało.

– Nie wiedziałaś, że istnieją takie rzeczy jak ta ze Steve'em – rzekłem.

– Nigdy nie chciałam wiedzieć, że dochodzi do takich rzeczy jak ta ze Steve'em. Z jego powodu omal cię nie straciliśmy. Omal nie straciliśmy z ojcem siebie.

Ojciec wszedł do sypialni i nie mógł ukryć szczęścia, widząc, że matka mnie przytula.

– Zostawię was samych.

– Właśnie miałem się kłaść – rzuciłem, zrywając się z łóżka.

– Dobranoc, Leo – powiedziała matka.

Ojciec uściskał mnie, pocałował i powiedział:

– Dobranoc, groszku pachnący.

– Dobranoc, ojcze. – Uśmiechnąłem się i nie mogąc się powstrzymać, dorzuciłem: – Dobranoc, siostró Mario Norberto.

Zanim egzemplarz *Ulisses*, ciśnięty w moją głowę, uderzył w drzwi sypialni rodziców, zwałem i zaśmiewając się, popędziłem do swojego pokoju.

ROZDZIAŁ 6

Kochany tatuńcio

Leżałem w ciemnościach sypialni i rozmyślałem nad wydarzeniami z ubiegłego tygodnia, zdumiony ich różnorodnością i zawilocią. Gdy nastawiałem budzik na czwartą trzydzieści, siły, z którymi się zetknąłem, zaczęły się materializować. Rozpocząłem nocną podróż w krainie snów. Jak zawsze był tam Steve. Opowiadałem mu o sierotach i bliźniakach z naprzeciwka, o czarnym trenerze futbolu i jego ponurym synu, o lunchu w jachtklubie, wyprawie na ryby i klasztornej przeszłości matki. Obudziłem się, słysząc krzyki, płacz i ojca, który w progu sypialni zapalał światło.

– Wstawaj, Leo. Po drugiej stronie ulicy coś się dzieje.

Wskoczyłem w spodnie, podkoszulek i półbuty na gumowej podeszwie. Sięgnąłem po okulary, wybiegłem z pokoju i natknąłem się na Shebę Poe, jej oszołomionego brata i ich nieźle wstawioną matkę. Moja matka otworzyła w salonie szafkę z bronią i podała jedną strzelbę ojcu, a drugą mnie – tę, którą odziedziczyłem po dziadku z jej strony. Ojciec, nieprzytomny z braku snu, wkładał naboje do komory zamka. Złapałem pudełko z amunicją, które matka rzuciła mi jedną ręką, i też ładowałem broń, gdy ojciec wyjaśnił:

– Ktoś włamuje się do domu państwa Poe.

– Przyszliśmy do państwa, bo nikogo innego tu nie znamy – rzekł Trevor Poe drżącym głosem.

– Mamo, on znowu nas znalazł! – krzyknęła Sheba do matki.

– Zawsze nas znajdzie – wybelkotała kobieta ledwo zrozumiale.

Matka w szlafroku pognała do telefonu, żeby wezwać policję, a ojciec i ja wybiegliśmy z domu w ciemność. Czasami nienawidziłem faktu, że jestem z Południa, a czasem się tym upajałem, i to właśnie była jedna z takich chwil. Rodzice chcieli, żebyśmy umiali sobie radzić w lasach i na rzekach, więc posługiwałem się strzelbą równie sprawnie jak doboszka pałeczką. Strzelba dodawała mi otuchy, gdy idąc za ojcem, okrążałem dom Poeów. Wypatrywaliśmy ruchu i nasłuchiwaliliśmy dźwięków. Nie znaleźliśmy żadnych śladów włamania. Przedarliśmy się przez gąszcz starych azalii i kamelii i dotarliśmy do drzwi frontowych w chwili, gdy w całym mieście rozbrzmiały syreny policyjne. Matka zawiadomiła nie tylko policję, ale i jej szefa, którego córkę uczyła.

Ojciec pierwszy zauważył dziwny, groteskowy znak na drzwiach frontowych – wielką, nabazgraną niewprawną ręką bużkę, wyglądającą jak namalowana krwιά. Z jej lewego oka spływała łza. Ojciec sięgnął po chusteczkę i starszy odrobinę malunku, przytknął ją do nosa.

– Lakier do paznokci – oznajmił. Gliniarze wpadli na posesję niczym lądujący samolot i rozbiegli się po całym domu i ogrodzie. Ojciec wyrwał mi strzelbę i szepnął: – Synu, wciąż masz nadzór kuratorski.

– Zapomniałem – odparłem, również szeptem.

Na werandach przed domami i na gankach na piętrach pojawili się zaspani i zaciekawieni sąsiedzi. Jeden radiowóz zatrzymał się przed naszym domem – zobaczyłem, jak policjant przesłuchuje Trevora, Shebę oraz ich matkę. Z drugiej strony ulicy nadeszła Belle Faircloth i poinformowała, że widziała nieznanego w białym samochodzie, który dwie noce z rzędu parkował w pobliżu jeziora Colonial. Mężczyzna palił papierosa za papierosem i był jasnowłosy, ale nie potrafiła podać dokładniejszego rysopisu. Za niestrzyżonym żywopłotem ktoś wybił okienko do piwnicy i dostał się przez nie do domu Poeów. Policjanci ponad trzy godziny przeczesywali go,

szukając jakichś śladów, by wyjaśnić, co się tam stało, ale nic nie zginęło, nic nie zostało przesunięte ani rozbite. Na uwagę zasługiwała tylko groteskowa buźka wymalowana na frontowych drzwiach.

Po odjeździe policji wróciliśmy z ojcem do domu, wyczerpani emocjonującymi przejściami. Matka naląła sobie i ojcu po szklance bourbona, a mnie zrobiła gorącą czekoladę. Kiedy siedzieliśmy w kuchni i rozmawialiśmy szeptem o wydarzeniach mijającej nocy, wskazała w górę i powiedziała, że położyła Poeów do łóżka w wolnym pokoju, który rodzice kiedyś odnajmowali lokatorom.

– Tę rodzinę spotkało coś strasznego – oznajmiła cicho. – Jakies traumatyczne przeżycie. Uważają, że ktoś się do nich włamał, żeby ich zabić.

– Mało prawdopodobne – uznał ojciec. – To raczej włamanie na chybił trafił.

– Leo, bądź miły dla tych dzieci – poprosiła matka. – Bądź dla nich tak miły, jak tylko potrafisz, ale nie wpuszczaj ich do swojego serca. Nie zdajesz sobie sprawy, jak podły bywa świat. Jesteś taki niewinny, nie wiesz, jakie niebezpieczeństwa na ciebie czyhają.

– Bałeś się, Leo? – spytał ojciec, kiedy dopiłem czekoladę.

– Potwornie. – Wstałem, żeby wrócić do łóżka.

– Wcale tego nie okazywałeś – rzekła matka.

– To dlatego, że był ze mną ojciec.

Gdy znów się położyłem, minęła właśnie trzecia nad ranem i w dzielnicy zapanował spokój. Zasnąłem natychmiast. Podróżowałem w głębokim śnie, gdy naraz poczułem na wargach dziewczęce usta i stwierdziłem, że Sheba Poe kładzie się obok mnie. Dotychczas nigdy nie byłem na randce ani sam na sam z dziewczyną w samochodzie, a tu nagle leżałem goły z najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem. Jej ręce błądziły po całym moim ciele. Powoli przyciągnęła moją głowę do swoich piersi, potem wzięła mnie za rękę i włożyła ją sobie do środka, a ja dowiedziałem się, że kobieta potrafi pachnieć jak ziemia i że jej wilgoć to miejsce, gdzie rodzi się ogień przechodzący we wzniosłe życie. Przesunęła językiem po mojej szyi

i piersi, i wkrótce pokazała mi wszystko, co można zrobić za pomocą języka. Wyczyniała nim rzeczy, o jakich mi się nie śniło. Kiedy w nią wszedłem, zrobiłem to pod jej dyktando. Nie wyobrażałem sobie, ile rozkoszy jedno ciało może dostarczyć drugiemu. Siedząc na mnie, unosiła się i opadała niczym mała solidna łódka na wzburzonej rzece. Włosy spływały jej miękkimi, gorącymi falami na ramiona. Raz za razem dziękowała mi ochrypłym szeptem. Kiedy do mnie przyszła, spałem, ale zbudziła mnie do życia o wiele wspanialszego, bardziej wzniosłego niż w najpiękniejszym śnie. Zanim w niej doszedłem, zakryła mi dłonią usta, żebym nie krzyczał, a potem zsunęła się z łóżka i rozplynęła w mroku nocy. Leżałem cicho, odurzony życiem, jakim zaczynałem żyć. Na wschodzie wstawało już słońce, a ja nadal myślałem wyłącznie o Shebie. Później wspominałem jej twarz za każdym razem, gdy rzucałem kolejny egzemplarz „News and Courier” na werandy Charlestonu. Minęły lata, zanim dowiedziałem się, że tamtej nocy matka była świadkiem, jak Sheba wymyka się z mojego pokoju. I nie tylko ona to widziała.

*

W niedzielne wieczory rodzice tradycyjnie przesiadywali na osłoniętym siatką balkonie przy swojej sypialni i obserwowali zachód słońca nad Long Lake i rzeką Ashley. O ile w kwestiach dotyczących rozumu bywali nieugięci i dogmatyczni aż do przesady, o tyle jeśli chodzi o durny romantyzm ich wzajemnej miłości, moim zdaniem byli szurnięci i niesmaczni. Gdy po niedzielnej kolacji stawiali płytę Johnny'ego Mathisa albo Andy'ego Williama, był to dla mnie znak, że mam spadać do kojącej samotności swojego pokoju. Świadomość, że rodzice czerpią wzajemną rozkosz ze swoich ciał, przyprawiała mnie o katusze na długo przedtem, zanim dowiedziałem się o karierze matki w charakterze zakonnicy. Po pierwszej nocy spędzonej z Shebą wydało mi się to obrzydliwe. Z winy Kościoła katolickiego zawsze już będę odczuwał paroksyzmy wyrzutów

sumienia na samą myśl o seksie, ptaszkach i cipkach, stosunkach cielesnych, całym tym kramie. Nauki Kościoła do końca moich dni będą chroniły moją duszę jak kondom. I tak już gnębiło mnie poczucie winy z powodu tego, że napawałem się rozkoszami zesłanego przez niebo ciała Sheby Poe, a z drugiej strony walczyłem z prężnym pragnieniem, by znów ją zobaczyć i szczerze, uczciwie, z całego serca wyznać jej, że ją kocham. Wtedy, w nocy, byłem jak rażony gromem i nie potrafiłem przekazać tej istotnej prawdy, prawdy, którą teraz chciałem wykrzyknąć w głos. Miłość do Sheby zlikwidowałaby poczucie winy, uspokoiła wyrzuty sumienia i zbliżyła mnie do bezowocnego katolickiego zadania, by Robić Wszystko Jak Należy.

To poczucie winy najwyraźniej było zaraźliwe, skoro rodzice zawołali mnie z samego rana, gdy tylko zasiedli na werandzie.

Sądząc z ich min, byli bardzo poważni i zatroskani.

– Martwimy się o ciebie, Leo – zagała matka, patrząc na mnie.
– Naszym zdaniem bliźniaki Poe mają kłopoty. Twój ojciec i ja jesteśmy bardzo zatroskani całą tą sytuacją.

Odwrociłem się do ojca, który zazwyczaj był głosem rozsądku, ale i on siedział pogrążony w zadumie.

– Chodzi o włamanie do nich ubiegłej nocy... to się nie trzyma kupy. Pomijając rozbitą szybę, policja nie znalazła żadnych śladów, że ktoś wtargnął do tego domu – wyjaśnił. – Jedyne ślady stóp na posesji należały do ciebie i do mnie, a ich matka była tak pijana, że do tej pory nie jest w stanie podpisać zeznania. Bliźniaki też coś kręcą. A ta buźka na frontowych drzwiach? Namalowana lakierem do paznokci. Lakier w takim samym odcieniu znaleźli zarówno u matki, jak u Sheby.

Urwał i milczał, aż matka go ponagliła:

– Jasperze, nie mówisz mu wszystkiego.
– Butelkę takiego samego lakieru do paznokci znaleźli także w

pokoju Trevora – dodał ojciec. – On chyba maluje sobie paznokcie u nóg.

Słuchałem tego z narastającym strachem i z czysto egoistyczną chęcią bronienia Sheby.

– To bardzo miłe dzieciaki – zapewnilem. – Tyle że miały ciężkie życie.

– Ty nie masz zielonego pojęcia, Leo, co to jest miły dzieciak. – Surowy ton matki mnie zirytował. – Nigdy nie miałeś przyjaciela.

Wstałem i zacząłem spacerować po werandzie tam i z powrotem, niczym broniący klienta adwokat przed ławą przysięgłych.

– Nieprawda. Miałem Steve'a, w życiu nie trafił mi się lepszy przyjaciel. A w ciągu ostatnich dwóch lat zaprzyjaźniłem się z wieloma osobami. Tylko że przez tę historię z narkotykami żadna z nich nie jest w moim wieku. To moja wina i do nikogo nie mam pretensji, jeśli już, to wyłącznie do siebie. Ale ludzie, których spotykam dzień w dzień, i ci na mojej trasie z gazetami, i Harrington Canon, i moja pani psychiatra... oni wszyscy są tacy sami jak ja. Sieroty i bliźniaki nic nie wiedzą o tej kokainie, ale widzę, że chcą się ze mną zaprzyjaźnić. Tak samo jak syn trenera, Ike, kiedy już się trochę poznaliśmy. Mylisz się, mówiąc, że nie mam przyjaciół. Przez całe życie byłem sam, a teraz nareszcie mam przyjaciół. I nie zamierzam ich stracić. Chcę się z nimi przyjaźnić do końca życia i kochać ich dopóty, dopóki oni będą kochali mnie. Zresztą i tak będę ich kochał nawet wtedy, gdy oni przestaną mnie kochać.

– Właśnie do tego zmierzamy – powiedziała matka. – Boimy się, żeby sieroty i dzieci tej Poe cię nie wykorzystały.

– Nie zrobią tego. Oni mnie potrzebują. Potrzebują mojej pomocy tak samo, jak te bogate dzieciaki, które wsadzili za narkotyki. Tak jak trener Jefferson i Ike. Nie przeszkadza mi, że jestem potrzebny. Nie przeszkadza mi nawet, że ktoś mnie wykorzysta – mówiłem, czując przyływ niewielkiej siły zaczerpniętej od Sheby i odwagi, do

której nie byłem przyzwyczajony. – Mam powyżej uszu samotności. Nigdy więcej nie zamierzam być samotny.

Co rzekłszy, odwróciłem się, pognałem do domu i wbiegłem do swojego pokoju. I chociaż łzy napływały mi do oczu, nie rozplakałem się, przeciwnie – postanowiłem być stanowczy. Z szuflady nocnego stolika wyjąłem różaniec pobłogosławiony przez papieża, ten sam, który dostałem od monsiniora Maksa z okazji pierwszej komunii. Próbowałem się modlić, lecz w moich uszach słowa obracały się w proch. Podszedłem do szafy i wyciągnąłem kolekcję kart baseballowych marki Topps. Na wierzchu jednego stosu w pudełku trzymałem bezcenną kartę z Tedem Williamsem, a na pozostałych trzech widnieli Willie Mays, Hank Aaron i Mickey Mantle. W pudełku znajdowała się także jedyna fotografia, na której byłem razem ze Steve'em. Po samobójstwie brata wszystkie jego zdjęcia znikły, jak gdyby ani razu nie opromienił naszej rodziny swym nadzwyczajnym światłem. Wyjmując fotografię, zauważyłem, że z upływem czasu wydaje się coraz bardziej krucha. Ale oto stałem wystrojony w śnieżnobiały garnitur do pierwszej komunii, a brat obejmował mnie silnie, obronnym gestem. Ostatnio uważałem, że moje modlitwy brzmią szczerze tylko wtedy, gdy modłę się do Steve'a. Odkąd umarł, widziałem w nim nieustraszonego, niepohamowanego anioła czuwającego nade mną – po części rottweilera, po części wartownika sprzed Grobu Nieznanego Żołnierza, a częściowo jasnowiedza, który pewnego dnia odkryje tajemnicę życia nas obu. W najgorszych chwilach modliłem się do Steve'a, nie do Boga, który ukradł mi brata, a mnie zostawił na pastwę przerażającego świata, bez największego sprzymierzeńca u boku.

*

W wielkim czasomierzu, jakim było moje życie, karnet miałem wypełniony co do minuty, a porządek dnia ustalony niczym prawidła gramatyki. Następnego dnia rano ocknąłem się na dźwięk budzika,

po ciemku odbyłem rytuał porannej toalety, a następnie popedałowałem na rowerze nad jezioro Colonial i patrzyłem, jak furgonetka z „News and Courier” zajeżdża na nasz umówiony róg ulicy i Eugene Haverford taszczy na chodnik cztery paczki gazet. Co rano pierwszym dowodem na to, że żyję, był dym z jego cygara. Ten dym, a także napływ krwi do ud i ciepłe powietrze, gęste jak marmolada, oraz pierwsze samochody sunące Rutledge Avenue. Rozwożenie gazet, poranna msza, śniadanie u Cleo, pięć nowych słów do słownika... moje życie było zagracone nawykami.

Wyciągając szczypcę do cięcia drutu i uwalniając paczki, wdychałem zapach świeżego tuszu i aromatyczną woń wyrzuconego przez fale osadu na brzegu jeziora Colonial. Pracowałem szybko, chcąc pozwijać gazety ciasno jak sztandary. Słyszałem, jak w furgonetce pan Haverford złorzeczy na prezydenta, na burmistrza Gaillarda, na szefa policji Johna Conroya i na drużynę Atlanta Braves. Nie zdarzyło się, żeby nie przeklinał na całe gardło ważniejszych i mniej ważnych osób, które znalazły się w porannej gazecie jedynie po to, by narazić się na jego dezaprobatę.

Ruszyłem w nieprzeniknioną charlestońską ciemność, rzucając wieści ze świata ludziom na swojej trasie. Myślałem jednak wyłącznie o Shebie Poe i nocy, kiedy przyszła do mojego pokoju. Minąwszy pędem Broad Street, skręciłem w lewo w Tradd, ale nie wyciskałem z siebie siódmych potów, dopóki nie dojechałem do Legare Street. Do niektórych z tutejszych domów miałem wrócić wieczorem, żeby zebrać pieniądze za prenumeratę gazety na przyszły miesiąc. Poznam wtedy plotki, tajemnice i historie z mojego miasta – te zwariowane, te mało znaczące i te odpychające. Głęboki związek wdzięczności i więzi łączył mnie z każdym reporterem, redaktorem, zecerem, sekretarką, specem od reklamy, wydawcą, felietonistą i gazeciarem, którzy codziennie pracowali nad nowym wydaniem „News and Courier”. Wiążąc swój los z tą gazetą, pozwoliłem sobie uprawiać zawód, który – miałem nadzieję – przyniesie mi sporą satysfakcję.

Zatopiony w myślach o Shebie, pokonywałem kolejne ulice, słysząc, jak rezydencje i domy szeregowe szeptem opowiadają mi swoje historie. Pod koniec trasy skręciłem w Stoll's Alley, by obsłużyć południowy kraniec Broad Street. W niezbyt długim życiu zdążyłem się zakochać w trasach na przełaj, alejkach na tyłach domów, tajemnych pasażach i drogach na skróty, takich jak Stoll's Alley czy Longitude Lane. Często zaglądałem na Stoll's Alley, bo była taka tajemnicza i skryta. Tak wąska, że zakrawało to na perwersję albo błąd projektanta – ale dzięki temu należała do moich ulubionych prześmyków w mieście. Słońce jeszcze nie wstało, więc jechałem ostrożnie, bo było ciemno jak w konfesjonale. Nagle z jakichś drzwi wyszedł wielki mężczyzna i zniecka zaszedł mi drogę. A potem zaskoczył mnie jeszcze bardziej, waląc pięścią tak mocno, że omal nie straciłem przytomności.

Szybkość i brutalność tego czynu oraz świadomość, że wpadłem w zasadzkę, sprawiły, że byłem sparaliżowany ze strachu. Jego siła mnie przerażała. Nie od razu ogarnąłem rozumem błyskawiczność i mistrzostwo ataku. Kiedy doszedłem do siebie na tyle, żeby narobić wrzasku, zatkał mi usta dłonią, a ja odniosłem wrażenie, że to nie dłoń, tylko rękawica baseballisty. Następnie poczułem na gardle nóż, i nie był to niewielki nożyk, jakim dzieciaki rzucają w drzewa.

Tamten przez chwilę napawał się taktycznym sukcesem tej zuchwalej napaści. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyłem, że mężczyzna ma na twarzy tandetną halloweenową maskę z powiększonymi otworami na oczy.

Maska była czarna, czułem zapach farby w spreju. Nagle wyszeptał:

– *Stateczny, pulchny Buck Mulligan wynurzył się z wylotu schodów, niosąc mydlaną pianę w miseczce, na której leżały skrzyżowane lusterko i brzytwa**.

* James Joyce, *Ulisses*, przeł. Maciej Słomczyński, PIW, Warszawa 1975.

Żadne inne słowa, jakie mógłby wypowiedzieć nieznajomy, nie zdołałyby mnie zaskoczyć i przerazić tak bardzo. Z powodu tych słów byłem pewien, że ten ktoś zaszlachtuje mnie w alejce. Nikt, kto nie posiadał najbardziej intymnej, diabolicznej wiedzy o mej przeszłości, nie wiedziałby, jak nieopisane wrażenie wywrze na mnie ten tekst w tej właśnie chwili. Na całym Południu Stanów Zjednoczonych byłem prawdopodobnie jedynym uczniem w wieku przedmatu-ralnym, który wiedział, że człowiek ten – drwiącym, groteskowym głosem osoby dobrze poinformowanej – wyrecytował pierwsze zdanie *Ulissesa*.

– I cóż, Leo, ty i twoi rodzice uwielbiacie chodzić co dzień z rana do kościoła. Wzruszające, chłopcze, prawda? Jakże świętoszkowate. Cóż za pobożność. To dopiero wierność doktrynie rzymskokatolickiej!

Myśląc gorączkowo, doszedłem do wniosku, że dopadł mnie Człowiek Klanu** z doktoratem. Nóż błędził po żyłach na mojej szyi. Napastnik miał świeży oddech i miły głos. Wyczułem zapach płynu do płukania ust oraz wody po goleniu marki English Leather.

** Człowiek Klanu (*Klansman*) – tytułowy bohater głośnego filmu z Lee Marvinem i Richardem Burtonem o działalności Ku-Klux-Klanu.

– „Rzekirzyg”***, Leo – wyszeptał nieznajomy, szydząc ze mnie pierwszym słowem głupkowanej powieści Joyce'a *Finnegan's Wake*. – Mógłbym poderznąć gardło twojej matce, Leo – ciągnął. – Tyle czasu spędza sama w gabinecie. Albo załatwić twojego ojca. Urządził sobie w domu całkiem miłutkie laboratorium. Albo twojego nowego kumpla, tego czarnucha Jeffersona, z którym ćwiczysz co rano. Wybieraj, Leo. Kogo?

*** Przekład Tomasza Mirkowicza.

Sparaliżowany strachem, nie mogłem wydobyć głosu, ledwo odychałem. Tymczasem on mówił dalej:

– A może ciebie, Leo, tu i teraz? Mogę zakończyć twoje życie w tej chwili i nikt się nie dowie, dlaczego cię zabiłem, nawet ty. Albo nie, bądźmy bardziej twórczy: powiedzmy, że wykopię kości twojego

brata i pewnego dnia obudzisz się obok jego szkieletu? To mi się podoba, Leo. Tobie nie? Pewnie nie, tak myślałem. Ubijmy interes. Wczoraj w nocy widziałem, jak bzykasz nową sąsiadkę. Żeby mi to było po raz ostatni. To jak, Leo, stoi?

Kiwnąłem głową.

– Powiedz komuś o tym, co tu się działo, a zabiję ci mamuszkę i tatuśka. Bez pośpiechu, powolutku. Potem wezmę się za ciebie. A teraz ani drgnij, Leo.

Nagle pstryknęła latarka, oślepiając mnie, i nóż oderwał się od mojej szyi. Słyszałem, jak jęczy, chowając się do pochwy. Ale potem ogarnął mnie jeszcze większy strach, bo zwąchałem charakterystyczny zapach lakieru do paznokci i poczułem, że niezajomy maluje coś na moim czole. Nie śpieszył się. Kiedy skończył, polecił:

– Nie ruszaj się przez pięć minut. Obiecuj, Leo. Powtórz za Moly Bloom: *tak powiedziałam tak chcę Tak**.

* Op, cit.

– *Tak powiedziałam tak chcę Tak* – powtórzyłem, dusząc się panicznym strachem, a tamten wstał i spokojnie odszedł Stoll's Alley, zostawiając mnie samego tylko w towarzystwie ostatnich słów z *Ulissesa*.

Czekałem dłużej niż pięć minut. Dopiero gdy zrobiło się jasno, ośmieliłem się ruszyć i prowadząc rower, poszedłem na Church Street. Podchodząc do zaparkowanego na ulicy mercedesa, przejrzałem się w lusterku wstecznym. Lewe oko miałem zaczerwienione, ale powinno się obejść bez siniaka czy opuchlizny. Lewe szkło okularów było zbite. Niepokojącym sygnałem było natomiast to, czego się spodziewałem – na czole miałem stygmat niczym trupia czaszka: bużkę z samotną, przejaskrawioną łzą pod lewym okiem. Za pomocą jednej z ostatnich gazet, jakie mi zostały, oraz paznokci, zdrapałem szpetny malunek, wszedłem do rozległego ogrodu klienta, odkręciłem kran i przemyłem twarz. Z powodu gróźb napastnika nikomu nie mogłem powiedzieć, co się stało. Musiałem wymyślić historyjkę o kraksie na rowerze, żeby wyjaśnić zbite okulary. Ciekaw byłem, co

to za przeklęty, wręcz nie do opisania świat, w który przypadkowo się wpakowałem.

*

Mój pomysł na wymyślenie bliźniakom jakiejś rozrywki po prze-rażającej nocy, jaką przeżyli, był spontaniczny i pełen dziur, ojciec zgodził się jednak pomóc mi sklecić z tego spójny plan. Zadzwo-niłem do niego z domu Poeów dzień po tajemniczym napadzie w alej-ce. Kiedy poprosiłem go o pomoc, w jego głosie wyczułem drzenie. Drzenie, od którego ścisnęło mi się serce, bo usłyszałem w nim go-towość przyjścia mi z pomocą, szczerą ojcowską nadzieję, że przez ulicę przechodzi w niedozwolonym miejscu choćby cień szczęścia, zmierzając ku jego jednemu synowi. Łyknął mój plan bez oporów i obiecał, że wszystko przygotowuje.

– Ojcze, czy mogę pożyczyć twój kabriolet? Chevy, rocznik pięćdziesiąty siódmy? – Widziałem, że proszę o wielką przysługę. – Będę na niego uważał, obiecuję.

– Nie mówiłem ci, synu? Ja już nie mam tego samochodu. Nie jest mój.

– Od kiedy? – Byłem oburzony. Sądziłem, że staruszek prędzej zaprzedałby mnie i matkę w niewolę, niż pozbył się ukochanego samochodu. – Komu go sprzedałeś?

– Nikomu. To zbyt cenny samochód, żeby go sprzedawać. Daję go tobie, synu. Zawsze chciałem ci go dać, ale musiałem poczekać, aż skończy się nadzór kuratorski. Możesz go pożyczyć. Zanim wró-cisz do domu, będzie umyty i gotowy do jazdy.

Odłożyłem słuchawkę, nawet się nie żegnając. Nie byłem w sta-nie nic powiedzieć, wykrztusić słowa, nie wtedy i nikomu pod słoń-cem. Podejście ojca do świata było wąskotorowe, przetykane skrom-nością i nieśmiałością, brakowało mu zdolności popisywania się, odwagi i polotu. Każdy dzień traktował jak wzór matematyczny, który będzie studiował wytrwale, aż rozwiąże go z całkowitą pewno-ścią siebie. Zamiłowanie do szpanerskich, szybkich samochodów

było dla niego nietypowe – jedyne zdanie niepasujące do reszty oklepanej naukowej prozy. Nigdy nie kupował fabrycznie nowego samochodu prosto z taśmy, tylko z anielską cierpliwością czekał, aż wóz zestarzeje się na tyle, by cena spadła do możliwości finansowych nauczyciela w ogólniaku. Obecnie jeździł thunderbirdem rocznik pięćdziesiąt sześć, który określił klasykiem już na pierwszy rzut oka, gdy pojazd ten zadebiutował na ulicach Charlestonu, ale było to ponad dziesięć lat temu.

Gdy Trevor i Sheba zjawili się na naszym podwórku, obecność dziewczyny mnie onieśmielała. Ale beztronski nastrój Trevora sprawił, że poczułem się nieco mniej onieśmielony. Ojciec najwyraźniej odłożył na bok brak zaufania do nich i z wyraźną przyjemnością zabawiał jedyną dwójkę ludzi w mieście, którzy nie słyszeli jeszcze dwudziestu pięciu dowcipów z brodą, jakie miał w skąpym repertuarze. Rozmawiał z nimi uprzejmie, ja zaś pobiegłem włożyć kąpielówki, podkoszulek z logo Cytadeli i czapkę baseballową Atlanta Braves, którą ojciec kupił mi zeszłego lata, kiedy jednego dnia dwa razy z rzędu wygraliśmy z tym samym przeciwnikiem.

Gdy podszedłem do drzwi garażu, rzucił mi kluczyki wysokim łukiem. Udałem, że zdejmuję maskę łapacza, poprawiłem okulary i złapałem klucze tuż przed konkursowymi azaliami matki. Bliźniaki nagrodziły mnie brawami. Ojciec uklonił się, po czym wrzucił wielką dętkę na tylne siedzenie kabrioletu i przykazał Trevorowi, żeby trzymał ją mocno, gdy będziemy pędzili z odkrytym dachem na James Island.

– Czy pan Ferguson wie, że wybieramy się na jego plantację? – zapytałem ojca.

– Wie i wie, po co tam jedziecie. Powiedziałem mu, że odbierzemy kabriolet jutro.

– Tylko na pewno wypłyną nam na spotkanie, gdy już dotrzemy nad Ashley – powiedziałem.

– Zadzwoń na przystań do Jimmy'ego Wigginsa. Pożycza mi swojego „Bostońskiego Wielorybnika”. Kiedy wypłyniecie ze strumienia, będę łowił.

– Pan łowi wieloryby? – zdziwiła się Sheba.

– Nie, słonko, tak się nazywa ta łódź.

Gdy uruchamiałem silnik samochodu, gnębiło mnie poważne zmartwienie, ale miałem plan, jak sobie z nim poradzić. Jak dotąd nikomu nie powiedziałem o człowieku w alejce, a siniaki na twarzy przypisałem zmyślonej kraksie na rowerze. Napastnik sprawiał jednak wrażenie, jakby był wszechpotężny, otaczała go aura tajemniczości, więc obawiałem się, że może nas śledzić, podążać naszym tropem jak rekin ostronosy za rannym strzępielem przez grotty rafy koralowej. Gdyby jednak chciał ścigać nas tego dnia, musiałby znać ulice Charlestonu równie dobrze jak ja. Nie dość, że urodziłem się w tym mieście, to w dodatku byłem gazeciarem, więc plan miasta znałem na wrywki.

Na pełnym gazie śmignąłem Lockwood Boulevard, skręciłem ostro w prawo i przemknąłem uliczkami na tyłach miejskiego szpitala, po czym skręciłem w lewo w Ashley Boulevard. Przed każdym wirażem uważnie spoglądałem w lusterko wsteczne. Dojechawszy do autostrady Savannah, byłem pewien, że nikt nas nie śledzi. Odprężony, włączyłem się do ożywionej rozmowy bliźniaków, skręcając na południe, wolny od psychoz i szczęśliwy, że – nareszcie! – jestem nastolatkiem.

Kiedy słuchałem, jak bliźniaki się wygłupiają, kręciło mi się w głowie. Trevor pochylił się na tylnym siedzeniu i wsunął między nas. Czując, że się rozluźniłem, zaprosił mnie do ich krainy wspaniałego, śmiesznego przekomarzania się. W życiu, jakie znałem, swobodne pogaduszki nastolatków były zjawiskiem nieznanym. Dla mnie był to radosny przejaw swobody. Pokonaliśmy most nad Ashley i skręciliśmy w Folly Beach Road.

– Leo, tak sobie myślę, że w przyszłym roku Sheba powinna wyjść za Elvisa Presleya.

- A on przypadkiem nie jest żonaty? – spytałem.
- Też mi kłopot! Wystarczy, że rzuci na Shebę okiem, a raz-dwa złoży pozew rozwodowy w najbliższym sądzie. Jeszcze nie spotkałem mężczyzny, który potrafiłby się oprzeć pogańskiemu czarowi mojej siostry. Oczywiście, pomijając takich facetów jak ja. Rozumiesz, o czym mówię, Leo? Z pewnością wiesz, że mnie pociąga przeciwny biegun.
- Przeciwny biegun? – powtórzyłem. Wprawdzie za wszelką cenę starałem się być wyrafinowany, ale nie miałem bladego pojęcia, o czym on mówi.
- Leo to chodząca niewinność – powiedziała Sheba. – Ładnie mówisz, tylko nigdy nie wiesz o czym. A jeśli chodzi o Elvisa, nie zgadzam się. Rozbijanie małżeństw to nie jest moja życiowa rola. Widzę siebie raczej jako pielęgniarkę albo boginię.
- A! – wykrztusił Trevor. – Planuje swoje życie w całej jego prostocie.
- Myślałam, żeby wyjść za Paula McCartneya. Poznaję po jego oczach, że to bratnia dusza. Dzięki niemu miałabym odskocznnię do kariery aktorskiej, grałabym Julię na londyńskich scenach i poznała królową Anglii. Boże, jak ja bym chciała poznać królową! Wyczuwam, że jest samotna, przecież to oczywiste, że wyszła za księcia Filipa z rozsądku, a nie z namiętności. Byłabym jej powiernicą i jednocześnie sterowała karierą Paula we właściwym kierunku.
- Ja żyję dla piękna – oświadczył Trevor, trochę od rzeczy. – Zawsze pójdę tam, dokąd zaprowadzi mnie piękno.
- Ja także podziwiam piękno, ale mnie pociąga sztuka – odparła Sheba. – Pragnę być największą aktorką swoich czasów. Chciałabym poślubić trzech albo i czterech najbardziej fascynujących mężczyzn epoki. Ale chcę też wzruszać ludzi tak głęboko, żeby cały świat śmiał się i płakał, był szczęśliwy i pełen życia.
- Dobrze powiedziane – skwitował Trevor. Odwrócił się do mnie i zapytał: – A jakie ty masz ambicje, Leo? Niczego nie ukrywaj. Ty i twój ojciec sięgnęliście po broń, żeby nas obronić, więc

w naszych oczach jesteś bohaterem.

Zażenowany, nie mogłem wykrztusić słowa. Poczucie niższości nie pozwalało mi rozmawiać jak równy z równym z tymi bujającymi w obłokach bliźniakami. Moje marzenie, by kiedyś znów spędzić noc z Shebą, zakrawało na absurd, jakiego świat nie widział. Czy mam im nałgać, że zamierzam ożenić się z Sophią Loren, objąć stanowisko sekretarza generalnego ONZ albo przyjąć święcenia kapłańskie i zostać pierwszym papieżem z Ameryki? Myślałem gorączkowo, pędząc przez James Island, i wpadłem na pomysł, że w głębi serca pragnę zostać astronautą, badać zwyczajnie godowe płetwali błękitnych i nawrócić Chiny na katolicyzm. Już miałem na końcu języka wszystkie te nieprzemysłane kłamstwa, a jednak rzekłem:

- Myślę o tym, żeby studiować dziennikarstwo.
- Może nas opisze, Shebo – rzucił Trevor z ożywieniem. – Może rozślawi nas na wszystkie strony świata.
- Dostarczymy mu bombowych materiałów – dodała. – Sensacja to jest to, czego dziennikarze potrzebują najbardziej.

W tym momencie wkroczyłem w zagadkowy świat iluzji dwojga dzieciaków, których życie byłoby nie do zniesienia, gdyby nie puszczała wodzy wyobraźni. W świat, w którym wszystkie zasady cywilizowanego życia zostały obrócone w perzynę i ustalone od nowa.

Dotychczas nie byłem na plantacji Secessionville, ale dzięki precyzyjnym wskazówkom ojca bez trudu trafiłem na drogę gruntową, która doprowadziła nas do tego mitycznego miejsca. Dom stał na wzniesieniu, górując nad hektarami bagien, które rozciągały się kilometrami wzdłuż i wszerz James Island Creek i rzeki Folly. Pan Ferguson pomachał nam ręką z werandy i uniósł kciuki, a jego ładna żona zawołała do nas, pytając, czy nic nam nie trzeba, zanim ruszymy w nieznane.

Kąpielówki Trevora były tak kuse, że wyglądały jak zszyte z dwóch jarmułek.

- Europejskie – wyjaśnił.

Sheba włożyła bikini w kolorze ciała, odsłaniające tyle, że bez trudu uwierzyłem, że mogłaby wybierać między Elvisem a Paulem McCartneyem, gdyby któryś z nich miał szczęście znaleźć się tu razem z nami.

– Podoba ci się mój kostium, Leo? – zapytała.

– A masz w ogóle jakiś kostium? – odparłem, na co bliźniaki parsknęły śmiechem.

Pierwszy raz w życiu postawiłem nogę na pływającej platformie, na której moi rodzice zakochali się w sobie dobrze ponad trzydzieści lat temu. Odkąd ojciec zdradził mi historię ich zalotów, planowałem, że wybiorę się w tę wodną podróż sam. Chciałem jednak zabrać w nią dwoje nowych przyjaciół, z których jedno na zawsze pozbaawiło mnie dziewictwa. Rzuciłem dętkę na cofającą się falę – dokładnie o tej porze księżyc wydał rozkaz do odwrotu wszystkim wodom na moczarach. Gdy tylko weszliśmy na platformę, fala zabrała nas dokładnie tak, jak zaplanowałem. Daliśmy nura do cieplej, czystej wody, podpłynęliśmy do dętki roześmiani i zaczęliśmy długi, powolny dryf w kierunku Atlantyku, który – olbrzymi i cichy – czekał, gotowy na wszystko.

Latem słona woda zalewająca strumienie, zalewy i zatoki Karoliny Południowej jest ciepła, nasłoneczniona i jedwabista w dotyku. Wskoczenie do niej nie było niemiłym szokiem, przeciwnie – koło nasze stargane nerwy podczas tej ucieczki z domu. Strumień był ciemny od substancji odżywczych nagromadzonych w wielkim słonym bagnie. Jeśli otworzyło się oczy pod wodą, nie widać było własnej ręki. Płynęliśmy tą częścią Atlantyku, którą stan Karolina Południowa wypożyczył tylko na chwilę. Teraz fale cofały się szybko, wysysając z bagien ich esencję, a kraby niebieskie siedziały zaczajone na maruderów, którzy wkrótce padną ich łupem. Odpływ odsłaniał ostrygi zamykające się szczelnie, zatrzymując sobie kielich słonej wody, pozwalającej im przetrwać do kolejnego przypływu; płastugi ukryte w błocie, barweny przemykające jak żywe srebro w morskiej trawie; małe rekiny węszące za padliną; czaple modre stojące

na prostych nogach, co zwiastowało polowanie w bezruchu, czaple śnieżne – jedyne stworzenia na wybrzeżu Karoliny Południowej, których nazwa przywołuje zimę – wpatrzone w płycizny w poszukiwaniu śmigających ławic małych rybek. Nie przeszkadzałem bliźniakom, by mogły ogarnąć tę scenerię, i pierwsze kilkaset metrów płynęliśmy w milczeniu, ciszą dostosowując się do otoczenia.

W końcu usłyszałem, jak Trevor pyta siostrę:

– Czy to jest to?

– Prawie. Prawie ideał. Nie jestem jeszcze pewna.

– Masz rację. Musimy zobaczyć, jak to się skończy.

– Mógłbyś nadepnąć na zbitą butelkę po piwie i skaleczyć się w stopę – powiedziała. – Wdałby się tęzec i byś umarł. Szkoda tylko, że śmierć poszłaby na marne, skoro nikt by nie wiedział, gdzie cię szukać. Na twoim pogrzebie nie byłoby żywej duszy.

– Na mój pogrzeb mają przyjść tysiące ludzie, Shebo. Od tego nie odstąpię.

– No to tęzec odpada. – Sheba zerknęła przez ramię na Wyspę Sullivana i znów zapatrzyła się na białą szachownicę miasta. Mokradła miały odcień soczystej letniej zieleni, zieleni szat liturgicznych, kameleonów albo lasów deszczowych. Spartyna grzebieniasta szpanowała jasną zielenią, zmieniającą aurę, gdy między słońcem a strumieniem przepływała chmura. Jej zieleń była zatopiona w chwili, gdy odkryliśmy, że moczary żyją w naszej świeżo zawiązanej przyjaźni.

– To może być to, Trevorze – odezwała się Sheba, kiedy staliśmy się częścią fal, a dętka powoli się obracała.

– O czym wy właściwie mówicie? – zapytałem. – Nieładnie mieć sekrety.

Bliźniaki roześmiały się, po czym Sheba wyjaśniła:

– Mało nas jeszcze znasz, Leo. My też cię nie znamy. Twoja matka nas nie lubi i zrobi wszystko, żebyśmy się nie zaprzyjaźnili. Dla większości ludzi jesteśmy zbyt ekscentryczni. Zdajemy sobie

z tego sprawę. A ty poznałeś naszą matkę, stukniętą babę, która zatacza się w pijanym widzie.

– Ale to nie tylko jej wina – wpadł jej w słowo brat. – Mama miała ciężkie życie. Sheba i ja nie jesteśmy w czepku urodzeni, rozumiesz?

– Już jako małe dzieci postanowiliśmy z Trevorem, że będziemy żyli w świecie iluzji. Ale przyjęliśmy zły scenariusz. Za dużo Draculi, za mało Disneya.

– Mówisz szyfrem – zwrócił się Trevor do siostry. – Jak sama zauważyłaś, Leo jest jednym z niewiniątek bożych, więc lepiej niech taki pozostanie.

– Na to już chyba trochę za późno. – Sheba puściła do mnie oko, potwierdzając to, co mi podpowiadała intuicja: że jeśli chodzi o seks, ona nie kieruje się pojęciami takimi jak miłość czy odpowiedzialność, nie uprawia go w cieniu Drogi Krzyżowej. Sheba – choć z trudem wyobrażałem sobie coś tak dziwnego – przypuszczalnie traktowała seks jak rozrywkę. Myśl ta wprawiła mnie w takie osłupienie, że wsadziłem głowę pod wodę, przekonany, że nawet ryby zauważą, jak się zarumieniłem.

Gdy wynurzyłem się na powietrze i światło, ta osobliwa magia przepływu wody, zachodzącego słońca, turkusowego nieba i apodyktycznej ciszy moczarów wprawiły bliźniaki w podobny do modlitwy trans. Nie musieliśmy się ruszać, chyba że zносиło nas zbyt blisko brzegu albo trzeba się było odepchnąć od piaszczystych mierzei. Byliśmy niesieni i opętani przez fale.

Nagle Sheba powtórzyła:

– To jest to, Trevorze. Masz rację. Jesteśmy w samym środku tego i miło zdawać sobie z tego sprawę.

– W środku czego?! – wykrzyknąłem. – Wciąż o tym gadacie, a ja nie wiem, o co, do cholery, chodzi.

– O idealną chwilę – odpowiedziała Sheba. – Trevor i ja czekaliśmy na nią przez całe życie. Zdarzało nam się, że myśleliśmy, że już ją mamy, ale zawsze coś musiało ją popsuć.

– Cicho – przestrzegł ją brat. – Nie zapaszaj. To wszystko może się jeszcze rozlecieć.

– W zeszłym roku pojechaliliśmy obserwować wieloryby w Oregonie. Z matką – ciągnęła Sheba. – Byliśmy już gotowi wracać, gdy naraz wieloryby zaczęły nadpływać. Wydawało się, że ocean jest ich pełen. Migrowały na północ z potomstwem. Trevor i ja spojrzeliśmy na siebie. Byliśmy tacy nieszczęśliwi. Ale potem przeszliśmy na dziób łódki, tylko we dwoje. Trzymaliśmy się za ręce, spoglądaliśmy na siebie i na wieloryby i w tej samej chwili powiedzieliśmy: „To jest to”.

– Zanim nasza matka zwymiotowała – uzupełnił Trevor. – Tłumaczyła się chorobą morską, ale my wiedzieliśmy, że to przez nadmiar bourbona. Nie muszę chyba dodawać, że ten dzień był daleki od ideału. Nie trafił nawet do pierwszej dziesiątki.

– Leo nie musi tego słuchać, Trevorze – przerwała mu Sheba. – On miał wspaniałe życie. Jest taki niewinny.

– Aha, widać, że jesteście tu nowi – mruknąłem. – Słyszeliście o moim bracie Stevie?

– Myśleliśmy, że jesteś jedynakiem – rzekł Trevor.

– Teraz już tak. Ale coś wam opowiem. Miałem najfajniejszego, najprzystojniejszego brata na świecie i myślałem, że jest szczęśliwy. Kiedy miałem dziewięć lat, znalazłem go w naszej wannie... podciął sobie gardło i nadgarstki. Kilka następnych lat spędziłem na gadaniu z psychiatrami. Myślałem, że smutek mnie zabije. I niewiele brakowało. Ale powoli się z tym pogodziłem. Wspaniałe życie? Nie sądzę, Shebo. I tak dla waszej wiadomości: mam zero przyjaciół w moim wieku. Zero.

Bliźniaki wyciągnęły ręce i mnie dotknęły – Trevor złapał mnie za ramię, Sheba wzięła za rękę.

– Dwoje – powiedziała wzruszona.

– Teraz masz dwoje przyjaciół – sprecyzował Trevor. – Jako bliźniaki potrafimy cię kochać dwa razy bardziej niż inni.

– Powiedziałeś kiedyś jakiemuś nastolatkowi o bracie? – spytała Sheba.

– Nikomu. – Tyle że wie o tym cały Charleston.
– Ale to nas wybrałeś, żeby się z tego zwierzyć – zaznaczył Trevor. – To dla nas zaszczyt, Leo.

– Wielki zaszczyt – przytaknęła Sheba. – Zróbmy miejsce dla Steve'a. Zaprośmy go na nasz rejs po rzece.

Przysunęła się do mnie, tak samo postąpił Trevor. Powstała pusta przestrzeń, gdzie powinien znaleźć się mój brat.

– Steve, to ty, kochany? – usłyszałem słowa Sheby.

– Jasne, że on – odparł Trevor. – Kto by odrzucił zaproszenie na taką imprezę?

– Nie widzę go – powiedziałem.

– Musisz go poczuć – poinstruowała mnie Sheba cierpliwie. – Nauczymy cię wszelkich przyjemności płynących z iluzji.

– Ale żebyśmy mogli uczynić to realnym, musisz w to uwierzyć – wyjaśnił Trevor. – Jesteś na to gotowy, Leo?

– Wobec tego Steve o tym wie – rzucił Sheba szybko. – To on się denerwuje tym spotkaniem, nie ty. Pogadaj z nim.

– Cześć, Steve! – powiedziałem załamującym się głosem. – Boże, jak mi cię brakowało. Nikt nigdy nie potrzebował brata tak bardzo jak ja.

Nagle pękłem jak szyba, a wraz ze mną bliźniaki. Widząc, że zaniósłem się płaczem, rozplakali się równie niepohamowanie jak ja. Moje łzy mieszały się ze słonymi falami, aż skończył mi się ich zapas, bo fale smutku osuszyły tkwiące we mnie mokradła. Przez pięć minut dryfowaliśmy w absolutnej ciszy.

– Zniszczyłem waszą idealną chwilę – odezwałem się znienacka.

– Ależ skąd – uspokoiła mnie Sheba. – Wniosłeś w nią swój wkład. Wyznałeś nam prawdę o sobie. To się nigdy nie zdarza.

– Dałeś nam część swojej osobowości – dodał Trevor. – Idealny nie znaczy szczęśliwy. Ideał ma rozmaite oblicza.

– Wiecie, dlaczego przywiozłem was dzisiaj na tę platformę? Wiecie, dlaczego płyniemy teraz do portu w Charlestonie? – zapytałem.

– Nie – odparła Sheba. – Czy Steve zna tę historię? Z nim też musisz się nią podzielić. Zabraliśmy cię do naszego urojonego świata, Leo. Musisz podejść do tego poważnie.

Spojrzałem na umowne miejsce, gdzie mój brat żył w bystrym ujściu strumienia.

– Steve, ta historia spodoba ci się jak żadna inna.

Opowiedziałem więc, jak to latem moi rodzice zakochali się w sobie. Bliźniaki wysłuchały mnie do końca, ani razu nie przerywając.

– No, to się nazywa historia miłosna! – skomentował w końcu Trevor.

Wyłynęliśmy ze strumienia na nieco bardziej wzburzone wody portu w Charlestonie. Nadal byliśmy więźniami fal, które stały się większe, gdy zniosło nas na Ashley. Słońce już zachodziło i rzeka przybrała cytrynową barwę, która szybko przeszła w czyste złoto. Ogarnął mnie strach, gdy na żadnej łodzi nie dostrzegłem ojca, ale już po chwili zobaczyłem, że macha do nas ręką. Przywiązał „Bostońskiego Wielorybnika” do boi i z wyraźną przyjemnością łowił ryby. Nie zależało mu na tym, żebyśmy jak najszybciej dopłynęli do miejsca spotkania. Prawdopodobnie tak cię cieszył, że spędzam czas z rówieśnikami, że pozwoliby nam tak dryfować do północy, gdyby nie związane z tym niebezpieczeństwo.

Podczas gdy fale niosły nas chyżo na spotkanie z ojcem, powiedziałem bliźniakom coś, co czułem, że powinienem im wyznać, choć wcześniej postanowiłem zachować to dla siebie. Ten dzień był tak specjalny, że za nic nie chciałem go popsuć, uważałem jednak, że nie mam wyboru.

– Shebo, Trevorze, nie wiem, jak wam to powiedzieć – zacząłem bardzo ostrożnie. – To był najcudowniejszy dzień w moim życiu. Ale wczoraj napadł mnie jakiś mężczyzna. W wąskiej alejce. Stąd to moje podbite oko. Przyłożył mi nóż do gardła. Powiedział, że zabije i mnie, i moich rodziców. Widział nas razem, Shebo, i wiedział, że spędziłaś noc w moim domu. Nosił maskę. Wymalował mi na twarzy

takie coś, to samo co na waszych drzwiach. W życiu się tak nie bałem.

– Właśnie wszystko popsuleś, Leo – oświadczyła Sheba zimno.
– Popsuleś idealny dzień.

– Właśnie. Puf, i wszystko prysło, ot tak – przytaknął Trevor, odwracając się ode mnie.

– Nie chciałem niczego popsuć. Po prostu się o was martwię.

– Sami potrafimy o sobie zadbać – rzekła Sheba. – Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Ojciec zapalił silnik i ruszył nam na spotkanie na środek rzeki. Rzucił kotwicę, przestawił silnik na jałowy bieg i po kolei pomógł nam wejść na pokład. Po kilku godzinach dryfowania w słonej wodzie miło było wytrzeć się ręcznikami plażowymi i ugasić pragnienie zmrożoną coca-colą, którą ojciec miał w lodówce.

– Twoja matka zawiozła mnie na plantację – powiedział ojciec.
– Wziąłem samochód i ubrania, które zostawiliście.

Podał nam papierowe torby wypchane naszymi letnimi ciuchami i klapkami. Trevor i ja bez słowa ściągnęliśmy kąpielówki i włożyliśmy szorty i podkoszulki. Było mi niewymownie przykro, że wspominałem o tym mężczyźnie w alejce. Sądziłem, że przez tę niedyskrecję na zawsze straciłem przyjaźń bliźniaków, chociaż nie miałem pojęcia, na czym polegała moja zbrodnia i dlaczego ujawnienie tego faktu wzbudziło w nich aż taką odrazę.

Przeszliśmy z przystani na drugą stronę Lockwood Boulevard i skręciliśmy w Sinkler Street, przy której mieszkaliśmy. Ojciec wciąż był zachwycony i udawało mu się podtrzymywać rozmowę z bliźniakami. Odprowadziliśmy rodzeństwo do domu, gdzie ich matka oglądała telewizję w pokoju od frontu. Kiedy żegnałem się z Shebą, zaskoczyła mnie uściskiem i pocałunkiem w policzek.

– To był idealny dzień. Wytlumaczę to Trevorowi. Nie mogło być lepiej.

Ściskając mi rękę, wsunęła mi w dłoń karteczkę. Miałem nadzieję, że to liścik miłosny, a w każdym razie wyznanie miłości. Czytałem o listach miłosnych w powieściach, nigdy jednak czegoś takiego nie dostałem. Ojciec objął mnie ramieniem – stosowny gest w odpowiednim momencie. Napawaliśmy się tym przez chwilę, a potem ruszyliśmy do domu, rozmawiając o tym, co przygotowujemy na kolację.

Gdy tylko zostałem sam, przeczytałem karteczkę, którą Sheba wsunęła mi ukradkiem. Nie był to liścik miłosny, na który liczyłem, ale wstrząsnął mną do głębi.

Kochany Leo, przepraszam Cię za to, jak się zachowaliśmy z Trevorem. Znamy człowieka, który na Ciebie napadł. To przez niego oboje żyjemy w świecie wyobraźni. Człowiek, który Cię skrzywdził, jest naszym ojcem. Tak, Leo. Właśnie poznałeś naszego kochanego tatuńcia.

ROZDZIAŁ 7

Przyjęcie

Czwartego lipca wydałem przyjęcie z okazji zakończenia mojego nadzoru kuratorskiego. Od rana ustawialiśmy z ojcem stoliki do kart i składane krzeselka, które zarekwirowaliśmy z liceum. Matka ozdobiła każdy stół wazonem wielokolorowych kwiatów z własnego ogrodu. Ojciec przez całą noc piekł na ruszcie prosiaka, przeklinając w ciemności okoliczne szopy pracze i wałęsające się samopas psy, które aromat nafaszerowanego orzesznikiem wieprzka doprowadzał do szału. Sheba i Trevor wpadli rano i pomagali nam przez cały dzień – czyścili srebrne sztucce, rozkładali nieskazitelne obrusy i nakrywali stoliki w ogrodzie na tyłach domu, zgodnie z niewzruszonym przekonaniem matki, że na żadnym spotkaniu towarzyskim w jej domu nie ma prawa być plastikowych noży czy widelców albo papierowych talerzyków.

Tuż po trzynastej zjawił się z całą rodziną trener Jefferson i pomógł ojcu urządzić prowizoryczny bar. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że jest to bar pełną gębą, serwujący wszelkiego rodzaju napitki – od plebejskich po egzotyczne, od zimnego piwa po koktajl Singapore Sling. Pani Jefferson i jej matka przywozły wielkie pojemniki z lemoniadą i mrożoną herbatą.

Na polecenie ojca mnie i Ike'a wysłano do lodowni po zakup lodu w ilości, która zatopiłaby lotniskowiec. Wziąłem swojego chevy

rocznik pięćdziesiąt siedem i autostradą międzystanową 1-26 pojechaliśmy do północnego Charlestonu.

Pogoda dopisywała. W Charlestonie czwarty lipca bywa tak upalny, że z jadących samochodów odpada farba, w tym roku jednak niebo zasnuły chmury i wiał chłodny wietrzyk. Pomimo zdenerwowania czułem lekkość, jakiej nie pamiętałem od lat, euforię osiągnącą niemal punkt krytyczny. Próbowałem uchwycić jakieś przebliski siebie samego, które pomogłyby mi zrozumieć człowieka, jakim się właśnie stawałem.

Cały czar prysnął, gdy Ike zapytał mnie:

- Dlaczego opuszczasz dach w samochodzie, biały głupku?
- Bo jest lato, czarny cymbale. A w lecie nie ma to jak jeździć kabrioletem.
- Jak ci się zdaje, co sobie myśli biały glina albo wsiowy ćwok z Południa na widok białego chłopaka i czarnego brata, którzy jadą se autostradą, jakby cały świat należał do nich?
- Da im to do myślenia. Przymknij się, Ike, zobacz, jak fajnie się jedzie.

Poprawił boczne lusterko.

- Moja czarna dupa zadynda na linie. Przywiązanej do gałęzi dębu.
- Gdybym miał wybór, wolałbym, żeby powiesili ciebie, nie mnie.
- Mogą powiesić nas obu. Nie znasz się na psychice białej hołoty tak jak ja.
- Co ty powiesz? Coś ty taki wrażliwy na kolory, panie Picasso, panie Rembrandt, panie Renoir? Zawsze, gdy się widzimy, Ike, mam wrażenie, że prowadzisz wykład z socjologii. Jedziemy kupić tylko trochę lodu, a czuję się tak, jakbym wziął na łebka H. Rapa Browna albo Stokely Carmichaela*, bo stali akurat na szosie i łapali autostop.

* H. Rap Brown i Stokely Carmichael – radykalni bojownicy o prawa czarnej mniejszości w USA w latach 60., członkowie partii Czarnych Panter.

- Chcesz żyć, bądź czujny – odparł Ike.
- Mam cię wsadzić do bagażnika?
- Tu mi jest całkiem wygodnie. Ty po prostu musisz częściej myśleć o różnych rzeczach.
- Właśnie po to zakumplowałem się z takim bystrzakiem jak ty.
- Zastanawiałeś się nad listą gości na to twoje przyjęcie, biały chłoptasiu? – zapytał Ike. – Ściągnąłeś białych i czarnych na tę samą imprezę, ty durny sukinsynu.
- Chciałbym ci przedstawić jedną czarną pannę – powiedziałem.
- Jest z sierocińca.
- Ostatnie, czego mi trzeba, to poznać sierotę.
- Ta ci się spodoba. Jest niesamowicie piękna.
- Gadasz, jakbyś pozjadał wszystkie rozumy.
- Biała hołota po prostu wie. – Nagle zerknąłem w lusterko wsteczne i podskoczyłem. – Oho, Ike, zbliża się z mojej lewej. Pick-up pełen ćwoków. Jezu, mają strzelby, celują w nas! Kładź się! Szybko... na podłogę!
- Ike padł na podłogę samochodu. Po trzydziestu sekundach jazdy zapytał:
- Odjechali?
- Pomyliłem się. To były przedszkolaki z lodami w ręku. Fałszywy alarm.
- Ty zakłamanym biały skurwielu, Stromie Thurmondzie! – syknął, kiedy zjechałem z autostrady na Remount Road i skierowałem się do niedawno otwartej lodowni, której właścicielem był dawny uczeń ojca. Było mi przykro, bo Ike nie mógł się otrząsnąć po moim żarcie, w końcu jednak przerwał kamienną ciszę i zapytał: – Mówiłeś któremuś z tych białych faciów, że zaprosiłeś czarnych na imprezę z okazji wyjścia z wariatkowa?
- To przyjęcie nie ma nic wspólnego z wariatkowem. Urządzą je z okazji uwolnienia się od nadzoru kuratora.
- Nie ma co, miałaś kławe życie. Najpierw świr, potem handlarz narkotyków. Jak ci się to udało?

– Łapałem każdą okazję, Ike. Taką jak poznanie ciebie. A jeśli któryś z białych będzie się żołądkował, że na przyjęciu są czarni, to wolna droga.

– Coś ci się pomieszało we łbie, biały chłoptasiu.

– Ale wierzę w moc modlitwy. Och, Panie, spraw, żebym obudził się jutro, myśląc tak, jak ten cudowny, doskonały czarny bohater, doktor George Washington Carver Ike Jefferson Cholerny Przewidujący junior.

– Będę miał fart, jak mnie w tym roku przez ciebie nie zabiją – mruknął, krzywiąc się, gdy podjechałem pod rampę załadunkową lodowni.

Kiedy wróciliśmy z tylnymi siedzeniami i bagażnikiem pełnymi lodu, szkolny autobus z sierocińca brał właśnie zakręt na gładkich jak lukrecja oponach. Za kierownicą siedział pan Lafayette. Zobaczyłem, że siostra Polycarp ubrała sieroty w pomarańczowe kombinezony z wymalowanym z przodu i z tyłu napisem „Sierociniec św. Judy”.

– Hej, panie Lafayette, dlaczego Karpica kazała im się tak ubrać? Nie wyjaśnił jej pan, że jadą na przyjęcie? – zapytałem.

– Siostra Karpica źle reaguje na wszelkie rady, Leo – prychnął w odpowiedzi.

Przedstawiając ludzi na prawo i lewo, widziałem upokorzenie trójki sierot objawiające się w postaci tajemnych graffiti wokół oczu.

– Betty Roberts – zwróciłem się do nowej, niedawno poznanej dziewczyny. – To właśnie Ike Jefferson, o którym tyle ci opowiadałem. Poznałem go w stanowym szpitalu psychiatrycznym.

– Nieprawda – obruszył się Ike, ściskając rękę Betty. – Chociaż uważam, że popełnili gruby błąd, wypuszczając go tak szybko.

Pośród nerwowego śmiechu nastolatków odwróciłem się do Sheby Poe i zapytałem:

– Shebo, masz może jakieś ciuchy, które mogłabyś pożyczyć Starli i Betty na to przyjęcie?

– Za mną, dziewczyny, zaraz wam coś znajdę – rzuciła Sheba. Widziałem, że doskonale się orientuje, na czym mi zależało. Wzięła Starłę i Betty pod ramię i zaprowadziła do swojego domu. – Zdradzę wam takie tajemnice makijażu, że padniecie z wrażenia.

– Chodź, Niles – powiedziałem. – Wybierzesz sobie jakieś ubranie z szafy prawdziwego modnia. Oczywiście mówię o sobie.

Przebrałem Nilesa w nowe bermudy, stare półbuty na gumowej podeszwie i podkoszulek z logo Cytadeli, których miałem ze dwadzieścia, a to dlatego, że ojciec z jednej strony był ślepo przywiązany do swojej Alma Mater, z drugiej zaś za wszelką cenę, choć bezowocnie, pragnął zobaczyć, jak idę w jego ślady.

– Dobrze wyglądasz, Nilesie – oceniłem, składając jego kombi-nezon i zostawiając go na komodzie.

– Dlaczego masz w pokoju dwa łóżka? – zainteresował się Ike, pobieżnie oglądając mój pokój.

– Miałem brata, ale umarł.

– Jak?

– Popęłnił samobójstwo.

– Dlaczego?

– Nie miałem okazji go zapytać. Wracajmy na imprezę.

– Czy on był podobny do ciebie? – spytał Niles.

– Nie, Steve był niesamowity – odpowiedziałem. – W niczym go nie przypominam.

Usłyszeliśmy muzykę fortepianową dolatującą z salonu, gdzie – ku mojemu zdziwieniu – matka i Trevor Poe grali na cztery ręce. Od razu zorientowałem się, że umiejętności pianistyczne matki nie umywają się do znakomitej gry Trevora. Miał piękne dłonie i długie wypielęgnowane paznokcie. Wkrótce matka uniosła ręce na znak kapitulacji.

– Poddaję się, Trevorze. Nie przyznałeś się, że jesteś cudownym dzieckiem.

– To dar od Boga. Proszę poczekać, aż pani usłyszy, jak Sheba śpiewa przy moim akompaniamencie.

– Jest śpiewaczką? – zainteresowała się matka.
– Doktor King, jeszcze pani tego nie wie, ale się dowie: Sheba Poe to gwiazda.

– Grasz muzykę klasyczną? – zapytała matka. Gdy zrezygnowała z gry na cztery ręce, zaczął grać *Hey Jude* Beatlesów, ale na wzmiankę o klasyce przerzucił się na transkrypcję fortepianową *IX symfonii* Beethovena. Jego palce śmigały po klawiaturze z niebywałym wdziękiem.

– Wystarczy, że usłyszę jakąś melodię... jeden, jedyny raz... a potrafię ją grać do końca życia – wyjaśnił.

– A grałeś kiedyś w futbol? – zapytał Ike.

– Groteskowy pomysł! Jak ci się zdaje?

Dziewczęta wróciły z domu Poeów po drugiej stronie ulicy, gdzie Sheba odmieniła Starlę i Betty, robiąc im subtelny fachowy makijaż. Obie miały teraz na sobie lekkie sukienki na ramiączkach i sandały. Sheba znalazła nawet sposób na ukrycie nieszczęsnego zezą Starli, dając jej drogie na pierwszy rzut oka okulary przeciwsłoneczne. Teraz Starla była ładną, szczęśliwą młodą kobietą. Podeszła, by podziękować mi za to, że oddałem ją w ręce Sheby.

– Zdaje się, że ty i Betty jesteście już gotowe na przyjęcie. Wspaniała robota, Shebo. Trevorze, zagraj coś do tańca! – zawołałem, na co zaczął bębnić *Rock Around the Clock*. Nastąpiło oficjalne otwarcie mojego przyjęcia, które wydałem na cześć siebie samego.

W tym małym wyspiarskim świątku, jaki stworzyłem sobie w Charlestonie, zaprosiłem wszystkich, którzy odegrali znaczącą rolę w mojej długiej walce o powrót do zdrowia. Zagubiłem się tak dalece, jak gdyby wokół mnie pewnego dnia wyrósł las deszczowy, niegościnnie i nieprzeniknione. W tym przygnębiającym lesie nie znalazłem pomocy. Teraz jednak zamierzałem zostawić jego obcą geografię za sobą i z dziecięcą radością wyczekiwałem każdego dźwięku dzwonka u drzwi, po czym wprowadzałem monsiniora Maksa albo Cleo i jej męża, albo Eugene'a Haverforda, który przyniósł mi popołudniowe wydanie gazety. Przyszedł sędzia William Alexander z

żoną Zan. Z zachwytem zobaczyłem, że przyprowadzili Jacqueline Criddle. Od strony chodnika nadszedł Harrington Canon, a potem Henry Berlin z żoną i dwójką najstarszych dzieci. Przedstawiłem ich Chadowi i Fraser Rutledge'om oraz Molly Huger, która przysłała zaraz po nich.

– Zbankrutowałbym, gdyby nie rodzina Rutledge'ów. A rodzina Hugerów to już nadmiar szczęścia – rzekł Henry Berlin. – A więc to tutaj mieszka mój ulubiony kryminalista!

– Cicho bądź, Henry! – skarciła go żona, ale on puścił do mnie oko.

– Próbowałem załatwić Fraser jakiegoś chłopaka – oznajmił Chad. – Niestety bez powodzenia.

– Nie wiesz, jak się cieszę, że znów cię widzę, Leo – powiedziała Molly, kiedy uścisnęliśmy sobie ręce.

– Hej, Fraser – rzuciłem. – Chcę ci kogoś przedstawić. Chodź ze mną.

Wziąłem ją za rękę, utorowałem jej drogę przez tłum na podwórko za domem i zaprowadziłem do stołu, przy którym Ike i Betty gadała z Nilesem i Starłą.

– Hej, Niles, to moja przyjaciółka Fraser Rutledge – rzekłem. – Tak sobie pomyślałem, że przypadniecie sobie do gustu. To jest Niles Whitehead.

– Byłaby z ciebie niezła swatka, Leo – zauważyła Starla.

– Bo ja wiem? Nigdy tego nie robiłem.

– A z kim mnie chcesz wyswatać? – zapytała Starla.

Rozejrzałem się, nie znalazłem stosownego kandydata, ale mój wzrok spoczął na Trevorze Poe.

– Hej, Trevor! Zagraj dla mojej przyjaciółki Starli jakieś piosenki o miłości – poprosiłem.

– Uważam, że to boska perspektywa – mruknął. Zaprowadził Starłę do domu i wkrótce z okien salonu do ogrodu doleciała najpiękniejsza muzyka na świecie. Wody rzeki, przyprowadzone latem, nadpłynęły ku nam na wezwanie księżycy.

Podszedłem do stołu, przy którym siedział samotnie Harrington Canon.

– Przynieść panu jakiegoś innego drinka czy dolać do szklanki to samo? – zapytałem.

– Usiądź ze mną na chwilę, Leo – poprosił. – Chcę ci powiedzieć kilka rzeczy. Niektóre mają charakter ogólny, inne są prowokacyjne.

– Oto Harrington Canon, jakiego znam i kocham – odparłem, przysuwając sobie krzesło.

– Twoi rodzice nie posiadają ani jednego przedmiotu, który by wzbudzał zainteresowanie – oznajmił. – W życiu nie widziałem tak przedziwnego eksponowania bezguścia.

– Mają niewybredny gust. No i są nauczycielami – wyjaśniłem. – Nie stać ich na to, co pan sprzedaje. Przecież nawet pan mówi, że nie stać pana na kupno tego, co ma pan w sklepie.

– Są tu kolorowi – zauważył, spoglądając w dal, na rzekę Ashley.

– Tak, zaprosiłem ich. To moi przyjaciele.

– Uważam, że zapraszanie kolorowych na przyjęcie, na którym bawią się biali, to hańba. Gdybym musiał się odezwać do któregoś z nich, nie miałbym pojęcia, co powiedzieć.

– Pan z nikim nie rozmawia, ani z białymi, ani z czarnymi. Siedzi pan samotnie i gapi się w dal.

– Podziwiam rzekę – wyjaśnił. – Niedostępny przykład dzieła bożego.

– Jest pan ciutkę antyspołeczny – zauważyłem.

– No nie, skazaniec będzie mi zarzucał, że jestem antyspołeczny! Pierwszy raz spotykam się z takim tupetem.

Przeszedłem przez podwórko, żeby powitać niektórych moich ulubionych klientów, stojących w kolejce po dania z rusztu. Kiedy zmierzałem do stolika sędziego Alexandra, matka zawołała mnie z drugiej strony placu. Ścisnęła się właśnie z Septimą Clark i jej córką. Septima od dziesięcioleci przewodziła w Charlestonie bojownikom

o prawa obywatelskie. W tym mieście zaproszenie Septimy Clark na jakąkolwiek uroczystość było aktem wielkiej odwagi. Nie zdarzyło się, żeby jacyś biali zaprosili ją na czysto towarzyskie przyjęcie. Widząc Septimę w objęciach matki, poczułem przyływ dumy. Pomyślałem, że gest ten może wzbudzić wątpliwości dotyczące osób, które moi rodzice przedstawiają towarzystwu, nikt jednak nie może odmówić im odwagi. Monsinior Max wstał i zaprowadził Septimę do swojego stołu, by jadła kolację w jego towarzystwie.

A jednak nastrój nie zapylał wszystkich w takim samym stopniu. Zauważyłem, że Niles i Fraser, Ike i Betty, a także Starla Whitehead stoją na skraju grupki sędziego Alexandra, gromkim śmiechem kwitując anegdoty, którymi sypał w przedwieczornym powietrzu. Gdy Chat Rutledge zobaczył, że zawracam w kierunku stołu sędziego, oderwał się od Molly. Złapał mnie mocno za ramię i zaprowadził na skraj jeziora, gdzie za dębem błotnym byliśmy prawie niewidoczni.

- King, co ty wyprawiasz? – zapytał.
- O czym ty mówisz, Chad?
- O czarnuchach. Zaprosiłeś czarnuchów na przyjęcie! Czy ty i twoi rodzice upadliście na głowę?
- Chad, stary, sam zapytaj moich rodziców, czy upadli na głowę, czy nie – odparłem. – Chciałbym zobaczyć ich reakcję.
- Jesteśmy w Charlestonie, synu – poinformował mnie.
- Dzięki za wiadomość z ostatniej chwili.
- Tutaj takich rzeczy nie robimy. Jesteśmy na to za mądrzy.
- Mów za siebie. Wiesz, Chad, widzimy się dopiero po raz drugi w życiu, ale kiedy o tobie myślę, przychodzą mi na myśl różne słowa, tylko nie „mądry”.

Najeżył się.

- A jakie słowo jest pierwsze, frajerze? Zdaje się, że bawimy się na tym zafajdanym przez czarnuchów przyjęciu dlatego, że skończył ci się nadzór kuratorski? Biedną Molly i mnie przyłapali, jak wciągaliśmy raptem kreskę koki, a ty miałeś tyle w tej swojej tandetnej sportowej marynarce, że mogłoby się nawalić pół miasta.

– Dałem dupy, Chad. Jak dotąd to było największe wydarzenie w moim życiu.

– Więc jakie słowo najpierw przychodzi ci na myśl, kiedy myślisz o mnie?

– Matka uczyła mnie, żeby nie posługiwać się komunałami. To obraża jej godność jako nauczycielki angielskiego.

– Mam gdzieś komunały. Gadaj – powiedział.

– Pierwsze słowo, jakie przychodzi mi na myśl, to „palant”. Tak, zgadza się, właśnie tak. Drugie to „żałosny palant”. Trzecie to „żałosny, pochrzaniony palant”. Tak to wygląda, Chad. Jeszcze jakies pytania?

– Jedno. Dlaczego umówiłeś moją siostrę z jakimś pieprzonym sierotą?

– No cóż, w jachtklubie natrząsałeś się z niej, że nie chodzi na randki. Kpiłeś sobie z jej wyglądu. A ja uważam, że jest ładna i bardzo miła. Niedawno poznałem Nilesa, któremu przydałoby się kilku przyjaciół. Wygląda na to, że dziś wieczorem całkiem dobrze się bawią w swoim towarzystwie.

– Gwarantuję, że więcej ich razem nie zobaczysz – syknął Chad.

– Moi rodzice wpadną w szal, gdy usłyszą o sierotce Annie*.

* Sierotka Annie – tytułowa bohaterka znanego komiksu.

– Wyobrażam sobie. Ale idę o zakład, że Fraser i Niles będą mieli na ten temat coś do powiedzenia.

– Nie masz bladego pojęcia o tym, co myśli i robi arystokracja z Charlestonu.

– Za to często obserwuję ludzi. Są tacy przewidywalni.

– Wychodzę! – oświadczył Chad. – I zabieram Fraser i Molly ze sobą.

– O kurczę, Chad, miło było cię poznać – odparłem, nie próbując ukryć kpiny w głosie. – Opuść sobie futbol, kolego. Dobrze radzę.

– Myślisz, że się ciebie boję?

– Powinieneś. Bo zamierzam ci skopać ten twój zniewieściały

arystokratyczny tyłek z pięknej części Charlestonu leżący na południe od Broad – zapowiedziałem.

– Ty i te twoje czarnuchy?

– A tak, ja i cała reszta.

– Trzymaj tego murzyna z małej litery z dala od mojej siostry – ostrzegł Chad.

– Kogo?

– Sierotę. Pochodzi z gór Karoliny Północnej, więc jest murzynem, czyli wyrobnikiem harującym za innych. Tacy murzyni to najgorszy rodzaj białej hołoty, stoją niżej niż normalne czarnuchy.

– Pa, pa, Chad – rzuciłem. – Świetny z ciebie facet. Przy tobie nienawidzę nawet białych.

Chad wypadł jak burza, a ja przeszedłem się po podwórku, proponując gościom dokładkę mięsa z rusztu albo smażonej ryby. Próbowałem ochłonać. Chad ział jadem, ale wydawał się niepewny, a to łatwopalna kombinacja. Jak nakazuje dobre wychowanie i zgodnie z obowiązkami gospodarza, przysunąłem sobie krzesło do stołu sędziego Alexandra, w samą porę, by usłyszeć końcówkę anegdoty nagrodzonej śmiechem i brawami. Kątem oka dostrzegłem jednak, że z boku domu, gdzie konkursowe kamelie matki wzrastały na niebotyczną wysokość, toczy się szeptem zażarta sprzeczka. Chad i Fraser Rutledge zwarli się jak nieprzejednani wrogowie w walce z gatunku tych najbardziej gwałtownych, jakie toczą ludzie, którzy podobno się kochają. Byłem pewny jednego – Fraser ani nie miała dla brata zmiłowania, ani nie dawała sobie wejskać kitu. Z odległości siedmiu metrów patrzyłem, jak Niles i Starla obserwują scysję, i nie wątpiłem, że wiedzą, czego dotyczy sedno sporu. Zastanawiałem się, od jak dawna te sieroty znoszą upokorzenia ze strony rodowitych mieszkańców miast, w których zawsze byli niemile widzianymi intruzami. Fraser wyrwała się z uścisku brata, a kiedy próbował ją powstrzymać przed powrotem do Nilesa, dokładnie zobaczyłem, jak zawodniczka mająca na koncie najwięcej zbierek ze wszystkich koszykarek ligi licealnej w Karolinie Południowej precyzyjnie wymierza

cios łokciem w zebra brata, tak że wylądował w trzymetrowym krzewie kamelii.

Chad i Molly opuścili przyjęcie, z nikim się nie zegnając. Kiedy Fraser dołączyła do Nilesa, wzięła go za rękę, a on posłał jej najbardziej promienny uśmiech, jaki w życiu widziałem. Odjęło mi mowę, gdy uświadomiłem sobie, że walnie przyczyniłem się do połączenia tej pary nastolatków, którzy najwyraźniej od pierwszej chwili doskonale się uzupełniali. Wyglądało na to, że Betty Roberts i Ike też nieźle się dogadują. Jak to Starla mnie nazwała? Po raz pierwszy w życiu mogłem się uważać za swatkę. Poczulem, że posiadam wrodzoną moc, z której istnienia dotychczas nie zdawałem sobie sprawy. Rozejrzałem się i stwierdziłem, że przyjęcie jest udane.

Zaskoczony zobaczyłem, że Molly, która przypomniała sobie o dobrym wychowaniu, wraca na przyjęcie przez ogród, zarumieniona i wytracona z równowagi. Tymczasem doszedłem już do Nilesa i Fraser, żeby ich wesprzeć, ale natychmiast zorientowałem się, że żadne z nich nie potrzebuje wsparcia. Molly wciąż nosiła wszelkie oznaki i insygnia dziewczyny z charlestońskiej elity, szczepionkę przeciwko anarchii, która przedarła się przez jej niezdobyte linie obronne. Była dziewczyną z Południa, która urodziła się po to, by cieszyć oko, a nie myśleć, by roztaczać urok, a nie wzywać do broni. Kochałem dziewczyny takie jak Molly Huger i zostało mi to na całe życie. Teraz jednak wróciła, żeby dokończyć potyczkę, którą jej chłopak dopiero co przegrał. Na pierwszy rzut oka było widać, że Molly nienawidzi konfliktów objawiających się w postaci swarów. Jednocześnie zobaczyłem, że ktoś oskrzydla mnie z prawej – wilczy nos matki do okaleczonych ciał przywiódł ją na miejsce kłótni w jej ogrodzie. Czym prędzej wyszedłem jej naprzeciw, żeby ją zatrzymać. Bo choć potrafiłbym szczegółowo wyjaśnić Molly, dlaczego mój dom na pozór nie pasuje do Południa, to nie miałem czasu ani ochoty tłumaczyć jej, że wkroczyła do widmowego ogrodu Jamesa Joyce'a.

Przechwyciłem matkę, zanim zdążyła włączyć się do boju.

– Pozwól, matko, że sam się tym zajmę.
– Co ci mówił ten chłopak Rutledge'ów, tam przy dębie? – zapytała.

– Chcieliśmy się bliżej poznać.

– Łiesz! On cię atakował.

– A ja się broniłem, matko. Nie pozostałem mu dłużny.

– Wreszcie przestałeś kłamać, więc idź powstrzymać awanturę, na którą zanosi się między panną Fraser i panną Molly. – Słowo „panna” za każdym razem wysyczała szyderczo.

Gdy dotarłem do grupy stojącej z boku, usłyszałem, jak Molly zwraca się do Fraser:

– Skoro nie chcesz porozmawiać ze mną na osobności, powiem to przy świadkach. Chad nie odjedzie, jeśli nie wsiądziesz z nami do samochodu, Fraser. Znasz mnie i wiesz, że bez powodu nie robiłabym ci wstydu przy obcych.

– Dobrze mi tu, Molly – odparła Fraser. – Świetnie się bawię, chyba jak nigdy w życiu. Dlaczego tobie i Chadowi to nie w smak?

– Dlatego, że to nie w porządku. Nie chodzi o to, kim jesteśmy i jak nas wychowano. Nie powinniśmy tu dzisiaj przychodzić. Leo popełnił błąd, zapraszając nas. On doskonale wiedział, co robi.

Zirytował mnie jej ton.

– A co ja takiego zrobiłem, Molly?

– To przyjęcie jest jak puszka mieszanych orzeszków – odparła.

– Tak być nie powinno. Wszystko jest nie tak. Wiesz, jak zareaguje ojciec Chada, kiedy się dowie, że Fraser dostał się chłopak z sierocińca?

Ktoś stanął obok mnie. Odwróciłem się i ujrzałem Shebę.

– Jeśli ci się nie podoba, to spadaj z tego cholernego przyjęcia. I nie waż się powiedzieć ani słowa na mojego przyjaciela Leo Kinga. To najmiłszy chłopak, jakiego poznałam.

Na to wtrącił się Niles:

– Fraser, jedź z Molly. Ona ma rację, przeze mnie miałabyś tylko kłopoty. Starla i ja nie mamy wiele do zaproponowania. Kurczę,

zeby móc się tu pokazać, musieliśmy pożyczyć ubrania. Będzie lepiej, jeśli wrócimy do sierocińca.

– Macie czas do północy – poinformowałem go. – Matka dzwoniła do siostry Karpicy i wszystko załatwiła.

– Wobec tego pocałuj mnie w dupę, Molly – oświadczyła Starla. W jej wysokim głosie brzmiała zmysłowa ciemność i tajemniczość gór Blue Ridge.

Z tyłu nadszedł Trevor Poe.

– Molly, jesteś zjawiskowo piękna i jakże dzielna. Chodźmy do domu, będę ci grał miłosne piosenki, dopóki nie odpadną mi palce. Shebo, Starlo... bądźcie wyrozumiałe dla panny Molly, dziewczęta.

– Trevorze, nic nie rozumiesz?! – odezwała się Molly błagalnie. – Nie tak nas wychowano. Ludzie naszego pokroju nie mają tu czego szukać, tu nie ma żadnych wartości. Mówię o wartościach, jakie my wyznajemy.

– A może pójdziemy na kompromis? – zaproponowałem. – Sam odwiozę Fraser do domu przed północą. Sieroty muszą wrócić do Świętego Judy autobusem, z panem Lafayette'em.

– Ja i moja rodzina też możemy się już zbierać – wtrącił się Ike.

– Ike, jesteście moimi gośćmi – zaprotestowałem. – Mam nadzieję, że dzięki mnie i mojej rodzinie czujecie się tu mile widziani.

– Mówię o Molly i Chadzie – wyjaśnił. – Najwyraźniej nie podoba im się, że przyszliśmy tu i udajemy, jakbyśmy byli kimś więcej niż tylko zwykłymi czarnuchami.

– Niczego takiego nie powiedziałam – zaprotestowała Molly, ale mowa jej ciała świadczyła o tym, że stanęła w obliczu całej armii najeźdźców, do zrozumienia czego nie przygotowało jej dobre urodzenie. – I wcale tak nie uważam. Nic podobnego nie przyszło mi na myśl, daję słowo. Trudno wyjaśnić to ludziom z zewnątrz. Naszemu wychowaniu, choć zaszczytne, towarzyszyły wielkie oczekiwania. Rodzina jest wszystkim, to jedyne święte słowo. To klej, który spaja społeczeństwo.

– A więc dziś wieczorem ruszył cię sierociniec i Murzyńska Orkiestra Dęta? – spytała Starla. Jej oczy rzucały niebezpieczne błyski. Odwróciła się do Betty i Ike'a. – Wam też należą się dzięki. Aż do dziś ja i Niles nigdy nie czuliśmy się jak ludzie z górnej półki. A tu wygląda na to, że Molly stawia nas wyżej niż was. Ja cię kręcę, dzięki tej pannie czuję się, jakbym należała do wyższych sfer.

– Przymknij się, Starlo! – warknął Niles. – To Chad zrobił z siebie idiotę, nie Molly. Postawił ją w paskudnej sytuacji. – A do Fraser powiedział: – Jedź, Fraser. Sporo się tu dziś wydarzyło. I kto wie, co jeszcze może się zdarzyć.

– Potraktuj to jako osobistą przysługę, Fraser – rzekła Molly. – Jeśli z nami pojedziesz, będę cię kochała do śmierci. Tylko tym razem. Nigdy więcej cię o to nie poproszę.

Fraser zastanawiała się przez chwilę, po czym zaskoczyła nas, mówiąc:

– Nie pogniewasz się, Starlo? Wolałabym zostać z tobą i z twoim bratem, niż pojechać z moim. Ike'u i Betty, przez tę dętą charlestońską elitę od urodzenia czuję się jak dziwoląg. Ale dzisiaj wieczorem bawię się świetnie i jest mi z tym dobrze. To dzięki wam wszystkim jest mi tak wspaniale.

Betty uściskała Fraser.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię poznałam – powiedziała, Ike zaś dorzucił:

– Mam wrażenie, że jeszcze się zobaczymy.

Wtedy Fraser odwróciła się i pocałowała mnie lekko w policzek.

– Nikt w Charlestonie nie wydał tak wspaniałego przyjęcia jak ty, Leo Kingu. Wiem, bo byłam na wszystkich.

Gdy Fraser i Molly pożegnały się z moimi rodzicami i innymi dorosłymi, których znały, odprowadziłem je przed dom, gdzie Chad siedział w swoim samochodzie. Nie gotował się ze złości, nie wściekał, jak się tego spodziewałem. Siedział spokojny, pewny siebie, wręcz znudzony. Po ich odjeździe impreza przeniosła się pod dach. Co starsi goście również się pożegnali, ale – ku mojemu zaskoczeniu

– wielu zostało. I wtedy Sheba i Trevor Poe przejęli pałeczkę. Ten pamiętny wieczór należał do nich – spektakularny debiut w dziwnym świątku charlestońskiej nieelity. Trevor zaczął od tego, że skłonił dorosłych do wolnych tańców, grając ulubione piosenki z pokolenia mojego ojca – piosenki kojarzące się z niewypowiedzianymi lękami mężczyzn i kobiet rozdzielonych oceanami podczas drugiej wojny światowej. Wtedy po raz pierwszy odkryliśmy, że Sheba śpiewa jak upadły anioł wspominający raj. Głos miała głęboki, o pięknym brzmieniu, gardłowy. Ponieważ muzyka w niewytłumaczalny sposób budzi do życia ponure silniki naszych nieśmiertelnych dusz, pamiętam każdy utwór, przy którym tańczyliśmy tamtego magicznego wieczoru. Gdy Sheba zauważyła, że większość gości nie tańczy zbyt dobrze, przekształciła salon, pokój i część kuchni w wyszukane studio taneczne. Następnie ustawiła nas w długie faliste rzędy, a my uczyliśmy się zarzucać tyłkami i podrygiwać, wpadać w drgawki i bić pianę. Sheba i Trevor na środku sceny czuli się jak w domu. Jeżeli Salome tańczyła choćby w połowie tak zmysłowo jak Sheba, to zrozumiałem, dlaczego na jej życzenie Janowi Chrzcicielowi ścięto głowę.

Co chwila kazała nam zmieniać partnerów. Okręciwszy się, stwierdzałem, że tańczę ze Starłą w ciemnych okularach, potem z panią psychiatrą Jacqueline Criddle, potem znowu z matką, a raz nawet – to było przezabawne – z Ikiem, z którym odstawiliśmy nieprzyzwoitą kopulację do wtóru *Heartbreak Hotel* Elvisa Presleya. Był to radosny, cudowny, niepowtarzalny wieczór.

*

Kiedy autobus z sierotami zniknął za imponującą żelazną bramą Świętego Judy, ojciec zapytał, czy wybrałbym się z nim na przejażdżkę. Zawiózł mnie do Battery. Wdrapaliśmy się na betonowe schody i przeszliśmy tam, gdzie Ashley i Cooper łączą się, tworząc przepiękny bezmiar portu w Charlestonie. Jak zawsze, czuło się tu moc i potęgę zderzenia dwóch rzek. Po połączeniu każda z nich była

większa, ale żadnej chyba się to nie podobało.

– Kiedy skończyłem osiemnaście lat, Leo, ojciec zabrał mnie w to miejsce. Jego ojciec przyprowadził go tutaj z tej samej okazji. Ojciec mojego dziadka postąpił tak samo. Nie wiemy, jak daleko wstecz sięga ta tradycja. Zamierzałem wziąć tu Steve'a, kiedy skończy osiemnaście lat, ale nic z tego nie wyszło. Po jego śmierci postanowiłem, że tradycja umrze razem z nim. Dziś wieczorem zmieniłem jednak zdanie.

Wyjął z torby dwa srebrne kubki i pół litra jacka danielsa. Nalał małą porcję whisky dla siebie i taką samą dla mnie.

– Mój ojciec chciał, żebym po raz pierwszy napił się razem z nim. Powiedział mi, ile dla niego znaczę jako syn i że ma nadzieję, iż okazał się godnym ojcem. U zbiegu tych dwóch rzek wprowadził mnie w wiek męski. Prosił, żebym był wspaniałym człowiekiem, najlepszym, jakim zdołam być. Obiecałem mu to. A teraz ciebie proszę o to samo, Leo.

– Nigdy nie będę tak wspaniały jak ty – odparłem, podnosząc kubek i stukając się z nim. – Ale będę się starał ze wszystkich sił. Daję słowo.

– Nie, przez ostatnie dwa lata uważnie cię obserwowałem – rzekł ojciec. Księżyc zalał nas swoim magicznym światłem. – Będziesz kimś więcej niż tylko wspaniałym człowiekiem, synu. Masz potencjał. Może wyrośniesz nawet na faceta nie z tej ziemi.

– Jeśli tak, to tylko dlatego, że jesteś moim idolem. Gdy dorosnę, chcę być taki sam jak ty.

Napiliśmy się i czułem, że jest to chwila transformacji. Miałem tylko nadzieję, że ojciec się nie myli.

*

Tak oto zaczął się okres, który na zawsze zmienił mój sposób postrzegania świata. Wiele lat później przeszłość wzywa mnie przebiegłym, podstępным głosem, ale punktem wyjścia zawsze był Dzień

Blooma podczas wakacji poprzedzających klasę maturalną. Zanim czwartego lipca wydałem okolicznościowe przyjęcie, wszystkie główne postacie dramatu pojawiły się już na scenie. Siły, które nas ze sobą połączyły, nie śpieszyły się z rozerwaniem nas na strzępy i z nauczeniem nas subtelności, niedyskrecji i uniesień, dzięki którym przyjaźnie sprawiają tyle radości. Myślałem, że znalazłem przyjaciół, którzy kochają się tak bardzo, jak to tylko możliwe, i prawie miałem rację. W maju następnego roku po odebraniu dyplomów byliśmy zdecydowani wieść fascynujące, samospelniające się, niesamowite życie. Przyrzekliśmy odmienić świat, który wkrótce mieliśmy zacząć szturmować. Jako grupa radziliśmy sobie świetnie, jako przyjaciół przez pewien czas podtrzymywała nas miłość. Z czasem jednak zaczęła tracić blask. Ale wszyscy znów pędziliśmy do siebie nawzajem w środku życia, wystarczyło coś tak prostego jak pukanie do drzwi.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 8

Pukanie do drzwi

Ktoś puka do moich drzwi. Patrę na kalendarz – jest siódmy kwietnia 1989 roku. Na dziś nie mam zapisanych w terminarzu żadnych spotkań. Wszyscy w redakcji wiedzą, że zamykam się w gabinecie wyłącznie wtedy, gdy piszę felieton – te twórcze godziny są dla mnie święte. Na drzwiach wywiesiłem kartkę z wydrukowanym napisem następującej treści:

LEO KING HARUJE W POCIE CZOŁA NAD
FELIETONEM DO RUBRYKI, DZIĘKI KTÓREJ
ZASŁYNAŁ W CAŁYM CHARLESTONIE, PODCZAS
GDY RESZTA JEGO KOLEGÓW PO FACHU MOZOLI
SIĘ W ZASŁUŻONYM ZAPOMNIENIU. INNYMI
SŁOWY, TWORZĘ TERAZ LITERATURĘ, KTÓRA NIE
UMRZE, DOPÓKI ISTNIEJĄ KOBIETY I MĘŻCZYŹNI
KOCHAJĄCY LUDZKI INTELEKT. NIE PAKUJCIE MI
TU SWOICH ŻAŁOSNYCH TYŁKÓW, DOPÓKI NIE
SKOŃCZĘ.

Na dole złożyłem zamaszty podpis: „Boski Leo King”. Z biegiem lat koledzy pokryli ten napis plugawymi graffiti i odczytanie go nastęrcza coraz więcej trudności. Pukanie staje się głośniejsze, bardziej natarczywe, i słyszę, że za drzwiami zbiera się grupka osób. Przystaję pisać, wbijam sobie w głowę pociąg pomysłów, który teraz

wyskoczył z torów, podchodzę do drzwi i otwieram, gotów przepędzić intruza.

W progu staje kobieta, której obecność w redakcji niewymownie mnie zaskakuje. Jej twarz znana jest na całym świecie. Doskonale proporcjonalne ciało pojawiało się na dziesiątkach plakatów, na wół przesłonięte bielizną i skórą zwierząt. Na jednym haniebnym zdjęciu prezentuje się goła jak, ją Pan Bóg stworzył, tylko z pytonem skalnym owijającym jej godne podziwu kształty. Nie była umówiona, ale ona nie widzi potrzeby uprzedzenia o swojej wizycie. Ma na sobie białą sukienkę, która z trudem okrywa jej ponętne krągłości, obecnie już niemodne, bo większość aktorek próbuje wyglądać teraz na niedożywione. Niewątpliwie przemierzyła redakcję uwodzicielskim krokiem, przyciągając wzrok ze dwudziestu ciekawskich, głównie napalonych mężczyzn, ale także kilku kobiet stukniętych na punkcie gwiazd ekranu, zafascynowanych wszystkim co hollywoodzkie. Kto nie wie, że w roku 1989 Sheba Poe jest gwiazdą filmową, ten przyznaje się do klasztorного życia. Bardzo prawdopodobne, że nie prenumerujecie „News and Courier”, która to gazeta donosi o każdym wydarzeniu związanym z Shebą Poe, choćby najbardziej dziwnym czy skandalizującym. Sheba jest jedyną głośną gwiazdą filmową rodem z Charlestonu w Karolinie Południowej. Otaczamy naszą dziewczynę marzeń czcią, na jaką według nas zasługuje. W Charlestonie nigdy nie było kuchni meksykańskiej z prawdziwego zdarzenia, kiedy jednak wyeksportowaliśmy Shebę na Zachodnie Wybrzeże, wysłaliśmy jej tam potwornie ostrą enchiladę nadszewaną jalapeños.

– Przepraszam panią, ale piszę właśnie felieton, a termin goni – mówię.

Dziennikarze za jej plecami głośno wyrażają dezaprobatę. Tłum puchnie, w miarę jak budynek obiega wieść o pojawieniu się Sheby. Ona i tłum to najbardziej wybuchowa mieszanka, jaką mogę sobie wyobrazić.

– Jak wyglądam, Leo? – pyta mnie na użytek gawiedzi. – Tylko szczerze.

– Tak, że miałbym ochotę cię schrupać. – Żałuję tych słów już w chwili, kiedy je wypowiadam.

– Obiecanki cacanki! – rzuca, co tłum kwituje rykiem aprobaty.
– Przedstaw mi niektórych swoich przyjaciół, Leo.

Chcąc jak najszybciej rozładować sytuację, wybieram z tłumu kilka twarzy.

– Ten napalony to Ken Burger z oddziału waszyngtońskiego. Obok niego stoi Tommy Ford. Ten tam to Steve Mullins. A to Marscha Gerard, która zaraz poprosi cię o autograf na swoim staniku. Dalej stoi Charlie Williams, on pragnie mieć twój autograf na ciele, tyle że ta część jego ciała jest tak mikroskopijna, że wystarczy miejsca ledwie na inicjały.

– Wypiszę ci tam list miłosny, Charlie – obiecuje Sheba.

Shannon Ringel, nasz krytyk filmowy, woła:

– Leo, muszę zdobyć ten cholerny wywiad! Nie zawłaszczaj jej dla siebie!

– Ty jesteś tą suką, która zjechała mój ostatni film? – pyta Sheba i w pomieszczeniu zapada cisza. Głos ma taki, że równie dobrze potrafi miauczeć, co poderwać stado lwów, by zapolowały na bawoła. W jej pytaniu nie ma żadnego „kici, kici”.

– Moim zdaniem ma pani na koncie dużo bardziej wybitne dzieła – odpowiada mężnie Shannon.

– Krytycy! – prycha Sheba drwiąco. – Na ich widok od razu wzywam faceta od deratyzacji.

– Jak zawsze urocza – mówię. – Wybaczcie, panie i panowie. Panna Poe miała ciężki dzień, robiąc sobie nowych wrogów, gdzie tylko się pojawiła. A ja wciąż nie skończyłem felietonu.

– W liceum Leo i ja chodziliśmy ze sobą – oznajmia Sheba.

– Nic podobnego – zaprzeczam.

– Ma wielkiego jak nosorożec.

– Wcale nie. – Szybko wprowadzam ją do swojego gabinetu i zamykam drzwi.

Sheba rozwinęła w sobie planetarne ego, dzięki czemu jej gwiazda wciąż błyszczy najjaśniej pośród innych na Drodze Mlecznej ambicji, która powoduje, że Hollywood co rok zalewają najpiękniejsze dziewczyny i najprzystojniejsi chłopcy – bezkresna rzeka hormonów i gotowości na wszystko, do wynajęcia o każdej porze dnia i nocy. Gdy jednak zamykam drzwi, Sheba zrzuca maskę diwy i przemienia się w nastolatkę, która w ostatniej klasie szkoły wprowadziła w moje życie tyle radości i tajemnicy. Kiedy wracam za biurko, szczypie mnie w tyłek, ale robi to żartobliwie, nie uwodzicielsko.

- Jeśli chodzi o seks, wciąż jesteś spięty, Leo – zauważa.
- Niektóre rzeczy się nie zmieniają. Nie dałaś znaku życia od sześciu miesięcy. Nie odezwałaś się do nikogo z nas.
- Kręciłam film w Hongkongu z moim nowym mężem, on robi nastrojowe kino autorskie.
- Nie poznałem twoich ostatnich dwóch mężów.
- Nic nie straciłeś, możesz mi wierzyć. Właśnie wróciłam z Dominikany, gdzie dostałam najszybszy z szybkich rozwodów.
- A więc Troy Springer przeszedł do historii?
- Naprawdę nazywa się Moses Berkowitz, co mi nie przeszkadza, ale ma matkę, przy której pani Portnoy wychodzi na June Cleaver* albo na tę szwedzką laskę z filmu *I Remember Mama*. Suka zmieniła imię i nazwisko na Clementine Springer. Przyłapałam jej synalka w łóżku z szesnastoletnią aktoreczką, która w filmie grała moją córkę.

* June Cleaver – postać z sitcomu z 50. *Leave It to Beaver*, uosobienie amerykańskiej gospodyni domowej z przedmieścia.

- Przykro mi, Shebo.
- Mężczyźni! Powiedz coś w obronie swojej płci – rzuciła wyzywająco.
- Gdyby nie fiuty, bylibyśmy całkiem w porządku.

Tłum przed drzwiami mojego gabinetu nie całkiem się rozszedł, wciąż dociera do mnie pomruk zawodu wśród dziennikarzy wracających do swoich biur. Słuchając Sheby, która rozprawia swobodnie,

przyglądam jej się bez pośpiechu. Łatwo zapomnieć o bezmyślnym ładunku seksapilu w czystej postaci, jaki prezentuje. Brzmienie jej głosu, ochryplego i znajomego, to uprawianie miłości w najbardziej uwodzicielskiej postaci. Już przez sam fakt, że się tu znalazła, Sheba zawładnęła całym budynkiem.

Tylko jedna osoba zwróciła uwagę, że weszła nielegalnie. Rozlega się pukanie do moich drzwi – stanowcze, nie ma w nim cienia ostrożności. Blossom Limestone, recepcjonistka o budowie gladiatora, która sprawdza wchodzących i wychodzących gości ze sprawnością instruktora musztry w marynarce, czym zresztą kiedyś się zajmowała, przepchnęła się przez tłum i bezceremonialnie weszła do mojego gabinetu. Kładzie muskularną czarną dłoń na prawym ramieniu Sheby, ale patrzy na mnie.

– Pańska ładniutka przyjaciółka nie przeszła przez właściwe kanały... znowu – oświadcza z wyrzutem.

– Blossom, ona nie zaglądała tu od trzech lat – protestuję.

– Ale mogłaby się wpisać w recepcji jak wszyscy inni.

– Blossom, kochanie, uwielbiam dotyk twojej ręki na ramieniu – mówi Sheba, ujmując wielką dłoń i przyciskając ją do swojego obfitego biustu. – Zawsze podobał mi się czuły dotyk lesbijek. Nikt tak jak one nie wie, jak zrobić dobrze kobiecie. Od razu przechodzą do rzeczy... bez zbędnych gierki, bez udawania kogoś, kim nie są.

Blossom gwałtownie cofa rękę, jakby sparzył ją gorący węgiel.

– Lesbijka? – prycha. – Ja mam trzech synów, a z tego, co wiem, ty jesteś bezpłodna jak jałówka. Więc podpisz się na tej stronie i wstaw godzinę, o której tu weszłaś.

Sheba składa zamaszty podpis, zajmujący cztery linijki. Jej bezczelność przejawia się nawet w tym, że podpisuje się nieczytelnie.

– Weszłam przez rampę dla furgonetek dostawczych – wyjaśnia.

– Razem z bratem pomagałam Leo rozwozić gazety. Blossom, skarbie, ja tu byłam stałą bywalczynią na długo przed tym, zanim ty nastąpiłaś.

– Podobno – odpowiada Blossom. – Następnym razem niech się pani wpisze u mnie, panno Poe, jak wszyscy inni.

– Fajnie było ostatnim razem, co? Opchnęłaś mój podpis za pięćdziesiąt dolców. A może za sześćdziesiąt?

Blossom wygląda na wstrząśniętą ujawnieniem tego faktu, ale szybko bierze się w garść.

– Gdybym sama nie sprzedała, ktoś inny by go zwinął.

I znów w progu zebrała się grupka gapiów obserwujących kłótnię dwóch upartych kobiet. Sheba nie zdaje sobie sprawy, że ma publiczność, dopiero kiedy się odwraca, widzi oniemiałe, pełne wyczekiwania twarze. Szykuję się na najgorsze – i najgorsze spada w chwili, gdy usiłuję sformułować pewną myśl.

– Daj, podpiszę ci się na lewym cycku, Blossom. Kto wie, ile uda ci się za to zgarnąć – proponuje Sheba.

Dziennikarze przy drzwiach kwitują to głośnym sapnięciem. Gruchnęliby śmiechem, gdyby nie głęboki szacunek dla Blossom, bo to ona odprawia z kwitkiem świrów, którzy szturmują recepcję, gdy tylko w gazecie ukaże się artykuł obrażający ich paranoiczne uczucia. Widzę, że ta uwaga głęboko dotknęła recepcjonistkę.

– Blossom, Sheba tylko żartowała. Nie potrafi się powstrzymać przed publicznością. Ale to miła dziewczyna.

– Nie wiem, czy jest taka, czy owaka, Leo. Ale na pewno nie jest miła – prycha Blossom. – Wróciła do ciebie, bo ma w tym jakiś interes. Pilnuj się.

Klaszczę i rozkazuję:

– Wynocha stąd, ale już. Mam napisać felieton do niedzielnego wydania, a żeby się ukazał, muszę zdążyć na czas.

Gdy znów zostajemy sami, Sheba podnosi głowę i spogląda na mnie z jedyną miną, którą w jej wykonaniu można wziąć za nieśmiałość. Potem oboje wybuchamy śmiechem i ściskamy się jak brat i siostra.

– Wybacz, Leo, że tak się zachowuję.

– Jakoś to przeżyję.
– Każdego tak traktuję, słowo. Nie tylko ciebie – szepcze mi do ucha.

– Wiem, Shebo. Przy mnie możesz robić z siebie, kogo tylko chcesz. Nie zapominaj, że wiem, kim jesteś. Dlaczego wróciłaś do miasta?

– Poza tym, że jestem wykończona? Zużyta jak zasmarkana chusteczka? Od ponad roku mój agent nie ma dla mnie propozycji głównej roli. Skończyłam trzydzieści osiem lat. Dla kobiety z Hollywood to tak, jakby miała tysiąc.

– Wszystko to pewnie prawda. Ale nie po to wróciłaś.

– Przyjechałam, żeby odwiedzić starych przyjaciół – wyjaśnia. – Muszę znów stać się taka, jaka byłam kiedyś. Chyba to rozumiesz, Leo?

– Przecież od matury nikt z nas nie widział cię więcej niż dziesięć razy.

– Ale dzwonię. Musisz przyznać, że jestem dobra w meldowaniu się przez telefon.

Zakryłem oczy rękami.

– Dzwonisz po pijaku, Shebo. I kiedy jesteś naćpana. Pamiętasz, że ostatnim razem, gdy zadzwoniłaś, proponowałaś mi małżeństwo?

– Co, proszę?

– Mówiłaś, że chętnie rozwiódłbym się ze Starłą i ożenił z tobą.

– Ty i Starla nie jesteście małżeństwem, nigdy nie wzięliście ślubu.

– Mam dokumenty, które to potwierdzają.

– Wasz romans był lipny. – Okrutne słowa Sheby ranią jak ostrze sztyletu. – To gorsze niż małżeństwo na niby. Dlatego tylko udajesz, że żyjesz.

– Nie uda ci się mnie oszukać. Przyjechałaś po to, żeby spuścić parę z mojego ego – mówię. – Zanim się pojawiłaś, Shebo, czułem, że tu, w Charlestonie, odniosłem sukces.

- W Hollywood nikt z moich przyjaciół w ogóle o tobie nie sły-
szął.
- Czy to ci sami przyjaciele, którzy przestali dzwonić do twoje-
go agenta?
- Ci sami.
- Dwukrotnie byłaś nominowana do Oscara jako najlepsza ak-
torka – przypominam. – Dostałaś statuetkę za rolę drugoplanową.
Zrobiłaś wielką karierę.
- Ale za główną rolę Oscara nie dostałam. Sama nominacja nic
dla kariery nie znaczy. To tak, jakby się przespać na planie z gońcem
czy pomagierem faceta od oświetlenia, zamiast związać się z akto-
rem, który gra główną rolę.
- Z tymi od głównych ról radziłaś sobie wcale nieźle – kwituję.
Uśmiecha się.
- Za czterech z nich wyszłam. A spałam ze wszystkimi.
- Mogę cię zacytować? – pytam, podchodząc do maszyny do pi-
sania.
- Oczywiście, że nie.
- Zgoda. Nie proszę cię o wiele, Shébo. Daj mi tylko trochę
sprośnych plotek i soczystych nowinek, żebym mógł skończyć felie-
ton na niedzielę. A potem pryśniemy stąd i upijemy się w gronie
przyjaciół.
- Ha! Wykorzystujesz mnie. Moją światową sławę.
- Jak możesz sugerować coś takiego? Czuję się urażony. – Moje
palce wiszą nad klawiszami maszyny do pisania.
- Nikt nie wie o moim rozwodzie z Troyem Springerem. To coś
z ostatniej chwili – oznajmia Sheba.
- Był twoim czwartym mężem czy piątym? – upewniam się, nie
przerywając pisania.
- Masz jakąś obsesję na punkcie liczb.
- Jestem dokładny. U dziennikarzy to często spotykana cecha.
Dlaczego rozwiodłaś się z Troyem? Magazyn „People” uznał go za
jednego z najprzystojniejszych mężczyzn w Hollywood.

– Kupiłam wibrator, który ma ciekawszą osobowość i lepiej robi to, co do niego należy.

– Powiedz mi coś, co mogę napisać w gazecie, którą czytają również dzieci – mówię.

– Nasze kariery się rozeszły, zwłaszcza po tym, jak nakryłam go, kiedy posuwał małodatę w jacuzzi.

– Uznałaś to za zły znak?

– Tak, akurat wtedy starałam się zająć w ciąży.

– Czy pamiętasz imiona wszystkich byłych mężów?

– Nawet nie pamiętam, jak wyglądała połowa z nich.

– Najgorsza osoba, jaką poznałaś w Hollywood?

– Carl Sedgwick, mój pierwszy mąż – odpowiada bez wahania.

– A najlepsza?

– Też Carl Sedgwick. Na tym właśnie polega ułuda i sprzeczność tego miasta.

– Co cię tam trzyma?

– Wiara, że kiedyś dostanę najlepszą rolę, jaka trafiła się amerykańskiej aktorce.

– A dopóki na to czekasz, co ci pomaga nie zwariować?

– Wielkie kutasy. Mocne drinki. Swobodny dostęp do leków.

– Alkohol można kupić także w Charlestonie.

– Martini smakuje lepiej, jeśli słyszysz fale Pacyfiku rozbijające się o skały pod tobą.

– Czy mogę napisać, że umawiasz się z farmaceutą? – pytam.

– Ani się waż!

– Za czym tęsknisz najbardziej, jeśli chodzi o Charleston?

– Za przyjaciółmi z dzieciństwa, Leo. Brakuje mi tej dziewczyny, jaką byłam, kiedy przyjechałam do tego miasta.

– Dlaczego?

– Bo wtedy nie rujnowałam sobie życia. Myślę, że w tamtych czasach byłam miłą dziewczyną. A ty jak sadzisz, Leo?

Spoglądam na nią i wciąż widzę tę zagubioną nastolatkę, o której mówi.

– Nigdy nie widziałem takiej dziewczyny jak ty, Shebo. Ani wcześniej, ani później.

Kiedy tak na nią patrzę, moje dziennikarskie ja zмага się z młodym chłopcem, który był pierwszym przyjacielem Sheby w tym mieście. Dziennikarz to człowiek zimny, bez emocji wykonujący swój zawód, płacą mu za podglądanie, a nie uczestniczenie w ludzkich namiętnościach, do których wkraczam z otwartym notesem w rękę. Moim znakiem rozpoznawczym jest obiektywizm. Patrząc, jak Sheba otwiera swoje rany, nie oplakuję dziewczyny, która przepadła w dniu, kiedy się poznaliśmy, tylko zniknięcie tego dziwaczного zbolalego chłopaka, który zaniósł na drugą stronę ulicy puszkę ciasteczek sezamowych, żeby powitać w dzielnicy parę cierpiących w milczeniu bliźniaków. Stając się dziennikarzem, ugasilem żar, którym chłopiec ten dowodził swojej wartości i człowieczeństwa. Wprawdzie potrafię spojrzeć bezstronnie na życie Sheby, ale od dawna już nie jestem stanie dokonać bilansu własnego życia. Tymczasem ona mówi dalej, obnażając duszę w sposób, jakiego nigdy u niej nie widziałem.

– I co ja zrobiłam z tamtą dziewczyną? Z tą, którą tak bardzo lubiłeś? Z przyjaciółką, w której się zakochałeś? – pyta.

– Otworzyłaś drzwi – wyjaśniam, nie przestając pisać bez przerw. – Miałaś predyspozycje, powołanie. Nigdy nie dręczyły cię wątpliwości, nie oglądałaś się za siebie. Nikt nie mógł cię powstrzymać, stanąć ci na drodze. Reszta z nas poszła za głosem przeznaczenia, jak czyni ta większość ludzkości. Ty uczepiłaś się swoich marzeń, wyjechałaś na nich z miasta, wykorzystałaś je do granic możliwości. Mało kogo na to stać.

Sheba unosi rękę nad głowę, zamyka oczy i wykonuje taki gest, jakby ścierała niewidzialną tablicę.

– W twoich ustach to brzmi szlachetnie. A przecież doskonale znasz tamtą dziewczynę, Leo. Uważała aktorstwo za swój najwyższy nakaz, i bywało, że miała rację. Tamta dziewczyna została bożyszczem Hollywood. Aż nagle pod oczami pojawiły się kurze łapki, skóra stała się szorstka, a ona nie mogła się śmiać na zbliżeniach, bo

na czole widać było wtedy trzy wyraźne zmarszczki. Każdy z moich mężów namawiał mnie na lifting twarzy. No i w połowie podróży tę dziewczynę ogarnia strach, tak bardzo chce zadowolić wszystkich, że zaczyna przyjmować każdy ochłap, jaki jej rzucą... role głupiotkich puszczalskich, nimfomanek, złodziejek podprowadzających towar w sklepach i gospodyń domowych z kupą bachorów, które stają się seryjnymi zabójczyniami.

– Myślałem, że ta ostatnia rola należy do twoich najlepszych.

– Scenariusz już nie żył, zanim do nas dotarł – bagatelizuje. – Ale dzięki, Leo. Pamiętasz Londyn?

– Nigdy go nie zapomnę.

– Na londyńskiej scenie grałam Ofelię. Miałam dwadzieścia cztery lata i cała Anglia oszalała, kiedy wybrali nieznaną amerykańską laskę do roli tej Dunki o skłonnościach samobójczych. Na premierze zjawiliście się wszyscy, moi przyjaciele z Charlestonu. Trevor przyleciał z nowym kochankiem z San Francisco. Jak się nazywał ten chłopak?

– Chyba Joey – mówię.

– Nie, Joey nigdy nie widział mnie w *Hamlecie* – zaprzecza. – Myślę, że to był Michael pierwszy.

– To był Michael drugi. Michaela pierwszego nie poznałem.

– Nieważne. W tamtych czasach Trevor zmieniał chłopaków jak rękawiczki. Pamiętasz przyjęcie, jakie urządziliście mi po pierwszym spektaklu? Jak się nazywała ta restauracja?

– L'Etoile. Wciąż tam zachodzę, kiedy jestem w Londynie. Pamiętasz, jak ukazały się pierwsze recenzje? Krytycy pisali, że takiej Ofelii jak ty jeszcze nie było. Za kulisami gratulowali ci Richard Burton i Laurence Olivier. Był to jeden z najważniejszych wieczorów dla nas wszystkich.

Sheba uśmiecha się i znów wpada w przygnębienie.

– W zeszłym roku zadzwonili do mnie z tego samego teatru w Londynie. Tym razem chcieli, żebym zagrała Gertrudę, tę żmijowatą matkę Hamleta. Leo, nie jestem jeszcze staruchą. Zaczekajmy rok

czy dwa. Owszem, eksploatowałam twarz i ciało ponad miarę, ale wciąż jeszcze z olśniewającym dowcipem i skutecznie potrafię zagrać młodą piękną kobietę. W Hollywood kobiet piękniejszych ode mnie jest dzisiaj siedem, najwyżej siedem. A ja przytłaczam te karlice siłą osobowości i zdolnościami aktorskimi. Czy widzę na tej twarzy starą wiedźmę? Owszem, tak. Widzę na tej twarzy wszystko. Każdą skazę, każdą zmarszczkę, każdą niedoskonałość, które podkradają się do mnie, kiedy odsypiam kaca albo udaję orgazm, będąc z nowym hollywoodzkim gwiazdorem jednego sezonu. Mam wrażenie, że do każdego lustra powinnam podchodzić z pistoletem w rękę.

– Hej, mała! – rzucam ostrzegawczo. – Z wielkiego aktorstwa popadamy w melodramat.

– Przy tobie nie muszę grać, Leo. To właśnie jeden z powodów, dla których wróciłam.

– Będiesz piękną staruszką – mówię, znów na nią patrząc.

Ze śmiechem odrzuca głowę do tyłu.

– Nigdy nie będę staruszką. Obiecuję. To akurat będzie pan łąskaw wydrukować.

– A tak naprawdę to dlaczego wróciłaś? – dopytuję się. – Żeby sprawdzić, co z matką?

– To też jeden z powodów. Ale jest jeszcze inny... – Jej głos zamiera i w tym momencie dzwoni telefon.

– Halo? – rzucam do słuchawki. – O, cześć, Molly. Tak, dobrze słyszałaś. Właśnie siedzi u mnie w gabinecie. Wszyscy przychodzą do ciebie na koktajl i kolację? – Zakrywam dłonią słuchawkę. – Skrzykujemy się – mówię. – Masz jakieś plany na wieczór? Molly obdzwoniła całą paczkę, zbieramy się u niej.

– Powiedz jej, że nie odpuściłabym sobie tego za żadne skarby.

– Chętnie przyjdzie, Molly. Do zobaczenia o osiemnastej. Przekaż jej, że domek gościnny jest gotowy.

I znowu przerywa nam pukanie do drzwi. Widzę, że jeszcze trochę, a ciężar sławy Sheby nas przytłoczy. Chwila zażyłości przyszła i wymknęła nam się z rąk.

– Wejść! – wrzeszczę.

Najmłodszy dziennikarz w redakcji zdobył się na odwagę, by zapukać i poprosić, żebym przedstawił Shebie jego i Amelię Evans. Pierwsza wchodzi ona i przeprosiwszy aktorkę, mówi:

– Leo, wylecę na bruk, jeżeli nie przeprowadzę wywiadu z panną Poe, zanim opuści ten budynek.

– Shebo, to Amelia Evans, świeżo po studiach w Chapel Hill. Redaktor naczelna „Daily Tar Heel”. Najbardziej rozrywana młoda dziennikarka w naszym zespole. Mamy szczęście, że trafiła do nas. Amelio, to Sheba Poe.

– Czy to prawda, panno Poe, że w liceum chodziła pani z Leo? – pyta Amelia, nie czekając na zgodę na przeprowadzenie wywiadu.

Czuję, że płoną mi czubki uszu, ale zniecka rumieńce zalewają mi całą twarz.

– Nie, nigdy ze sobą nie chodziliśmy – zaprzeczam. – Byliśmy tylko przyjaciółmi.

Po twarzy Sheby przemyka figlarny uśmiezek, gdy patrzy, jak wiercę się na krześle.

– Leo i ta jego skromność! Dopiero co kochał się ze mną na tym mahoniowym biurku, a teraz udaje, że nigdy ze sobą nie chodziliśmy.

– Ta gazeta jest tak tania, że nie stać nas nawet na mahoniową deskę klozetową dla wydawcy. Amelio, weź Shebę do newsroomu, niech się spotka z fanami, a wywiad przeprowadź w bibliotece. Przyjdę po nią, gdy skończę felieton. Tylko bądź grzeczna, Shebo.

– Już od najmłodszych lat Leo miał apetyt seksualny jak te wielkie małpy człekokształtne – rzuca Sheba.

Jej słowa słyszy w przelocie Ellen Wackenhut, która rozpoczęła pracę w newsroomie w tym samym roku co ja, a teraz prowadzi nasz dział naukowy.

– Apetyt seksualny małpy człekokształtnej? Czego jeszcze mi o sobie nie powiedziałaś, Leo?

- Tego, że z liceum mam samych parszywych przyjaciół.
- Jak byś jednym słowem opisała Leo w czasach licealnych? – pyta Ellen.
- Jadalny – odpowiada Sheba po chwili zastanowienia.
- Dawajcie tu Nathalie! – krzyczy Ellen na cały newsroom. – Gdzie się podziewa nasza redaktorka działu kulinarnego, gdy trafia nam się historia z własnego ogródka?
- Redakcyjne poczucie humoru – wyjaśniam Shebie. – Szybko staje się męczące. Amelio, zabieraj stąd Shebę.
- Ci ludzie są świetni – mówi Sheba. – Chciałabym tu pracować.
- Shebo, to dziennikarze. Biedne zdesperowane dusze. Harują za głodowe pensje, tobie nie wystarczyłoby nawet na makijaż.
- Grając na użytek Amelii, Sheba wstaje z krzesła i rzuca:
- Ja nigdy się nie maluję, kochanie. To, co bierzesz za makijaż, to po prostu znakomite aktorstwo.

*

Po oddaniu artykułu spotykam się z Shebą na parkingu dla personelu, otwieram drzwi samochodu od strony pasażera, schylam się i przerzucam na tylne siedzenie puste puszki po napojach, torebki po żarciu, niedojezione opakowania popcornu i rękawicę baseballową. Teatralnym gestem zapraszam Shebę do środka. Rzuca okiem na mój pojazd i wsiada ze zrezygnowaną miną turystki, której zaproponowano przejażdżkę na grzbiecie muła.

- A swoją drogą, co to za samochód? – pyta, gdy skręcam w King Street, ale raczej przez grzeczność niż z ciekawości.
- Buick, model LeSabre.
- Słyszałam o nim. Ale nikt z moich znajomych nie ma czegoś takiego, nikomu nawet nie przyszłoby do głowy go kupić. Takie wozy kupuje się chyba dla służby? Albo po przejściu na zasiłek?
- Buick to marka, której jestem wierny. Mój dziadek utrzymywał się ze sprzedaży buicków.

– Nie wiedziałam. To chyba najnudniejsza informacja, jaką w życiu słyszałam.

– Nudnych informacji ci u mnie dostatek – zapewniam ją. – A ty czym jeździsz w tym cholernym kalifornijskim Hollywood?

– Mam sześć samochodów. Jedno porsche, jedno maserati i jeszcze jakieś cztery.

– Zdaje się, że samochody cię nie kręcą.

– Mój najnowszy były miał na tym punkcie bzika. Rozmawiał z nimi, kiedy je polerował.

– Był miły? Zanim zaczął posuwać gwiazdeczki?

Nachyla się i ujmuję moją dłoń w uroczym siostrzanym geście.

– Ja nie wychodzę za miłych facetów, Leo. Powinieneś już to wiedzieć. Ty też w wyborze kobiet nie jesteś olśniewający.

– Uaaa! – jęczę.

– Widziałeś się ostatnio z żoną? – Przygląda mi się uważnie.

– Wróciła w zeszłym roku. Została na kilka miesięcy. Potem znowu pomieszało jej się we łbie. Ale dopóki to trwało, było nam całkiem nieźle.

– Musisz puścić tej dziewczynie Arethę Franklin – mówi Sheba i zaczyna śpiewać: – R-O-Z-W-Ó-D.

– Kazali mi złożyć przysięgę – odpowiadam. – Traktuję ją poważnie.

– Ja też składałam tę samą przysięgę... mnóstwo razy. Gadają o wierności i uczciwości małżeńskiej, o nieopuszczaniu aż do śmierci. Gówno prawda. Przysięga jakoś nie wspomina o wariatkach z domu bez klamek, no nie?

– Kiedy żeniłem się ze Starłą, wiedziałem, że ma problemy, więc nie zawarłem małżeństwa w ciemno. Wtedy jeszcze wierzyłem w potęgę miłości.

– Byłeś niewinny, Leo. My wszyscy byliśmy niewinni. Ale nie tak jak ty.

– I stałem się jednym z najbardziej wyrafinowanych światowców.

W tym mieście uchodzę za kogoś w rodzaju człowieka renesansu.

– A jak się miewa twoja matka, siostra Maria Gonzo Hrabina Dracula Godzilla Norberta? – pyta Sheba.

– Na mój widok nadal co wieczór ogarnia ją czarna rozpacz. Może chcesz wpaść do swojej matki?

– Dzisiaj jadłam z nią lunch. Jest coraz gorzej, Leo. Tak, jak ostrzegałeś mnie pół roku temu.

– Dość tego gadania o matkach – uciałem. – Przyjaciele zbierają się na południe od Broad, żeby uczcić twój powrót do Świętego Miasta.

Mijamy Marion Square, ze starą Cytadelą zakotwiczoną na obrzeżach, i pomnik Johna C. Calhouna, który ponuro spogląda na port z najwyższego postumentu w mieście. Sheba nalega, żeby opuścić szyby, by mogła wdychać złożone zapachy miasta. Ulegam jej prośbie, chociaż dla mnie wynalazca klimatyzacji stoi na równi z jaskiniowcem, który wymyślił koło. Obok mnie Sheba wdycha woń portu.

– Czuję jaśmin. Poziom wody obu rzek jest niski. To zapach bałajkiennych osadów.

– Wdychasz tylko tlenek węgla. Spaliny samochodów w porze największego ruchu.

Spogląda na mnie.

– Co się stało z Leo romantykiem?

– Dorósł.

Przejeżdżamy szybko obok sklepu Hymana z owocami morza i targu niewolników, po którym krążą tłumy turystów w bermudach, podkoszulkach i kłapkach, a po chwili zatrzymują nas czerwone światła na skrzyżowaniu zwanym Cztery Rogi Prawa. Po przekątnej mamy kościół episkopalny Świętego Michała, z jego gwiazdzistą bielą i pewnością siebie, jaką dobry gust przydaje domowi bożemu. Swego czasu miałem zatarg z katolickim biskupem Charlestonu, bo na łamach gazety błagałem go, żeby zatrudniał wyłącznie anglikańskich architektów, gdy znów najdzie go ochota, by wznieść kolejną

groteskową budowlę na przedmieściach. Współwyznawcy rozmówiani w tych karykaturach tygodniami zasypywali mnie nienawistnymi e-mailami, ale sączony przez nich jad nie spowodował, że ich kościoły stały się ładniejsze.

Kiedy po zmianie świateł skręcam na południe od Broad, zniecienacka dopada mnie syrena i błyskający kogut policyjnego radiowozu. Odruchowo spoglądam na prędkościomierz i stwierdzam, że ledwo przekraczam dwadzieścia kilometrów na godzinę. Szybko przeglądam listę rzeczy, które pozwalają mi prowadzić samochód jako wolnemu nienotowanemu obywatelowi Karoliny Południowej – ubezpieczenie, dowód rejestracyjny, pokwitowanie opłacenia podatku, odnowione prawo jazdy – i jestem pewny, że spełniłem swój obowiązek sprawnie i terminowo, co w moim życiu stanowi rzadkość.

– Shebo, nie wypięłaś się przypadkiem na tego gliniarza za nami? – pytam.

– Gdybym w Karolinie Południowej pokazała komuś mój śliczny goły tyłeczek, czekałyby mnie pozwy sądowe i miałabym na koncie ofiary wypadków drogowych. W Los Angeles tylko zbereźnicy i lesbijki zwróciliby na to uwagę.

– Proszę położyć obie ręce na kierownicy – rozkazuje gliniarz, podchodząc do mojego samochodu. – A teraz proszę wysiąść powoli. Ręce niech pan trzyma cały czas na widoku.

– W czym problem, panie władzo? – pytam.

– To ja zadaję pytania! – warczy gliniarz. Słyszę murzyńską modulację zmiękczającą końcówki wypowiedzianych przez niego słów. – Proszę oprzeć ręce na masce i rozstawić nogi. Zgłoszono nam porwanie znanej aktorki przez miejscowego przestępcę seksualnego.

– Ożeż w dupę, Shebo – mówię. – To ten upierdliwy gnojek, Ike Jefferson.

– Ike! – krzyczy Sheba. Wyskakuje z drugiej strony samochodu, padają sobie w objęcia i Ike zaczyna nią kręcić coraz większymi kołami, ku radości kobiet sprzedających ciasno splecione kosze z

trawy żubrówki zarówno turystom, jak miejscowym. Ike już za młodu został bohaterem czarnej społeczności Charlestonu, więc kobiet z koszykami ani trochę nie dziwi, że wiruje z najsłynniejszą białą dziewczyną w najnowszej historii miasta. Kontakt z policją zawsze przerażał mnie w czysto prymitywny sposób, choćbym był zupełnie niewinny, a zatrzymanie tylko na niby, więc dopiero po dłuższej chwili udaje mi się opanować drżenie rąk. Zdejmuję je z maski samochodu, na co inny gliniarz szturcha mnie pałąk w nerki. Słyszając ochryply głos, uświadamiam sobie, że to policjantka.

– Ani drgnij, białasie. Zdaje się, że zgodnie z prawem kazano ci trzymać ręce na masce tego szpetnego wozu dla białej hołoty.

– Betty, spróbuj uderzyć mnie tą pałąką jeszcze raz, a czeka nas walka na pięści na środku Middle Street – zapowiadam jej.

– Stawianie oporu podczas aresztowania. Groźby pod adresem funkcjonariusza policji – mówi Betty Roberts Jefferson, żona Ike'a i policjantka w stopniu sierżanta. – Słyszał go pan, kapitanie, prawda?

– Słyszałem – potwierdza Ike. – Przeszukajcie bagażnik, sierżancie.

– Obyście mieli nakaz rewizji – ostrzegam. Oczywiście Betty podsuwa mi pod nos dokument zaopatrzony w podpis i pieczęć Desiree Robinson, pierwszej czarnoskórej sędzi w historii sądownictwa Charlestonu.

– Najgorszym rokiem w historii Stanów Zjednoczonych był tyśiąc sześćset dziewiętnasty – mówię. Sheba śmieje się do mnie, wciąż w objęciach potężnych rąk Ike'a. – Pierwsze sprowadzenie do kolonii Virginia czarnych niewolników. Od tej pory Południe stacza się po równi pochyłej.

Kiedy w końcu ich rechot cichnie, Ike rozkazuje:

– Shebo, jedziesz ze mną radiowozem. Betty, ty weźmiesz tego białego mięczaka.

– Ale najpierw muszę wyściskać tę dziewczynę – mówi Betty, odwracając się do Sheby. – Cześć, Shebo, jak się miewa moja ulubiona biała suka?

Kobiety ściskają się gorąco.

– Betty, jedź ze mną na zachód – proponuje Sheba. – Szefowie od castingu będą się spuszczać w gacie, byleby mieć cię na srebrnym ekranie.

– Muszę siedzieć tutaj, żeby mieć na oku nowego szefa policji – odpowiada policjantka, ruchem głowy wskazując męża.

– Szefa?! – krzyczy głośno Sheba. – Ike'u Jeffersonie, zostałeś szefem cholernejszej policji w Charlestonie, w Karolinie Południowej? Gdzie się podział poczciwy stary rasizm? Osobne lady w barach dla białych i czarnych? Automaty z wodą pitną tylko dla białych? Co się stało z rasizmem akurat teraz, kiedy go potrzebujemy? Szef policji! Nigdy w życiu z nikogo nie byłam taka dumna.

– Niesamowite, ile dla awansu marnego gliniarza mogą działać łapówki, korupcja, przemyt broni i handel narkotykami – wtrącam.

– Oficjalnie zostanę nim dopiero za kilka miesięcy – wyjaśnia Ike Shebie, puszczając moje słowa mimo uszu. – Potem będzie uroczyste przyjęcie, a Cytadela zorganizuje na moją cześć paradę. Czujębym się zaszczycony, gdybyś się pojawiła.

– Nie odciągnęłyby mnie od tego dzikie konie ani rola w nowym filmie Spielberga – zapewnia Sheba. – Nie, jeśli chodzi o Spielberga, to zalewam. Ale tylko on mógłby mnie od tego odwieść. Słowo. Kogo zaprosisz?

– Dygnitarzy. Grube ryby – odpowiada Ike, wietrząc zęby w uśmiechu. – Samą śmietankę białej elity. Kurde, nawet Leo nie dostanie zaproszenia.

– W tym tygodniu kupuję nici dentystyczne – odcinam się. – Nie mam czasu wcinać świńskich flaków w towarzystwie czarnych gliniarzy z drogówki, którzy wspinają się po drabinie społecznej.

– Zakuj tego białasa w kajdanki, kobieto! – poleca Ike.

Otwiera drzwi radiowozu i kłania się wytwornie, gdy Sheba szybko wsuwa się na przednie siedzenie. – Niech mi tu więcej nie pyskuje.

Betty jedzie ze mną za samochodem Ike'a.

- Czy mój facet jest z Shebą bezpieczny? – pyta.
- Przy niej żaden facet nie jest bezpieczny. A kobieta, która tego nie wie, jeszcze się nie urodziła.
- Zawsze wyglądała i nosiła się jak gwiazda filmowa. To wręcz nienaturalne, nie sądzisz? A, byłabym zapomniała. Przyszły szef policji kazał mi cię skuć, Leo.

Bez wysiłku, ruchem zdradzającym zręczność i doświadczenie, przykuwa moją prawą rękę do kierownicy.

- Zdejmuj te kajdanki. Nie chciałbym donieść na ciebie za brutalność policji.

Uwielbiam ten wysoki śmiech Betty.

- Widok ciebie w kajdankach mnie podnieca, Leo. Czuję się jak domina. Wiesz, ten stary numer z czarnym i białą, tylko na odwrót.

- Rasa! – pryham. – Dobrze chociaż, że na Południu nie jest to skomplikowane.

- No, zawsze tak było. Luz blues i zaufanie między twoimi ziomalami i moimi.

Skręcamy na podjazd posiadłości przy East Bay Street, gdzie umówiliśmy się na wieczór w domu Molly i Chada Rutledge'ów. Sheba wypada z samochodu, wbiega po frontowych schodach i ścisną się z Molly, wrzeszcząc na werandzie. Ike, Betty i ja obserwujemy je z dołu, z samochodów.

Nachylając się, żeby zdjąć mi kajdanki, Betty cmoka mnie szybko w policzek.

- Wiesz, co mi się najbardziej podoba w powrocie Sheby do miasta? – pyta. – Od razu nabieram ochoty do życia. Czuję, że ma się wydarzyć coś doniosłego.

- Nie znalazła się tu przypadkiem, Betty – mówię. – Przez cały wieczór będzie w centrum uwagi.

- Ona nigdy nie będzie szczęśliwa, prawda? Czego właściwie od nas chce?

- Nie wątpię, że nam to powie. U niej nic nie ma za darmo.

- Dziewczyna ma kłopoty – wtrąca się Ike.

- Mówiła ci coś po drodze? – dociekam.
- Takie tam normalne hollywoodzkie bzdury – bagatelizuje Ike.
- Ale na mój gust, ma kłopoty.
- Ona miała kłopoty przez całe życie – stwierdza Betty, kręcąc głową. – Naprawdę idziemy do Chada i Molly? Za każdym razem, gdy staję w ich progach, czuję się jak Kopciuszek idący na bal.

Ike się śmieje.

- W policyjnym mundurze i w tych ciężkich buciorach?
- Rusz wyobraźnią – mówi Betty. – To jest suknia balowa, a na nogach mam szklane pantofelki. Leo, wezmę cię pod rękę. Chcę, żeby do rezydencji Pinckney-Barnwell wprowadził mnie biały dżentelmen z Południa, po którym widać klasę.

Z uśmiechem towarzysząc Betty na krętych zewnętrznych schodach jednego z dwudziestu pięciu najbardziej wytwornych domów mieszkalnych na południe od Broad. Molly wychodzi i wita nas na werandzie.

- Cześć, Myszko Molly – rzucam.
- Baw się, Molly, to nie boli – dodaje Ike i wszyscy ściskamy ją po kolei.

Kątem oka widzę, że Sheba zmierza do domku gościnnego.

- Sheba uparła się, że musi wziąć prysznic i się przebrać, zanim przyjadą inni goście – wyjaśnia Molly. – Chodźmy do biblioteki, Leo i ja zajmiemy się drinkami. W PigglyWiggly kupiłam steki. Czy ty i Ike moglibyście wrzucić je na ruszt, jeżeli mój nieobecny małżonek nie zdąży wrócić z kancelarii?

- Chad znów pracuje do późna? – pyta Betty. – Czy ja się mylę, czy on więcej czasu spędza w tym swoim wytwornym gabinecie niż w domu?

- Nie jesteś daleka od prawdy. Hej, Leo! – Molly przyciąga mnie do siebie. – Od ciebie należy mi się coś więcej niż zwykłe powitanie. Mógłbyś mi zrobić malinkę na szyi?

Wszyscy wybuchamy śmiechem.

– Myślałem o jakimś bardziej interesującym miejscu. Co powiesz na prawe udo?

Wchodzimy do olbrzymiego domu, mijając dwieście lat historii Charlestonu w postaci antyków zbyt cudnych, by można na nich usiąść czy wykorzystać je w jakiś inny sposób. Z sufitu zwisa żyrandol, który wygląda jak oda do kryształu. W rogu salonu wychodzącym na rzekę Cooper pełni wartę hebanowy fortepian, a po drugiej stronie elegancko stoi zielona harfa w kształcie paproci. Przez te wszystkie lata, odkąd znam Rutledge'ów, ani razu nie słyszałem, by ktoś grał na którymś z tych instrumentów. Nigdy też nie usiadłem na jednej z beczennych sof czy którymś z beczennych krzeseł wykonanych przez pierwszych meblarzy w kolonii. Nijaka beczynność pomieszczenia powoduje, że żal mi go tak samo jak porzuconego dziecka. Fortepian i harfa wyglądają, jakby umierały z braku melodii. Charleston pełen jest takich ponurych pokoi sprofanowanych przez fakt, że nikt z nich nie korzysta. Wielka jadalnia z olbrzymim mahoniowym stołem, przy którym stoją dwadzieścia cztery kształtne, acz kruche krzesła, jest wykorzystywana wyłącznie przy specjalnych okazjach – ona również napawa poczuciem sterylności i porzucenia. Założyłbym się o miesięczną pensję, że od lat nikt nie jadł śniadania w jej złowrogich cieniach.

Za to biblioteka tchnie rozkosznie nowoczesnym życiem – pełne książek półki sięgające od podłogi do sufitu zajmują całą jedną ścianę, na olbrzymim telewizorze wspólnie oglądamy mecze Karoliny z Clemson, co w naszym stanie jest towarzyskim rytuałem. Do tego są tu wygodne fotele i sofy, albo skórzane, albo wykonane z najbardziej dekadenczkich materiałów, bar ze zlewozmywakiem i ustawionymi wielopiętrowo butelkami, kominek ze słynnym paleniskiem, będącym dziełem wielkiego charlestońskiego wytwórcy mebli artystycznych Thomasa Elfe'a. Pokój ten zawiera szczęśliwe wspomnienia nas wszystkich – to miejsce, gdzie przychodzimy się zabawić, odprężyć, a czasami rozstać. Jest pełen reminiscencji, które budują przyjaźnie

powoli niczym przyrost rafy koralowej.

Niezbędną rolę, jaką w życiu nas wszystkich odgrywa Molly – pierwsza naprawdę dorosła osoba pochodząca z naszego kręgu – jest matkowanie nam na długo przed tym, zanim sama została matką. Ale Chad, jej mąż, najwyraźniej nie potrafi docenić dobroci i mądrych rad żony. Wszyscy jesteśmy jednak dostatecznie starzy, by zdawać sobie sprawę, że instytucja małżeństwa rodzi wrogość i obojętność bez najmniejszych ku temu powodów.

Molly powierza mi dbanie o to, by wszyscy mieli pełne szklanki. W naszej grupie pełnię funkcję barmana od czasów licealnych, gdy jako jedyny nie piłem. Nalewam gin z tonikiem dla Molly i Betty, a dla Ike'a wyjmuję z małej lodówki przy barze heinekena. A on mi na to:

– Hej, redaktorze rubryki towarzyskiej!

Odwracam się do niego.

– Pan wybaczy, w moim przekonaniu jestem sumieniem tego miasta – mówię. – Codziennym kronikarzem. Jego sercem i duszą. To jak, podać pańskiemu żalonnemu dupsku piwo czy nie?

– Piwo dudliłem, kiedy służyłem w drogówce. Jak ci się zdaje, co powinien pijać nowy szef policji po wejściu do wyższych sfer?

– Będę musiała znosić ten bełkot do końca życia – wzdycha Betty. Wyciąga szklankę do Molly, która stuka się z nią na znak solidarności.

– Czy jego lordowska mość życzy sobie bourbona Wild Turkey z lodem? Margaritę w szklaneczce z posypanym solą brzegiem, koktajl Old-fashioned, Manhattan, a może razem wypijemy wytrawne martini z ginem Beefeater, wstrząśnięte jak cholera, ale nie mieszane?

– Uwielbiam te grepsy zero zero siedem – odpowiada Ike. – Tak, daj mi ten drink Jamesa Bonda. On jest całkiem podobny do mnie.

Wszyscy odwracamy się, gdy w progu niespodziewanie pojawia się jakaś postać.

- Hasło, góralu? – rzuca Molly.
- Niles Whitehead uśmiecha się i przygląda zebranim.
- Molly Rutledge jest najbardziej zajebistą laską w historii Charlestonu.
- Nieprawda – protestuje Molly. – Nie ja, tylko twoja żona.
- Z wyjątkiem mojej żony – poprawia się Niles.
- A moja cholerna żona to pies? – burczy Ike.
- Rychło w czas, mężu – upomina go Berty. – Nilesie, dość już tego flirtowania z Molly.
- Mam prawo flirtować z własną szwagierką – protestuje Niles.
- W Charlestonie to niemal obowiązek. Ale z zasady nie podrywam kobiet, które noszą spluwy na biodrze. Zwłaszcza jeśli ich mąż jest w tym samym pokoju i może udzielić im wsparcia.
- Nie strzelaj, Ike – prosi Betty. – Nie zabijaj górala, dopóki chłapie ozorem. Lubię, jak białasy ze mną flirtują.
- Betty Jefferson jest najbardziej zajebistą laską w całym Charlestonie – oświadcza Niles.
- Podoba mi się, jak to powiedziałeś – orzeka Betty. – Słysząc, że góral jest szczerzy. Nie pieprzy głupot jak wszystkie inne chłopaki z Charlestonu. Dzięki, Nilesie. W twoich ustach zabrzmiało to bardzo miło.
- To dlatego, że jest sierotą – tłumaczę. – Nilesowi kobiety zawsze odpuszczają, bo z niego taki drugi Oliver Twist.
- Oliver Twist. Coś mi się obilo o uszy. Chodził z nami do szkoły? – pyta Ike.
- Wysłałam za idiotę – kwituje Betty, chowając twarz w dłoniach. – Nie zapominaj, Ike, że ja też wychowałam się w sierocińcu.
- Chłopaki, idźcie rozpalić pod rusztem – rozkazuje Molly. – Nie wiem, gdzie będziemy jedli, bo Sheba nie przedstawiła scenariusza na wieczór. A właśnie, Leo, zaprosiłam też twoją matkę.
- Staję jak wryty, a Niles i Ike ze śmiechem wychodzą na dwór. Kiedy jęcę, nikt w pokoju nie ma najmniejszych wątpliwości, że jęć

ten jest jak najbardziej autentyczny.

– Dlaczego to zrobiłaś, Molly?

– Tchórzostwo to dla mnie nic nowego. Podobnie jak ludzkie słabości. Prawdziwe dziewczyny z Południa muszą dogadzać innym bez względu na konsekwencje. Dzwonił do mnie monsinior Max. Słyszał, że Sheba jest w mieście, więc chciał wpaść i się z nią spotkać. Zaproponował, że będzie przywoitką twojej matki. Podszedł mnie z zaskoczenia. Przykro mi, Leo, naprawdę.

– To chyba nie był najlepszy pomysł – mówię. – Sheba nie należy do fanklubu mojej matki i odwrotnie.

Molly podchodzi i całuje mnie delikatnie w policzek.

– Poza tym wiedziałam, że bez względu na to, co zrobię, i tak mi wybaczysz. Jak zawsze, Leo.

– Bo od początku mam do ciebie słabość, malutka.

– Słabość, akurat! – prycha Betty, uśmiechając się szeroko do nas obojga. – Spójrz mu w oczy, Molly. On się w tobie kocha od liceum. Nigdy nie potrafił tego ukryć. I wciąż nie potrafi. Kiedyś to było urocze, teraz jest chore.

Nie zwracając uwagi na jej słowa, pytam Molly:

– Upредиłaś Shebę, że będzie tu moja matka?

– Owszem. I właśnie to mnie martwi.

Słyszę dźwięk dzwonka i wiem, że przybyli monsinior Max i moja matka. Wzdrygam się na myśl o najrozmaitszych możliwościach, jakie ten wieczór niesie. Od śmierci ojca przed wielu laty matka i ja sprzecamy się o każdą błahostkę, a kilkakrotnie poszliśmy nawet na otwartą wojnę, gdy stanęliśmy w obliczu spraw, których żadne z nas nie uważało za pierwszoplanowe. Wybuchowość między nami urosła do rozmiarów, które łatwo mogą przekształcić lampkę sygnalizacyjną w piekło. Niedawno matka chlusnęła mi w twarz zawartością szklanki podczas dyskusji na temat prawidłowego stawiania przecinków w języku angielskim. Ona widzi w nich zgrabne przerywniki i pomysłowy sposób na zaznaczenie oddechu w zdaniu, ja zaś uważam

je za pretensjonalne. Wraz ze śmiercią ojca matka i ja straciliśmy arbitra i rozjemcę, naszego największego kibica, który w mgnieniu oka potrafił przetłumaczyć doprowadzające nas do szału skostniałe dziwa. Na zawsze znikła strefa zdemilitaryzowana, która powstrzymywała nas przed skakaniem sobie do gardeł. A jednak matka wciąż próbuje podstępnie sterować naszymi stosunkami i wiem, że przychodząc na to przyjęcie, ostatecznie wywiesza białą flagę na swoich nadpękniętych murach. Doceniam ten gest dobrej woli.

Wpuszczam monsiniora Maksa i matkę drzwiami od frontu. Ale chociaż powinienem mieć się na baczności, nie zauważam gargulców tworzących się u wylotów rynien ani trolli oblizujących usta pod bukszpanami.

– Wiem, że jestem ostatnią osobą, której się tu spodziewałeś – mówi matka, kiedy cmokam ją w policzek. Moglibyśmy razem prowadzić kursy mistrzowskie z fałszywej manifestacji uczuć.

– Byłem zachwycony, kiedy Molly mi o tym powiedziała – bąkam. – Witam monsiniora. Cudownie znów księdza widzieć.

– Jeżeli ta kokietka Sheba uważa, że może sobie ot, tak wpaść do Charlestonu i się ze mną nie spotkać, to jest w grubym błędzie – grzmi monsinior Max.

– Tworzycie z moją matką bardzo ładną parę – stwierdzam. – Chodźcie, zrobię wam coś do picia. Gość honorowy planuje wielkie wejście.

– Bo inaczej nie potrafi – burczy matka, ruszając przed nami do biblioteki.

Szykując im drinki – czerwone wino dla niej i wytrawne martini z wódką i dwiema oliwkami dla monsiniora – mówię:

– To martini jest jak Sahara albo pustynia Gobi.

– Zadaniem martini jest przybliżyć mnie do Boga – oświadcza monsinior i z zadowoleniem upija łyk. – Zostawia mnie w pół drogi do Boga, a potem muszą polegać na niezwyklej sile modlitwy, żeby dotrzeć na sam szczyt.

– Wobec tego musi mnie pan nauczyć, jak należy modlić się we właściwy sposób. – Słyszając dobiegający od progu głos, odwracam się i widzę, jak Chad Rutledge odkłada teczkę na ławę. – Anglikanie uczą, że picie jest najszybszą metodą na zbliżenie się do Boga. Mieszkańcy Charlestonu sądzą, że to jedyny sposób. Czy z naszą teologią coś jest nie tak?

– Napij się z nami, Chad, przedyskutujemy to – odpowiada monsinior.

– Wyświadcz mi ten zaszczyt – dodaję. – Przyniosę ci kieliszek do fotela.

– Podoba mi się twoja czołobitność, Leo – chwali mnie Chad. – W dzisiejszych czasach to rzadkość.

– Staram się, żeby nie weszła mi w krew. Za bardzo ją lubisz.

– Moim zdaniem to naturalny porządek świata. – Puszcza oko do mojej matki.

Biorę srebrny kubek, jeden z kompletu, który Chad dostał w dniu, kiedy ustąpił ze stanowiska najmłodszego w historii Karoliny Południowej prezesa palestry. Wrzucam do niego mnóstwo lodu i nalewam do połowy bourbona Wild Turkey.

– Gdzie twoje dzieci, Chad? – pyta matka.

– Na zesłaniu u dziadków. Do tej pory nie mogę wyjść ze zdumienia, że mój ojciec... ten sam gość, którego Fraser i ja za młodu prawie nie oglądaliśmy... tak sfiksował na punkcie wnuków.

– Widziałem to dziesiątki razy – kwituje monsinior Max. – Pewnie zdał sobie sprawę, że nie był dobrym ojcem, i w ten sposób próbuje wynagrodzić to tobie i twojej siostrze.

Czekam na szturm matki. Nie muszę czekać długo.

– Ja co noc modlę się o wnuki.

– Nie można mieć wszystkiego – rzucam, krążąc po pokoju z tacą z przystawkami.

– Rozejrzyj się, Leo – mówi matka. Słyszemy, że reszta naszej paczki wchodzi schodami od tyłu. – Zdobycie prawdziwej żony nie wydaje się zbyt trudne. Takiej, która będzie z tobą mieszkała, dzieliła

łoże i poświęci życie, żeby uczynić cię szczęśliwym. Po drodze tutaj monsinior zwierzył mi się, że bez najmniejszych problemów mógłby ci załatwić unieważnienie małżeństwa od samego papieża.

– Kwestia trzech telefonów – przytakuje monsinior Max.

– To nie najlepsza pora na dyskusję na ten temat – ucinam.

– Wobec tego daj mi znać, synu, kiedy pora będzie właściwa, a na pewno się zjawię – obiecuje matka. – Nie powstrzyma mnie przed tym plemię kanibali.

– Skończ z tym, matko. Z zachodu nadciąga mój szwagier.

Najpierw jednak wchodzi Molly i staje jak wryta na widok męża, który siedzi rozparty w skórzanym fotelu. Podchodzi i go całuje.

– Kochanie! Jak miło, że się zjawiłeś. Jakim cudem udało ci się trafić do domu?

– Ktoś w kancelarii pożyczył mi kompas i plan miasta – odpowiada Chad dobrodusznie. – Ale zachowuj się, kochanie. Mam wrażenie, że ten wieczór będzie słynny w całym Charlestonie, jeżeli i my postanowimy dobrze się bawić.

– Pamiętna noc – mówi Fraser Whitehead, stając za plecami Molly. – Zdaje się, że był taki film, prawda?

– Dobrze ci się zdaje, siostrzyczko. – Głos Chada jest gładki i cichy jak upuszczona jedwabna chusteczka. – Był taki o „Titanicu”.

Matka zwraca się do mnie szeptem, ale na tyle głośnym, żeby większość obecnych w pokoju ją usłyszała:

– Zabawne, jak można zmienić temat rozmowy z małżeństwa na „Titanica”. To dopiero idealne *legato*, nie sądzisz?

– Matko, nie wydaje mi się, żeby to przyjęcie kręciło się wokół ciebie – karcę ją ostro.

– Nie zgadzam się – oświadcza Chad. – Przyjęcie będzie się kręcić wokół tego, co sobie zażyczymy. Proszę się nie hamować ze względu na syna, doktor King. Jestem pani dozwonnie wdzięczny za to, że pomogła pani mnie i Molly w ostatniej klasie.

– Ty i Molly stanowiliście ryzyko, które warto było podjąć – odpowiada matka.

– Tłumaczyłem jej wtedy, że jeśli w Charlestonie nie można zaufać Rutledge'om albo Hugerom, to wszyscy powinniśmy się przenieść do Myrtle Beach – wtrąca monsior Max.

– Matka zawsze z przyjemnością pomaga milionerom wybrnąć z kłopotliwych sytuacji, Chad – mówię. – To jej konik.

– Kiedy zauważyła pani, że Leo jest taki, doktor King? – pyta pan domu.

– Niestety, już we wczesnym dzieciństwie – wzdycha matka.

Drzwi z tyłu domu znów się otwierają i zamykają. Wchodzą Niles i Ike – Niles trzyma oszronioną butelkę piwa, a Ike wciąż cacka się z martini. Wraz z nimi z ogrodu wpada zapach płonącego węgla. Witają się z moją matką i monsioirem. Następnie Niles odchodzi, włącza telewizor, wsuwa kasetę do magnetowidu i prosi wszystkich, żeby spojrzeli na ekran.

– Chyba nikt z was nie sądzi, że Sheba przyszła tu tylko na kolację – mówi Ike. – Od dnia, kiedy się poznaliśmy, była w centrum przedstawienia, które nie miało początku i które z całą pewnością nie zakończy się dziś wieczorem.

Gdy tylko na ekranie pojawia się obraz, od razu rozpoznajemy czołówkę pierwszego przełomowego filmu Sheby w Hollywood: *The Roar of the Girl Next Door** z Dustinem Hoffmanem i Jane Fonda w rolach głównych. Napisy przewijają się na tle Manhattanu, a muzyka Theloniousa Monka brzmi jak uprawianie seksu w takcie na trzy czwarte. Kamera zatrzymuje się na wejściu do eleganckiego butiku. Otwierają się drzwi i dziewiętnastoletnia Sheba Poe, ponętna, pociągająca, ale na swój sposób niewinna i świeża jak poranna rosa, wypada ze sklepu niczym orchidea otwierająca się na słońce. Kamera rejestruje niemal bezduszną rozkosz Sheby, która widzi, jakie wrażenie wywiera jej uroda na mijanych mężczyznach. Dziewczyna ma na sobie głęboko wyciętą, białą letnią sukienkę, opinającą ciało jak druga skóra. Śledzimy ją z przodu, jej olśniewający marsz po Madison

Avenue i ponętne kształty, gdy kroczy ku kamerze niczym żywioł potężny jak spiętrzona fala. Kolejne ujęcie przedstawia jej długie trzpiotowate nogi i stopy w sandałach, z ciemnoczerwonym lakierem na paznokciach – kiedy po raz pierwszy oglądałem tę scenę, zacząłem myśleć o wstąpieniu do klubu fetyszystów stóp. Kamera przesuwa się na ludzi na Madison Avenue, obserwujących ten niespieszny chód, na zaczepne gwizdy taksówkarzy, budowlańców podczas przerwy obiadowej, wołających do Sheby z wysokości rusztowań, nastolatków z wypiekami na twarzy i bogate wdowy rozdarte między zazdrością i podziwem. Sheba przystaje nagle i sprawdza makijaż w odbiciu szyby wystawowej, za którą widać błyszczące rzędy pierścionków z brylantami, rubinowych broszek, kolii z ametystami i zegarków wyglądających jak fantazyjne obroże dla piesków chihuahua.

* Tytuł fikcyjny, taki film nie istnieje.

Z punktu widzenia taksówkarza z Bliskiego Wschodu widzimy jej wspaniałą tyłeczek. Kierowcy samochodów trąbią z uznaniem, gdy Sheba odchodzi od wystawy w stronę korka, który spowodowała. Sheba uśmiecha się i puszcza oko do taksówkarza. Kiedy poprawia szminkę, ten przekręca lusterko wsteczne i coraz szybciej przesuwa sznur koralików w rytm przyśpieszonego bicia serca i przejmującej muzyki. Sheba podejmuje spacer po wyspie Manhattan. W historii Hollywood niewiele scen przechadzki po ulicy cieszyło się taką uwagą i uznaniem.

Gdy w czołówce pojawia się nazwisko scenografa, słyszymy, że ktoś wchodzi do biblioteki tylnymi drzwiami – wejście to zaplanowane jest tak, że nie może pozostać niezauważone. Odwracamy się i widzimy ją we własnej osobie: aktorkę Shebę Poe, w tej samej sukience, tych samych sandałach i perłach, z tym samym odcieniem szminki i lakieru do paznokci oraz w tej samej fryzurze, w której oglądamy ją właśnie na filmie. Synchronizując ruchy z obrazem na ekranie, Sheba wychodzi na środek, a my nagradzamy brawami jej

pomysłowy powrót do domu. Z wrodzoną afektacją, na użytek rodzimej publiczności, kręci erotycznie biodrami w takt łomotu ścieżki dźwiękowej, która sprawia wrażenie, jakby napisano ją do jakichś zakazanych rytuałów płodności. Przenosząc wzrok z ekranu na żywą kobietę, podziwiamy nie tylko znakomitą figurę, lecz całe ciało, które ustaliło wzorzec kobiecych kształtów w swoim pokoleniu.

Kiedy młoda Sheba przechodzi na drugą stronę Madison, między pojazdami, które stają w korku na cześć jej urody, prawdziwa kobieta lawiruje między sofami i fotelami w wyłożonej boazerią biblioteczce. Na filmie konie stają dęba, a policjanci usiłują opanować wierzchowce. Z kwaciarni wychodzi dystyngowany mężczyzna, kłania się i wręcza jej tuzin białych róż. Sheba dyga przed nim, wkłada jedną różę między zęby, a pozostałe rozdaje bezdomnemu, młodej matce pchającej wózek z bliźniakami i dwóm robotnikom, którzy wystawili głowy przez właz do kanału, by obserwować ją, jak przechodzi.

Tego dnia Molly ścięła białe róże ze swojego ogrodu, Ike korzysta więc z okazji, podkrada je z orientalnego wazonu i podaje Shebie, a woda z łodyg skapuje na dywan. Sheba bierze jedną różę zębami, a resztę rozdaje wszystkim obecnym, ostatnią przeznaczając dla monsiniora, który uśmiecha się promiennie.

Gdy na ekranie przesuwiają się nazwiska współproducentów, operator dżwigu z wysoka obserwuje Shebę przez lornetkę. Przenosimy wzrok na prawdziwą kobietę, która dotarła tymczasem na koniec pokoju i wraca do nas. Patrząc, jak się zbliża, na liryzm jej przechadzki ku przyjaciołom, którzy oddawali jej hołd na długo przed tym, zanim ta słynna scena jej spaceru trafiła na ekrany całego świata. W recenzjach filmu krytycy jak jeden mąż zwracali uwagę na pełen seksapilu chód Sheby – według nich było to coś, czym aktorka zdefiniowała seks na nowo, jako wewnętrzny ogień, który wykradła i który odrodził się w jej wcieleniu. Tą otwierającą film sceną Sheba Poe wkroczyła w zimne serce swojej pogmatwanej historii, prezentując

niebezpieczną iluzję, gdzie zmysłowość idzie w parze z niewinnością.

Muzyka cichnie i słynna przechadzka Sheby dobiega końca. Aktorka uwodzicielsko płynie w kierunku ekranu, na którym jej młodsze ja wchodzi do wytwornej restauracji i przy stoliku spostrzega wiercącego się niecierpliwie Dustina Hoffmana. Patrząc na młodsze wcielenie siebie samej, Sheba czeka, podczas gdy Dustin Hoffman patrzy na roleksa ponad pustym kieliszkiem do wina i mówi: *Spóźniłaś się... znowu.*

W bibliotece przy East Bay Street Sheba młodsza łączy się ze starszą, otoczoną przyjaciółmi ze szkoły, wypowiada swoją pierwszą kwestię w filmie: *Innym jakoś to nie przeszkadzało, kochanie*, i w tym momencie obie Sheby mówią jednym głosem: *Z wyjątkiem ciebie.*

W pokoju wybuchają gromkie brawa, na co Sheba kłania się skromnie. Po owacji staje przed monsiniorem w takiej pozie, jakby jego zachwycona twarz była lustrem. Odkąd znam Maksa, zawsze czuł się równie swobodnie w centrum zainteresowania jak Sheba i teraz jest wyraźnie zachwycony tym ostatnim aktem na jego cześć. Byłoby to idealne zakończenie przedstawienia, gdyby nie fakt, że bezwstyd występu Sheby wzbudził w mojej matce odrazę.

– Och, skończ z tym wreszcie, Shebo – prycha. – Wystarczy twoich popisów jak na jeden wieczór.

Na co Sheba, ze złośliwym wyczuciem chwili, odpowiada:

– Innym jakoś to nie przeszkadzało, kochanie. Z wyjątkiem ciebie.

Dezaprobatą matki sprawia jej radość, a zarazem niepokoi, ale usta obu kobiet zaciśnięte są w wąską kreskę.

– Twój talent to dar od Boga – mówi matka. – A tymczasem szczyisz się rolą wywłoki.

– Do takiej roli mnie zaangażowano – odpowiada Sheba. – Pani by wołała, żeby w tej scenie przebrali mnie w kombinezon śmieciarza i wojskowe buciory?

– Czytałam artykuły o twoim prowadzeniu się w Hollywood – ciągnie matka. – Wiem, jakich wyborów dokonywałaś, i wiem, że jak my wszyscy, urodziłaś się z wolną wolą.

Kombinuję, jak zmienić temat i rozładować ostrą jak brzytwa atmosferę.

– Matko – zaczynam słabym głosem – próbuję wymyślić, jak by tu uprzejmie powiedzieć ci, żebyś się zamknęła.

– Twoja matka jest moim gościem, Leo – wtrąca się Chad. – Każdy z moich gości ma prawo mówić, co mu się żywnie podoba.

– Urocze, prawda? Wal się, Chad! – odpowiadam.

– Leo, wyluzuj – rzuca Ike.

Ale Sheba i moja matka jeszcze ze sobą nie skończyły. Aktorka atakuje pierwsza:

– Matko przełożona, czy mogłabyś mi pożyczyć tampon? Swoje zostawiłam w klinice odwykowej Betty Ford.

– Wyrażaj się tak dalej, a oberwiesz! – syczy matka. – Jak śmiesz mówić coś takiego w obecności monsiniora?

Monsinior klepie matkę po rękę.

– Pamiętaj, moja droga, że znaczną część życia spędziłem w konfesjonale. Trudno mnie zaszokować.

Sheba nie spuszcza wzroku z mojej matki.

– To aktorstwo, matko przełożona, po prostu wielkie aktorstwo. Rozsiądź się i podziwiał to oszustwo w czystej postaci.

– To wcale nie oszustwo, moja droga. Ja bym to nazwała traceniem duszy na raty. W życiu nie wyginałabym się po to tylko, żeby wzbudzić żądzę we wszystkich mijanych mężczyznach.

– Chwileczkę, doktor King. – Fraser próbuje rozładować sytuację. – Ja pewnie bym tak robiła, tylko że w moim przypadku nic by to nie dało.

– Na mnie podziałało, maleńka – zapewnia ją Niles.

– Sheba jest gwiazdą filmową – ciągnie Fraser. – W tym zawodzie musi być seksowna.

– Kobieta musi być seksowna w każdym zawodzie – dodaje Betty ze śmiechem.

– Kobieta seksowna a zdzira to dwie różne rzeczy! – warczy matka.

Sheba bez namysłu ściąga mały lniany obrus z kredensu i zarzuca sobie na głowę i ramiona niczym kaptur. Na chwilę zamyka oczy, otwiera je raptownie i za sprawą dziwnej alchemii sztuki zmienia się niemal w dziewicą, siostrę zakonną. Zwraca ku nam twarz tak ściągniętą i spragnioną słońca, jakby należała do jakiegoś zamkniętego zakonu. Metamorfoza jest niezwykła – rajski ptak przemieniony w pospolitą wronę.

Tyle że artystka między nami nie jest w nastroju do żartów – odwraca twarz siostry od Najświętszego Krzyża w stronę mojej matki i bez ogródek uderza bezlitośnie:

– Sostro przełożona, ja również poświęciłam życie modlitwie i solidnej pracy. Potrafiłabym zagrać rolę zakonnicy o wiele lepiej, niż ty ją grałaś w swoich najlepszych czasach w klasztorze. A ponieważ Bóg dał mi talent, jestem wierna swoim zdolnościom i potrafię zagrać księżową, kosmonautkę, gospodynię domową w potrzasku czy lesbijką. Ale ma pani rację: równie dobrze jestem w stanie zagrać striptizerkę, kurwę, łowczynię cudzych mężów albo wariatkę.

– W niektórych z tych ról grałaś sama siebie, Shebo – kwituje matka. – Aktorstwo nie byłoby ci potrzebne.

– Matko, mogłabyś wreszcie zamknąć jadaczkę?! – krzyczę. – Molly, dlaczego to zrobiłaś?

– Źle oceniłam sytuację.

– Pomyłki to specjalność Molly – stwierdza Chad, przedrzeźniając swoją żonę.

– Ale tylko jednej żałuję – odcina się Molly, zanim Sheba znów przejmuje władzę na scenie.

– Czy uroczego ojca Leo brał widok pani w habitcie, doktor King? Bo panią pewnie podniecało, że przez te wszystkie lata, kiedy pani tkwiła w klasztorze, ojciec biednego Leo był stale napalony i załamany? Kiedy zorientowała się pani, że podnieca go grzechotanie różańców na ciele zakonnicy ukrytym pod pięcioma kilogramami

czarnego sukna? Niektórzy mężczyźni lubią stringi. A co rozpałało ogień Jaspera? Czyżby klauzura? Fakt, że dziewczyna w klasztorze jest nietykalna? Czy przyszło pani kiedyś do głowy, że robiła mu pani to, co ja robiłam wszystkim mężczyznom podczas tego spaceru Madison Avenue?

– Posuwasz się za daleko, Shebo – ostrzega Betty.

– Tak się składa, że jestem adwokatem Sheby – powiada Chad, grzechocząc lodem w srebrnym kubku. – I w tym, co powiedziała, nie dopatryłem się złamania prawa.

– Może prawa nakazującego uprzejmość w towarzystwie? – podsuwa Fraser.

– Sheba nigdy go nie respektowała – zauważa Niles.

– Shebo, wszyscy, jak tu jesteśmy, od czasu do czasu zaglądamy do twojej matki, a najczęściej Leo, więc nie powinnaś czepiać się jego mamy. To nie w porządku – tłumaczy Betty.

– Możemy to zostawić? – proponuje Niles. – A może mam je związać? Shebo, odczep się od mamy Leo. To zakazany temat. Jak zawsze.

– Dla mnie nie ma zakazanych tematów, Niles – mówi Sheba. – Doktor King znenawidziła mnie od pierwszego wejrzenia. Czyż nie, pani doktor?

– Nie – odpowiada matka.

W jej gardle słyszę dobrze mi znaną śmiercionośną nutę, której – jestem pewny – nikt inny nie rozpoznaje, i kiedy przygotowuję się na najgorsze, ono nadchodzi.

– Nienawiść rozwijała się we mnie przez dwa miesiące – ciągnie matka. – Próbowalam z nią walczyć, ale się nie udało. Owszem, masz rację, Shebo, nigdy się jej nie wyżyłam. Wszystko zawsze obracało się wokół ciebie, jakbyś była pępkiem świata. Nie mam wątpliwości, że w najciemniejszym kącie piekła potrafiłabyś znaleźć reflektor, byleby się znaleźć w centrum uwagi.

Przytrzymując „habit”, Sheba mocniej ścisną materiał. Głosem zakonnicy, narzucającym morderczą atmosferę, oświadcza:

– Wiem, że tylko grasz, matko przełożona. Wiedziałam to od samego początku. Przejrzałam cię.

Monsinior, który przysłuchiwał się temu porażony i zafascynowany, nagle budzi się do życia.

– Wiem, kiedy jest najwyższy czas, żeby się wycofać. Myślę, Lindsay, że powinniśmy zostawić młodzież we własnym towarzystwie.

– Kto to jest Lindsay? – pyta Niles.

– To imię doktor King – wyjaśnia ktoś.

– Zawsze myślałem, że ma na imię doktor – bąka Niles.

– Jedną chwileczkę, Max. – Matka unosi palec, powstrzymując monsiniora. – Shebo, pamiętasz, co ci powiedziałam dzień przed ukończeniem szkoły?

– Jak mogłabym zapomnieć? Byłam osiemnastolatką po przejściach. Jedyną moją zbrodnią było to, że zaprzyjaźniłam się z pani samotnym synem, którego przezywali „Ropuchem”. Zgadza się, Leo?

– Moim zdaniem tak.

– No więc brat i ja przyjęliśmy Ropucha do naszego życia i naszych serc, a on oddał nam swoje. W tym samym roku zjechał na niziny ten góral ze swoją okaleczoną siostrzyczką, którą trzymał z daleka od świata. Pamiętasz ją, matko przełożona? Zawsze kiedy mam grać tragiczną scenę, myślę o tej góralce. A jeśli mam pokazać odwagę, myślę o tym góralu. Aktor to urodzony złodziej, więc kradnę od wszystkich. Do uroku udaję Betty. Do siły mam w rezerwie Ike'a. Widzi pani Fraser, o, tam? To jej kradnę prawość, którą potem daję swoim postaciom. Do urody mam Molly. Do scen sukcesu i pewności siebie przywołuję Chada. A gdy muszę grać chodzącą dobroć, mam Ropucha. Mam pani niesamowitego syna, tego, który teraz się rumieni, tego, do którego pani nigdy nie potrafiła wykrzesać z siebie miłości.

– Powiedz im, co usłyszałaś ode mnie tamtego dnia – rozkazuje matka. – To była bardzo zręczna przemowa, tyle że nie na temat.

– Powiedziała mi pani, że jestem najbardziej utalentowaną dziewczyną, jaka ukończyła liceum Peninsula. – Shebie głos łamie się ze wzruszenia, ale nie ma to nic wspólnego z jej talentem.

– Mów dalej – ponagla matka. – To była pierwsza rzecz, jaką ci powiedziałam. Ale na tym nie skończyłam, prawda, moja droga?

– Czy ktoś mógłby to przerwać? – pyta Fraser, zatykając uszy.

– Betty, zastrzel Shebę – proponuje Niles. – Ike, ty zdejmij doktor King. To jedyny sposób.

– Powiedziała mi pani, że albo wynajdę lekarstwo na raka, albo zostanę największą dziwką w historii – mówi Sheba, upuszczając obrus na podłogę.

– Miałam rację tylko w połowie – oświadcza matka. – Rak nadal stanowi śmiertelne zagrożenie dla społeczeństwa.

– Chryste Panie, matko – wtrącam się. – Monsiniorze, proszę się nie fatygować i nie odprowadzać jej do samochodu. Niech pan od razu zrzuci ją z balkonu na ulicę.

– Byłam jeszcze dzieckiem – chlupie Sheba.

– Ty nigdy nie byłaś dzieckiem – ripostuje matka.

– Wobec tego teraz zachowaj się jak dorosła i odpuść sobie, Shebo – wkracza Molly. – A pani powinna się uspokoić, doktor King. Sheba ma za sobą ciężkie przejścia, o czym Leo wie najlepiej. Leo, Ike, zajmijcie się drinkami. Shebo, chodź ze mną do kuchni, pomożesz mi podać kolację.

– Kogo ty chcesz oszukać, Molly? – rzuca drwiąco Chad. – Ty i Sheba nie wiedziałybyście, co robić w kuchni, nawet gdyby ugryzła was w dupę.

– Nie wyrażaj się, braciszku – zwraca mu uwagę Fraser. – Jest tu monsinior.

– O, i to jest doskonały pretekst, żeby się pożegnać – podchwytuje monsinior Max, wstając. – Będę udawał, że uraziło mnie przekleństwo Chada, więc wypadnę stąd jak burza, zabierając ze sobą Lindsay.

– Myślę, matko, że to dobry pomysł – przytakuję. – I wstydź się tego, co powiedziałaś Shebie.

– Sama zaczęła – burczy matka. Widzę jednak, że jej złość opada, gdy spoglądając na otaczające ją twarze, spostrzega, jakich zniszczeń dokonała.

– Mam nadzieję – rzuca Sheba.

Matka znów się rozpala.

– Niech ci się nie wydaje, iż nie wiem, że pozbawiłaś mojego syna dziewictwa, ty nędzna biała dziwko!

– Chryste Panie przenajświętszy! – mamroczę i piekę raka, skrajnie przerażony tym, jak kaleki stał się ten wieczór. Odwracam się do monsiniora. – Proszę, niech pan zabierze stąd moją matkę.

Ike z niedowierzaniem wlepia wzrok w Shebę.

– Przeleciałaś Ropucha?

– Ukradła Leo to, co miał najcenniejszego – informuje matka. – Jego niewinność.

– Nie. Nie, Lindsay. Nie, matko przełożona. Nie, doktor King – odgryza się Sheba. – Dla niego najcenniejsze było to, co ty kochałaś najbardziej: syn, którego straciłaś. Pamiętasz go, Lindsay? Bo ja nie. Nigdy go nie poznałam. Założę się, że był równie przemiły jak Leo. Stephen, Steve? Chyba tak się nazywał, co? Zdaje się, że się zabił wiele lat przed moim przyjazdem tutaj. Nie możesz mnie winić za śmierć Steve'a, chociaż założę się, że bardzo byś chciała. Uważam, że od zawsze żałujesz, że to nie Leo podciął sobie nadgarstki, że to nie Leo umarł. W swoim dziwnym popieprzonym świecie zawsze tracisz przystojniaków. Zostają tylko ci brzydale. Zawsze traktowałaś Leo jak nagrodę za zajęcie drugiego miejsca, którą dostałaś za utratę swojego pieszczoszka.

– Shebo, to niegodziwe! – krzyczy przerażona Fraser. – Zło w czystej postaci.

Ike łapie Shebę od tyłu, podnosi silnymi brązowymi rękami i wynosi do kuchni, a potem tylnymi schodami na dół. Molly podchodzi

do frontowych drzwi i otwiera je, a Betty pomaga monsiniorowi sprowadzić matkę po schodach i wtaszczyć ją do lincolna continentala. Wieczór się skończył, ale nie całkiem.

Padam na skórzany fotel, zamykam oczy i zanurzam się w luksusowym komforcie biblioteki pełnej starannie dobranych książek. Zapach skóry daje mi pociechę, czuję się, jakbym oparł głowę we wnętrzu dobrze naoliwionej rękawicy baseballowej. O ile wiem, od lat nikt nie wymówił imienia mojego brata w obecności matki. Nawet teraz, w toksycznej atmosferze mijającego wieczoru, kiedy próbuję przywołać obraz twarzy brata, widzę tylko upiorny, pozbawiony rysów niedokończony portret w sepii. Pamiętam jedynie, że Stephen był złoty i piękny, i że jego utrata wbiła pal w serce mojej rodziny. Jakimś cudem zdołaliśmy przeżyć tamten dzień, ale nikt z nas nie doświadczył zbawiennych skutków powrotu do normalności. Uświadamiam sobie, że można uciec od wszystkiego z wyjątkiem zranionej duszy.

Doskonała zabawa

Obok siebie słyszę trzask zapalki i wdycham zapach dymu z drogiego cygara. Otwieram oczy i widzę, że Chad Rutledge uważnie mi się przygląda. Wydmuchuje chmurę słodkawego dymu w moją stronę.

– To się nazywa ubaw po pachy.
– Cieszę się, że ci się podobało, Chad.
– I pomyśleć, co byśmy stracili z Molly, gdyby nas nie wylali z Porter-Gaud przed ostatnią klasą. – Uśmiecha się szeroko. – Nie znaliśmy nikogo takiego jak ty, Niles, Starla czy Ike albo Betty. Dla nas to był nowy wspaniały świat.

– Dzięki nam poznaliście mroczną stronę Charlestonu.
– Zawsze miałeś poczucie różnic klasowych – stwierdza Chad.
– Dopiero odkąd cię poznałem. Kiedy się spotkaliśmy wtedy w jachtklubie, po raz pierwszy ktoś patrzył na mnie, jakbym był niższą formą brudu spomiędzy palców u nóg.

– Niezupełnie. Dla mnie byłeś camembertem wśród brudu spomiędzy palców u nóg.

W progu kuchni pojawia się wielki cień. Podnoszę głowę i widzę Nilesa Whiteheada.

– A jakim rodzajem brudu spomiędzy palców u nóg jestem ja? – pyta Niles.

– Ty należysz do rodziny, Nilesie. Jesteś moim szwagrem, którego szczerze podziwiam. Mężem mojej jedynej siostry. Ojcem moich przystojnych siostrzeńców.

– Ale z pewnością zdajesz sobie sprawę, że rodzina Leo wywodzi się z dużo wyższej klasy niż moja. Odświeżę ci pamięć. Kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się z Leo, ja i siostra byliśmy przykuci kajdankami do krzesel.

– Bezgranicznie was podziwiam – zapewnia Chad. – Obaj byliście ambitnymi młodzieńcami. Na polu edukacji pokazałeś się z jak najlepszej strony, Nilesie. Wżeniłeś się w jedną z najstarszych rodzin w Charlestonie, co dla chłopaka z twoim pochodzeniem bynajmniej nie było łatwe. Leo został słynnym dziennikarzem. Otwierając rano gazetę, wszyscy zaczynają od jego felietonu. To nie byle jakie osiągnięcie.

– Rety, czuję się jak łódź do połowu krewetek z floty, którą właśnie pobłogosławił biskup – rzucam drwiąco.

– Kurde, i pomyśleć, że w arystokratycznych oczach Chada uchodzę za człowieka – dodaje Niles.

Chad wybuchł śmiechem i z zadowoleniem przygląda się cygaru.

– Ach, ta Sheba! Czyż nie zapewniła nam wspaniałego wieczoru? Gdybym was nie spotkał, ominąłby mnie cały ten melodramat życia, jakie wy uważacie za normalne. Straciłbym te kłótnie, całe to ujadanie i jazgot, którymi ubarwiacie każde przyjęcie. Moi znajomi należą do klasy wyższej i są cywilizowani, czyli innymi słowy nudni. W drodze selekcji wyeliminowano z nas te jęki i skomlenie. A dziś mieliśmy tu prawdziwą operę.

– Chad, zawsze należał ci się wpierdol i żałuję, że nie spuściłem ci go, gdy byłeś dzieciakiem – oświadcza Niles.

– Za chwilę muszę wracać do kancelarii – mówi Chad, wcale się nie przejmując. – W przyszłym tygodniu mam poważną sprawę.

– Czy Molly wie? – pyta Niles.

– Ona lubi przesiadywać w domu. Lubi styl życia, jaki zapewnia

jej moja praktyka adwokacka. Lubi majątek mojej rodziny, do której weszła dzięki małżeństwu, tak samo jak ty, Niles.

– Ostrzegałem cię już przed wielu laty, Chad, nie zadzieraj z górale – wtrącam się. – To nie jest bezpieczne.

– Pożegnajcie Molly ode mnie – mówi Chad. – Możliwe, że będę pracował przez całą noc.

– Jej się to nie spodoba – zauważam.

– To twarda dupa. – Chad puszcza oko, salutuje nam i wymyka się frontowymi drzwiami.

Przez kilka minut siedzimy z Nilesem w milczeniu, wdychając zapach skwierczących na ruszcie steków. Niles wstaje i rusza do baru.

– Zrobić ci następnego drinka?

– Właśnie myślałem, ile musiałbym wypić, żeby zapomnieć o tym, co się wydarzyło dziś wieczorem, i dalej móc się bawić.

– Aż tyle gorzałki nie ma na całym świecie – ocenia Niles. – Ale Sheba i Chad się wynieśli... czyli że świry wywiały z wariatkowa.

– Jeszcze nigdy nie widziałem Sheby w tak fatalnym stanie – mówię.

– Założę się, że twoja mama myśli tak samo. To było brutalne.

– Sheba się pogubiła.

– To prawda, że kiedyś podobno była urocza? – pyta Niles.

– Była najmiłszą dziewczyną pod słońcem – zapewnia Molly, znienacka pojawiając się w progu kuchni. – Gdzie Chad? Nie, sama zgadnę! Wrócił do kancelarii, bo pracuje nad poważną sprawą. Wielką, cholerną, poważną sprawą! Nic nie mówcie. Znam zasady. On to robi z miłości do mnie i do dzieci Nie potrafiłabym się obejść bez tej rezydencji i opancerzonego samochodu wypakowanego forsa. Nilesie, mógłbyś pomóc żonie ze stekami? Muszę błagać Leo o przebaczenie, że ściągnęłam tu jednocześnie Shebę i jego mamę.

– Woda i ogień – przyznaje Niles. – A gdzie Ike i Betty?

– Kładą pannę Shebę do łóżka. Ciężko przyjęła takie powitanie z

okazji powrotu. Nie tego oczekiwała.

– Zaraz wracamy ze stekami – obiecuje Niles i słyszę, jak zbiega po dwa stopnie naraz.

Molly podchodzi do baru.

– Czasami kobieta ma ochotę na kwiaty, Leo. Czasami potrzeba jej masażu, chce się potrzymać za ręce albo przytulić. Czasami pragnie zadzwonić do starej przyjaciółki, z którą nie rozmawiała od lat, albo przeczytać szmirowatą książkę pełną świństw. Czasami musi dać się zerznąć. Przebiec półtora kilometra albo rozegrać trzy sety w tenisa. Ale bywa i tak, jak tego wieczoru, kiedy kobieta po prostu chce się upić.

Nalewa sobie do szklanki miarkę wódki i wrzuca lód.

– Coś ci podać? – pytam.

– Szklankę arseniku z kropelką angostury i jeśli to nie kłopot, pudełko po cygarach pełne proszków nasennych. Od dawna nikt z nas nie był świadkiem równie paskudnej sceny.

– Nie mów tak, Molly – ostrzegam ją. – Bóg cię słucha. On lubi takie wyzwania.

– Bóg nie ma nic wspólnego z tym, co powiedziała Sheba.

– Przeciwnie, to wszystko z jego winy – prostuję.

– Naprawdę chodziłeś z Shebą w liceum? – Na samą myśl o tym Molly nie może powstrzymać uśmiechu.

– Pamiętasz mnie z tamtych czasów. Miałeś wtedy ochotę ze mną chodzić?

– Późno wyprzystojniałeś – przyznaje.

– Nie późno, a nigdy.

– Przez te wszystkie lata raz czy dwa przyszło mi na myśl, żeby cię przelecieć.

– Nie przemawia przez ciebie libido, tylko alkohol – tłumaczę jej.

– Czasami potrzeba alkoholu, żeby libido naprawdę zrozumiało, czego chce.

– Molly Rutledge, nigdy w życiu nie powiedziałaś czegoś równie sprośnego.

– Pewnie tak – przyznaje po namyśle. – Ale cieszę się, że to zrobiłam.

– Szkoda, że ja mam żonę, a ty męża – mówię.

– Może i mam męża, Leo, ale nie jestem przewrażliwiona na tym punkcie.

– A ja?

– Ty i Starla nie jesteście małżeństwem w tradycyjnym sensie – przypomina mi Molly. – Ona pomieszkuje z tobą przez chwilę, potem zaczyna tracić rozum, wreszcie całkiem odjeżdża i bach!... znów znika.

– Wiedziałem, w co się pakuję.

– Czy aby na pewno?

– Nie. Nie miałem pojęcia, co mnie czeka – przyznaję.

– Ja też nie.

– Molly, wyszłaś za jednego z najbardziej wziętych prawników w mieście. Pochodzi z rodziny należącej do najstarszych i najbardziej szacownych w całym Charlestonie. Małżeństwo z Chadem Rutledge'em było ci pisane już w dniu, kiedy się urodziłaś.

– Ładna opowieść. – W jej tonie pobrzmiewa głos sprzeciwu, na który wcześniej nie zwróciłem uwagi. – Szkoda, że nieprawdziwa. – Siada na krześle naprzeciwko mnie. – Chad miał mnie dość na długo przed ślubem. Ty o tym wiesz, ja o tym wiem, wiedzą to wszyscy nasi przyjaciele. A co najbardziej tragiczne, Chad też o tym wie.

– Molly, każdy, kto cię poznał, kocha się w tobie na zabój. Każdy o tym wie. Nawet Chad.

– Słodki Leo. – Uśmiecha się. – Ale nie umiesz kłamać. Dajmy temu spokój. Porozmawiajmy o czymś miłym, choćby o dzisiejszym wieczorze. Myślisz, że ktokolwiek z nas dojdzie do siebie po tym, co się dziś wydarzyło?

– Nie mogłem wyjść ze zdumienia... Nie miałem pojęcia, że stare urazy mogą być tak głębokie. I trwać tak długo.

– To nie była uraza, tylko nienawiść... wręcz szekspirowska. –

Molly przesuwa palcem po brzegu kieliszka. – W czasach, kiedy jeszcze trzymaliśmy się razem, Sheba bywała różna, ale nigdy nie podła. Najbardziej zapadła nam w pamięć jej dobroć.

– Wciąż wierzę, że nadal jest dobra.

Betty pędzi po tylnych schodach, niosąc pierwszy półmisek steków. Stawia go na wielkim kuchennym stole, gdzie Rutledge'owie jadają na co dzień, i kieruje się do baru.

– Hej, gołąbeczki, jak po tej scysji możecie siedzieć tu sobie i flirtować? Ale plama! Dajcie mi białego wina. To są uroki trzymania się z białasami. Mnie tam bardziej się podoba w getcie. Jak się na kogoś wkurzymy, to strzelamy mu w łeb, i po krzyku. Leo, skarbie, nie wiedziałam, że miałeś brata.

Zawsze mi wyglądałeś na jedynaka.

– Powiniennem być ci powiedzieć – przyznaję. – Ale nie jest mi łatwo mówić o Stevie. Zresztą gdyby tu teraz wszedł, pewnie bym go nie poznał.

– Martwię się o Ike'a – mówi Betty. – Coś strasznie długo kładzie Shebę do łóżka.

– Zaraz wróci – zapewniam ją. – Dzięki, że pomogłaś zapakować moją matkę do samochodu. Mnie tak zamurowało, że nie byłem w stanie się ruszyć.

– Monsinior wziął na siebie całą brudną robotę. Nigdy jeszcze nie widziałam twojej matki tak wstrząśniętej. Ale poczciwy wielebny wie, jak robić użytek z obrotnego języka. Wciska kit sprawniej niż najlepszy szklarz. Słuchając go, masz wrażenie, że przemawia sam Bóg... gdyby Bóg był katolikiem, a pewne jak dwa i dwa cztery, że nie jest.

– Na jego kazaniach katedra pęka w szwach – przyznaję.

– A jaki z niego kombinator! – Berty siada obok mnie, kładzie jedną rękę na moim kolanie, a w drugą bierze kieliszek i popija wino. – Zanim wróciłam do domu, poprosił Shebę, żeby załatwiła mu cztery bilety w pierwszym rzędzie na *Chorus Line* na Broadwayu w przyszłym miesiącu. Co ona ma wspólnego z Broadwayem?

– Przez jakiś czas sypiała z producentem tego musicalu – wyjaśnia Molly. – W każdym razie tak pisali w „People”.

– Prenumerujesz „People”? – dziwię się.

– Przeglądam w poczekalni u lekarza. Grzeszna przyjemność, ale jednak przyjemność. Dzięki temu jestem na bieżąco, jeśli chodzi o naszą Shebę.

– Zawsze byłam ciekawa, co czytają kobiety mieszkające na południe od Broad – wyznaje Betty. – Mam na myśli prawdziwe czytanie... jak siedzicie na sedesie. Kiedyś myślałam, że odkąd wyszła *Southern Living**, wy, białe dziewczyny, najpierw robiłyście sobie dobrze, a potem nie mogłyście się doczekać, żeby wyjść do ogrodu i sadzić dalej, groszek pachnący i cały ten szajs.

* *Southern Living* – najslynniejsza książka kucharska z przepisami z południowych stanów USA.

– Kolacja na stole! – woła Niles, wraz z Fraser podając pozostałe półmiski steków oraz ziemniaki i cebulę pieczone w folii aluminiowej.

Uczucia, które ujawniły się tego wieczoru, obudziły w nas wilczy apetyt. Byliśmy już w połowie steków, gdy przez drzwi od tyłu wszedł zatroskany Ike, marszcząc czoło.

– Położyłeś Shebę do łóżka, skarbie? – pyta Betty.

– Powinam przyjść i ci pomóc – mówi Molly.

– A owszem, powinnaś – burczy Ike. – Wszyscy powinniście. Ale nikt z was nie ruszył tyłka.

– Po co to mówisz? – wtrąca się Fraser. – Chcesz nas wszystkich wpędzić w poczucie winy?

– Sheba uważa, że opowiedzieliście się po stronie doktor King, a nie za nią – wyjaśnia Ike.

– Obie zachowywały się jak wariatki – przypomina Niles. – Ja tam za żadną nie musiałem się opowiadać.

– Zrobię ci drinka, Ike. Czego się napijesz? – pyta Molly, wstając z krzesła.

Ike myje ręce w zlewie, zastanawiając się nad propozycją.

- Może Cuba Libre.
- Rum z colą – poprawia go Fraser. – Nie słyszałam tej nazwy od czasów licealnych.
- Mój mąż to Che Guevara – żartuje Betty.
- Twój mąż to Poncjusz Piłat – prostuje Niles. – Przystaniesz wreszcie myć te ręce?
- Nasza dziewczyna ma kłopoty. Poważne kłopoty – tłumaczy Ike. – Zemdlała w łazience. Gdy tam wszedłem, znalazłem kokainę... na podłodze, wszędzie. Dwie torebki spuściłem w kiblu. Nie mogłem zatrzymać jej krwawienia z nosa.
- Trzeba było nas zawołać, tobyśmy ci pomogli – mówię.
- Powinieneś ją aresztować – zauważa Betty. Słuszność jej słów i sposób, w jaki je wypowiedziała, wstrząsają nami i w pokoju zapada pełna napięcia cisza. – Gdybyś złapał w jakiejś czynszówce czarnego brata czy siostrę z taką ilością koki, już by siedzieli w więzieniu.
- Zastanawiałem się nad tym – przyznaje Ike. – Przemyslałem to z każdej strony. Tak należałoby zrobić. Ale nie my... nikt z nas. Ze względu na to, co wspólnie przeszliśmy. Uznałem, że to jest ważniejsze niż moja odznaka.
- Podczas gdy przetrawiamy jego słowa, Fraser zauważa:
- Mogą cię wylać z roboty, Ike. Tuż przed awansem na szefa policji. Byłby to największy skandal od lat.
- Ale za to jaki materiał na felieton – dorzucam. Oczy wszystkich w pokoju zwracają się na mnie z nieskrywaną wrogością. – To jeden z minusów posiadania humoru światowej klasy: pozbawieni wyobraźni przyjaciele traktują poważnie nawet najbardziej komiczne z moich odzywek.
- Co Sheba tu robi? – pyta Molly. – Leo, czy ona mówiła ci, po co właściwie wróciła?
- Myślę, że w związku z Trevorem – odpowiadam. – Zdaje się, że dzieje się z nim coś niedobrego.
- Powiedziała ci o tym, czy tylko się domyślasz? – docieka Fraser.

- Ani razu o nim nie wspomniała. Moim zdaniem to dziwne.
- Kiedy ostatnio mieliście wiadomości od Trevora? – pyta Niles.
- Kiedy dostałaś tę kartkę, laleczko?
 - Ponad rok temu – odpowiada Fraser. – Zwiedzał park wodny Monterrey ze swoim chłopakiem miesiąca. Przesłał mi kartkę z wydrą morską. Ale na tej wydrze wymalował wielkiego kutasa.
 - Cały on – kwituje Molly.
 - Mniej więcej rok temu o tej porze Trevor zadzwonił do mnie – mówię. – Chciał pożyczyć tysiąc dolców. Jakaś nadzwyczajna sytuacja. Ale nie zdradził mi szczegółów.
 - Od nas także pożyczył tysiąc – dorzuca Molly. – Nie pamiętam, kiedy to było, ale już jakiś czas temu.
 - A wy, idioci, wysłaliście mu po tysiąc zielonych? – pyta Betty.
 - Oczywiście. – Molly i ja odpowiadamy w tej samej chwili.
 - A na co nasz chłopca pożyczał forszę? – docieka Ike. – Z gry na fortepianie zawsze żył na wysokiej stopie.
 - W San Francisco nie dzieje się najlepiej – tłumaczę. – Zwłaszcza w środowisku gejów.
 - Trevor jest gejem? – pyta Fraser z przesadnym południowym akcentem, wachlując się chusteczką.
 - Leo, pamiętasz, jak przywiozłeś Trevora do domu mojej babki na Wyspie Sullivana? – pyta Molly. – Opałam się w bikini. Ty i Trevor przyszliście ścieżką na plażę. Trevor rzucił na mnie okiem i powiedział tym swoim niesamowitym głosem: „Molly jest taka śliczna, Leo. Niemal żałuję, że nie jestem lesbijką”. Nigdy nie znałam kogoś, kto by mówił tak jak on. On i Sheba to były prawdziwe oryginały. Moim zdaniem Charleston nie widział drugich takich ani przedtem, ani potem.
 - A pamiętasz jego telefony? – pyta Niles. – Kiedy usłyszałem go po drugiej stronie, żałowałem, że podniosłem słuchawkę. Potrafił gadać godzinami.

– Nie sposób było zmusić tego małego drania, żeby się rozłączył – potwierdza Betty. – Bajdurzył o niczym, ale w taki sposób, jakby to była najciekawsza rzecz pod słońcem.

– Jak sądzisz, Leo, czy Trevor mógł zachorować na AIDS? – pyta Fraser.

– On nie żyje w celibacie i nie zachowuje środków ostrożności – zauważa Molly.

– Byłby to cud, gdyby jeszcze tego nie złapał – odpowiadam.

– To nie dotyczy wyłącznie San Francisco – informuje nas Ike. – Do Charlestonu też dotarło i zadomowiło się na dobre. Mam już dwóch zarażonych gliniarzy.

– A więc w tym mieście mamy gejów w policji? – dziwi się Fraser.

– W tym mieście mamy wszystko – oświadcza Ike.

Fraser zastanawia się przez chwilę.

– Kiedy dorastałam, sądziłam, że świat dzieli się na ludzi białych i czarnych, i tylko tego jednego byłam pewna – zdradza nam.

– Byłyśmy dziewczynami z Charlestonu – tłumaczy Molly. – Wychowano nas na słodkie idiotki. Jesteśmy bombonierkami, słodkimi kluseczkami, które są dumą i radością wymierającej społeczności. Nie sądzę, żeby moi rodzice zdawali sobie sprawę, że brali udział w spisku mającym na celu pozbawienie mnie mózgu.

– Bo ja wiem? – bąka Betty. – Na mój gust wy, białe dziewczyny, żyjecie tak, że tylko pozazdrościć.

– Ale za jaką cenę? – prychnął Fraser. – Jedyne, co odróżnia mnie i Molly od dziewcząt, z którymi dorastałyśmy, to przyjaciele, z którymi się tu dziś zebraliśmy.

– Ty nie masz w sobie nic z banału, Fraser – protestuje Niles. – Decydując się na ślub ze mną, rzuciłaś się na głęboką wodę. Kiedy się chajtnęliśmy, nie byłem na szczycie listy marzeń panien do wzięcia.

– Niby tak, ale trafił mi się wzór doskonałości. – Fraser się

uśmiecha. – Chociaż moi rodzice wciąż nie chcą tego przyznać. – Podchodzi do męża i siada mu na kolanach. Pasują do siebie jak dwie srebrne łyżeczki. Delikatnie całują się w usta.

– A niech mnie, cieszę się, że wasze małżeństwo jest udane – mówi Ike. – O mało nie umarłem, gdy Niles poprosił, żebym został jego družbą.

– Ty o mało nie umarłeś?! – dziwi się Betty. – To ja byłam pierwszą czarną druhną w historii kościoła Świętego Michała.

– Tego dnia oboje wyglądaliście pięknie – mówi Fraser. – Moim zdaniem byliście najładniejszą parą na naszym ślubie.

– A Trevor i Sheba? – wtrącam.

– Oni się nie liczą. Sheba już wtedy była sławna. A Trevor zawsze był najładniejszym chłoptasiem na balu – wyjaśnia Molly. – To słowa Trevora, nie moje.

– Nie będzie to dla was zaskoczeniem, ale moi rodzice nie byli zachwyceni na widok listy naszych druhien i družbów – zdradza Fraser.

– Bądź szczerą, ptysiu – mówi Niles. – Tak naprawdę nie podobał im się twój przyszły mąż.

– Nie byłeś ich faworytem – przyznaje Fraser.

– A co ty se myślisz, góralu? – rzuca Ike. – Państwo Rutledge'owie na pewno woleliby, żeby wyszła za mnie, a nie za ciebie.

– Ja bym się nie posuwała aż tak daleko, Ike – drwi Molly.

Na te słowa nasza paczka przyjaciół, wystawiona na ciężką próbę zażartą kłótnią na początku przyjęcia, wybucha śmiechem – jak zawsze, kiedy spotykamy się w tym gronie.

– Ike, opowiedz białasom, jak się czuliśmy, jadąc na wesele na plantację Middleton Place – prosi jego żona.

– Betty, ich nie interesują takie bzdury.

– Akurat! – protestuje Niles. – Idę o zakład, że nie czuliście się dziwniej niż ja. To ja byłem tym cholernym družbą.

– Pamiętaj, jakie to były czasy – mówi Betty. – Zanim poznałam was, białych, w szkole średniej, sądziłam, że wszyscy prenumerujecie „Ku Klux Klan Weekly”. Guzik wtedy wiedziałam. Myślałam, że ten szmatławiec uczy was, jak szyć paradne stroje dla członków waszego klanu. I jak szykować atrakcyjne kosze na piknik, zanim wybieriecie się całymi rodzinami, żeby kogoś zlinczować.

– Brakuje mi tych linczów – wtrącam. – To była największa atrakcja z czasów mojej młodości.

– Jadąc z Ikiem na przyjęcie, byliśmy przekonani, że powieszą nas na dębie – ciągnie Betty. – Tak na deser.

– Jak w ogóle mogłaś pomyśleć coś tak okropnego – obrusza się Fraser. – Czy goście nie traktowali was dobrze?

– Traktowali nas znakomicie... jakbyśmy byli niewidzialni – odpowiada Ike. – Przez cały wieczór zauważyli mnie tylko raz. Na weselu siedzieliśmy przy osobnym stoliku. Poszedłem po drinki dla wszystkich i kiedy niosłem je do stolika na tacy, biali nagle zaczęli po nie sięgać, jeden po drugim. Wzięli mnie za kelnera.

– A potem Ropuch się upił i poprosił mnie do tańca – podejmuje Betty. – Powiedziałam mu: „Odwal się, stuknięty białasie”, ale zwałóknął mnie z krzesła i zaciągnął na parkiet.

– Starla zapowiedziała mi, że więcej się do mnie nie odezwie, jeżeli z tobą nie zatańczę – wyjaśniam. – Co chwila kopała mnie pod stołem, żebym wreszcie poprosił twój chudy tyłek do tańca.

– A wtedy Starla mnie poprosiła do tańca – przypomina sobie Ike. – Co za koszmar!

– Wiem, że swoim małżeństwem przekroczyłam granice towarzyskie w Charlestonie – przyznaje Fraser. – Ale nie sądziłam, że to ja wprowadzę na salony tańce par mieszanych.

– Czasy dupereli – prycha lekceważąco Niles. – Jaki tytuł miała ta piosenka, przy której biała hołota i czarni po raz pierwszy tańczyli razem pod niebem Charlestonu?

– To było coś wolnego – odpowiada sobie Molly. – Próbowałam namówić Chada, żeby ze mną zatańczył, ale nie chciał o tym słyszeć.

– A pijany Ropuch próbował się do mnie kleić w tańcu – dodaje Betty.

– Pod wpływem żądy mężczyźni wyczyniają różne dziwne rzeczy – tłumaczę jej.

– Ładna piosenka – ciągnie Molly. – Już wiem... to była *Wonderland by Night*. – Wstaje z krzesła i przechodzi na drugą stronę pokoju. – Berta Kaempfer, mam rację?

Otwiera szafkę, kładzie płytę na gramofonie i nagle przenosi nas w lata licealne. Ike i Betty zaczynają tańczyć, rozpluwając się w swoich objęciach. Niles i Fraser również wstają. Wkrótce Molly i ja płasamy przytuleni, jakby stworzeni do wspólnego tańca. Wirując, Molly odciąga mnie od pozostałych, do salonu, między fortepian i harfę. Czuję wspaniały dotyk przytulonego do mnie ciała i jej słodki oddech na uchu, gdy pyta mnie szeptem:

– Leo, naprawdę podkochiwałeś się we mnie w liceum? Wszyscy mówią, że tak, nawet Chad.

– Nie. I mówię to całkiem szczerze.

– Kłamca! Wiesz, jaką odpowiedź chcę dziś usłyszeć. I wiesz, dlaczego jej pragnę.

Milczę.

– Wobec tego powiedz mi prawdę. Muszę usłyszeć ją z twoich ust. Leo Kingu, nigdy nie miałam tak wspaniałego przyjaciela jak ty... ani przyjaciółki. Więc jako twoja najlepsza przyjaciółka muszę poznać prawdę: czy podkochiwałeś się we mnie w liceum?

– Nie, nie podkochiwałem się. To z grubsza prawda. Ale cała prawda jest taka, że kocham cię przez całe życie. Moja miłość do ciebie zaczęła się już w jachtklubie. A kończy się wraz z *Wonderland by Night*.

– Przykro mi, Ropuchu – szepce Molly. – Wraz z *Wonderland by Night* dopiero się zaczyna.

I nagle całuje mnie długo, namiętnie. Chcę, żeby ta chwila trwała wiecznie, ale piosenka się kończy, a wraz z nią pocałunek.

Podnoszę głowę i w jednym z wysokich okien wychodzących na werandę widzę wpatrzoną w nas twarz. To Sheba Poe, rozjuszona, naćpana i zupełnie niepodobna do siebie, gapi się na mnie i Molly w skupieniu, z jakim aktorka przygotowuje się do nowej roli.

Leczenie kaca

Następnego dnia rano budzę się w samotnym domu przy Tradd Street na lekkim kacu i z irytacją uświadamiam sobie, że jest dopiero piąta, nawet nie wstało słońce. Ponieważ moja żona prowadzi tułaczy tryb życia i jest namolna, nigdy nie wiem, kiedy i skąd zadzwoni. Otrząsam się ze snu i odbieram dopiero po czwartym dzwonku. Nagle słyszę głos Chada, który odzywa się bardzo spokojnie:

– Przepraszam, Leo, że zawracam ci głowę o tak wczesnej porze, ale chciałybym mówić z Molly.

Zapalam nocną lampkę, próbując wziąć się w garść i coś z tego zrozumieć. Odkąd znam Chada, nigdy jeszcze nie zachował się w tak prostacki sposób. I chociaż czuję się, jakbym miał mózg obwiązany moskitierą, odpowiadam:

– Chad, stary byku, zaszło jakieś nieporozumienie. O ile wiem, Molly jest twoją żoną, nie moją.

– Postaraj się nie robić z siebie pajaca od samego rana. – Po raz pierwszy w głosie Chada pojawia się gniew. – Muszę zamienić z żoną kilka słów.

Mój głos także twardnieje.

– Chad, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo bym chciał, żeby Molly leżała tu teraz obok mnie. Chciałybym potrząsnąć ją delikatnie, obudzić i powiedzieć: „Skarbie, dzwoni Chad”. Tak się jednak składa, że Molly jest porządną kobietą i bajeczną żoną. Wiem, że tego

nie zauważyłeś. Molly wbiła sobie do głowy, że za ciężko pracujesz. Jej zdaniem powinienes zostać na przyjęciu powitalnym Sheby. Zabawić się.

– Owszem, Leo, pracuję ciężko dla mojej rodziny. Molly stale ciosa mi kołki na głowie. Pozwalam jej marudzić na temat srebrnej zastawy i wizytówek do rozsadzania gości podczas kolacji, decydować o tym, na które przyjęcia pójdziemy, a na które nie, i rozprawić o zacieklej polityce Junior League. Dzięki temu, że spędzam długie godziny w największej, najbardziej liczącej się kancelarii prawnej w mieście, ma wypełnione życie i odgrywa ważną rolę w towarzystwie. Wszystko, co robię, robię w najlepiej pomyślanym interesie jej i dzieci.

– Cóż za błyskotliwa przemowa, Chad. Ale dlaczego dzwonicz do mnie i prosisz do telefonu kobietę, która miała szczęście wyjść za tak wspaniałego faceta?

– Zachowujmy się jak dorośli – mówi Chad. – Daj Molly do telefonu.

– Pocałuj mnie w moją królewską, czerwoną, irlandzką dupę. Jak jeszcze mam ci to wytłumaczyć, Chad? Nie ma jej tu i nigdy nie będzie, czego ogromnie żałuję.

– Zazdroszczę ci, Leo. – W głosie Chada słychać podłość. – Masz żonę, której nigdy nie oglądasz, i pisujesz plotkarskie felietony, które co sześć dni rujnują komuś życie.

– No cóż, kolego, ty też chyba jesteś w pół drogi do szczęścia. Zdaje się, że twojej żony też nie ma w domu. W niedzielę wieczorem twoja siostra urządza piknik dla Sheby. Zobaczymy się tam.

– Niczego nie obiecuję. Urabiam się po łokcie.

– Ja bym na twoim miejscu przyszedł – mówię. – Potraktuj to jako przyjacielską radę, Chad, od faceta, który cię kocha, chociaż Bóg mi świadkiem, że czasami utrudniasz to ponad wszelką miarę.

– Nie miałem pojęcia, że jest tak wcześnie. Kiedy zobaczyłem, że Molly nie ma w domu, wpadłem w panikę.

– Chcesz pogadać z Shebą? – pytam. – Właśnie spędziliśmy noc na uprawianiu wyuzdanego zwierzęcego seksu.

Chad wybucha głośnym śmiechem.

– Ścięło ją w naszym domku gościnnym. Już tam zaglądałem, szukałem Molly. Przepraszam, Leo, naprawdę.

– W soboty lubię wstawać wcześniej – mówię. – Żebym mógł się napawać nieszczęściami tych, którym w tym tygodniu zrujnowałem życie.

Chad odkłada słuchawkę, a ja zapadam w krótki niespokojny sen. O siódmej słyszę miły plask „News and Courier”, uderzającej w zacisze drzwi mojego typowo charlestońskiego wolno stojącego domu. Sprawia mi przyjemność, że mieszkam w domu, do którego niegdyś dostarczałem gazety – kiedyś nawet mi się nie śniło, że stanę się właścicielem takiej posiadłości. Gdy wychodzę na ulicę, pierwsze promienie słońca pełzną po sennym srebrze mirtów rosnących przed moim domem. Domy przy Tradd Street zawsze kojarzyły mi się z kunsztowną, acz źle skonstruowaną szachownicą, na której nie sposób wykonać gambitu hetmańskiego ani obrony sycylijskiej, ponieważ jej twórca obramował ulicę różnymi wieżami, gońcami, skoczkami i królami, zapomniał jednak o pionkach. Oryginalna architektura przypomina niezwykle koronkową robotę – ogrody są wprawdzie ukryte, za to hojnie dzielą się cudownymi zapachami.

Jak co rano czytam gazetę w ogrodzie, przy pierwszej filiżance kawy. Najpierw przeglądam swój felieton, krzywiąc się z zażenowania, gdy trafiam na zwiotczone albo leniwe zdanie. Moje dzieło na tę sobotę wydaje mi się denerwujące, a humor wymuszony. Znam jednak odpływy i przyływy pisania felietonów równie dobrze jak ruchy wody w porcie w Charlestonie. Poza tym posiadam tajemnicę, o której będzie mówiło całe miasto, gdy tylko mój artykuł na temat Sheby ukaże się w niedzielnym wydaniu.

Sprawdzam wyniki moich ulubionych pałkarzy z ligi krajowej, gdy naraz słyszę, że ktoś otwiera drzwi na tyłach domu. Oglądam się

przez ramię i ze zdziwieniem widzę, że do ogrodu wchodzi Ike. Zdążył już sobie nalać filiżankę kawy.

Spoglądam na zegarek.

– Miałeś przyjść dopiero za godzinę, Ike.

– Musimy pogadać – oświadcza, siadając. – Nie mogę rozmawiać o tym z nikim poza tobą.

Kiedy zamiast wyjaśnić, co mu chodzi po głowie, zaczyna czytać mój felieton, widzę, że coś go trapi. Wdycham woń nasłonecznionego ogrodu otaczającego dom. Siedząc w ciszy, czuję, jak wchłania nas siła płodności ziemi, niemal słysząc, jak kwiaty i drzewa rosną w oczach. Zielone korzenie przebijają się przez czarną ziemię półwyspu. Przechodzę na skraj ogrodu, gdzie pada lwia część promieni słońca, i wybieram trzy idealnie dojrzałe wielkie pomidory, które uprawiam w małej szklarni pod ceglany murem na tyłach. Wracam z pomidorami do kuchni, myję je i kroję, a one lśnią czerwonymi, tryskającymi zdrowiem twarzami. Biorę sól, młynek do pieprzu i podaję talerz Ike'owi. Gdy tylko czuje pierwszy kęs pomidora na podniebieniu, natychmiast zapomina o wiadomościach dnia.

– Jasny gwint, dobre te pomidory – chwali, zamykając oczy.

– Szef policji w najpiękniejszym mieście na świecie – mówię.

Ike uśmiecha się szeroko.

– Kiedy się urodziłem, czarni nie mieli nawet prawa głosu. U Woolwortha przy King Street nie moglibyśmy zamówić razem mlecznego koktajlu.

– A teraz spójrz na siebie, mądralo. Będę ci odsyłał mandaty za złe parkowanie. No, ale zasłużyłeś na ten awans. Nikt nie harował ciężiej niż ty. I właśnie to mnie gryzie, jeśli chodzi o wczorajszy wieczór. Powinieneś aresztować Shebę. Postawiła cię w paskudnej sytuacji.

– Tak, wiem. Jasne, że wiem. A ty, jeśli jesteś rzetelnym dziennikarzem, napiszesz felieton o tym, jak to jej nie aresztowałem.

– Nic podobnego.

– Wiem o tym. Sheba też wie. – Nagle mówi: – Mam z tobą do

obgadania naprawdę poważną sprawę.

– Pozwól, że zgadnę. Chodzi o Chada.

– Skąd wiesz?

– Pięć razy w tygodniu pisuję felietony – wyjaśniam. – Wcześniej czy później wszystko do mnie dociera.

– Chad posuwa sekretarkę z kancelarii. Ona ma mieszkanie w Folly Beach.

– To ta praktykantka z Greenwood czy ta Brazylijka?

– Jego kochanką jest „Dziewczyna z Ipanemy” – odpowiada Ike.

– Ma dziewiętnaście lat. Dopiero co skończyła liceum. Pochodzi z dobrej rodziny.

– Skąd wiesz?

– Dozorca z jej kamienicy chodzi do tego samego kościoła co ja.

A ty skąd wiedziałeś?

– Z anonimu. Dostaję mnóstwo niepodpisanych listów.

– Jak myślisz, kto ci go przysłał?

– Ktoś, kto nie wie, czy ta szczęściara jest z Greenwood, czy z Brazylii.

– Ta z Greenwood była na tapecie w zeszłym roku – wyjaśnia Ike. – Wy, biali, jesteście dziwni.

– Jasne, musimy się uczyć od was, czarnych, jak wieść porządne i udane życie.

– Leo, Molly sobie na to nie zasłużyła.

– Powinna do tego przywyknąć. To nie pierwszy jego skok w bok. Dolać ci kawy? – pytam i dodaję: – Panie naczelniku?

Wracam do kuchni i widzę, jak Niles nalewa sobie kawy. Zdążył już napocząć swój talerz pomidorów. Zwraca na mnie spojrzenie niebieskich oczu, taksując nieprzeniknionym wzrokiem. On też przyszedł za wcześnie. Wiem, że zrobił to po to, żeby udzielić mi rady, której nie potrzebuję, albo powiedzieć coś, czego nie mam ochoty słuchać. Prostolinijność Nilesa jest cechą, którą najbardziej w nim podziwiam, ale jego potrzeba dzielenia się prawdą zawierającą zarzewie rozpaczyny nadszarpnęła nasze zażyłe stosunki. W gruncie

rzeczy jest to spokojny, kierujący się intuicją człowiek; boję się go tylko wtedy, gdy robi się gadatliwy.

– Wybaczy pan, ale wygląda mi pan na męta z gór – mówię. – Czy spłynął pan tu podczas gwałtownej powodzi w Appalachach?

– Uwielbiam słuchać twojego gadania, Ropuchu. – Upija łyk kawy. – Nawet jeśli jest to pieprzenie w bambus, to w każdym razie pierwszorzędne.

– Ike jest w ogrodzie na tyłach.

– Widziałem jego samochód. Nie podobał mi się wczorajszy wieczór.

– Bywałem na sympatyczniejszych imprezach – przyznaję.

– Sheba urządziła niezłe widowisko. Twoja mama zresztą też.

– Matka nienawidzi takich kobiet jak Sheba.

– Czy Chad dzwonił do ciebie z rana? – pyta Niles.

– O piątej.

– I czego chciał?

– Dowiedzieć się, czy Bravesi wygrali mecz. – Nalewam filiżankę kawy dla siebie, czując, że moja nonszalancka odpowiedź rozłościła Nilesa. – Idź do ogrodu. Chciałbym, żeby Ike też to usłyszał.

Kiedy razem przechodzimy do ogrodu, Ike wciąż czyta gazetę. Spogląda na nas i kiwa głową.

– Ty też wpadłeś za wcześniej, Niles – mówi. – Co, chciałeś się załapać na prywatną audyencję u Leo?

– Chad zbudził nas skoro świt. Odebrała Fraser. On uważa, że nasz Leo sypia z Molly – wyjaśnia Niles.

– Ropuch i Molly tańczyli, aż zniknęli gdzieś w ciemności – mówi Ike. – To jak, chłopie, przeleciałeś Molly wczoraj w nocy?

– Nic podobnego.

Niles powoli sączy kawę.

– Ike, on jest mężem mojej siostry. Starla dzwoniła do mnie w tym tygodniu, Leo.

- Dzięki za informację – bąkam.
- Właśnie w związku z tym przyszedłem – ciągnie Niles. – Nie sądziłem, że Ike mnie uprzedzi.
- Mogę wyjść tą samą drogą, którą tu wszedłem! – burczy Ike.
- Nie, zostań – mówi Niles.
- Zjecie śniadanie? – pytam.
- No – przytakuje Niles. – Muszę pozbierać myśli. Nie mam takiego gadanego jak ty czy Ike.
- Bo jesteś tylko durnym białym murzynem – rzuca Ike i wraca do gazety. – I zawsze nim byłeś.

Jedząc, rozmawiamy o sporcie – biały szum, za którego pomocą mężczyźni wyrażają nieprzemijającą przyjaźń, ale bez poczucia gwałtu, jakie często towarzyszy głębszym podróżom. Ze wszystkich moich przyjaciół Niles postawił najwięcej znaków stopu i ostrzegawczych na drodze do swojego serca. Bolesne dzieciństwo sprawiło, że milczenie stało się jego głównym instynktem oraz azylem. Ale jeśli już zabiera głos, można być pewnym, że ma coś do powiedzenia. Jest jednym z tych koszmarnych typów, którzy duszą w sobie wszystko, dopóki się da, a potem wyrzucają to na podłogę, żebyś mógł sobie obejrzeć.

- Dzięki za ten wspaniały posiłek, Leo. – Ike rozpiera się na krześle. – Niles, wyrzuć wreszcie, co ci leży na wątrobie, będziemy mieli to z głowy.
- Moim zdaniem Sheba Poe oznacza same kłopoty.
- Poczekaj, skoczę po swój dziennikarski notes – mówię. – Nie ma mowy, żebym nie zacytował tak doniosłej wiadomości.
- Do czego pijesz? – pyta go Ike.
- Chad wpadł do mnie i zrobił Fraser karczemną awanturę – wyjaśnia Niles. – Twierdził, że gdy tylko Sheba się obudzi, wywali ją z domku dla gości. Kiedy usłyszał o kokainie, całkiem mu odbiło.
- Przekaż Shebie, że chętnie będą ją gościł u siebie – mówię. – Mam miły pokoik gościnny na drugim piętrze.

– U mnie też może się zatrzymać. Betty byłaby zachwycona, no i dzieciaki też – dodaje Ike.

– Cholera, Fraser powiedziała Chadowi, że jeśli będzie trzeba, Sheba może mieszkać u nas do końca życia! – warczy Niles.

– Wobec tego kogo obchodzi, co Chad sobie myśli? – pyta Ike. – Gnojek lubi kłapać dziobem. Byle narobić hałasu. Same grzmoty, ale bez błyskawic.

– Leo, Chad właśnie się dowiedział, że codziennie dzwonisz do Molly i rozmawiacie – informuje mnie Niles.

– Drobną poprawka – prostuję. – Oboje do siebie wydzwaniamy. Czasem ja kręcę do Molly, ale często to ona dzwoni do mnie. I nie jest to żadna tajemnica. Gadamy ze sobą codziennie, odkąd skończyliśmy dwadzieścia lat. Nawiasem mówiąc, Niles, z Fraser i Betty też gadamy na okrągło.

– On stale próbuje wydobyć od naszych dziewczyn nowe historie – tłumaczy Ike.

– Bo wiedzą o wszystkim, co dzieje się w Charlestonie – dodają.

– No więc Chad życzy sobie, żebyś nigdy więcej nie dzwonił do jego żony. – Widać gołym okiem, że Niles czuje się niezręcznie.

– Wobec tego niech mi to powie prosto w oczy. Mała rada, Niles: nie musisz być chłopcem na posyłki Chada.

– Zrobiłem to, bo pomyślałem, że gdyby on sam ci powiedział, pewnie spralbyś go na kwaśne jabłko. Był kompletnie wykończony.

– A jak tam Starla? – Zmieniam temat na jeszcze bardziej bolesny.

Niles kręci głową.

– Musisz rzucić moją siostrę, Leo. – W jego głosie słychać błagalnie. – Wykop ją ze swojego życia. Mówię to z bólem serca. Ale wasze małżeństwo co rok zabija część ciebie. Zaslugujesz na lepszy los.

– Pogodziłem się z tym – odpowiadam cierpko.

– Zaslugujesz na normalną żonę. Chciałbyś mieć dzieci. Widzimy to gołym okiem. Nic nie będzie normalne, dopóki nie pozbędziesz się mojej stukniętej siostry. Jej się wcale nie polepsza, Leo, jest coraz gorzej.

– Co mówiła? Gdzie jest?

– Nie powiedziała. Zameldowała się tylko, jak zawsze. Chciała wiedzieć, co słycać. I jak sobie radzisz.

– I co jej powiedziałaś?

– Że puszczasz się na prawo i lewo z każdą rozwódką w mieście. Zbyła to śmiechem.

– Śmiechem? – dziwi się Ike. – Co ją tak rozbawiło?

– Ona zna Leo. Nasz katolik złożył przysięgę małżeńską. Wciąż co miesiąc wpłaca pieniądze na jej konto. Kazałem jej się od ciebie odczepić, Leo. A wiesz, co miała czelność mi odpowiedzieć?

– Nie, ale jestem ciekawy.

– Że odczepi się dopiero wtedy, kiedy przestaniesz ją kochać.

Ike gwizdże.

– Twoja siostra to mądra baba.

– Ale jako żona Ropucha jest do dupy. – kwituje Niles. – Ona ma świra, a ty jesteś idiotą. Ropuchu, rozwiedź się z nią. Przyjaciele załatwią ci najmilsze panny pod słońcem. Wszyscy już tym rzygamy, a nie wiemy, co zrobić. Mamy cię błagać czy co? Powiedz mu, Ike.

– Niedawno odkryłem, że moja córeczka, Verneatha, nawet nie wie, że jesteś żonaty, Leo – tłumaczy Ike. – Wiesz, że Niles ma rację. I wiesz, że nie jest mu łatwo o tym mówić.

– Założę się, że głos twojej matki mamy na bank – dodaje Niles.

– To zagrywka poniżej pasa – protestuje Ike. – Doktor King nienawidzi każdego, kogo lubi Leo. To dotyczy nas wszystkich.

– Matka nie pała do was nienawiścią. – Uświadamiam sobie jednak, że Ike wyznał wreszcie prawdę, z którą nosił się od lat. – W każdym razie nie zawsze.

– Kocha nas, gdy śpi. Albo jest nieprzytomna. Albo kiedy my śpimy albo jesteśmy nieprzytomni. Ale Starli nienawidzi z całego serca i nigdy nie robiła z tego tajemnicy – mówi Ike.

– No. Nienawidzi twojej siostry, Niles. Nienawidzi mojej żony – przytakuję.

– Starla nie jest żoną. I nigdy nie była. W dzieciństwie spotkało ją coś złego. Nas oboje. Coś, co nikomu nie powinno się przydarzyć. Ale w końcu zaczęliśmy to uważać za naturalne. Nasz chleb powszedni, Ropuchu. Dorostaliśmy w przekonaniu, że dla dziecka najgorszym miejscem, w którym mogłoby się znaleźć, jest świat. A potem wpadliśmy w świat Ropucha. To ty nas do niego przyjąłeś. Sam byłeś jeszcze dzieckiem... brzydkim dzieckiem. Ale otworzyłeś przed nami serce. Tak samo przed Ikiem. Zrobiłeś dla nas wystarczająco dużo. Nie musiałeś zenić się z moją popieprzoną siostrą. Jej nikt nie uratuje, tylko ona sama może się ocalić.

Zapada cisza. Siedzimy we trzech przy stole, ja nalewam kawę. Unikamy swojego wzroku. Patrzą, jak dwa kolibry z ubarwionymi na czerwono szycjami walczą o dostęp do karmnika zawieszzonego na klonie japońskim.

W końcu odzywam się:

– Ike?

– Zgadzam się ze wszystkim, co powiedział Niles. Gdyby Betty tu była, też poparłaby jego wniosek. – Wyciąga rękę i kładzie mi na ramieniu z delikatnością, jaką potrafią okazać tylko tak potężni mężczyźni.

– Byłem aż taki brzydki? – pytam po chwili.

– Jak rzadka sraczka – przytakuje Ike.

– To przez te okulary, które nosiłeś – wyjaśnia Niles. – Wyglądały jak dwa przezroczyste dekle.

– Włosy z tyłu głowy zawsze ci sterczały – dorzuca Ike.

– To były włosy? – dziwi się Niles.

Ike spogląda na zegarek.

– Panowie, mamy piętnaście minut. Proponuję, żebyśmy ruszyli tyłki.

– Dzisiaj ja jestem rozgrywającym – przypomina Niles.

– Moja kolej, góralu – prostuje Ike. – Ty byłeś rozgrywającym w zeszłym tygodniu.

– A dlaczego ja nigdy nie gram na tej pozycji? – pytam.

– Bo jesteś Ropuchem – ucina Niles.

– Ropuch nie może być rozgrywającym – dodaje Ike. – Takie życie.

Co sobotę o dziesiątej rano Ike, Niles i ja spotykamy się na boisku treningowym Cytadeli i zażarcie gramy w futbol rekreacyjny. Każdy, kto zechce, może się przyłączyć, więc liczba zawodników co tydzień jest inna. Zazwyczaj zgarniamy grupkę kadetów albo ekipę rozwydrzonych asystentów trenerów różnych dyscyplin, dzięki którym sportowcom Bulldogów udaje się zaliczyć rok akademicki. Dziś jednak jesteśmy tylko we trzech, pozostawieni sami sobie.

Dzisiaj każdy będzie rozgrywającym, nawet Ropuch.

Evangeline

Przynajmniej raz w tygodniu staram się wpaść do Evangeline Poe i dokonać amatorskiej oceny stanu jej zdrowia oraz sprawdzić, czy w domu panuje względny porządek, czy chaos. Pukając do jej drzwi w sobotę po południu, uświadamiam sobie, że nie zaglądałem do niej od prawie miesiąca. Podchodząc do tych drzwi, zawsze wyobrażam sobie upiorną obecność ciężarówka do przeprowadzek firmy Atlas, która przywiozła bliźniaki, a te – z impetem, jakby robiły salta – wpadły w sam środek naszej historii, zmieniając życie wszystkich, z którymi się zetknęły. Po drugiej stronie ulicy widzę dom zbudowany przez mojego ojca: ten, w którym wyrosłem na chaotycznego, niepozbieranego niezgułę. Podziwiam dwie strzeliste magnolie, które symbolizowały miłość moich rodziców do czasu, aż ojciec zmarł na atak serca. Wiem, że matka się dowie, iż odwiedziłem jej wroga z naprzeciwka, i będzie miała mi to za złe. Odkąd poznała Evangeline Poe, uważa ją za koszmarną durną babę, a to, czego była świadkiem w ciągu minionych lat, bynajmniej nie wpłynęło na zmianę jej zdania.

Pani Poe otwiera drzwi i wygląda na ostre światło zza czterech łańcuchów, które byłyby dumą mieszkania w Greenwich Village.

- To ja, moja luba – mówię. – Twój ulubieniec.
- Wytoczę ci proces o zaniechanie obowiązków. – Zdejmuje

łańcuchy w tempie jak na zwolnionym filmie. – Już myślałam, że nie żyjesz.

– Czytasz moje felietony – przypominam jej. – Na dobrą sprawę z niczym, co piszę, się nie zgadzasz.

– Nigdy nie drukują moich listów do redakcji. – Otwiera drzwi, a ja całuję ją w przelocie, idąc do kuchni.

– W Burbage's kupiłem ci coś do jedzenia – mówię.

– Leo, skoro już tu jesteś, musisz mi pomóc znaleźć okulary do czytania. – Wchodzi za mną do kuchni.

– Masz je na czubku głowy, słoneczko. – Widzę jej zaskoczenie, gdy sięga do bujnych siwych loków.

– Ostatnio ciągle o czymś zapominam – usprawiedliwia się. – Znowu zgubiłam kluczyki do samochodu.

– Nie prowadzisz samochodu już od dwóch lat. Zabrali ci prawo jazdy, pamiętasz?

– Teraz już tak. Dranie! Zadzwoiłam do tego Murzyna, którym tak się zachwycacie, i też nic nie wskórał.

– Rozbiłaś albo zadrapałaś ponad dwadzieścia samochodów zaparkowanych przy King Street, dwa razy przejechałaś na czerwonym świetle, a na koniec wywaliłaś drzwi antykwariatu... jeśli mnie pamięć nie myli, George'a C. Birlanta i Spółki. A test na alkomacie, nie da się ukryć, oblałaś. – Wyciągam domową zupę Burbage'a. – Wstawię część tych naczyń do zmywarki, zanim przyjdzie Sheba. – Zaczynam zbierać szklanki i talerze, walające się we wszystkich pokojach na parterze. – Czy panna Simmons przyszła w tym tygodniu?

– Odeszła dwa tygodnie temu. Zrezygnowałam z czarnej rasy. Szukam jakiejś Serbki, która by mi gotowała i sprzątała. Czytałam, że wśród towarzystwa kawiarnianego w Nowym Jorku Serbki są ostatnim krzykiem mody.

– Towarzystwo kawiarniane? W życiu nie spotkałem żadnej Serbki.

– Wolę je, bo są białe. Odkryłam, że im jestem starsza, tym bardziej nasila się u mnie odruch kolanowy. Wiesz, co mam na myśli?

– Byłaś niedobra dla panny Simmons?

– To jej wersja. Skoro wolisz wierzyć tej dziewczusze niż mnie...

– Ona twierdzi, że obrzucałaś ją rasistowskimi epitetami.

– To dla niej nie pierwszozna! – prycha pani Poe. – Słuchaj, Leo, byłam wobec niej bardzo uprzejma. Ale irytowała się, kiedy nazywałam ją Murzynką, co, jak ci wiadomo, jest bardzo godnym określeniem. Owszem, przyznaję, kiedyś się wściekłam, gdy mi odpysknęła.

– Będę się rozglądał za serbską pomocą domową.

– Słyszałam też sporo pochwał na temat Meksykanów – ciągnie pani Poe. – Ale jestem za stara, żeby się uczyć nowego języka.

– Czy nie masz nic przeciwko temu, że przelecę odkurzaczem salon? – pytam.

– Nie krępuj się. Wczoraj widziałam się z Shebą. Mówiła ci o naszej kłótni?

– Wiem, że się spotkałyście – odpowiadam, ale pani Poe nie słyszy mnie przez buczenie odkurzacza.

– Moje dzieci zawsze sprawiały, że miałam ochotę na długi spacer – mówi.

– Naprawdę?! Dokąd?! – drę się, żeby przekrzyczeć hałas.

– Do szafki z trunkami. Gdy rozmawiam z Shebą, od razu mam ochotę się upić. A gdy gadam z Trevorem, to muszę się zalać.

Podchodzi do szafki z alkoholem, w której zapasy są stale uzupełniane, i nalewa sobie trunek z karafki pochodzącej z wytwórni kryształów Waterford. Ciągnę odkurzacza do komórki w korytarzu, biorę ścierkę i usiłuję zetrzeć pokłady kurzu ze stolików i serwantek. Nagle słyszę, że Sheba wchodzi tylnymi drzwiami. Po szaleństwach ubiegłej nocy spodziewałem się, że będzie wyglądała jak nieboskie stworzenie, tymczasem wchodzi świeża i elegancka. Specjalnie dla matki ubrała się jak córka charlestońskiej matrony ze starej szkoły.

Dzięki swojej gospodyni, Molly, zabiera matkę na kolację do jacht-klubu.

– Mamo, wyglądasz olśniewająco – mówi. Zauważam, że w obecności matki zakłada łagodniejszą maskę. Zniknęła gwiazdka z ubiegłego wieczoru, improwizująca dla przyjaciół z liceum. Ona i Trevor zawsze stawali na głowie, żeby zadowolić wiecznie krytykującą ich matkę, ale o, ile wiem, nigdy im się to nie udało. Evangeline należy do tych zdziwaczałych matek, które przestają wychowywać dzieci w chwili, gdy osiągają wiek umożliwiający im niewdzięczne zadanie przejęcia opieki nad matką. Pociągając ze szklanki czystą wódkę, Evangeline przygląda się swojej słynnej córce i oświadcza:

– W swoim ostatnim filmie pojawiłaś się goła, jak cię Pan Bóg stworzył. Przez miesiąc nie mogłam się pokazać na mieście. – I nagle dodaje złośliwie: – Cycki zaczynają ci obwisać.

– Moim zdaniem wyglądały niesamowicie, Shebo – protestuję.
Sheba dyga.

– Zawsze mogę liczyć na uprzejmość najlepszego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałam.

– Nie znoszę tych budżetów Tennessee Williamsa – oznajmia Evangeline. – A skoro już jesteśmy przy pedałach, to kiedy Trevor zniknął z oblicza ziemi?

– Rozmawiałam z nim jakieś pół roku temu, mamo – odpowiada Sheba, ja zaś wychytuję w jej głosie nieszczera nutę świadcząca o tym, że kłamie. – Nareszcie nastąpił przełom w jego karierze muzycznej. Jakaś gruba ryba zleciła mu napisanie koncertu dla orkiestry symfonicznej z Omaha. Przyjaciel udostępnił mu swój dom w Mendocino w Kalifornii, a Trevor obiecał, że nie wróci do miasta, dopóki nie skończy dzieła, z którego będzie dumny. Powiedział mi, że pracuje w ascetycznych warunkach... fortepian Steinwaya, kamienny kominek i melodia, która prześladowała go od dzieciństwa. Całe życie czekał na taką okazję, mamo.

– Zanim skończył rok, wiedziałam, że jest zбочeńcem. W takich

sprawach matki mają szósty zmysł. Modliłam się, żeby tak nie było, ale nie skleisz stłuczonego jajka ani...

Evangeline w połowie zdania traci wątek z gatunku tych, które zawsze zapowiadały jej bezlitosne lekceważenie karier swoich dzieci, ale w jej oczach widzę narastającą panikę, jakiej dotychczas nigdy u niej nie zauważyłem. Zastanawiam się, czy to rezultat wieloletniego nadużywania alkoholu. Znowu pociąga solidnie ze szklanki, próbując ukryć fakt, że jej demoniczny napad furii gdzieś uciekł.

– Leo, właśnie mówiłam coś niezmiernie ważnego. Pamiętasz może temat albo mój wniosek?

– Rozprawiałaś o cymbałach – przypomina Sheba.

– Widziałam, jak je pokazywałaś, mając dwadzieścia kilka lat... kiedy były doskonałe, ale teraz, kiedy obwisły jak cyrkowy namiot...

Evangeline dopija pierwszą wódkę tego dnia – bez lodu, toniku, plasterka cytryny, wermutu czy jakiegokolwiek innego dodatku. Pije czystą wodę ognistą, która jest sensem jej życia. Potrafię odczytać minę Sheby i dostrzegam jej paniczny lęk, gdy zdaje sobie sprawę z tego, o czym reszta z nas wiedziała od ponad roku: że picie stopniowo zabija Evangeline Poe. Teraz jednak sytuacja stała się śmiertelnie poważna. Nawet spod grubego makijażu wyziera żółtawy odcień, który na trwałe zadomowił się na niegdyś słynnej z urody cerze – to wątroba buntuje się przeciwko czterdziestoprocentowej krwi. Podczas ostatniej rozmowy z Shebą ostrzegłem, że mam ponure przeżycie – coś, nie wiem, czy to alkohol, depresja, czy rozpacz z powodu pechowego życia, w każdym razie coś pustoszy tkanki miękkie sterujące funkcjonowaniem mózgu Evangeline.

– Mam do powiedzenia o wiele więcej i nie pozwolę traktować się protekcyjnie... – Znowu urywa w pół zdania. Wstaje i niezłomnie, choć chwiejnie, podchodzi do szafki i nalewa sobie kolejną szklaneczkę. – Leo, bądź prawdziwym dżentelmenem i odprowadź damę na sofę.

– Leo, odwołasz naszą rezerwację w jachtklubie? – prosi cicho Sheba.

– Molly nie zrobiła rezerwacji – wyjaśniam. – Wszyscy zaglądamy do twojej matki. Znamy sytuację.

– Powinieneś zawiadomić mnie wcześniej. Gdy tylko pojawiły się pierwsze oznaki, że jest aż tak źle.

– Zadzwoń od razu, kiedy się dowiedziałem, że skończyłaś ostatni film. A pierwsze oznaki pojawiły się tego samego dnia, kiedy wprowadziłyście się do tego domu. Masz numer Trevora w Mendocino?

– A, Trevor! Tak, ten koncert. Jutro wieczorem spotykamy się u Fraser i Nilesa. Idziesz rano z matką do kościoła?

– Oczywiście. Matka to matka. Wciąż jestem jej tchórzliwym synem.

– Leo, kochany, chciałam się tylko upewnić. Nadal istnieje szansa, że zrobisz coś nieoczekiwanego i dorosnieš. – Odprowadzając mnie do drzwi, dorzuca: – Przepraszam, to źle zabrzmiało.

– Nie ma za co, Shebo. Opiekuj się Evangeline. Wkrótce będzie poważnym problemem dla wszystkich. A zwłaszcza dla siebie.

*

Spośród wszystkich mieniących się najróżniejszymi barwami mieszkańców Charlestonu prawnik z Broad Street to ktoś, kogo obserwowanie od najmłodszych lat sprawia mi największą przyjemność. Prawnikiem jako takim zachwyciłem się już w czasach, gdy rozwając gazety, byłem świadkiem ich leniwych przechadzek z domów do kancelarii – plemię wystrojone w prążkowane garnitury, żyjące z podlizywania się sędziom i dostępne zawsze, gdy tylko pojawia się oferta ugody. Radykał w tym gronie mógłby nosić muszkę albo panamę, ewentualnie wierzyć w mieszane małżeństwa (związki między anglikanami i unitarianami), jednak ogólnie rzecz biorąc, wszyscy oni kończyli prawo na tych samych uczelniach, ożenili się z takimi samymi kobietami, spłodzili identyczne dzieci, kupili psy tej

samej rasy, chodzili do tego samego kościoła, jeździli takimi samymi samochodami, należeli do tych samych klubów, na początku lat dziewięćdziesiątych zajęli się golfem (wszyscy oszukują podczas gry), no i jak jeden mąż prenumerują „News and Courier”.

Raz w roku w niedzielnym felietonie parodiuję prawnika z Broad Street. Redaktorzy przygotowują się na zalew ziejących wrogością listów, jawnie oskarżających mnie o błazenadę i naiwność w szerzeniu stereotypów. Zdarzają się listy tak błyskotliwe i swarliwe, że najlepsze, najbardziej zabawne z nich publikuję w kolejnym tygodniu. Podziwiam plemię prawników, aczkolwiek mam się na baczności. Ostrożność ta wynika z głębokiej przyjaźni i dogłębnej znajomości Chada Rutledge'a oraz ciemności, którą nosi w sobie niczym zapowiedź złej pogody.

Za kwadrans osiemnasta próbuję dostać się od frontu do urzędzonej z przepychem kancelarii Darcy, Rutledge i Sinkler, mieszczącej się w jednym z najpiękniejszych budynków przy King Street. Strażnik podchodzi do drzwi i informuje mnie, że firma jest nieczynna aż do poniedziałku. Wręczam mu wizytówkę i banknot pięciodolarowy, po czym proszę, żeby zadzwonił do gabinetu Chada. Strażnik dzwoni, nie spuszczać ze mnie oka, a następnie wskazuje mi drogę do małej windy, którą wjeżdżam na ostatnie piętro. Wychodzę z niej w świat opasłych ksiąg prawniczych, lamp od Tiffany'ego i wygodnych skórzanych foteli, których lekko liturgiczny zapach udziela się całej kancelarii. Podchodzę do gabinetu Chada i pukam do drzwi. Ma przed sobą pięć rozłożonych tomów prawa precedensowego i z bolesnym skupieniem pisze coś w dużym bloku. Cieszy się zasłużoną reputacją pracusia i słyszałem, jak inni prawnicy z podziwem opowiadali o tym, jak pedantycznie przygotowuje się do każdej rozprawy. Kiedy kończy zapisywać swoje przemyślenia, podnosi głowę i patrzy na mnie.

– Przepraszam za ten telefon z rana, Leo – mówi. – Martwiłem się o Molly. Okazało się, że wyjechała do domu babki na Wyspie Sullivana.

– Hej, od czego są przyjaciele? Lubię, gdy kumple budzą mnie o piątej rano. Zwłaszcza jeśli oskarżają mnie, że cudzołożę z ich żonami.

– Martwiłem się. Spanikowałem.

– Nie powinieneś opuszczać przyjęcia.

– Dosyć się już tam napatrzyłem – odpowiada. – Miałem dużo pracy. Wciąż mam.

– Pracujesz tu przez cały dzień?

– Jestem ambitnym facetem, Leo. I odnoszę sukcesy. A to dlatego, że pracuję więcej niż inni w moim zawodzie. W sądzie nigdy nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Ale twoja obecność w moim gabinecie mnie zaskoczyła. Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Odchyła się w obrotowym fotelu, splata ręce za głową i przygląda mi się badawczo nakrapianymi na zielono oczami. W jego mniemaniu gest ten ma być rozbrajający, mnie jednak kojarzy się z ukrytym w stercie liści mokasynem miedziogłowcem, szykującym się do ataku.

– Haruję w pocie czoła nad niezwykle ważną sprawą, więc mów, co do mnie masz, i jak najszybciej zabieraj swój tyłek z powrotem na Broad Street. Obciążam swoich klientów za każdy kwadrans pracy, więc daję ci cenne piętnaście minut.

– A co z naszą przyjaźnią, Chad? Ja najwyraźniej wcale cię nie obchodzę. Nie interesuje cię, co myślę i czuję, nie chcesz poznać moich poglądów, idei ani tego, do czego moim zdaniem zmierza świat.

– Czego ty chcesz, Leo? Zobaczymy się jutro na pikniku. Czy to nie może poczekać?

– Po mieście krążą plotki, że znów pieprzysz się z kim popadnie, Chad – wyjaśniam. – O, ładny ten sztych ze scenką myśliwską. Bardzo rzadki i nietypowy jak na kancelarię prawną w Charlestonie.

– Przykro mi, że cię rozczaruję, ale te pogłoski są fałszywe. A teraz bądź grzeczny i spadaj. Odmów różaniec albo zdrowaśkę. Zrób to, co robią katoliccy chłopcy.

– Kręcę się po całym mieście. Wszędzie to samo. Nie słyszałem tego z jednego źródła. W dodatku trwa to już jakiś czas.

– A co cię skłoniło, żeby przyjść akurat dzisiaj?

– Ike mnie prosił.

– Mój ulubiony gliniarz. – Drgnięcie prawej brwi jest jedyną oznaką, że Chad czuje się nieswojo. Sprawia wrażenie, jakby te zarzuty go nudziły. – W zeszłym tygodniu wspominał mi o tym Niles. Zdaje się, że jest trenerem. Zdaje się, że on i ta jego nedorobiona siostrzyczka wychowali się w jakimś sierocińcu dla czarnych? Coś mi mówi, że znałeś jego siostrę. Chyba nawet ożeniłeś się z tą dziwką?

– Ja cię kręcę, Chad! Ty naprawdę chcesz mnie wkurzyć, stary draniu.

– Nie twój interes, jak się prowadzę – mówi stanowczo. – Innym też wara od tego.

– Twoja żona nie może sobie znaleźć miejsca w tym rezerwacie. W każdym razie tak mi powiedziała w nocy, kiedy się kochaliśmy.

Chad kwituje to gromkim śmiechem. Zawsze podziwiałem jego niezłomny spokój pod ostrzałem.

– Dziękuję ci, Leo. Potrafię zadbać o swoje sprawy, a już na pewno potrafię zadbać o żonę. A teraz zjeżdżaj, plotkarski pismaku. Ja skończę, co mam do zrobienia, i zobaczymy się jutro u mojej siostry. Może nawet wezmę w obroty Ike'a i Nilesa i powiem im, żeby pilnowali własnego nosa.

– Chad, Chad, Chad, o tym wie całe mnóstwo ludzi. Powinieneś staranniej wybierać miejsca na randki. Twoje jasnyniebieskie porosche widziano przed jej mieszkaniem w Folly Beach.

– Czas zmienić samochód. Słuchaj, Leo, pożyczyłem swój wóz młodej kobiecie z kancelarii, w której samochodzie padł wał korbowy. Zresztą i tak przeważnie chodzę do pracy i wracam pieszo.

– Potraktuj to poważnie – radzę mu.

– Takie plotki ciągną się za mną od czasów licealnych. Spójrzmy prawdzie w oczy, Leo: nie straszę wyglądem. Mam świetną robotę, forsy jak lodu i pochodzę z jednej z najstarszych rodzin w Charlestonie po obu stronach rzeki. Od urodzenia należę do charlestońskiej elity. O mnie zawsze będzie się plotkować.

Chad wie, jak onieśmielać zachowaniem i głosem, ma też talent do wyboru rodzaju broni w sytuacjach kryzysowych. Zaskakuje mnie, sięgając do szuflady biurka i wyjmując ozdobną osiemnastowieczną Biblię. Macha nią jak pamiątką, a zarazem rekwizytem w dramacie, który odgrywamy.

– Oto moje słowo honoru, Leo – oświadczam. – Oto Biblia. Przed tym bzdurnym sądem, w którym przyznałeś sobie rolę sędziego i kata, ja, Chadworth Rutledge dziesiąty, zeznając pod przysięgą, uroczyście oświadczam, że byłem wierny swojej żonie i ślubowaniu złożonemu latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku w kościele episkopalnym Świętego Michała. Wierzę, że ten upierdliwy katolik, Leo King, uczestniczył w tej uroczystości.

– Panna młoda była piękna, a pan młody przystojny.

Chad przygląda mi się przez chwilę, a potem mówi beznamiętnie:

– Mnie nie oszukasz, kolego. Możesz się przebierać w sutannę i chodzić na mszę dzień w dzień, przez cały rok przestępny, a ja i tak wiem, że od czasu do czasu lądujesz w łóżku z przypadkową cipką. Dowiaduję się o tobie nie mniej niż ty o mnie, przyjacielu. Tyle że ja jestem bardziej dyskretny i tolerancyjny niż ty, bo wiem, że wciąż masz za żonę wariatkę, która ucieka przed tobą przez całe życie.

– Doskwiera mi samotność, Chad. Czasem sypiam z kobietami, z którymi się przyjaźnię. Z niezamężnymi, z rozwódkami, wdowami, a nawet z kilkoma mężatkami. Ale, jak to ze swadą wyłuszczyłeś, tak się składa, że żadna z nich nie jest moją żoną.

– Ty cholerny zakłamanym sukinsynu. – Jego głos wykonuje rundę po zwycięstwie na zatłoczonym stadionie.

– Gdzie tu zakłamanie? – protestuję. – Ja tylko przyznałem, że sypiam z innymi kobietami niż moja żona. A ty przysięgłeś na Biblię, że nie zdradziłeś Molly, odkąd się chajtnęliście. I to niby ja jestem zakłamany? Wybacz, kolego, ale mogę wymienić z nazwiska osiem kobiet, z którymi, o ile wiem, spałeś. Próbuję ci pomóc, Chad. Brniesz wprost pod lawinę. Spróbujmy zmienić kierunek, dopóki można.

– Pogadajmy lepiej o lawinie, która już zeszła. O twojej cholernej żonie. Rozwiódź się z tą wariatką. Papiery mogę przygotować od ręki. Nie policzę ci ani centa. Przez wzgląd na stare czasy.

Myślę, że z grona moich przyjaciół tylko z Chadem Rutledge'em rozumiemy się na każdej szerokości i długości geograficznej naszych melancholijnych serc i na bezwietrznym równiku naszych biednych okaleczonych dusz. Nie lubimy się tak, jak lubimy innych przyjaciół, ale szanujemy nawzajem swoje zdolności i wady, uznajemy więc naszego napiętego, niedoskonałego braterstwa. Żaden z nas nie boi się o tego drugiego, a jednak wiemy, że mamy się czego obawiać, jeśli chodzi o nas obu.

Nigdy nie przejawiałem szacunku, jaki zdaniem Chada należy mu się z racji urodzenia. Ma w ręku wszystkie atuty, jeśli chodzi o możliwości, pozycję społeczną i pochodzenie, ale nigdy nie lekceważy skumulowanej siły tych, którzy wywodzą się z klas niższych. Zawsze podejrzewa, że zrobilibyśmy mu krzywdę, gdyby tylko nadarzyła się okazja. Jest arogancki i nie ma talentu do kamuflażu, który nadałby ładne oblicze jego poczuciu uprzywilejowania. Mimo to gdybym wpadł kiedyś w poważne tarapaty, błagałbym o natychmiastową audyencję u Chada Rutledge'a. To mężczyzna z gatunku tych, którym nie można powierzyć swoich kobiet, za to zgodnie z pradawnym credo wstanie z kasty wojowników, gdy staniesz oko w oko z ruiną, do której sam się doprowadziłeś.

– Chciałbym ci pomóc – tłumaczę. – Zrobiłem, co w mojej mocy, żeby rozwiązać plotki, gdy tylko do mnie dotarły. Ale taka nieostrożność jest zupełnie nie w twoim stylu.

– Za to w twoim stylu, Leo, jest wtykanie nosa tam, gdzie nie trzeba, obwąchiwanie cudzych dupsk... to twoja praca, no nie? I paskudne plotki zamieniają się w felieton tygodnia.

– O tobie nigdy tak nie pisałem. I wiesz, że tego nie zrobię.

– Wobec mojego przyjaciela Banksa Prioleau nie miałeś takich obiekcji.

– Banks wytoczył kochankowi żony proces o pięć milionów dolarów odszkodowania za alienację uczucia. Kiedy takie coś trafia do publicznej wiadomości, rozpoczyna się sezon łowiecki, o czym Banks przekonał się na własnej skórze.

– Przez ciebie stracił uprawnienia adwokackie – przypomina Chad i wiem, że dostałem się w krzyżowy ogień pytań.

– Sam się ich pozbawił. Wynajął prywatnego detektywa, a ten założył podsłuch jego żonie, jej kochankowi, byłej żonie kochanka, jego rodzicom, a nawet ich psu. Poza tym opłacał kochance pokój w hotelu Fort Sumter i kradł, ile wlezie z majątku Gertrude Wraggsworth, która miała alzheimera w zaawansowanym stadium. Kiedy skarbowka zaczęła węszyć, okazało się, że ma też konto w raju podatkowym na Bermudach, a jednocześnie wisi kilkaset tysięcy zaległych podatków. On się zupełnie rozsywał, ale zrobił to na własne życzenie. Ani ja nie musiałem mu w tym pomagać, ani nikt inny.

– A jak się czułeś, kiedy Banks się zabił?

– Jak milion dolarów, żaloszny gnojku. Czułem się paskudnie. To był z gruntu porządny facet, który wpadł w pułapkę najgorszych ludzkich dylematów. Na koniec uznał, że okrył niesławą siebie i swoją rodzinę. I nie widział innego sposobu, żeby to naprawić, niż strzelić sobie w łeb. Oczywiście, był w błędzie.

– Jego dzieci wciąż nie mogą się z tego otrząsnąć. Pewnie nigdy im się to nie uda – informuje mnie Chad. – Ja uważam, że pomogłeś mu nabić broń, z której się zastrzelił. Niesława to jedno, ale publiczna niesława to inna para kaloszy.

– Właśnie dlatego przyszedłem, żeby cię ostrzec. Wkrótce sam

okryjesz się niesławą. Wątpię, żeby ci się spodobało, to będzie prawdziwy koszmar. Nie przyszedłbym, gdyby nie prośba Ike'a. I jak sam mówiłeś, Niles jest z tego powodu wściekły.

– Murzyn. – Chad kręci głową. – Z małej i z dużej litery.

– Niles nie przepada za tym przezwiskiem. Betty, Ike i Fraser też nie pękają ze śmiechu. Ike skopałby ci tyłek, gdybyś również jego tak nazwał.

– Nawet ty dostrzegasz ironię sytuacji. Sierota z gór Blue Ridge przyjeżdża do Charlestonu i żeni się z moją siostrą tylko dlatego, że ma twarz jak kobyła, jest przyszczata i zbudowana niczym lewy obrońca Clemson. W ciągu jednego pokolenia Niles przeniósł się z wychodka na salony. Aż mam ochotę wstać i odśpiewać *God Bless America*.

– Niles i Fraser to dwie pozytywne postacie w moim i twoim życiu. Obaj o tym wiemy. To dla nas szczęście, że ich mamy.

– Jezu, to zbrodnia, że można być tak podobnym do matki. Masz po niej tę drętwą pobożność, którą wyniosła z klasztoru. Tyle że u niej to jest autentyczne, a u ciebie to dęta poza, tak lipna, że mam ochotę zarzygać swój dyskretny, ale porządnie urządzone gabinet. Czy mogę powiedzieć coś o tobie, o mnie i o tym mieście... w tym momencie, w tej chwili, tu i teraz? Mogę powiedzieć ci prawdę w oczy, Leo?

– Nie krępuj się. – Boję się tego, co Chad jest zdolny nagadać, a zarazem zżera mnie ciekawość.

– W tym momencie czuję się tak, jakbyś był moim klawiszem i spowiednikiem. Jestem twoim szympansem, a ty kataryniarzem, który pozwala mi tańczyć dla poklasku porządnym ludzi. Ja zniemawidziłem porządnym ludzi, Leo. Potrafię się do tego przed tobą przyznać, bo uważam, że jesteś takim samym gnojkiem jak ja. Obrzydło mi bycie porządnym, strojenie się do kościoła w każdą niedzielę, jądanie kolacji w klubie dwa razy w tygodniu, wkładanie czarnego krawata na każdą cholerną imprezę charytatywną w tym mieście. Przecież to w słusznej sprawie, powiesz. Jasne, że w słusznej

sprawie. Kto by wykładał pieniądze na popieranie niesłusznych spraw? No więc wbijam się w smoking i szcudrą ręką wypisuję czek na fundację przeszczepu nerek. Albo na stowarzyszenie sercowców. Albo diabetyków. Albo chorych na stwardnienie rozsiane. Albo na raka pępka... Po prostu cudownie, coś za afirmacja życia! Zagrajmy w komunały, Leo. Ja nimi żyję. Budzę się z komunałami. Oddycham nimi, rzygam... Rodzina przede wszystkim. Rodzina to wszystko... Społeczność. Ja tylko chcę spłacić dług. Jeśli jeszcze raz usłyszę to stwierdzenie z ust jakiegoś zadowolonego z siebie kutasa w tym mieście, zacznę wrzeszczeć. „Chad, chłopie, Charleston był dla ciebie dobry, czas spłacić dług”. Leo, ja znienawidziłem ten świat, ale trzyma mnie za gardło i nigdy mu się nie wyrwę. Znam ten morderczy uścisk. Znam go aż za dobrze. A jednak teraz... teraz... co rano budzę się ze świadomością, że chcę spłacić dług wobec siebie samego. Chcę spłacić dług Chadowi Rutledge'owi, który powoli zdycha, ponieważ jest zaledwie Chadem Rutledge'em. Zdycham przez to, kim jestem z racji urodzenia.

Próbuję przetrwać wszystko, co mi właśnie wyjawiał. To człowiek, którego łatwo byłoby znienawidzić, gdyby nie to, że często zaskakuje mnie swymi kąśliwymi rewelacjami zdradzającymi pełne udreki życie wewnętrzne mężczyzny targanego konfliktami, ale na swój dziwny sposób głębokiego. Jego słowa poruszają mnie i czuję, że może da żonie coś na kształt pociechy.

– Ja tylko przekazałem wiadomość, Chad – tłumaczę mu. – Nie prosiłem się o to i nie chciałem się tego podjąć. To nie mój zakichany interes. Postąpisz, jak zechcesz. Jeśli masz ochotę ciągnąć ten romans, doradzam dyskrecję. Musisz zabronić swojej dziewczynie omawiania waszej sytuacji z sekretarką Tommy'ego Atkinsona. – Wyciągam z kieszeni notes i otwieram na zaznaczonej stronie. – Nazywa się Christine Aimar i to ona rozpowszechnia większość plotek. To do ciebie niepodobne uganiać się za sekretarkami.

– Ona nie jest sekretarką, tylko praktykantką. – W jego oczach

pojawia się metaliczny błysk lekceważenia. – Co jeszcze wiesz, Leo?

– Mnóstwo. Sprawdziłem ją. Wygląda na miłą dziewczynę z bardzo porządnej rodziny, ale wybrała sobie niewłaściwą powiernicę w osobie panny Aimar. Chodzą słuchy, że przed końcem roku szkolnego zostawisz swoją żółzowatą żonę. A potem planujecie ślub w Las Vegas i miesiąc miodowy na Hawajach. Chad, staje mi na samą myśl, jak tańczysz hula. Ale Las Vegas? Las Vegas! Rutledge z Charlestonu bierze ślub w jakiejś obskurnej kaplicy wyłożonej czerwonym aksamitem?

– Leo, mam cię serdecznie dość – oświadcza Chad.

Wyczuwam w jego słowach nowy przypływ złości.

– „Twarda dupa”. Te słowa już się rozeszły. Tylko od ciebie zależy, jak się zakończy ta historia.

– Ja już znam zakończenie. Zawsze miałem więcej wyobraźni niż wy wszyscy razem wzięci. Nie przyjdę jutro do siostry, Leo. Zadzwonię w ostatniej chwili, oczywiście po to, żeby jeszcze bardziej wkurzyć Molly. I żeby dopiec Fraser i Nilesowi. Sprawa, nad którą pracuję, jest największa w historii tej kancelarii, to pozew związany z prawem morskim na trzech kontynentach i obejmujący większość głównych portów na świecie.

– Założę się, że wiem, gdzie szukać niebieskiego porsche, gdy już skończysz tę długą harówkę.

Rozlega się ciche pukanie do drzwi – widzę, że wizyta nieznanego gościa zaskakuje Chada, który mężnie próbuje ukryć niezadowolenie.

– Proszę!

Wchodzi śliczna młoda kobieta o latynoskich korzeniach, szybko podchodzi do biurka Chada i mówi:

– Proszę pana, zrobiłam kopie tych trzech zeznań pod przysięgą, o które pan prosił. Sprawdziłam też tłumaczenia dokumentów od prawników z Neapolu i z Lizbony. Jak dotąd nie zauważyłam żadnych rozbieżności.

– Sonia Bianca – przedstawia ją Chad. – Poznaj mojego starego przyjaciela, Leo Kinga. Chodziliśmy razem do szkoły.

Gdy weszła, wstałem i jednym rzutem oka oceniłem egzotyczną, olśniewającą urodę dziewczyny. Podajemy sobie ręce – jej uścisk jest silny, bez śladu skruchy. Intuicja podpowiada mi, że ona zdaje sobie sprawę, iż była głównym tematem rozmowy, zanim zjawiała się tu w sprawie zawodowej.

– Bardzo mi miło, panie King. – Uśmiecha się. – Co dzień z rana czytam pańskie felietony.

– Skąd pani pochodzi, panno Bianca? – pytam.

– Urodziłam się pod Rio de Janeiro, ale ojciec pracował w służbie dyplomatycznej, więc wychowywałam się w kilkunastu krajach.

– Sonia biegle mówi pięcioma językami – informuje mnie Chad.

– Czy to już wszystko na dziś, proszę pana? – pyta dziewczyna.

– Jestem umówiona na kolację.

– Kim jest ten szczęściarz? – indaguje Chad.

– Taki tam facet – bagatelizuje Sonia i zwraca się do mnie: – Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, panie King.

– Proszę mi mówić Leo.

– Dobranoc, panie Rutledge. Dobranoc, Leo.

Wychodzi. Słyszymy stukot jej szpilek na drewnianej podłodze osiemnastowiecznego budynku. Zostawiła nas z Chadem samych na stromiznie, wobec czego siadam i wracamy do naszej nieprzyjemnej sprawy.

– Kiedy ostatnio kochałeś się z kobietą, która wrzeszczała z czystej rozkoszy? – pyta Chad. – Kiedy po raz ostatni twoja kobieta miała tyle orgazmów, że straciłeś rachubę?

Spoglądam na zegarek i odpowiadam:

– Jakies dwie godziny temu. Nie pamiętam jej imienia, ale ta mała naprawdę potrafi dać czadu.

– Bardzo śmieszne.

– Wobec tego jeśli powiem Molly, że ma się drzeć i wrzeszczeć wniebogłosy, tak że pobudzi dzieci i wszystkie psy w okolicy, i żeby

miała tyle orgazmów, że stracisz rachubę, wasze małżeństwo da się uratować?

– Nikt niczego nie musi udawać... już nie. Sam sobie jestem winny – odpowiada. – Czy przyszło ci do głowy, Leo, że napawasz się każdą chwilą tej rozmowy, bo od zawsze durzysz się w mojej żonie?

Odsuwam krzesło od biurka i mierzymy się wzrokiem. Obaj mamy pokerowe twarze, jak gracze w remika, którzy liczyli karty i doskonale wiedzą, co przeciwnik ma w ręku. Spojrzenie Chada jest nieruchome, mroczne.

– Być brzydalem na pewno nie jest łatwo – mówi, lustrując mnie wzrokiem z tą swoją manierą pięknisia. – Inna sprawa, że z biegiem lat w tej kwestii niewiele zmieniłeś się na lepsze. Henry Berlin pokazał ci, jak się ubierać względnie wytwornie. I Bogu dzięki ktoś wynalazł szkła kontaktowe, żebyś nie był ślepy jak nietoperz. Ktoś się zajmuje twoimi włosami, ale wciąż sterczą ci jak u teriera ostrowłosego. Ale urodzić się brzydkim w mieście tak przywiązującym wagę do piękna... zarówno u mężczyzn, jak u kobiet... to prawdziwa tragedia. Odkąd cię poznałem, nie słyszałem, żeby jakaś kobieta chciała się z tobą przespać. Rzecz jasna, ani mnie, ani nikomu innemu nie przyszło do głowy, że staniesz się naszą lokalną sławą. Pamiętasz ten ranking, który ukazał się w gazecie w zeszłym roku? Zająłeś piąte miejsce wśród najbardziej znanych osób w Charlestonie. To już nie to samo miasto, w którym się urodziłem.

– *Vive la différence!* – rzucam. – Czy mam z powrotem ściągnąć tu Sonię, żeby ci przetłumaczyła?

– Widzisz, Leo, nie jestem z tobą do końca szczerzy. Nie mówię ci wszystkiego. Wiem doskonale, że kobiety, które przyjdą na jutrzejszą kolację, uwielbiają twój tyłek. To te, które kochają cię najbardziej... moja droga żona, moja szpetna siostra, okręt wojenny i najładniejsza Murzynka z drogówki, która na patrolu zabiera spluwę. Muszę przyznać, Leo, że wobec nich wszystkich byłeś bardzo miły.

Przez całe długie lata. Więc zaczynam myśleć, że to było szczerze. Jesteś też miły dla ich mężów, pamiętasz o urodzinach dzieciaków, przynosisz kości psom i czekoladki dla pokojówek. Masz swoje sposoby, żeby przyjaciele czuli się wyróżnieni. To prawdziwy talent. Zazdroszczę ci go, Leo.

– A co z tobą? Jak ty się czujesz dzięki mnie, Chad?

– Wyróżniony. Sam siebie zaliczam do tej znakomitej kategorii. Mało kto mnie lubi. Kiedyś cierpiałem z tego powodu i musiałem się przyzwyczaić. Nauczyłem się z tym żyć z braku wyboru.

– A nie myślałeś nigdy, żeby być miłszym dla innych? Bardziej przyjaznym?

– Nie, zostawiam to najwybitniejszym jednostkom, takim jak ty. Lizusom. Wazeliniarzom. Ja nie stosuję takiego makijażu. Odniosłem jednak sukces większy niż większość moich współczesnych. Prawie wszyscy mężczyźni, którzy mnie nienawidzili i nie doceniali, teraz się mnie boją. Mam z tego wielką satysfakcję. Oddycham ich strachem, Leo. Jest dla mnie jak tlen. Ale ty sprawiasz wrażenie, jakby cieszył cię mój sukces. Dziwne. Bo ja zawsze chciałem zobaczyć, jak marnie kończysz. Czekałem, aż się wypalisz i twój skromniutki talent zgaśnie. Muszę jednak przyznać, że pomogłeś mi zrobić karierę. Wychwalasz mnie w swoich felietonach. Ludzie wciąż pytają mnie o naszą przyjaźń. Od czego się zaczęła, co ją podtrzymuje... a tak naprawdę chcą wiedzieć, jak to możliwe, że tak porządny facet jak Leo King lubi takiego gnojka jak Chad Rutledge.

– Szlachetne i uczciwe pytanie – przyznaję. – Sam zresztą zadaję je sobie coraz częściej. I jak brzmi twoja odpowiedź?

– Milczę – mówi. – Odpowiadam im milczeniem.

– Coś ci poradzę. Zadzwoń do Molly i zrób jej niespodziankę. Zaprosz ją dziś na kolację. A jutro przyjdź na grilla do siostry.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– I ostatnia rada – dodaję. – Jeżeli się zjawisz, postaraj się o wesołą minę.

W niedzielę rano prowadzę matkę po schodach wiodących do katedry Świętego Jana Chrzciciela. W jaskrawym świetle budynek z czerwonego piaskowca wygląda, jakby krwawił w odcieniu wybra-kowanego złota. Gdy wchodzimy do kruchty, wewnątrz katedry mieni się przejrzalą urodą europejskiego kościoła. Wędrując pośród wier-nych, przechodzimy pod niewidzącymi oczami i niemymi twarzami świętych w bocznych ołtarzach, trwających w niezauważalnych po-zach religijnej ekstazy.

Gdy siadamy z matką w ławce, słyszę za plecami denerwujący pomruk parafian. Oglądam się i o mało nie wybucham głośnym śmiechem na widok Sheby Poe w okularach przeciwsłonecznych i najbardziej bezkształtnym i skromnym stroju, jaki ma w repertuarze. Bezwstydną królowa wielkich *entrées* próbuje, jak na wybiegu, wejść do katedry niepostrzeżenie i dyskretnie przemknąć boczną nawą do konfesjonału.

Monsinior Max, z doskonałym wyczuciem czasu i dramaturgii, którym nie ustępuje Shebie, wypada przez rzadko używane drzwi na tyłach katedry, wspaniale wystrojony w liturgiczne szaty o barwie złota i kości słoniowej. Pod strzelistymi gromnicami na ołtarzu poru-sza się jak rajski ptak, docierając do konfesjonału dokładnie w chwili, gdy Sheba znika za bordową zasłoną, a wśród parafian rozlega się jęk niedowierzania. Zła sława Sheby podsycana przez brukowce usprawiedliwia reakcję stałych bywalców kościoła Świętego Jana, zelektryzowanych widokiem jednej z największych jawnogrzesznic naszych czasów, wchodzącej do konfesjonału z pokorą pustelnika z zakonu augustianów.

– Jeżeli jest szczerą, nie wyjdzie stamtąd przez tydzień – odzy-wa się matka na tyle głośno, że wokół nas rozlegają się zduszone śmiechy.

Trącam ją łokciem, żeby była cicho.

– Mogłabym stanąć dzisiaj przed Panem na Sądzie Ostatecznym, spojrzeć mu prosto w oczy i powiedzieć, że jego pokorna służebnica starała się, jak mogła. A co ty powiesz na Sądzie Ostatecznym, Leo?

– Że moja matka była upierdliwą żołą – szepczę.

– Jak śmiesz bluźnić w świątyni?

– Dobry Pan Bóg zrozumie. On też kiedyś był z krwi i ciała, jak ja. Ale on sobie wybrał Najświętszą Marię Pannę, żeby go wychowała. A ja mam ciebie.

Matka zwraca uwagę na zamieszanie po lewej.

– Wielkie nieba, ona wychodzi po pięciu minutach. I kogo chce oszukać?

– To sprawa między nią, Bogiem i spowiednikiem.

– Chryste Panie – wzdycha matka. – Ona idzie w naszą stronę. Jeśli spróbuje się do nas przy siąść, wychodzę, i nie jest to tylko czcza pogróżka, synu.

Włosy Sheby zakrywa prosty czarny welon. Sprawia wrażenie uszczęśliwionej, gdy kościelny prowadzi ją do naszej ławy. Przesuwając się, żeby zrobić jej miejsce, napotykam stanowczy opór ze strony matki, która sztywnieje. Napieram jednak ramieniem i zwalniam miejsce dla Sheby. Porozumiewawczo puszcza do mnie oko, klękając, by odprawić zadaną jej ciężką pokutę.

Nie posiadając się z oburzenia, matka zrywa się z miejsca i – widoczna jak humbak wypinający tyłek na statek wycieczkowy – żąda, żebym ją przepuścił, by mogła usiąść gdzie indziej i upokorzyć Shebę na oczach znacznej części katolickiego Charlestonu. Chwytam ją mocno za nadgarstek i szepczę:

– Siadaj, matko, i módl się. Powinniśmy się radować. Sheba powróciła do wiary. Spójrz na nią. Klęczy u stóp krzyża i patrzy na ukrzyżowanego Jezusa.

– Kiepsko gra – prycha matka, siadając. – Jej kariera błyskawicznie tonie. Już dwa razy robiła sobie lifting twarzy.

– Trzy – prostuje Sheba, nie otwierając oczu.

Kiedy monsinior Max idzie za ministrantami do głównego ołtarza, wierni jak jeden mąż wstają z miejsc. Z podziwem słucham, jak błyskotliwie odmawia modlitwy podczas wstępnych obrzędów. Już w czasach, kiedy sam jeszcze byłem jego ministrantem, zachwycałem się estradową swadą, z jaką prowadził nabożeństwa. Kościół katolicki ma na sumieniu rozmaite nieprawidłowości, ale muszę przyznać, że mieszkańcy mojego miasta bez dwóch zdań potrafią urządzić spektakl. I chociaż moja wiara rozwodniła się z biegiem lat, to jednak wciąż wysoko sobie cenię niezniszczalność rytuałów i na zawsze pozostanę więźniem boskiej wzniosłości eucharystii.

Rozpoczynam modlitwę, która niepokoi mnie i przeraża, bo wypływa z czarnych zakamarków duszy, nieproszona i zaskakująco silna. Ale płynie, a ja mogę jedynie wsłuchiwać się w pilną wiadomość.

– Panie, pozwól mi pomóc swoim przyjaciołom. Ale potrzebuję czegoś więcej, czegoś, co tylko ty możesz mi dać: spraw, żeby ci sami przyjaciele pomogli mnie. Obdarz mnie pokorą, bym mógł przyjąć ich pomoc. Niech mnie ocalą od ciemności, strachu i smutku, które duszę w sobie już zbyt długo. Proszę cię o pomoc... o wszelką pomoc, jakiej możesz mi udzielić. Muszę mieć jakiś punkt oparcia, gdzie mógłbym się zakotwiczyć, który mnie uratuje. Proszę cię o znak. Prosty, ale żeby to było coś oczywistego. Proszę cię o znak.

Kiedy otwieram oczy, zżera mnie paniczny strach, bo modlitwa przypominała raczej załamanie nerwowe niż rozmowę z Bogiem. Próbuję więc uspokoić oddech, czekając, aż kościelny wezwie wierznych do przyjęcia komunii. Ku mojemu zaskoczeniu Sheba wstaje jeszcze przed wezwaniem i mając u boku kościelnego, nachyla się, całuje mnie w policzek i szepcze:

– Na razie, przystojniaku.

Z idealnym wyczuciem czasu bierze kościelnego pod rękę, a on prowadzi ją na prawą stronę barierki. Monsinior Max wychodzi im na spotkanie, Sheba klęka, a on kładzie jej hostię na języku. Sheba

bierze ją, modli się, robi znak krzyża i pozwala kościelnemu wyprowadzić się bocznymi drzwiami, na oczach wiernych, obserwujących rozgrywający się przed nimi dramat.

Potem pluton wykrochmalonych kościelnych zaprasza przednie rzędy do przyjęcia komunii, a jednocześnie księża zlatują się niczym stado wróbli, z kielichami mszalnymi wypełnionymi po brzegi hostiami o barwie kości słoniowej.

Matka przyciska usta do mojego ucha i szepcze:

– Nasz monsinior jest egocentrykiem. To było haniebne i zupełnie niepotrzebne.

– Wielki teatr – odpowiadam szeptem.

– Tę świątynię wzniesiono ku chwale Boga, a nie plastikowych cycków Sheby – zrzędzi matka. Podchodzimy do ołtarza i przyjmujemy hostię z rąk księdza, który udzielił ślubu moim rodzicom, mnie zaś ochrzcił. Następnie wychodzimy wraz z całym tłumem na Broad Street. Matka nie może się jednak odczepić od Sheby. – Ta dziewczucha to nierządnicą babilońska. Urodziła się w Sodomie albo w Gormorze.

– Ale jest ładniutka, przyznasz? – Nie mogę się powstrzymać, żeby nie drażnić matki, która w podnieceniu staje się wybuchowa.

– Mnie zdecydowanie bardziej pociąga piękno wewnętrzne. Mam tu na myśli osoby piękne duchem, takie jak święta Teresa, święta Róża z Limy czy święty Franciszek z Asyżu.

– A mnie nie – rzucam. – Ja tam wolę plastikowe cycki.

Matka szturcha mnie w ramię i oboje wybuchamy śmiechem na schodach katedry. I chociaż miło jest widzieć matkę roześmianą, to jestem pewny, że śmieje się nie z tego, co trzeba.

ROZDZIAŁ 12

Niles i Fraser

W 1974 roku ślub górala Nilesa Whiteheada z Fraser Rutledge, debutantką z Charlestonu o nieskazitelnym rodowodzie i niepodważalnej wiarygodności, wstrząsnął charlestońską elitą z siłą trzęsienia ziemi wykraczającego daleko poza sztywną skalę Richtera tego miasta. Fale uderzeniowe, które zalały salony mojego dobrze wychowanego miasta, dostarczyły dowodu, że burzliwa epoka lat sześćdziesiątych przedarła się przez jego rogatki. Skoro bowiem sierota bez grosza przy duszy, w dodatku dziecko nieznanymi rodziców, mógł zdobyć serce panny, wśród której przodków znajdował się jeden z sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości i której dziadkowie z obu stron przewodniczyli Towarzystwu Świętej Cecylii, to znaczy, że zasadom ładu i kurtuazji zadano dotkliwy cios. Wprawdzie nic w przeszłości Fraser nie wskazywało na to, że jest rewolucjonistką albo osobą skłoną do przekory, ale poznała się na zaletach niezrównanego charakteru Nilesa już przy pierwszym spotkaniu. Jako jedna z najlepszych koszykarek w stanie, Fraser doskonale wiedziała, jak wyrobić sobie silną pozycję i uczepić się jej ze wszystkich sił. Przyzwoitością i delikatnością ducha rozłożyła na łopatki Nilesa, który do czasu, gdy przedstawiłem ich sobie latem przed klasą maturalną, ani razu nie był nawet na tańcach.

Worth i Hess Rutledge rozpętali bezowocną kampanię, żeby rozbić ten związek, ale nieporadność i podłość ich usiłowań wzmocniła tylko determinację ich córki i zapal Nilesa. Nawet rodziny z Charlestonu rozumiały, że jeśli młoda kobieta i młody mężczyzna się kochają, a ta miłość pokona wertepy i przejdzie próbę ognia, to wszelkie zasady towarzyskie i prawa heraldyki biorą w łeb. Niles i Fraser uznawali wyłącznie prawa swej wyjątkowej namiętności. Fraser wzięła go za rękę i razem przekroczyli linię graniczną zwaną „na południe od Broad”. Niles przeniósł pannę młodą przez próg domu Thomastona-Verdiera, który jej rodzice podarowali im w prezencie ślubnym. W głębi duszy rodzice wierzyli, że małżeństwo to okaże się krótkie i bezdzietne. Minęły lata, zanim matka Fraser, Hess, przyznała, że romans jej córki z Nilesem należał do tych, których nie da się splukać szlauchem ani wyrzucić z porannymi śmieciaми.

Kiedy zmierzam ze swojego domu przy Tradd Street na zachód do Church Street, dopada mnie upał, na który składa się wilgotność i końskie szerokości. Domy przy Church są osadzone w chodniku jak kamienie szlachetne. Pszczoły miodne pracują bez wytchnienia w gąszczu lantan zasadzonych w skrzynkach na kwiaty, woń jaśminu i konwalii mnie zaskakuje, ale dzięki bujnemu zapachowi jaśminowca jestem szczęśliwy, że żyję.

Przybywam do domu Thomastona-Verdiera nieco wcześniej, by pomóc w przygotowaniu posiłku i spróbować wybadać, czy do Fraser dotarły plotki na temat jej brata. Zastaję ją w trakcie czyszczenia krewetek w przestronnej kuchni wychodzącej na nieskazitelnie zaaranżowany i utrzymany ogród.

– Hej, Fraser, w lawendowym wyglądasz nader smakowicie. Czy mogę się z tobą pokochać, zanim zejdą się pozostali? – pytam, całując ją w policzek.

– Gadaj zdrów. – Fraser się uśmiecha. – To jedyne, co potrafisz. Szkoda, że za słowami nie idą czyny.

– To musi być szybki sztos.

– Więc niech będzie szybki numerek – zgadza się.
– Słyszałem cię, kobieto – mówi Niles, wchodząc z pokoju, z którego dobiegają odgłosy meczu baseballu w telewizorze. Ścisła mnie mocno, unosi, okręca raz i delikatnie stawia na podłodze. To jego sposób na mówienie „cześć” i wita się w ten sposób zarówno z mężczyznami, jak i z kobietami.

– Hej, mały – mówię. – Złapałeś w nocy jakieś ryby?

– Nałowiłem tyle kulbaków czerwonych, że starczy dla każdego. A dzieciaki wyciągnęły kilkadziesiąt krabów.

– To co ja mam do roboty? – pytam gospodynię.

– Gdybyś ugotował tę swoją charlestońską zupę z krabów, byłoby miło.

– Biorę się do czyszczenia.

– Już je oczyściłem, a przy okazji wypatroszyłem ryby – mówi Niles.

– Wysłaliśmy dzieciaki na basen do dziadków – zwraca się do mnie Fraser. – Rozmawiałeś z Chadem? Ike mówił, że masz z nim pogadać.

Zerkam na Nilesa, bo nie jestem pewny, ile wie jego żona.

– O tym gadają w całym mieście, stary – uspokaja mnie. – To Fraser mi o tym powiedziała. Wcale mnie nie zdziwiło, że ty i Ike też to zwąchaliście.

– Myślę, że Chad i Molly się zjawią – mówię. – Dzwonili?

– Nie odwołali wizyty – odpowiada Fraser. – Widocznie Chad cię posłuchał.

– To ty tak twierdzisz – mówię. – Był nieźle wkurzony, że tak dużo o tym wiem.

– Mamy tego powyżej uszu – oświadcza Fraser. – Moim zdaniem Molly odejdzie, jeśli się o tym dowie. Wątpię, żeby tym razem przyjęła to spokojnie.

– Chętnie odciąłbym mu fiuta i użył jako przynęty na miecznika albo rekina – burczy Niles.

– Nie mówiłam ci o tym, Nilesie, ale w zeszłym tygodniu zajrzałam do kancelarii Chada, żeby się z nim rozmówić – oznajmia Fraser, nie przerywając czyszczenia krewetek.

– Założę się, że nie był zachwycony wizytą siostrzyczki – prycha Niles.

Fraser się śmieje.

– Myślałam, że wyrzuci mnie przez okno na Broad Street. Oczywiście wszystkiego się wyparł. On tylko ciężko pracuje dla dobra rodziny. Ten sam kit, który wstawia od lat.

– A jak zareagował na twoją wizytę, Leo? – chce wiedzieć Niles.

– Jak na końskie łajno, które ktoś podrzucił mu do gabinetu. Ale jedno muszę mu przyznać... nikt nie miałby ochoty na taką rozmowę.

*

Kiedy o siedemnastej zaczynają schodzić się goście, pozostaje nam tylko wrzucić filety na ruszt i podawać do stołu.

Ike i Betty przynoszą taką ilość sałatki, że można by wykarmić drużynę futbolową Cytadeli; Ike dźwiga miskę, udając, że ugina się pod jej ciężarem. Sheba wchodzi tanecznym krokiem, w obcisłych szortach, żółtej bluzce z rozpiętymi trzema górnymi guzikami, przepasanej nefrytowym paskiem, i w balerinkach. A że nigdzie nie potrafi wejść, nie popisując się, wiruje przez całą kuchnię w zaimprovizowanym na poczekaniu balecie. Na koniec klęka w hołdzie dla naszej małej grupki, my zaś odgrywamy swoją rolę i nagradzamy jej przedstawienie brawami.

Całą grupą idziemy na werandę na piętrze. Od strony portu zrywa się wyborna, nieoczekiwana bryza, a my obserwujemy statek wycieczkowy przepływający przez kanał, mocno zanurzony w falach przypiływu. Razem z Nilesem rozdajemy wszystkim gin z tonikiem, stukamy się szklaneczkami, wznosimy toasty, doskonale zdając sobie sprawę, że każdy toast jest wyrazem szacunku dla powrotu Sheby do naszego grona. Poświęcamy jej całą uwagę, więc ożywia się i

opowiada nam objęte tajemnicą zawodową poufne plotki o zmanierowanym, szalonym świecie Hollywood, gdzie zamieszkała. Zdradza nam, który aktor ze światka filmu ma największego fiuta, i że gwiazdor filmów akcji jak dotąd ma najmniejszego. Ale chociaż wszyscy jesteśmy tym zafascynowani, nikt z nas nie ma odwagi zapytać jej, skąd zna tak dokładne wymiary.

Z podjazdu dobiega trąbienie – dwa dyskretne dźwięki klaksonu świadczące o poufałości. Wstajemy i widzimy Chada i Molly, którzy elegancko wystrojeni wysiadają z niebieskiego porsche z opuszczonym dachem. Oboje mają zawadiacko przekrzywione kapelusze i modne okulary przeciwsłoneczne. Zadbani, starannie uczesani i nasmarowani kremami, wchodzą do ogrodu przez bramę z kutego żelaza. Wyglądają tym lepiej, że udziela im się nawzajem ta wytworność i słuszność ich związku, jakby byli dwoma kandelabrami od kompletu.

Na szczycie schodów pojawia się Molly. Jej postawa jest królewska, a zarazem skromna. Zazwyczaj mówi łagodnie, powściągliwie, dlatego jej donośny, zaraźliwy śmiech zawsze nas zaskakuje. Ma bujne włosy w odcieniu zbliżonym do maści setera irlandzkiego. Obok niej staje Chad, a mnie przychodzi do głowy, że wyglądają nie tyle na męża i żonę, ile na brata i siostrę. Myśl ta nie jest jednak niczym niezwykłym w oderwanych od rzeczywistości, endogamicznych korytarzach Charlestonu.

– Chad! – woła Sheba. – Od ponad dwudziestu czterech godzin nie widziałam choćby włoska na twojej głowie. Ukrywasz się przed swoją jedyną miłością.

– Ostatnimi czasy moją jedyną miłością jest cholerne prawo, Shebo – odpowiada, gdy aktorka rzuca mu się w ramiona. – Zapytaj Molly, jest najlepszym świadkiem.

– Amen – ucina Molly.

Sheba wyciąga z wielkiej torby czapkę reżysera, ciemne okulary i zarzuca na szyję pretensjonalny szal.

– Przedstawienie właśnie się rozpoczęło – ogłasza nieznoszącym

sprzeciwu tonem. – Wszyscy schodzą na trawnik. Ruszajcie się dwa razy szybciej, statyści. Skoro mamy wam płacić stawki związkowe, na pewno możecie przenieść się z podwójną szybkością na następny plan.

- Shebo, litości! Daj nam się po prostu upić – wzdycha Ike.
- Uciszcie księcia z Senegalu! – warczy Sheba.

Zrzedząc pod nosem, schodzimy na niewielki trawnik wielkości greenu na przeciętnym polu golfowym. Sheba klaszcze rozkazująco i każe nam się ustawić w dwuszeregu – kobiety z przodu, mężczyźni z tyłu.

– A teraz, z werwą, entuzjazmem i wzorowym obyciem, wszyscy wykonamy wielką *Renegade Love Call*.

Rozlega się chórny jęk, który Sheba ucisza, podnosząc umowną pałeczkę i zaganiając kobiety na drugą stronę trawnika. Każe im rozsunać się tak, by stały w odległości metra od siebie, a następnie ustawia je w prowokacyjnych pozach, które rozpoznajemy z początków meczów futbolowych, gdy niewidoczny spiker wywoływał nasz pierwszy skład. Jednym ruchem ręki Sheba zasłania każdej z kobiet prawe oko kosmykiem włosów, a potem każe im stanąć w najbardziej seksownej ze wszystkich póz cheerleaderek – miłosnym wezwaniu Renegatek do Renegatów z Peninsuli. Sheba opracowała choreografię i spisała słowa owacji w ramach jednego z prezentów, jakie wniosła do naszego szkolnego życia, pojawiając się nie wiadomo skąd w ostatniej klasie. Na wypełnionym stadionie zawsze zalegała biblijna cisza, kiedy te śliczne dziewczęta wprowadzały zawodników na boisko. Sheba zaczyna pokaz, wypinając biodro i wskazując mnie wyciągniętym palcem. Odrzuca głowę do tyłu i głośno, namiętnie zaczyna skandować:

– Ja popieram Leo, słuchajcie, mam rację... Niechaj tu wystąpi, by przyjąć owację!

Słyszając umówiony sygnał, podbiegam do niej truchtem. W liceum cmokała mnie w policzek, a ja wracałem biegiem na miejsce, twarzą do naszych kibiców. Jednak tym razem, jakżeby inaczej, Sheba zaskakuje mnie, wsuwając mi język gdzieś w okolice migdałków.

Nieprzygotowany na taki rozwój sytuacji, zaczynam się krztusić i dusić, ku powszechnej wesołości przyjaciół. Pokazuję im wała, chwiejnie wracając na miejsce.

Teraz do przodu występuje Betty i także odrzuca włosy. Nikt nie ma w sobie tyle seksu co ona, gdy wskazuje na swojego faceta i woła:

– Ja popieram Ike'a, idzie pełen gracji... Stanie obok Leo, zaraz po owacji!

Ike biegnie truchtem do żony, całują się ładnie, a potem wolno podchodzi do mnie. Kiedy nasze czoła się stykają, odwraca się do kibiców, którzy zniknęli z naszego życia dziewiętnaście lat temu. Bierzymy się pod rękę w chwili, gdy Fraser występuje niepewnie, bo chociaż w sporcie była lepsza niż każdy z nas, to rola cheerleaderki stanowi dla niej nowość.

– Ja trzymam z Nilesem, jeśli nie mam racji i nie jest tak dobry, nie będzie owacji!

Niles podbiega i całuje żonę tak długo, że w końcu reszta z nas zaczyna cmokać i gwizdać z uznaniem. Wtedy Niles wraca biegiem, dotyka się czołem ze mną, potem z Ikiem, a na koniec bierzemy się pod rękę.

Teraz zaczyna skandować Molly:

– A ja popieram Chada, bez żadnej krępacji... Jeśli z nami zostanie, wzywam do owacji! W tym sezonie wygrana jest dla Renegatów frakcji!

Słucham głosu Molly, poruszony tym zbiegiem wypadków, który przywołuje tyle wspomnień... niektóre z nich obejmuję z zaskakującą czułością, inne doprowadzają mnie do wrzenia ducha, na skraj agonii. W liceum te niekończące się owacje wydawały mi się bezcelowe, jako że byłem zdenerwowany i niecierpliwie czekałem na początek meczu. Teraz, w tym momencie, pragnąłem, żeby trwały wiecznie, co dałoby mi pretekst, by móc się trzymać pod rękę z najważniejszymi mężczyznami w moim życiu i na zawsze obserwować zmysłowe ruchy odrzucających włosy ślicznych kobiet. Ich głosy zdawały

się przyzywać mnie w zagubieniu przez całe moje życie. Ta dojmująca nostalgia jest nie do wytrzymania.

Gdy Molly przestaje skandować, patrzę, jak Chad podbiega do niej. Pamiętam, że miał wtedy taką samą klasę, jaką ma teraz – porusza się na boisku jakby w zwolnionym tempie, każdy cal jego arystokratycznych kości zdradza dobrobyt. Zbliżając się do Molly, przesadnie wydyma usta, jednocześnie konspiracyjnie puszczając oko do facetów. Panuje miły, żartobliwy nastrój.

Ku naszemu zdumieniu Molly nagle zaciska pięść i z całej siły wali męża w nos, zaskakująco brutalnie i skutecznie. W powietrze wzbijają się krople krwi, obryzgując twarz i bluzkę Molly. Zdumiona grupa przypomina zamrozonego, pozbawionego powietrza żywy obraz. Nikt się nie odzywa, aż w końcu Sheba rzuca:

– I to by był chyba koniec zbiórki przed meczem.

Nagle Molly wpada w dziki szał, który od dawna poddawała kwarentannie.

– Ty zasranej pomiole portowej dziwki! Masz czelność upokarzać mnie na oczach najlepszych przyjaciół, rodziny, miasta, w którym się wychowaliśmy! Jawnie romansujesz z dziewiętnastolatką i afiszujesz się tym, zapraszając ją na nasze przyjęcia, opłacając jej czynsz i wynajmując mieszkanie w domu Mills-Hyatt, żebyś miał gdzie wpadać na szybki numer. Sądziłam, że wychodzę za najwspanialszego mężczyznę, jakiego wydała elita towarzyska Charlestonu, a okazało się, że poślubiłam jedną wielką kupę gówna.

– To jakieś nieporozumienie – protestuje Chad, ale kieruje te słowa do nas, nie do żony. – Wszystko da się wyjaśnić.

– Oni o tym wiedzą! – wrzeszczy Molly. – Byłeś tak cholernie niedyskretny, że pewnie nawet mewy się o tym drą. Mam to na każdym kroku. Dzwoniło do mnie czterech prawników z twojej kancelarii i żony trzech z nich. Ale moi najlepsi przyjaciele... ci cudni, cudowni ludzie... nie pisnęli ani słówka. A ja od miesiąca czułam, że

wiedzą, że w moim życiu dzieje się coś strasznego. Przyjaciele z prawdziwego zdarzenia coś by mi powiedzieli. Wszyscy byliście mi to winni... przynajmniej tyle.

Odwraca się i wybiega z ogrodu. Skręca w prawo, w stronę East Bay, i znika.

– To te jej wytwory wyobraźni – bagatelizuje Chad. – Jakieś problemy z psychiką. W przyszłym tygodniu wyślę ją na badania.

– Zaczynj gadać prawdę, Chad – radzi Betty. – A potem przestań dmuchać tę laskę z twojej kancelarii.

– Molly przeżywa załamanie nerwowe. – Chad obstaje przy swoim, ale z krwawiącym nosem trudno traktować go poważnie. – Gwarantuję, że w przyszłym tygodniu zadzwoni do was wszystkich z przeprosinami. Od dawna już zdradzała takie objawy. Przyda mi się wasza pomoc.

– Chad, biegnij za Molly i rozmówcie się na poważnie – podsuwa Fraser.

Podchodzi do skrzyni z lodem i macza serwetkę w lodowatej wodzie. Delikatnie zaczyna obmywać z krwi szyję i nos brata. On wyrywa jej serwetkę i przykłada sobie do nosa. Z doświadczenia wiemy, że łatwopalny temperament Chada jest groźny, jeśli się go podpali.

– Wracaj do domu, Chad – radzi Fraser najbardziej łagodnym, siostrzanym tonem. – Możesz wszystko naprawić. Jeszcze nie jest za późno. Molly nie szalałaby tak, gdyby cię nie kochała.

– Przymknij się, Fraser. Choć raz w życiu weź się przymknij – warczy Chad jak osaczony ryś. – W każdej sprawie zawsze stawałaś po jej stronie.

– Ja tylko próbuję ci pomóc – tłumaczy się Fraser. – Kocham cię tak samo jak ona.

– Więc to udowodnij. Zaczynj mi wierzyć. Trzymaj mnie za słowo! – krzyczy na nią i zaraz popełnia taktyczny błąd, dodając: – Słoniowe nogi.

Gdybyśmy z Ikiem nie rzucili się jednocześnie na Nilesa, Chad doznałby znacznie poważniejszego uszczerbku na ciele. Obaj z Ikiem jesteśmy ciężsi od Nilesa, za to on jest wyższy, smuklejszy i o wiele groźniejszy w gniewie. Spowalniając Nilesa, który szarżuje bykiem na swojego szwagra, przytrzymując go za pasek, Ike zaś obłapia go w niedźwiedzim uścisku.

– Niech cię tylko dorwę, a odgryzę ci nos – zapowiada Niles. – Przysięgamy, że ci go normalnie odgryzę.

Fraser wbiega między nich, osłaniając brata przed atakiem męża.

– Mam skuć Nilesa? – pyta Betty Ike'a profesjonalnym tonem, przejmując dowodzenie.

– Nie, skarbie – odpowiada Ike. – Nilesowi nic nie będzie. Ale przynieś z bagażnika moją pałkę policyjną i połam Chadowi kolana.

– Z przyjemnością. – Betty bez pośpiechu rusza do ich pojazdu.

– Chad – mówi Ike – dzisiaj wyraźnie nie masz ochoty słuchać dobrych rad, ale jednej ci udzielę.

– Kiepską porę pan sobie wybrał na rady, panie władzo – burczy Chad. Słowo „władza” nigdy nie zostało wypowiedziane z taką pogardą.

– Rada brzmi tak: uciekaj, skurwysynu. Zabieraj dupę w troki. Ja i Leo jesteśmy za słabi, długo już Nilesa nie utrzymamy.

Przy tej spostrzegawczej uwadze Niles wrywa mi się, Ike zaś pada na kolana, gdy Niles kopie go, próbując uwolnić się z uścisku. Nilesowi udaje się przebiec galopem przez ogród, zanim obalamy go z Ikiem, podcinając od tyłu tak jak na boisku. Padamy na ziemię, ale dopiero po dziesięciu sekundach udaje nam się poskromić naszego groźnego przyjaciela. Tymczasem Chad zdążył przyswoić sobie mądrość rady Ike'a i pędzi do swojego porsche, nie odrywając od nosa zakrwawionej szmaty. Silnik pojazdu ożywa z rykiem i Chad dramatycznie odjeżdża z piskiem opon. Spodziewamy się, że skręci w lewo w Church Street, za Molly, on jednak wrzuca dwójkę, skręca w prawo w Meeting Street, wciska gaz do dechy i mija Tradd z prędkością stanowczo zbyt niebezpieczną jak na Charleston.

Betty odzywa się pierwsza:

- Taka historia, a on mimo wszystko jedzie do swojej panienki.
- Powiem wam jedno – mówi Sheba, kobieta, która największą radość czerpie z przebywania w samym sercu nieokiełznanego chaosu – wy, południowcy, wiecie, co to zabawa na cztery fajerki.

Sheba prosi o przysługę

Po kolacji rozmowa z początku się nie klei. Przeskakuje z tematu na temat, a tymczasem Sheba gra na fortepianie estradowe kawałki, z którymi zapoznała nas razem z bratem, kiedy wkroczyli w sam środek naszego życia. Kiedy zaczynają się tańce, nalewam sobie kieliszek koniaku i opieram się o fortepian. Trudno uwierzyć, że Sheba nie jest najlepszą pianistką w rodzinie i że w porównaniu z maestrią brata jej umiejętności to amatorka. Za to głos ma przepiękny.

Po tańcach rozsiadamy się na miłych wyściełanych meblach pod rzędami książek, zajmujących trzy ściany pokoju od podłogi po sufit. Niles troskliwie przynosi nam kieliszki porto i koniaku. W zapadającym zmierzchu blask świec spowija pokój wysadzaną klejnotami bladością. Pary siedzą na kanapach, trzymając się za ręce z naturalnością, której im zazdroszczę. Sheba i ja zajmujemy fotele naprzeciwko siebie. Już ma się do mnie odezwać, lecz widzę, że coś ją powstrzymuje.

– Jestem jak ta trucizna – oświadcza w końcu i pokój zamiera. – Zawsze taka byłam. Gdziekolwiek wchodzę, jest tak samo. Nigdy nie potrafię zostawić za sobą swojej zgryzoty. Ona mnie śledzi, szpieguje... dziś wieczorem też tu na mnie czekała.

– Bzdura – kwituję. – Molly i Chad sami doskonale potrafią

spieprzyć sobie życie. Dzisiaj wszystkich nas w to wciągnęli. Co nie zmienia faktu, że bardzo nam cię brakowało, kochanie.

– Nic nie straciliście – zapewnia. – Przez ostatnie dziesięć lat nie warto było mnie znać. Czas na prawdziwą spowiedź. To nie są czcze przechwałki. – Wybuchła śmiechem, ale zbyt głośnym i wymuszonym, który wkrótce przeradza się w coś bardziej mrocznego. Nagle zaczyna cicho płakać. Pozostałe kobiety jak na komendę wstają, by ją otoczyć, pocieszyć, pogłaskać. My, jak to mężczyźni, siedzimy sparaliżowani, rozłożeni potężną jak ninja siłą łez płynących z oczu kobiety, na której zależało nam od czasu, gdy byliśmy chłopcami. Kiedy Betty podaje jej chusteczkę wyciągniętą z wielkiej torebki, Sheba odzyskuje panowanie nad sobą. – Wybaczcie. Tak mi przykro – mówi przez łzy.

– Nas nigdy nie musisz przeproszać – mówi Fraser. – Takimi już jesteśmy przyjaciółmi. A przynajmniej chcemy się za takich uważać.

– Bałam się was o coś poprosić – wyznaje Sheba. – To właśnie w tej sprawie wróciłam.

– Proś – rzuca Niles.

– O co tylko zechcesz – wtóruje mu Ike.

– Kiedy ostatnio ktoś z was miał kontakt z Trevorem? – pyta Sheba. Znowu zaczyna płakać, ale tym razem otwarcie wylewa potok łez i przez dłuższą chwilę nie potrafi wziąć się w garść.

Spoglądamy po sobie, a Sheba ukrywa twarz w dłoniach. Pierwszy zabiera głos Niles:

– Rok temu zadzwonił tu na nasz koszt.

– Zgodziłeś się przyjąć połączenie?

Niles kiwa głową.

– Oczywiście, że tak. Przecież dzwonił Trevor. Ale był tak pijany, że nie mogłem zrozumieć, co mówi, więc oddałem słuchawkę Fraser.

– To był głównie pijacki bełkot – włącza się Fraser. – Znacie to:

„kocham cię” wymamrotane na sto różnych sposobów. „Tęsknię za wami wszystkimi” wybełkotane kolejne sto razy. Typowy Trevor. Gdyby urodził się hetero, ożeniłby się ze mną albo z Molly. Gdyby się urodził jako dziewczynka, wyszedłby za Leo. Jasne, to było takie tam pijackie gadanie, ale też Trevor w czystej postaci. Następnego dnia dzwoniłam do jego mieszkania przy Union Street, ale miał wyłączony telefon. Napisałam do niego, lecz list wrócił z adnotacją „adresat nieznany”. Uznałam więc, że się przeprowadził.

– Eksmitowali go za niepłacenie czynszu – wyjaśnia Sheba.
– Dlaczego nie zadzwonił do nas? – dziwi się Betty.
– Pytanie, dlaczego nie zadzwonił do swojej słynnej siostry – wtrąca Sheba.

– Znasz odpowiedź? – pytam. – Bo my nie.

– Trevor już dawno mnie znienawidził. Pamiętacie mój pierwszy występ w Las Vegas? Musiałam go błagać, żeby zechciał przylecieć i akompaniować mi na fortepianie. Ale pojawił się tam tylko dlatego, że dzięki temu miał okazję spotkać was wszystkich. Mnie już dawno skreślił z listy swoich ulubieńców.

– Ale dlaczego? – dziwi się Fraser. – Byliście tacy zżyci. Nigdy nie widziałam, żeby brat i siostra byli sobie tak bliscy jak wy. Może Niles i Starla przed laty. Chad zawsze traktował mnie, jakbym wyszła spod ręki doktora Frankensteina, ale ty i Trevor byliście sobie bardzo oddani.

– Trevor miał mi za złe wiele rzeczy. Poczynając od sukcesu, jaki odniosłam, a skończywszy na moim autodestrukcyjnym zachowaniu. Powiedział, że nie może patrzeć, jak się powoli zabijam. A ja nie byłam dla niego zbyt miła. Zresztą nie byłam miła dla nikogo, dla was też nie. Jedyne, co mi doskonale wychodzi, to rola durnej cipy. Trevor kiedyś załazł mi za skórę, gdy miałam zejście po koce. Nagałam mu rzeczy, których nie powinnam mówić. Jeden z moich mężów stłukł go tak, że omal go nie zabił.

– Blair Upton? – domyśla się Betty.

– Właśnie on. Wiedziałam, że jest najstłynniejszym aktorem, jakiego uda mi się zaciągnąć do ołtarza, i nie zamierzałam z niego rezygnować dla mojego ciotowatego braciszka.

– Trevor dzwonił do mnie rok temu – odezwałem się. – Wydał się wystraszony. Oczywiście mówił mi wtedy, że gdybym był gejem, to nigdy nie musiałby sobie szukać innego chłopaka, bo spełniłbym jego najbardziej lubieżne zachcianki. Od tamtej pory już się nie odezwał.

– Dokąd wysłałeś mu czek? – pyta Sheba.

– To był przekaz pieniężny. Skrytka pocztowa przy Polk Street.

– Wynajęłam prywatnego detektywa – oznajmia Sheba. – Doszły mnie niepokojące wieści... że Trevor umiera na AIDS.

– Dzwoniłaś do jego przyjaciół? – pytam. – Oni pomogą nam go odnaleźć.

Teraz to Sheba grzebie w wielgachnej torbie. Wylatują z niej jakieś szminki, słoiczki z kosmetykami i torebka śniadaniowa pełna marihuany.

– Oregano – wyjaśnia stróżom prawa. – Zasmakowałam w kuchni włoskiej.

Ike wznosi oczy do nieba. Betty także przewraca oczami i daje znak Nilesowi, żeby dołączył jej do szklanki.

W końcu Sheba wyciąga z bocznej kieszonki fotografię i podaje mi ją. Na zdjęciu z 1980 roku stoję w jadalni Trevora, wyciągniętymi rękami obejmując gospodarza i jego ówczesnego kochanka, Toma Balla. Dwunastu innych gejów robi miny do obiektywu, a ja wspominam ten szalony wieczór jako jeden z najbardziej udanych w moim życiu. Przyleciałem do San Francisco z zapasem krewetek, ryb, krabów, pomidorów i kukurydzy wystarczającym do wykarmienia gromady prawdziwych wiernych oraz pieczeniarczy na kazaniu na górze i wraz z Trevorem wyprawiłem ucztę dla wszystkich jego najlepszych przyjaciół, złożoną z tradycyjnych potraw wybrzeża Karoliny Południowej. Tego wieczoru Trevor był w szczytowej magicznej

formie, a rozmowy okazały się błyskotliwe, przeżabawne i pijackie. Po kolacji godzinami grał na fortepianie. Wszyscy obecni mężczyźni, z wyjątkiem mnie, potrafili całkiem nieźle śpiewać, a niektórzy mieli wręcz najpiękniejsze głosy w tej części świata.

– Jutro zacznę obdzwaniać ich wszystkich – obiecuję. – Idę o zakład, że nawet nie mają pojęcia o kłopotach Trevora.

– Próbowałam dodzwonić się do każdego z nich – mówi Sheba.

– I co? Mieli z nim jakiś kontakt, ktokolwiek z nich? – pyta Ike.

– Gorzej, Ike... żaden z nich nie żyje. Umarli co do jednego.

– Jak myślisz, Shebo, gdzie może być Trevor? – pyta Niles.

Podchodzi do niej i przysiadła na oparciu fotela.

– Myślę, że jest jak chory kot, zaszył się gdzieś w lesie, żeby umrzeć. Nie mam pojęcia, co myśleć. Znajomy producent oddał mi do dyspozycji swój dom w Pacific Heights. Przyjechałam tu, żeby prosić was o coś, do czego nie mam prawa. Byłabym dozgonnie wdzięczna, gdyby ktoś z was pomógł mi go szukać.

– Należy mi się trochę urlopu – mówię. – Ale nie mogę wyjechać wcześniej niż w weekend po czwartym lipca.

– My planowaliśmy zabrać dzieci do Disneyworldu – zwraca się Ike do Betty.

– Twoi rodzice bardzo chętnie je tam zabiorą – odpowiada jego żona. – Zresztą oni lubią Disneyworld.

– Nilesie, my możemy jechać, prawda, kochanie? – pyta Fraser. – Zrobimy to dla Trevora.

– Dla mnie to wymarzona pora na wyjazd – zapewnia Niles. Jest dyrektorem sportowym w Porter-Gaud, a rok szkolny właśnie się kończy. – Jutro kupię bilety.

– Znajdziemy Trevora i sprowadzimy go do domu. Przywieziemy go do Charlestonu – obiecuję.

– Będziemy przy nim w chwili śmierci – dodaje Fraser. – Pomozemy mu, gdy będzie schodził z tego świata.

- Mam samolot – oświadcza Sheba. – Learjeta. Kolejny prezent od producenta.
- A co ty właściwie dla niego robisz? – zaciekawia się Betty.
- Wystarczająco dużo, żeby mieć dom w Pacific Heights. Na tyle dużo, że mam learjeta czekającego na lotnisku w Charlestonie.
- Pierwszy weekend po czwartym lipca – przyrzekam. – Wszystkim pasuje?
- Tak – zgadzają się chóralnie. Gdy nasze słowa wznoszą się w powietrze niczym biały dym papieski, Sheba znów zalewa się łzami. Fraser przytula ją z jednej strony, Niles z drugiej, a Sheba, szlochając, kołysze się w przód i w tył.
- Dziewczyno, dlaczego płaczesz? – pyta Ike.
- Bo wiedziałam, że wszyscy się zgodzicie – chlipie Sheba. – Po prostu wiedziałam. A ja byłam dla was taka wredna.

*

Nie wracam do domu, tylko idę spacerkiem na Battery. Zawsze gdy muszę coś przemyśleć, potrzebuję rzeki, by pomogła mi zrzucić ciężar z barków. Powrót Sheby wyzwolił we mnie jakieś siły, więc muszę przedrzeć się przez barykady, zasieki i ślepe uliczki, wzniesione jako mury obronne potwornej samotności, z którą pogodziłem się jak z normalnym tokiem życia. Idąc na południe wzdłuż wałów Battery, zwracam uwagę na rogal księżycy rzucający blask na fale nerwowego przypływu.

Jako charlestończyk jestem koneserem przypływów i w dowolnej chwili mogę określić, jak wysoko bądź nisko sięga woda przy wale nadmorskim w porcie. Niemiłosierny upał w ciągu dnia poddał się chłodnej bryzie znad Atlantyku. W powietrzu unosi się zapach karpifolium, kurkumy i soli. Rozjaśnia mi się w głowie, próbuję więc dociec, co oznaczają wydarzenia tego wieczoru. Poza tym dokonuję szczerego bilansu swojego życia, ale nie jestem zbudowany rezultatem.

Moje małżeństwo ze Starłą Whitehead od samego początku było farsą i kiepskim żartem. Pakując się w ten pośpieszny, beznadziejnie zaplanowany ślub, wiedziałem wszystko o kruchym i wybuchowym charakterze Starli. Nie doceniłem jednak ogromu jej szaleństwa i siły wewnętrznych demonów, które nie pozwalały jej sypiać po nocach, a w dzień wykańczały ją i pograżały w rozpaczy. Gdy jestem szczery wobec samego siebie – a jestem szczery, mając po lewej ręce pędzącą do morza rzekę Cooper i spokojne jak guwernantka posiadłości wzdłuż East Bay Street po prawej – moje przemyślenia są prawdziwe i piekące. Kiedyś sądziłem, że poślubiłem Starłę z miłości, teraz jednak patrzę na to przez silniejsze okulary i dochodzę do wniosku, że miłość przyszła do mnie w rozmytej, rozproszonej jak śrut postaci: cały ten pomysł sprawiał mi kłopot, bo nigdy nie opanowałem sztuki kochania siebie samego. Przez całe życie kochałem w sposób narzucony przez swoją nieporadność. Mój pociąg do kobiet zawsze zależał od stopnia zniszczeń, które dostrzegałem na powierzchni, i od tego, na ile blizn się natknę, gdy zacznę się babrać w ruinach. Niestabilność Starli błędnie uznałem za najbardziej fascynujący aspekt jej osobowości, a szaleństwo tłumaczyłem sobie jako przejaw geniuszu. I choć słyszałem przyjaciół ubolewających nad tym, że zbyt późno zdali sobie sprawę, iż poślubili wierne kopie swoich matek albo ojców, to jeszcze bardziej bałem się, że wziąłem ślub ze swoim dzieciństwem, kiedy po samobójczej śmierci brata na długie lata wylądowałem w kaftanie bezpieczeństwa. Taki był też mój najmroczniejszy lęk związany ze Starłą: że w jej osobie poślubiłem swojego brata Steve'a, bo nigdy nie mogłem sobie wybaczyć potwornej nieumiejętności dania rodzicom choćby względnej kopii syna, którego stracili, chociaż wiedziałem, że właśnie tego oczekują ode mnie najbardziej. A kiedy dotarło do mnie koszmarne zmęczenie ducha Starli i jej problem z pozostaniem przy zdrowych zmysłach, najbardziej zacząłem się obawiać, że również ona odbierze sobie życie i straci mnie w otchłań piekieł, w których po śmierci Steve'a

zyskałem już prawo obywatelstwa. Obok siebie mam jednak rzekę, a słona woda zawsze karmiła moją duszę serum prawdy. Potrafię się przyznać sam przed sobą, za pełnym przyzwoleniem i poparciem rzeki, że marzę o życiu z żoną, która by mnie kochała, która dzieliłaby ze mną dom i łożę, która patrzyłaby na mnie takim wzrokiem, jak Fraser patrzy na Nilesa, która ceniłaby moje towarzystwo i wspólne życie tak bardzo, jak bez trudu przychodzi to Ike'owi i Betty. I owszem, pragnę mieć dziecko – chłopca bądź dziewczynkę, jedno albo i pięcioro, chcę być ojcem, wyjmować zdjęcia moich dzieci i pokazywać je w redakcji tak, jak robią to inni tatusiowie pracujący ze mną w gazecie. Oglądam się przez ramię na Fort Sumter, Mount Pleasant i James Island. Powietrze dociera do mnie podmuchami ciepłarnianych róż, ruch w porcie zamarł, gwiazdy są jasne jak émy.

Spacer pomógł mi wyprostować pewne sprawy i bez namysłu kieruję się do domu. Raduję się rozrzutnym widokiem nawiedzonego przez palmy miasta. Mimo że w swoich felietonach latami pisałem setki listów miłosnych do Charlestonu, wątpię, żebym zdołał zbliżyć się do nieuchwytnych tajemnic tego miasta. Idąc na północ wzdłuż wałów przy Battery, zdaję sobie sprawę, że słowa to za mało, że łąkam się, a słowa kleją mi się do podniebienia właśnie wtedy, kiedy muszę nimi bluznąć, wyrzucić z ust niczym rozjuszone osy z roju. W drodze powrotnej do domu analizuję wszelkie uczucia – tego wieczoru, tego niesamowitego wieczoru, który przyniósł wymyślone cheerleaderki, zagrzewające do walki pieśni, wrzaski, rozlew krwi, pogoń i zebranie naszej własnej arystokracji wybrańców. Był to wieczór bogaty w wydarzenia, przyjemny, i rozpięra mnie uczucie, które mogę określić jedynie jako radość.

Tradd Street to ulica europejska, nie amerykańska. Stiukowe fasady domów wypychają się na chodniki. Gdyby nie latarnie, ciemność przydałaby nocy złowróbnej, klaustrofobicznej atmosfery. Przed moim domem po południowej stronie Tradd pali się lampa, nie pamiętam jednak, żebym ją włączał. Taki brak dbałości o szczegóły

jest do mnie niepodobny. Otwieram kluczem drzwi prowadzące na werandę na parterze i widzę światło w salonie, z którego nigdy nie korzystam. Z gabinetu na drugim piętrze dobiega muzyka.

– Juhu! – wołam. – Mam nadzieję, że jesteś przyjaznym włamywaczem, a nie kimś w rodzaju Charlesa Mansona.

Słyszę perlisty, charakterystyczny śmiech Molly – świadomość, że mimo wszystko nadal potrafi się śmiać, przynosi mi ulgę. Wchodzę na górę i zastaję ją w jednym ze skórzanych foteli, z których widać panoramę dachów miasta. Mając doskonały widok na wieże Świętego Michała i Świętego Filipa, uważam się za szczęśliwca.

– Mogę się przebrać w coś wygodniejszego? – pytam.

Patrzę na śliczne stopy Molly wsparte na podnóżku.

– Jasne. Jesteś u siebie. – Uśmiecha się.

– Czy gdybym włożył urodzinowy garnitur, byłoby to nie na miejscu?

– I owszem. Ale może dzięki temu wieczór byłby jeszcze bardziej interesujący – mówi i znów wybucha śmiechem, ale szczerym, nie tym smutnym, który w mgnieniu oka potrafi złamać serce.

– Mam nadzieję, że nałałaś sobie wina?

– Dopiąłam napoczętą butelkę, zanim zabrałam się do drugiej.

– Dlaczego w Charlestonie tak dużo pijemy? – Nalewam sobie kapkę hennessy.

– Bo jesteśmy ludźmi. Jak wszyscy. Z wiekiem robimy się coraz bardziej ludzcy. A im bardziej ludzcy jesteśmy, tym boleśniej wszystko przeżywamy. Paskudna była ta dzisiejsza scena, prawda?

– Niezapomniana.

– Co się działo po tym, jak wyszłam? Strasznie się boję tego, co usłyszę. Ale muszę wiedzieć.

– Chad wykrwawił się na śmierć w objęciach siostry. Fraser trzymała go niczym Maria Dziewica, wyglądała jak pieta. Zanim zszedł z tego świata, spojrział na mnie i powiedział: „Leo, masz bardzo małego kutasa. Na tej opoce zbuduję mój Kościół”. Ike i Betty

ruszyli na patrol, ścigając morderczynię. Łapsy sprawdzają ulice na południe od Broad.

– I po co w ogóle zadawałam ci poważne pytanie?

Siadam w fotelu obok niej. Oboje wyglądamy przez palladiańskie okno na dachy domów, biegnące razem aż do miejsca, gdzie wieża od Świętego Michała przerywa ich nieregularny pochód.

– Nieźle mu przywaliłaś. Z początku myśleliśmy, że Chad ma złamany nos. Jak można się było spodziewać, źle przyjął publiczne upokorzenie. Wypierał się romansu. Twierdził, że zwariowałaś. Dobra wiadomość jest taka, że w przyszłym tygodniu wysyła cię na badania lekarskie, tak że już niedługo czekają cię elektrowstrząsy i pobyt w domu bez klamek.

– Tak powiedział?

– Nie, ale to wynikało z jego słów.

– Pojechał do szpitala?

– Nie wiem. Ale dokądś uciekł. Bardzo mu się śpieszyło.

– Pojechał do tej brazylijskiej dziwki, tak?

– Nie zostawił adresu do korespondencji.

– Od jak dawna wiedziałeś? – pyta Molly, nadal na mnie nie patrząc.

– To nieuczciwe pytanie. Jestem felietonistą. Docierają do mnie wszystkie pogłoski... i te prawdziwe, i nie. Jak to burmistrz Riley na posiedzeniach rady miejskiej występuje w sukienkach. Jak to szefowa organizacji broniącej praw mniejszości przeszła operację zmiany płci. Jak twój ojciec przerobił swój dom na burdel. Ja słyszę o wszystkim.

– Sarah Ellen Jenkins widziała, jak wczoraj wchodziłeś do kancelarii Chada – mówi Molly, patrząc na mnie z wściekłością, która podpowiada mi, że muszę zmienić taktykę. – Czy rozmawiałeś z nim o jego romansie?

– Powiedziałem mu o plotkach, które do mnie docierają.

– Dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie? Nasza przyjaźń jest o wiele silniejsza niż twoja z Chadem. Powiedz mi jeszcze, że kłamię.

– Bóg świadkiem, że to szczerą prawdą.
– Nigdy nie lubiłeś Chada.
– Wcale nie – próbuję się bronić. – Musiałem się tylko do niego przyzwyczaić.

– W jakim sensie?

– W tym, że jest gnojkiem. To genetyczna przypadłość mężczyzn w jego rodzinie, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Nawiasem mówiąc, wyparł się romansu.

– Poznałeś tę Brazylijkę? – dopytuje się Molly.

Krzywiąc się, potakuję.

– Jest piękna?

– Ma najpiękniejsze wąsy na świecie. Ładnie zakrywają jej zajęczką wargę. Ale sztuczną szczękę ma źle dopasowaną. A jej oddech cuchnie jak torba krewetek leżąca przez miesiąc na słońcu.

– Aż taka śliczna, co?

– Żałowałem, że się nie urodziłem w Brazylii.

Uderza mnie mocno w dłoń i oboje parskamy śmiechem. Znowu patrzymy na białą wieżę kościelną i słuchamy, jak dzwony od Świętego Michała wybijają północ. Molly przechyla się w fotelu i opiera boscie stopy na moich kostkach. Dotyk jej ciała razi mnie z siłą pioruna.

– Pamiętasz, jak tańczyliśmy w piątek wieczorem?

– Nie – lżę w żywe oczy.

– Pamiętasz, jak się całowaliśmy, kiedy zniknęliśmy pozostałym z widoku?

– Nie – powtarzam.

– Sheba nas widziała – oznajmia Molly. – Uważa, że dobrze się całujemy.

– Byłem pijany. Nic nie pamiętam.

– Wobec tego opowiem ci, jak to było, Leo. Całowałeś mnie nie na żarty. Tak, jakbym była dla ciebie tą jedyną, poza którą świata nie widzisz. Całowałeś mnie tak, jakbyś chciał czuć moje usta na swoich

na zawsze. Jesteś drugim mężczyzną, z którym się całowałam. Podo-
bało mi się niesamowicie. Teraz twoja kolej.

– Cieszę się, że ci się podobało. – Wstaję, by dolać sobie konia-
ku. – To była jedna z najwspanialszych chwil w moim życiu. Odkąd
cię poznałem, marzyłem, żeby cię pocałować. Nigdy nie sądziłem, że
do tego dojdzie. Ale jesteśmy w związkach małżeńskich. Oboje. Ja
tylko nominalnie, ale ty masz męża naprawdę i przypadkiem wiem,
że wciąż go kochasz. Wiem także coś jeszcze, co w tej chwili pewnie
nie mieści ci się w głowie: on też cię kocha i zawsze będzie cię ko-
chał. To facet, Molly. Myśli fiutem. Wszystkich nas doprowadza tym
do szewskiej pasji.

Z niesamowitą gracją i szybkością Molly zrywa się z fotela i sia-
da mi na kolanach. Odstawia kieliszek z winem, obejmuje mnie za
szyję i przybliża twarz do mojej. W jej bladych oczach maluje się
determinacja. Ta scena wzbudza niebezpieczne, ale cudowne uczu-
cie, jakby modlitwy, które słałem do Boga w liceum, nareszcie zna-
lazły się w zasięgu jego słuchu.

– Sądzisz, że Starla jeszcze kiedyś do ciebie wróci, Leo? – pyta
Molly. – Zniknięcie na rok to bardzo długo. Uciekała już na miesiąc
czy dwa. Ale teraz to poważna sprawa i wiem, że się tym gryziesz.

– Dzwoni do mnie co tydzień, Molly. Nie, teraz to nieprawda.
Wydzwaniała tak na początku. Teraz odzywa się raz na miesiąc,
czasami co dwa miesiące. Ciągłe płacze. Czuje się winna. Prosi,
żebym na nią zaczekał. A ja jej mówię: „Jesteś moją żoną. Zawsze
będę na ciebie czekał”. Co, nie wiadomo dlaczego, zawsze doprowa-
dza ją do szału. Jakby to było najgorsze, co mogłaby usłyszeć. Zwy-
kle zaczyna wtedy wrzeszczeć. Opowiada mi, z iloma mężczyznami
spala. Podaje mi ich nazwiska. Kim są z zawodu. Jak mają na imię
ich żony. A potem gryzie się w język. Bierze się w garść. Jest praw-
dziwą Starlą. I znowu płacze. Czuje się winna. I tak nam mija cała
noc. Kończy się zawsze tak samo... ona mdleje.

– Leo. – Molly całuje mnie w nos. – Cóż za kochany głuptas. Nie, cofam, co powiedziałam. Będę precyzyjna: cóż za durny, durny, durny chłop.

– Wiedziałem, w co się pakuję – mówię, ale zmieniam zdanie. – A raczej w głupocie mojej tak mi się wydawało.

– Musisz mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Ale jak najbardziej serio.

– Wal.

– Czy ty mnie kochasz?

Zażenowany wiercę się w fotelu i próbuję wstać, ale Molly przyciska mi ramiona i przyszpila mnie wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu.

– Myślałem, że odpowiedziałem ci na to w piątek wieczorem. Dlaczego znów o to pytasz? Dlaczego teraz? Dziś w nocy? Spytaj mnie, gdy już w twoim małżeństwie z Chadem nastąpi szczęśliwy dzień. Zapytaj wtedy, gdy uznasz, że wyszłaś za najwspanialszego mężczyznę w tym mieście i że wasze małżeństwo układa się idealnie. Pytanie mnie o to teraz jest nie w porządku. Słuchaj, dopiero co rozkwaśliłaś mu nos, zakrwawiłaś całe jego porsche i odwołałaś jego wyjazd do Brazylii na karnawał.

Molly wali mnie w ramię i krzyczy z bólu. Tą samą ręką rozwalila kinol Chada i mam wrażenie, że zaraz rozplacze się z bólu.

– Pokaż rękę.

Nachylam się i zapalam lampę. Na opuchniętej dłoni pojawia się fioletowy siniak. Delikatnie sprawdzam, czy nie ma złamanych kości, ale nie potrafię ocenić, czy doznała poważniejszych uszkodzeń. Nie umyka mojej uwagi, że Chad miał szczęście, iż przywaliła mu prawą ręką, bo pierścionek zaręczynowy z dwukaratowym brylantem, który Molly nosi na palcu lewej, mógłby mu wyłupić oko.

– Jutro musisz zrobić prześwietlenie – mówię.

– Czy ty naprawdę mnie kochasz? – nie ustępuje. – Odpowiedz mi, do cholery! Wszyscy stale sobie z tego pokpiwali. Zwłaszcza

Fraser, a nawet Chad. Szlag by trafił, kiedy jeszcze mieszkałeś ze Starłą, ona też żartowała sobie na ten temat.

– Kocham cię od dnia, kiedy cię poznałem, tak jak wyznałem ci poprzedniej nocy – odpowiadam.

– Dlaczego? To głupie. Niespotykane. Byłam dla ciebie zupełnie obca, w ogóle nic o mnie nie wiedziałeś.

– Widziałem twoją klasę. To, jak się nosisz. Twoją uprzejmość i troskę o wszystko, co dzieje się wokół ciebie. Kochałem to, jak broniłaś Fraser w dniu, kiedy cię poznałem. Wiedziałem, że jesteś godnym przeciwnikiem dla Chada. Godnym przeciwnikiem dla wszystkich. Czuję twoją siłę. Poza tym jesteś śliczna, niewiarygodnie piękna. Czy to ci wystarczy jako odpowiedź, upierdliwa kobieto? Nie będziesz mnie więcej biła?

– W razie czego przywalę ci drugą ręką.

– Dlaczego siedzisz mi na kolanach? – pytam.

– Rany, Leo. – Śmieje się. Gasi lampę i wpatrujemy się w siebie w słabym świetle księżyca. – Spróbujmy rozgryźć to razem, co dwie głowy to niejedna. Przyjrzyjmy się dowodom. Na oczach przyjaciół wszczynam bójkę z uganijającym się za spódniczkami mężem. Rozkwaszam mu nos i uciekam do domu, żeby tam na niego czekać. Idiotka ze mnie. Myślałam, że wróci skruszony i przeprosi, iż zgutował mi takie piekło. Ale nic z tego, czas płynie, a ja zdaję sobie sprawę, że pojechał szukać pociechy w ramionach tej swojej Pina Colady. Czy w Brazylii pije się Pina Coladę?

– Nigdy tam nie byłem.

– I wtedy uświadamiam sobie, że nie będzie czułego pojednania, żadnych słodkich słówek. Żeby poukładać to sobie w głowie, wychodzę na spacer i idę prosto do twojego domu. Jak każde z nas, wiem, że trzymasz zapasowy klucz w wylocie rynny, więc otwieram sobie drzwi i wchodzę. Wzięłam butelkę wina, wśliznęłam się do twojego łóżka i przespałam dwie godziny. Czuję się bezpieczna. Odprężona. Wstałam, poszłam pod prysznic, umyłam włosy,

rozgościłam się. Przy toaletce Starli skorzystałam z jej kosmetyków, tuszu do rzęs i perfum. Potem włączyłam mecz Bravesów i czekałam, aż wrócisz.

– Kto wygrał?

– Zamknij się. Odpowiedź na twoje pytanie wciąż wisi w powietrzu. Dlaczego siedzę ci na kolanach?

– Ty pierwsza – proponuję.

– W piątek wieczorem, kiedy Sheba przyłapała nas, jak się obściskiwaliśmy, wróciła do domku gościnnego. Nazajutrz przyszła na lunch. Pogadałyśmy sobie jak kobieta z kobietą. Okazało się, że Chad zakradł się do domku gościnnego i chciał zerznąć Shebę. Powiedziała mu, że to największy komplement, jaki w życiu słyszała, ale że byłoby w złym guście pieprzyć się z nim w domku gościnnym jego żony. Przyznał jej rację i czmychnął do kancelarii. Wiesz, ta wielka sprawa. Bardzo, bardzo wielka sprawa.

– Sheba delikatnie dała mu kosza, a Chad jak zwykle okazał się dżentelmenem.

– Wszyscy wiemy, jaki on jest. Zawsze wiedzieliśmy. Jako jedyny z nas nigdy nie udawał, że jest dobry. To akurat w nim podziwiałam. Ma na temat ludzkości jak najgorsze zdanie. W końcu mnie przekonał i jego Molly się zmieniła. I dlatego, ty tępą sukinsynu, właśnie dlatego Molly usiadła ci na kolanach.

– Prawdziwy popis sztuki oratorskiej – przyznaję. – Ale kiepski pomysł.

– Zauważyłeś, że ostatnio patrzyłam na ciebie tak samo, jak ty zawsze patrzyłeś na mnie? – Całuje mnie słodko w usta, w policzki i w czubek nosa.

– Nie chcę, żeby złość na Chada wpłynęła na twoje uczucia do mnie... w jakikolwiek sposób, w tę czy we w tę.

– Nie masz bladego pojęcia o kobietach.

– Wiem o nich kilka nieprzyjemnych rzeczy – zapewniam. – Ale wiem też kilka dobrych.

– Nie, posłuchaj mnie. Jeśli chodzi o to, co kręci kobiety, wiesz tyle co nic, kompletne zero. Albo co je podnieca, a co odstręcza, kiedy jadą pełnym gazem, a kiedy wrzucają bieg jałowy, wsteczny czy cholera wie co jeszcze.

– Przez Chada przechodzisz teraz ciężki okres. Mogę ci coś zaproponować? – pytam.

– No, nareszcie zaproszenie do twojego buduaru.

– Nie. Chcę, żebyś wiedziała jedno: jeśli Chad od ciebie odejdzie, jeśli Starla mnie zostawi, czym groziła mi już tysiące razy, to ożenię się tylko i wyłącznie z tobą. Nigdy nie będę ciebie wart, wiem to doskonale. Ale jeśli ten wczorajszy pocałunek był początkiem czegoś, to chciałbym, żeby to uczucie towarzyszyło nam do końca życia. Wspólnego życia.

– A co będziemy robili przez ten czas? – chce wiedzieć Molly.

– Zaparzę ci kawę. Zejdźmy do kuchni. Muszę ci powiedzieć coś ważnego, coś, co odmieni życie każdego z nas. Myślę, że to albo dowiedzie, iż Chad ma rację w kwestii ludzkości... jej mrocznych stron, jej beznadziejności... albo udowodni, że warto mieć nadzieję, że możemy być lepsi, niż się urodziliśmy.

Molly całuje mnie po raz ostatni, ale tym razem jest to pocałunek siostrzany, przypieczętowanie przyjaźni, drzwi otwierające się na przyszłość.

– Podsuń mi jakąś wskazówkę. Co doprowadzi nas wszystkich do światła? Gdzie zaczyna się ta ścieżka do dobroci?

– W San Francisco. Renegaci znów ruszają w drogę. Jedziemy odszukać Trevora Poego. On właśnie umiera na AIDS. Sprowadzimy go do domu, Molly. Nie pozwolimy mu umrzeć w samotności.

CZEŚĆ TRZECIA

Pacific Heights

Zachód to równocześnie wielkie pragnienie i suche, pozbawione pogody kuriozum. W Kalifornii zawsze towarzyszy człowiekowi wściekły, głęboki oddech pustyni. Niebo nad San Francisco często jest tak oślepiająco niebieskie, że zasługuje na nieco przesadne określenie „błękit” bądź „lazur”. Tamtejsze chmury zrodzone są z morza i ukształtowane w dziwnych głębinach tajemniczej zatoki, gdzie mgła nadciąga w stronę lądu jak bezmyślny, złożony z miliardów komórek twór o kształcie ameby, trujący niczym poroniony przedstawiciel rodziny psiankowatych. Na Południu mgły działają na mnie uspokajająco, malując mokradła poplamionymi mlekiem palcami. Mgła w San Francisco jest pokrytym srebrem drapieżnikiem, co zawsze budzi mój niepokój. Gdy budzę się na dźwięk syren mgłowych, ich brzmienie przywołuje mi na myśl daleki skowyt miasta żyjącego w nieustannym seksualnym zagrożeniu.

Jako charlestończyk wiem, że nie powinienem padać na kolana z podziwu dla górzystej krainy, tak zaskakująco i brutalnie dzikiej. Ale San Francisco uwiodło mnie już podczas pierwszej wizyty u Trevora Poego w jego mieszkaniu przy Union Street. Obfitość róż, eukaliptusów i palm powoduje, że miasto to wydaje się zmysłowe i dekadencje w każdym calu, upaja się szaleństwem i tarza w padlinie ludzkich występków. Wszystko tu jest największe, wzniosłe, na maksa.

Widoki są tak spektakularne, że aż się proszą o poklask. San Francisco to miasto wymagające zdrowych nóg, miasto urwisk błędnie nazywanych wzgórzami, poprzecinane pajęczyną pretensjonalnych domów, które czepiają się pochyłych ulic z siłą morskiego ślimaka. Rano w wodach pomiędzy Presidio a Sausalito można dostrzec nurkujące w głębinę wieloryby, w chińskiej dzielnicy kupić na lunch świeżego węgorza, po południu obejrzeć Ogrody Szekspirowskie w parku Golden Gate, na falach Pacyfiku przy Great Highway posurfować na desce, powdychać niezapomniane pierdnięcia lwów morskich przy nabrzeżu 39, obejrzeć gejowsko-lesbijski film na festiwalu w kinie Castro, w księgarni City Lights Books dostać autograf Lawrence'a Ferlinghettiego w jego książce i wypić drinka w Top of the Mark. Trevor Poe dał nam to miasto w prezencie, kiedy opuścił nas, byśmy wiedli o wiele mniej szpanerskie życie w Charlestonie.

Jego mieszkanie przy Union Street posłużyło nam wszystkim za dom na obczyźnie, za wakacyjną krainę z bajki. Wpuścił nas w swoje progi i okazał się niestrudzonym miłośnikiem i amatorem zwiedzania swego przybranego miasta. Dlatego odносimy wrażenie, że wracamy do domu, gdy odrzutowiec ląduje w Oakland i limuzyna wiezie nas do rezydencji przy Vallejo Street, należącej do producenta Saula Marksa, który użyczył jej Shebie na czas poszukiwań brata bliźniaka. Utrzymany we włoskim stylu dom wychodzi na zatokę, most Golden Gate, Sausalito i majestat miasta niczym z białego lnu. Szofer, oszczędny w słowach Irlandczyk, prosi, żeby mówić mu Murray.

– Co musiałaś zrobić, żeby ten producent pozwolił ci korzystać ze swojego domu? – pyta Betty, pogwizdując, podczas gdy Murray pomaga nam wtaszczyć bagaże przez ozdobną bramę.

– Musiałam pobawić się jego małym siusiakiem – odpowiada Sheba. Daje szoferowi duży napiwek, a potem kieruje każdego z nas do odpowiedniej sypialni. Przeprasza mnie, prowadząc do trzewi

budynku, gdzie dostała mi się sypialnia bez okien. – Zamówiłam chińszczyznę – mówi. – Gdy już się rozpakujesz, spotkamy się w jadalni.

Gdy wchodzę później na górę, zastaję grupkę hałaśliwych przyjaciół zgromadzoną przed olbrzymim oknem – obserwują zachód słońca nad bezchmurnym Pacyfikiem w pustkowiu błękitu. Światło pokrywa wodę pęcherzykami wrzącego złota, potem rozbłyskiem czerwieni, a na koniec znika w różowej palczastej poświacie.

– Na widok zachodów słońca zaczynam wierzyć w Boga – wzdycha Betty.

– A ja wtedy wiem, że pewnego dnia umrę – mówi Molly.

– No i powiedzcie, po cośmy znowu ją ze sobą brali? – Fraser uśmiecha się do swojej najlepszej przyjaciółki i szwagierki zarazem.

– Dla rozładowania napięcia? – podsuwam.

– Mija kolejny dzień, którego więcej już nie zobaczymy – mówi Molly. – Kolejny dzień przybliży nas do zgonu.

– A dla mnie taki zachód jest tylko trochę ładniejszy od gówna – wtrąca się Ike, nalewając sobie przy barze szklaneczkę. – Od zawsze uważam, że biali stanowczo za dużo myślą.

Wcinając chińszczyznę, bez porównania lepszą niż jakiegokolwiek chińskie jedzenie, którego próbowałam na Południu, wzdychamy do potraw nigdy przez nas niejedzonych, do czasu, aż Trevor na początku lat siedemdziesiątych ściągnął nas do San Francisco. Niles przypomina mi, jak kiedyś obraziłem nieliczną chińską społeczność w Charlestonie, twierdząc, że wszyscy ludzie pochodzenia chińskiego z chwilą przekroczenia granicy Karoliny Południowej zapomnieli, jak się gotuje. Napisałem to po dwutygodniowej wizycie u Trevora, która była zarazem moją podróżą poślubną ze Starłą.

– Padam z nóg – oznajmia Fraser. – Trunki są świetne, wino rewelacyjne, ale przyjechaliśmy tu w konkretnym celu, a ja już tęsknię za dziećmi. Daj mi jakieś zadanie, Shebo. Powiedz, co mam robić jutro.

Sheba rozdaje nam wszystkim długą listę nazwisk. Sprawność, z jaką to robi, jest wrzuszająca. Z niezwykłą dla siebie cierpliwością poczekała na właściwą chwilę, by przejść do tego, po co tu przyjechaliśmy. Z pięknej aktówki z irchy wyciąga i podaje każdemu z nas teczki zawierające aluzje, tropy i pogłoski, które narosły w związku z ostatnimi okolicznościami, w jakich widziano Trevora.

– Betty i Ike: chciałabym, żebyście poszli na komendę policji. Powiedźcie tam, co tu robicie, i poproście o wszelką możliwą pomoc. Leo spotka się z kolegą po fachu, felietonistą Herbem Caenem. Lista zawiera nazwiska wszystkich gejów, którzy byli przyjaciółmi albo kochankami Trevora w ciągu ostatnich piętnastu lat. Oraz muzyków, którzy z nim grali. I pań domu, zatrudniających go, żeby grał na ich przyjęciach. Chciałabym, żeby moje kumpelki z Junior League, Molly i Fraser, sprawdziły wszystkie tropy z tej listy. A teraz coś wam pokażę. To zdjęcie Trevora zrobione podczas moich ostatnich odwiedzin.

– Mieszkałaś u niego? – pyta Ike, wpatrując się w fotografię.

– Skarbie, jestem gwiazdą filmową – prycha Sheba. – Ja nie korzystam z mieszkań. Zatrzymuję się w penthouse'ach hotelu Fairmont.

– Ale z ciebie burak, Ike – docina mu Molly. – Skąd pomysł, że gwiazda filmowa mogłaby zaparkować swój tyłek w mieszkaniu?

Sheba puszcza tę uwagę mimo uszu.

– Pamiętajcie, że od wielu lat nie byłam z Trevorem w dobrych stosunkach. Z wami miał o wiele lepszy kontakt. Przypominaliśmy sobie nawzajem plugawe dzieciństwo, o którym jak najszybciej chcieliśmy zapomnieć. Każdemu z was przypięłam zadania na jutro do poduszki. Macie niezbędne mapy i teczki. Niektórzy z was będą przez pierwsze kilka dni szlifowali bruki. Mówię o was, chłopaki. Jedną z najgorszych stron umierania na AIDS jest to, że z czasem człowiek zostaje bez grosza przy duszy. I kończy w jakimś obskurnym hoteliku.

Fraser przechodzi do rzeczy:

– Kto ostatni widział Trevora?

– Jego lekarz w klinice dla chorych na AIDS w Castro – odpowiada Sheba. – Mówił mi, że przez ostatnie dwa lata Trevor schudł dziesięć kilogramów.

– Jezu! – wykrzykuje Berty. – Przecież z niego i tak była chudzina.

– A potem zniknął z powierzchni ziemi – ciągnie Sheba. – Podczas ostatniej wizyty w klinice leczono go na mięsaka Kaposiego.

– O nie! – jęczy Molly. – To fatalnie. Od tego łuszczy się skóra i robią się rany na twarzy.

– A co z Benem Steinbergiem? Gdzie jest Georgie Stickney? Albo Tillman Carson? – pyta Betty. – To z nimi się prowadzał, kiedy byliśmy tu z Ikiem dwa lata temu.

– Nie żyją – odpowiada Sheba. – To były jeszcze dzieciaki, a żaden z nich już nie żyje.

Molly wstaje z fotela, podchodzi do jednego z ekstrawaganckich okien i spogląda na rozświetlony przepych nocnego miasta. Jej żałowna, zgarbiona sylwetka przywodzi na myśl bezsilnych świadków Męki Pańskiej znanych z niezliczonych renesansowych płócien. W cichym wyrazie solidarności otaczamy ją całą grupą. Miasto skrzy się pod nami niczym kolosalna chmara robaczków świętojańskich. Mój wzrok spoczywa na moście Golden Gate, który wygląda jak klejnot spinający dwie pozytywki. Tercet architektury, sztuki i beznadziei łączy się jak nanizany na sznurek, gdy stoimy obok naszej pokaleczonej przyjaciółki.

Sheba patrzy na każde z nas po kolei i proponuje:

– Może pójdziemy do łóżeczka i spatki?

– Nie chciałem poruszać tego tematu, Shebo – odzywa się Ike. – Zwlekąłem z tym, ale każda pora będzie nieodpowiednia. Gdzie jest twój cholerny tatuś?

Patrząc, jak twarz Sheby nagle wykrzywia nienawiść. Po chwili jednak aktorka bierze się w garść.

- Ike, nie mam ochoty rozmawiać o tym bydłaku.
- Ale rozumiesz, dlaczego musiałem cię o to zapytać, i zdajesz sobie sprawę, dlaczego to takie ważne – mówi Ike.
- Z biegiem czasu wszyscy dowiedzieliśmy się o twoim tacie i nikt z nas nie był tym zachwycony – wtrącam się.
- Jeśli to dla ciebie zbyt bolesne, Shebo, nie odpowiadaj – radzi Molly.
- Niestety, Molly, musimy wiedzieć przynajmniej, gdzie on jest – tłumaczy Niles.
- Masz rację – przytakuje Sheba. – Pokrótce wygląda to tak: gdy zdałam maturę, pojechał za mną do Los Angeles. Nie wiedziałam o tym. Ale on jest bystry i mądry jak mało kto. Wkrótce zaczęłam pracować jako aktorka. Odkrył, że mam mieszkanie w Westwood. I mnie zgwałcił.
- Ani słowa więcej – rzuca Fraser.
- Nie, chłopcy mają rację, wszyscy powinniście o tym wiedzieć. Więził mnie tam i wyprawiał ze mną najrozmaitsze rzeczy, ale nic takiego, czego by mi nie robił, kiedy byłam małą dziewczynką. Wtedy nauczyłam się od tego odcinać. Teraz zrobiłam to samo. W końcu uwolnił mnie, pojechał do San Francisco i tak samo potraktował Trevora. Podczas kręcenia następnego filmu wynajęłam ochroniarza. Tata o mało biedaka nie zabił. Jakie nazwisko miałam podać glinom? On posługiwał się setkami nazwisk. Raz był rudy, raz siwy albo łysy. Nosił bujną brodę i wąsy albo kozią bródkę. Oczywiście miał brązowe, niebieskie, zielone... Chodził w turbanie. W jarmulce. W berecie. W czapce baseballowej.
- A teraz? Gdzie jest teraz? – pyta stanowczo Ike. – Przez lata prześladował każdego z nas.
- Bogu dzięki, nie żyje. W końcu popełnił błąd. Pięć lat temu kręciłam film w Nowym Jorku. Wtedy miałam już tylu ochroniarzy, że nawet Secret Service nie dałoby im rady. Mieszkałam w luksusowym wieżowcu. Tata dostał się tam przebrany za dostawcę.

Odźwiernego, który go zatrzymał i zaczął wypytywać, zabił ciosem noża w serce. Włączył się alarm. Tatę obezwładnili. Zabójstwo nagrało się na taśmach ochrony. Jack Cross przyznał się do morderstwa i został skazany na dożywocie w Sing-Sing, bez prawa do zwolnienia warunkowego. Potem postradał zmysły. Przeniesiono go więc do dobrze strzeżonego wariatkowa, a tam skoczył z dachu. Koniec pieśni. Do dziś nikt nie ma pojęcia, że Jack Cross był moim ojcem.

– A ty skąd o tym wiesz? – chce wiedzieć Betty. – Musimy mieć pewność.

– Jack Cross pisywał do mnie z więzienia – wyznaje Sheba. – Prawie codziennie.

– Czy to było jego prawdziwe imię i nazwisko? – pyta Molly.

– Nie. Kiedy Trevor i ja przyszliśmy na świat, nazywał się Houston Poe.

– Ale jesteś pewna, że nie żyje? – dopytuje się Niles.

– W domu w Santa Monica mam urnę z jego prochami. Powinam powiedzieć wam o tym wcześniej, ale próbuję udawać, że on nigdy nie istniał.

– Do łóżka – zarządza Betty i wszyscy ściskamy się na dobranoc.

– Czy masz coś przeciwko temu, że sprawdzę tę historię? – pyta Ike, trzymając Shebę w niedźwiedzim uścisku.

– Skąd. Ale mam przecież jego prochy.

– Czyjeś prochy – prostuje Ike. – Niewykluczone zresztą, że to są prochy Jacka Crossa. Ale to jeszcze nie znaczy, że należą do twojego taty.

Wchodzę do mojej pozbawionej okien, klaustrofobicznej sypialni w piwnicy i z przyjemnością stwierdzam, że jest dobrze oświetlona, łóżko wygodne, a półki na ścianie pełne są starannie dobranych książek. Sheba wystukała instrukcje dla mnie na grubym arkuszu papeterii ze swoim nazwiskiem. Czytam je, gdy się rozbieram.

1) ŚNIADANIE Z HERBEM CAENEM O DZIEWIĘTEJ RANO W PERRY'S PRZY UNION STREET. (W SPOTKANIU UCZESTNICZYĆ BĘDZIE SHEBA). TO BARDZO WAŻNE, ŻEBY NAM POMÓGL.

2) IDŹ DO STAREGO MIESZKANIA TREVORA PRZY UNION STREET 1038 I POGADAJ Z NOWĄ LOKATORKĄ, PRAWNICZKĄ ANNĄ COLE. MOŻE COŚ WIE O TREVORZE I JEGO ZNIKNIĘCIU. POFLIRTUJ Z NIĄ, ROPUCHU. UŻYJ UROKU, KTÓREGO – JAK TWIERDZISZ – NIE MASZ. ZAPISUJ WSZYSTKO, CHOĆBY WYDAWAŁO CI SIĘ NIEWAŻNE.

3) O TRZYNASTEJ CAŁA GRUPA SPOTYKA SIĘ W WASHINGTON SQUARE BAR AND GRILL NA LUNCH I PORÓWNANIE NOTATEK.

TWOJA ULUBIONA GWIAZDA FILMOWA, SHEBA POE.

Gaszę światło i kładę się do łóżka, zanurzam w ciemność głębszą niż mrok, żyjąc życiem, które wydaje się równie mroczne.

*

Kiedy Trevor po raz pierwszy przeniósł się do San Francisco, narząsał się z nas, zwykłych śmiertelników, skazanych na nudny żywot w Karolinie Południowej. Był niezwykle czarującym rozmówcą i przez pierwsze kilka lat pobytu w tym mieście dzwonił do mnie i opowiadał godzinami. Zachwyciałem się jego biegłością w opowiadaniu i jubilerskim okiem do precyzyjnych, niezbędnych szczegółów. Pierwszą pracę dostał jako pianista w barze Curtain Call w dzielnicy teatrów. Dla nikogo z nas nie było zaskoczeniem, że już premierowym występem wywołał sensację. Potwierdzeniem sukcesu Trevora był fakt, że w pierwszą rocznicę jego występów w Curtain Call odwiedził go słynny felietonista Herb Caen, który napisał, że *Brzdąkający na pianinie młody czarodziej z Południa stał się legendą bon motów i ciętych ripost*. Ten felieton okazał się punktem zwrotnym w karierze Trevora, który przysyłał mi teksty Caena, żeby pokazać, w jaki sposób naprawdę znakomity pisarz potrafi przedstawić swe miasto dowcipnie, lekko i z wyrafinowaniem.

Następnego dnia rano wchodzę do Perry's i widzę, że Herb Caen bryluje już przy najlepszym stoliku w lokalu. Siedzi w otoczeniu grupy zapatrzonych w niego dyskretnych klakierów, dwóch zachwyconych właścicieli oraz turystów, którzy robią mu zdjęcia. Jego aura wzbudza emocje większe niż uwielbienie dla bohatera i tylko nieco mniejsze niż nagłe oświecenie osoby praktykującej buddyzm zen. Robotę na dzisiaj mam przygotowaną zawczasu. Jeszcze przed wyjazdem z Charlestonu skontaktowałem się z Herbem, prosząc go o pomoc. Teraz muszę spróbować go przekonać, by napisał artykuł o zaginięciu Trevora Poego i o tym, że jego przyjaciele ze szkoły w Karolinie Południowej wyruszyli na poszukiwania.

Widząc, że mu się przyglądam, ruchem ręki zaprasza mnie do stołu.

– Przepraszam, że w niedzielnym felietonie nie wspomniałem o twoim przyjacielu, Leo. Ale to żadna sensacja, *bubele*. W tym mieście na AIDS umierają tysiące. Tylko dziś rano w tej restauracji naliczyłem sześciu facetów chorych na AIDS.

– Po czym ich poznajesz?

– Za dwa dni sam będziesz ekspertem. Wyobraź sobie, że jesteś rosyjskim żołnierzem, który właśnie stanął pod bramą Auschwitz. Te wygłodniałe, zaszczute spojrzenia. W San Francisco takie spojrzenie to wyrok śmierci.

– Ale pamiętasz Trevora Poego – mówię. – Pisywałeś już o nim.

– To świetny facet. Zabawny jak cholera. Niesamowity pianista. Ale musisz dać mi historię. Nie ma haczyka, nie ma historii. Gejowaty muzyk, który złapał AIDS? Też mi sensacja!

– Wczoraj z Charlestonu przyleciało siedmioro jego przyjaciół ze szkoły, żeby go szukać. Jeden z nich, jako pierwszy czarny w historii Charlestonu, właśnie został awansowany na szefa policji.

– Ładna opowiadka. Może gdybym rysował komiksy o Mary Worth*...

* Mary Worth, znana jako Krwawa Mary – mityczna postać, która po spaleniu na stosie za uprawianie czarnej magii przemienia się w żądnego krwi upiora.

Parskam śmiechem. Herb rozbawił mnie jak podczas moich poprzednich wizyt. Ale on jeszcze nie skończył.

– Nigdy nie miałem tak znakomitego przewodnika po mieście jak ty, kiedy wpadłem do Charlestonu. Ale za to już ci się odwzajemniłem. W Charlestonie ta historia mogłaby zrobić furorę, ale tu, w Bagdadzie nad Zatoką, to przebrzmiała sprawa.

– Masz rację – przyznaję. – Postawię ci jeszcze jedną Krwawą Mary, Herb. Przez wzgląd na starą przyjaciół.

– Coś przede mną zatajasz – mówi. – Co masz? Co ukrywasz?

– To pewnie nic ważnego. Ty jesteś słynny facet. Z wielkiego miasta. Gdziekolwiek spojrzeć, same znane nazwiska. Nie potrzebujesz niczego od kogoś takiego jak ja. No, czas na mnie.

Łapie mnie za rękę.

– Zanim odejdziesz, muszę wiedzieć, jaką kość chciałeś mi rzuścić.

– Musisz to umieścić w swoim felietonie, Herb. Należą mi się z twojej strony szczególne względy. Inaczej zabieram to ze sobą na Południe.

– Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem? – burczy. – Cholera, ty nie masz niczego takiego, co mógłbym wykorzystać. Najbardziej sensacyjne wydarzenia z twojego życia nie zasługują na ostatnie zdanie w mojej rubryce. Gramy w innej lidze, Leo. Jesteś wystarczająco bystry, żeby to rozumieć.

– Ty jesteś orkiestrą symfoniczną, a ja zaledwie okaryną – przyznaję. – To dla mnie jasne jak słońce. Ale nigdy nie wypuszczam z rąk dobrego materiału, tak jak ty właśnie chcesz to zrobić. Potrzebuję cię, stary. W swoim fachu jesteś najlepszy w kraju, ale naprawdę muszę się zbierać. Smacznego, Herb. – Zamieszczę ci jutro jedno zdanie – obiecuje. – Co masz dla mnie, Leo? Oby to było dobre.

– Ja potrzebuję pół felietonu.

– Tracisz tylko czas. Swój i mój – prycha.

– Trzymaj się, Herb. Tu masz numer, pod którym można mnie złapać. – Podaję mu kartkę.

– Podpuszczasz mnie. Normalnie mnie podpuszczasz, żółtodziobie – mówi z lekkim podziwem. – Coś ci powiem, Leo. Dostaniesz pół felietonu. Ale to musi być bomba. Bo jak nie, to nie będzie *bubke. Comprende?*

– Znam wiele języków. W tym jidysz i włoski.

– No to wal.

– Trevor Poe jest bratem hollywoodzkiej aktorki Sheby Poe. To ona zorganizowała te poszukiwania. Przyleciała do Charlestonu, żeby prosić nas o pomoc.

– Ty draniu!

– Szkoliłem się u mistrza. Nauczył mnie, że zawsze trzeba mieć jakiegoś asa w rękawie. Pokazywać kapelusz, ale nigdy królika.

– A skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz? – pyta Herb.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, daję ci słowo.

– To za mało, chłoptasiu z Południa. Jak ci się zdaje, że z kim masz do czynienia? Z jakimś pełnoprawnym członkiem Synów Konfederacji?

– Udam, że nie słyszałem tej kalumnii dotyczącej mojego pochodzenia.

– Wciskanie kitu to robota dla szklarzy, nie dla dziennikarza.

Wyjmuję doskonałą łądogę selera z Krwawej Mary Herba i odgryzam koniec z liśćmi. Na ten znak kobieta ubrana skromnie w czarną skórzaną kurtkę i jedwabne spodnie zdejmuje ciemne okulary. Wstaje od stolika w końcu sali i zdejmuje szal od Armaniego. Rozpina kurtkę, odsłaniając kusą srebrzystą bluzkę, cienką jak folia do przechowywania żywności. Potrząsa głową i na ramiona opada kaskada złocistych loków. Przez salę idzie jednak zdecydowanie, bez tej wystudiowanej zmysłowości, jaką wkłada w każdą rolę. Cała restauracja siedzi zafascynowana przemianą tej anonimowej dotychczas kobiety. Słowa „Sheba Poe” wędrują od stolika do stolika, a ona

kroczy, nie spuszczać zielonych oczu z Herba Caena, który obserwuje ją z podziwem.

– Leo, załatwiłeś sobie na jutro temat dnia – oświadcza Herb, gdy wstaje i ruszam do wyjścia. – Załatwiliście to z klasą i z przytupelem, cukiereczki.

– Herb, pozwól, że przedstawię ci legendarną Shebę Poe. Shebo, to równie legendarny Herb Caen.

– Teraz ja się tym zajmę – mówi Sheba. – Zobaczymy się na lunchu. – I z perfekcyjnym wyczuciem czasu dorzuca: – Cukiereczku. – Po czym zwraca się do dziennikarza: – Straciłam brata, panie Caen. Potrzebuję pańskiej pomocy.

*

Zatrzymuję taksówkę, która zawozi mnie do dawnego mieszkania Trevora przy Union Street 1038 na Russian Hill. Ponad połowa jego przyjaciół w Charlestonie odwiedzała go w tym wspaniale wyposażonym pokoju gościnnym wychodzącym na Union Street, wечно zapchaną przez pieszych i samochody. Trevor korzystał z talentu do zawierania przyjaźni i przyjmował pod swój dach każdego, kto był choćby luźno związany z jego wierną grupą wielbicieli z Charlestonu. Odwdzięczaliśmy się, zapraszając go na stanowczo zbyt drogie kolacje do najmodniejszych aktualnie nocnych lokali, które z zaskakującą częstotliwością wyrastały w tym mieście żyjącym po zachodzie słońca. Na początek na siłę zaprowadził nas do Castro, żeby pochwalić się społecznością gejowską. Był niezwykle dumny z roli ambasadora Południa w swym gejowskim półświatku. Południe przydawało mu klasy, był dzięki niemu barwniejszy. Z biegiem lat przedstawił mi tylu gejów z Południa, od Tidewater z Wirginii po tych z górskich terenów Ozarks w Arkansas, że mógłbym powiesić ich akcenty na sznurze do bielizny, by wyschły, oddzielone tylko odmiennościami geograficznymi i połykaniem sylab. I chociaż jako szkolni kumple wiedzieliśmy, że zanim zwiął do Castro i jego nieopisanym rozkoszy, mieszkał w Charlestonie zaledwie przez rok, to

musieliśmy przyznać, że złapał jeden z najbardziej autentycznych charlestońskich akcentów, jakie zdarzyło nam się słyszeć. Przydał się tu jego talent parodysty.

Pamiętam, jak pewnego lata opowiadał w swoim ogrodzie wesołej grupie gejów z Chicago:

– Geje z Południa są najbardziej fascynującymi członkami naszego plemienia. To najlepsi rozmówcy, najbardziej pomysłowi kucharze i moim zdaniem mają zdecydowanie za mocne głowy. Ich rozpusta w łóżku woła o pomstę do nieba. W tym mieście przyjęcie z prawdziwego zdarzenia nie może się obejść bez co najmniej jednego geja o płytkiej osobowości, pochodzącego z któregoś ze stanów dawnej Konfederacji. Aktywiści gejowscy o cuchnącym oddechu i popsutych zębach mieli poważne zastrzeżenia, że podtrzymują przyjaźń z heterykami z Charlestonu. Ale to właśnie oni donoszą mi o tym, co dzieje się w ich nudnym aseksualnym świecie, w którym nawet pozycja misjonarska uchodzi za rewolucyjne zboczenie. To oni przypominają mi, że życie to szwedzki stół, a nie pudełko ciasteczek z Ritza. Poza tym są moimi przyjaciółmi z piaskownicy. Oczywiście mówię to metaforycznie, ale nigdy nie porzuca się ani nie deprecjonuje tych wspaniałych chłopców i dziewcząt, z którymi robiło się babki z piasku. Nawet Filistyni z Chicago, z duszami zmrożonymi przez wiatry znad jeziora Michigan, doceniają siłę przyjaźni sięgającą czasów piaskownicy. Chyba że wy tam, na Środkowym Zachodzie, zawieracie przyjaźnie w zaspach?

I wtedy Trevor z cudowną czułością puszcza do mnie oko, a ja rewanżuję się tym samym, zamknięty w bezbarwnym, pozbawionym polotu życiu heteryka. Ale śmiałem się ze wszystkiego, co mówił, myślał i wyczarowywał. Ja i jego przyjaciele zawsze odnosiliśmy wrażenie, że mieszkując w romantycznej, skrajnie erotomańskiej osobowości Trevora, wiemy pełniejszy i bogatszy żywot. To on sprawiał, że Fraser czuła się, jakby oglądała przedstawienie na Broadwayu, a Molly, jakby grała w nim główną rolę. Z Nilesa wydobywał opiekuńczość, z Berty matczyne uczucia, z Chada ambicję, a

ze mnie melodramatyczną stroną mojej natury. Tylko Ike krzywił się na brawurowe występy Trevora, którego akcent działał mu na nerwy.

– Pozbądź się tego akcentu, Trevorze – poradził mu kiedyś. – Nie pochodzisz z Charlestonu. Nie jesteś z Południa. W najlepszym razie mówisz jak trzeciorzędny czarny służący.

– Mój akcent brzmi jak brzęk osiemnastowiecznego kandelabru – odparł Trevor. – Mówiły mi to damy noszące takie nazwiska jak Ravenel, Middleton czy Prioleau, fiutasie.

Wysiadając z taksówki przy Union Street 1038, nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę Trevora Poego ani czy wejdę w tę uroczą przestrzeń, która przez lata tak wiele dla mnie znaczyła. Samochody śmigają obok mnie stanowczo za szybko, inne poruszają się susami, bo niewprawni kierowcy coraz naciskają na gaz, zaskoczeni stromizną Union, opadającej, by wtargnąć na North Beach. Podchodzę do drzwi i naciskam dzwonek. Nie oczekuję niczego, ale na wszelki wypadek przywołuję na twarz uśmiech południowca. Sheba pisywała do tej kobiety, ale nie dostała odpowiedzi. Nowa lokatorka nie raczyła też zareagować na liczne telefony od sekretarki Sheby. Kobieta nazywa się Anna Cole i jest młodą prawniczką z Duluth w Minnesocie.

– Anno Cole! – krzyczę w kierunku jednego z kształtnych okien wykuszowych salonu. – Jestem przyjacielem Trevora Poego z Karoliny Południowej i muszę z panią porozmawiać. Czy mogłaby pani otworzyć?

Nerwowa, ale efektowna kobieta otwiera drzwi z niepotrzebną wściekłością i przygląda mi się przez szparę zostawioną przez założony łańcuch.

– Czego, kurwa?! – warczy. – Dlaczego mnie pan śledzi?

– Psze pani, my się nie znamy – wyjaśniam. – Wcale pani nie śledzę. Przedtem mieszkał tu mój serdeczny przyjaciel Trevor Poe i wraz z grupą przyjaciół próbuję go odszukać.

Spogląda ponad moim ramieniem dzikim, nieufnym wzrokiem.

– Wzięłam pana za zboczeńca, który śledzi mnie od tygodnia. A skąd to badziewne „psze pani”?

– Jestem z Południa – tłumaczę. – Mamy to wpojone od urodzenia. Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

– Zawsze uważałam, że Południe jest najbardziej porąbane w całym tym kraju.

– Podpisuję się pod tym obiema rękami. Ale nigdy nie byłem w Minnesocie – mówię.

I znów budzi się jej paranoja.

– Skąd wiesz, że jestem z Minnesoty?

– Sprawdziliśmy taką jedną pannę z Minnesoty, która wywaliła naszego przyjaciela z mieszkania.

– Słuchaj no, George'u Wallasie*, czy jak tam się nazywasz, ja tu odchodzę od zmysłów. Wybrałam sobie niewłaściwego faceta. Dałam znać na policję, ale oni nic nie mogą zrobić, dopóki mnie nie zgwałci, poćwiartuje i wrzuci do zatoki. Zresztą to nie ja eksmitowałam twojego przyjaciela z mieszkania. Nie płacił, cholera, czynszu. Czy to moja wina?

* George Wallace – czterokrotny gubernator Alabamy, rasista.

– Masz rację, Garrisonie Keillorze**. Nie twoja wina.

** Gary Edward „Garrison” Keillor – amerykański pisarz, dziennikarz radiowy, satyryk i prześmiewca.

– Zaszufładowałeś mnie, czego cholernie nie lubię.

– My, George'owie Wallace'owie, przeważnie szufładkujemy prostaków z Duluth, którzy próbują szufładować nas.

– Nie powinnam tak mówić – usprawiedliwia się. – Przepraszam. A teraz już sobie idź.

– Muszę odnaleźć przyjaciela – naciskam. – Mam do ciebie tylko kilka pytań, Anno Cole.

– Jezu! – Jej przerażenie jest jak najbardziej autentyczne. – On znowu tu jest. Siedzi w tej szpetnej hondzie w pół drogi do rogu ulicy. Teraz się schylił. Nie zobaczysz go.

Wyjmuje rękę zza pleców i pokazuje pistolet. Obchodzi się z nim nieporadnie, jak mała dziewczynka po raz pierwszy w życiu trzymająca grzechotnika... albo jak chłopiec.

– Potrafisz się tym posługiwać? – pytam.

– Celuję w jego jaja, pociągam za spust, i bach! Nie ma jaj. Co w tym trudnego?

– Pożyczysz mi ten pistolet, Anno? – proszę niezwykle uprzejmie. – Nieźle sobie radzę z bronią. Ale jeśli uda mi się przepłoszyć twojego przyjaciela, będziesz musiała mi odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących Trevora.

Przygląda mi się, jakby dopiero teraz mnie zobaczyła.

– Niby dlaczego miałabym ci zaufać?

– Bardziej ufasz tamtemu?

– Mógłbyś mnie okraść. Mógłbyś mnie zgwałcić. Mógłbyś mnie zabić, a gliniarze powiedzieliby tylko: „Co za durna cipa! Dała mu własny pistolet”.

– Tak jest, psze pani. To jeden z możliwych scenariuszy – przyznaję. – Ale sądzę, że dla pani uda mi się go splawić. Mam bujną wyobraźnię.

– A co ja z tego będę miała?

– To, że zaraz się dowiemy, czy też masz wyobraźnię, czy nie. No i sprawdzimy, czy znasz się na ludziach.

– Nie podoba mi się twoja twarz. – Mierzy mnie twardym wzrokiem.

– Mnie też się nie podoba. Od dziecka.

– Będę cię obserwowała przez okno – ostrzega.

Ze zrozumiałym zdenerwowaniem wciska mi do ręki niewielką dwudziestkędwójkę. Chowając pistolet do kieszeni marynarki, dostrzegam, że nie jest nabyty. Ponownie stukam do drzwi, które Anna uchyla z irytacją.

– Kupiłaś naboje do tego pistoletu? – pytam.

– Nie uznaję przemocy, rozlewu krwi, a nawet kary śmierci – informuje mnie Anna Cole z pewnością, która wydaje mi się odpychająca.

– A gdyby ten twój zboczeniec mnie zabił? Chciałabyś, żeby usmażył się na krześle elektrycznym? Albo zadusił w komorze gazowej?

– Chciałabym, żeby dostał dożywocie bez prawa zwolnienia warunkowego.

– A więc uważasz, że byłoby dla niego lepiej, gdyby do końca życia robił znaki drogowe i tablice rejestracyjne? Uważasz, że powinien zapisać się na kursy korespondencyjne przygotowujące do studiów albo na kurs poezji prowadzony przez jakiegoś bitnika z Telegraph Avenue?

– Uważam, że życie ludzkie jest święte – oświadczam.

– Garrison Keillor.

– Nie waż się mnie tak nazywać! – prychnął.

– Moja żona właśnie umiera na raka. Obiecujesz, że zajmiesz się dwanaściorgiem moich dzieci, jeśli zostaną sierotami po strzelaninie na Union Street?

– Nie będzie żadnej strzelaniny. Nie masz kul.

– Ale zboczeniec może mieć. Dajesz słowo, że weźmiesz na utrzymanie sieroty po mnie, gdyby znalazły się w potrzebie?

– Czy wy, tam na Południu, nie słyszeliście o antykoncepcji? – pyta, ale wymięka i mówi: – Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy.

– A zatem, Anno Cole, idź do okna. Fanfary proszę. Zaraz się zacznie ostatni odcinek *A Prairie Home Companion**.

* *A Prairie Home Companion* – wieloletni show radiowy Garrisona Keillora; historię ostatniego odcinka serialu przedstawia słynny film Roberta Altmana *Ostatnia audycja*.

Przechodzę na drugą stronę Union Street i idę w dół, nawet nie rzucając okiem na hondę. Ale minąwszy ją, zawracam i zapisuję numer rejestracyjny oraz fakt, że jest to brązowy accord rocznik 1986. Notując te informacje, widzę, jak mężczyzna w środku po raz drugi podnosi głowę. Kiedy podchodzę do niego od strony kierowcy, znów znika i kładzie się na podłodze przed przednimi siedzeniami. Stukam w szybę, żeby zwrócić jego uwagę, on jednak nadal leży bez ruchu.

Stukam mocniej.

– Proszę opuścić szybę. Chciałbym z panem porozmawiać.

– Wal się pan, panie władzo – piszczy do podłogi. – Nic nie zrobiłem. Tu można parkować.

– Straszy pan panią mieszkającą po przeciwnej stronie ulicy – wyjaśniam. – Niech pan opuści szybę.

– A ja mówię: „wal się”. Tak, tym razem brzmi to jeszcze lepiej.

Ujmuję pistolet za rękojęść i wybijam szybę. Resztki szkła wykopuję prawą nogą, celując od góry. Nogę mam potężną i szyba pęka w nader widowiskowy sposób. Swego czasu byłem kadetem w Cytadeli i potrafię zgrywać twardziela.

– No toś się doigrał! Już nie żyjesz! – Strząsa z siebie odłamki szkła. Prostuje się gwałtownie, wściekły i czerwony na twarzy, a ja oceniam wzrokiem jego pospolite, mało efektowne rysy, gdy poprawia ciemne okulary. Gdybym zeznając przed sądem, musiał podać rysopis tego faceta, powiedziałbym, że jego twarz jest skromna, pospolita i funkcjonalna, dokładnie jak honda accord. Przystawiam mu broń do czoła, ale zachowując dobry humor, daję znaki przechodniom, że sytuacja jest pod kontrolą. Zdejmuję mu okulary i chowam do kieszeni.

Krzaczaste brwi pełzną po jego czole jak gąsienice. Ma brązowe oczy, w odcieniu samochodu, i nosi tanią czarną peruczkę.

– Pański portfel – rzucam rozkazująco. Biorę go do ręki i ciągnę: – Dziękuję za pańską niezwykłą gotowość do współpracy. Pan John Summey. O? A to niewątpliwie śliczna pani Summey. I trójka przystojnych synów. O kurczę, jest pan członkiem American Express od siedemdziesiątego trzeciego roku. A pańska karta Visa wciąż jest ważna. Zwracam panu jednak uwagę, że karta Discovery straciła już ważność. Zatrzymam pański portfel na miesiąc czy dwa. Przez ten czas okaże się, czy przestanie pan napastować tę miłą młodą kobietę mieszkającą po drugiej stronie ulicy. Dokądkolwiek pójdzie, wszędzie widzi pańską wstrętną gębę. Ale skoro mam pańskie prawo jazdy i wiem, że mieszka pan przy Vendola Drive dwadzieścia pięć siedemset dziesięć w San Rafael, to pan częściej będzie oglądał moją

paskudną gębę.

– Znam osobiście burmistrza – prycha facet. – Wylecisz na zбитy pysk, gnojku. Wieczorem będziesz przeglądał ogłoszenia, szukając nowej roboty.

– Słyszysz? Tak szczękają moje zęby. Ale bierzesz mnie za kogoś innego, kolego. Nie jestem gliną. Jestem mężem tej pani i właśnie wyszedłem z San Quentin. Ma pan kluczyki do samochodu, panie Summey?

– Tak jest, proszę pana.

– Pasuje ci, jeśli cię puszcze? Obiecałem żonie, że cię zabiję. Ale wiesz, jakie są kobitki. Sentymentalne jak jasny gwint. Opowiem o twoich trzech synach, zagram na jej uczuciach. Kapujesz, do czego piję?

– Tak, proszę pana. – Drżącą ręką gmera w kieszeni i usiłuje włożyć kluczyk do stacyjki.

– W ciągu miesiąca odeślę ci portfel pocztą – obiecuję.

– Będę zobowiązany.

– A teraz, Summey, musimy załatwić to tak, żeby moja żona była zadowolona. Liczę na twoją pomoc. Masz dwadzieścia sekund, żeby się stąd wynieść. Bo potem zacznę strzelać w twoją głowę. Dwie sekundy już minęły.

Nigdy nie widziałem, żeby samochód wystartował tak szybko, chyba że na torze wyścigowym w Darlington.

Niedbałym krokiem wracam pod dom przy Union 1038, znowu dzwonię i słyszę pełen napięcia głos Anny Cole dobiegający zza zamkniętych drzwi.

– Z ciebie jest jeszcze większy świr niż z niego – mówi.

Widzę jej sylwetkę odcinającą się na tle staroświeckich koronkowych firanek, które niegdyś należały do Trevora Poego.

– Trudniej było się go pozbyć, niż myślałem – wyjaśniam.

– Musiałeś wybijać mu szybę?

– Nie był zbyt rozmowny, więc uznałem, że w ten sposób zwrócę jego uwagę.

– Wyjdź stąd natychmiast albo wezwę policję. Jesteś szalony,

bez dwóch zdań. Nie chce mi się z tobą gadać i nie wiem, co się stało z twoim przyjacielem. Powiedziałabym ci, gdybym coś wiedziała. Idź już sobie.

– W porządku. Dzięki za pomoc.

Odwracam się i schodzę po kilku schodkach na Union Street.

Naraz słyszę, że drzwi znów się otwierają.

– Można prosić o pistolet mojego taty? – pyta Anna.

– Nie. Nie wierzysz w przemoc i rozlew krwi, pamiętasz? Zatrzymując tę broń, pomagam ci wieść nabożne i liberalne życie. Nie dostaniesz ani pistoletu, ani numerów rejestracyjnych faceta, który cię prześladował, ani portfela pełnego informacji o jego zwyrodniałym życiu.

Stoimy twarzą w twarz, mierząc się wrogimi spojrzeniami, ale ona jest nie w ciemną bita.

– Napijesz się ziołowej herbaty?

– Nie. Masz może kawę?

– Nie lubię kawy.

– A ja ziołowej herbaty. No nic, muszę się zbierać. Proszę, oto pistolet twojego taty. Kup sobie do niego trochę naboji. Jeżeli ten facet nie jest zbrojcem, to znaczy, że minął się z powołaniem. A to portfel. Wyślij kopię jego prawa jazdy na policję.

– Napijesz się soku owocowo-warzywnego?

– Owszem. Bardzo chętnie.

Widok salonu przyprawia mnie o szok – Anna prawie nic nie zmieniła w mieszkaniu Trevora. Ustawiała rodzinne fotografie z Minnesoty na jego fortepianie, na którym kiedyś trzymał zdjęcia najlepszych przyjaciół i słynnych osobistości, poznanych z biegiem lat. Na moją uwagę, że zachowała wszystkie meble i dzieła sztuki należące kiedyś do mojego przyjaciela, Anna tłumaczy roztrzęsionym głosem:

– Niczego nie ukradłam. Wynajęłam mieszkanie z całym umeblowaniem i z radością przekonałam się, że wystrój jest dziełem człowieka o doskonałym guście.

– A dlaczego on to wszystko zostawił? Uwielbiał każdy z tych mebli, każdą książkę i każdy srebrny sztuciec.

– Nie mam pojęcia. Eksmitowali go jakieś pięć miesięcy temu. Ja wprowadziłam się przed trzema miesiącami. Nie płacił czynszu przez ponad rok. Właściciel, pan Chao, wyrzucił go z ciężkim sercem, ale nie miał wyboru. Trevor nie przyznał mu się, że ma AIDS. W ogóle nie powiedział, że jest chory. Opowiadając mi o tym, pan Chao załamał się i rozplakał. Domagał się, żeby całe umeblowanie było w takim stanie, w jakim Trevor je zostawił. Ono wciąż należy do niego. Ja tylko się nim zajmuję. – Nagle zapytała: – A właściwie jak ty się nazywasz?

– Leo King. Chodziłem z Trevorem do liceum.

– Kiedy się wyprowadzał, był niewątpliwie w ciężkim stanie. Sąsiedzi często o nim mówią. Nienawidzą mnie, bo uważają, że to ja ukradłam mu mieszkanie.

– Gdzie są jego albumy ze zdjęciami? – pytam. – Chciałbym je zabrać i przejrzeć dokładnie razem z przyjaciółmi.

Otwiera szufladę, wyjmuje album i pyta:

– Jesteś żonaty, Leo?

– Owszem.

– Ale nie nosisz obrączki – zauważa.

– Żona chce się rozwieść. Ukradła mi ją podczas naszego ostatniego spotkania w Charlestonie, kiedy brałem prysznic. Od tamtej pory nie widziałem ani jej, ani obrączki.

– Dzieci?

– Zawsze chciałem je mieć. Starla nie.

– Starla? – dziwi się Anna. – Niezwykłe imię.

– Chyba pochodzi z języka Irokezów.

– A co znaczy? – docieka. – Interesuje mnie wszystko, co ma związek z rdzennymi Amerykanami.

– W wiernym przekładzie brzmiałoby to: „Nad brzegami Gitche Gumee*”.

* Gitche Gumee – nazwa użyta na określenie Jeziora Górnego przez Longfellowa w eposie *Song of Hiawatha*. Całe zdanie to pierwszy wers najslynniejszej części poematu.

- Znów się natrząsas z Minnesoty.
- Więcej nie będę – obiecuję.
- Bogu dzięki. Twoje żarty są mało zabawne. Powiedz mi, co ty właściwie wiesz o Minnesocie?

– Drużyna futbolu Vikings. W baseball grają Twinsi. Minneapolis z całego serca nienawidzi St Paul, i z wzajemnością. Największa galeria handlowa to Mall of America. Dziesięć tysięcy jezior. Legendarny drwal Paul Bunyan i jego towarzysz Babe, Niebieski Wół. Klinika Mayo. Jezioro Górne. Minogi morskie. Bobry, Nury. Brak jadowitych węży. *Nad błyszczącą wielką słoną wodą**. Wigwam Nokomis**. Kanadyjskie gęsi. Milion Szwedów. Zatrzęsienie Norwegów. F. Scott Fitzgerald. Jezioro Itasca. Jezioro Wobegon. I, chociaż mówię to z bólem serca, bo najwyraźniej cię to wkurza, Garrison Keillor.

* Drugi wers najsłynniejszej części eposu *Song of Hiawatha*.

** Nokomis – postać z *Song of Hiawatha*.

- Całkiem nieźle, Leo. Jestem pod wrażeniem.
- Miło mi. No, to skoro powiedziałem, co wiedziałem, teraz twoja kolej. Powiedz mi wszystko, co wiesz o Karolinie Południowej.
- Zdaje się, że to wy wszczęliście wojnę secesyjną, jakoś tak to było – mówi niepewnie.
- Bardzo dobrze. Wiesz o Forcie Sumter?
- Park Research Triangle. Uniwersytet Duke'a. Tar Heels***.

*** Tar Heels – potoczna nazwa Karoliny Północnej, tamtejszego uniwersytetu stanowego i drużyn sportowych.

- To Karolina Północna – prostuję.
- Dla mnie to jedno i to samo. Zawsze miałam Południe w dupie.
- Dziwne. Na Południu Minnesota jest nieustającym tematem rozmów salonowych. Słuchaj, mogę zabrać ten album ze zdjęciami?
- Jasne. A co z resztą gratów?
- Jakich gratów?
- Ponad trzydzieści pudeł. Spakowałam wszystko w kartony i

zmagazynowałam w garażu. Jego ubrania. Rzeczy osobiste. I takie, o których lepiej nie mówić.

– Przyślemy kogoś po te pudła. A co to za rzeczy, o których lepiej nie mówić?

– Część z nich to... – zaczęła i urwała.

– To co?

– Część to najohydniejsza pornografia, jaką widziałam. Mam gdzieś, czy ktoś jest gejem, czy nie. Cholera, w końcu mieszkam w San Francisco. Ale za takie rzeczy można wylądować w pudle.

– Trevor lubił pornografię. Nazywał ją swoją „kolekcją filmów zagranicznych”. Te filmy też zabierzemy.

– Niektóre obejrzałam. Lepiej nie przewozić czegoś takiego przez granicę stanu.

– Zaryzykujemy. Dlaczego oglądałaś pornografię Trevora?

– Z ciekawości. Myślałam, że może się podnieć. Ale efekt był wręcz odwrotny.

– Mnie też to nie brało. Trevor pokazywał mi swoje filmy, kiedy wpadałem z wizytą. Twierdził, że próbuje mnie zwabić na mroczną stronę życia.

Nagle Annie przychodzi coś do głowy – ma wyrazistą twarz, która odzwierciedla wszystko, co dzieje się w jej wnętrzu.

– Znasz to zdjęcie, które Trevor trzymał w łazience? Czy to Charleston?

– Owszem. Mogę rzucić na nie okiem, kiedy będziesz mi nalewała ten obiecany sok owocowo-warzywny?

Na końcu długiego korytarza skręcam w prawo do małej toalety, gdzie wisi powiększona fotografia przedstawiająca okazałe rezydencje przy South Battery Street. Domy lśnią wspaniałą nutą doskonałego, słonecznego popołudnia. To zdjęcie zawsze wzbudzało śmiech gości z Karoliny Południowej, bo Trevor wołał do nas przez zamknięte drzwi łazienki: „Kiedy ciało daje mi znać, że zaraz dostanę erekcji, to od razu myślę o Charlestonie”.

Zabieram fotografię, wracam do salonu i opowiadam tę historię

Annie, popijając sok, który doprawiła ostrym sosem tabasco i sokiem cytrynowym.

– Mogę zabrać to zdjęcie? Bardzo podniesie na duchu ludzi, z którymi jestem umówiony na lunch.

– Tak, jasne – bąka, aczkolwiek niechętnie. – Chociaż będzie mi go brakowało. W którym z tych domów Trevor się wychował?

Już miałem jej zdradzić prawdę, doszedłem jednak do wniosku, że ludzie często potrzebują mitów, które sami sobie stworzyli.

– W tym tutaj. Na rogu Meeting i South Battery – odpowiadam.

– Wiedziałam, że wywodził się z uprzywilejowanej rodziny.

– Miałaś świętą rację. A swoją drogą, czy mogę spisać dane tego twojego prześladowcy? Przyjechałem tu z parą gliniarzy, więc chciałyby, żeby sprawdzili jego kartotekę.

Przepisuję wszelkie informacje z jego portfela, dziękuję Annie za pomoc i zostawiam nasz adres.

– Gdybyś przypomniła sobie coś, co pomogłoby nam odszukać Trevora, znajdziesz nas tutaj. Przepraszam za szybę w samochodzie tego faceta. Mnie samego dziwiło moje zachowanie, a ciebie pewnie wystraszyłem.

– Wzięłam cię za świra – przyznaje. – Wiesz, Leo, cała ta sprawa jest przedziwna.

– Słucham.

– Dostałam dwa listy od kogoś, kto twierdzi, że jest Shebą Poe. No i były telefony... ale poznałam, że ktoś tylko się pod nią podszywa. Dasz wiarę?

– Zachowaj te listy. Kiedyś będą gratką dla kolekcjonerów. – Wstaję, biorę album i fotografię. – Dzięki za pomoc. Tu masz nasz telefon i adres, pod którym się zatrzymaliśmy. Odzywaj się, mała.

Idąc w dół ku Washington Square, rozmyślałam o spotkaniu z Anną Cole i jej reakcji na mnie jako na południowca. Dopóki nie zacząłem jeździć po kraju, nie zdawałem sobie sprawy, jak dziwnym stworzeniem jest mieszkaniec Południa. Dopiero gdy w trakcie podróży

spotkałem ludzi z Vermontu, Oregonu czy z Nebraski, dowiedziałem się, że południowiec jest uosobieniem oszpeconej psychiki narodu, brodawką albo czyrakiem, wymagającym obszernych wyjaśnień bądź operacji plastycznej. Irytowały mnie spotkania z ludźmi, których nienawiść do Południa wynikała z czystej ignorancji. Swego czasu w jednym z felietonów podałem listę powodów, dla których Południe jest tak zniechęcające, i zachęcałem czytelników, żeby dopisywali kolejne przykłady pogardy, z jaką południowiec może się spotkać w podróży. Moja lista była bardzo prosta:

1. Niektórzy nie znoszą akcentu z Południa.
2. Z powodu tegoż akcentu niektórzy idioci mają południowców za głupków.
3. Niektóre czubki wciąż przypisują mi winę za wojnę secesyjną, chociaż jeśli mnie pamięć nie myli, zabiłem raptem trzech Jankesów pod Antietam.
4. Wielu czarnoskórych, których spotkałem poza Południem, obwinia mnie o prawa Jima Crowa*, segregację rasową, potrzebę istnienia ruchów na rzecz obrony praw obywatelskich, śmierć Martina Luthera Kinga, istnienie Ku-Klux-Klanu, lincze i plagę niewolnictwa.

* Prawa Jima Crowa – prawa wprowadzane na stopniu lokalnym i stanowym w latach 1875–1965, pogłębiające segregację rasową w USA.

5. Kinomani nienawidzą Południa, ponieważ widzieli *Narodziny narodu*, *Przeminęło z wiatrem*, *W upalną noc*, *Zabić drozda* i *Easy Ridera*.
6. Pewien facet z Ohio nienawidzi Południa, bo kiedyś jadł kaszę kukurydzianą na lotnisku w Atlancie. Przyznał, że dodał do niej mleko i cukier i uznał, że nigdy w życiu nie jadł tak paskudnego kremu.
7. Wiele kobiet, które wyszły za południowców, a potem wzięły rozwód, nienawidzi Południa, tak samo jak mężczyźni, którzy ożenili się, a potem rozwiedli z kobietami z Południa. Wszyscy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, którzy związali się, a następnie rozwiedli z południowcami, nienawidzą swoich południowych teściowych –

ergo całego Południa.

8. Wszyscy liberałowie osiedleni w innych stronach nienawidzą Południa za to, że jest tak konserwatywne. Za nic nie uwierzą, że prawdziwy liberał mógłby być południowcem.

9. Wszystkie kobiety nie pochodzące z Południa nienawidzą tutejszych kobiet, bo te uważają się za znacznie piękniejsze niż kobiety z mniej ważnych stanów.

10. Wszyscy Amerykanie niebędący południowcami nienawidzą Południa, ponieważ wiedzą, że południowcy mają głęboko w nosie, co o nich sądzi reszta kraju.

Felieton ten wywołał w społeczeństwie takie namiętności, że dostałem ponad tysiąc listów za i przeciw, tak więc reakcja Anny Cole na Południe nie była bezprecedensowa.

*

Od pierwszych dni pobytu w San Francisco Trevor Poe rościł sobie prawo do tytułu głównego ekscentryka wśród zróżnicowanego grona bywalców Washington Square Bar and Grill. Lokal ten, ze swym dyskretnym dziwactwem i eklektycznym wystrojem, zawsze był dla mnie zwiewną wizytówką duszy San Francisco. Dzięki pozycji Trevora, zarówno jako stałego klienta, jak i pianisty, który często występował w tym miejscu, restauracja ta jest dla nas jakby drugim domem. Na powitanie w dzielnicy Trevor dostał stolik przy oknie i nigdy nie zrzekł się tego honorowego miejsca, z którego obserwował wielki karnawał miasta, przesuający się w afektowanym surrealizmie, jaki North Beach ma do zaproponowania.

Gdy Leslie Ashe – najwspanialsza kelnerka na świecie, mówiąc słowami Trevora – przyszła, by przyjąć zamówienie, wskazał przez okno na wieżę Coit, stojącą w erotycznej pozie na szczycie Telegraph Hill, i zapytał:

– Kochanie, czy wierzysz, że wieża Coit jest przykładem symboliki fallicznej albo dosłowną interpretacją stojącego penisa?

– Jestem tylko kelnerką, skarbie – odpowiedziała Leslie – Po-
dam ci to, co chcesz zjeść i wypić, ale przewodnika po mieście szu-
kaj sobie gdzie indziej.

– Nade wszystko uwielbiam dowcipne, zaskakujące odpowiedzi
eleganckich kobiet. Czy wasz barman potrafi zmieszać taką Krwawą
Mary, której nigdy nie zapomnę?

– Mike, trafił nam się burak, który chce wiedzieć, czy potrafisz
przyrządzić Krwawą Mary.

– Krwawe co? – zainteresował się Mike McCourt (najwspaniał-
szy barman na świecie, że znów posłużę się słowami Trevora). –
Niech no sprawdzę w podręczniku barmana.

I tak zaczął się długi związek Trevora z Washbagiem – stał się on
jego główną siedzibą, azylem i ucieczką przed domem, którego tak
naprawdę nigdy nie miał.

Dzisiaj zjawiam się pierwszy. Leslie najpierw obłapia mnie w
niedźwiedzim uścisku, a potem całuje w policzek, jak siostra. Mike
Mccourt przesyła mi z daleka całusa i szykuje Krwawą Mary. Cała
restauracja odnotowała nagle zniknięcie Trevora i wszyscy niepokoją
się jego chorobą i tym, gdzie się podziewa. Wzrusza mnie, gdy Le-
slie stawia Krwawą Mary na stoliku Trevora i ruchem ręki zaprasza
mnie, żebym usiadł.

– Gdybyśmy usłyszeli coś na temat Trevora, będziemy was in-
formowali na bieżąco – obiecuje. – Jeżeli ten mały drań wpadł w
kłopoty, mógł zamieszkać u mnie.

– Wiesz, że koty uciekają do lasu, żeby umrzeć w samotności –
mówię.

– Szukają go wszyscy, którzy tu bywają. Mamy oczy i uszy w
całym mieście.

– Wobec tego go znajdziemy.

Wkrótce zjawiają się kolejni członkowie paczki z Charlestonu i
scena powitania z Leslie i Mikiem powtarza się na okrągło. Nasza
grupa urządziła dla nich przyjęcia, kiedy odwiedzili Charleston z
Trevorem, zanim jeszcze epidemia AIDS po cichu wsączyła truciznę

do krwi niczego niepodważającej społeczności gejów. Tymczasem teraz gazety z okolic Zatoki spuchły od zalewu nekrologów zamieszczanych przez partnerów i tych, którzy przeżyli – chociaż wielu z nich także nosi w sobie wirusa. Czytając je, szlocham, a w surowym doborze słów zawsze staje mi przed oczami twarz Trevora Poego. To nowa, straszliwa literatura, przekazująca ból, stratę i beznadziejną żalobę z powodu śmierci chłopców.

Zamawiamy lekki lunch i przystępujemy do porównywania notatek z naszych porannych dokonań. Sheba wchodzi do restauracji ubrana w pospolity strój, zakamuflowana, więc nikt jej nie rozpoznaje. Dziwi mnie, że nie przywitała się z Mikiem ani z Leslie, i daję temu wyraz.

– Nie znam ich – wyjaśnia. – Jestem tu po raz pierwszy.

– Jak ci poszło z Herbem Caenem po moim wyjściu? – pytam. – Wyglądało to jak początek czegoś grzesznego.

– Materiał na całą stronę. Jutro rano. Herb opisze, jak to słynna aktorka w towarzystwie przyjaciół z liceum w Charlestonie przyjechała szukać brata, który umiera na AIDS. Jest zachwycony, że Ike i Betty są czarni, Fraser i Molly damami z towarzystwa, Niles sierotą, a Leo felietonistą, jego kolegą po fachu.

Bijemy brawo, ale Niles jest wyraźnie urażony.

– Musiałaś mu mówić, że jestem sierotą? Dlaczego mu nie powiedziałaś, że jestem dyrektorem sportowym w Porter-Gaud albo że wykładam historię dla wyróżniających się uczniów?

– Dla dobra tekstu – tłumaczę mu. – Żałosny chłopak z sierocińca szukający umierającego na AIDS przyjaciela z dzieciństwa... My, żurnaliści, uwielbiamy takie smaczki.

Shebę irytuje ta sprzeczką.

– Leo jest obojnakiem, Molly puszczałką lesbijką, a ja mam romans z prezydentem Bushem. Chcę po prostu odnaleźć brata, jasne? Nie chciałam cię urazić, Nilesie. Wiesz, co o tobie myślimy.

– Nie mam pojęcia, Shebo, co ty o mnie myślisz – mówi Niles.

– To samo co wszyscy: że jesteś najlepszy z nas. Absolutnie

najlepszy. Masz charakter ukształtowany przez to, że w dzieciństwie przeszedłeś piekło. Z tego samego powodu twoja siostra znikowała. Ja i Trevor stoimy na krawędzi, bo nie poradziliśmy sobie z tym piekłem tak dobrze. Ale ty i Betty... was piekło wzmocniło. Pokazało waszą siłę charakteru, udowodniło, że jesteście ze stali.

Przez pewien czas jemy i pijemy w milczeniu. W końcu Ike odchrząkuje i mówi:

– Oto, czego dowiedzieliśmy się z Betty: szef policji odesłał nas do gliniarza, który od lat patroluje rewir Castro.

– Przecież Trevor mieszkał na Russian Hill – protestuje Fraser.

– Nic się nie martw – uspokaja ją Betty. – Naszego chłopaka dobrze znają w Castro. Ten gliniarz jest fascynujący. Na początek od razu przyznał się, że jest gejem. Ma akta Trevora. Prawdę mówiąc, zdradził nam, że kiedyś z nim flirtował i liczył, że wyjdzie z tego coś poważniejszego. Trevor przyznawał, że ma słabość do facetów w mundurach.

– Założę się, że właśnie dlatego zawsze lubił Ike'a, – wtrącam.

– Przymknij się, Ropuchu! – burczy Ike. – Trevora wsadzili kilka razy za pijaństwo w miejscach publicznych. Raz go złapali za jazdę na bani. Zapłacił mandat. Musiał zaliczyć kilka lekcji. Cztery czy pięć razy znaleziono przy nim trawkę, ale w tym mieście to tak, jakby miał przy sobie pietruszkę.

– Najważniejszym zarzutem w jego kartotece jest fakt, że raz oskarżono go o posiadanie kokainy z zamiarem sprzedaży – przejmuje paleczkę Betty, czytając swoje zapiski. – Znów zapłacił mandat, ale nie przyznał się do winy. Cytuję: „Wysoki Sądzie, każdy cholerny gram zamierzam wciągać wyłącznie na własny użytek”. Sędzia skwitował to śmiechem.

– Cały Trevor – rzuca z uśmiechem Niles.

– Zadzwoniliśmy do gościa, który zatrzymał go za jazdę po pijaku – mówi Ike. – Gliniarze to dziwni ludzie. Miał prawo się wkurzyć, że dzwonicmy do niego tak ni z tego, ni z owego. Ale kiedy

wy tłumaczyłem, kim jesteśmy i co tu robimy, zdradził nam, że Trevor był najbardziej szarmanckim, uprzejmym i komicznym pijakiem, jakiego przymknął. Powiedział mu: „Panie władzo, tacy jak pan pozbawiają ludzi całej frajdy z prowadzenia na bani. Na pańskim miejscu bym się wstydział”.

– Chryste Panie. – Fraser zasłania rękami twarz. – Kiedy miałam piętnaście lat, gdybyście mi powiedzieli, że pewnego dnia będę szukała chorego homoseksualisty, który zażywał narkotyki i spał z setkami mężczyzn, złożyłabym oświadczenie pod przysięgą, że całkiem odebrało wam rozum.

– Fraser, tyś się urodziła ze srebrną zastawą w dupie! – rzuca Sheba.

Jej wybuch furii zamyka nam usta i siedzimy w nienormalnym zakłopotaniu.

– Za to ty urodziłaś się piękna – odpowiada Fraser, wyraźnie wstrząśnięta. – Zamieniłabym się z tobą w każdej chwili.

– Uważasz, że dzięki temu byłam szczęśliwa? Czy ktoś z was sądzi, że dzięki temu byłam szczęśliwa choćby przez jeden dzień? Czy myśląc o mnie, ktośś z was mówi: „Boże, dlaczego ja nie jestem taką Shebą Poe?”.

– Odczep się od Fraser – mówi Molly kategorycznie. – Posłuchajmy, czego Leo dowiedział się w mieszkaniu Trevora.

Rozdaję cztery albumy ze zdjęciami i pamiątkami – prawdziwą skarbnicę. Patrzą na dziesiątki mężczyzn, których poznałem przez lata – śmieją się do mnie z przeszłości, napawając się swoją niesłychaną urodą.

– Chryste Panie – wzdycha Betty, przerzucając z Ikiem kolejne kartki. – Czy istnieje coś takiego jak brzydki gej? W życiu nie widziałam równie przystojnych mężczyzn.

– Opowiedz nam o Annie Cole – prosi Molly. – Udało ci się czegoś od niej dowiedzieć?

Podaję im zredagowaną wersję spotkania z Anną Cole i ze zbereźnikiem, którego poderwała. Po tamtym wybuchu samczej siły

czuję się zażenowany i niepewny. Kiedy dochodzę do konfrontacji z prześladowcą o krzaczastych brwiach, mówię niezbornie, wręcz brak mi słów. Nie wspominam o pistolecie, odczytuję im tylko numer rejestracyjny samochodu, numer ubezpieczenia społecznego i numer prawa jazdy Johna Summeya. Liczę na to, że przyjaciele nagrodzą moje wyczyny brawami, więc ich frontalny atak mnie zaskakuje.

– Podawałeś się za funkcjonariusza policji, dumny sukinsynu! – wrzeszczy Ike.

– Wykopałeś mu szybę. – Molly nie potrafi ukryć odrazy.

– Czyś ty na głowę upadł, Ropuchu? – biadoli Niles.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli ten Summey nie poleciał prosto na policję – mówi Sheba.

– Skąd wiedziałeś, że ten facet ją prześladował? – wyskakuje z pytaniem Fraser.

– Bo mi powiedziała – wyjaśniam. – Położył się na podłodze samochodu. Po co miałby to robić?

– Leżał na podłodze? – dziwi się Betty. – Nie znam żadnego prawa stanowego, które by tego zakazywało. Wybiłeś mu szybę. To jest umyślne niszczenie cudzej własności.

– Leo, jesteś dziennikarzem – przypomina Molly. – Jeśli to się ukáže w lokalnej prasie, wywalą cię z „News and Courier” na zbity pysk.

– A idźcie w cholerę – bronię się. – Was przy tym nie było. Zrobiłem, co w mojej mocy.

– Chciałeś się załapać na numerek, Leo? – docieka Betty. – Czy ta laska była ładna?

– A co to za różnica? Przegoniłem drania, i już. Kobieta ucieszyła się tak bardzo, że wpuściła mnie do mieszkania i dała mi te albumy. Powiedziała, że schowała w garażu trzydzieści pudeł z gratami Trevora, i obiecała wszelką możliwą pomoc. Więc jeśli chcecie znać prawdę, uważam, że poszło mi cholernie dobrze.

– Masz rację, Betty – mówi Molly. – Leo z nią flirtował, chciał ją zaciągnąć do łóżka.

– Co z wami, baby? Czy wszystko na tym świecie obraca się wokół seksu?

– Ehe – przytakuje Betty, a pozostałe kobiety wtórują jej, kiwając głowami.

– Ropuchu, my tu działamy na nieznanym terenie – tłumaczy Niles. – Jesteśmy umoczeni po uszy. Musimy podejmować rozsądne, mądre decyzje. Dałeś ciała, kolego. Ale niech to będzie dla ciebie nauzką. Słuchając, jak zrobiłeś z siebie ostatniego dupka, wszyscy możemy się nauczyć, jak nie należy postępować.

Fraser zmienia temat, żeby zostawili mnie w spokoju:

– W poniedziałek zaczynamy wydawać posiłki dla chorych na AIDS, którzy nie mają pieniędzy, w ramach akcji grupy zwanej Project Open Hand*. Kobieta, która jej szefuje, powiedziała mnie i Molly, że Trevor prawdopodobnie żyje z zasiłku i wynajmuje pokój w jakimś nędznym hoteliku. Zapewne gdzieś w Tenderloin. Będziemy wydawali te posiłki w najgorszych spelunkach w mieście. Powiedziała, że muszą nam towarzyszyć mężczyźni, bo to bardzo niebezpieczne. Ci geje często występują pod przybranymi nazwiskami, żeby zmylić takich jak my, którzy próbują ich znaleźć. Dlatego najpierw będziemy karmili tych ludzi, a potem ich wypytamy. Dostaniemy adresy, numery telefonów, wszystko. I prędzej czy później znajdziemy Trevora.

* Project Open Hand – założona w 1985 roku przez Ruth Brinker niedochodowa organizacja zajmująca się rozdawaniem posiłków w San Francisco, głównie dla chorych na AIDS.

ROZDZIAŁ 15

Tenderloin*

* Tenderloin – potoczna nazwa pewnej dzielnicy San Francisco; wzięła się stąd, że oddelegowani tam policjanci mieli lepszą pensję, więc mówili, że „nareszcie stać ich na połędwicę”.

Niedziela spada na nas niejako dzień odpoczynku, lecz senny, melancholijny i w najlepszym razie wymuszony czas wolny. Od dzieciństwa dzień boży był dla mnie najeżony strachem. Lęki w niedzielne popołudnia na zawsze odcisnęły swoje piętno, od którego ściska mnie w dołku. Idę na poranną mszę, a po powrocie zastaję całe towarzystwo zebrane przy śniadaniu. Otwieramy niedzielne wydanie „Examiner and Chronicle” na rubryce Herba Caena i czytamy jego felieton *Królowa Saba*. Dotrzymał słowa i pod niebiosa wynosi heroiczne wysiłki bogini seksu Sheby Poe, szukającej brata bliźniaka Trevora, który zniknął w podziemnym świecie ogarniętym epidemią AIDS.

Sheba otwiera wielką paczkę ulotek, która nadeszła z Los Angeles, z fotografią Trevora w jego najlepszej, olśniewającej formie. Zdjęcie wzrusza mnie do głębi.

– Wynajęłam drużynę skautów, żeby rozwiesili je w całym mieście – informuje Sheba. – Piękne zdjęcie. Nie sądzicie, że wygląda na nim zupełnie jak ja?

Przed domem kierowca limuzyny trąbi trzy razy.

- Murray zawiezie nas na Powell Street – mówię.
- A może zostaniemy tutaj? Upijemy się nad basenem – proponuje Sheba. – Nie znoszę, kiedy Ropuch wyciąga nas w teren.
- To będzie ciekawe – obiecuję.
- A co takiego jest na Powell Street? – pyta Fraser.
- Niespodzianka – odpowiadam. – Ale spodoba wam się, słowo.

Na Powell Street Murray wznosi oczy do nieba, słysząc, że zmuszam przyjaciół, żebyśmy pojechali kolejką linową nad miastem na Fisherman's Wharf. Obawiam się buntu z ich strony, bo marudzą, wysiadając z komfortowej limuzyny i stając w tłumie obwieszonych aparatami fotograficznymi turystów, czekających na następną kolejkę. Podczas wsiadania z trudem dostaję się do wagonika i chwytam się kurczowo poręczy z tyłu. Tłum z ożywieniem patrzy, jak nasz wagonik mozolnie pnie się w górę zbocza. Na szczycie Powell Street spoglądam na spienioną białą zatokę, pełną pięknych żaglówek i jachtów. Czuję jednak nieokreślony niepokój, gdy uświadamiam sobie, że nie mam miejsca, żeby zmienić rękę ani znaleźć oparcie dla prawej stopy, którą balansuję na skraju stopnia. Ale dopiero kiedy minąwszy Chinatown, pachnącą zupą wonton, sosem sojowym i chińskimi pierożkami, spadamy na łeb, na szyję ku zatoce, naprawdę zaczynam się obawiać, że mój genialny pomysł przejażdżki kolejką linową może grozić utratą życia.

W połowie największej stromizny podczas zjazdu z góry, gdy wagonik buczy niczym jakaś żywa istota, słyszę wrzask rozjuszonej kobiety. Mało tego, rozpoznaję ten głos.

- Zabieraj łapę z mojej torebki, śmierdzący sukinsynu!

Turyści, maszynista, konduktor i ja zamieramy w bezruchu. A kobieta drze się dalej:

- Głuchy jesteś, śmieciu?! Kazałam ci wyjąć łapę z mojej torebki i oddać mi ten cholerny portfel. Nie udawaj, że nie wiesz, do kogo mówię, cwaniaczku. Ale skoro chcesz, powiem konkretnie: zabieraj z mojej torebki to paskudne czarne łapsko! Czy teraz wyrażam się

dostatecznie jasno, gnojku jeden?

Głos Sheby Poe, jak każdej aktorki, która zapisała się w historii kina, jest jedyny w swoim rodzaju: chropawy, zmysłowy, ironiczny i – w tej niepokojącej chwili – rozstrojony. Gdy kolejka zatrzymuje się na następnym przystanku, niemal wszyscy wysiadają i rozpierzchają się w popłochu, byle dalej od dramatu rozpętanego przez Shebę. Ci, którzy zostali w wagoniku, znają się od czasów licealnych, z wyjątkiem największego Murzyna, jakiego w życiu widziałem – rozczochanego, rozjuszonego olbrzyma, mającego dwa metry wzrostu i sto czterdzieści kilogramów żywej wagi.

– Mała kobitko – zwraca się do Sheby tonem, który w zaistniałej sytuacji należy uznać za opanowany – jeśli się nie przymkniesz i nie będziesz mówiła ciszej, napytasz sobie biedy. Nie mogę wyciągnąć ręki z twojej torebki, bo za bardzo ją zacisnęłaś na moim nadgarstku.

– Puść ten cholerny portfel, to rozluźnię torebkę, śmierdzący czarny sukinsynu.

– Ja bym pominęła uwagi na temat zapachu i koloru – wtrąca Molly z miękkim charlestońskim akcentem.

– Oho! – rzuca olbrzym, wyraźnie ośmielony. – Coś mi się widzi, że białe cizie wypuściły się daleko od domu. Ale białym ciziom może się przydarzyć coś niemiłego, gdy wyciągnę nóż z kieszeni, co właśnie mam zamiar zrobić, żeby nauczyć pannę Złotowłosą dobrych manier.

– Białe cizie to najmniejsze z twoich zmartwień, tygrysie – odpowiada Betty bez zająknięcia, wyciągając trzydziestkęosemkę i przystawiając mu lufę do głowy. – Masz na karku policję.

Bez niczyjej pomocy staje w profesjonalnej pozycji, sięga po kajdanki i rzuca je Ike'owi ruchem tak efektownym, jak podanie zza pleców. Ike łapie kajdanki, a potem wyprowadza Murzyna z wagonika do alejki. My ruszamy za nim całą grupą. Maszynista i konduktor, którzy przycupnęli z przodu kolejki, wychodzą z ukrycia. Nie wiadomo skąd pojawia się także sześciu czy siedmiu ciekawskich

pasażerów. Wkrótce kolejka bez przeszkód rusza do Fisherman's Wharf, a nasza siódemka stoi w obliczu gniewu mężczyzny, którego oczy rzucają mordercze błyski.

– Nie wiedziałem, żeście są z policji – tłumaczy facet, omiatając nas wszystkich dzikim spojrzeniem, ale zwracając się tylko do Ike'a i Betty.

– Jesteśmy tu w ramach programu wymiany partnerskiej – wyjaśniła Betty. Widzę, że podobnie jak Ike, nie ma pojęcia, co począć z więźniem, którego skuli kajdankami, chociaż nie mieli do tego prawa. Ich miny mówią mi, że to, co zrobili, jest równie nielegalne, jak kradzież portfela Sheby.

– Słyszeliście, ta kobieta nazwała mnie czarnuchem! – krzyczy facet. – To zajście na tle rasowym, proste jak drut. Padłem ofiarą nienawiści, to jest przestępstwo.

– Przymknij się pan – rozkazuje Betty. – Musimy się zastanowić.

Sheba ma talent do pogarszania i tak już kiepskiej sytuacji.

– Masz całkowitą rację, frajerze. Padłeś ofiarą nienawiści. Nie znoszę takich drani jak ty. Popatrz na swoje wielkie dupsko. Weź się do roboty przy ścinaniu sekwoi w parku narodowym albo co. – Z niejasnego dla nas powodu Sheba wypowiada te słowa z idealnym charlestońskim akcentem, który tylko zaognia rasistowskie napięcie. Zwracam też uwagę, że wypuściła się na tę wyprawę w przebraniu zwyczajnej kobiety, w ciemnych okularach, z szalikiem i w luźnych ciuchach, tak że gołym okiem nie widać ani jej figury, ani urody.

– Posłuchajcie tych białasów – prycha Murzyn. – To normalne białe buractwo. Kurde, może oni są z Klanu? Wiem, co mówię, sam jestem z Karoliny. Sakramenckich rasistów poznają na pierwszy rzut oka, a już na pewno, jak zaczną kłapać dziobem.

– Z której Karoliny? – interesuje się Ike. – Południowej? A skąd?

Tymczasem wszyscy ochłonęliśmy na tyle, że w głosie obcego słyszemy znajome rytmy,

- Nie słyszałeś o takiej dziurze – odpowiada facet.
- Przekonajmy się – mówi Ike.
- Z Gaffney.
- Z Gaffney?! – krzyczy kilkoro z nas.

Murzyn odwraca się do mnie, a ja nagle uświadamiam sobie, że już widziałem te oczy.

– My go znamy – oświadczam z podziwem. I zwracam się do Ike'a i Berty: – Zapomnijcie o tych tłustych włosach i brodzie. Wyobraźcie go sobie młodszego o dwadzieścia lat i o pięćdziesiąt funtów lżejszego. Same mięśnie. Półfinały stanowe w Columbii.

– Ja cię kręcę! Masz rację – przyznaje Ike z niedowierzaniem.

– Że co? – bąka Niles, który jeszcze nie rozpoznał olbrzyma.

– Myśl, Niles, myśl – zachęca go Ike. – Powinniśmy pokonać Gaffney. A dlaczego nie wygraliśmy? Mieliśmy lepszą drużynę i byliśmy faworytami. Przyjrzyj się jego oczom.

– Znać Karolinę Południową? – pyta facet z nadzieją.

– Macklin Tijuana Jones! – krzyczy w końcu zdumiony Niles.

– Byliśmy już na ich linii pięciu jardów – tłumaczę kobietom, które patrzą na nas, jakbyśmy postradali rozum. – Przegrywaliśmy sześcioma punktami. Pięćdziesiąt osiem sekund do końca meczu. Te oczy. Trzykrotnie rzuciliśmy naszych obrońców na ich linię, ale ten facet powstrzymał nas za każdym razem. W ostatnim zagranu Ike, Niles i ja dostaliśmy to samo zadanie... wyłączyć gościa z gry. Mieliśmy dać wsparcie Sługusowi, żeby dotarł na linię końcową. Trener po raz ostatni wziął czas, a gdy wróciliśmy na boisko, Macklin Tijuana Jones odepchnął nas trzech jednocześnie i podciął Sługusa trzy jardy przed linią końcową. To było ostatnie zagranie meczu.

- Mój tata wciąż uważa cię za jednego z pięciu najlepszych

futbolistów, jakich wydał nasz stan – mówi Ike. – Zdejmij mu te kajdanki, Betty. Przyskrzyniliśmy ziomala.

– Dopiero gdy obieca, że będzie grzeczny – burczy Betty.

– Wy graliście w Peninsuli? – pyta Macklin. – Skopałem wam dupę jak się patrzy.

– Nie da się ukryć – przyznaję. – A ty potem grałeś w Georgii.

– Przeszedłeś na zawodowstwo – dodaje Niles. – Ale odniosłeś kontuzję... kolana, tak?

– Zanim skończyłem, miałem rozwalone oba kolana. Saints sprzedał mnie do Oakland. I tak wylądowałem tutaj. Ale już wtedy byłem skończony.

– Chłopie, szybko spadłeś z wysokiego konia – rzuca Ike.

– Miałem pecha – tłumaczy Macklin. – Każdemu może się zdarzyć.

– Co tu się właściwie odbywa? – pyta Sheba. – Ćwiczenia ze sztuki konwersacji? Przestrzelcie mu kolano i chodźmy na lunch.

– No i powiedzcie mi, że okradłem nie tę kobitkę, co trzeba – mówi Macklin, co kilkoro z nas kwituje śmiechem.

– Skąd mogłeś wiedzieć, przyjacielu – pociesza go Niles.

– Gdzie teraz mieszkasz, Macklin? – pyta Betty, choć nadal jest czujna.

– W Tenderloin – mówi Murzyn. – W porzuconym samochodzie, który należy do przyjaciela. Stoi na tyłach jego budynku. Był kibicem Raidersów. Pomógł mi się pozbierać.

– Jesteś narkomanem? – pyta Ike.

– Tak o mnie mówią – przyznaje Macklin.

– Byłeś wspaniałym sportowcem. – Niles kręci głową i przygląda mu się przez dłuższą chwilę. – Dobrze znasz Tenderloin?

– Tenderloin to ja – rzuca Macklin chełpliwie. – To moja baza wypadowa.

– Chcesz dostać pracę? – pyta Ike.

– Czyś ty upadł na tę twoją kochaną główkę?! – krzyczy na niego Sheba.

– Nie, za to właśnie wpadłem na genialny pomysł – odpowiada Ike. – Macklin Tijuana Jones pomoże nam znaleźć Trevora.

– W życiu nie słyszałam czegoś równie durnego! – prycha Sheba.

– No coś ty, Ike – protestuje Niles.

– I tak nie będzie nam łatwo – zauważa Molly. – Nie utrudniamy sobie sytuacji.

– Dlaczego czarny brat i czarna siostra z Karoliny Południowej prowadzą się z taką bandą białych pojechańców? – warczy Macklin.

– Pięknie, Macklin, właśnie spieprzyłeś sprawę, a już wszystko układało się po twojej myśli – wtrącam.

– Nie rozumiem, skąd ta Tijuana – przerywa nam Fraser.

Zabrała głos po raz pierwszy. – Czy to nazwisko rodowe?

– Jezu! – jęczę. – Charleston w pełnej krasie. Nie pozbędziesz się go, żeby nie wiem co.

– Stary mojej matki był Meksykaninem – odpowiada Macklin spokojnie, jakby to było najzwyczajniejsze pytanie pod słońcem. – Jonesowie to rodzina taty.

Ike kwituje tę wymianę zdań krótkim śmiechem.

– Zdejmij mu kajdanki, Betty – mówi. – To Jones z Karoliny Południowej.

– Jeszcze nie obiecał, że będzie grzecznym żołnierzkiem – protestuje Betty. – Musi dać mi dowód.

– I tak chciałbym zajebać tę dziwkę. – Olbrzym patrzy wprost na Shebę.

– Widocznie lubi kajdanki – konstatuje Betty.

– Jeszcze raz zagroziś mojej przyjaciółce, a wyjmę pistolet i rozwalę ci kolano – ostrzega Ike. – Ale że jestem porządny facet, pozwolę ci wybrać które.

– Nic jej nie zrobię – obiecuje Macklin. – Tak tylko gadam. U mnie zawsze kończy się na gadaniu.

– Zamknij się i posłuchaj wreszcie. W Charlestonie Betty i ja znamy ulice. Wszystkie. Znamy ludzi, którzy wyśpiewają nam wszystko: plotki, kto diluje, kiedy przyżywa frachtowiec z prochami. Ale w San Francisco mieliśmy gówna, nie zaczepienie. Aż do teraz. Bo teraz mamy Macklina Tijuane Jonesa. Rozumiecie, o czym mówię? – Ike zwraca się bezpośrednio do każdego z nas.

– Jedno jest pewne. – Macklin przerywa ciszę, jaka zapadła po wyjaśnieniu Ike'a. – Żadne z was nie zobaczy więcej mojego czarnego dupska. Miło było poznać wasz mieszany klub przedszkolaków, ale jeśli nie macie nic przeciwko, moi mili, to pójdę w swoją stronę.

– Jeżeli to twoja ostateczna decyzja, to się zbieramy – mówi Ike.

– A co z kajdankami? – pyta Macklin.

– Teraz są twoje – wyjaśnia Betty. – Należą do ciebie. Baw się dobrze.

Całą grupą oddaliśmy się od Macklina, który wrzeszczy:

– Nie możecie mnie zostawić skutego! Jesteśmy z tego samego stanu.

Nasz śmiech doprowadza go do szału i z polotem obrzuca nas wymyślnymi obelgami, które nas rozśmieszają, zamiast wystraszyć. Po tak oburzającym spotkaniu kręci nam się w głowie.

Nagle Ike okręca się na pięcie i łapie Macklina za gardło.

– Musisz nam pomóc. Idziesz na to czy nie? Decyduj się, byle szybko. I mądrze.

Olbrzym przetrawia jego słowa i uspokaja się.

– Co mogę dla was zrobić, piękne panie i wytworni panowie?

Betty odwraca go plecami do siebie i zdejmuje mu kajdanki.

– Shebo, daj mi swój portfel – prosi Ike.

Sheba niechętnie kładzie portfel na wyciągniętej ręce Ike'a. On zaś, nie spuszczać wzroku z Macklina Jonesa, wyciąga trzysta dolarów i podaje olbrzymowi teatralnym gestem.

– Będzie tego więcej. Jesteśmy tu, bo kogoś szukamy. Nazywa się Trevor Poe. Grywał w tym mieście na fortepianie dla wielu ważnych ludzi. Tu masz ulotkę. On choruje na AIDS. Znajdziesz go

nam, to dostaniesz pięć tysięcy zielonych, i żadnych pytań. Na ulotce zapisałem, gdzie i jak możesz się z nami skontaktować, dopóki tu jesteśmy. Jeśli chcesz zacząć swoje główniane życie od nowa, możemy ci pomóc. Dzięki, że nas dzisiaj okradłeś. Moim zdaniem to Bóg sprawił, że się spotkaliśmy.

– Prędeż szatan – mamrocze Murzyn.

– Popieram – mówi Sheba, zdejmując okulary przeciwsłoneczne i mierząc go wściekłym wzrokiem.

Macklin rewanżuje jej się takim samym spojrzeniem. Oboje naprawdę potrafią nasycić swój wzrok nienawiścią.

– Ja już widziałem tę cipę – stwierdza w końcu Macklin, przenosząc spojrzenie z Sheby na resztę towarzystwa. – Grała w reklamówce Nike albo w czymś takim.

– W czymś takim – powtarza Sheba, kiedy biegniemy, żeby złapać kolejkę linową i wrócić na Powell.

*

Każde miasto ma swój Tenderloin. To taka okolica, gdzie czujesz zmianę w powietrzu, gdy przedzieras się przez niewidzialną epidermę nędzy – dziadowskie, smutne miejsce, w którym miasto pobłądziło i nie potrafi wrócić na właściwą drogę. I choć Tenderloin leży w samym sercu miasta, to sprawia wrażenie zepsutego mięszu owocu za długo wystawionego na słońce, do którego zlatują się muchy i szerszenie. Niegdyś Tenderloin było urocze, a jego architektura częściowo nadal cieszy oko, ale zużyła się knowaniami, których wymaga rozpusta. W San Francisco wiesz, że wkraczasz na niebezpieczny teren, gdy z żadnego okna nie ma widoku. W Tenderloin wszystkie widoki są nic niewarte i przygnębiające. Każda alejka cuchnie moczem, rozsypanymi śmieciami i tanim winem. W poniedziałek mamy wydawać posiłki w siedmiu hotelach, ponad sto porcji. Wchodząc do hotelu Cortes, zamierzamy trzymać się razem i uwijać z robotą. Sheba pacyfikuje recepcjonistę, a my rozpraszamy się po całym hotelu, który najlepiej opisuje słowo „zapchlony”. Trąci

tym rodzajem pleśni, która rozwija się na drogich gatunkach sera, ale także mroczniejszym, wyrastającym w wilgoci, w szybach wentylacyjnych i kanałach węzłów sanitarnych, nietkniętych środkami odkażającymi.

Z sześcioma pudełkami porcji obiadowych pędzę na górę po schodach, które w każdej chwili grożą zawaleniem pod moim ciężarem. Za mną pomyka Molly, a Niles i Fraser próbują dotrzymać jej kroku. Pukam do pierwszych drzwi i słyszę lekki szelest – po drugiej stronie ktoś porusza się niezwykle ostrożnie. W końcu słabowity głos pyta:

- Open Hand?
- Podano obiad! – wołam.

Otwierając drzwi, mężczyzna się śmieje. W ten sposób po raz pierwszy spotykam się z ludzkim szkieletem, tak wyniszczonym przez AIDS, że wątpię, by doczekał kolejnego wschodu słońca.

– Pan Jeff McNaughton? – Kładę jego posiłek na niemalowanym biurku. Mężczyzna jest tak chudy, że aż przezroczysty. Widzę krew płynącą żyłami na jego czole. Całe ciało wygląda, jakby było ze skórki cebuli.

– Zamawiałem bliny z kawiolem. A na popitkę flaszkę zmrożonej finlandii. Mam nadzieję, że nic nie pomylili – mówi.

– Nie będę cię okłamywał, Jeff. W ostatniej chwili ktoś podmienił kawior. To skandal. Ale ja jestem tylko dostawcą. Nazywam się Leo King. Będziemy się widywali przez następne dwa tygodnie.

Facet zanosi się spazmatycznym kaszlem.

– Ja nie przetrzymam tygodnia, Leo. Mam pneumocystozowe zapalenie płuc. To nawrót.

– Chcesz, żebym kogoś zawiadomił? – pytam. – Rodziców? Rodzinę?

– Wszyscy zostali zawiadomieni. Nikt się nie odezwał.

– Szukam przyjaciela. – Wyciągam ulotkę. – Nazywa się Trevor Poe. Znasz go?

– Ten pianista. – Jeff przygląda się fotografii. – Widywałem go, jak grywał w barach w Castro, ale oficjalnie nie byliśmy sobie przedstawieni.

– Dasz mi znać, gdybyś się dowiedział, gdzie on teraz jest? Możesz do mnie dzwonić pod numer u dołu zdjęcia.

– Z Cortes się nie dzwoni – informuje mnie Jeff. Pomagam mu usiąść przy biurku i otwieram pudełko z jedzeniem. – Ja już nie wyjdę z tego pokoju, Leo. A ty jesteś jedynym nazwiskiem w moim karnecie. Dzięki za lunch.

Pukam głośno do następnych drzwi. Otwiera starszy mężczyzna, w dużo lepszym stanie niż jego młodszy towarzysz. Starszy nazywa się Rex Langford, młodszy – Barry Palumbo. Barry ma otwarte oczy, ale nie próbuje się przywitać. Gdybym nie słyszał chrapliwego oddechu, wziąłbym go za manekina.

– Jesteś za wcześnie. Takie coś jeszcze nigdy się nie zdarzyło – mówi Rex.

– Mój pierwszy dzień. W takim tempie nie obsłużę wszystkich przed północą.

– Nowy, co? Widać ktoś w Open Hand nienawidzi cię do szpiku kości. Dostarczanie jedzenia do Cortes to robota, w której nikt długo nie wytrzyma.

– Mam na imię Leo. Chceta coś ode mnie, chłopaki?

– „Chceta”. Muzyka dla moich uszu. Nareszcie koncert. Ziomal ze wsi zjechał do miasta.

– Skąd jesteś?

– Z Ozark, w Alabamie. To niedaleko Enterprise, które słynie z tego, że na głównej ulicy stoi pomnik kwieciaka bawełnowca.

– Żartujesz, prawda?

– Niestety, to święta prawda. Luwr ma swoją Wenus z Milo, a Enterprise w Alabamie ma swojego kwieciaka bawełnowca. Obie te rzeźby są kwintesencją duszy danego miejsca.

– Dorastanie w Ozark w Alabamie pewnie jest dziwne – mówię.

– Dorastanie zawsze jest dziwne, bez względu na miejsce. To

jedyna życiowa mądrość, jaką znam z własnego doświadczenia. Daję ci ją gratis.

– Podoba mi się, Dzięki za prezent.

– A ty skąd jesteś, białasie? Czyżbym w przeblýsku pamięci sly-szał akcent z Mobile?

– Z Charlestonu w Karolinie Południowej. Akcent w obu tych miastach ma silne wpływy hugenockie. – Wsuwam mu do ręki ulotkę. – Szukam przyjaciela. Nazywa się Trevor Poe. Zetknąłeś się z nim?

– Bywał w Baths? – pyta Rex.

– On tam mieszkał.

– Wobec tego mogliśmy się o siebie otrzeć – przyznaje Rex. – Rozumiesz, co mam na myśli?

– Jeśli odwiedzają cię jacyś przyjaciele, mógłbyś popytać ich o Trevora Poego?

– Większość moich przyjaciół nie żyje. Został mi tylko ten tutaj. Barry, przywitaj się z Leo. Przyniósł nam lunch. Ładnie z jego strony, no nie?

– Cześć, Leo. – Głos brzmi, jakby nie całkiem należał do człowieka.

– Barry jest niewidomy – wyjaśnia Rex. – Sam go karmię. A on potem rzyga. Więc karmię go znowu, a on znowu rzyga.

– Nic na to nie poradzę, Rex – szepcze Barry.

– To miłe, że tak się nim zajmujesz – mówię.

– To wcale nie jest miłe. Ale nie mam nic innego do roboty. – Wzrusza ramionami. – Najpierw on odejdzie, potem ja. Tylko że mnie nikt już nie będzie pomagał.

– Masz pieniądze, Rex? – pytam.

– Oczywiście, że nie. Barry i ja żyjemy z zasiłku, ale to tyle co kot napłakał. Lekarstwa, czynsz za ten luksusowy apartament i tak dalej.

– Czy ten gość, co przyniósł lunch, może zadzwonić do mojej siostry Lonnie? – woła z łóżka Barry.

- Chętnie do niej zadzwonię – zapewniam go.
- Za młodu byliśmy tacy zżyci. Żadna siostra nie kochała brata tak jak Lonnie mnie.
- Zadzwonię do niej wieczorem, Barry.
- Jej mąż mnie nienawidzi, więc jeśli odbierze, odłóż słuchawkę. Tak bym chciał, żeby odwiedziła mnie po raz ostatni. Daj mu numer, Rex.

Rex pisze coś na kartce i wręcza mi ją, kiedy wychodzę. Idąc korytarzem z następną dostawą, rozkładam kartkę i widzę niemal nieczytelne bazgroły:

Nie fatyguj się. Ona twierdzi, że Barry umiera z woli Boga... śmiercią zboczeńca. Ale dzięki.

*

Codziennie wracamy do naszej eleganckiej siedziby przy Vallejo Street zmordowani i przybici. Sprawdzamy tropy, które po artykule Herba Caena napływają setkami. Dostaliśmy trzy listy od mężczyzn podających się za Trevora Poego, a także pięć z żądaniem okupu od ludzi, którzy twierdzą, jakoby był ich zakładnikiem. Rozmawiam z czubami, świrami, pięcioma prywatnymi detektywami, dziesiątkami byłych kochanków Trevora, jego masażystą, fryzjerem, sklepikarzem z sąsiedztwa i trzema jasnowidzami, którzy obiecują, że go odnajdą.

Pod koniec pierwszego tygodnia, w sobotę wieczorem, zbieramy się na poważną naradę. Działaliśmy sprawnie, wszyscy jednak zgadzamy się, że nie jesteśmy bliżej odnalezienia Trevora niż przed opuszczeniem naszych domów i pracy w Charlestonie. Ślubujemy, że na razie się nie poddamy, i dajemy sobie jeszcze tydzień. Kładziemy się wyczerpani, modląc się o chwilę wytchnienia.

Następnego dnia nie spodziewam się zobaczyć tego, co zastaję w pokoju numer czterysta osiemdziesiąt siedem na końcu kolejnego nieoświetlonego korytarza w hotelu Devonshire. Zauważyłem, że żaden z tych hoteli nie daje pola do popisu dla nadziei, a Devonshire

należy pod tym względem do najgorszych. Pukając do drzwi pokoju czterysta osiemdziesiąt siedem, wiem, że coś jest nie tak.

Wita mnie działająca na nerwy cisza – żadnych odgłosów ruchu, szelestów, szurania niepewnych stóp w kapciach. Przekręcam klamkę, która zostaje mi w ręku, ale drzwi otwierają się na zardzewiałych zawiasach. W pokoju śpi młody chłopak – blond loki i wydatne usta nadają mu wygląd figuryнки uchwyconej w nienaturalnym bezruchu. Ma nie więcej niż dwadzieścia lat, ale jego atrakcyjność blednie wobec smrodu ekskrementów wydostającego się przez jego jedwabną piżamę i tandetny koc, którym jest przykryty. Stawiam opakowanie z jedzeniem na komodzie i dotykam jego czoła. Czuję zimno i wiem, że nie żyje już od wielu godzin. Pogodny wyraz jego twarzy jest aktem miłosierdzia, jakim śmierć obdarza niekiedy tych, których ból jest nie do zniesienia. W brudnej, zbrukanej przez myszy szafie znajduję starannie powieszzone ubrania, a w kieszeni najlepszego garnituru portfel. Na zdjęciu w prawie jazdy chłopak uśmiecha się nieśmiało, acz z szelmowskim humorem. Nazywa się Aaron Satterfield i niegdyś mieszkał przy Sacramento Street.

Wyciągam z portfela kilka interesujących fotografii. Wśród nich serię zdjęć Aarona z czwórką przyjaciół przebranych za kowbojów, podczas imprezy halloweenowej w Castro. Ta sama piątka robi miny do obiektywu aparatu w jednej z tych godnych pożałowania budek z zasłonami, jakie spotyka się na podrzędnych dworcach autobusowych. Na odwrocie zdjęcia Aaron napisał: *Oprócz mnie wszyscy nie żyją.*

W górnej szufladzie nocnego stolika znajduję dwa listy – jeden od matki i jeden od ojca. Ponieważ to ja jestem obecny przy jego łożu śmierci, a nie oni, uważam, że mam prawo je przeczytać. Jest we mnie coś, co każe mi się dowiedzieć, dlaczego ten zachwycający dzieciak umarł w samotności. To rodzina Satterfieldów ze Stuart w Nebrasce powinna stać nad zwłokami tego jasnowłosego straconego chłopca, nie ja. Myśl ta nie daje mi spokoju i zastanawiam się, od

jak dawna łzy płyną mi po twarzy i czy są to łzy współczucia, czy gniewu – a może płyną z obu tych powodów naraz.

List od ojca jest maksymalnie zwięzły i treściwy:

Pedale! Jeżeli, jak twierdzisz, umierasz, oświadczam, że to wola boska. Nie dziwi mnie, że w oczach Boga jesteś obrzydliwy i nieczysty. Tak zapisano i tak obiecano w Biblii. Nie wyślę Ci ani centa z tego, co zarobiłem ciężką pracą na farmie. Niech Bóg zlituje się nad Twoją duszą, bo ja nie mam dla Ciebie litości. Twój ojciec, Olin Satterfield.

Przeczytawszy ten list, siedzę rozdygotany i zapłakany, modłę się i proszę Boga, by nie dopuścił, żebym kiedykolwiek myślał tak jak jego wyznawcy, gdyby wymagało to, żebym upodobił się do Olina Satterfielda. Bez względu na to, co mówi Pismo Święte, Panie, ja tego nie zrobię. Rozkładałam list od matki i czytam:

Kochany Aaronie, oto ostatnie sto dolarów, które odłożyłam na czarną godzinę, odkąd wyszłam za Twojego ojca. Nie mam pojęcia, co by zrobił, gdyby dowiedział się, że przez cały ten czas wysyłałam Ci pieniądze. Jakże chciałabym być teraz przy Tobie, opiekować się Tobą, sprzątać Ci, pilnować, żebyś się dobrze odżywił, tulić Cię i opowiadać Ci bajki, które tak lubiłeś w dzieciństwie. Całuję Cię, a w pocałunku tym zawiera się cała moja miłość do Ciebie i ból. Wierzę, że dzięki potędze modlitwy Jezus Cię uleczy. Umarł na krzyżu za ludzi takich jak Ty i ja, a zwłaszcza takich jak Twój ojciec. Ojciec kocha Cię tak samo jak ja, ale upór nie pozwala mu tego poczuć. Nocami budzi się zapłakany i nie ma to nic wspólnego z pszenicą ani z krowami. Kocham Cię równie mocno jak Jezus, mama.

Śmierć tego ślicznego chłopca, prawie dziecka, jest dla mnie dowodem, że odwiedziłem o jeden hotel za dużo w tym obłąkanym mieście. Gdybym chciał się poświęcić czynieniu cudów pośród zmarłych i umierających, poszedłbym na akademię medyczną, ja jednak urodziłem się po to, by pisać frywolne, dowcipne felietony o życiu Charlestonu. Czas, jaki spędziłem wśród młodych ludzi, którzy

umierają z głodu, ponieważ do ich krwi przedostał się bezlitosny wirus, zaczyna mnie męczyć. Pragnę wynieść się z San Francisco, im szybciej, tym lepiej. W tym momencie mam gdzieś, czy znajdziemy Trevora Poego, czy nie. Chcę znów spać we własnym łóżku, pracować w swoim ogrodzie i przechadzać się ulicami, przy których znam każdy dom. Przede wszystkim zaś chcę uciec od obecności tego zmarłego chłopaka z Nebraski. A jednak siedzę obok niego na łóżku, wpatrując się w jego śliczną, martwą twarz. Nagle znów dociera do mnie smród fekaliów, więc – ku swojemu zdumieniu – biorę się do roboty.

Ściągam z niego koc i spodnie od piżamy i obmywam go ręcznikiem, który znajduję w umywalce. Zbieram ręcznik, pościel i spodnie od piżamy i wyrzucam cuchnącą stertę przez okno na alejkę. Z zestawu kosmetyków wyjmuję płyn po goleniu od Paco Rabanne, golę chłopaka, po czym obficie spryskuję go od twarzy po uda słodką wodą kolońską. Czeszę go ostrożnie, układając mu włosy tak, żeby wyglądał jak na fotografii, którą znalazłem w jego portfelu. Zakrywam go kocem, który skopał z łóżka. Wykonawszy to zadanie, odczuwam coś na kształt satysfakcji. Według mnie Aaron Satterfield jest gotowy na wszystko – na chrzciny, błogosławienie albo spotkanie z bóstwem. Potem wybucham płaczem i – jakżeby inaczej? – właśnie w takim stanie zastaje mnie Molly.

– Szukaliśmy cię wszędzie – mówi.

Nagle orientuje się w sytuacji. Podchodzi i z niezwykłą czułością dotyka twarzy Aarona.

– O mój Boże, jaki piękny chłopak.

Podaję jej oba listy. Czytając je, nie okazuje cienia emocji i powstrzymuje się od komentarza. Potem mówi:

– Leo, on wygląda, jakby w chwili śmierci śniło mu się coś miłego.

– Tak, kiedy go zobaczyłem, mnie też przyszła do głowy ta sama chora sentymentalna myśl.

– Chciałam przez to powiedzieć, że cieszę się, iż jego cierpienia się skończyły – wyjaśnia Molly, nie reagując na mój zgryźliwy ton. Jest mi wstyd, że płaczę, i żałuję, że weszła do pokoju, zanim skończyłem. – Musimy wezwać policję – ciągnie. – Zabiorą go do kostnicy. Wieczorem możemy zawiadomić jego rodziców.

– Dlaczego ich tu nie było? – pytam. – Albo dlaczego go stąd nie zabrali?

– Ze wstydu. Ze zwykłego ludzkiego wstydu, jaki czuł ojciec. Ze strachu matki przed ojcem. Założę się, że ojciec znęcał się nad tym biednym dzieciakiem od urodzenia. Chodź, Leo, obsłużymy ostatnie piętro razem. Czekają na nas. Gdyby reszta z nas tak się ślimaczyła jak ty, te chłopcy w Tenderloin umarłyby z głodu. – Molly bierze moją listę i dodaje: – Jeszcze trzy pokoje i na dziś koniec.

Znów dotyka twarzy Aarona miękką, wypielęgowaną dłonią.

– W cośmy się wpakowali, Leo? To, co tu przeżyliśmy, zmieni nas na zawsze. Napiętnuje nas w sposób, z jakiego nie zdajemy sobie jeszcze sprawy.

– Jak było na dole w tej norze?

– Koszmarnie. Nie znajdziemy nikogo, kto umiera na AIDS w godny sposób. Oni wszyscy, sztuka w sztukę, wyglądają jak przybici gwoździami do łóżek.

– Nie znajdziemy Trevora, prawda? Robimy to tylko na pokaz, żeby nie mieć wyrzutów sumienia. Żeby Sheba poczuła się lepiej.

Molly ociera mi chusteczką łzy z twarzy.

– Pamiętaj, Leo, kim jesteśmy. Jeśli już się do czegoś bierzemy, doprowadzamy to do końca. Znajdziemy Trevora i zabierzemy go do domu. W końcu pewnie go stracimy, ale w chwili śmierci będzie otoczony ludźmi, którzy go kochają. Nie pozwolimy, żeby umarł tak jak Aaron Satterfield. Rozumiesz?

– Tak, moja mała. Rozumiem.

Molly zlizuje ostatnią łzę, która spływa mi po policzku.

Próbuję odzyskać kontrolę nad sytuacją, nad tym koszmarnym momentem.

– Dlaczego to zrobiłaś?
– Bo chciałam. Była pyszna. Jak ostryga. Albo jak perła z ostrygi. Słona jak ocean u brzegów Wyspy Sullivana. Podoba mi się, że umyłeś tego chłopaka.

– Skąd wiesz, że go umyłem?
– Ike i Betty stali na końcu alejki, kiedy wyrzucałeś te szmaty przez okno, i Betty przybiegła mi powiedzieć, że potrzebujesz pomocy. Ike zebrał wszystko i wyrzucił do śmietnika. Mówił, że smród urywał nos.

– A dlaczego Betty sama po mnie nie przyszła?
– Uznała, że dam sobie radę – tłumaczy Molly. – Poza tym ona wzywa policję. Karetka już jest w drodze. Kończmy i wynośmy się stąd.

– Dobry pomysł. Wybacz, że tak długo mi tu zeszło.
– Wybaczam – odpowiada z uśmiechem. – Ale żeby mi to było po raz ostatni.

Wieczorem podnoszę słuchawkę telefonu w małym gabinecie obok kuchni, łączę się z informacją w Stuart w Nebrasce i proszę o numer Olina Satterfielda. Kierowana pełną współczucia telepatią, z której słynie wśród przyjaciół, Molly wchodzi za mną do pokoju, niosąc dwie szklaneczki z solidnymi porcjami jacka danielsa z lodem.

Ojciec odbiera po drugim sygnale.

– Panie Satterfield, tu Leo King – przedstawiam się. – Dzwonię z San Francisco, mam wiadomości na temat pańskiego syna.

– Zaszła pomyłka – oświadcza. – Ja nie mam syna.
– Aaron Satterfield nie jest pańskim synem?
– Czy pan nie rozumie po angielsku? Właśnie powiedziałem, że nie mam syna.

– A czy Clea Satterfield jest pańską żoną? – pytam, spoglądając na nazwisko na drugim liście, który trzymam w ręku.

– Może tak, może nie – odpowiada.

Hamuję się z najwyższym trudem.

– Proszę pana, jeżeli Clea Satterfield ma syna, to chciałbym z nią porozmawiać.

– Clea Satterfield to moja żona. – Jego głos jest lodowaty. – I zapewniam pana, że żadne z nas nie ma syna.

Na równinie Nebraski, gdzie moja noga nigdy nie postąpiła, wybuch krótka zażarta kłótnia – stłumiona, ale zaciekła. Potem słyszę damski głos, wzburzony – najwyraźniej kobieta jest u kresu wytrzymałości.

– Tu Clea Satterfield – rzuca do słuchawki. – Jestem matką Aarona.

– Niestety, mam dla pani straszną wiadomość – mówię. – Aaron zmarł dzisiaj w hotelu w San Francisco.

Mówiłbym dalej, gdyby nie krzyk smutku w najczystszej postaci. Przez kilka sekund jej głos jest pierwotny, zwierzęcy, nieludzki.

– To jakaś pomyłka – szlocha rozdzierająco. – Aaron zawsze był taki zdrowy.

– Proszę pani, Aaron zmarł na AIDS. Zapewne wstydził się o tym mówić.

– Pan ma na myśli raka – prostuje kobieta. – Powiada pan, że Aaron zmarł na raka?

– Twierdzą, że na AIDS. Nie jestem lekarzem, ale to tę chorobę u niego zdiagnozowano.

– Rak to prawdziwy zabójca. Nie znam rodziny w naszym środowisku, której by nie dotknął. To dopust boży. Czy Aaron powiedział coś przed śmiercią? Nie dosłyszałam pańskiego nazwiska.

– Leo King. Tak, kazał przekazać rodzicom, że bardzo was kochał. Oboje. I mamę, i tatę.

– Kochany chłopiec – mówi, – Zawsze myślał o innych. Gdzie on teraz jest? To znaczy, jego szczątki?

– W kostnicy miejskiej. Mam nazwę domu pogrzebowego, z którym może się pani porozumieć w sprawie przygotowania zwłok do transportu do domu, na pogrzeb.

Podaję jej nazwę i numer domu pogrzebowego zajmującego się zwłokami ludzi zmarłych na AIDS.

– Przyzna pan, że mój syn był piękny, prawda? – pyta pani Satterfield.

– Był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich znam – potwierdzam.

– Nawet rak nie zdołał pozbawić go urody.

W tle słyszę jakiś dziwny dźwięk.

– Co to za odgłos? – pytam.

– To mój mąż Olin. Ojciec Aarona. Płacze, więc muszę kończyć. Panie King, czy Aaron na pewno powiedział, że bardzo kocha mnie i swojego ojca?

– To były jego ostatnie słowa – kłamię. – Do widzenia pani. Jako katolik zamówię mszę w intencji pani syna.

– Jesteśmy zielonoświątkowcami. Proszę, tylko bez mszy. Sami się za niego pomodlimy. I zajmiemy się pochówkiem. Zrobimy to zgodnie z tradycją, w jedyny właściwy sposób. Pan tego nie zrozumie.

– Droga pani – znowu skoczyło mi ciśnienie – to pani i pani mąż powinniście być przy Aaronie, kiedy umierał. Nie ja. To byłoby zgodne z tradycją. Taki jest jedyny właściwy sposób.

Matka Aarona rzuca słuchawkę, a ja chowam twarz w dłoniach.

– Nie miałem prawa mówić tego tej biednej kobiecie – zwracam się do Molly.

– Akurat! – prycha. – Miała szczęście, że to nie ja do niej zadzwoniłam. Wygarnęłabym jej bez ogródek, co sędzę o niej i o tym jej koszmarnym mężu.

– Była rozdarta.

– Łatwo jest być rozdartym w Nebrasce – kwituje Molly. – Trudniej byłoby w pokoju czterysta osiemdziesiąt siedem w hotelu Devonshire. Chodź, nakarmimy nasze wojsko.

*

Tuż po północy otwierają się drzwi mojej sypialni. Zapalam nocną lampkę. Wchodzi Molly Rutledge, ciągnąc za sobą swą urodę jak coś, co może zniszczyć mężczyznę albo na zawsze zmienić jego życie. Niesie dwa kieliszki. Kiedy je stawia na stole, czuję zapach grand marnier. Zdejmuje szlafrok i zostaje w jedwabnej przezroczystej koszulce, na której widok dziękuję Bogu za kobiece kształty. Nie podoba mi się, że Molly stawia nas w tak niezręcznej sytuacji, ale też nie mam jej tego za złe. Mimo wszystko nasza przyjaźń jest tak bogata, potężna i pełna, że nie chciałbym jej narazić na szwank tylko dlatego, że mąż Molly pobłądził i zasmakował w długonogich Brazylijkach dwa razy młodszych od siebie.

Uroda Molly jest klasyczna, niewzruszona, naturalna, ale robię minę świadcząca o tym, że zamierzam trzymać się od niej z daleka. Ona jest jedną z najpiękniejszych kobiet w Charlestonie, ja zaś tylko szeregowcem, który zna swoje miejsce w społeczeństwie.

Spogląda na mnie i upija łyk z kieliszka.

– Więc jak?

– Molly, przychodzi mi na myśl tysiąc powodów, dla których nie powinniśmy tego robić.

– Nie masz więcej wymówek?

– Twoja bratowa śpi na górze z moim szwagrem. W takich okolicznościach baraskowanie w piwnicy byłoby w złym guście.

– Mnie się to wydaje naturalne. Co musi zrobić miła dziewczyna, żeby ktoś ją tu przeleciał?

– Ty masz męża, ja żonę. Jestem ojcem chrzestnym twojej córki. Byłem drużbą na waszym ślubie.

– Powiedz, że mnie nie kochasz, to sobie pójdę.

– Nie kocham cię, Molly. Zawsze durzyłem się w Trevorze Poem.

– Wiedziałałam, że znowu usłyszę jeden z tych twoich głupich żartów. Spodziewałam się tego. A teraz położę się obok ciebie.

– Trochę się tego obawiam.

- Dlaczego? Nie gryzę i nie mam wścieklizny.
- Boję się, że potem świat już nigdy nie będzie taki sam.
- Wcale nie chcę, żeby był taki sam. – Molly podchodzi do łóżka i gasi światło.

Tej nocy na nowo odkrywam, dlaczego wszystkie największe religie potępiają słodką, czarodziejską zbrodnię miłości. Będąc w Molly, podczas gdy komórki mojego ciała rozpala ekstaza płomiennej prawdy jej ciała, czuję, że tworzy się zupełnie nowy świat, w miarę jak poruszamy się razem, razem mruczemy, jęczymy. Mój język staje się jej językiem, nasze złączone usta płoną, nasze piersi pulsują rytmem dwóch serc. Kiedy szczytuję w ogniu i powodzi, Molly krzyczy mi nad uchem. Wyrzucam z siebie potok słów, które chodziły mi po głowie przez dwadzieścia lat, choć nigdy nie wierzyłem, że wyszepczę je tej kobiecie. Ona rewanzuje mi się własnymi zakazanymi słowami. Krzyczę i wychodzę z niej. Wtedy ona całuje mnie po raz ostatni. Po ciemku zbiera lekkie jak piórko części garderoby i opuszcza mnie naga. To, co zaczęło się jako zwyczajny grzech, kończy się świętością, i leżąc, wiem, że miała rację: mój świat już nigdy nie będzie taki sam.

Hinduski łącznik

Kiedy we wtorek kończymy pracę dla Open Hand, przed domem przy Vallejo Street czeka na nas policyjny radiowóz. Ike i Betty ruszają przodem, błyskają legitymacjami i rozmawiają z detektywem. Liczymy na jakiś przełom w sprawie, a tymczasem czeka nas niespodzianka: policja chce mnie przesłuchać jako głównego podejrzanego w związku z morderstwem. W tym momencie spostrzegam Annę Cole, która do mnie podchodzi.

Detektyw z wydziału zabójstw nazywa się Thomas Stearns McGraw i jest synem rodziców zakochanych w poezji. Jego ojciec wykłada literaturę amerykańską w Berkeley, a dziadek ze strony matki jest dalekim kuzynem autora *Ziemi jałowej*. Ponieważ rola podejrzanego w sprawie o morderstwo jest dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem, nie dowiaduję się tych fascynujących szczegółów autobiograficznych przy pierwszym spotkaniu, lecz później, jako że Tom McGraw to błyskotliwy rozmówca, jest także z natury ciekawski.

Przedstawiam wszystkim Annę Cole, wyjaśniając, kto zacz. Anna jest wyraźnie wstrząśnięta ostatnimi wydarzeniami – widać, jak drżą jej ręce. Błada z wściekłości, odwraca się do mnie i rzuca:

- Wiedziałam, że nie powinnam ci otwierać drzwi!

– Wejdźmy do środka, detektywie, omówimy sprawę – proponuje Ike. Niespodziewane przybycie Toma McGrawa łamie ustalony rytm, który pomagał nam w poszukiwaniach. Wszyscy chcą być obecni przy moim przesłuchaniu. Ike przejmuje jednak kontrolę i wysyła pozostałych do banku numerów telefonicznych w jadalni, kazując im zapamiętać setki tropów, które należy sprawdzić.

Sheba całuje mnie w policzek.

– Detektywie, jeżeli Leo King kogoś zabił, to skoczę z mostu Golden Gate i pozwolę panu sfilmować moje samobójstwo. Dostanie pan prawa na cały świat do mojej śmierci.

– Jak możesz żartować sobie z czegoś tak straszego? – pyta Anna Cole, po czym pęka i zalewa się łzami.

– Bo nikt z nas nie wie, o co tu chodzi – wyjaśniam jej. – Nigdy nikogo nie zabiłem, więc chwilowo niespecjalnie się przejmuję.

– Może powinniśmy załatwić mu prawnika? – pyta Sheba Ike'a.

– On nie potrzebuje prawnika – odpowiada Ike. – W życiu nie dostał nawet mandatu za nieprawidłowe parkowanie.

Anna Cole jest rozstrojona, więc musimy poczekać z przesłuchaniem, aż przestanie histeryzować.

– Podać pani szklankę wody? – pyta cicho Ike. – Załatwimy to szybciej, jeśli weźmie się pani w garść.

– Leo, ja tylko wysłałam policji fotokopię zdjęcia człowieka, który mnie prześladował – wyjaśnia Anna przez łzy.

– On był z San Rafael, prawda? – pytam. – Zapomniałem, jak się nazywa.

– John Summey – podpowiada detektyw McGraw. – Mieszkał przy Vendola Drive dwadzieścia pięć siedemset dziesięć w San Rafael. Był fizjoterapeutą w miejskim ośrodku dla emerytów.

– I miał paskudny nawyk napastowania młodych kobiet z Minnesoty – dodaję.

– Tak twierdzi panna Cole – przyznaje detektyw. – Ale pojawił się pewien problem.

- Jaki problem? – docieka Ike.
- Dwa dni temu znaleziono zwłoki Johna Summeya w bagażniku jego samochodu na miejskim parkingu. Tył głowy miał rozbity tępym narzędziem. Ciało było w stanie daleko posuniętego rozkładu... innymi słowy, śmierdziało tak, że ktoś w końcu złożył skargę. Sprawdzenie tablic rejestracyjnych zabrało nam cały dzień. Przesłuchaliśmy zrozpaczoną panią Summey, która w zeszłym tygodniu zawiadomiła nas o zniknięciu męża. I nagle, *voilà*, pojawia się skargca Anny Cole. Składamy jej wizytę, a ona mówi nam, że ostatnią osobą, która widziała pana Summeya żywego, jest niejaki Leo King.
- Wszystko dlatego, że otworzyłam ci drzwi! – krzyczy Anna. – Nigdy w życiu nie wpuściłam nikogo obcego. A potem pojechałeś za nim i go zabiłeś?
- Hej! – rzuca Ike. – Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.
- Panna Cole twierdzi, że groził pan temu człowiekowi pistoletem – zwraca się do mnie detektyw McGrath. – Należącą do niej dwudziestkądwójką. Poprosił pan o tę broń, kiedy wyszedł na spotkanie z Summeyem.
- Ten facet przeraził Annę – wyjaśniam. – Otwierając mi drzwi, miała w ręku pistolet. Powiedziała, że ktoś ją prześladowa. Pożyczyłem broń na wypadek, gdybym musiał go postraszyć, co też zrobiłem.
- Panna Cole twierdzi, że wykopał pan szybę w jego samochodzie – mówi detektyw. – Przeszukanie wozu potwierdziło jej wersję. Może pan wyjaśnić, dlaczego pan to zrobił?
- Nie chciał opuścić szyby, więc musiałem zwrócić jego uwagę. Poza tym chciałem sprawdzić, kto to taki.
- I dlatego groził mu pan pistoletem?
- Owszem, groziłem mu bronią palną.
- Leo, białasie, jesteś skończony dureń – wzdycha Ike.
- A potem ukradł mu pan portfel? I okulary przeciwsłoneczne?
- Skonfiskowałem portfel, licząc na to, że dzięki temu odczepi się od panny Cole – tłumaczę.

– No to się panu udało – kwituje McGraw. – Kiedy widziano go po raz ostatni, celował pan w jego głowę.

– To prawda, ale i ja, i panna Cole widzieliśmy, jak Summey odjechał na pełnym gazie Union Street jak najbardziej żywy.

– Prawdę mówiąc, uważamy, że pan Summey w tym momencie już nie żył – oznajmia detektyw. – Według naszych obliczeń został zabity wcześniej i upchany w bagażniku samochodu. Czy może pan opisać mężczyznę, który prowadził ten wóz?

– Biały, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, czarne włosy.

– Czy włosy mogły być farbowane?

– Nie wiem. Nie jestem fryzjerem. To była peruka. A raczej tupecik. Tandetny.

– Ty nie bądź taki dowcipny, Ropuchu – przestrzega mnie Ike. – Panu należą się poważne odpowiedzi.

– Przepraszam, detektywie. Nie przyjrzałem mu się zbyt dokładnie.

– Ile miał lat, pańskim zdaniem?

– Wyglądał na starszego gościa, który stara się wyglądać młodziej. Miał ciemnobrązowe oczy. Krzaczaste brwi. Potężnej budowy ciała. Ale najlepsze dni miał już za sobą.

– Pan Summey urodził się w New Delhi, w Indiach. Żeniąc się z Isabel Summey, przebywał tu na wizie studenckiej. Legalnie zmienił nazwisko z Patel na Summey, żeby brzmiało bardziej po amerykańsku. Miał metr siedemdziesiąt wzrostu i ważył sześćdziesiąt trzy kilogramy.

– To nie ten sam facet – oświadczam stanowczo.

– Prawo jazdy było podrobione. Uważamy, że zdjęcie przedstawia prawdziwego mordercę. – Podaje mi kopię prawa jazdy. Przyglądam się uważnie, bo podczas incydentu na Union Street tylko pobieżnie rzuciłem na nie okiem.

– Nie potrafię powiedzieć, czy to ten sam człowiek, czy nie. Ledwo na niego spojrzałem i odprawiłem go stamtąd.

Detektyw McGraw podaje mi kolejną fotografię, tym razem ukazującą drobnokościstego Hindusa.

– Ostatnie zdjęcie Johna Summeya, niegdyś Anijta Patela.

– To nie on siedział za kierownicą samochodu – stwierdzam. – W niczym go nie przypomina.

– Kiedy zorientowała się pani, że ten człowiek panią szpiegował, panno Cole? – pyta detektyw McGraw.

– Dwa dni wcześniej. W czwartek śledził mnie w drodze do pracy. Zauważyłam go, czekając na autobus. A potem z przerażeniem zobaczyłam go, wysiadając niedaleko biura w dzielnicy bankowej. Kiedy wróciłam do domu, już na mnie czekał. To samo powtórzyło się w piątek. Odjechał na noc, ale kiedy obudziłam się rano, znów tam był. Siedział w samochodzie zaparkowanym przed moim domem. A dzień później do moich drzwi zadzwonił Leo.

– Ale nigdy do pani nie podszedł, nie groził? – docieka detektyw. – Czy słusznie zakładam, że się do pani nie odezwał, nie zagadnął? Może po prostu śledził kogoś innego, kto mieszka w pobliżu?

– Gapił się na mnie. To o mnie mu chodziło – odpowiada z przekonaniem roztrzęsiona Anna.

– Kiedy zszedłem, żeby spisać numer rejestracyjny samochodu i mu pogrozić, leżał na podłodze wozu – informuję detektywa. – Z pewnością się przed kimś chował, no, chyba że rozsypał orzeszki.

– Ma pan zezwolenie na broń, którą się pan posłużył, panie King? – pyta policjant.

– Pożyczyłem pistolet od panny Cole.

– To prezent od mojego dziadka – dodaje Anna. – Nie dał mi zezwolenia. Ale nie mam do niego amunicji.

– Czy któreś z was potrafiłoby rozpoznać tego człowieka podczas okazania na komisariacie? – pyta detektyw McGraw.

– Nie. – Odpowiadamy jednocześnie ja i Anna.

– Gdybyście go jeszcze kiedyś spotkali, proszę mnie natychmiast zawiadomić. – Detektyw McGraw rozdaje wizytówki nam oraz

Ike'owi. Przed wyjściem zwraca się do mnie: – Ma pan jeszcze te okulary przeciwsłoneczne?

– Chyba tak. Zejdę do piwnicy i sprawdzę. Wrzuciłem je do szuflady stolika nocnego.

– Pójdę z panem. Może uda nam się zdjąć z nich odciski palców.

W katakumbach sypialni zapalam światło i z zaskoczeniem stwierdzam, że mój pokój został splądrowany. Nie udaje mi się zabrać do oceny szkód, bo detektyw McGraw zatrzymuje mnie, ścisnąc za ramię. Wyciąga mnie za próg i ostrożnie wchodzi do pokoju. Wyjmuje notes, zapisuje coś i pyta:

– Czy to jest ten stolik, w którym trzymał pan jego okulary?

Stolik jest rozbity, szuflada leży na pochłastanym nożem łóżku. W rezydencji obwieszanej płótnami Picassa, Moneta i Miró, pełnej srebrnej zastawy, żyrandoli i innych antyków bezcennych nawet na czarnym rynku, zdumienie budzi fakt, że zdemolowano jedynie najskromniejsze pomieszczenie.

– Przyszedł tu po swoje okulary – stwierdza detektyw. – Skąd wiedział, że zatrzymał się pan akurat tutaj?

– Nie mam bladego pojęcia. Cholera, może z artykułu Herba Caena?

– Okleję drzwi do tego pokoju taśmą. Jutro przyślę techników, żeby się rozejrzeli. Nie podoba mi się to. Zajrzę do łazienki. Czy ktoś oprócz pana z niej korzysta?

– Nie, detektywie.

– Mam na imię Tom. Nie ma potrzeby mnie tytułować. – Wyciąga chusteczkę i pcha uchylone drzwi do łazienki. Widzę swoje przybory do golenia rozrzucone na podłodze.

– Możesz tu zajrzeć, Leo? – pyta detektyw McGraw. – Niczego nie dotykaj ani nie przesuwaj. Ale wyjaśnij mi to, jeśli możesz.

Wkurza mnie widok rozsypanych na podłodze lekarstw. Intruz wycisnął cały krem do golenia do umywalki, rozbił butelkę wody kolońskiej i opróżnił tubkę pasty do zębów. Lustro zasłaniające

szafkę na lekarstwa jest odchylone, a jej wyszukana zawartość, którą producent zostawił dla gości, wała się po podłodze. Ale niepokojący charakter tej niezapowiedzianej wizyty uderza mnie dopiero wtedy, gdy McGraw zamyka lustro i widzę ulotkę zawiadamiającą San Francisco o zaginięciu Trevora Poego. Nabazgrany na niej rysunek mrozi komórki mojego ciała w upiornych wspomnieniach i historii, w tajemnej mitologii stanowiącej groteskowe podłoże tych poszukiwań, które właśnie stały się śmiertelnie groźne.

– Czy można objąć ten dom ochroną policyjną? – pytam. – Od zaraz?

– Jeżeli będą uzasadnione podstawy – odpowiada detektyw McGraw.

– A można ściągnąć tu Shebę, Ike'a i Nilesa? Ale bez pozostałych kobiet, jeśli łaska.

Pierwsi zjawiają się Ike i Niles. Słyszę, jak Sheba protestuje, gdy Tom McGraw prowadzi ją pod rękę.

– Co jest, Ropuchu? – rzuca Niles.

– Kto ci tak zdemolował pokój? – dziwi się Ike.

Słyszę, jak Sheba od progu marudzi, że jest skrajnie udręczona. Stan sypialni wprawia ją w szok, ale na widok przyklepionej do lustra kartki z fotografią brata o mało nie osuwa się na podłogę.

Jaskrawoczerwonym lakierem do paznokci ktoś wymalował buźkę. Z lewego oka pozbawionej rysów twarzy sphywa samotna łza.

– Chryste Panie! – jęczy Ike.

– Jasny gwint! – rzuca Niles. – Co to ma znaczyć?

– Shebo, twój ojciec wciąż żyje – oznajmiam. – To on siedział w tamtym samochodzie.

*

Następnego dnia Ike obejmuje przywództwo naszej znękaney grupy, wystraszonej i czującej się jak na zesłaniu. Od wschodu słońca policjant z San Francisco trzyma wartę przed naszym domem niczym pretorianin. Intruz wdarł się na posesję przez ogrodzenie na tyłach, o

czym świadczy trup otrutego rottweilera.

Policja nie znalazła odcisków palców, włosów ani śladu włamania. Na dolnym tarasie widnieje tylko odcisk sportowego buta marki New Balance numer jedenaście. Przez dwie godziny przepytują Shebę, wysłuchując szczegółów burzliwej rodzinnej historii, zawierającej wszystkie elementy układanki, którą latami próbowaliśmy skompletować. Każdy z nas o czymś wiedział, ale nikt nie znał całej sytuacji.

Gdy Sheba pojawia się na śniadaniu, nalewam jej filiżankę czarnej kawy. W mrocznym mglistym powietrzu wisi napięcie.

W tym mieście, które najwyraźniej nie wierzy w lato i nie czuje się z nim związane, jest zimno. Pogrążamy się w kłótlivej ciszy. Kiedy w końcu Ike przejmuje kierownictwo i przedstawia nam swój plan, wygląda to na akt miłosierdzia kaprala.

– Shebo, wczorajszy wieczór wszystko zmienia – oświadcza. – Sama wiesz o tym najlepiej.

– Nie naraziłabym nikogo z was na niebezpieczeństwo – zapewnia Sheba. – Mam nadzieję, że mi wierzycie.

Najbardziej wstrząśnięta z całej grupy jest Molly. Nawet nie zająknęła się o naszej wspólnej nocy, nie próbowała też porozmawiać ze mną na osobności ani choćby wziąć mnie za rękę. Trudno pojąć jej chłodny dystans, zwłaszcza że nie jest to zimna kobieta. Przeciwnie, jest troskliwa, oddana, czuła i lojalna i dopiero te ostatnie dni w Kalifornii stopniowo uświadomiły mi, że jest także bardzo poukładana: ma osobną szufladę dla rodziny, osobną dla przyjaciół, dla fachowców od napraw domowych i całkiem osobną dla Leo, wiernego sługi i oddanego kochanka. Podejrzewam, że jej milczenie wynika z faktu, iż wciąż nie podjęła decyzji, co począć z szufladą przeznaczoną dla Chada. Czy ma ją wyrzucić? Zreorganizować? Niepewność paraliżuje Molly, a powrót pana Poego tylko zwiększył jej poczucie narastającego chaosu.

Wyraźnie widać, że jej entuzjazm dla tej wyprawy zdecydowanie przygasł.

– Cały ten przyjazd, żeby odnaleźć Trevora, to była niezła heca – zwraca się do Sheby ostrym tonem. – Sama przyjemność. Dał nam okazję, żeby coś sobie nawzajem udowodnić, żeby przeżyć razem przygodę. Szkoda tylko, że nie wspomniałaś, że przy okazji możemy stracić życie.

– Myślałam, że mój stary nie żyje – przekonuje Sheba.

– Shebo, my musimy myśleć o swoich dzieciach – uświadamia ją Fraser beznamiętnym tonem.

– Wobec tego wypierdalajcie stąd, wszyscy! Sama odnajdę brata. – Wybuch Sheby sprawia wrażenie, jakby wypływał z przygnębienia, które siedzi w mrocznych zakamarkach jej duszy.

– Chciałbym zaproponować plan działania – wtrąca się Ike. – Moim zdaniem ryzyko jest minimalne. Wymyśliśmy to z Betty w nocy.

– Może i nasz plan nie jest doskonały, ale lepszy taki niż żaden – dorzuca jego żona.

– Dajmy sobie czas do niedzieli – ciągnie Ike. – W ten sposób spędzilibyśmy tu ponad dwa tygodnie. Wypruwaliśmy sobie flaki. Zamieściliśmy ogłoszenia w gazetach, rozwiesiliśmy ulotki w całym mieście, załatwiliśmy felieton Herba Caena. Sheba udzieliła wywiadów wszystkim tutejszym stacjom radiowym i telewizyjnym. Cała prasa gejowska pisała, po co przyjechaliśmy. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

– Ja trzymałam z Fraser – przyznaje Berty. – Byłam gotowa dziś rano wsiąść do samolotu i wracać. Ale plan Ike'a wydaje się lepszy. On zawsze zachowuje zimną krew.

– On nie jest matką – zauważa Molly. – Sheba też nie. A Leo nie jest ojcem. Wolałabym przedawkować heroinę, niż dopuścić, żeby Chad wychowywał moje dzieci razem z tą brazylijską dupą.

– Nie zapominaj, że Chad jest moim bratem – przypomina jej Fraser. – On kocha wasze dzieci nie mniej niż ty.

– Obejdziemy się bez pyskówek. – Niles próbuje rozładować sytuację. – Mamy wystarczająco dużo problemów.

– Widziałam, jak wymykałaś się w nocy z piwnicy – zwraca się Fraser do Molly. – Skorzystałam z łazienki w korytarzu, żeby nie budzić Nilesa. Domyślam się, że dyskutowałaś z Leo o potrzebie reform gospodarczych na Sri Lance?

– Podgrzałam sobie mleko w kuchence mikrofalowej – kłamie Molly, ale nie brzmi to przekonująco. – Nie mogłam zasnąć.

– Moim zdaniem trąciłaś seksem – upiera się Fraser.

Rozlega się ogólny jęk. Nigdy nie spodziewałbym się takich słów z ust Fraser. Nie uwierzyłbym, gdybym nie słyszał tego na własne uszy. Jej mina zdradza, że zaszokowała nawet siebie samą.

– Oho, rodzina Rutledge'ów zwierza szyki – rzuca Molly. – Mały Chad może wyrabiać, co chce, a Molly i dzieci mają trzymać buzie na kłódkę i uśmiechać się do kamery, kiedy za ich plecami pali się dom.

– Przepróż Molly – mówi Niles do Fraser, przeszywając ją spojrzeniem niebieskich oczu.

– Nie mam za co przeproszać – odcina się jego żona. – Tylko ślepy nie widzi, co ona i Leo kombinują. A ja nie przyjechałam tu po to, żeby osierocić swoje dzieci.

– Masz coś przeciwko sierotom? – zaperza się Niles.

Wydaje się, że cały pokój wymyka się spod kontroli niczym molekularna planeta uwolniona od swego minimalnego prawa grawitacji.

– Ależ skąd, kochanie, nic. – Fraser powoli bierze się w garść. – Tyle że nie takiego losu pragnę dla naszych dzieci, chociaż twoim zdaniem to wyrabia charakter.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób – protestuje Niles. – To najbardziej przerażająca rzecz pod słońcem. Dzień w dzień budziłem się przerażony. Bałem się chodzić do szkoły, tak samo jak siostra. Sierociniec zniszczył jej życie. Mnie uratowała twoja miłość, Fraser. Ale moja siostra została tak okaleczona, że nawet miłość Leo nie zdołała trafić do jej serca. Dlatego Leo zmarnował sobie życie, kochając kogoś, kogo nie dało się naprawić. Ale chociaż i ja, i Starla baliśmy się jak cholera, to na pewno nie baliśmy się aż tak jak Sheba i Trevor. Ja prawie nie znałem tatusia, co nie jest dobre. Ale oni

mieli takiego, który terroryzował ich i prześladował latami. Nie znam całej historii, Shebo, w sumie niewiele wiem, ale jestem pewien, że wasze życie było straszne, naprawdę okropne.

Ike wstaje i mówi stanowczo, choć spokojnie:

– A oto plan, który wymyśliśmy z Betty. Obiecaliśmy w Open Hand, że będziemy dostarczać jedzenie do niedzieli. Ale teraz to się zmieni. Berty i ja nie będziemy tam jeździli, tylko bawili się w gli-niarzy. Wszędzie będziemy jeździli razem, od hotelu do hotelu. Poli-cjanci z San Francisco będą pilnowali nam domu w dzień i w nocy. A my dokończymy to, co zaczęliśmy, i przyłożymy się do zadania. Ropuchu, przygotujesz nam dzisiaj kolację?

– Z miłą chęcią.

– Jadać będziemy wyłącznie tutaj, przy zaciągniętych żaluzjach i zasłonach. Koniec z pływaniem w basenie i z jacuzzi.

– A mój miesiąc miodowy z Leo? – wyrywa się Molly.

– Molly, weź się zamknij – rozkazuje Ike.

– Przestraszyłam się – wyjaśnia Fraser. – Chlapnęłam ozorem bez zastanowienia.

– Po raz pierwszy słyszałem, że potrafisz być wredna – mówi Niles, wpatrując się w żonę, która unika jego wzroku. – Boże jedyny, gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że gadasz jak jakaś cholerna sierota, szumowina zachodniego świata.

– Jesteś niesprawiedliwy, Nilesie – wtrąca się Molly, zaskakując wszystkich, a szczególnie Fraser. – Przecież powiedziała ci, że się wystraszyła. Każdemu należy wybaczyć, że się boi.

Niespodziewanie w sukurs przychodzi jej Sheba, która siedzi w kącie pokoju, obejmując podciągnięte pod brodę kolana.

– Mój tata jest zdolny pozabijać nas wszystkich – mówi. – To ja doprowadziłam do takiej sytuacji, ale naprawię szkody. Przysięgam, że wszystko naprawię.

– Najpierw mamy zadanie do wykonania – przypomina Betty. – Musimy dostarczyć jedzenie tym biedakom. Oni na nas czekają.

– Nie chce mi się ruszyć ręką ani nogą – wyznaje Sheba. – Najchętniej leżałabym w łóżku i upijała się, oglądając swoje stare filmy. Może to by mi pomogło zapomnieć, że mój stary, o którym sądziłam, że nie żyje, jest mordującym siekierą psychopatą i wie, gdzie mieszkam.

– Nakarm nas porządnie, Leo, ugotuj najbardziej wyszukane dania – prosi Ike. – Ale musimy wyjaśnić sobie sprawę do końca. Shebo, przygotuj się. Dziś wieczorem wszyscy w tym pokoju poznamy całą tę cholerną historię od A do Z. Pojawiliście się w naszym życiu jakieś dwadzieścia lat temu, spadliście nam jak z nieba. Nikt z nas nie wiedział, skąd się wzięliście ani dlaczego wprowadziliście się do domu naprzeciwko Leo. Nie wiemy nic o twojej mamie, poza tym, że jej życiową rolą jest sprawianie kłopotów. Ale musimy poznać całą prawdę. Niczego nie wolno ci przed nami ukrywać, bo w przeszłości ten facet straszył każdego z nas. Twój tatuś jest dla nas hrabią Draculą, cyklopem, tworem Frankensteina i Charlesem Mansonem, a jednak nikt z nas by go nie rozpoznał, gdyby pojawił się teraz w tym pokoju. Nie wiem, jak się nazywa. Nie wiem nawet, jak ma na imię.

Ku naszemu zdumieniu Sheba odpowiada:

– Ani ja, ani Trevor też nie wiemy, jak on się nazywa.

– Shebo Poe, dziś wieczorem czeka cię spowiedź – zapowiada Ike. – Opowiesz nam wszystko ze szczegółami. Dla ciebie jestem nawet gotów umrzeć. Naprawdę chętnie poświęcę dla ciebie życie. Ale jedno jest pewne... chciałbym wiedzieć dlaczego.

*

Wieczorem Sheba znajduje się w centrum uwagi w przepysznej sypialni zajmującej całe górne piętro. Przestrzeń dla gości rozjaśnia mnóstwo poduszek i wygodnych foteli – przesadnie urządzone królestwo komfortu. Przycupnięte kobiety wydają się malutkie, z wyjątkiem wysokiej Fraser siedzącej obok Nilesa. Molly i ja usadowiliśmy się dziesięć metrów od siebie i udajemy, że zamieszkujemy inne światy.

– Trevor i ja nawet nie wiemy, gdzie i kiedy się urodziliśmy – zaczyna Sheba.

– Nie macie aktów urodzenia? – dziwi się Ike.

– Nawet kilka. Na jednym nazywam się Carolyn Abbott, a mój brat bliźniak to Charles Larson Abbott. Dzień urodzin jest ten sam. Ale według pierwszego dokumentu urodziliśmy się w St Louis, a według drugiego w San Antonio.

– A tata? – docieka Ike.

– Zmieniał nazwisko i zawód po każdej przeprowadzce.

– Dlaczego, na miłość boską? – pyta Molly.

– Nie mam zielonego pojęcia. Jeśli co rok się przenosisz, jeśli jeździsz z miasta do miasta, a każdy, kogo poznajesz, jest obcy, to masz w głowie jeden wielki mętlik. Kiedy mieszkaliśmy w Cheyenne w stanie Wyoming, tata występował jako doktor Bob Marchese. Mówił z włoskim akcentem i przez rok udawał weterynarza specjalizującego się w leczeniu krów. W Pittsburghu nazywał się Pierre Le Davide i był sprzedawcą jaguarów. W Stockton w Kalifornii rozprawał polisy ubezpieczeniowe. Nie wiem, czy naprawdę nazywam się Sheba Poe. Trevor twierdził, że kiedyś znalazł z pięć fałszywych aktów urodzenia i trzy paszporty mojego taty wystawione na trzy różne nazwiska, ale nie było wśród nich nazwiska Poe.

– Nie próbowaliście wypytywać matki? – dziwi się Fraser.

– Rzadko. Dla nas to było tylko dziwne, ale dla niej... koszmar. Kiedy podrośliśmy i zaczęliśmy więcej rozumieć, zorientowaliśmy się, że ona się go boi. Oczywiście wtedy już wiedzieliśmy, że ma do tego pełne prawo.

– Bił ją? – pyta Ike.

– Ale tak, żeby nie zostawiać widocznych śladów. No i wymyślał tysiące sposobów, żeby ją dręczyć. Czasami dręczył ją, nie dając jej ani centa na jedzenie. Zawsze mieszkaliśmy na wsi, z dala od ludzi. Bez radia, bez telewizji, bez sąsiadów, bez samochodu. Tata był naszym jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym.

– Przestań, przestań natychmiast! – krzyczy Fraser. – To się nie trzyma kupy. Nie tak wygląda amerykański styl życia. Nikt nie dorasta w takich warunkach. Gdzie byli wasi dziadkowie, ciotki, wujkowie? Co mówili, kiedy was odwiedzali?

– Dziadkowie? Ciotki? Wujkowie? Fraser, kochanie, nawet jeśli ich mieliśmy, to się nie ujawnili. Myślisz, że nie snułam fantazji na ich temat milion razy? Myślisz, że nie miałam nadziei, iż pewnego dnia ktoś z nich zobaczy któryś z moich filmów i powie: „No proszę, do czego doszła nasza Sheba?”. Ale jeśli ci mityczni krewni nigdy nie słyszeli o takich bliźniakach jak Sheba i Trevor? Jeżeli znają nas jako Mary i Billa Robertsów z Buffalo w stanie Nowy Jork? A jeśli nasza matka zakochała się w ojcu tak bardzo, że zerwała kontakty ze swoją rodziną? W grę wchodzi milion scenariuszy, Fraser, a skoro sądzisz, że jest tylko jeden, to już twoja tragedia.

– To nie jest moja tragedia – prostuje Fraser. – Mam ten luksus, że dokładnie wiem, kim są członkowie mojej rodziny i gdzie mieszkali przez ostatnie trzysta lat. Najważniejszym prezentem, jaki dostałam w dzieciństwie, była stabilizacja. I to samo daję swoim dzieciom.

– A ja nie wiem, skąd pochodzi połowa rodziny twoich dzieci – przypomina jej Niles. – One są w połowie moje. Wśród ich przodków są prostytutki, bimbrownicy i góralki, które nie skończyły trzeciej klasy podstawówki. Nasze dzieci mają w swoim drzewie genealogicznym tyle samo upiórów przeszłości co Sheba i Trevor. Mama zadźgała kogoś nożem, tak samo jak moja babcia, i obie wylądowały w więzieniu. To jedna z niewielu rzeczy, których jestem pewny.

– Ta smutna historia nie ma nic wspólnego z naszymi dziećmi – upiera się Fraser.

– Wręcz przeciwnie. To główny punkt historii ich życia, tyle że jeszcze o tym nie wiedzą.

– Chroniłam ich przed wszystkim, co dotyczy przeszłości twojej rodziny – mówi Fraser.

– Tylko że przeszłość je dopadnie. Bo właśnie tak działa historia.

– Tak zadziałała w przypadku Starli – przyznaje Fraser. – Ale ja pomogłam ci uciec od przeszłości.

– Nie ma czegoś takiego jak ucieczka od przeszłości – wtrącam się.

Ike unosi ręce, żeby zakończyć tę dyskusję.

– Tematem naszej rozmowy jest Sheba. Trevor. Ich tata. To jej przeszłość staramy się teraz zgłębić. O innych sprawach możemy sobie pogadać po powrocie do Charlestonu.

– A ta buźka? – pyta Molly Shebę. – Nie rozumiem, dlaczego twój tata w ten sposób zaznacza swoją obecność, swoje zło.

– Jako mała dziewczynka uwielbiałam te buźki. – Sheba wzrusza ramionami. – Nie mieliśmy pieniędzy, więc wycinałam je z gazet i czasopism. Przez jakiś czas widywałam je wszędzie... na papierowych kubkach i talerzykach, na wstążkach i balonach. Tata nie wierzył w zainteresowania, pomijając fortepian. To on nauczył grać mnie i Trevora. Ale poza tym musiał być pępkiem naszego świata. Kiedyś wróciłam ze szkoły, a tymczasem on namalował czerwoną łzę na każdej buźce, jaką miałam. Użył do tego lakieru do paznokci matki. Ale wtedy wszystko już było jasne. Matka miała gotowy plan ucieczki.

– Co było jasne? – chce wiedzieć Molly.

– Już wtedy dobierał się do mnie i Trevora – wyjaśnia Sheba. – Zwłaszcza do niego. Zawsze uważałam, że wołał małych chłopców niż dziewczynki, ale w sumie gustował w jednych i drugich.

– Dość tego! – znów krzyczy Fraser. – Nie będę udawała, że mam ochotę dalej słuchać. Sądzę, że mówię w imieniu nas wszystkich.

Ciszę można mierzyć szklankami do whisky albo dwulitrowymi butlami. Ta cisza trwała tak długo, że Fraser poczuła się osamotniona i w defensywie. Jej oczy błyszczą jak ślepia lwicy, która zwietrzyła zapach hien podkradających się do jej młodych. Wyznanie Sheby

wszystkich nas wytrąca z równowagi, ale na słynnym opanowaniu Fraser wywiera wręcz straszliwy skutek. W skomplikowanym koleżu, jakim z biegiem lat stała się nasza przyjaźń, Fraser wyróżniała się normalnością. Zawsze można było polegać na niej jako na porządnej obywatelce i fajnej koleżance bez względu na to, jak silne zawirowania krążyły wokół nas. Boli mnie, gdy widzę, jak jej życie obraca się w perzynę.

– Nilesie, idziesz ze mną? – pyta. – Ja już mam dość. Resztę szczegółów dopowie mi wyobraźnia.

– Chcę to doprowadzić do końca – mówi Niles zimno. – Musimy wreszcie zamknąć tę lukę w życiu każdego z nas, a już na pewno musi to zrobić Sheba.

– Shebo, oszczędź nam obrzydliwych szczegółów tego, jak tata napastował ciebie i Trevora, nie musisz nas tym raczyć – protestuje Fraser. – Rozumiemy już, co się stało. Wszyscy tu staramy się wieść porządne życie. Nie obracamy się w świecie, w którym dorośli molestują seksualnie swoje dzieci. To dla nas obce, odrażające i nie sądzę, żeby pomogło nam odnaleźć Trevora.

– Fraser, w sierocińcu dzieciakowi przytrafiają się rozmaite rzeczy – tłumaczy Niles. – Zanim skończyłem dziesięć lat, dwóch mężczyzn zerznęło mnie w dupę i jakoś przeżyłem. Oboje ze Starłą ocaliliśmy. Nie mieliśmy wyboru.

– Twoja siostra nie ocalała, Nilesie. To ludzki wrak i nigdy nie wiemy, gdzie nagle wypłynie – odcina się Fraser.

– Niles i ja wiemy, jak sierociniec potrafi wpłynąć na duszę dziecka – wtrąca się Betty. – Jakoś się w życiu urządziliśmy, ale przed nami jeszcze długa droga.

– Dobranoc wszystkim – rzuca Fraser. Słyszymy jej kroki na schodach, gdy schodzi z wdziękiem sportsmenki stanowiącym jej znak firmowy. Piętro niżej trzaskają drzwi.

– Dobrze się czujesz, Shebo? – pyta Ike.

– Nie. Przez to wszystko się znienawidzimy, więc wolę na tym zakończyć. Przykro mi, że tata robił to ze mną i z Trevorem, ale takie

są fakty. Kiedy to się działo, nawet nie widziałam w tym niczego złego. Tata tłumaczył mi, że ojcom należy się seks od ich córeczek i synków. Że w ten sposób dzieci płacą im za utrzymanie. Skąd mieliśmy wiedzieć, że to nieprawda? Teraz już wiem, że to było chore. Ale w wieku pięciu, sześciu lat nie miałam o tym pojęcia.

– Shebo? – Betty zsuwa się z kanapy, klęka obok zrozpaczonej Sheby i bierze ją za rękę. – Mnie spotkało to samo. Z przyjacielem matki. Posuwał mnie, aż wkroczyła opieka społeczna i mnie stamtąd zabrała. Trafiłam do Charlestonu w tym samym roku co ty i Trevor, do tego samego sierocińca co Niles i Starla. Na jakimś etapie wszyscy nawzajem pomagaliśmy sobie przetrwać. Byłam tak strasznie zagubiona, że sądziłam, iż nigdy się z tego nie otrząsnę. Dajmy już z tym spokój, skarbie. Jeżeli twój stary nawinie mi się kiedyś pod lufę, wyślę go na tamten świat. Ike, Niles i Ropuch zrobią tak samo.

– Czuję to samo co ty, ale wątpię, żebym była zdolna go zabić – wtrąca Molly. – Po prostu uważam, że nie potrafiłabym zabić nikogo.

– Nie przejmuj się – mówi Sheba. – Ja też bym tego nie potrafiła. Z najgłupszego powodu na świecie, takiego, że mnie znienawidzicie, kiedy go wam wyjawię.

– Możesz powiedzieć nam wszystko – zapewnia Ike. – My nie potrafimy cię znienawidzić.

– Dlatego, że jest moim cholernym ojcem. Widzicie, jak przez niego mam popieprzone w głowie? Wciąż go kocham wyłącznie z tego jednego powodu. Jest tatą moim i Trevora. Marzę, żeby zniknął, ale nie chcę oglądać jego śmierci.

Obserwując szlochającą Shebę, myślę, iż wymyślała dla siebie tyle masek, że nie potrafi już wybrać swojej prawdziwej twarzy z muzeum, jakie stworzyła, żeby się w nim ukryć. Jako aktorka całą karierę oparła na kradzieży cudzej tożsamości. Stwierdzam, że siedząc tam, wierzę jej bez zastrzeżeń, choć przecież wcale nie wiem, czy mówi prawdę. Trudno jest ufać kobiecie, która stworzyła samą siebie

w domu, gdzie wszystkie drogi prowadzą na zewnątrz, ale ani jedna do środka.

– Co jeszcze powinniśmy wiedzieć? – Ike zwraca się do całej grupy. – Załatwmy to jak najszybciej, Shebo. To było straszne i dla ciebie, i dla nas wszystkich.

– Znając swojego tatę, jak mogłaś uwierzyć, że naprawdę umarł? – pyta Berty. – Nawet jeśli miałaś coś, co rzekomo było jego prochami?

Sheba wzrusza ramionami.

– Tak mi powiedzieli w Nowym Jorku. Znaleźli jego dokumenty. A mnie oddali prochy.

– Kiedy to było? – chce wiedzieć Ike.

– Kilka miesięcy temu.

– Więc jakim cudem dowiedział się, że tu jesteś? – zastanawia się Niles.

– Adres Sheby podał mu Herb Caen – wyjaśnia Molly. – Jej ojciec obserwował dawne mieszkanie Trevora. Cholera, Leo też napisał dużo felietonów o tym mieszkaniu.

– Na dziś wystarczy, Shebo – mówi Ike.

– Ale na tym nie koniec?

– Skąd ta jego obsesja na punkcie twoim i Trevora? – docieka Molly.

– To prosta gra. Polega na sprawowaniu całkowitej kontroli. Taka, która nie toleruje buntu – tłumaczy Sheba. – Tata nazywał siebie mistrzem. A nas niewolnikami. Mówił, że to najprostsza, najstarsza i najbardziej zaszczytna gra na świecie. A kiedyś powiedział: „Jedno wam mogę obiecać, że to się nigdy nie skończy”. Kiedy zgwałcił mnie w Los Angeles, zdradził mi, że zrobił sobie dzieci tylko po to, żeby mieć kogo dmuchać do końca życia. „Bliźniaki, to dopiero była niespodzianka – powiedział. – Podwójna rozkosz, dwa razy więcej frajdy”.

Nowy mieszkaniec Washbagu

W piątek rozpoczynamy trudny proces żegnania się z chorymi, którym przez prawie dwa tygodnie przynosiliśmy jedzenie. Te pożegnania dla każdego z nas są męczące i wzruszające. Wprawdzie Open Hand ostrzegała nas przed niebezpieczeństwem zbytniego emocjonalnego zaangażowania, ale charakter i powaga obowiązków całkowicie nas zmieniła. Po odejściu przez większą część dnia płaczemy. W ciągu dwóch tygodni w obsługiwanych przez nas hotelach w Tenderloin znaleźliśmy zwłoki czterech mężczyzn. Fakt, że nie wpadliśmy na ślad Trevora, ciąży nam na sercu. Wizja rychłej porażki nas przygnębia, a Sheba staje się opryskliwa. Dotychczas nikt z nas nie zetknął się z tak nieustraszoną odwagą, nieustającym dowcipem i pasją życia, jak wtedy, gdy nasze losy splotły się z losem tych wyniszczonych chorobą ludzi.

W drodze do Washbagu czuję, że moja dusza jest zmęczona. Kelnerka Leslie ściska każdego z nas na powitanie. Wśród stałych bywalców rozniosło się, że wciąż nie wpadliśmy na ślad Trevora.

– Ściągając was tutaj, zmarnowałam tylko wasz czas – stwierdza Sheba. – Naraziłam was wszystkich na niebezpieczeństwo. A w sumie gównu nam to dało.

Urywa i zalewa się łzami. Nie ma w tym za grosz aktorstwa, tylko czysta rozpacz. Zaczyna zawodzić jak jakieś małe, miękkie, nocne zwierzątko. Nie mam okazji jej odpowiedzieć, bo z sali od frontu nadbiega zadyszana Leslie.

– Nadchodzi tu coś śmierzącego i niebezpiecznego dla życia – informuje nas.

– A konkretnie? – pyta Ike, wstając z krzesła.

– Olbrzymi Murzyn. Bezdomny, jak nic. Mówi, że ma z wami do pogadania.

Sheba doszła jako tako do siebie i pierwsza załapuje, o co chodzi.

– To ten świr z kolejki linowej! Ten, który próbował ukraść mi portfel.

Zwracam się do Leslie:

– Usmaż największy stek, jaki masz. I podaj go ze wszystkimi dodatkami na najbliższą ławkę na placu.

Niles i Ike są już na ulicy i gadają z jedynym obrońcą drużyny Oakland Raiders, który mieszka na tylnym siedzeniu samochodu na złomowisku.

– Może ma dla nas jakieś wieści – mówię do idących za mną kobiet. Dochodzę do pełnego napięcia zgromadzenia na Powell Street. – Zamówiłem dla niego kolację – informuję Ike'a i Nilesa.

– Chciałem wejść do środka, ale zagrozili, że wezwą policję – oznajmia autentycznie oburzony Macklin Tijuana Jones.

– Nie pasujesz do profilu ich klientów – próbuje go ułagodzić Ike.

– Obiecaliście mi pięć kawałków, jeśli znajdę waszego pedzia. – Macklin siedzi na ławce w parku, a my stoimy. – Gdzie moja forsa?

– A gdzie nasz przyjaciel? – pyta Ike. – Pieniądze nie przejdą z rączki do rączki, dopóki nie uściśniemy grabuli Trevorowi Poemu.

– Znalazłem go – mówi Macklin. – Tak jak obiecałem. Dowiodłem, że jestem godny zaufania. A teraz chcę dostać moją forszę. –

Wyciąga jedną z ulotek, które rozwiesiliśmy w całym San Francisco, i wpatruje się w nią, jakby była bezcenną mapą prowadzącą do zaginionego skarbu. – To on, jak nic. Widziałem go na własne oczy. Wczoraj.

Leslie zjawia się z tacą pełną jedzenia i sześciopakiem piwa. Uroczyście stawia tacę na kolanach Macklina.

– Stek jest średnio wysmażony – informuje. – Może być, złotko?

– Dokładnie taki, jak lubię, psze pani. Ukłony dla szefa kuchni.

Proszę dopisać do rachunku trzydzieści procent napiwku.

Patrzmy, jak Macklin zabiera się do kolacji z przyjemnością i zaskakująco delikatnie. Nagle przypominam sobie, że przecież był gwiazdą NFL, więc potrafi się zachować w najlepszych restauracjach w dowolnym mieście.

– Panie, panowie, kolacja jest wyśmienita, po prostu wyśmienita.

– Widziałeś Trevora Poego? – pyta Ike niecierpliwie.

– Na własne gały – odpowiada Macklin między jednym kęsem a drugim.

– Zaprowadzisz nas do niego? – indaguje dalej Ike.

– Wasz chłopak wpakował się w kłopoty, panie władzo. Jasne, mogę was do niego zaprowadzić. Ale wydostać go stamtąd, to będzie istne piekło.

– Gdzie on jest?! – krzyczy Sheba.

– Ma go Króliczek – odpowiada Macklin.

– Kto to jest Króliczek? – pyta Ike.

– Lepiej, żebyście nie wiedzieli. – Murzyn skupia się na jedzeniu. Nagle celuje w nas widelcem. – Coś wam powiem. Spotkajmy się o ósmej rano na rogu Turk i Polk Street.

– Zabierzesz nas do tego Króliczka? – naciska Ike.

– A coś pan! Króliczek by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że nasłałem na niego gliny.

– Boisz się? To do ciebie niepodobne – stwierdza Ike.

– Króliczek grał w Raidersach kilka lat przede mną – wyjaśnia

Macklin i wraca do jedzenia. – Króliczek Buncombe występował z numerem osiemdziesiąt dziewięć. Białas grający dla Florydy. Ważył wtedy prawie sto czterdzieści kilogramów. Założę się, że teraz waży ze sto osiemdziesiąt. On jest stuknięty. Kompletny świr. Nie przebiegły świr, tylko wredny. Za pastylki na kaszel byłby gotów zabić własną matkę i sprzedać jej używane podpaski.

– Cóż za piękny obrazek – wzdycha Fraser.

– Nie wyrażaj się przy mojej żonie! – warczy Niles.

– Przylecieliśmy do San Francisco na urlop i żeby się dobrze zabawić – mówię. – Tymczasem spotykamy naszego przyjaciela Macklina. Tata Sheby znów się pojawia, żeby zabalować z córeczką. Teraz dowiadujemy się, że Trevor zawarł znajomość z czubkiem, który waży sto osiemdziesiąt kilogramów i nazywa się Króliczek.

– Dlaczego Trevor zamieszkał u kogoś takiego jak Króliczek? – pyta bezgranicznie zdumiona Betty. – On nienawidził tego typu ludzi.

– Panienska mnie nie zrozumiała – mówi Macklin. – Wasz przyjaciel Trevor jest jeńcem wojennym. Tak samo jak te inne cioty zamknięte w domu Króliczka. Nie może stamtąd wyjść. Nie wolno.

– Jest dorosły – protestuje Fraser. – Gdyby chciał, toby wyszedł.

– Hej, damulko z towarzystwa, widziałem, jak ludzie staczają się w Tenderloin. Kurde, ja sam się stoczyłem. Ale Króliczek zbudował tam swoje prywatne piekło. A może nawet coś gorszego. Będę musiał umrzeć, żeby się tego dowiedzieć, prawda? Tak czy owak – kończy jeść i kładzie serwetkę na tacy – spotkam się z wami o ósmej rano i zobaczymy, co da się zrobić. Po wschodniej stronie Polk obok Golden Gate jest taka kawiarnia prowadzona przez pana Joego. Tam się zobaczymy.

– Skąd mamy wiedzieć, czy się zjawisz? – pyta Ike.

– Mam pięć tysięcy powodów. Przygotujcie się na rozróbę. Króliczek zabije was sztuka w sztukę, jeśli zakłóćcie jego styl życia. Swoją drogą, wasz pedzio jest w kiepskiej formie. I idę o zakład, że

Króliczek zabije któregoś z was.

*

Spotykamy się na śniadaniu z Macklinem Tijuana Jonesem w najpodlejszej części Tenderloin, w lokalu, którego właściciel, starszawy Wietnamczyk, przedstawia się jako „Joe Fanga”. Macklin nocuje na podwórku Fangi w zardzewiałej mazdzie ustawionej na pustakach.

– Zamawiajcie, co chcecie – poleca Ike, więc zamawiamy. – Jeszcze jeden stek, Macklin?

– Miło jest zacząć dzień od steku – odpowiada olbrzym.

– Gadaj, gdzie jest Trevor Poe? – nakazuje Ike stanowczo. – Podobno wiesz.

– Jeżeli Króliczek się dowie, że go zakapowałem, to już nie żyję – ostrzega Macklin, czujnie rozglądając się po lokalu.

– Nikt się nie dowie, że miałeś z tym coś wspólnego – obiecuje Betty.

– Macie moje pięć tysięcy? – pyta Macklin.

– Mamy – zapewnia go Sheba. – Gdzie mój brat?

– Ta ciota jest twoim bratem? – dziwi się olbrzymi Murzyn. – No, to już niedługo. Jest przeżarty przez ten pieprzony AIDS. Byliście w Castro? To tam się kręcą te nadziane cioty. Jak jestem splukany, idę do Castro, żeby obrobić któregoś z tych piękniśków.

– Cóż za pasjonujące życie – zauważa Sheba.

– Rasistowska kurwa – odcina się Macklin.

– Pierdolony czarnuch z pierdolonego piekła – kwituje Sheba. – Nie dałabym ci pięciu tysięcy, nawet gdybyś mi dostarczył brata w cylindrze i ze złotą laską.

– Zabierz stąd Shebę – nakazuję Molly. – Macklin, gdzie jest Trevor? I skąd pewność, że to jego widziałeś?

– Mówiłem wam, że Króliczek jest stuknięty, no nie? Ale poza tym jest cwany. Drań studiował biznes na Uniwersytecie Stanowym

Florydy. Sukinsyn zrobił nawet dyplom. Ale ledwo wszedł do ligi zawodowej, odniósł kontuzję. Za odprawę kupił podupadły pensjonat w Tenderloin. Macza palce we wszystkim. Kupuję prochy u ćpuna, który dla niego robi. Króliczka nikt nie oszukuje. Tym, co próbowali, raz-dwa potrzebne były skrzela.

Ike zapisuje każde jego słowo.

– To znaczy? – dopytuje się.

– Trudno się oddycha na dnie zatoki San Francisco – wyjaśnia Macklin.

– Wracajmy do Trevora. – Niles jest coraz bardziej wstrząśnięty.

– Króliczek był na tyle cwany, że zwietrzył możliwość zarobienia na AIDS. Kiedy te bogate cioty zaczęły chorować, wymyślił plan, jak zagarnąć ich forszą.

– Ci, których spotkaliśmy, byli zubożali – wtrącam. – Równie dobrze mogliby być bezdomni.

– Ale dostają czeki z opieki społecznej. – Ike zwraca się do Macklina: – Ty pewnie też, prawda?

– Tak, ale moja wypłata znika w mgnieniu oka. Właśnie dlatego jestem za legalizacją narkotyków – odpowiada wielki Murzyn.

– Chryste, znalazł się reformator społeczny! – wzdycha Niles.

Macklin nie zwraca na niego uwagi.

– Króliczek wiedział, że nie namówi ludzkich gnid do zamieszkania w jego pensjonacie. Ale gdyby tak znalazł trochę ciot chorych na AIDS, facetów stojących nad grobem, bez rodziny i przyjaciół, za to z napływającymi co miesiąc czekami z opieki społecznej? Skombinował takich dwudziestu i ma dwadzieścia czeków. Daje im pokój i tylko tyle żarcia, żeby nie padli z głodu, ale nie mają żadnej styczności ze światem zewnętrznym. Nie trzeba mieć dyplomu z biznesu, żeby zrozumieć, jakie zyski to przynosi.

– Ta teoria jest dziurawa – zauważam. – Chorzy na AIDS umierają.

– Umierają, a jakże. Ale wtedy on załatwia sobie kolejnego

chłopaczka. I kasuje kolejny czek. Króliczek ma wspólnika w opiece społecznej, który zajmuje się Tenderloin. To on pilnuje, żeby wszystkie czeki trafiały do interesu Króliczka przy Turk Street. W zamian za to dostaje działkę od każdej wypłaty. Mówiłem wam, Króliczek jest nie w ciemną bity.

– Skąd wiesz, że Trevor tam mieszka? – pyta Niles.

– Jak żeście mi zaproponowali forszę za jego odszukanie, wpadłem do Króliczka po prochy, żeby tam powęszyć. On już wiedział, że jacyś goście szukają Trevora. Zaprowadził mnie do niego i chwalił się, że to on go ma. Powiedział: „Ty, pianista, przywitaj się z Macklinem”. Nazywa go tak, bo w pokoju jest pianino, na którym ten pedzio czasami grywa. A ten pianista mówi mi: „Cześć, Macklin, ładniutki jesteś. Na widok takich mężczyzn jak ty dziękuję Bogu, że urodziłem się gejem”. Myślałem, że się porzygam.

– To Trevor – orzekam.

– Nasz chłopak – przytakuje Niles.

– Ten cholerny artykuł Herba Caena. – Ike kręci głową.

– No – potwierdza Macklin. – Króliczek czyta Herba Caena z samego rana. Cały czas miał was na oku.

– Musimy się narodzić we własnym gronie, Macklin – mówi Ike, wyjmując z portfela banknot studolarowy.

– A moje pięć tysięcy? – upomina się olbrzym.

– Gdy już dostaniemy Trevora. To zaliczka. Wiesz jeszcze coś, co mogłoby nam pomóc?

– Jedno: na dachu domu Króliczka są wyłamane drzwi. Raz czy dwa paliłem tam trawkę z dozorcą. A skąd mam wiedzieć, że nie wywiejecie z miasta, jak już dostaniecie swojego pedzia?

– Stąd, że nie jesteśmy tacy jak ty, kanalio! – prycha Niles.

– A gdybym tak powiedział Króliczkowi, że właśnie z wami gadałem? Może zaproponowałby mi lepszy układ. Przede wszystkim trzeba dbać o swój interes. To moja filozofia biznesu.

– Króliczek zabiłby cię, zanimbyś się obejrzał – ostrzega Ike.

Olbrzym przetrawia mądrość tego spostrzeżenia i zwraca się do Ike'a:

– Wasz pedzio mieszka na drugim piętrze. Niebieskie drzwi.

– Idź, obal flaszkę thunderbirda – radzi mu Niles. – Odezwiemy się do ciebie po zabawie.

Macklin salutuje nam i Joemu Fandze, po czym spieszenie rusza na spotkanie ze swoim smutnym nieuporządkowanym życiem.

– Chciałbym jakoś pomóc temu facetowi – mówi Ike.

– To wpakuj mu kulkę w tył głowy – proponuje Niles. – Cały świat będzie ci wdzięczny.

*

Króliczek mieszka w chylącym się ku upadkowi wiktoriańskim domu, dwie bramy za hotelem Delmonico. Mijaliśmy go dziesiątki razy, dostarczając posiłki z Open Hand. Nędza Tenderloin odbija się echem w tych ruinach, które niegdyś były piękne. Frontowe drzwi przypominają wejście do małomiasteczkowego więzienia, wszystkie okna są zakratowane. Ani śladu życia. W Presidio Heights ten czteropiętrowy budynek kosztowałby miliony, ale w tym smutnym obliczu Tenderloin nie dałbym za niego złamanego dolara.

Niles i ja, przebrani za bezdomnych – w lichych butach, wełnianych czapkach i szorstkich płaszczach zakupionych w sklepie organizacji Dobra Wola – udajemy, że śpimy po bokach domu. Molly i Sheba, porządnie ubrane, energicznie wchodzą po schodkach od frontu i naciskają dzwonek. Przez całą długą minutę nic się nie dzieje. Dzwonek terkocze po raz drugi. Jego donośny głęboki dźwięk rozbrzmiewa w całym budynku.

W drzwiach staje kolosalna postać Króliczka. Udając, że śpię, nie spuszczam wzroku z wejścia. Gdy tak zezuję, świat wydaje mi się dziwaczny. Króliczek wygląda koszmarnie, jak obłąkany.

– Co jest, kurwa? – pyta opryskliwie. W tym gargantuicznym cielsku kryje się zaskakująco piskliwy głos.

Sheba, która zrobiła się na szarą myszkę, pozwala mówić Molly.

– Witamy pana. Jesteśmy z Kobiecego Stowarzyszenia Pomocy przy katedrze pod wezwaniem Świętej Marii. Przeprowadzamy spis ludności na terenie parafii. Biskup chce mieć pewność, że Kościół katolicki robi wszystko, co w jego mocy, by wyjść naprzeciw potrzebom wiernych. Czy możemy wejść i zadać kilka pytań? Nie zajmujemy panu dużo czasu.

– Walcie się – odpowiada Króliczek.

– Czy pan jest katolikiem? – pyta Sheba.

– Tak, a bo co? – warczy Króliczek. – Jestem jebanym papieżem, jego wcieleniem.

Druga część naszego prowizorycznego planu pojawia się na ulicy w postaci policyjnego radiowozu. Dwoje gliniarzy, wyglądających na policjantów z San Francisco, parkuje w drugim rzędzie przed kioskiem z kanapkami. Ike i Betty wysiadają z samochodu i przyglądają się dwóm kobietom wypytującym byłego zawodnika Raidersów z Oakland. Ich wygląd w każdym calu nasuwa na myśl jedno krótkie słowo: „gliny”.

– Czy wezwać policję, żeby z panem pogadała, panie Buncombe? – pyta Molly.

– Skąd wiecie, jak się nazywam? – dziwi się Króliczek, nie spuszczać wzroku z Ike'a i Betty.

– Cała ulica jest dumna, że czołowy obrońca Raidersów jest jednym z ich sąsiadów – wyjaśnia Molly.

– Kto wam podał moje nazwisko? – docieka Króliczek. – Drań już nie żyje.

Molly puszcza tę groźbę mimo uszu.

– Sąsiedzi mówili, że mieszka u pana sporo pensjonariuszy. Czy może nam pan podać dokładną liczbę?

– Kto wam o tym doniósł? – Paranoja Króliczka narasta w oszalałym tempie.

– Musimy mieć w aktach ich liczbę – naciska Molly, zapisując każde jego słowo. Póلهżąc na ulicy, taksują olbrzymia wzrokiem i

dochodzę do wniosku, że byłby zdolny zabić Nilesa, Ike'a i mnie bez najmniejszego wysiłku, nawet by się przy tym nie spocił. Wzbudza strach i wydziela odór zła, które dla niego wydaje się czymś całkiem naturalnym. Zaczynam obawiać się o życie naszych kobiet.

– Czy zna pan organizację Open Hand? – Sheba mówi to bez cienia emocji czy teatralnej afektacji. – Ich zdaniem zajmuje się pan chorymi na AIDS. Są panu bardzo wdzięczni, ale może mogliby panu pomóc w dożywianiu tych ludzi?

– Nienawidzę pedałów i mieszkam sam – oświadcza Króliczek. – No, laseczki, to teraz zachowujcie się jak grzeczne cipcie i ruszajcie w swoją drogę. Tak przy okazji, tej rozmowy nie było i nigdy mnie nie widziałyście. A te bambusy na co się tak gapią?

Spogląda na drugą stronę ulicy, dłonią wielkości talerza osłaniając oczy przed słońcem. Ike i Betty mierzą go wzrokiem. Nie potrafię ocenić, czy skoro są gliniarzami, to ich odwaga jest wyuczona, czy też wypływa z głębi ich charakterów.

– Mam nadzieję, że wszystkich pedałów na świecie zeżre AIDS. Powiedzcie to tym z Open Hand. A swojemu jebanemu biskupowi przekażcie, żeby też zdechł na tę zarazę.

– Czy był pan kiedyś praktykującym katolikiem, proszę pana? – pyta Molly.

Nagle z głębi domu dobiega nas dowód, na który czekaliśmy – że Trevor Poe, aczkolwiek chory, żyje. Słyszemy dźwięki fortepianu, ale to nie piękno i maestria muzykowania Trevora mówi nam, że trafiliśmy pod właściwy adres. Trevor daje nam znak, że wie o naszej obecności, grając utwór, który dzięki niemu zajmuje szczególne miejsce w życiu każdego z nas. Ukryty głęboko we wnętrzu tego dekadenceckiego, skalanego wiktoriańskiego domu fortepian gra starą piosenkę *Lili Marlene*. Poznając utwór, Niles siada, a ja obserwuję subtelne zmiany min Ike'a i Betty, którzy niczym nocna straż trwają na posterunku po drugiej stronie ulicy.

– No proszę, Króliczku! – woła Sheba. – Widocznie masz pianole, skoro mieszkasz sam i w ogóle.

– Uciszyć mi to jebane pianino! – krzyczy olbrzym w głąb domu, kierując głos w stronę schodów. – Skąd wiedziałaś, że nazywają mnie Króliczek?

– Cała ulica tak na ciebie mówi – tłumaczy Sheba.

– Dziękujemy, że poświęcił nam pan czas, panie Buncombe – mówi Molly. – Biskup i panie ze stowarzyszenia pomocy także są panu wdzięczni.

Obie schodzą po schodkach, przechodzą przez jezdnię i znikają w kiosku z kanapkami, mijając Ike'a i Betty, którzy ruszyli tymczasem na spotkanie z Króliczkiem. Niles i ja kuśtykamy do hotelu Delmonico. Niles kładzie przed facetem w recepcji banknot pięćdziesięciodolarowy.

– Jutro wracamy do Karoliny Południowej – mówię. – Chcieliśmy się pożegnać z paroma gośćmi.

– Jeśli o mnie chodzi, za pięćdziesiąt zielonych możecie się żegnać z całym miastem – odpowiada tamten, całując banknot z teatralną czułością. Pędzimy z Nilesem na pierwszy podest schodów. Niles pokonuje po dwa, a czasem nawet trzy stopnie naraz. Na ostatnim piętrze drzwi prowadzące na dach są zaryglowane, ale rozpadają się na trzy części, gdy Niles wyważa je barkiem. Sięga do torby i wyciąga nóż myśliwski wielkości rogu nosorożca, a mnie podaje łyżkę do opon.

Pędzimy po dachach, aż docieramy dokładnie na wprost kiosku z kanapkami po drugiej stronie ulicy. Sheba wychodzi i unosi kciuki, my zaś słyszymy, jak Króliczek wrzeszczy na Ike'a i Betty. Ike też się na niego wydziera, co Króliczkowi nie wróży nic dobrego.

– Schodzę po Trevora – oznajmia Niles. – Wezmę go na górę, wciągniemy go na dach i zaprowadzimy do Delmonico, a stamtąd na ulicę. Gdyby Króliczek pojawił się na schodach, musisz mi dać czas, żebym wyprowadził stąd Trevora. Słyszysz, Ropuchu? Musisz go tu zatrzymać. W razie potrzeby nie wahaj się użyć łyżki do opon. Wal

go w gębę. Może i waży sto osiemdziesiąt kilogramów, ale można mu złamać szczękę jak każdemu innemu facetowi. Nie do wiary, jaki ten Trevor jest sprytny. *Lili Marlene!*

– Zupełnie jakby zapisał swoje nazwisko w powietrzu – przyznaję, wciąż poruszony dźwiękami piosenki. Wszystkie nastolatki mają swoje totemiczne, charakterystyczne piosenki związane z wchodzeniem w dorosłość, ale w tym przypadku jest inaczej. Ta pieśń z okresu pierwszej wojny światowej, rozślawniona przez Marlenę Dietrich, stała się znakiem rozpoznawczym naszej paczki, odkąd bliźniaki Poe wkroczyły w nasze życie. Trevor i Sheba już po miesiącu w nowej szkole wzięli udział, jako duet, w konkursie talentów, a *Lili Marlene*, piosenka, której nikt z nas nie znał, a która przyniosła im zwycięstwo, tygodniami była na ustach całego miasta.

Drzwi prowadzące do domu Króliczka są tandetne i liche. Niles bierze ode mnie łyżkę do opon, jednym ciosem rozwała klamkę i je wykopuje. Robi jednak przy tym tyle hałasu, że bluźnierstwa, którymi Króliczek obrzuca Ike'a, natychmiast milkną. Słyszę, że Ike wydziera się jeszcze głośniejsze, by zagłuszyć nasze wtargnięcie:

– Króliczku, zmuszasz mnie, żebym sięgnęła na pomoc tyłu glińniarzy, ilu się da. Przetrzepią ci całą chałupę, tłusciuchu jeden!

– Szybko – popędza mnie Niles. – Musimy dotrzeć na drugie piętro przed Króliczkiem.

Niles zbiega po schodach tak szybko, że z trudem dotrzymuję mu kroku, ale moje nadnercza pompują adrenalinę, w miarę jak ogarnia mnie coraz większe przerażenie całą tą sytuacją. Gdy Niles wali barkiem w niebieskie drzwi na drugim piętrze, ponieważ dociera do mnie bezprawność naszych poczynań. Ponieważ napór ramieniem nie daje pożądanego rezultatu, Niles wykopuje drzwi z zawiasów i wbiega do pokoju. Podnosi szkielet człowieka z taką łatwością, jakby to było małe dziecko, i słyszę, jak mówi:

– Trevorze Poe, ostrzegalem, że obciążanie kutasów wpędzi cię w kłopoty.

– Mój bohater – pada w odpowiedzi. I chociaż ten szkielet w niczym nie przypomina Trevora Poego, to jego głos poznałbym zawsze i wszędzie. Nagle dobiega mnie ciężki tupot kroków na schodach.

– Zatrzymaj go, Ropuchu! – rzuca Niles, mijając mnie biegiem.

Zajmuję pozycję u szczytu schodów. Gdy Króliczek dociera na drugie piętro, modłę się do Boga ze Starego Testamentu, który dał Dawidowi siłę, by pokonał tego olbrzymiego Filistyna, Goliata. Modłę się o siłę, jaką miał niewidomy Samson, kiedy zwałił świątynię na Dalilę i jej kohorty.

Króliczek podnosi głowę i widząc mnie, warczy:

– Już nie żyjesz, pojebańcu. Coś ty za jeden, do kurwy nędzy?

Były zawodnik Raidersów zbliża się do mnie krok za krokiem, ale ostrożnie – trzymam łyżkę do opon tak, jakbym potrafił się nią posługiwać. Moja odpowiedź zaskakuje mnie samego:

– Jestem Horacjusz na moście, ty tłusty skurwysynu! – ryczę. – A ty, kolego, dalej nie przejdiesz!

– Popierdoliło cię – stwierdza Króliczek, wciąż się zbliżając. – Coś ty za jeden?

– Horacjusz na moście! – wrzeszczę jeszcze raz. Już od lat nie myślałem o tym zaginionym w pamięci, a jakże istotnym szczególe z mojego dzieciństwa. Kiedy byłem małym chłopcem, ojciec miał zwyczaj czytać synom do poduszki. Steve zachwycał się *Horacjuszem na moście* Thomasa Babingtona Macaulaya, więc zapamiętaliśmy fragmenty tej pieśni. I podczas gdy kolos powoli się do mnie zbliża, przychodzi mi do głowy pewna strofa, którą wykrzykuję tak, że facet staje w połowie schodów.

Wyglądam jak niespełna rozumu, zasypując go poezją w tym żenującym domu pełnym umierających ludzi. Kątem oka widzę, że kilku z nich wytacza się z pokoi, by obserwować rozgrywający się dramat. Zaczynam recytować jak maniak:

*Na to przemówił mężny Horacjusz,
Strzegący mostu bram:*

*Śmierć czeka każdego z was,
Takoż powiadam wam.
Czyż można umrzeć godniej,
Choćby śmierć była sroga,
Niż broniąc prochów ojca
Oraz świątyni Boga?*

Żałuję, że nie pamiętam dalszej części poematu, ale to nie ma znaczenia, bo właśnie wtedy Króliczek przypuszcza atak. Popelnia błąd, próbując podciąć mi nogi potężnymi łapskami – w ten sposób odsłania twarz, ja zaś szybkim śmiercionośnym ruchem nadgarstka walę go w prawy policzek. Brutalność, z jaką łyżka do opon zderza się z jego twarzą, zaskakuje nas obu. Olbrzym zatacza się do tyłu i żeby uratować się przed upadkiem, łapie za poręcz, ta jednak łamie się pod jego ciężarem. Króliczek turla się w dół po schodach, brocząc krwią z prawego policzka.

Horacjusz nie widzi nic więcej, bo czym prędzej bierze dupę w troki. Nie mogę wyjść z podziwu nad własną szybkością, przekonany, że ściga mnie ważący sto osiemdziesiąt kilogramów drab. Słyszę syreny wozów policyjnych naddciągających do Tenderloin ze wszystkich stron. Śmigając po schodach Delmonico, czuję się, jakby wyrosły mi skrzydła – jestem rączy, nie do schwytania. Murray czeka, a Molly przytrzymuje mi drzwiczki, więc wskakuję do samochodu. Kierowca wciska pedał gazu i błyskawicznie oddalamy się od Delmonico. Kierujemy się do szpitala przy California Street. Sheba zawiadomiła już, że wkrótce przywieziemy Trevora. Niles trzyma chorego, owiniętego ciepłym kocem, w ramionach. Sheba, szlochając, bierze brata za rękę. Ja przytulam go i całuję w policzek – z wyczerpania nie mam siły mówić.

– Czy mi się zdawało, czy recytowałeś Króliczkowi wiersze? – pyta Niles.

– Przymknij się – burczę, trzęsąc się.

– Zawsze byłeś dziwny, Ropuchu. Ale recytować poezję psychopacie...

– Nie pozwolę powiedzieć złego słowa o Leopoldzie Bloomie Kingu, jedynym z nas, któremu nadano imię na cześć fikcyjnej postaci z książki, której nie sposób przeczytać – odzywa się słabym głosem Trevor.

– Ty też się przyznaj – rzucam ochryple. Wreszcie odzyskuję głos. – Dopiero co walnąłem faceta łyżką do opon. Ja, szacowny felietonista przyzwoitej gazety, właśnie przyłożyłem człowiekowi łyżką do opon. Wyląduję w więzieniu, a jacyś ciężarowcy będą mnie rznąli w dupę.

– Moim zdaniem to boska perspektywa – kwituje Trevor.

Sheba wybucha śmiechem.

– Niektórzy nigdy się nie zmieniają.

– Brakowało mi twojego niemoralnego poczucia humoru, Trevorze – mówię. – To było straszne.

– Jutro będziemy w Charlestonie – zapewnia go Molly. – Zajmiemy się tobą. Zabieramy cię do domu.

*

Ostatniej nocy w mieście San Francisco zbieramy się wszyscy w Pokoju Sekwojowym hotelu Clift, by uświęconym rytuałem zaznaczyć nasze ostatnie godziny w charakterze Kalifornijczyków. Przez ponad dwa tygodnie cierpieliśmy i należeliśmy duszą i ciałem do najbardziej złotego miasta w najbardziej obrosłym legendą i nieprawdopodobnym stanie – tym, który broni całego kontynentu przed falami Pacyfiku. Trevor zawsze obstaje przy tym, by Pokój Sekwojowy był ostatnim rytuałem przejścia, gdy któryś z jego gości opuszcza San Francisco i wraca, żeby wieść ponure, byle jakie życie w nudniejszych miastach.

Stawiam się w Pokoju Sekwojowym jako pierwszy z naszej paczki, wystrojony w najlepszy garnitur, zgodnie z wymogami protokołu dotyczącego opuszczania tego wielkiego miasta, a wrytego niegdyś

w kamieniu przez Trevora Poego. Tego wieczoru zbieramy się wszyscy w tym miejscu pożegnań, jakby nic się nie zmieniło. Ale nie odbyliśmy tej podróży dla rozrywki, jak wtedy, gdy odwiedzaliśmy przyjaciela. Tym razem przylecieliśmy, żeby się przekonać, czy wciąż potrafimy kochać w prostocie, która połączyła nasze losy, gdy jeszcze byliśmy nastolatkami. Żeby porównać się z niewinnością dzieciaków, które niegdyś znalazły się uwięzione przez czas w tej samej celi więzienia o złagodnym rygorze w Charlestonie. Wylatując jutro z San Francisco, nie będziemy opuszczali miasta znanego Trevorowi, żadne z nas nie obejrzy się w drodze na lotnisko. Dla nas miasto złota i śmiechu Trevora stało się miastem głosów i przerażonych oczu pięknych mężczyzn oczekujących na pluton egzekucyjny, któremu nie rozdano karabinów ani nie wyznaczono godziny. Jutro zostawimy za sobą te pełne rozpaczycy oczy, które wszystko w nas zmieniły.

Ktoś całuje mnie lekko w usta i siada obok. Delikatny powiew Chanel N° 5 mówi mi, że to Molly, zanim jeszcze otwieram oczy.

– Właśnie się dowiedziałam. Jak na to, co przeszedł, Trevor jest w całkiem niezłym stanie – informuje mnie.

– To cudownie – odpowiadam, skupiając się na zawartości szklanki.

Od czasu tej niebiańskiej nocy, gdy przyszła do mojego łóżka, nie rozmawialiśmy jeszcze ze sobą na osobności. Za bardzo pochłaniały nas desperackie poszukiwania Trevora. Ale nawet teraz, kiedy już go mamy, między nami panuje niezdecydowanie, choć bardziej z jej strony niż z mojej. Nie rozmawialiśmy na ten temat i nie wiem, czy ta konsternacja wynika z tego, że się rozmyśliła, że uznała, iż jednak mimo wszystko kocha Chada, czy z tego, że Fraser publicznie ujawniła nasz sekret. Nie wiem i nie pytam – za bardzo boję się usłyszeć odpowiedź.

Na tę noc wystarcza nam świadomość, że mamy Trevora, więc siedzimy przy barze jak para nieznajomych, popijając drinki, aż wreszcie za naszymi plecami wybucha harmider i cała paczka, z

wyjątkiem Nilesa, wtacza się przez kolosalne drzwi i nas otacza. Sheba zaczyna popłakiwać, całując i przytulając każde z nas. Ike zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku i tanecznym krokiem prowadzi na parkiet. Berty, zarumieniona z podniecenia, zdaje Fraser relację z tego, co wydarzyło się w ciągu dnia. Pianola wygrywa *Try to Remember*, a Ike płąsa ze mną po wypolerowanych deskach parkietu.

– Ludzie zaczną sobie wyobrażać na nasz temat Bóg wie co, Ike – ostrzegam.

– No to co? – Uśmiecha się szeroko. – To jedyne miasto na świecie, gdzie wyglądamy jak normalna para. Wyluzuj i baw się.

– Gdzie Króliczek?

– W mamrze, złotko. Teraz to będzie jego dom do końca życia. Poza tym aresztowali tego pracownika opieki społecznej, który był jego współnikiem, a ten, ledwo go zakuli w kajdanki, zaczął śpiewać jak ptaszek.

– W jaki sposób Króliczek dopadł Trevora?

– Znalazł go wałęsającego się po mieście. Trevor twierdzi, że być może Króliczek przypadkiem uratował mu życie.

– Ike, nie chcę cię urazić, ale moglibyśmy przestać tańczyć?

Wybucha gromkim śmiechem.

– A już zaczynało mi się podobać, jak ocierasz się o mnie cyckami.

Śmiejąc się, wracamy do stołu i włączamy się do rozmowy dziewczyn naszego życia, które paplają z prędkością karabinu maszynowego. Betty bryluje, relacjonując z soczystymi szczegółami przesłuchanie Króliczka Buncombe'a.

– Posłuchaj najlepszego, Ropuchu – zwraca się do mnie. – Króliczek nalegał, żeby policja San Francisco przeprowadziła obławę w całym mieście i złapała tego wariata, który go napadł, naruszając mir domowego ogniska. Czyli ciebie. Bez przerwy nazywał cię wariatem. Twierdził, że byłeś olbrzymi, nie panowałeś nad sobą i obrzucałeś go sprośnymi wyzwiskami. Uważa, że walnąłeś go mosiężnym kastetem.

Ike się śmieje.

– Wciąż powtarzał o „naruszeniu miru domowego ogniska”.

Gdy to powiedział, Betty i ja tak się ucieszyliśmy, że wypruwaliśmy sobie flaki. A kiedy zaprzyjaźniony detektyw poprosił go o rysopis, oświadczył, że masz ponad dwa metry wzrostu, ważysz sto czterdzieści kilogramów i jesteś spasionym białasem. I jak mi bóg miły, Leo, nie zalewam... powiedział, że masz oszalałe oczy, które skojarzyły mu się z ropuchą.

Wszyscy przy stole zanoszą się śmiechem, a ja rechoczę razem z nimi, z czystej ulgi. Każde z nas czuje się uwolnione od dysonansu, jakim był nasz pobyt w tym mieście.

– Trevor jest w znacznie lepszym stanie, niż można by się spodziewać – oznajmia Sheba. – Lekarze przebadali go od stóp do głów. Umrze na AIDS, ale jeszcze nie teraz. Czy ktoś z was pamięta Davida Biedermana? Taki ładniutki chłopaczek, chodził do dziewiątej klasy, kiedy my byliśmy w ostatniej. Podkochał się we mnie, no, ale w końcu był tylko człowiekiem.

Kwitujemy jej słowa sykiem i gwizdami, ale ona mówi dalej:

– Doktor Biederman wysłała karetkę, która przyjedzie pod nasz samolot, kiedy jutro wieczorem wylądujemy w Charlestonie. Osobiście zajmie się Trevorem. Właśnie rozmawiałam z nim przez telefon.

– A więc to koniec – stwierdza Molly, a jej głos pełen jest złożonych uczuć. – Naprawdę już po wszystkim.

Ike podnosi rękę i oznajmia cicho:

– Jest mały problem ze starym Sheby i Trevora. Policja uważa, że zwiął z miasta.

– Bogu dzięki! – wzdycha Fraser.

– To ta dobra wiadomość – podejmuje Betty. – Ale druga jest raczej przerażająca. Oni sądzą, a ja i Ike się z tym zgadzamy, że jest w drodze do Charlestonu. Że będzie czekał na Shebę i Trevora, bo wie, że wracają do domu matki.

– Wszyscy możecie zamieszkać u mnie – proponuję. – Miejsca mam pod dostatkiem. Kupię dobermana, kobrę królewską, miotacz

ognia, a w ogrodzie rozstawię na straży wojowników ninja.

– Moi ludzie patrolują już okolice domu pani Poe – mówi Ike. – Po powrocie obmyślmy jakiś plan. Prześpijmy się. Jutro czeka nas ciężki dzień.

– A tak przy okazji, wpakowaliśmy dzisiaj Macklina do ośrodka odwykowego dla narkomanów – dodaje Betty. – Ike obiecał, że załatwi mu robotę w Charlestonie, jeśli doprowadzi się do porządku. Dzwoniłam do jego ciotki, która mieszka na osiedlu komunalnym przy moście nad Cooper. Będzie mógł u niej zamieszkać.

– Czy mogę się dowiedzieć, gdzie jest mój mąż? – pyta Fraser. – A może w tak uroczystej chwili to niestosowne pytanie?

Sheba wstaje, podchodzi do Fraser, przysiadła się i ją obejmuje.

– Powiedział, że nie odejdzie od Trevora. Zanim wyszłam wieczorem ze szpitala, Niles rozłożył sobie materac na podłodze przy łóżku. Obaj zasnęli. A oto najmiłsza rzecz, jaką w życiu widziałam: Trevorowi ręka zsunęła się z łóżka, a Niles go trzymał. Spali jak kamienie, ale trzymali się za ręce.

– Kochany Niles – mówi Fraser.

– Rozmawiałam dzisiaj z Anną Cole. Przyśle nam wszystkie rupiecie Trevora – mówi Sheba. – Powiedziała mi coś przemiłego: że nigdy nie widziała tak zgranej paczki przyjaciół jak my. Chciała się dowiedzieć, jak to się stało, że jesteśmy z sobą tak blisko.

Czuję się wyjątkowo nieswojo. Dopijam szklaneczkę, podnoszę wzrok i zdziwiony stwierdzam, że cała piątka moich przyjaciół w jakże eleganckim Pokoju Sekwojowym pokazuje mnie palcami. Zbywam to machnięciem ręki i zaprzeczam, wściekle kręcąc głową, ale oni wciąż we mnie celują. Nie jestem w stanie ich powstrzymać, gdy tymczasem moje myśli szybują z wysokim prądem nad San Francisco i cofają mnie o dwadzieścia lat, do pełnej radości duchoty czasów, które każdy z nas wciąż nazywa latem Dnia Blooma.

CZEŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ 18

Renegaci

Pierwszy dzień szkoły zawsze przypominał powolną śmierć – długi mroczny upadek w cichą pustkę. Jako chłopak byłem brzydki i strachem napawały mnie przeszywające, taksujące spojrzenia dzieci, które dotychczas nie zetknęły się z tak dziwną, niesymetryczną twarzą jak moja. Czarne okulary w rogowej oprawie sprawiały, że wyglądałem jak wciąż nieodkryty gatunek płaza, ale dzięki nim miałem się za czym ukryć – były maską dającą mi poczucie, że jestem kimś z zewnątrz, wręcz anonimowym. Teraz jednak chodziłem do ostatniej klasy i liceum Peninsula stało się dla mnie jakby drugim domem. Z powodu wrodzonej nieśmiałości, a także opinii dealera narkotyków, jaka się za mną ciągnęła, miałem zaledwie kilkoro przyjaciół, za to poruszałem się po znanym terenie. Wydawało mi się, że znam wszelkie pułapki i sztuczki i potrafię unikać kłopotów.

Nawet nie wiedziałem, jak bardzo się myłę.

Gdy szedłem do szkoły tamtego pierwszego dnia, matka obarczyła mnie niechcianym zadaniem – miałem spatrolować alejkę między budynkami, ziemię niczyją, gdzie zbierała się żulia, wsioki i wszelkiego rodzaju szumowiny, bo tam nie groziło im, że zauważą ich nauczyciele i zaczną się wtrącać. Dla takiego chłopca jak ja było to siedlisko lwów, przerażający świat, gdzie Wilson Sługus Ledbetter przewodził groźnemu stadu ludożerczych buraków, którzy go uwielbiali. To ja

nadałem przezwisko Sługus całemu drzewu genealogicznemu Ledbetterów i z tego powodu Sługus pobił mnie już w pierwszej klasie. W epoce sprzed desegregacji każda szkoła dla białych produkowała własne wariacje na temat Sługusa Ledbettera. W Peninsuli Sługus był tyranozaurem pośród klasycznych buraków z Południa. Lał mnie często, skądinąd z przyjemnością. W zeszłym roku złamał mi nos. Matka napędziła pietra jemu i całej jego rodzinie, zapowiadając, że wykopie tego żalostnego dupka ze szkoły, jeśli choćby krzywo spojrzy na innego ucznia. Poza tym Sługus był rasistą, któremu w nienawiści do czarnych nikt nie był w stanie dorównać.

Tego dnia, jak zwykle, otoczony był paczką ostrzyżonych na zapalkę kretynów. Ale nie to wzbudziło moją czujność, gdy skręciłem za róg i wszedłem między budynki. Po drugiej stronie alejki zgromadziły się wszystkie nowe czarne chłopaki – takie spotkanie już pierwszego dnia nauki było niespodziewane, wręcz historyczne. Tężyzną fizyczną nie ustępowali Sługusowi i jego paczce strzelających z balonówek kumpli. Obie grupki leniwie mierzyły się wzrokiem. Gdy wszedłem między nich, atmosfera była naelektryzowana. Powinienem się czuć jak pierwszego dnia w szkole, a tymczasem czułem się niczym francuski chłop z piką w rękę, przypuszczający szturm na Bastylię. Byłem coraz bardziej przerażony, gdy naraz kątem oka w grupie nowych dzieciaków dostrzegłem Ike'a. Podchwyciłem jego wzrok, uniosłem rękę na znak, żeby powstrzymał swoje wojsko, a on skinął mi głową. Wtedy odwróciłem się do chłopaka, który przez całe liceum był moją nemezis i moim koszmarem.

– Siemasz, Sługusie! – rzuciłem z fałszywą serdecznością. – Kurczę, stęskniłem się za tobą przez lato. Twoja przyjaźń tyle dla mnie znaczy.

– Nie byliśmy przyjaciółmi i nie będziemy, takiego chuja – odwarknął. – I nie nazywaj mnie więcej Sługusem.

– Wszyscy mówią na ciebie Sługus. Nazywają cię tak za plecami. Dlaczego nie przychodzisz pograć w futbol?

– Nie będę grał dla trenera czarnucha – oświadczył, ale na tyle cicho, żeby coraz liczniejsza armia czarnych chłopaków stojących za nami nie mogła go usłyszeć.

– Tak, już mi to mówiłeś, gdy do ciebie dzwoniłem, Sługusie – przyznałem. – Ale drużyna cię potrzebuje. W zeszłym roku byłeś najlepszym obrońcą w konferencji. W tym mógłbyś być najlepszy w całym stanie.

– Nie rozumiesz po angielsku, Ropuchu? – warknął. – Nie będę grał dla żadnego czarnucha.

– Dzisiaj masz ostatnią szansę. Jeśli przyjdiesz, trener Jefferson wpuści cię na boisko.

– Przekaż mu, że może mi obciągnąć białego fiuta. – Uśmiechnął się, gdy tłum za plecami zgotował mu owację.

– A wiesz, dlaczego moim zdaniem nie grasz już w futbol, Sługusie?

– Zamieniam się w słuch, Ropuchu.

– Bo jesteś mocny w gębie, a tak naprawdę trzęsiesz portkami ze strachu.

Pomyślałem, że za kilka sekund zginę gwałtowną śmiercią. Czekałem na szarżę Sługusa, on jednak mnie zaskoczył – nie rzucił mi się do gardła, tylko zmienił taktykę i spojrzał ponad moim ramieniem na nieruchome, beznamiętne morze czarnych twarzy. Ike Jefferson stał metr przed swoimi towarzyszami.

– Coś mi tu pod nosem śmierdzi! – wrzasnął Sługus. Jego biała paczka niezwłocznie pośpieszyła z uświęconą tradycją odpowiedzią:

– Co ci śmierdzi? Gównu na żerdzi?

– Nie! – odkrzyknął Sługus. – To czarna małpa pierdzi!

Natychmiast oddaliłem się na drugą stronę alejki, gdzie Ike z marsową miną właśnie miał rzucić połowę drużyny futbolowej do szturmu na tłum krzykaczy. Stałem przed nim.

– Sam to załatwię! – wydarłem się tak głośno, żeby wszystkie czarne chłopaki mnie usłyszały. Ike nie wydawał się przekonany, krzyknąłem więc zza niego: – Koledzy ze szkoły! To ja, Ropuch,

biały chłopak o dobrym sercu. Cofnijcie się i patrzcie, jak skopię Sługusowi białe dupsko.

Powiedziałem to, żeby rozładować nieco atmosferę, ale sprawy zaszyły za daleko. Ike z kamienną twarzą doradził mi:

– Pośpiesz się, Leo. Nie będziemy wysłuchiwać ich obelg.

– Nie ma sprawy, Ike – zapewniłem go, mimo że moje próby zapobieżenia walce skomplikowało nadejście kolejnej grupy uczniów, którzy zjawili się u wylotu alejki, tupiąc w rytmie niedoświadczonych piechurów. Wszyscy się odwróciliśmy i ku swemu przerażeniu ujrzałem, że to pan Lafayette przywiózł grupę dwanaściorga sierot ubranych w te koszmarnie pomarańczowe kombinezony ze szpetnym wizerunkiem logo sierocińca Świętego Judy. Wyglądali niczym tuzin dyń ustawionych na półce supermarketu w Halloween. Sługus i jego banda wygwizdywali ich z niekłamaną radością.

Czerwony na twarzy i wściekły z powodu nowej komplikacji w i tak już przeciążonych pierwszych dziesięciu minutach w ostatniej klasie, podbiegłem do pana Lafayette'a.

– Spocznij! – rzucił pan Lafayette swojej drużynie, ale nie dał komendy, żeby się rozejść.

– Moja matka zabroniła siostrze Karpicy zmuszać dzieciaki do chodzenia w tych szpetnych mundurkach – poinformowałem go i dostrzegłem uśmiezek Starli, jakim obrzuciła mnie zza ciemnych okularów, które dostała od Sheby na przyjęciu wydanym przeze mnie czwartego lipca.

– Polycarp jest moją szefową, Leo – przypomniał pan Lafayette.
– Wykonuję jej rozkazy i kropka.

– E, sieroty! – wrzasnął Sługus. – Klawe ciuchy. Widzę, że w sierocińcu też mają czarne małpy.

Dostatecznie długo wysłuchiwałem słów cedzonych przez tę gniędę i miarka się przebrała. Odwróciłem się i ruszyłem na niego w (miałem nadzieję) groźny sposób. Przygotował się do ciosu, po którym przeleciałbym przez kamienny mur naszej szkoły. W tej samej chwili uczniowie liceum Peninsula, zarówno biali, jak czarni, przeżyli

największą niespodziankę w swoim krótkim życiu: z ciżby białych wysunął się drobny jak papuzka biały chłopak, kruchy niczym elf, i podbiegł do Sługusa Ledbettera. Podskoczył lekko i otwartą dłonią walnął go „z liścia”. Plask uderzenia rozbrzmiał echem w całej alejce, jak długa i szeroka. Niczym rażony gromem, wstrzymałem mój nieśmiały atak, czekając, aż Sługus zabije nieszczęsnego Trevora albo połknie go w całości jak żelka.

– A tyś co za jeden?! – ryknął Sługus.

– Jak śmiesz nabijać się z tych dzieciaków, ty bezmózgi żulu?! – zaperzył się Trevor. Zanotowałem w pamięci, że muszę go nauczyć prostackiej sztuki obrzucania buraków obelgami.

Sługus zapanował nad sobą i wiwatującą bandą, odszczekując się:

– Te, cioto, chcesz mi pociągnąć białego fiuta, zanim rozwałę ci łeb?

W tym momencie zarobił drugi policzek od rozjuszonej Sheby Poe, która przedarła się przez ciżbę, by bronić brata bliźniaka. Jej cios nie mógł wyrządzić mu krzywdy, ale publicznie upokorzony celnym bekhendem od dziewczyny Sługus mógł być naprawdę groźny.

– Chcesz, żeby zrobić ci laskę? – zapytała Sheba głośno. – Dobra, obciągnę ci tę białą fujarę, popaprany dupku z piekła rodem. Ale pod warunkiem, że jest dostatecznie duża. Wyciągaj ją. No już, zapasiony spermojadzie!

W 1969 roku na terenie szkoły, obojętne czy dla białych, czy czarnych, taki język słyszało się niezwykle rzadko, był wręcz niespotykany. Zaświtało mi w głowie, że o Trevorze i Shebie można powiedzieć rozmaite rzeczy, ale nie to, że mają choćby luźne związki z Południem. Nawet Sługus, w napadach bluźnierstwa i arogancji w zaciszu szatni czy pod prysznicami, nigdy nie zniżył się do poziomu ordynarności Sheby. Obserwując jego minę, wiedziałem, że szczególnie rozjuszyła go uwaga o rozmiarze genitaliów. I chociaż miał naturę zbira, to te irracjonalne bliźniaki sprawiły, że zapomniał języka

w gębie. Sheba i Trevor rzucili się na niego po raz drugi, nieustraszeni jak gladiatorzy. Sługus wałnął Trevora pięścią i wprawdzie nieco chybił, ale i tak posłał go na ziemię. Sheba skoczyła na niego z pazurami. Sługus trzasnął ją w twarz tak mocno, że gdy padała, krew płynęła jej z ust. Ale tym atakiem ściągnął na siebie niepokonany gniew sierot.

Zdałem sobie sprawę, że najwyższy czas zebrać się na odwagę, o którą nigdy bym siebie nie podejrzewał. Pomimo tchórzliwego serca odwróciłem się do Sługusa, szykując się na tęgie baty. Kobiety nie mają pojęcia, w jak przerażającym świecie dorastają ich synowie – zamieszkanym przez niegodziwych szaleńców o ptasich mózdkach, przez niezliczone legiony Sługusów Ledbetterów. Uniósł zaciśnięte pięści i z uśmiechem patrzył, jak zbliżam się na miękkich nogach.

Miał jednak kiepski dzień. Nie spodziewał się zmasowanego ataku pomarańczowych furii, a tymczasem Starla i Betty wskoczyły mu na plecy. Sierociniec Świętego Judy oficjalnie ruszył do boju. Ten szturm powalił Sługusa na ziemię. Obie dziewczyny rzuciły mu się do twarzy z pazurami, Starla usiłowała wydłubać mu oczy. Wijąc się na ziemi i kopiąc, Sługus strącił z siebie dziewczyny. Pomogłem im wstać i popchnąłem je do wytrąconego z równowagi pana Lafayette'a, który i tak miał pełne ręce roboty, próbując powstrzymać Nilesa. Przyłączenie się Betty do ataku znów wprowadziło rasistowski kontekst. Słyszając, że grupa czarnych dzieciaków szykuje się do natarcia, odwróciłem się. Znowu uniosłem rękę i wskazałem na Ike'a, który z zaciśniętymi pięściami zrobił kilka kroków do przodu, gotów połamać wielkimi łapskami szczęki białasów, niepotrafiących utrzymać języka za zębami.

– Zostań na miejscu, Ike. Proszę. Chciałbym to załatwić sam – powiedziałem błagalnie.

– Coś kiepsko ci idzie, Strom – odparł. Żaden z nas nie zdążył się jednak ruszyć, bo Niles Whitehead wyrwał się nagle z uścisku

pana Lafayette'a, stanął twarzą w twarz ze Sługusem i złapał go za koszulę.

– Zabieraj ode mnie te pieprzone łapska, sieroto! – prychnął Sługus. – Nie wiesz, kurwa, z kim zadzierasza.

– Mylisz się, kolego. – Niles był całkowicie opanowany, przez co wydawał się jeszcze groźniejszy. – Świetnie wiem, kim jesteś. Za to ty nie masz pojęcia, kim jestem ja.

– Dowiem się, jak już ci nakopię do dupy, rudy pierdzielu – rzekł Sługus.

– Dotknij jeszcze raz mojej siostry, a poderżnę ci gardło, zakuta pało – ostrzegł go Niles. W jego głosie nie było cienia strachu. – A jeśli spróbujesz mnie uderzyć, dowiem się, gdzie mieszkasz, i poderżnę gardła twojej mamie i twojemu tacie, gdy będą spali. I zastanów się dwa razy, zanim znów nazwiesz mnie sierotą.

– Niles, zostaw to mnie – poprosiłem. – Wracaj do szeregu.

– Mogę mu skręcić kark na oczach jego kumpli – oświadczył Niles beznamiętnie, jakby informował mnie o zmianie świateł na skrzyżowaniu.

– Dobrze się spisałeś, synu. Ale wracaj do szeregu. Proszę. Trzeba rozpocząć nowy rok szkolny – tłumaczyłem. – Sługusie, zabierz bandę swoich przygłupów przed szkołę. – Zaskoczony zobaczyłem, że Chad Rutledge i Molly Huger obserwują rozgrywający się dramat, siedząc na dachu samochodu Chada na parkingu.

Sługusa, któremu od rana dzień się nie układał, korciło, żeby to zmienić, więc wyprowadził prawy prosty. Gdyby cios dotarł do celu, pewnie bym padł nieprzytomny. Tego lata coś jednak się we mnie zmieniło. Urosłem o osiem centymetrów, miesiącami dźwigałem hantle w Cytadeli, wbiegałem po schodach z Ikiem na plecach, a poranne rozwożenie gazet dało mi solidną zaprawę na rowerze. Gdy znieścacka wkroczyłem w wiek męski, ojciec wzniosł na moją cześć toast przy Battery, dokładnie w tym w miejscu, gdzie wybuchowe Ashley i Cooper łączą się ze sobą w jedną zgraną rzekę. Dzięki temu

gestowi ojca doznałem przemiany, jak gdyby zaproszono mnie, bym wstąpił do świętego zakonu rycerskiego. Nie byłem już tym samym chłopakiem, którego Sługus Ledbetter lał rok wcześniej. Wiedziałem o tym, ale on tego nie wiedział. Wyprowadził swój najlepszy cios, taki jak te, którymi powalał mnie na ziemię przez ostatnie trzy lata. Jednak powtarzanie się niekoniecznie jest najlepszym fortem. Cofnąłem się, zablokowałem uderzenie lewą ręką, a następnie wyrzuciłem go w twarz tak, jakby moją pięść prowadziła ręka Pana. Z nosa Sługusa trysnęła krew i sflaczał, co czarni uczniowie nagrodzili owacją.

Tymczasem na horyzoncie pojawili się nauczyciele, więc podniosłem rękę, żeby uciszyć harmider.

– Panie i panowie – zwróciłem się do uczniów. – Witam w liceum Peninsula.

Ledwo to powiedziałem, rozległ się dzwonek. Był jak wybawienie. I chociaż tego dnia pewne rzeczy dobiegły końca, to inne właśnie się zaczęły. Wiele innych rzeczy.

*

Fakt, że byłem synem dyrektorki liceum Peninsula, w szkole często mi przeszkadzał. Moje pragnienie anonimowości brało w łeb za każdym razem, kiedy jakiś dzieciak dowiadywał się, że jestem synem majestatycznej i zazwyczaj bardzo surowej dyrektorki. Dzisiaj podczas francuskiego na pierwszej lekcji cała klasa siedziała jak na szpilkach, gdy matka przez głośniki zaczęła wywoływać nazwiska uczniów, którzy mają się zameldować w jej gabinecie. Nie dziwota, że na pierwszy ogień poszedł Wilson Ledbetter. Wkrótce głośnik znów ożył z trzaskiem i padły nazwiska Sheby i Trevora Poe. Pięć minut później zaprosiła na audyencję Betty Roberts, Starłę Whitehead i Nilesa Whiteheada. Następnie wywołała Ike'a Jeffersona. I w końcu, swoim najbardziej lodowatym tonem, wezwała mnie.

W pogrzebowej scenerii dyrektorskiego gabinetu zgłosiłem się do sekretarki matki, Julii Trammell, i zobaczyłem, że główni aktorzy

incydentu w alejce między budynkami stoją w kolejce, czekając na przesłuchanie.

– Witam, pani Trammell. Jak minęło lato?

– Stanowczo za krótkie, pączusiu – odparła Julia. – Ale muszę przyznać, że w tej speluncie od rana wrze jak w ulu.

– Proszę zawiadomić jej królewską wysokość, że zameldował się książę – powiedziałem.

– Posłuchajcie wsiowego głupka – rzucił Sługus, przyciskając do nosa zakrwawioną chusteczkę. – Nikt nie gada tak jak Ropuch.

– Czy to coś, czego się trzymasz, Sługusie, to resztki twojego nosa? – zapytałem.

– Twoja stara właśnie wywaliła mnie ze szkoły – oznajmił. – Na cały rok.

Do pokoju wpadł trener Jefferson, jego czarne oczy pałały. Podszedł do syna i stanął nad nim, wielki jak góra. Ike zwiesił głowę, żeby nie napotkać pełnego odrazy wzroku ojca.

– Synu, zostałeś wezwany do gabinetu dyrektorki w pierwszej godzinie pierwszego dnia szkoły – warknął trener. – Pamiętasz, jak rozmawialiśmy w lecie o dyscyplinie i opanowaniu?

– Trenerze, on nie zrobił nic złego – wtrąciła się Sheba.

– Gdyby nie pański syn, wybuchłyby zamieszki na tle rasowym – dodał Trevor.

– Leo? – rzucił pytająco trener Jefferson, odwracając się do mnie.

– Ike uratował sytuację, trenerze. Zachował się jak bohater.

– To Ike powstrzymał czarnych chłopaków przed atakiem na tych wazeliniarzy, trenerze – dodał Niles.

Moja matka wyszła z gabinetu.

– Słyszałam, że Ike był prowodyrem czarnych uczniów – oświadczyła.

– Nie, matko. On był ich przywódcą – sprostowałem. – Gdyby nie Ike, cała alejka spłynęłaby krwią.

– W szkole zwracaj się do mnie doktor King – przykazała matka,

doprowadzając mnie tym do szewskiej pasji. – Zapraszam do gabinetu, dostaniesz należytą karę.

– Doktor King, chciałbym, żeby przesłuchała mnie pani na temat bójki w obecności tych uczniów – powiedziałem.

– Ich już ukarałam – odparła. – Teraz twoja kolej.

– Bliźniacy nie zasłużyli na karę. Dzieciaki z sierocińca też nie powinny być ukarane. Zachowali się wspaniale, matko. Byli po prostu wspaniali... Ike też.

– Zwracaj się do mnie doktor King – przypomniała mi matka.

– Na karę zasłużył tylko Sługus i ja – ciągnąłem. – Pozostałym należą się medale. Powstrzymali zamieszki na tle rasowym.

– Słyszałam, że Sheba i Trevor brutalnie zaatakowali Wilsona Ledbettera.

– Owszem, i całkiem słusznie – przyznałem.

– Używali niecenzuralnych, plugawych słów – upierała się.

– Rzeczywiście, co odniosło należyty skutek.

– Dwie dziewczyny z sierocińca próbowały wydlubać Wilsonowi oczy. Spójrz tylko na jego podrapaną twarz.

– Sługus miał kiepski dzień, matko... to znaczy doktor King. Ale chyba nawet on potwierdzi, że sam się o to prosił.

– To prawda, proszę pani – przyznał Sługus ku mojemu zaskoczeniu. – Ropuch nie kłamie.

– I nie powinnaś wyrzucać Sługusa ze szkoły na cały rok – dodałem.

– Odkąd to rada nadzorcza szkoły powołała cię na dyrektora?! – warknęła.

– Widziałem całe zajście, matko. Ale Sługus nie zasługuje na wyrzucenie tylko dlatego, że jest Sługusem.

– Twój tok rozumowania jest dla mnie niejasny.

– Przez całe życie uczyłaś mnie, że mężczyzna czy kobieta są pochodną ich dzieciństwa. Ich zasady i wszelkie cechy charakteru wynikają z tego, jak zostały ukształtowane w domu przez rodziców. Do znudzenia powtarzałaś mi, że mężczyzna, jakim się stanę, będzie

odzwierciedleniem moich rodziców. Skoro odnosi się to do mnie, to także odnosi się do Sługusa i do Ike'a. Ale co poczniesz z dzieciakami takimi jak Sheba czy Trevor, pozbawionymi ojca, który mógłby nimi pokierować? A co z Betty, Starłą czy Nilesem? Jak oni do tego pasują?

– Do czego zmierzasz?

– Wychowanie Sługusa prowadziło do tego, żeby dziś zachował się dokładnie tak, jak się zachował. To rodzice wpoili mu nienawiść do czarnej rasy. Nie wychowywał go Martin Luther King ani arcybiskup Canterbury. Jego poglądy są zbieżne z poglądami dziewięćdziesięciu procent białych mieszkańców Południa, z czego oboje doskonale zadajemy sobie sprawę. Możesz nie znosić jego sposobu myślenia, ale nie możesz mieć mu go za złe. Znam obozowisko przyczep, na którym mieszka Sługus. To nie pałac.

– A zatem uważasz, że ani Sługus, ani pozostali obecni w tym pokoju nie powinni ponieść kary? Mam naocznych świadków, którzy widzieli cię w samym środku tej rozróby, jak biłeś się ze Sługusem na pięści w alejce.

– Próbowałem zaprowadzić porządek.

– Ale ci się nie udało?

– Nie, doktor King, to nieprawda. Udało mi się. To pani i reszta kadry nauczycielskiej zawiedliście. Nikogo z was nie było na miejscu, żeby rozbroić wybuchową sytuację.

– Bo zwołałam zebranie, żeby omówić nadchodzący rok szkolny – wyjaśniła matka.

– Tam potrzebna była obecność nauczycieli – obstawałem przy swoim. – Gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli, moim zdaniem wiele osób mogłoby poważnie ucierpieć.

– Będę tam jutro od samego rana – zapowiedział trener Jefferson.

– A ja wyślę wszystkich mężczyzn nauczających w tej szkole – dodała matka. – Proszę to zapisać.

- Zapisalam – odparła Julia Trammell.
 - A co ze Sługusem? – zapytałem.
 - W sprawie Wilsona nic nie da się zrobić. Podjęłam już decyzję.
 - Więc ją zmień, matko. Ja bym zrobił tak...
 - Doktor King – poprawiła mnie.
 - Doktor King. Myślę, że dzisiejszy poranek był cenną nauką dla wszystkich w tym pokoju, także dla Sługusa. Mam rację, Sługusie?
 - Skoro tak twierdzisz, Ropuchu – wymamrotał.
 - Odwieś Sługusa w prawach ucznia, ale pod jednym warunkiem – zaproponowałem.
 - Obyś wiedział, co mówisz – westchnęła matka.
 - Musi grać w futbol w drużynie trenera Jeffersona, a poza tym ściągnąć wszystkich białych chłopaków, którzy odmówili gry dlatego, że trener Jefferson jest czarny.
- Podchwyciłem zdziwione spojrzenie trenera i patrzyłem, jak podchodzi i bada muskulaturę ubiegłorocznej gwiazdy linii obrony.
- Jesteś Ledbetter? – zapytał.
 - Ehe – bąknął Sługus, nie podnosząc głowy.
 - Mówi się: „proszę pana”! – warknął trener.
 - Tak jest, proszę pana.
 - Oglądałem nagrania meczów z ubiegłego sezonu – powiedział trener Jefferson. – Liczyłem, że będziesz podporą mojej obrony.
 - Ja też na to liczyłem – przyznał Sługus. – Tylko że rodzice...
 - Sama pani widzi, o czym mówiłem, doktor King – wtrąciłem.
 - To jak, synu, będziesz grał u mnie? – zapytał trener. – Tylko mów prawdę.
 - Pewnie tak – mruknął Sługus.
 - To za mało. Będziesz grał u mnie?
 - Tak, proszę pana – obiecał Sługus. – Jeżeli doktor King da mi szansę, będę grał w pańskiej drużynie.
 - Synu – zwrócił się trener do Ike'a – a ty będziesz grał z

Ledbetterem i innymi białymi chłopakami, takimi jak on?

Ike czuł się wyraźnie nieswojo, w końcu jednak odrzekł:

– Skoro przez całe lato wytrzymałem z Ropuchem, to pewnie mogę grać z każdym białym.

Gromki śmiech rozładował ciężką atmosferę.

– Doktor King, czy mogę panią prosić o rękę pani syna? – zapytała Sheba.

Pytaniem tym zaskoczyła moją pozbawioną poczucia humoru matkę, która odparła:

– Leo nie był nawet jeszcze na pierwszej randce.

– Nie słuchaj jej, Shebo – powiedziałem. – Przyjmuję twoją propozycję.

– A zatem nikt nie zostanie ukarany za dzisiejsze zajście – oznajmiła matka. – Ale jeśli ktoś z waszej zgrai spróbuje rozrabiać przed końcem roku, już ja wam dam popalić. Rozumiemy się?

– Jeszcze jedna sprawa – przerwałem jej. – Koniec z tymi pomarańczowymi kombinezonami, doktor King. Proszę. I czy mogłaby pani przekonać Karpicę, żeby sieroty nie przychodziły tutaj w eskorcie biednego pana Lafayette'a?

– Skoro tak, to sami musicie ich ubrać – odparła matka. – Już z nią rozmawiałam na ten temat, ale stanowczo twierdziła, że nie ma funduszy na ubrania.

– A więc ich ubierzemy. Shebo, czy znajdziesz na jutro jakieś ciuchy dla Starli i Betty?

– Mówisz, masz.

– Ike'u, Sługusie, macie jakieś niepotrzebne rzeczy dla Nilesa? Ja mam dwie pary spodni khaki i koszule.

– Jak ja się wami zajmę, dziewczyny, będziecie wyglądały, jakbyście zeszyły z okładki „Vogue'a” – zapowiedziała Sheba.

– A ja wieczorem zrobię wam nowe fryzury, dziewczęta – obiecał Trevor.

– Jezu! – jęknął Sługus.

– Cicho bądź, Sługusie. Zapomnij, że jesteś Sługus Ledbetter.

Udawaj kogoś cudownego, wspaniałego. Idź na całość i odstawiaj najbardziej fantastycznego faceta pod słońcem. Udawaj Leo Kinga.

– Zaraz się porzygam – skomentował Ike.

Wyszliśmy gęsiego z gabinetu dyrektorki prosto w objęcia historii naszego życia. Późnym popołudniem Sługus Ledbetter i siedmiu sprzeciwiających się integracji białych chłopców dołączyło do drużyny futbolu.

*

W świecie futbolu szkolnego w Karolinie Południowej nic tak nie przerażało młodego chłopaka, który przypinał naramienniki, jak świadomość, że za chwilę stanie oko w oko ze straszliwą, osławioną Zieloną Fałą z liceum Summerville. Zieloną Fałą trenował legendarny John McKissick, a jego zespół słynął z brutalnej gry. Przed rokiem zmiażdżyli nas, wygrywając pięćdziesiąt sześć do zera. Nigdy nie czułem się tak upokorzony jak wtedy, gdy schodziłem z boiska.

Trener Jefferson zaproponował nam jednak bardzo sprytną taktykę obrony i skomplikowany plan ataku, które przeniósł z czasów, gdy prowadził drużynę liceum Brooksa. Lista jego środków taktycznych wyglądała jak kurs wyższej matematyki i wieczorami musiałem się w nią porządnie wgryzać, zanim zacząłem doceniać jej maestrię. Ćwiczenia, jakie nam narzucał, wymagały dyscypliny, siły i były tak wyczerpujące, że padało się ze zmęczenia. W egzotycznym skwarze sierpnia charlestońskie słońce było brutalną gwiazdą. Przetrzymanie pierwszego tygodnia po dwa treningi dziennie wymagało żelaznej siły woli i po kolacji zwykle od razu szedłem spać. Codziennie odpadało ze dwóch chłopaków i kiedy Sługus z siedmioma innymi spóźnialskimi zjawili się na treningu, nasza drużyna zmalała do dwudziestu trzech zawodników.

Sądziłem, że trener Jefferson potraktuje ulgowo ośmiu białych chłopaków, byłem jednak w grubym błędzie. Wywoływał ich na środek, obrzucał nieprzyzwoitymi słowami i ogólnie rzecz biorąc, dawał im niezły wycisk. Już na pierwszym treningu po dziesięciu

minutach zastraszył ich tak, że byli potulni jak baranki. Jego asystentem prowadzącym linię obrony był Wade Williford – młody biały trener, którego znałem z występów w defensywie drużyny Cytadeli. Zaskoczył mnie, wyznaczając mi rolę wspomagającego. Miałem grać w parze z Ikiem Jeffersonem, który od czasu letnich wspólnych ćwiczeń urósł w moich oczach do rangi członka reprezentacji narodowej. Dotychczas nie grałem w obronie, przekonałem się jednak, że kocham to o wiele bardziej niż grę w ataku. Uważałem, że skoro Sługus i reszta białych wrócili, możemy stworzyć całkiem niezły zespół. Brakowało nam tylko rozgrywającego, a więc byliśmy jak Kościół katolicki bez tabernakulum.

Któregoś dnia pod wieczór trener Jefferson doznał olśnienia.

– Hej, góralu! – zawołał do Nilesa. – Grałeś kiedyś na pozycji rozgrywającego?

– Nie, trenerze, byłem końcowym obrońcą – odparł Niles. – Ja tylko miałem przejmować piłkę.

– Pokaż mi, jak rzucasz, synu – polecił trener Jefferson.

– Gdzie mam rzucić, trenerze? – zapytał Niles, stojąc z resztą drużyny obok linii pięćdziesięciojardowej.

– A gdzie tam se chcesz – burknął trener. – Chcę tylko zobaczyć, jak daleko potrafisz rzucić. Wczoraj widziałem, jak podajecie sobie z Ropuchem, to były ładne zagrania. Dasz radę rzucić dalej?

– Nie wiem, trenerze. Nigdy nie musiałem.

– No to rzucaj tę sakramencką piłkę.

Dotychczas nie zwracałem uwagi na wielkość dłoni Nilesa, zauważyłem je dopiero w chwili, gdy objął piłkę. Były olbrzymie, wspaniałe. Cofnął rękę, umieścił piłkę za uchem i cisnął ją za linię końcową, między słupkami bramki.

– Chryste Panie przenajświętszy! Synu, powtórzyłbyś to równie precyzyjnie?! – ryknął trener Jefferson, a wśród zawodników rozległ się pełen podziwu pomruk.

– Nie mam pojęcia, trenerze.

– Zdaje się, że mamy rozgrywającego – rzekł trener Williford.

I rzeczywiście mieliśmy. Ponieważ trener Jefferson sam był rozgrywającym w reprezentacji stanu Karolina Południowa, godzinami przesiadywał z Nilesem, ćwicząc wprowadzenie piłki do gry, odskok o trzy, a nawet siedem kroków przed podaniem, oddanie piłki do rąk innego zawodnika. Z każdym dniem Niles coraz bardziej wczuwał się w rolę i coraz skuteczniej kierował grą i prowadził drużynę. Z każdym dotknięciem piłki był coraz lepszy i rozbudzał nadzieje kolegów z zespołu na nadchodzący sezon.

Gdy szykowaliśmy się w szatni pod stadionem, dobiegł nas hałas zbierającego się nad nami tłumu. Słyszeliśmy już, że bilety na mecz z Summerville zostały wyprzedane. Sromota dotkliwej porażki z Summerville z zeszłego roku wciąż boleśnie tkwiła w psychice graczy, a zwłaszcza Sługusa Ledbettera, który po przebiegnięciu dwudziestu jardów został brutalnie zatrzymany przez groźną linię obrony Zielonej Fali. Tamci obrońcy jednak w większości skończyli już szkołę, a o graczach, którzy ich zastąpili, wiedzieliśmy tyle co nic. Nie mogłem się doczekać, kiedy trener Jefferson przyjdzie palnąć nam zagrzewającą do boju mówkę, bo chciałem się przekonać, czy ma wrodzony talent do tej prawdziwej sztuki.

Duma trenera, kiedy wkroczył do szatni, była zaraźliwa. Przez chwilę milczał, dolatywał nas tylko narastający zgiełk kibiców na trybunach. W końcu przemówił:

– Chcę porozmawiać o integracji. Po raz pierwszy i ostatni. Po tem nikt z drużyny więcej o tym nie wspomni. Nigdy nie trenowałem białych zawodników ani nie grałem przeciwko drużynie prowadzonej przez białego trenera. Dziś wieczorem czeka mnie i jedno, i drugie. Zawsze chciałem zmierzyć się z zespołem Johna McKissicka, żeby się przekonać, czy rzeczywiście jestem taki dobry. Ale z waszą pomocą, moi drodzy... wierzę z całego serca, że skopiemy dupę Zielonej Fali tak, że pofruną z powrotem do Summerville. Uważam, że naszą drużynę na to stać.

Moi koledzy z zespołu wrzasnęli z uznaniem, a trener Jefferson ciągnął:

– Kiedy biali zawodnicy odmówili gry, ponieważ jestem czarny, było mi przykro jak cholera. Nabawiłem się przez to urazów, z których nawet nie zdaję sobie sprawy, w tym także na sercu i duszy. Właśnie dlatego byłem taki ostry dla Sługusa i jego kolegów, kiedy wrócili. W tym charlestońskim słońcu chciałem was zamęczyć na śmierć, chłopcy. Próbowałem złamać waszego ducha. Nie udało mi się, chociaż starałem się, jak mogłem. Ale dzięki temu stworzyłem zespół. Zespół z charakterem, silny psychicznie. Rozejrzyjcie się. Spójrzcie na kolegów z drużyny. Jeżeli widzicie twarze czarne albo białe, to wypierdajcie z mojego zespołu. Nie ma białych. Nie ma czarnych. Dość tego. Nadszedł czas, żeby z tym skończyć. Wyjdziemy do kibiców jako drużyna i z radością skopimy w tym roku niejedną dupę. Uważnie obejrzałem filmy z meczami McKissicka, za to on nawet sobie nie wyobraża, co mu szykuję. Nie ma pojęcia, że w tym roku spuścimy jego drużynie łomot. Jutro w całym stanie ludzie przy porannej kawie będą gadali o liceum Peninsula. Wierzymy w tę drużynę, jesteście jej oddani duszą i ciałem. Powtórzcie to jednocześnie.

– Wierzymy w tę drużynę, jesteście jej oddani duszą i ciałem! – ryknęli moi koledzy jak jeden mąż.

– Spuścimy łomot tym z Summerville! – powiedział trener. – Powtórzcie.

– Spuścimy łomot tym z Summerville! – wrzasnęliśmy.

– No to jazda do roboty.

Wypadliśmy z szatni. Ike i ja wyprowadziliśmy nabuzowanych kolegów z drużyny wprost w oślepiające światła stadionu i burzliwe owacje kibiców na wyprzedanych do ostatniego miejsca trybunach. Przed nami wybiegło dziesięć cheerleaderek, które rozproszyły się szybko niczym wystraszone stadko przepiórek – pięć białych dziewcząt i pięć czarnych, jak zażądała tego moja matka. Kibiców najbardziej zaskoczyła obecność kruchego chłopca, Trevora Poego, który

prowadził cheerleaderki jako pierwszy pomponiarz w historii mojego stanu. Nie dziwota, że Sheba Poe, jako główna cheerleaderka, ruszyła na linię boczną, mając za sobą Molly Huger i Betty Roberts.

Kiedy bieглиśmy w stronę ławek, Ike zaskoczył mnie, chwytając prawą ręką moją lewą dłoń. Drugą zacisnął w pięść i wymachiwał do naszych kibiców. Ja też zacisnąłem w pięść wolną rękę i wykonałem ten sam gest. Ku mojemu zdziwieniu w tłumie kibiców zapanowało szaleństwo. Miło było poczuć dotyk ręki Ike'a. Stało się to tradycją, która w Peninsuli obowiązuje po dziś dzień – wychodząc z szatni, obaj kapitanowie drużyny biorą się za ręce, a wolnymi pięściami pozdrawiają kibiców.

Obejrzałem się przez ramię na drugą stronę boiska, gdzie czekała już potężna i groźna Zielona Fala z Summerville. Mieli w pełnym rynsztunku sześćdziesięciu sześciu graczy, podczas gdy nas, biednych Renegatów, stać było na ubranie zaledwie trzydziestu jeden. Każdy z ich zawodników był cięższy od naszych o jakieś dziesięć kilogramów. Ich formacja ataku powróciła w całości, zajmując rok wcześniej drugie miejsce w całym stanie. O ich rozgrywającego, Johna McGratha, starały się wszystkie drużyny uniwersyteckie w kraju. On skłaniał się ku Alabamie albo Kalifornii Południowej, które w tamtym czasie były na samym szczycie.

Wyszliśmy z Ikiem na środek pola i podaliśmy sobie ręce z Johnem McGrathem, który nosił się niczym księżę, co wszyscy wiele sportowcy mają od urodzenia. Sędzia główny rzucił monetę – prawo rozpoczęcia gry przypadło Summerville. Powiedzieliśmy sędziemu, że chcemy bronić południowej bramki, a potem Ike i ja założyliśmy kaski i wróciliśmy truchtem do naszego zespołu.

Trener Jefferson zebrał nas w ciasną grupkę.

– Summerville jest przekonane, że nie mamy najmniejszej szansy. Grajcie czysto, chłopcy, ale ostro. Gdy już Chad wykopie piłkę, pokażcie Zielonej Fali, że to nie przelewki.

To właśnie Chad Rutledge najbardziej zaskoczył mnie brutalnością podczas sierpniowych treningów. Od czasu naszego pierwszego spotkania w jachtklubie zniechęciłem go do szpiku kości. Z biegiem lat poznałem wielu takich chłopaków jak on – mięczaków bez polotu, którzy pretensjonalnie obnoszą się z nazwiskiem, zamiast przedstawiać się z imienia. Ale Chad okazał się odporny, wszechstronny i szybki. Potrafił kopać z powietrza i zdobywać punkty z pola, a także sprawdzał się jako nasz spec od przejmowania podań na skrzydle. Na pierwszym treningu trener Jefferson obsadził go w ostatniej linii obrony, gdzie Chad wykazał się dobrym nosem i moim zdaniem był naszym najlepszym zawodnikiem torującym w polu drogę dla gracza z piłką. Trwało to długo, ale w końcu Chad udowodnił, że niedocenywanie uprzywilejowanych chłopaków z rozpieszczonego świata na południe od Broad jest poważnym błędem.

Kiedy ustawialiśmy się na pozycjach, czekając na sygnał Chada, że szykuje się do wykopu, krzyknąłem do Ike'a czającego się tuż za mną:

- Zakład, że cię wyprzedzę i że to ja obalę tego gościa?!
- Możesz sobie pomarzyć, Ropuchu. Gdy będą wzywali karetkę, żeby zdrapali biedaka z boiska, będziesz pięćdziesiąt jardów za mną.
- Już to widzę! – wrzasnąłem.

Chad podszedł do piłki i wykopał ją. Biegacz z Summerville przechwycił piłkę na własnej linii piętnastu jardów. W rozmazanych kolorowych światłach śmignąłem na drugą stronę boiska. Skrzydłowy Zielonej Fali próbował mnie podciąć, ale zanurkował za nisko, więc przeskoczyłem nad nim. Nie spuszczając z oka biegnącego z piłką chłopaka z numerem dwudziestym, doświadczałem złudzenia, że jestem szybki jak błyskawica. Tamten pędził lewą stroną, lecz zobaczył, że jego obstawa się sypie. Zmienił kierunek i – z braku wyboru – ruszył wprost na mnie. Wyrznąłem w niego z impetem, wbijając lewy bark w jego pierś, tak że pofrunął pięć jardów do tyłu, zanim grzmotnął o ziemię. Nie wiedziałem, że wypuścił piłkę, którą przejął Ike, dopóki nie doleciał do mnie radosny wrzask z naszych

trybun. Ujrzałem wtedy, jak Ike wysoko podnosi piłkę za strefą końcową, a następnie wręcza ją sędziemu.

Chłopak, którego zablokowałem, niezłe ucierpiał. Leżał na ziemi, a ja raz za razem pytałem go, czy nic mu nie jest.

Wkrótce otoczyli go szkoleniowcy i trener i pomogli mu wstać.

– Nie chciałem cię uszkodzić – zapewniłem.

– To było prawidłowe, czyste wejście, synu – oświadczył jakiś mężczyzna. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy odezwał się do mnie wielki trener John McKissick.

Chad zdobył dodatkową bramkę z kopnięcia, umieszczając piłkę trzymaną przez Nilesa między słupkami. Kiedy ustawialiśmy się do drugiego wykopu, spojrzałem na zegar – zdobycie punktów zajęło nam zaledwie dwadzieścia sekund.

Gdy Chad znów wykopał piłkę, pospołu z Ikiem obaliliśmy gracza, który ją przejął, na linii dwudziestu pięciu jardów. Potem Summerville zwarło szyki i pokazało nam, dlaczego przeciwnicy boją się ich taktyki gry jak żadnej innej w całym stanie. John McGrath prowadził zespół z idealnym wyczuciem czasu, pięknie i precyzyjnie podając do biegaczy i skrzydłowych nadbiegających od tyłu. Gdy rzucał piłkę któremuś z olbrzymich obrońców na środku pola, Ike i ja szybko łataliśmy dziury. Dwukrotnie wypchnęliśmy przeciwnika o kilka jardów. Mimo to Summerville zepchnęło nas na naszą linię trzydziestu jardów.

Trener Jefferson wciąż wrzeszczał do nas:

– Oni wiedzą, że rozgrywają swoje! Wiedzą, że ta cholerna gra układa się po ich myśli!

W trzeciej próbie Ike zgłosił się do manewru ataku obrony. Po wprowadzeniu piłki do gry rozgrywający cofnął się, patrząc na lukę powstałą z chwilą, gdy Ike przedarł się za linię środkową. Nikt nie zablokował Ike'a, który w pełnym biegu efektywnie wyrznął niczego niespodziewającego się McGratha. Ten wypuścił piłkę z rąk, a Niles zakrył ją własnym ciałem.

Mimo że nie byliśmy nawet w połowie tak dobrą drużyną jak

Summerville, tego wieczoru sprawy układały się po naszej myśli. Aby zrównoważyć przewagę zdolności Zielonej Fali, nasz trener wprowadził mądrą strategię. Gdy Niles po raz pierwszy w roku zgłosił się do gry w obronie, myślałem, że zaczynanie sezonu od oszukańczej zagrywki jest błędem. Podałem przejętą piłkę Nilesowi, a ten nie oddał jej dalej, lecz wystrzelił w kierunku linii bocznej Summerville. Lewy obrońca i ja porzuciliśmy nasze pozycje, żeby zrobić blokadę przed Sługusem. Powstrzymałem liniowego Summerville przed przechwyceniem Nilesa na własnej połowie, ale nasza obrona się sypała. Nilesa czekały poważne kłopoty, gdy naraz zatrzymał się raptownie. Spojrzał daleko, na drugą stronę boiska, i zobaczył Ike'a, który stał samotnie i czekał na podanie. Udał więc, że chce zablokować przeciwnika, ale przepuścił go, dzięki czemu Ike mógł przebiec nieopstrzeżenie wzdłuż linii bocznej i wciąż był nieobstawiony, gdy Niles rzucił mu piłkę.

Kiedy Chad zdobył z kopnięcia dodatkowy punkt, prowadziliśmy z osłupiałym Summerville czternaście do zera.

Był to radosny i entuzjastyczny wieczór z gatunku tych, jakie stanowią zbyt rzadko zdarzają się w krótkim życiu człowieka. Zostało mi z niego w pamięci wszystko, każde zagranie obu drużyn, każdy blok, który spałałem albo który mi się udał, każdą szarżę, w której brałem udział. Pamiętam poczucie szczęścia i uniesienia, jakiego doświadczyłem jedynie uprawiając sport albo seks. Zakochałem się w sercu mojej drużyny, kiedy walczyliśmy z przeważającymi siłami bez porównania lepszego zespołu. Dzięki ciężkiej harówce w lecie Ike i ja torpedowaliśmy ich grę dołem przez cały mecz. Podskakiwaliśmy, klepaliśmy się po kaskach i naramiennikach, ufaliśmy sobie nawzajem i pod koniec spotkania byliśmy już w sobie zakochani. Między nami i kolegami z drużyny stworzyła się więź, która – jak sądziłem – przetrwa do końca życia. Wrzeszczeliśmy na siebie i przez cały wieczór walczyliśmy z Summerville nieustraszenie jak lwy.

Był remis, czternaście do czternastu, i od zakończenia meczu

dzieliła nas zaledwie minuta. Rzuciłem się na McGratha i staranowałem go w chwili, gdy już miał mnie minąć. Ike przechwycił piłkę dwadzieścia pięć jardów przed strefą końcową Summerville. Nasi kibice oszaleli. Spojrzałem na trybuny, gdzie matka siedziała z monsiniosem Maksem, i zobaczyłem, że skaczą z radości i ściskają się nawzajem. Moja zakochana w Joysie matka wirowała niczym cheerleaderka z powodu meczu futbolu!

Podczas narady Niles był opanowany i rzeczowy. Zanim wznowił grę, wrzasnął do nas, przekrzykując ryk kibiców:

– Chłopaki, chcę wygrać ten cholerny mecz! Nie dam dupy, macie moje słowo. Ale wy też nie możecie dać ciała. Obiecujecie?

– Obiecujemy! – odkrzyknęła drużyna.

– Dzisiaj powstrzymywali Sługusa – rzekł Niles. – Chcę, żeby moja formacja zrobiła wreszcie wyłom w ich obronie, do cholery!

Przewróciłem środkowego obrońcę na plecy i zająłem się skrzydłowym, a tymczasem Sługus pokonał z trudem wypracowane piętnaście jardów i zyskał prawo do pierwszej próby na linii trzynastu jardów. Po wznowieniu gry przedał się środkiem pola i zyskał kolejne dziesięć jardów; do celu brakowało mu już tylko trzech. Dwadzieścia sekund przed końcem meczu Niles krzyknął do Sługusa, że utorujemy mu drogę.

Wprowadziłem piłkę do gry. Zablokowałem przeciwnika po lewej i rozglądałem się za ich skrzydłowym, żeby go obalić, gdy naraz ktoś staranował mnie od tyłu, tak że wylądowałem na plecach w strefie końcowej. Świat zwolnił, czas stanął w miejscu, gwiazdy i księżyc zamarły w bezruchu, a ja patrzyłem, jak coś szybuje ku mnie w wieczornym powietrzu. Wyciągnąłem rękę, żeby to coś złapać, dotknąć. Schwyciłem to, zanim jeszcze uświadomiłem sobie, że jest to piłka, którą Sługus właśnie zgubił – piłka, która poszybowała w górę i wpadła mi prosto do rąk. Dotknąłem piłką ziemi w strefie końcowej i zaraz poczułem na sobie ciężar wszystkich zawodników Zielonej Fali, którzy wskoczyli na mnie, próbując wyrwać mi piłkę.

Gdy sędzia główny dał znak, że zdobyliśmy przyłożenie, stadion był w stanie wrzenia. Zegar wskazywał, że do końca spotkania zostało pięć sekund. Ustawiliśmy się, by zdobyć punkt dodatkowy. Podaliśmy piłkę między swoimi nogami do Nilesa, on jednak nie położył jej na ziemi, żeby Chad mógł wykonać kop na bramkę, lecz podskakiwał z nią na boisku przez te pięć sekund, jakie pozostały do końca meczu.

Kibice ruszyli na nas tłumnie osłupiali ze zdziwienia. W ekstazie okładali nas po plecach tak, że mało brakowało, a zrobiliby nam krzywdę. Potem ruszyli do bramek. Z tego niezwykłego wieczoru zachowałem w pamięci obraz, który do końca życia doprowadzał mnie do łez: zdumiony obserwowałem, jak moja matka i młodszy Max pomagają rozszalałemu tłumowi kibiców futbolu ściągać słupki bramek na ziemię. Wyłem ze śmiechu, patrząc, jak rozentuzjazmowana Betty Roberts całuje Sługusa Ledbertera w policzek. Ale jeszcze bardziej rozśmieszył mnie Sługus, gdy ujrzałem, jak wyciera ślad po pocałunku rękawem przepoconej bluzy.

Odwrociłem się i zobaczyłem, że trenerzy Anthony Jefferson i John McKissick podają sobie ręce, jak przystało na wzorowych sportowców. Poczulem przypływ dumy, że mogłem wziąć udział w takim meczu. Na moich oczach dokonywał się zwrot historii.

Patrzyłem na kiwające się słupki bramki, patrzyłem, jak ludzie podnoszą mego ojca nad poprzeczkę, by mógł kierować napływem niepowstrzymanej fali kibiców, patrzyłem, jak matka ściąga buty i ciska je za siebie w środek tłumu, w ten stracony wieczór. Zrobiła to, bo chciała mieć lepszą przyczepność, dołączając do kibiców, którzy w końcu z łoskotem zwalili uparte słupki bramki na ziemię.

*

We wrześniu tego roku Charleston załała fala upałów. Słońce przesuwające się wolno nad półwyspem wyglądało jak ugotowane. Bliskość Atlantyku powodowała, że nie sposób było uciec od zabójczej

wilgotności, kiedy niemrawo wędrowałem z klasy do klasy. Jakaż była moja radość, gdy okazało się, że chodzę na te same zajęcia co bliźniaki, sieroty, Ike Jefferson, Chad Rutledge i Molly Huger. Oczywiście dostrzegłem w tym rękę matki i zrozumiałem, że wyznaczyła mi rolę klawisza nadzorującego grupę, która w jej przekonaniu wciąż była łatwopalna. Rzecz jasna, olśniewająco piękna i zmysłowa Sheba Poe była naturalnym wrogiem intelektualnej wrażliwości mojej matki, a Trevor sprawiał wrażenie istoty sprowadzonej z nieodkrytej jeszcze planety. Starla obnosiła się ze swoją zranioną duszą jak z prognozą pogody wystawioną przez kalekie, zezujące oko. Niles odgrywał rolę anioła stróża siostry, ale zdaniem mojej matki był tylko rozchwianym emocjonalnie, zamkniętym w sobie młodzieńcem, zbyt wcześnie obciążonym nadmiarem obowiązków.

Pewnego dnia matka oświadczyła przy kolacji:

- Ten chłopak nigdy nie miał normalnego dzieciństwa.
- Niles to wspaniały młody człowiek – stwierdził zwięźle ojciec.
- Tym bardziej szkoda, że jego siostra ma nie po kolei w głowie
- westchnęła.
- Matko, to bardzo miła dziewczyna – zaprotestowałem. – Nie mogłabyś jej odpuścić?
- Nie podoba mi się sposób, w jaki na mnie patrzy – wyjaśniła.
- Dlatego, że jednym okiem łypie na zachód, a drugim prosto przed siebie. To nie jej wina.
- Mówię o jej postawie, a nie o zezie czy innych choróbskach.
- Doktor Colwell zgodził się zoperować jej oko – przypomniałem. – Idę o zakład, że potem Starla całkiem się zmieni. Przez tego zeza jest nieśmiała.
- Ciekawe, w jaki sposób mu zapłaci? – prychnęła matka.
- On to zrobi za darmo.
- Czy mówiłeś doktorowi Colwellowi o Starli? – spytał ojciec.
- Tak jest. Powiedziałem mu o niej w lecie, kiedy któregoś dnia

przyjmowałem od niego pieniądze za prenumeratę. Już ją zbadał i będzie operował, gdy tylko znajdzie okienko.

– Widzisz, Lindsay, to zasługa twojego miłego syna – powiedział ojciec z dumą.

– Osobowość tej dziewczyny jest wykuta z kamienia – stwierdziła matka. – Ona ma nie po kolei w głowie. I żadne grzebanie w jej oku nic tu nie zmieni. Wspomnicie moje słowa.

*

Pod koniec października moja drużyna futbolu wciąż była niepokonana. Trener Jefferson dał nam jednak do zrozumienia, że mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu. Zarzekał się, że możemy być lepsi, i wymagał, żebyśmy potrafili prześcignąć wszystkie zespoły, z którymi graliśmy w tym sezonie. Tak nam dawał w kość, że po treningach padałem ze zmęczenia.

Któregoś dnia, kiedy wróciłem wieczorem z wyczerpującego treningu, przekonałem się, że los płała rozmaite figle, stawia wyzwania i ma własne plany. Gdy tylko wszedłem do domu, ojciec poinformował mnie:

- Kolację masz w lodówce, synu. Aha, dzwoniła Molly Huger.
- Molly? – zdziwiłem się. – Po co?
- Nie wiem. To nie ze mną chciała rozmawiać.

W sypialni sięgnąłem po telefon i niemal zemdlałem ze strachu. Uświadomiłem sobie, że jeszcze nigdy nie dzwoniłem do dziewczyny. Ta rozpacz wynikała nie tyle ze zdenerwowania, ile z braku instrukcji obsługi. Ręce mi drżały, były lepkie od potu. Nagle dotarło do mnie, skąd wziął się ten nieoczekiwany paniczny strach – dotychczas nie dzwoniłem do dziewczyny z tego prostego powodu, że nigdy z żadną nie chodziłem. Nawet ja uznałem ten fakt za dziwny i nielogiczny w życiu osiemnastoletniego chłopaka.

W pierwszych miesiącach szkoły między mną i Molly nawiązała się niezobowiązująca przyjaźń i na trzech przedmiotach siadywaliśmy

obok siebie. Zebrałem więc resztki odwagi i wykręciłem jej numer. Po pierwszym sygnale odebrała matka Molly. Kiedy się przedstawiłem, w jej głos wkradła się lodowata, oschła nuta.

– Molly nie ma w domu, Leo. Dobranoc – powiedziała pani Huger i odłożyła słuchawkę.

Już miałem wstać z krzesła, ale natychmiast zadzwonił telefon. Odbierając, odezwałem się tak, jak uczyli mnie tego rodzice:

– Dom państwa Kingów. Leo przy aparacie.

W słuchawce usłyszałem śmiech Molly.

– Zawsze tak odbierasz?

– Nie. Czasami mówię: „Tu Leo King, a ty możesz mnie pocałować w dupę”. Oczywiście, że zawsze tak odbieram. Chyba poznałaś już moją matkę. W tym domu obowiązuje dziesięć tysięcy nakazów.

Nagle między Molly i jej matką wybuchła zażarta kłótnia. Nie rozróżniałem słów, bo Molly zakryła ręką słuchawkę, ale stłumione głosy kipiały wściekłością. W końcu Molly powiedziała:

– Mamo, chyba mam prawo do odrobiny prywatności. Bardzo ci dziękuję. Leo, jesteś tam jeszcze?

– Jestem. Coś się stało?

– A owszem, stało się, jeszcze jak. Pokłóciłam się z Chadem i dzisiaj ze mną zerwał. Właściwie to kilka minut temu.

– Idiota! – wykrzyczałem. – Całkiem mu odbiło czy co?

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo chodzi o ciebie – wyjaśniłem, wytrącony z równowagi. – Bo jesteś ósmym cudem świata.

– Miałam nadzieję, że powiesz coś w tym rodzaju. To jeden z powodów, dla których zadzwoniłam.

– A drugi powód?

– Chciałam cię zapytać, czy w piątek po meczu wybrałbyś się ze mną na tańce.

Zarumieniłem się tak bardzo i tak gwałtownie, że myślałem, iż do

końca życia będę chodził purpurowy na twarzy. Rozpaczliwie szukałem stosownych słów, ale zapomniałem języka w gębie i zaniemówiłem. Modliłem się, żeby strzelił piorun i pozbawił całe miasto łączności telefonicznej. Niemy i przepelniony wstydem czekałem na interwencję Molly.

– Leo? Jesteś tam?

– Jestem – odparłem, wdzięczny, że wrócił mi głos.

– Więc czekam na odpowiedź – ponagliła mnie. – Zaprosisz mnie na tańce czy nie?

– Molly, jesteś dziewczyną Chada. Wiem, ile dla niego znaczysz. Wiem, jaki jest z ciebie dumny.

– Czy to dlatego umówił się z Bettiną Trask? – zapytała. – To dlatego zaprosił tę cycatą wywłokę na potańcówkę?

– Bettinę Trask? – jęknąłem, zdruzgotany tą wiadomością. – Chyba mu życie niemiłe. Przecież to dziewczyna Sługusa Ledbettera. Równie dobrze mógłby popełnić samobójstwo.

– Mam nadzieję, że Sługus spierze go na kwaśne jabłko.

– Jeśli chcesz, możemy już planować pogrzeb Chada. Wiem, jak to się skończy.

– Nie chce mi się o nim gadać. Pójdiesz ze mną na te tańce czy nie?

– Molly, ja jeszcze nigdy nie byłem na randce. Nie wiedziałbym, co robić, nie potrafiłbym się odezwać ani zachować – tłumaczyłem. Każde słowo wychodziło z moich ust powoli jak wrywany ząb.

– Wszystkiego cię nauczę – obiecała.

– Wobec tego powinienem cię teraz zaprosić, tak?

– Tak to się zwykle odbywa.

– Molly Huger, czy w piątek po meczu pójdziesz ze mną na tańce?

– Będę zaszczycona, Leo – odparła. – Nie wiem, jak ci dziękować za zaproszenie.

– Mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Wal.

– Czy chodziłaś jeszcze z jakimś innym chłopakiem oprócz Chada?

– Nigdy. – Wybuchnęła płaczem i rzuciła słuchawkę.

W zadumie złożonej ze strachu i uniesienia przeszedłem do kuchni, gdzie podgrzałem sobie danie ugotowane przez ojca. Kiedy siadałem do kolacji, ojciec, jak co wieczór, dołączył do mnie, żeby omówić wydarzenia dnia.

– I jak się spisał kucharz, synu?

– Zatrudniłbym go w swojej kuchni w każdej chwili – odparłem.

– Pieczeń z łaty jest przepyszna. Lepszego kabaczka i szparagów nie jadłem. A tłuczone ziemniaki są idealne.

– Kluczem do wszystkiego jest zachowanie właściwych proporcji. Czego Molly chciała od naszego chłopaka?

– Najdziwniejszej rzeczy pod słońcem. Chce, żebym po meczu zabrał ją na tańce.

– Słowo „dziwne” jest tu nie miejscu – rzekł ojciec. – Co powiesz na „bajeczne”, „przewyborne” albo „rewelacyjne”? Co w tym złego, że jedna z najpiękniejszych, najsympatyczniejszych dziewczyn na świecie chce pójść z tobą potańczyć?

– Dla kogoś takiego jak ja Molly jest stanowczo za ładna. Chad z nią dzisiaj zerwał, więc czuje się urażona. Zaprosił na tańce Bettinę Trask.

– Oho – mruknął ojciec. – No to już wiemy, o co mu chodzi. Bettina ma wyrobioną reputację.

– W tym roku trochę ją poznałem. Pochodzi z biednej rodziny, jej ojciec to kompletne zero. Słyszałem nawet, że siedział w więzieniu. Ale Bettina jest bystra i moim zdaniem ambitna.

– Sługus Ledbetter nie mieści się zbyt wysoko na skali ambicji – skwitował ojciec.

– Ale chodzenie z Chadem Rutledge'em podniosłoby jej status społeczny w mgnieniu oka – zauważyłem.

Ojciec roześmiał się i opuścił ręce.

– Założę się, że kiedy ta jego nadęta matka się o tym dowie, wpadnie w szal.

– Matce Molly bardzo się nie spodobało, że zadzwoniłem. Nawet nie próbowała udawać, że jest jej miło.

– Na południe od Broad panuje spisek płytek krwi, synu. Tam liczy się wyłącznie rodowód i wychowanie. Nie, to nieprawda... gdzieś obok banku krwi musi jeszcze stać ciężarówka wyładowana gotówką.

– Nic dziwnego, że matka Molly się zdenerwowała. Nie mamy pieniędzy. Boże jedyny, jesteśmy katolikami. O rodzinie nawet lepiej nie mówić. Zero arystokracji. Zero członkostwa w klubach. Zamiana Chada Rutledge'a na Leo Kinga to dla Molly spadek po równi pochyłej.

– Założę się, że to pierwsze samodzielne posunięcie Molly w życiu – odparł ojciec. – Dla niej to swego rodzaju deklaracja niepodległości.

– A co mam zrobić, jeśli Molly zechce zatańczyć?

– Jak to co? Zatańczysz z nią. Tańcząc z piękną dziewczyną, wiesz, że żyjesz.

– Ale ja nie za bardzo potrafię tańczyć. Podczas tego mojego przyjęcia w lecie Sheba próbowała mnie nauczyć, ale to wszystko.

Ojciec uderzył się dłonią w czoło.

– A niech mnie! Kiedyś tańczyliśmy tu po całym domu. Ty stałeś na moich stopach, a Steve na stopach mamy. Tak, Leo, w tym cały problem. Po śmierci Steve'a przestaliśmy tańczyć. Dopuszciliśmy do tego, żeby ten dom umarł. Muzyka umarła. Ty poszedłeś w zapomnienie. Omal cię nie straciliśmy. Jezu, przecież ty nigdy nie byłeś na randce! Co my sobie właściwie wyobrażaliśmy?

– Nikt z nas nie radził sobie z tą historią ze Steve'em – rzekłem.

– Jutro wieczorem po powrocie z treningu włoż buty do tańca, synu. Urządźmy w tej chałupie potańcówkę.

Ojciec dotrzymał słowa. Następnego dnia po treningu odwoziłem Nileasa do sierocińca. Nagle, ku mojemu zaskoczeniu, powiedział:

- Twój ojciec zaprosił Starłę, Betty i mnie na kolację. Wspominał coś o lekcji tańca.
- Rany boskie, ale się do tego zapalił!
- Szczęściarz z ciebie, że masz takiego ojca – oświadczył Nileas.
- Szkoda, że nie jest moim starym.
- A wiesz, kto jest twoim ojcem? – zapytałem.
- Wiem. Koniec tematu.
- Koniec tematu – zgodziłem się.

Skręcając na podjazd, usłyszałem dobiegającą z domu głośną muzykę i zauważyłem, że nie ma samochodu matki. Ojciec urzędował w ogrodzie z tyłu domu, piekąc na ruszcie hamburgery i kukurydzę w kolbach, a Betty serwowała wszystkim z wielkich drewnianych misek surówkę z białej kapusty i sałatkę ziemniaczaną. Kiedy weszliśmy z Nilesem do ogrodu, Sheba i Trevor wyrzucali śmiecie do aluminiowej puszki.

– Pośpieszcie się, ślamazary – pogoniła nas Sheba. – Musimy was nauczyć przebierać nogami. Przyjęcie odbywa się pod dachem.

Trevor ciągnął Starłę i Betty do domu. Ojciec zgasił grill, zdjął fartuch i pretensjonalną czapkę kucharską i szybko ruszył za nimi, zabawić się w dyskdżokeja. Nie potrafił ukryć uśmiechu radości.

- Gdzie matka? – zapytałem.
- Nie chciała brać w tym udziału – odparł. – Wściekła się jak jasny gwint, że zorganizowałem to akurat w wieczór, kiedy odbywa się seminarium literackie. Nabzdyczyła się i pojechała do biblioteki.

W domu Sheba i Trevor prowadzili zajęcia z podstaw rock and rolla, stepowania, twista i innych podrygów. Bliźniaki tańczyły z naturalnością drzew chwiejących się na wietrze. Gdy się obejmowali, zgodność i zawilość tańca dotarła do świadomości nas, podglądaczy, obserwujących ich pływające z boskim wdziękiem ciała.

Nie byliśmy tam jednak po to, żeby się przyglądać, lecz by nauczyć się tańczyć. Trevor zgromadził chłopaków z jednej strony pokoju i zaczął pokazywać nam najprostsze kroki.

– Nie bójcie się pomyłek. Człowiek uczy się na błędach. Popelniając błędy, stajecie się lepsi. Wyluzujcie się. Nie myślcie. Macie tylko tańczyć. Niech wasze ciała tańczą. Taniec to przejaw miłości ciała do samego siebie.

Przez trzy godziny ćwiczyliśmy kroki i podrygiwaliśmy niezdarnie jak w komedii pomyłek. Jednak dzięki cierpliwości i życzliwości bliźniaków wreszcie wykonaliśmy z pamięci imitację ducha tańca. Rozluźniłem się i z czasem zacząłem się dobrze bawić – tego wieczoru na zawsze pożegnałem się z nieumiejącym tańczyć ciałem.

Potem uczyli nas walca – kwintesencji wolnego tańca, w którym jedną ręką trzyma się dłoń dziewczyny, a drugą obejmuje ją w talii i przyciąga do siebie.

– Wolne tańce to coś, czego tak naprawdę pragną wszystkie nastolatki, dziewczęta i chłopcy – wyjaśniła Sheba. – Trzymasz kogoś, kogo uwielbiasz, i przyciskasz go do siebie. Wasze policzki się stykają. Można sobie szeptać do ucha. Można wyrazić swoje uczucia sposobem, w jaki się dotykacie. Można się przytulić. Można zdradzić sobie nawzajem swoje sekrety, nie mówiąc ani słowa. Zaraz po ślubie państwo młodzi zaczynają małżeństwo od wolnego tańca. I nie bez powodu. Leo, pokażmy im dlaczego.

Wyciągnęła do mnie rękę, a ja ująłem ją niczym laskę dynamitu. Ojciec nastawił płytę z *Love Is Blue*, instrumentalnym utworem pięknym jak ulica w Charlestonie. Objąłem Shebę w talii, przyciągnąłem do siebie i zaczęliśmy tańczyć... nie myśleć, tylko tańczyć. Sheba sprawiła, że wyglądało to tak, jakbym potrafił się ruszać. Marzyłem, żeby ten utwór trwał wiecznie. Jednakże płyta się skończyła, czas się zatrzymał, a ja i Sheba oderwaliśmy się od siebie. Ona dygnęła, ja się ukloniłem. Promieniałem, czułem się przystojny i wcale niepodobny do ropuchy.

Zadzwoił telefon. Podeszedłem do aparatu i odebrałem.

– Czy pan Leo King? – zapytała jakaś kobieta.

– Tak, to ja.

– Mówi Jane Parker, asystentka doktora Colwella. Ktoś odwołał wizytę, więc doktor może operować Starlę Whitehead o ósmej rano w najbliższy piątek, w Akademii Medycznej. Czy odpowiada jej ten termin?

– Starla Whitehead stawia się punktualnie – obiecałem, wróciłem do tancerzy i ogłosiłem wszem i wobec: – Starlo, doktor Colwell naprawi ci oko!

Wszyscy zaczęli wiwatować. Starla podeszła do Nilesa. Brat i siostra rozplakali się cichutko, czule. Zawsze wydawało się, że ilość smutku, jaką w sobie noszą, jest nie do zniesienia, nawet tego dnia, kiedy nauczyli się tańczyć.

Pielgrzymi

Ponieważ opisuję wydarzenia z przeszłości, niezwykle ważne dla tych z nas, którzy je przeżyli, próbuję dążyć do być może nieosiągalnej precyzji. Jednak barwa, zapach i muzyka stale otwierały mi okna rozetowe, ślepe zaułki i zapadnie przeszłości w sposób, który zawsze mnie zdumiewał. Trasa pokonywana przeze mnie, gdy rozwioziłem gazety, zatarła się w mojej pamięci, choć opowiadam teraz o rozmaitych zapachach, szczekaniu psów, rannych ptaszkach, ludziach biegnących dla zdrowia wzdłuż Battery, o dyskusjach na temat najnowszych wiadomości z Eugene 'em Haverfordem i moich marzeniach na jawie. Pedalując i ciskając gazety, rozmyślałem o wspaniałym życiu, do którego wjadę na rowerze. Moje wspomnienia wydają się wiecznie młode, stale zielone, dlatego bez problemu przekraczam próg przeszłości, ufając kształtom i pewności wszystkiego, co wyniosłem z tamtych dni.

W dniu operacji Starli rozwioziłem gazety szybko i sprawnie jak nigdy. Potem wymigałem się od mszy z rodzicami w katedrze i śniadania u Cleo i pojechałem prosto do sierocińca, gdzie czekali już na mnie Starla i Niles. Pan Lafayette otworzył bramę kluczem wielkości noża sprężynowego, uściskał Starlę i życzył jej powodzenia. Wtedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że ani razu nie zdjęła przy ludziach ciemnych okularów, które dostała od Sheby. Usiadła z Nilesem na przednim siedzeniu. Zauważyłem, że jej dłonie drżą, podczas

gdy brat próbował dodać jej otuchy.

– Starla jest przerażona – powiedział Niles; jak zwykle w chwilach rozpaczny mówił w jej imieniu.

– Na jej miejscu każdy by się bał – pocieszyłem go. – To naturalne.

– Chce, żebym był przy niej na sali operacyjnej.

– Doktor Colwell mówił, że na chirurgii trzeba ściśle przestrzegać przepisów. Nie wpuszczą cię.

– Bez Nilesa chyba nie dam rady – wykrztusiła Starla cichym, roztrzęsionym głosem. – Myśl, że ktoś przetnie mi gałkę oczną, jest dla mnie nie do zniesienia. Nie chcę tam jechać.

Próbowałem rozwiązać jej obawy:

– Doktor Colwell obiecał, że po operacji będziesz miała śliczne oczy. Wolisz do końca życia nosić ciemne okulary? A może nie zdejmujesz ich nawet do snu?

– Owszem – przyznała. – Ściągam je tylko pod prysznicem. Za każdym razem, gdy widzę Shebę, mam ochotę ją wyściskać za to, że mi je dała. Nie wiesz, jak to jest być dziwolągiem.

– Po dzisiejszym dniu nie będą ci już potrzebne, słowo. Starlo, posłuchaj mnie, doktor Colwell wszystko załatwi.

– Nie słyszałaś, co powiedziała, głupolu? – warknął Niles. – Ona tego nie chce. Nie jedziemy do szpitala.

– Słyszałem, głupolu – odparłem, gwałtownie wciskając hamulec. – Wiozę Starłę do najlepszego chirurga od oczu w Charlestonie. Będzie ją operował za darmo. Ja akurat świetnie wiem, przez co przechodzi twoja siostra. Przezywają mnie Ropuch, bo noszę tak grube szkła, że moje oczy wyglądają jak żabie ślepia. Wiem o tym. Mam w domu lustro. Gdyby można było zoperować moje oczy, wywaliłbym Starłę z wozu i sam bym się położył pod skalpel doktora Colwella. Więc jeśli coś ci się nie podoba, Niles, to wysiadka. Zostaw nas samych. Za dwie godziny będzie po wszystkim. Koniec.

Spojrzał na siostrę.

– On ma rację – powiedziała.

– Zgodziłem się na to tylko dlatego, że mnie prosiłaś – odparł. – Jasne, że on ma rację. Przecież to pieprzony Ropuch.

Ulżyło mi.

– Moja bezduszna matka powiedziała, że podczas operacji ty i ja możemy poczekać przed salą.

– Cóż za uprzejmość z jej strony – skwitowała Starla.

– Nigdy się do tego nie przyzna, ale ona naprawdę trzyma za was kciuki. Uważa, że Bóg was skrzywdził. No, jesteście. Wysiadajcie, a ja zaparkuję. Idźcie na górę, na chirurgię. Czekają tam na ciebie, Starlo.

– Czy doktor Colwell przeprowadzał już takie operacje? – spytała nerwowo. – Chciałam go o to spytać podczas badania, ale był dla mnie taki miły, że stchórzyłam.

– No cóż, on już operował, ale nie oczy. Aż do dzisiaj. Jego specjalność to usuwanie brodawek na podeszwach stóp.

– Ty żałosny gnojku! – prychnął Niles. – Jak śmiesz żartować w takiej chwili? W poczekalni spuszczyć ci łomot.

– Żartował? Bogu dzięki! – powiedziała Starla. – Potrzeba mi było dobrego żartu. Muszę się pośmiać. – Odetchnęła i szepnęła pod nosem: – Dam radę.

– No to jazda – ponagliłem ją. – Podobno nie ma równie twardych dziewczyn jak góralki.

– Więc lepiej ze mną nie zadzieraj, Ropuchu – ostrzegła Starla, szturchnęła mnie w ramię i wysiadła z samochodu. – Ale daj słowo, że jeżeli operacja się nie uda, nie będziesz mnie nazywał Cyklop.

– Słowo.

Po godzinie Niles zaczął się miotać po poczekalni jak pantera w klatce. Prężył mięśnie, jego oczy pały. Nagle drzwi się otworzyły i niespodziewanie weszła Fraser Rutledge. Podeszła prosto do Nilesa i przytuliła go jak siostra. Szpital mieścił się jedną przecznicę na południe od Ashley Hall, prywatnej szkoły, do której chodziła Fraser. Dostała zgodę, żeby urwać się z godziny nauki własnej i odwiedzić chorą przyjaciółkę. Szepnęła Nilesowi kilka słów na ucho i chociaż

nie słyszałem, co powiedziała, zobaczyłem, że brat Starli rozluźnia mięśnie i pozwala jej się posadzić na krzesło. Fraser podeszła i przytuliła mnie mocno.

– Od dwóch dni przy kolacji u nas mówi się tylko o tobie, Leo – powiedziała.

– Niby dlaczego? – zdziwiłem się.

– Chad przyznał się, że zerwał z Molly. Człowieku, to tak, jakby w naszym domu wybuchła bomba atomowa. Matka Molly zadzwoniła do mojej i poinformowała, że Chad zaprosił na tańce tę lafiryndę Bettinę Trask.

– Bettina wcale nie jest taka zła – zaprotestowałem. – Pochodzi z biednej rodziny, ale ma głowę na karku i się stara. Uczęszcza na kurs angielskiego dla zaawansowanych prowadzony przez moją matkę. Zapytaj Nilesa.

– Bettina była miła dla mnie i Starli – przyznał. – Nawet kiedy pierwszego dnia szkoły pobiłem się z jej chłopakiem.

– Słyszałam, że daje każdemu jak bankomat – dodała Fraser. – A ty, Ropuchu, podobno robisz za popychacza w zastępstwie Chada.

– Fraser, czy twoi rodzice wiedzą, że ze sobą chodzimy? – spytał Niles.

– Jeszcze nie – przyznała zdenerwowana. – A teraz na pewno nie jest odpowiedni czas, żeby ich o tym informować.

– Sierota i Bettina Trask – mruknął Niles. – Dla twoich rodziców to za dużo wstydu jak na jeden tydzień.

– Nilesie Whiteheadzie, przestań się znowu nad sobą rozczulać – Fraser przywołała go do porządku. – Nie zamęcę cię na śmierć odstawianiem bogatej dziewczyny, jeżeli ty przestaniesz mnie brać na sierotę, zgoda?

W tym momencie do poczekalni wszedł doktor Gauldin Colwell, w fartuchu i z tym swoim spokojem uśpionego morza, który stanowił chyba jego największą zaletę jako lekarza. Był to przystojny, arystokratyczny mężczyzna, sprawiający wrażenie, jakby od małego przygotowywano go do noszenia stetoskopu. Jego obecność podziałała na

mnie uspokajająco, a co ważniejsze, zobaczyłem, że najeżony Niles też się wyraźnie rozluźnił.

Doktor Colwell przywołał nas do siebie i odezwał się cichym apodyktycznym głosem:

– Moim zdaniem operacja przebiegła pomyślnie, ale pewność zyskamy mniej więcej za czterdzieści osiem godzin. Wszystko poszło znakomicie. W weekend będę tu zaglądał co rano i sprawdzał, jak postępuje kuracja. Przez cały czas będzie półprzytomna, pod wpływem środków uśmierzających. Nie narażam swoich pacjentów na ból. Zanim wyjdziecie, musicie się nauczyć podawania kropli do oczu.

– Wiem, jak to się robi, doktorze – powiedział Niles. – Jestem jej bratem.

– Tak słyszałem. – Doktor Colwell odwrócił się do niego. – Macie wielki dług wdzięczności wobec Leo Kinga. To on poprosił mnie, żebym podjął się tej operacji.

– Oczywiście, doktorze – przytaknął Niles. – Będę mu wdzięczny do końca życia.

– Panu też coś się należy, doktorze – powiedziałem.

– Co takiego?

– Gazeta gratis do końca życia.

– To niepotrzebne. Ale bardzo uprzejme.

Do poczekalni weszła jego młoda asystentka, Jane Parker, ładna jak bławatek, i zapytała:

– Kogo trzeba nauczyć, jak aplikować krople do oczu?

– Pokaż im wszystkim – rzekł doktor Colwell. Ruszył do wyjścia, lecz zatrzymał się i powiedział: – Panie Whitehead, spodziewam się, że w życiu pańskiej siostry pojawi się nowy element.

– Co takiego, doktorze? – spytał Niles.

– Adoratorzy – wyjaśnił lekarz. – Tłumy adoratorów.

– Nie bardzo rozumiem – bąknął Niles.

Jane Parker się roześmiała.

– Pańska siostra jest bardzo ładna. I kochana. Teraz jej życie się zmieni.

Tego samego dnia wieczorem, w szatni, gdy zawodnicy mocowali naramienniki i przypinali do pasa ochraniacze na biodra, podskórnie wyczuwało się konflikt. Coś niewidzialnego wyssało ducha walki z naszej drużyny i podczas gdy kibice wypełniali trybuny Stoney Field, siedzieliśmy jak pogrążeni w letargu, wypaleni nieprzerwanym ciągiem zwycięstw w sezonie. Drużyna z Hanahan sprawiała wrażenie, jakby maszerowała równo w rytm nihilistycznego marsza śmierci, który doprowadzi nasz wspaniały sezon do demoralizującego końca. Płomienne umiłowanie rywalizacji, które wyniosło nas na dziewiąte miejsce w rankingu najlepszych szkół średnich w stanie, albo poszło na chorobowe, albo w ten piątek zrobiło sobie wolne. Jeszcze zanim skończyłem się przebierać, czułem, że tym razem zanotujemy pierwszą porażkę w sezonie. Na szczęście nie ja jeden to zauważyłem.

– Co jest nie tak, Ropuchu? – spytał Ike, rozglądając się.

– Wyglądamy jak nieżywi – odparłem. – Nadajemy się tylko pod kroplówkę.

– Hej, Renegaci! – wrzasnął Ike. Wstał, ubrany i gotowy do wyjścia na stadion. Przeszedł wzdłuż szeregu, poklepując chłopaków po naramiennikach i tyłkach, by wzniecić płomień w pomieszczeniu, w którym nie było ani podpalki, ani tlenu. – Chcę zobaczyć w waszych oczach żądzę walki! – krzyczał. – Zachowujecie się jak strachy na wróble. Jak kurczaki na podwórku. Zapomnieliście już, kim jesteście? Jesteśmy Renegatami, do cholery. Dołożyliśmy Zielonej Fali z Summerville, Fali Przyływu z Beaufort, Skałom z St Andrews. Ale dzisiaj gramy z twardzielami z Hanahan, którzy też nie przerznęli jeszcze meczu. Gdzie wasz duch walki, chłopaki? Powiedźcie mi, gdzie się schował, to wyślę ludzi na poszukiwania.

Przerwał mu buntowniczy, nieposkromiony głos:

– Weź siadź i się przymknij, chłoptasiu. Nie kop leżącego.

Ten głos należał do Sługusa Ledbettera, który siedział oparty o

szafkę, jeszcze nieubrany.

Rzucenie wyzwania współkapitanowi drużyny mogło przeżyć jedność zespołu jak rak, podszedłem więc do niego i grzotnąłem go w naramienniki. Zerwał się z zaciśniętymi pięściami, gotów bić się ze mną i z Ikiem jednocześnie.

Niles interweniował, odciągając mnie za bluzę.

– Zwołaj zebranie drużyny, zanim się zjawią trenerzy – poradził Ike'owi.

– Ubierać się, migiem! Za minutę spotykamy się wszyscy w sali konferencyjnej – zarządził Ike.

Słyszac to polecenie, zarówno biali, jak i czarni zawodnicy zaczęli zrzedzić, ale przynajmniej był to słyszalny dowód, że zespół wyrwał się ze stanu śmierci mózgowej. Niecałe sześćdziesiąt sekund później cała drużyna patrzyła na mnie i Ike'a. Za plecami mieliśmy tablicę, insygnium władzy trenera Jeffersona.

– Nie wiem, co tu jest grane, ale załatwmy to – powiedział Ike. – Nie poznaję tej drużyny.

– Chłopaki, co się stało z Renegatami? – wtrąciłem się. – Po tym, ile razem przeszliśmy.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Już miałem powiedzieć coś równie niedorzecznego w ograniczonym zasobie słów świata sportu, ale wyprzedził mnie Niles:

– Sługus jest wkurzony, bo po meczu jego dziewczyna idzie na potańcówkę z Chadem.

Ike zagwizdał.

– Chad, czyś ty na głowę upadł? O ile wiem, Bettina i Sługus są razem od zawsze.

Zdenerwowany Chad bąknął niepewnie:

– Myślę, że Bettina chce zakosztować białego mięska z drugiej strony torów.

Znając go, wiedziałem, że odpowiedź ta wynika częściowo z brawury, a częściowo ze strategicznie nierozsądnego zastosowania

swoistego poczucia humoru. Próbując wymyślić jeszcze bardziej zabawną ripostę, patrzyłem, jak Sługus, szarżując niczym nosorożec, przeskakuje nad trzema kolegami z drużyny, żeby dobrać się do Chada siedzącego pod ścianą z pustaków. Pośród wymachujących pięści i fruujących w powietrzu wymyślnych przekleństw udało nam się rozdzielić walczących przeciwników. Chad miał szczęście, że nasza interwencja się powiodła – myślałem, że nacierając na niego na oślep, Sługus przegryzie mu tętnicę szyjną krzywymi, żółtymi zębami. Ike i ja z trudem złapaliśmy Sługusa za bluzę i odstawiliśmy na krzesło. Zdecydowanie nie odczuwał takiej ulgi jak Chad. Kiedy w końcu odzyskaliśmy z Ikiem panowanie nad sytuacją, w drużynie wyczuwało się ożywienie – niedawna pustka duchowa, która udzieliła się drużynie, znikła bez śladu.

Ike zaczął coś mówić w chwili, gdy trener Jefferson z asystentem wyszedł z biura. Wybiegłem im na spotkanie betonowym korytarzem i rzuciłem:

– Trenerze, potrzeba nam pięć minut. Musimy wyjaśnić sobie to i owo. Nieporozumienie w zespole, ale damy radę to załatwić.

Pomimo zaskoczenia trener Jefferson zapowiedział natychmiast:

– Cztery minuty.

I wraz z asystentem wrócił do małego dusznego biura.

Wróciłem pędem przed tablicę.

– Sługusie, nie możemy poświęcić tej drużyny z powodu naszych ukochanych – oświadczył Ike. – Za ciężko pracowaliśmy na sukces. Wszyscy wiemy, co czujesz do Betty, ale gdyby moje uczucia do dziewczyny miały zagrozić drużynie, tobym ją rzucił, przynajmniej na czas rozgrywek. Każdy z nas ma dziewczynę. Jesteśmy futbolistami, więc mamy powodzenie. To znaczy wszyscy poza Ropuchem.

Nawet Sługus Ledbetter wybuchnął śmiechem wraz z resztą kolegów z zespołu. Ja także rechotałem, podziwiając błyskotliwą strategię Ike'a.

Ponad śmiech wybił się głos Chada:

– Kurde, właśnie dlatego zaprosiłem na tańce Bettinę... bo Ropuch umówił się z Molly! Bettina wydzwaniała do mnie od tygodni.

– Chad, chcesz powiedzieć, że wyrolował cię jakiś pieprzony płaz? – zapytał Ike z nieskrywanym sarkazmem.

I znów drużyna gruchnęła śmiechem, a najgłośniej śmiał się Sługus.

– Kobiety lecą na mnie jak pszczoły do miodu – powiedziałem.

– Od małego mam z tym utrapienie. Dla was może i jestem Ropuchem, ale kobiety nazywają mnie Norką.

– Akurat! Idę o zakład, żeś jeszcze nigdy nie całował się z dziewczyną – parsknął Chad.

– Dziś wieczorem to się zmieni, kiedy pójdzie na potańcówkę z Molly. – Niles uśmiechnął się od ucha do ucha, a wszyscy z wyjątkiem Chada nagrodzili go gromkim śmiechem. Wreszcie Ike uniósł rękę i nas uciszył.

– Będzie tego. Jesteśmy dostatecznie nabuzowani, żeby spuścić łomot tym z Hanahan. Sługusie, wykorzystaj swoją złość na Betty i Chada i rozegraj swój najlepszy mecz w tym sezonie. Linia ofensywna utoruje ci taką drogę, że można by nią przeciągnąć zdechłego muła. Ale musimy znaleźć jakiś sposób, żeby utrzymać nasz gniew i wrogość skierować na przeciwnika. Dla mnie drużyna to rzecz święta. Jeśli ktoś jeszcze spróbuje sączyć jad w szatni, spiorę go na kwaśne jabłko. Słyszałeś, Sługusie? Słyszałeś, Chad? No, to teraz wynieśmy stąd całą naszą złość i wyładujmy ją na tych z Hanahan, dajmy im popalić.

Trener Jefferson i jego asystent weszli niepostrzeżenie i słysząc owacje, wyczuli, że w zespole zapanował niezłomny duch zwycięstwa. To, co zrobił z nami Ike, było marzeniem każdego dobrego trenera.

Mecz z Hanahan dał naszej drużynie niesamowitego kopa i miał nas doprowadzić do półfinałów stanowych w Columbi. Ustawiając się do gry, w nadmorskim powietrzu czułem pierwsze chłodne barwy

nadciągającej jesieni. Po wykopie popędziliśmy z Ikiem na wyścigi w głąb boiska, unikając bloków dwóch obrońców. Obaj równocześnie wyrznęliśmy przeciwnika, który był w posiadaniu piłki, wypychając go za ich linię dwudziestu pięciu jardów i w środek jego zespołu. Podnieśliśmy się z krzykiem, po czym otoczyli nas koledzy z drużyny, nie posiadając się z radości. Koszmar czy też choroba, które nawiedziły naszą szatnię, po tej próbie zostały skazane na banicję i nie powróciły do końca sezonu. Naszym znakiem firmowym pozostała zażarta nieustępliwość.

Sługus Ledbetter biegał z piłką ponad trzydzieści razy, często środkiem pola, gdzie blokowałem przeciwników jak nigdy w tym roku. Formacja ofensywna ruszała się niczym stado lwów, kiedy rzucaliśmy ją do ataku, pewnie i agresywnie. Obaliłem czterech ich skrzydłowych, tak że wylądowali na plecach, i patrzyłem na Sługusa, który z pochyloną głową, tłukąc nogami jak cepami, szarżuje na tylnych obrońców. Niles udał, że chce utorować mu drogę, co otworzyło uliczkę dla Chada i Ike'a. Każdy z nich zdobył przyłożenie po długim podaniu od Nilesa, który ciskał piłkę tak, jakby podrzucał bochenki chleba.

Tego wieczoru Sługus ustanowił nowy rekord szkoły, zaliczając pięć przyłożeń z biegu i zdobywając ponad dwieście jardów pola. Niles na dwanaście podań dziesięć razy idealnie trafił w ręce odbierającego. Nasza obrona grała tak, jakby strefy końcowej za naszymi plecami bronił płonący las. Hanahan zdobyło jedyne punkty dopiero w ostatnich minutach, kiedy nasza druga linia przepuściła niegroźnego gola z kopa na bramkę. Gdy zabrzmiał końcowy gwizdek, zwycięstwo nad piątą drużyną w rankingu stanu było zgoła nieprawdopodobne – wygraliśmy pięćdziesiąt sześć do trzech. Nasi kibice tłumnie wylegli na boisko, tym razem obyło się jednak bez ściągania słupków bramek. Stał się cud – długo niedopieczani kibice przywykli do naszych zwycięstw.

Dryfowanie z rozkrzyczanym tłumem było dla mnie niczym

wejście do krainy czarów. Od tak dawna marzyłem o normalnym życiu, że wydawało się ono nieosiągalnym ideałem. Ale oto nareszcie się ziściło – schodząc z boiska po meczu, ścisnąłem ręce przeciwnikom z Hanahan, przyjmowałem gratulacje kibiców i kolegów z drużyny, dawałem się obściskować nieznanym dziewczętom i cheerleaderkom, których stroje były równie przepocone jak mój... tak, to właśnie była moja nowa normalność. Nie będę już leżał w szpitalu psychiatrycznym, przykuty kajdankami do łóżka i sparaliżowany prochami. Podobała mi się rola członka drużyny grającej z pomysłem i będącej zbawieniem dla chłopaka, który tak bardzo tego potrzebował. Wlokłem się do szatni, łudząc się, że w ten sposób rozkoszuję się tą chwilą, aż wreszcie zdałem sobie sprawę, że tylko odwlekam to, co nieuniknione. Powodem, dla którego ociągałem się z dołączeniem do świętującej drużyny, był strach, że po meczu mam zabrać Molly Huger na potańcówkę.

*

Wchodząc do pogrążonej w mroku sali gimnastycznej, poczułem się, jakby trafił mnie dobrze wycelowany meteoryt – przypomniałem sobie, że jeszcze nigdy nie byłem na szkolnej zabawie, więc nie mam pojęcia, jak się zachować. Nie miałem nawet pewności, jaką przybrać minę – uśmiechać się z pewnością siebie, udawać luz i nonszalanję, a może czujnego chojraka. Stwierdziłem, że jestem całkowicie bezbronny, gdy poczułem, jak moja twarz zastyga w mokrej od potu dezorientacji.

Zobaczyłem, że z drugiej strony sali nadchodzi Molly. Przebrała się i zamiast kostiumu cheerleaderki miała teraz na sobie prostą spódniczkę, bluzkę i białe skarpetki, obowiązkowe – na polecenie trenera koszykówki – nawet dla tych, którzy tańczyli lekko jak piórko. Podbiegła i ku mojemu zaskoczeniu przytuliła mnie i pocałowała wesoło w policzek.

- Wspaniały mecz, Leo. Wasza drużyna ma szansę daleko zajść.
- Jak dla mnie już zaszła daleko.

Piosenka się skończyła. Tego wieczoru, i zawsze do końca roku szkolnego, dyskdzokejem był niewzruszony Trevor Poe.

Usłyszałem, jest mówi:

– Właśnie wszedł członek naszej drużyny gwiazd, Leo King. Chciałbym go prosić, żeby ze swoją śliczną partnerką, Molly Huger, poprowadził następny taniec. Zapraszam także drugiego kapitana zespołu, Ike'a Jeffersona, żeby z piękną partnerką Betty Roberts dołączył do nich w pierwszym wolnym tańcu tego wieczoru. Wolny taniec! Czy na samą myśl o tym nie przebieracie nogami? A teraz zasłużone brawa dla naszych dwóch kapitanów. O właśnie. W zeszłym roku liceum Peninsula znalazło się na ostatnim miejscu w lidze, a teraz, Bóg i kibice świadkami, jesteśmy niepokonani. Taniec ten nazwę *Tańcem Dwóch Kapitanów*. Parkiet należy do nich, dopóki nie dam znaku tamburynem. A teraz czas, żeby didżej pokazał, co potrafi.

Opuścił ramię gramofonu i salę gimnastyczną wypełniły dźwięki *Wonderland by Night* Berta Kaempferta, tak zmysłowe i romantyczne, jakby każda nuta była obtoczona w miodzie. Chwila, gdy wziąłem Molly w ramiona, była jedną z tych, które ukształtowały moje dalsze życie. Przytuliła swój policzek do mojego, a ręką przycisnęła mnie do siebie. Poczułem jej miętowy, świeży oddech, gdy wyszeptała:

– Uwielbiam tę piosenkę.

Najchętniej zmusiłbym ją, żeby szeptała mi do ucha przez całą wieczność. Milczący tłum obserwował nasz taniec z zapartym tchem. Podchwyciłem wzrok Ike'a, który puścił do mnie oko. Po raz pierwszy w życiu czując się w dziesięciu procentach sexy, puściłem do niego oko z niewzruszoną pewnością siebie światowej sławy uwodziela ruszającego na podryw albo paryskiego lwa salonowego z lewego brzegu Sekwany, a nie niedojdy na pierwszej randce. Molly pachniała jak jaśmin, którego pnącza oplatały pergolę w letnim ogrodzie mojej matki. Wdychałem słońce i balsam z jej włosów, czułem napór miękkich, uległych piersi, lecz były nietykalne.

Trevor uderzył w bębenek i dołączyła do nas reszta uczniów. *Wonderland by Night* na zawsze została moją ulubioną piosenką – z powodu błyszczących oczu Molly Huger, jej kształtnych ust, ślicznej buzi, wspaniałej figury... I dlatego, że przez te dziewięćdziesiąt sekund, bo tyle trwała piosenka, czułem, jak moja dusza opuszcza warowną krainę bólu i rezygnacji. Z miłości do Molly kręciło mi się w głowie, gdy naraz dostrzegłem, że stojący w progu Niles i Fraser przywołują nas gestem. Wziąłem Molly za rękę i poprowadziłem ją między rozszalałymi tancerzami, podrygującymi w takt *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band* Beatlesów.

Nie powinienem być zaskoczony, że Fraser i Molly objęły się i zaczęły cichutko chlipać. Przeprósily nas i pobiegły do damskiej toalety po drugiej stronie sali gimnastycznej, a ja i Niles zostaliśmy sami.

– Właśnie wracamy ze szpitala od Starli – poinformował mnie Niles. – Wciąż jest otumaniona, ale zdaliśmy jej relację z meczu. Ubawiła się, słysząc, że Chad umówił się z Bettiną i że Molly odgrywa się, idąc na tańce z tobą.

– Co ją tak rozbawiło?

– Starla zawsze lubiła intrygi – wyjaśnił. – Uwielbia, jak coś się dzieje, jak atmosfera podgrzewa się aż do punktu wrzenia.

– Dlaczego Chad i Bettina nie przyszli na zabawę? – chciałem wiedzieć.

– Fraser nie ma wątpliwości, że Chad zabrał Bettiną do domu na plaży na Wyspie Sullivana, bo chce ją przelecieć.

– Ike sprawnie zażegnał dzisiaj kryzys – zauważyłem.

– To urodzony przywódca – odparł Niles.

– Dlaczego Fraser i Molly rozplakały się na swój widok?

– Od dawna są najlepszymi przyjaciółkami. Fraser rozplakała się, widząc, że tańczysz z Molly. Odkąd sięga pamięcią, Molly chodziła tylko z Chadem.

– Sądzę, że Molly bardzo mnie lubi. Naprawdę tak uważam.

Niles przyglądał mi się przez chwilę, a ja odwzajemniałem mu się tym samym. Próbował znaleźć w pamięci stosowne słowa, słowa prawdziwe, lecz takie, które nie dotknęłyby mojej i tak już poranionej duszy.

– Ropuchu, my nie gramy w tej samej lidze co one – uświadomił mnie. – Dla nich jesteśmy tylko zabawkami, a nie chłopakami, których wezmą pod uwagę, kiedy poważnie zaczną myśleć o przyszłości. Chad wniósł Fraser, że jest najbrzydszą dziewczyną pod słońcem. Jestem jej teraz potrzebny, bo uważam ją za najmilszą i najładniejszą lalę, jaką poznałem. Zawsze musiałem wybierać dziewczyny, które sądziły, że są brzydsze od gówna, bo tylko takie były wdzięczne, że zwracam na nie uwagę, na co Starla dostawała pierdolca i kazała nam uciekać z kolejnego sierocińca.

– Dlaczego nie odstępujesz jej na krok? – zapytałem.

– Beze mnie by nie przeżyła.

– Więc dlaczego nie wybijesz jej tego z głowy?

– Sprawdzaleś, czy moja siostra potrafi słuchać?

– Nie, chyba nie.

– Bo nie potrafi.

– Jak możesz się z tym godzić?

– Ona jest dla mnie wszystkim. Oprócz niej nie mam nic i pewnie nigdy nie będę miał.

– E tam – rzuciłem. – Jesteś gwiazdą futbolu, rozgrywającym. Najlepsi rozgrywający mają wszystko, czego zapragną.

– Ten rok dobrze się zapowiada. Boję się tego jak cholera.

– To ciesz się, zamiast się bać.

– Nie potrafię. To jeden z pewników w życiu moim i mojej siostry: nam nie wolno się dobrze bawić. – Nagle się rozpromienił. – Zobacz, Ropuchu, szukają nas dwie śliczne dziewczyny. Czy można chcieć czegoś więcej?

– To jedna z rzeczy na szczycie mojej listy.

Molly wzięła mnie za rękę i zaprowadziła na parkiet, gdzie aż do końca tego magicznego wieczoru tańczyliśmy bez przerwy wszystkie

wolne kawałki przerywane szybkimi. Taniec z Molly Huger stał się wzorcem, do którego odnosiłem wszelkie ingerencje magii w moje życie. Molly tańczyła z temperamentem i wrodzonym wdziękiem, spowitym w seksowne podteksty. Tego wieczoru, słuchając zwyciężych, dowcipnych, a czasami sprośnych zapowiedzi Trevora przed kolejnymi utworami, odkryłem, że uwielbiam tańczyć i że z każdą chwilą idzie mi coraz lepiej. Istotą tańca jest luz – niezbędny element, pozwalający krwi utożsamić się z rytmem muzyki oraz dziewczyny, której rękę trzymasz. Dwa krwiobiegi, dwa zespolone ze sobą ciała, dopóki luz nie przejmie kontroli, a wtedy wirujecie w dotychczas nieznaną strefę komfortu.

Nagle w drzwiach sali zrobiło się zamieszanie. Sheba Poe zrobiła filmowe wejście, które z czasem stało się jej znakiem firmowym, a jej brat to godne uwagi wydarzenie zapowiedział. W berecie i okularach przeciwsłonecznych wybijał rytm na bębenku baskijskim, podczas gdy Sheba tanecznym krokiem wpłynęła na środek parkietu. Oczywiście, nie umówiła się z byle przewodniczącym National Honor Society czy kapitanem drużyny koszykówki. Nie, Sheba Poe na swą inauguracyjną randkę w sezonie przyprowadziła dowódcę pułku Cytadeli.

– Panie i panowie, na głównym dziedzińcu pojawiła się nieodkryta gwiazdka sceny i srebrnego ekranu... to ta zmysłowa syrena zakazanej nocy, niezapomniana jędza, znana wam wszystkim jako smakowita Sheba Poe. Jej partnerem jest groźny dowódca pułku Cytadeli, pułkownik Franklin Lymington z Ninety Six w Karolinie Południowej. Znacie Ninety Six? Ta dziura leży tuż obok Ninety Seven i dwa kroki od One Hundred.

Słowa te nagrodziły dobroduszne gwizdy słuchaczy, zdumionych faktem, że chociaż Trevor dopiero od niedawna mieszka w Karolinie Południowej, to już potrafi dowcipnie obsmiać jedną z najdziwniej nazwanych miejscowości w stanie. Potem nastawił płytę z *Rock Around the Lock* Billa Haleya i The Comets, wciągnął siostrę na podium i razem odstawili najseksowniejszy i najbardziej orgiastyczny

taniec, jaki widziałem. Na ten widok czarni na parkiecie zupełnie oszaleli – wirujące rodzeństwo uwolniło ich od zahamowań, z jakimi wstąpili do szkoły jeszcze niedawno dostępnej wyłącznie dla białych. Biedny dowódca pułku z Ninety Six stał i patrzył, jak jego partnerka wije się niczym pantera w czymś, co wyglądało na skrzyżowanie tańca Zulusów z atakiem padaczki.

Nastawiając kolejną płytę, Trevor zauważył:

– Niektórzy na tej sali nie tańczą. Nieśmiałość jest zabroniona. Odwagi! Przy tej piosence zatańczą wszyscy. Szykujcie się. Sheba i ja pokażemy wam, jak to się robi. Bierźcie przykład z nas.

Z głośników gruchnęła *The Stroll*. Trevor, lekko jak piórko, zeskoczył z podium. Przypomniałem sobie, jak mój brat Steve próbował nauczyć mnie tego tańca, kiedy byliśmy mali, jak popisowywał się i pysznił przed rodzicami, którzy nagradzali brawami każdy jego przesadny ruch. Molly wzięła mnie za rękę i rozpoczęliśmy własną wersję „przechadzki” na środku sali gimnastycznej. Miotaliśmy się, spontanicznie wpadając w drgawki i konwulsje – nasze ciała nie znały dotychczas takich ruchów. Rozległy się brawa w uznaniu dla naszego zaimprovizowanego duetu. Patrzyłem, jak przed nami Sheba i Trevor rozdzielili się i ruszyli wzdłuż szeregu widzów, wyciągając najbardziej nieśmiałych, nierzucających się w oczy uczniów i zmuszając ich, żeby przyłączyli się do tańczących.

Bycie nieudanym nastolatkiem to nie przestępstwo, lecz trudna sytuacja i tajemna ciężka próba. To jak gabinet krzywych luster, gdzie zniekształcony obraz i mistyfikacja prowadzą do gorzkich przemyśleń, które czasami rozwijają się, dostarczając wiedzy na temat tego, kim się jest. Jedynym sprzymierzeńcem upokorzonego nastolatka jest czas. Tylko z czasem spostrzeża on podczas imprezy z okazji dwudziestej rocznicy ukończenia szkoły, że złoty chłopak ze starszej klasy to łysy pijaczyna z wielkim brzuchem, a dawna królowa zjazdu absolwentów wyszła za damskiego boksera, kobieciarza i przed trzydziestką umarła w ośrodku odwykowym dla narkomanów. Że szkolny książę trądziku obecnie jest ordynatorem na neurologii,

a najbrzydsza dziewczyna po dwudziestce rozkwitła, wyszła za głównego finansistę ogólnokrajowego banku i na spotkanie przysłała jako prezes Junior League. Niestety, nastolatek nie ma kryształowej kuli przepowiadającej przyszłość, dlatego bolesny rytuał przejścia odbywa się w rytmie wymuszonego marsza. Czując pierwsze krople krwi menstruacyjnej, skąd dziewczyna ma wiedzieć, że jest to święty strumień życia, przebudzenie jej kwitnącej płodności, że to najpotężniejsza na świecie obrona przed rozkładem i śmiercią? A co ma myśleć chłopak, ze zdumieniem przyglądający się nasieniu na dłoni? Chyba tylko tyle, że jego ciało zmieniło się w nieodkryty wulkan, wytwarzający lawę w palenisku jego lędźwi. Dla nastolatków niewybaczalną zbrodnią jest niezdolność rozgrzeszenia się ze swojej śmieszności w najbardziej niebezpiecznym okresie życia.

Gdy taniec dobiegł końca, Molly stanęła na palcach i szepnęła mi do ucha:

– Umieram z głodu. Chodźmy do Piggy Park na kanapkę z wieprzowiną.

– Brzmi nieźle – mruknąłem.

– Nie sądzisz, że w Piggy Park dają najlepszą wieprzowinę z rusztu w mieście?

– Nigdzie nie jadłem lepszej – skłamałem. Nigdy dotąd nie byłem na randce, nie zapuściłem się więc w okolice tego legendarnego parku narodowego rozkoszy charlestońskich nastolatków. Konkurujące ze sobą szkoły średnie próbowały zawłaszczyć to miejsce, dlatego z powodu burzy hormonów bywało tam niebezpiecznie. Niekoronowanym królem Piggy Park był Sługus Ledbetter i banda podlizujących mu się cmokierów, napakowanych mięśniami i z ilorazem inteligencji poniżej wymaganego minimum. Ale zabrałbym Molly Huger nawet pod mur berliński, gdyby poprosiła mnie o to tym swoim słodkim głosikiem.

Niles i Fraser podeszli do nas jednocześnie z Trevorem, który nadbiegł w podskokach, wymachując bębenkiem baskijskim tak,

jak hazardzista potrząsa kubkiem z kośćmi. Zanim zdążyliśmy go uciszyć, dołączyli do nas Ike i Berty.

– Wybieracie się do Piggy Park, Ropuchu? – spytał Ike.

– Molly właśnie dała rozkaz do wymarszu.

– Nigdy nie widziałam tam czarnych – mruknęła Molly, wyraźnie zmartwiona.

Ike się roześmiał.

– Wolałbym pójść na zebranie Ku-Klux-Klanu. Ale Sługus zaprosił mnie i resztę czarnych chłopaków z drużyny. Powiedział, że nic nam nie grozi.

– Trevorze, zabierz się z Ikiem i Berty – podsunęła Fraser. – Czy Sheba ze swoim dowódcą pułku już się zmyła? Swoją drogą, to nieźle ciacho.

– Jutro go rzuci – zapewnił ją Trevor. – Już uważa go za kmiota, który tańczy jak kosmita.

– Pojedźcie za mną – zwróciłem się do Ike'a. – Zaparkujemy obok siebie i będziemy się mieli na oku.

– Dobry plan – pochwalił. Czuję jednak, że jest nieswój, że ma dość znoszenia segregacji rasowej w barach u Woolwortha, które bez ustanku pojawiały się na jego drodze. – Ale jeśli coś się stanie Betty...

– Martw się o siebie, Ike'u Jeffersonie – zachnęła się Berty. – Daj mi tylko butelkę coca-coli, a załatwię trzech najsilniejszych białasów w Piggy Park.

– Jesteś mocna w gębie, mała. – Ike wreszcie się uśmiechnął.

– Jestem naprawdę mocna, mały.

– Napięcie seksualne jest takie prowokacyjne – skomentował Trevor, potrząsając bębenkiem. Ze śmiechem ruszyliśmy na parking.

Przed Piggy Park przy Rutledge Avenue, rzut beretem od Hampton Park, zjechałem w najdalszy kąt parkingu, zostawiając obok miejsce dla wozu Ike'a. Molly dowiodła, że jest stałą klientką, bez namysłu zamawiając coca-colę i zestaw kanapek z wieprzowiną z rusztu. W nagłym przeblysku inteligencji przyszło mi do głowy, że

Niles mieszka w sierocińcu i nie ma centa przy duszy.

– Cztery razy to samo – rzuciłem i powiedziałem do Nilesa i Fraser: – Ja stawiam.

– Porządny z ciebie facet, Ropuchu. – W głosie Nilesa usłyszałem wyraźną ulgę.

Sługus Ledbetter wyszedł nam na spotkanie w towarzystwie swej prostackiej świty. Widząc, że się zbliża, zeszytniałem. W jego oczach zawsze czaiła się żądza linczu. Tego wieczoru jednak wkroczył w nasz świat jako kolega z drużyny. Gdy wysiedliśmy z Nilesem z samochodu, uściskał nas serdecznie i oświadczył, że wygrana z Hanahan to najlepszy dzień w jego życiu. Potem zerknął na Ike'a i rzucił:

– Jefferson, wyłaż, kurwa, z samochodu!

Ike wysiadł, na co Sługus podbiegł do niego i uściskał go na oczach całego Charlestonu. Tym jednym gestem na zawsze zmienił tajemnicę, jaką jest Południe.

– A niech cię, Ike, dzisiaj byłeś świetny – pochwalił go Sługus.

– Tak samo jak Niles i Ropuch. Kurde, wszyscy byli pierwsza klasa.

– Ale to tobie mój ojciec dał piłkę po meczu – zauważył Ike. – Po raz pierwszy w tym roku.

– To największy zaszczyt, jaki kiedykolwiek mnie spotkał – wyznał Sługus. Nigdy nie słyszałem u tego mięsożernego buraka takiego wzruszenia i wrażliwości. – Przekaż tacie, co powiedziałem, słyszysz?

– Przekażę – obiecał Ike.

Sługus wrócił do swej Sługusolandii, nam zaś podano tace. Kelnerka fachowo przymocowała je do okien i wewnątrz samochodu, niczym hymn na cześć głodu, wypełnił zapach wieprzowiny wędzonej w dymie z hikory. Spalaszowałem swoją kanapkę w rekordowym czasie, tak samo jak Niles na tylnym siedzeniu. Jeszcze niedawno przez czterdzieści osiem minut zmagaliśmy się na boisku, a potem przetańczyliśmy wieczór, więc ten pierwotny, koszmarny głód obu nas zaskoczył.

– Zeżarłbym całego świniaka razem z oczami i dupskiem – rzekł Niles.

– W życiu nie słyszałam, żeby ktoś powiedział coś równie okrutnego. – Fraser była w szoku. – Nie sądzisz, Molly?

– Coś w tym jest – przyznała Molly, chichocząc.

Jednak chichot urwał się nagle, a na jej twarzy pojawiły się strach i złość. Odwróciłem się, podążając za jej spojrzeniem, i ujrzałem, że pod Piggy Park skręca stary model chryslera LeBaron Chada Rutledge'a i wolno objeżdża restaurację, dwukrotnie, żeby wszyscy na pewno zauważyli jego obecność. Przejechał na wprost nas, trąbiąc klaksonem, by przykuć uwagę Molly. Ona jednak wbijała wzrok w kanapkę. Obok Chada siedziała triumfalnie Bettina Trask. Uśmiechała się jak tandetna Kleopatra z przeceny.

– Kawał drania! – doleciały mnie z tylnego siedzenia słowa Fraser.

Niles jęknął.

– Chryste, on kpi sobie ze Sługusa w żywe oczy.

Chad postanowił zaparkować jak najbliżej ławek, gdzie Sługus i jego zgraja zbirów przesiadywali z kopczącymi papierosy panienkami i kumplami złościami piwo. Mimo że czułem się jak podglądacz nadciągającej katastrofy, nie mogłem oderwać oczu od miejsca rychłej potyczki. Nie słyszałem, jak Ike wysiada z samochodu i podchodzi do okna z mojej strony.

– Nie wtrącajmy się, koledzy – powiedział. – To jak drażnienie kobry królewskiej. Chad sam się o to prosił.

– Po co on to robi? – zapytałem.

– Bo zna swoją pozycję w tym mieście – wyjaśniła mi Molly. – Jest nietykalny i chce to pokazać Sługusowi. Tobie też, Leo, i Ike'owi. A także tobie, Nilesie.

– Molly, Fraser, jedno mnie ciekawi – powiedział Niles. – Co tak naprawdę Chad o nas sądzi?

– Prawdę mówiąc, bardzo was lubi – odparła Molly. – Jest wam wdzięczny, że przyjęliście go do drużyny.

– A w głębi duszy? – indagował Niles. – Jakie ma o nas zdanie w głębi duszy?

Fraser zamknęła oczy, a potem powiedziała spokojnie:

– Uważa się za kogoś lepszego od was wszystkich. Znacznie lepszego.

– Miło wiedzieć, że ktoś cię docenia – mruknął Ike. Nie odrywał wzroku od tego, co działo się przed wejściem do restauracji.

Gdy przyszło co do czego, nastąpiło to błyskawicznie. Zaskoczenie zadziało z porażającą siłą. Sługus zerwał się od stołu, podbiegł do samochodu, otworzył przednie drzwi i wywłókł Chada za włosy. Wrzask Rutledge'a juniora utonął w szyderczym śmiechu i brawach koleżków Sługusa, których ten uprzedził o nieuchronności ataku. Sługus dwa razy trzepnął Chada na odlew po twarzy, po czym wyzwał go do uczciwej walki i uniósł pięści, fachowo przybierając postawę boksera.

Gdyby Chad, jak przystało na mężczyznę, podjął walkę, myślę, że ten wieczór mógłby zakończyć się bardziej honorowo. On jednak nie zacisnął pięści, tylko zagrzmiął głosem, który słyhać było pewnie na całym półwyspie:

– Sługusie, ojciec uczył mnie, że bym nie zniżał się do bicia białej hołoty.

– Co ty powiesz? – rzucił Sługus. – No, no. Ja jednak uważam, że od stóp do głów jesteś przeżarty tchórzem. Mięczak z rezydencji na południe od Broad, który nie ma odwagi się bronić.

Zrobił krok do przodu i otwartą dłonią zaczął tłuc Chada po twarzy – plask, plask, plask – aż ten w końcu wrzasnął:

– Spralbyśmy cię na kwaśne jabłko, Sługusie, gdyby nie to, że rodzice wbijali mi do głowy, że bym trzymał fason i nie dał się zniżyć do poziomu zwykłego buraka.

– Broń się, mazgaju – warknął Sługus i zwrócił się do swoich koleśków: – Gdzie tu radocha? Co to za walka? Jak mam się bić z pętakiem, który nie ma godności?

Nagle zaskoczył wszystkich: zdarł z Chada drogą, szytą na miarę

koszulę. Z gołym torsem Chad wydawał się nagi jak ślimak w ogrodzie. W rzadkim przypływie kreatywności Sługus wysmarkał się w tę szykowną koszulę, po czym rzucił ją i kopniakami zasypał ziemią i gruzem. Następnie bez wahania obszedł samochód Chada, otworzył drzwi i podał rękę Bettinie Trask. Ku mojemu zdziwieniu Bettina wzięła go pod ramię i triumfalnie, stawiając wystudiowane kroki, pozwoliła się zaprowadzić do sali obok rożna.

Chad, upokorzony jak nigdy dotąd, bezsilnie obserwował rozwój wypadków, trzęsąc się z wściekłości. Pogroził pięścią niebu i wrzasnął w stronę otwartych drzwi:

– Hej, Sługusie, ty bucu jebany! Jadę do domu i przez rok będę ćwiczył hantlami. A potem wrócę i spuszcze ci wpierdol. Od dziś za rok. Masz to jak w banku. Ja zawsze dotrzymuję słowa. Jestem potomkiem jednego z sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości, więc wiesz, że jestem człowiekiem honoru. Poczekaj rok, a wrócę i nakopię ci tak, że będziesz zbierał zęby po całym Piggy Park.

Sługus po raz ostatni wyszedł na dwór, ze smutkiem kręcąc głową. Wyrznął Chada w twarz tak, że ten padł na kolana.

– Stul pysk – rzucił. – Jem kanapkę z moją dziewczyną.

Śmiech był nie do zniesienia. Siedząc w samochodzie, patrzyliśmy, jak Chad cofa wóz, ale zamiast wyjechać na Rutledge Avenue, rusza w naszą stronę. Zatrzymał się przed nami, pogroził mi pięścią i jak maniak, zupełnie jakby postradał rozum, zaczął nieprzerwanie trąbić klaksonem. Słyszając szelest po prawej, odwróciłem się i stwierdziłem, że Molly wysiada z mojego wozu, zamyka drzwi i spokojnie podchodzi do samochodu Chada. Otworzył jej drzwi, ruchem ręki zaprosił do środka, a ona usiadła tam, gdzie powinna siedzieć od urodzenia.

*

Przez większą część nocy walczyłem z nerwami i ze zmęczeniem, ale przespałem twardo bitą godzinę aż do czwartej trzydzieści, kiedy

to terkot budzika kazał mi zanurzyć się w rozgwieżdżony świat gazeciarzy. Wolno pojechałem rowerem nad jezioro Colonial. Zmęczone mięśnie paliły żywym ogniem, każda komórka mojego ciała miała ochotę rozpaść się z powodu upokorzenia, jakiego doznałem, gdy Molly porzuciła mnie na oczach wszystkich. Pedalując powoli, doszedłem do wniosku, że właśnie zaliczyłem najbardziej nieudaną pierwszą randkę w historii obu płci. Wessany w wir obsesji, z którego nie mogłem się wyrwać, rozpamiętywałem każdy istotny szczegół mojego zachowania od chwili, gdy Molly pocałowała mnie w policzek, aż do momentu, gdy celowo i zdecydowanie przeniosła się z przedniego siedzenia mojego samochodu na bardziej znajomy fotel w wozie Chada. Najdotkliwiej ubódł mnie nienaturalny spokój, z jakim to zrobiła. Jej milczenie, fakt, że nie przesłała mi całusa ani nie próbowała się wytłumaczyć czy pożegnać, po prostu mnie zatkały. Wolałbym, żeby zakończyła nasz wspólny wieczór z większą finezją, pozwoliła się odwieźć do domu i zniosła jakoś moją nieporadność na progu jej domu, a dopiero potem zadzwoniła do Chada, żeby czule się pogodzić. Fakt, że porzuciła mnie publicznie, na oczach całej drużyny, która była świadkiem mojego wstydu, sam w sobie był koszmarny, ale zrobienie tego w obecności Nilesa i siostry Chada siedzących na tylnym siedzeniu świadczyło o złośliwości albo nieliczeniu się ze mną, na co, moim zdaniem, nie zasłużyłem.

Niles i Fraser tkwili z tyłu samochodu sparaliżowani, milcząc, jakby odebrało im mowę.

– No i widzicie, zdawało mi się, że jedziemy na podwójną randkę – odezwałem się wreszcie. – A wychodzi na to, że jestem waszym szoferem.

Ktoś zastukał w szybę i Trevor wskoczył na miejsce dopiero co zwolnione przez Molly.

– Wszystko widziałem. Dramat elżbietański w czystej postaci, z lekką przyprawioną sosem barbecue. Mieszkamy w prowincjonalnym mieście bigotów, które nie trawi wyrobionych kulturalnie,

zniewieściałych młodzieńców, takich jak ja. Pozwólcie, że wyjaśnię, to potrwa tylko chwilkę. Odkąd przekroczyłem granice Charlestonu, opisywano mnie rozmaicie, jako pedała, ciotę, spermojada, sodomitę, zбочeńca, twierdzono, że obciążam kutasy i daję dupy, a także obrzucano mnie innymi niewybaczalnymi obelgami. Oczywiście w moim przypadku epitety te są całkowicie uzasadnione. Leo, potrafię sprawić, że twoje lubieżne myśli o Molly odlecą w siną dal.

– Jakim cudem dożyłeś swoich lat, Trevorze, i nikt cię nie zabił?
– zapytał z niewinnym podziwem Niles.

– Znam wszystkie sztuczki męskiej dziwki – odparł Trevor tak pogodnie, że wybuchnąłem śmiechem.

– Trevorze, nawet nie wiem, co geje robią, gdy są razem – rzuciłem.

– A ja nie chcę wiedzieć – zastrzegł Niles.

– Ja też nie. – Fraser zatkała uszy.

– W ruch idą haki do mięsa, brzytwy, miotacze ognia i wibratory wykonane z bawolich członków.

– Co to jest wibrator? – zainteresował się Niles.

– Biedny idiota z gór – jęknął Trevor.

– Ja też wolę nie wiedzieć – powiedziałem.

– Słuchaj, Leo. Po tym, co właśnie cię spotkało, udzielę ci gratis pierwszej lekcji. Rezygnację z honorarium za naukę potraktuj jako osobistą przysługę.

– Dzięki, Trevorze. Wsiadając do samochodu, wybawiłeś mnie z krępującej sytuacji. Nigdy ci tego nie zapomnę.

– Upiekłeś mi ciasteczka – przypomniał. – Już pierwszego dnia w Charlestonie zajadałem się ciasteczkami sezamowymi upieczonymi przez najbardziej samotnego chłopca na świecie. Molly nie miała prawa cię tak potraktować. Powinna się wstydić.

– Leo nie oczekiwał, że taka dziewczyna jak Molly będzie chodziła z kimś takim jak on – wyjaśniła Fraser.

– A niby dlaczego nie? – zaperzył się Niles.

– Och, skończ z tą obronną postawą – ofuknęła go. – Zbyt dużo

ich dzieli, a jako chłopak z Charlestonu Leo doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Charlestońska elita trzyma się w cieniu, ale to najbardziej licząca się siła w tym mieście.

– Mówisz poważnie? – zdziwił się Niles.

– Skarbie, sama pakujesz się w pułapkę – ostrzegł ją Trevor.

– Zawsze można wierzyć na słowo komuś spokrewnionemu z sygnatariuszem Deklaracji Niepodległości – zadrwił Niles z godną gada zimną krwią. – Dowiedziałem się tego dzisiaj od wielkiego człowieka. Faceta mocnego w gębie, ale o słabych pięściach.

– Chada wychowano na dżentelmena – wyjaśniła Fraser obronnym tonem.

– Daj spokój, moja droga, ani słowa. Sytuacja wymyka się spod kontroli – poradził jej Trevor.

– Ja pochodzę z rodziny, która nigdy nie słyszała o Deklaracji Niepodległości, a gdyby nawet, to i tak nie potrafiłaby jej przeczytać – ciągnął Niles. – Nie przeczytałiby książki, nawet gdyby przystawić im spluwy do fiutów. Ale przez cały dzień potrafią czytać w ludzkich myślach i nigdy się nie mylą.

– Nilesie, zaraz powiesz coś, czego będziesz żałował – ostrzegł go Trevor. – Zmieńmy temat na ceny mango w Argentynie albo średnią długość życia kąśliwych muszek.

– Chwaliłeś się, jak to twoja rodzina potrafi czytać w ludzkich myślach – przypomniała Fraser Nilesowi.

– Twój brat Chad nawet nie umywa się do takich ludzi jak Ropuch, Trevor czy Ike – oświadczył Niles. – A teraz czeka cię prawdziwy szok, Fraser. Mnie też. Mając nieograniczone możliwości, Chad jest gównem wart. Ropuchu, odwieziesz Fraser do domu? Ja się przesiądę do drugiego samochodu, do czarnuchów, gdzie moje miejsce.

Zrozpaczona Fraser próbowała złapać go za rękę, lecz wysiadł. Usłyszałem, jak pyta Ike'a:

– Podrzucicie mnie z Betty do sierocińca?

– Nie to miałam na myśli – mruknęła Fraser przez lzy, patrząc,

jak Niles siada z tyłu samochodu Ike'a. – Wszystko wyszło nie tak.

– Więc mu to wyjaśnij – zaproponował Trevor. – Skarbie, język to najpotężniejszy i najbardziej niszczycielski organ ludzkiego ciała.

Ale Ike odpalił już silnik i jechał w kierunku Rutledge Avenue. Ruszyłem za nim i odwiozłem Fraser do domu. Trevor, z niezrównanym wyczuciem dramatyzmu, odprowadził ją pod drzwi, po czym, elegancko stepując, wrócił do samochodu.

*

Postawiłem rower przy furgonetce „News and Courier”, wzięłem pierwszą paczkę gazet i przeciąłem obcęgiem stalową taśmę. Zacząłem szybko zwijać gazety i spinać je nowymi mocnymi gumkami. Gdy padł na mnie olbrzymi cień pana Haverforda, przywitałem się, nie patrząc na niego.

– Umawia się pan czasem z kobietami, proszę pana? – spytałem.

– Porzuciłem ten paskudny nawyk lata temu.

– Dlaczego?

– Ze względu na statystykę. Za młodu spotykałem się z wieloma kobietami. Były to albo idiotki, albo pożeraczki serc. Idiotki jakoś jeszcze znosiłem, ale taka pożeraczka serc potrafi zaleźć za skórę.

– Nie wyobrażam sobie, żeby któraś złamała panu serce.

– Kiedyś byłem żonaty. Mówiłem ci o tym?

– Nie, proszę pana – odparłem zaskoczony. – Kim była pańska żona?

– Panią Haverford, ty szelmo – rzucił z uśmiechem. – Mieliśmy nawet dziecko, syna. Dziś dobiegałby trzydziestki. Żona zakochała się w spawaczu z marynarki wojennej. Przenieśli się do San Diego. Od tamtej pory nie miałem kontaktu ani z nią, ani z synem.

– Syn nigdy się do pana nie odezwał?

– Nawet nie wiem, czy żyje – wyznał pan Haverford. – Nie reagował na wszelkie moje próby nawiązania z nim kontaktu. Co to za żalosny chłopak, który nie chce znać własnego taty?

– Dupek, proszę pana. Ktoś, kto nie byłby dumny, mając pana za ojca, jest gównem wart.

– Wczoraj wieczorem myślałem, że zabijesz tego biegacza z Hanahan – powiedział. – To była twoja najlepsza szarża w sezonie.

– Był pan na meczu?

– Mam abonament.

– Za tydzień gramy z liceum Wando – poinformowałem go.

– Złóicie im tyłki – skwitował. – Podoba mi się ten wasz kolorowy trener. W tym sezonie tylko dwa razy złapali was na spalonym. To zasługa dobrego trenera. A ten jego syn, Ike, to kawał zajadłego twardziela.

– A poza tym świetny facet – dodałem.

– Strzeż się ludzkości. W sumie to paskudna rasa.

– Eugene Haverford, filozof – zakpiłem.

– Eugene Haverford, realista. Gdybyś chciał kiedyś pogadać o tej dziewczynie, jestem do dyspozycji.

– O dziewczynie? Której?

– O tej pożeraczce serc – odparł cicho. – To się stało wczoraj wieczorem, prawda, mały? Nie ma pośpiechu, jestem tu co rano. Trochę napity, ale zawsze chętny do rozmowy. Mam kupę życia za sobą i niewiele mi już zostało. No, leć już, dostarcz Charlestonowi wieści ze świata.

ROZDZIAŁ 20

Pigmalion

W niedzielę, wciąż rozczulając się nad urażonym ego i obsesyjnie myśląc o tym, jak zostałem porzucony przez Molly, poszedłem sprawdzić, co słychać u Harringtona Canona. Podczas ostatniej wizyty zaniepokoiły mnie jego rumieńce, a poprzedni tydzień przeleżał w łóżku. Zauważyłem wtedy apatię czającą się w kącikach jego wyschniętych oczu. Powiedział tylko:

- Zapomniałem zastrzelić moją grypę, Leo.
- Sprowadzę lekarza – błagałem go, wystraszony.
- Wynoś się z mojego domu, intruzie! – warknął.

Tego dnia rano, zbliżając się do jego domu przy Tradd Street, miałem poczucie, że miasto i cywilizacja się rozpadają. Otworzyłem furtkę i natychmiast otoczyło mnie kilkanaście kotów z sąsiedztwa, które przez długie lata pan Canon traktował jako swoje hobby i darzył szczerą miłością. Otoczywszy mnie, piszczały i miauczały niecierpliwie. Pan Canon prowadził uporządkowany, systematyczny tryb życia, niemal jak metronom, jego zegary chodziły z przygnębiającą precyzją. Czułem jednak, że nastąpiło jakieś załamanie. Ale zanim wszedłem na górę, by sprawdzić, jak się miewa pan Canon, musiałem nakarmić stado rozdrażnionych kotów. Smród ekskrementów bijący od połowy krętych schodów niemal zwałił mnie z nóg, więc umocniłem się w determinacji i zapukałem do drzwi sypialni.

– Zostaw mnie, Leo – odezwał się słabym głosem. – Nie potrzeba mi twojej pomocy.

– Nie wierzę panu – odparłem. – Proszę mnie wpuścić, przynajmniej trochę posprzątam.

– To bardzo intymna sprawa – powiedział. – Jestem zbyt dumny, żeby pokazywać ci się w takim stanie.

– Duma to świetna rzecz. Nie mogę się doczekać, kiedy też ją sobie skombinuję. Ale zauważyłem, że trudno jest być dumnym, gdy gównem spływa człowiekowi po nodze.

– Nie dałem rady wstać – wyjaśnił. – Po prostu nie byłem w stanie. Chyba bezpowrotnie zniszczyłem moje łóżko z baldachimem.

Otworzyłem drzwi, a pan Canon się rozplakał. Sprawnie i szybko ściągnąłem go z łóżka i zaprowadziłem do łazienki, gdzie zdjąłem mu piżamę. Gdy był już nagi, odkręciłem wodę pod prysznicem i wszedłem z nim pod natrysk, mimo że byłem ubrany. Namydliłem go od stóp do głów i szorowałem tak długo, aż jego skóra stała się różowa jak pupa noworodka.

– Kazałem ci przestać. To nie twoja sprawa – jęknął.

– Wyłącznie moja. Nie wiem, czy pan zauważył, że poza mną nikogo tu nie ma.

Wytarłem go czystym ręcznikiem, posypałem talkiem, a potem pomogłem mu umyć zęby i się ogolić. Posadziłem go na sedesie, sprawdziłem, czy jest dobrze oparty o umywalkę i wannę na czterech nogach, po czym poszedłem do sypialni, by znaleźć w tym pobojo-wisku świeżą piżamę i obszyte futrem kaptcie. Wymagało to akrobataycznych zdolności, w końcu jednak pan Canon miał na sobie czyste ubranie. Dopiero wtedy poczułem, że jego potworny strach nieco zmalał.

– A teraz musi mi pan w czymś pomóc – powiedziałem.

– Nie jestem na rozkazy niedoszłych gwiazdorów – burknął. Odzyskał ducha walki.

– Doprowadzenie pańskiej sypialni do porządku potrwa ze dwie godziny. Na ten czas umieszczę pana w pokoju gościnnym.

– To chyba niezły pomysł – zgodził się. – Jestem wykończony. Przyniesiesz mi lekarstwa?

– Tak, a poza tym zrobię panu śniadanie – obiecałem. – A potem zadzwonię do doktora Shermety.

Atmosfera w sypialni przywodziła na myśl szpital polowy po wyniszczającej bitwie i miło było ściągnąć czystą pościel z mniejszego łóżka w pokoju gościnnym. Podałem panu Canonowi lekarstwa i dopilnowałem, żeby wypił kilka szklanek wody i nasączył odwodnione ciało.

Poszedłem do sypialni, zwinąłem w tobołek piżamę, pościel, koce i poduszki, zniosłem na dół i namoczyłem w dwóch wielkich zlewach, do których wsypałem mnóstwo proszku i środków dezynfekujących. Wróciłem do sypialni i przypuściłem na nią atak ścierkami, gąbkami, ręcznikami i środkami czyszczącymi o zapachu cytrynowym. Przez bitą godzinę usuwałem ze wszystkich kątów pokłady gówna, rzygowin i krwi.

Gdy uznałem, że muszę zrobić sobie przerwę, zszedłem do kuchni i nastawiłem dzbanek kawy. Usmażyłem bekon, ugotowałem jajka w koszulkach, wziąłem bułeczki i sok pomarańczowy i zaniósłem cały ten kram panu Canonowi. Zadzwoniłem do doktora Shermety, bo wystraszyła mnie obecność krwi. Żona lekarza powiedziała, że wezwano go pilnie do Akademii Medycznej, ale obiecała, że odzwoni, gdy tylko go złapie.

Czułem się przytłoczony. Zadzwoniłem do domu i ucieszyłem się, że odebrał ojciec.

– Ojczy, posłuchaj, musisz mi pomóc w domu pana Canona. Wpakowałem się po uszy. Jesteś mi potrzebny. Słyszysz? Wygląda na to, że on umiera.

– Zaraz będę, synu. Już jadę. Trzymajcie się z panem Canonem, wszystko będzie dobrze.

– Jego łóżko było całe we krwi – dodałem. – To nie wygląda dobrze, prawda?

– Wzywam karetkę – oznajmił ojciec.

– On może się wściec.

– Jest za słaby, żeby się wściekać.

Nakarmiłem pana Canona, wpychając w niego tyle jedzenia, ile zdołał przełknąć. Zanim przyjechała karetka, zasnął w pokoju gościnnym, a ja karmiłem kolejne kilkanaście kotów, podczas gdy sanitariusze z noszami wchodzili na piętro. Ojciec dotarł do drzwi wejściowych w chwili, gdy pana Canona wynoszono do karetki, obok której zebrał się tłumek gapiów.

Przez następne dwie godziny sprzątailiśmy dom od piwnicy aż po dach. Gdy zamykaliśmy, ojciec powiedział:

– Teraz ty musisz zająć się tymi kotami, dopóki pan Canon nie wydobrzeje. No, wracajmy do domu, trzeba przejąć część obowiązków twojej matki.

Moi rodzice zajęli się Starłą po operacji i przyjęli ją oraz Nilesa pod nasz dach na czas rekonwalescencji. Gdy wróciliśmy do domu, na ulicy parkowało tyle obcych samochodów, jakby to była główna arteria w mieście, a nie boczna uliczka – określenie „chora sierota” przemawiało do serc komitetu rodzicielskiego.

Przez cały dzień dom był pełen gości, którzy znosili do pokoju Starli naręcza ciętych kwiatów i tyle cukierków, że mogłaby otworzyć sklep ze słodyczami. Gdy zjawiłem się z ojcem, w oczach matki malowało się szaleństwo.

– Zajmijcie się tym – poleciła. – Dłużej tego nie zniosę.

– Wracaj do swojego pokoju – powiedział ojciec. – Włóż za tyczki do uszu i się zdrzemnij. Leo i ja damy sobie radę z tą hordą.

Popędziłem schodami do Starli, żeby sprawdzić, jak się czuje, i stwierdziłem, że Trevor i Sheba Poe zamienili jej pokój z izby chorych na prowizoryczny salon piękności. Na podłodze spoczywały wszystkie cheerleaderki z Peninsuli, z wyjątkiem Molly. Miały kłaczki bawełny wetknięte między palce stóp, bo Trevor zrobił im po

kolei pedikiur i pomalował paznokcie na kolor, który nazwał „jarmarczną czerwienią straży pożarnej”.

Paznokcie były już gotowe, bliźniaki zdążyły też przystrzyc, umyć, wysuszyć i ułożyć włosy wszystkim dziewczętom z zespołu, zarówno białym, jak i czarnym. Sheba właśnie nakładała dziewczynom makijaż, przemieniając je w olśniewające istoty, zupełnie niepodobne do koleżanek, z którymi codziennie chodziłem na zajęcia.

– Wynoś się stąd, Leo, ale już – rozkazała Sheba. – To jest Pałac Skończonej Piękności, gdzie ja i Trevor zamieniamy dziewczęta Renegatów w boginie.

– Chciałem sprawdzić, jak się czuje Starla – wybąkałem.

– Za mnie się wezmą na samym końcu – powiedziała Starla. – Ale wolałabym stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Nigdy w życiu nie byłam w salonie piękności.

– Nie uwierzysz, jaką ślicznotkę z ciebie zrobimy – obiecał Trevor.

– Bóg pomyśli, że zesłał na ziemię nowego anioła – dorzuciła Sheba. – A teraz zjeżdżaj stąd, Leo. Wypad.

– Weź mnie ze sobą, proszę – rzuciła Starla błagalnie.

Na podwórku za domem zastałem Ike'a i Nilesa. Ojciec znowu wcielił się w dyskdzokeja i przez okna domu zagrzmieli Rolling Stonesi, strasząc kraby skrzyпки.

– Chłopaki, muszę was o coś zapytać. – Usiadłem obok nich i spojrzałem na północ, w stronę Cytadeli. Przyływ zbliżał się szybko, nabrzmiały i sterowany przez księżyc.

– Wal – rzucił Ike.

– Gdzie, na miłość boską, Trevor nauczył się strzyc dziewczyny, układać im włosy, robić manikiur i pedikiur, a na koniec makijaż, jakby był ekspertem?

– Założę się, że nigdy nie rzucił piłką ani nie machnął kijem baseballowym – odparł Niles. – I założę się, że guzik go to obchodzi.

– W życiu nie widziałem takiego gościa jak on – przyznał Ike. – Na mój gust jest w trzech czwartych dziewczyną.

- A w pozostałej jednej czwartej? – zainteresował się Niles.
- Też dziewczyna.
- To świetny facet – rzekł Niles. – Stale mnie rozśmiesza. W szkole nic nie może się wydarzyć bez niego. On i jego siostra wywarli niesamowity wpływ na szkołę... ba, na nas wszystkich.
- Matka twierdzi, że ich iloraz inteligencji wykracza poza skalę.
- Odwróciłem się w kierunku domu. – Ojciec musi wyprawić część tych dzieciaków w drogę.
- Zauważyłem jedną rzecz – powiedział Ike. – Dzieciaki uwielbiają kręcić się po domu dyrektora szkoły. Zupełnie jakby podglądały jakąś tajemną, zakazaną stronę ich życia. Widziałem to, kiedy mój stary zapraszał do nas swoją drużynę na grilla. Chłopaki wyłaziły ze skóry, żeby się przekonać, czy poza boiskiem i biurem ma jeszcze normalne życie.
- Moja matka nigdy nie wpuściła ucznia do domu, dopóki na scenie nie pojawili się Sheba i Trevor. Ale oni nie dali jej wyboru. Sforsowali jej drzwi. Jednak do serca nie trafili.
- Dlaczego tak mówisz? – zdziwił się Niles.
- Matka ich nie lubi, nie mam pojęcia dlaczego. Zawsze kochała dzieci uzdolnione artystycznie i nawet ona przyznaje, że nigdy nie spotkała tak utalentowanych artystów jak oni. Myślę, że jej zdaniem ściągają kłopoty na siebie i na wszystkich, którzy się z nimi zadają.
- Nie mają taty? – spytał Ike.
- Nic o tym nie wiem – skłamałem.
- A ty masz tatę, Nilesie? – rzucił Ike lekko zakłopotany.
- Niepokalane poczęcie – odparł Niles. – Znasz takie przypadki?
- Owszem, jeden.
- A ja jestem ten drugi.
- Ike, Niles chyba nie ma ochoty rozmawiać o swojej rodzinie – wtrąciłem.
- Słuszna uwaga – pochwalił Niles. – Cóż za przenikliwość, Ropuchu.

– Ja tylko chciałem się dowiedzieć, jak to się stało, że ty i Starla znaleźliście się w takiej sytuacji – rzucił cierpko Ike.

– A pytałeś Betty, jak trafiła do sierocińca? – odparował Niles.

– Za każdym razem, kiedy o tym wspomniałem, płakała – wyznał Ike. – Dlatego nie poruszam już tego tematu.

– Zrozumiałeś aluzję? – spytał Niles. – Lepiej, żebyście nie znali mojej historii. Żaden z was.

– Dlaczego nie? – zdziwiłem się. – Jesteśmy przyjaciółmi.

– Jeżeli jesteście moimi przyjaciółmi, to posłuchajcie: nie mam ochoty wam tego opisywać. To paskudna historia, na każdym kroku nic tylko pech i źli ludzie. Za bardzo was lubię, żeby opowiadać wam o swoim życiu.

– To jak mamy cię poznać, skoro nie wiemy, skąd jesteś i kim są twoi starzy? – zapytałem.

Niles złapał mnie mocno za kark i przysunął moją twarz do swojej.

– Nie rozumiesz, Ropuchu? My nie wiemy, kim są nasi starzy. Jak ci się zdaje, dlaczego siedzimy w tym bagnie? Dlatego, że nic nie wiemy, za cholere. Miałem pięć lat, kiedy trafiłem do pieprzonego sierocińca. A Starla cztery. Kiedyś wam opowiem, jak te pierwsze lata wyglądały. Powiem wam, co się stało z moją mamą i z moim tatą. Ale zacznę od tego: mama urodziła mnie, mając trzynaście lat. Macie pojęcie, jak to jest mieć mamę starszą od was o trzynaście lat? Ja i siostra szukaliśmy jej przez całe życie. To dlatego Starla ciągle ucieka. Myśli, że mama wciąż żyje, tylko nie wie, jak nas znaleźć.

– Mogłaby przejrzeć akta i dokumenty – podsunął Ike.

– Niemoto – rzucił Niles, kręcąc głową – ty nic nie rozumiesz. Mama nie potrafi czytać ani pisać. Nie mogła wypełnić żadnego dokumentu.

– To straszne, Niles – powiedziałem. – Wybacz, że weszliśmy na tak osobisty temat.

– Kiedyś wam wszystko opowiem – obiecał. – Ale chciałbym, żeby była przy tym Starla.

– Dlaczego? – zaciekał się Ike.

– Dlatego, że to ostatni rok – wyjaśnił Niles. – W przyszłym roku nie będę w sierocińcu, bo będę za stary, więc nie będzie skąd uciekać. Uciekaliśmy ze wszystkich możliwych miejsc, ale teraz te miejsca się skończą. Tyle lat spędziliśmy na poszukiwaniu przeszłości, że ani razu nie wybiegliśmy myślą w przyszłość. A teraz, kiedy zajrzała nam w oczy, jesteśmy przerażeni. Przeraża nas to bardziej niż wszystko, z czym mieliśmy do czynienia do tej pory.

– Musicie mieć jakiś plan – stwierdziłem.

– Plan? – prychnął Niles. – Życie się toczy, a Starla i ja łapiemy je, kiedy zwalnia. Od zawsze tak właśnie wygląda nasz plan.

– W przyszłym roku Ropuch i ja składamy papiery do Cytadeli – powiedział Ike. – Mógłbyś zrobić to samo.

– Na to potrzeba pieniędzy, a ja ich nie mam.

– Redowi Parkerowi podoba się twoja gra w futbol – ciągnął Ike.

– Słyszałem, jak mówił to mojemu staremu.

– Będą stypendia – dodałem. – Założę się, że monsinior też wie, skąd zdobyć pieniądze.

– A więc tak wygląda wasz plan. – Niles melancholijnie zapatrzył się na coraz większe fale przyływu.

Ojciec wyrzwał przez drzwi z tyłu domu i zawołał, żebyśmy weszli do środka; był wyraźnie podekscytowany. Dom wydawał się samotny niczym opuszczona wioska, ale dzięki niezliczonym kwiatom w wazonach i w pustych słoikach po galaretkach pachniało w nim jak w kwaciarni. Zgodnie z poleceniem usiedliśmy twarzami do schodów. Nawet matka porzuciła ażyl w sypialni, zwabiona nieokielznanym entuzjazmem ojca.

Ze szczytu schodów dobiegł jakiś szelest, szepty, a potem Trevor z gracją elfa przemknął na dół i siadł do pianina. Za nim zeszła Betty – Ike posadził ją na krześle obok siebie. Następnie, niczym łabędzica,

sfrunęła Sheba. Zerknęła na szczyt schodów i dała bratu znak ręką, a ten cicho i efektownie zaczął grać *Marsza triumfalnego z Aidy*.

Staliśmy z zadartymi głowami, a Starla Whitehead pojawiła się nieśmiało i wkroczyła w krainę światła i oczekiwania. Kiedy wyszła z ukośnego cienia rzucanego przez pochyłe schody w światło padające z żyrandola w salonie, nie miała już odwrotu. Przystanęła na chwilkę, by jej wyleczone oko przywykło do blasku.

Obserwowaliśmy transformację, jaką zafundowały jej bliźniaki. Starla nie ukrywała, że bycie w centrum uwagi nie sprawia jej przyjemności. Schodziła powoli, z niezdarnym wdziękiem. Trevor dostosowywał rytm marsza do jej niezdarnych kroków. Opatrunek zniknął, podobnie jak nieodłączne ciemne okulary. Lśniące czarne włosy miała teraz modnie obcięte na krótko – w takiej fryzurze wyglądała wręcz olśniewająco. Przypomniała mi francuską aktorkę, w której się durzyłem i której twarzy zawsze szukałem w magazynach filmowych, chodząc z ojcem do fryzjera. Ale gdy ta dziewczyna, wytwór niebywałej inwencji, schodziła po schodach, nazwisko tamtej aktorki wyleciało mi z pamięci. Nagle sobie przypomniałem i miałem je na końcu języka niczym skarb – Leslie Caron. Zastanawiałem się, ilu sekretnych kochanków miała Leslie Caron pośród milionów widzów oglądających jej twarz chłopczycy na ekranach ciemnych sal kinowych jak świat długi i szeroki.

Jednak to oczy Starli Whitehead przykuły moją uwagę. Patrzyła prosto przed siebie, bez śladu zęza, idealnie. Będzie musiała oswoić się z tym, że świat uważa ją za piękność. Rozpierała mnie duma. Sheba zaczęła bić brawo, a my poszliśmy w jej ślady, nie wyłączając mojej matki. Brązowe oczy Starli olśniewały, jej pewne spojrzenie z jednakową siłą potrafiło wyrażać namiętność, jak i furję. Nieustanna obsesja bliźniaków na punkcie teatralności i moja potrzeba zmieniania niedoskonałego i niebezpiecznego świata doprowadziły do tego, że z brzyduli podpierającej na zabawach ścianę zrobiliśmy ślicznotkę.

– Widziałeś kiedyś równie zjawiskową dziewczynę? – spytała Sheba. – To marzenie każdego napalonego faceta. Och, doktor King, panie King! Państwo wybaczą. Poniosło mnie.

Matka przeszła ją lodowatym spojrzeniem, zostawiając wybrnięcie z tej sytuacji ojcu.

– Wszyscy musicie zostać na kolacji – zarządził. – Ja i Leo zaraz upichcimy jakąś wałówkę.

– Wałówkę? – prychnęła matka lekceważąco.

– Coś do jedzenia – wyjaśnił. – Tak mówią w westernach.

– Nie cierpię westernów – oświadczyła i poszła do swojego pokoju.

Jedliśmy na spłachetku moczarów przylegającym do naszego podwórka. W wodzie odbijało się światło księżyca, który sprawiał, że rzeka Ashley wydawała się jedwabista i elektryzująca, i myszkował po falach niczym żywa istota, mająca dużo do opowiedzenia. Była to radosna kolacja, jedna z najbardziej udanych, jakie pamiętam. Odprawiając modlitwę przed posiłkiem, ojciec modlił się za naszych chłopców w Wietnamie i za Harringtona Canona. Dziękował Bogu za to, że operacja Starli przebiegła pomyślnie, a także za sukces drużyny futbolu. Była to szeroko zakrojona modlitwa, ojciec dziękował Bogu nawet za to, że uczynił mnie jego synem, a Lindsay Weaver – żoną.

– Aha, Panie, zanim zapomnę, na koniec chcę Ci podziękować za te wspaniałe dary, które będziemy spożywali.

Gdy skończyliśmy, usłyszeliśmy pociąg jadący w górę rzeki przez teren Cytadeli.

– Turkot tego pociągu towarzyszył mi przez całe dzieciństwo – odezwał się Ike.

– Pociągi zawsze napawały mnie nadzieją – powiedziała Sheba. – Zwłaszcza ten.

– Dlaczego akurat ten? – zdziwiła się Betty.

- Bo właśnie on zawiezie mnie do nowego życia. Niedługo pojedę nim na zachód. Do Hollywood.
- Ale ten pociąg jedzie na północ, skarbie – rzekł ojciec.
- Nie, nie, pan się myli. – Sheba zaniknęła oczy. – Jedzie w kierunku Pacyfiku. Na zachód.
- Nie uda mi się zrobić z ciebie naukowca – stwierdził ojciec z uśmiechem.
- Nie ma potrzeby. Ja już jestem aktorką.

Modlitewnik dla Wilderness

Kiedy przemierzałem mroczne i przemysłowo zimne korytarze Akademii Medycznej, szukając sali numer tysiąc cztery, w której – jak mi powiedziała nocna recepcjonistka – umieszczono Harringtona Canona, dochodziła północ. Im bardziej zbliżałem się do pokoju pielęgniarek, tym bardziej moje tenisówki piszczały niczym gryzonie na posadzce, zapowiadając mnie równie skutecznie, jakbym miał na ramieniu rozwrzeszczanego chomika. I tak już skrępowany, zawstydzilem się jeszcze bardziej, widząc, że wszystkie pielęgniarki z nocnej zmiany śledzą głośny przemarsz.

– Słucham, młody człowieku? – zapytała pielęgniarka, która jeśli wierzyć identyfikatorowi, miała na imię Verga.

– Chciałbym sprawdzić, jak się miewa pan Canon. On w zasadzie nie ma rodziny, więc powinien wiedzieć, że są ludzie, którzy się o niego martwią.

– Pan się nazywa Leo King? – spytała, sprawdzając jakiś wykaz.

– Tak, proszę pani.

– Tylko pana wpisał na listę odwiedzających.

– Wszyscy jego krewni przebywają w domach spokojnej starości – wyjaśniłem. – Są tak zniedołężniali, że nie mogą go odwiedzić.

– Rozumiem. A co pana z nim łączy?

– Pomagam mu w antykwariacie przy King Street. Zna go pani?

– Jestem pielęgniarką, nie milionerką – burknęła. Pochylone nad kartami choroby anonimowe pielęgniarki nagrodziły jej odpowiedź śmiechem.

– Czy pan Canon wyzdrowieje? – zapytałem. – Chyba nie dolega mu nic poważnego, prawda?

– Jutro zbada go doktor Ray. Wtedy będziemy wiedzieli znacznie więcej.

– Jaka jest specjalność doktora Raya? – zainteresowałem się.

– Onkologia.

Nie mogłem uwierzyć, że to czterosylabowe słowo umknęło mojej matce i nie trafiło na listę pięciu wyrazów, którą niezmordowanie szykowała mi co rano. W każdym razie brzmiało zjadliwie i złowroźnie.

– Nie wiem, co to znaczy, proszę pani.

– Rak – wyjaśniła, stawiając mnie w obliczu tego przerażającego słowa. – Leży w tamtym pokoju. Podaliśmy mu leki, ale przez cały wieczór był niespokojny.

Dosyć długo trwało, zanim moje oczy przywykły do mroku rodem z więziennej celi, jaki panował w pokoju pana Canona.

– Dlaczego gapisz się na mnie jak, nie przymierzając, na jakiegoś skunksa, chłopcze?

– Myślałem, że pan śpi. Sądziłem, że dali panu środki nasenne.

– Za bardzo się martwię, żeby spać.

– A co pana tak niepokoi?

– Takie tam rozmaite drobiazgi. Niekontrolowanie czynności fizjologicznych, demencja, paraliż, ból nie do zniesienia i wreszcie śmierć.

– Proszę się nie martwić. Wszystko w swoim czasie.

– Akurat ciebie nie mam ochoty oglądać – burknął. – Co takiego robiłeś, że nie zjawiłeś się wcześniej?

– Zajrzałem do pańskiego domu, żeby nakarmić koty.

– Spasą się jak wieprze, jeśli będziesz napychał im bebechy dwa razy dziennie.

– Nie wiedziałem, ja nie mam żadnych zwierząt – wyjaśniłem. – Matka jest uczulona na sierść.

– Karmienie raz dziennie wystarczy.

– Zajmę się tym – obiecałem.

– Trzeba zatrudnić sprzątaczkę – rzekł pan Canon. – Obawiam się, że moje łóżko z baldachimem zostawiłem w strasznym stanie. Chciałem się zapaść pod ziemię ze wstydu, że ci uroczy chłopcy z karetki zastali mnie w takiej sytuacji.

– Oni nie takie rzeczy widzieli – uspokoiłem go. – Tak mi powiedział ojciec, kiedy sprzątaaliśmy pański dom.

– Sprzątałiście?

– Teraz wygląda jak nowy. Nie udało się ocalić pościeli, ale cała reszta się zachowała. Odkurzaliśmy, polerowaliśmy, sprzątaaliśmy. Stworzyliśmy niezły zespół. Przynieśliśmy nawet kwiaty z ogrodu.

– Dziękuję, szubrawcze. I podziękuj ode mnie tacie. Nikt tego od was nie wymagał.

– Ojciec powiedział, że tylko my dwaj możemy cokolwiek zrobić. Pan był nieprzytomny, walczył pan o życie.

– Nic nie pamiętam – wyznał.

Do pokoju zajrzała siostra Verga.

– Czy ten chłopiec panu przeszkadza, proszę pana? Możemy go odprawić.

– To ty i ta twoja ekipa niekompetentnych rozchichotanych pielęgniarek mi przeszkadzacie – burknął pan Canon. – Ten chłopiec właśnie nakarmił moje koty i posprzątał u mnie w domu. Dlaczego nie mogę spać? Czy podajecie mi placebo zamiast dostatecznie silnych skutecznych środków?

– Czas na zastrzyk. Prześpi pan po nim całą noc – zapewniła pielęgniarka. – Mogę się pozbyć tego chłopaka.

– Będzie mi potrzebny jeszcze przez parę minut. Leo, chciałbym, żebyś jutro zadzwonił do mojego prawnika, Clev landa Wintersa. Muszę podjąć ważne decyzje i nie mogę z tym zwlekać.

– Jutro zbada pana lekarz – odparłem. – Doprowadzi pana do porządku. Ani się pan obejrzy, jak będzie pan w domu.

– Tak dzieje się tylko w książkach i filmach. Ale dziś rano coś we mnie pękło. Pękło głęboko i cokolwiek to jest, zabije mnie. Skończ z tą potulną miną. Przygotuję ci długą listę spraw do załatwienia. Trzeba obdzwonić klientów. Są lajdacy, którzy zalegają z zapłatą, i inni sprzedawcy, którym dałem towar w komis. Chcę podarować cały swój księgozbiór bibliotece miejskiej w Charlestonie. Muszę porozmawiać z kustoszem w Muzeum Sztuki Gibbesa. Masz zadzwonić do proboszcza u Świętego Michała, żeby przyszedł i udzielił mi ostatniego namaszczenia. Chciałbym, żebyś przyniósł mi *Księgę Wspólnej Modlitwy*, leży w górnej szufladzie nocnego stolika. Mój pradziadek Canon miał ją przy sobie, gdy poległ w bitwie pod Wilderness.

– Nie – zaprotestowałem zdruzgotany – nie zrobię tego. Nie przyjmuję tego do wiadomości. Doktor Ray jutro wszystkim się zajmie. Zobaczysz pan. Jutro wieczorem będziemy się z tego śmiali. Będę kpił z tej pańskiej przemowy przez następne trzydzieści lat.

– Leo, Leo, nigdy nikomu tego nie mówiłem, bo z nikim nie jestem dostatecznie blisko. Wybrałem żywot samotnika, bo myślałem, że tak będzie dla mnie najlepiej. I matka, i ojciec byli mną głęboko rozczarowani. Jednak nigdy się z czegoś takiego nie wyrasta. To rana, która z biegiem lat ropieje. Nie ma na nią lekarstwa, nawet czas jej nie uleczy. Nie zdradziłem tego nikomu w Charlestonie, nawet ukochanemu proboszczowi ani mojemu prawnikowi: dwa lata temu stwierdzono u mnie białaczkę. Ja już nie wyjdę ze szpitala.

– Niech pan tak nie mówi. Najgorsze, co może pan zrobić, to się poddać!

– Po kiego licha ja cię w ogóle słucham, panie Zero? Ty nigdy nie miałeś choćby kataru.

– Za to wiem jak mało kto, co znaczy dać za wygraną.

– Tak, czasami zapominam, że wpadasz w obłąd – westchnął. –

Musiałem się poważnie zastanowić, zanim wpuściłem wariata do swojego sklepu. Ale moje charlestońskie wartości przeważały nad strachem przed zakładem dla obłąkanych.

- Że też po świecie chodzą tacy święci jak pan.
- Powinieneś już iść – oświadczył. Widziałem, że jest coraz bardziej zmęczony.
- Zostanę tu z panem na noc. Prześpię się na krześle.
- To śmieszne! Nie zgadzam się.
- Moi rodzice uważają, że nie powinien pan być teraz sam.

Przynajmniej przez pierwszą noc.

– Byłem sam przez całe życie. Umówimy się tak: dziś będziesz spał we własnym łóżku, za to rano po drodze do szkoły przywieziesz mi gazetę.

– Na pewno nie chce pan, żebym został?

– A co jeszcze mam zrobić?! – wybuchnął pan Canon. – Wylać sygnały dymne? Ty musisz wrócić do rodziny, a ja muszę zostać sam na sam ze swoimi myślami.

– Gdybym był potrzebny, proszę dzwonić choćby w środku nocy – powiedziałem. – Mieszkam dziesięć minut drogi stąd.

– Ja chrapię – oznajmił.

– No to co?

– Chrapanie jest takie plebejskie. Chrapią hydraulicy, handlarze używanych samochodów, spawacze, związkowcy. Charlestońska arystokracja nie powinna chrapać. U człowieka z moją pozycją chrapanie jest niewybaczalne.

– Pielęgniarki rozmawiały o tym, kiedy pytałem je, czy mogę pana odwiedzić.

– I co mówiły te niegodziwe przekupki? – zapytał ostro.

– Że jest pan głośniejszy niż wulkan. Głośniejszy niż bębnienie deszczu o blaszany dach.

– Każę wyrzucić je z pracy. – Był oburzony, że jego prywatne życie stało się tematem złośliwych plotek. – Te gaduły pożałują, że usłyszały nazwisko Harrington Canon.

Od drzwi dobiegło grzechotanie i siostra Verga przyniosła tacę z papierowym kubeczkiem pełnym proszków i groźnie wyglądającą strzykawką. Wiedziałem, że pan Canon nie przepada za zastrzykami, nie zdziwiło mnie więc, gdy zaskomlał:

- Jezus Maria, ten zastrzyk uśpi pletwała błękitnego!
- Pewnie tak – odparła siostra. – Pan w każdym razie po nim zasnie.
- Wiesz, do kogo masz zadzwonić, chłopcze? – zapytał.
- Do pańskiego prawnika, proboszcza, kogoś z biblioteki miejskiej i do przedstawiciela Muzeum Sztuki Gibbesa. I nakarmić koty.
- Raz dziennie. Nie dwa razy. I zmień im ściółkę.
- Poza tym przynieść panu *Księgę Wspólnej Modlitwy*, którą pański pradziadek miał przy sobie podczas bitwy pod Wilderness.
- Chwilowo nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Padam z nóg.

Lekarstwo zadziało szybko i kilka sekund później pan Canon zasnął, a ja trzymałem go za rękę. Pomimo jego nalegań przespałem się na krześle obok jego łóżka. Oczywiście chrapał przez całą noc, a raczej pochrapywał, cicho i zabawnie. Raz się przebudził i poprosił o szklankę zimnej wody. Podałem mu ją i przytrzymałem głowę, żeby mógł się napić. O czwartej trzydzięci siostra Verga obudziła mnie, tak jak ją prosiłem, żebym mógł ruszyć w kurs z gazetami. Pocałowałem pana Canona w czoło i powiedziałem mu szeptem „dzień dobry” i „do widzenia”. Miałem szczęście, że spotkałem go na swojej drodze, i dobrze o tym wiedziałem. Tego dnia rano musiałem załatwić dla niego dużo spraw.

*

W piątek, pod koniec pierwszej lekcji francuskiego – języka, którym z trudem posługiwałem się w mowie, a w piśmie byłem zaledwie o szczebel powyżej idioty – zostałem wezwany do gabinetu dyrektorki. Poszedłem do surowej siedziby matki w korytarzu od frontu. Próbowałem wymyślić, co takiego zrobiłem, żeby zasłużyć sobie na jej gniew, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Matka coś pisała, traktując dokument z taką rewerencją, jakby kreśliła właśnie ostatnie słowa Wielkiej Karty Swobód. Była to charakterystyczna dla zakonnic metoda zastraszania. Wreszcie, nie przerywając pisania, odezwała się:

– Leo, Harrington Canon umarł z samego rana, krótko po tym, jak od niego wyszedłeś. Podejrzewają atak serca. Odszedł więc szybko i bez bólu. Jego prawnik, Cleveland Winters, zadzwonił z wiadomością, że masz być głównym żalobnikiem niosącym trumnę. Pan Canon napisał w testamencie, że tobie powierza wybór pięciu pozostałych osób do tego zadania.

Położyłem głowę na biurku matki i cicho zapłakałem.

Pociągnęła nosem z niezadowoleniem.

– Nie bierz sobie tego tak do serca, Leo. Wiedziałeś, że on umrze. Każdy musi kiedyś umrzeć.

Plakałem nadal, nie zwracając na nią uwagi.

W końcu oświadczyła:

– Moim zdaniem był to wyjątkowo pretensjonalny i nieprzyjemny człowiek.

– Dla mnie był bardzo miły, matko. Jako jeden z nielicznych w tamtym czasie.

– To dowód na to, że jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz, szanowny panie.

– Powtarzałaś mi to milion razy.

– Twój żal to jeszcze nie powód, żebyś był niegrzeczny – skarciła mnie. – Pan Canon służył ze skąpstwa. Przez lata pracowałeś dla niego bez wynagrodzenia. Chętnie korzystał z niewolniczej siły robotoczej.

– Dlaczego gdy ktoś mnie polubi, jesteś taka rozczarowana? Dlaczego tak cię to złości?

– Bredzisz, synu.

– Nie sądzę, Lindsay – dobiegł zza moich pleców głos ojca, który wszedł do gabinetu. – A więc nasz przemiły chłopak ni jak nie może cię zadowolić?

– Widocznie mam wyższe wymagania niż ty, Jasperze – odcięła się. – Moje oczekiwania w stosunku do Leo są wygórowane, i wcale się tego nie wstydę.

– Być może tak wygórowane, że nikt nie zdołałby im sprostać – rzekł ojciec.

– Nawet ty musisz przyznać, że nie był idealnym synem.

– Nigdy nie chciałem mieć idealnego syna – odparł ojciec. – Wystarczy mi, że jest ludzki.

– Harrington Canon był starym zrzędą i wykorzystywał Leo – stwierdziła matka. – Nie widzę powodu, dla którego po śmierci ktoś miałby go żałować.

– Matko, pan Canon był dla mnie kochany! – zawołałem. – Żeby go zrozumieć, trzeba było spędzić z nim trochę czasu.

– Uważam, że w jego zainteresowaniu tobą było coś lubieżnego.

– Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem pan Canon chciał mnie przelecieć? – zapytałem, nie wierząc własnym uszom.

– Ani się waż używać takich słów w gabinecie dyrektorki! – warknęła.

– Dyrektorka sama to zasugerowała.

– Nie da się ukryć – przyznał ojciec.

– Nienawidzę starych degeneratów – oświadczyła matka.

– Pan Canon był dżentelmenem – zaprotestował ojciec. – Nie mamy powodu uważać go za degenerata.

– Właśnie zostałeś kolejnym kandydatem do niesienia trumny – oznajmiłem.

– To dla mnie wielki zaszczyt, synu.

Po południu, po wyczerpującym treningu, pojechałem rowerem na Broad Street. Rześka ciemność zapowiadała nadejście surowej zimy. Wiatr rozkosznie owiewał mi twarz, podmuch powietrza był życiodajny jak lizawka. Przypiąłem rower do parkomatu i wszedłem do kancelarii Ravenel, Jones, Winters i Day. Było już po godzinach pracy, Cleveland Winters wysłał mi jednak wiadomość, że będzie urzędował do późnego wieczora i że musi się ze mną spotkać.

Jego gabinet mieścił się na drugim piętrze rezydencji sprzed wojny secesyjnej. Wydzielał harmonijny skórzany zapach, typowy dla wszystkich najbardziej szacownych kancelarii prawnych. Pan Winters był znakomitym przykładem charlestońskiego arystokraty – miał grzywę gęstych siwych włosów i pogodny, władczy sposób bycia księcia tego nadmorskiego światka.

– Cześć, Leo – rzucił z uśmiechem, gdy wszedłem. – Skończę tylko czytać ten dokument i zaraz się tobą zajmę.

Gdy wreszcie podniósł głowę i zakręcił pióro Watermana, odezwałem się:

– Założę się, że kupił pan to biurko u pana Canona.

– Harrington utrzymywał, że mu je ukradłem ponad czterdzieści lat temu – odparł pan Winters. – Tymczasem prawda jest taka, że kupili mi je rodzice z okazji ukończenia studiów prawniczych. Zdaje się, że zapłacili Harringtonowi sto dolarów.

– Więc rzeczywiście je ukradli. Idę o zakład, że przy dzisiejszych cenach na rynku poszłoby za cztery, pięć tysięcy.

– A zatem Harrington nauczył cię czegoś o antykach? – spytał pan Winters.

– Mówił, że nauczył mnie wszystkiego, co wie. Ale to nie ma nic wspólnego z prawdą. Pan Canon był chodzącą encyklopedią antyków. Naprawdę go polubiłem.

– I z wzajemnością – rzekł prawnik. – Czy wiesz, Leo, dlaczego cię tu dziś zaprosiłem?

– Myślałem, że w związku z kandydatami do niesienia trumny.

– Nie, wezwałem cię do kancelarii z zupełnie innego powodu. Jestem jedynym wykonawcą testamentu Harringtona. Zażyczył sobie, żeby firma aukcyjna z Columbii sprzedała na licytacji cały towar, jaki miał w sklepie. Chciał też, żebyś przeprowadził remanent wszystkiego, co znajduje się w sklepie, i porównał go ze spisem firmy aukcyjnej.

– Nie ma problemu, proszę pana – zapewniłem go.

– On ma dalekie kuzynki mieszkające w domach spokojnej

starości. Gdzieś w głębi kraju. Zapewnił im godziwe sumy na utrzymanie do końca życia.

– Nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym matce. Ona zawsze uważała pana Canona za kutwę.

– Od dzisiaj więcej już tego nie powie – rzekł z uśmiechem adwokat.

– Jak dotąd nikomu nie udało się zmienić poglądów mojej matki.

– Obiecuję, że mnie się uda. – Prawnik zachichotał.

Spojrzałem na niego zdziwiony. Pewność siebie sprawiała, że był jeszcze bardziej atrakcyjny.

– Harrington zostawił ci swój sklep przy King Street, Leo. A także dom przy Tradd Street wraz z całym umeblowaniem.

– Chryste Panie przenajświętszy! – wybąkałem.

– Wiedział, że nie masz środków na poprowadzenie sklepu ani na utrzymanie domu, dlatego zostawił ci dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów w obligacjach i drugie dwieście pięćdziesiąt tysięcy w gotówce, żebyś miał coś na początek, kiedy skończysz studia. Na jaką uczelnię się wybierasz?

– Do Cytadeli – odparłem.

– Koszty zostaną pokryte – oznajmił pan Winters. – To także jest w testamencie.

– Jezus Maria! Dlaczego? Pracowałem w jego sklepie, bo taki był wyrok sądu.

– Ale on cię uważał za syna, którego nigdy nie miał – wyjaśnił pan Winters.

– Przecież nic mnie z nim nie łączyło. Nic poważnego.

– Widać było to wystarczająco poważne, żeby uczynić cię bogatym młodym człowiekiem. – Sięgnął do humidora i podał mi cygaro.

– Kubańskie.

– Chyba są nielegalne? – zauważyłem.

– Ehe – przytaknął, wyjmując cygaro dla siebie. – Dzięki temu smakują jeszcze lepiej.

Pochylił się nad biurkiem, wziął ode mnie cygaro i odciął koniec elegancką gilotynką. Następnie wyjął z szuflady zapalniczkę w oprawie z masy perłowej i przypalił je, namawiając mnie, żebym głęboko się zaciągnął. Moja głowa zniknęła w półcieniu niebieskawego dymu. Chwilę później wymiotowałem w prywatnej łazience pana Wintersa. Gdy wróciłem do gabinetu, miałem wrażenie, że moje płuca i oczy właśnie przetrwały pożar domu.

- Trzeba się do nich przyzwyczaić – rzekł pan Winters.
- Nic dziwnego, że są nielegalne.
- To trzeba polubić. Jak koniak albo martini. Część pieniędzy dostaniesz stosunkowo szybko, Leo. Zapłacę podatek od nieruchomości. Przejęcie posiadłości na własność może zająć od trzech do sześciu miesięcy. Nie można wykluczyć, że roszczenia do domu zgłosi jakiś nieszczęsny krewny, piąta woda po kisielu.

Pochyliłem się nad biurkiem i uściśnąłem dłoń Clevelanda Wintersa.

- Zatrudniam pana, panie Winters. Skoro ufał panu Harrington Canon, to ja także panu ufam. Przepraszam za cygaro.

- Kuba nie zniknie – skwitował.

Poczynając od tego wieczoru, nie zdarzyło się, żebym z podróży do Kanady albo Europy nie przywiózł pudełka kubańskich cygar dla mojego charlestońskiego prawnika. Podczas kontroli na punktach granicznych rola przemytnika dostarczała mi dreszczyku podniecenia, co ogromnie cieszyło pana Wintersa. W roku 1982 odziedziczyłem po jego śmierci humidor oraz biurko, przy którym podpisałem dokumenty mające zmienić moje życie. Kazałem je przewieźć do mojego pokoju w redakcji „News and Courier” i od tamtej pory pisałem przy nim wszystkie felietony, zawsze myśląc o Clevelandzie Wintersie i wznosząc modły dziękczynne za Harringtona Canona.

Zatrzymałem rower przed domem pana Canona przy Tradd Street i przez chwilę próbowałem sobie wyobrazić, że należy do mnie. Z perspektywy czasu chyba potrafię się domyślić, co też próbował

rozszyfrować ów chłopiec, gapiąc się na posiadłość, która nagle stała się jego własnością. Mimo że nie potrafił sformułować ani pozbierać myśli w sposób, który nadałby sens temu zaskakującemu wieczorowi, to jednak przypuszczam, że próbował odnaleźć tajemniczą postać na dywanie* przypadkowości swojego przeznaczenia. Ten majestacyjny dom nigdy nie stałby się jego własnością, gdyby przed laty ujawnił policjantom, kto mu podrzucił kokainę w pierwszym tygodniu pierwszej klasy liceum. Co miał teraz począć z tym bagażem zakazanej wiedzy? W jaki sposób miało mu to pomóc wypracować taką filozofię, dzięki której mógłby wieść wartościowe, samospelniające się życie? Co robisz, gdy dowiadujesz się bez cienia wątpliwości, że los potrafi uczynić z ciebie właściciela jednej z najpiękniejszych rezydencji przy Tradd Street? Nie wyglądało to na zrządzenie boskie, choć może był to jednak przykład rękodzieła Boga o dużym poczuciu humoru, tańczącego Boga, który lubił psoty tak samo jak modlitwy, a psoty cenił jak swawole. To dlatego Leo King stał przed domem, który spadł na niego niczym meteoryt. Nie potrafił znaleźć żadnego wytłumaczenia dla tego faktu, żadnego powodu. Brzydkiemu chłopakowi, który sporą część dzieciństwa spędził w zakładach psychiatrycznych i który znalazł w wannie swojego brata z podciętymi żyłami, nie mieściło się w głowie, że jego życie i brak szczęścia odmieniły się w tak zdumiewający sposób.

* Nawiązanie do opowiadania Henry'ego Jamesa *The Figure in the Carpet*.

Numer 55

Po treningu przed meczem półfinałowym z Gaffney wzięliśmy prysznic, przebraliśmy się i poszliśmy do domu trenera Jeffersona na ostrygi z rusztu, które obiecał nam na początku sezonu, jeśli dotrzemy do fazy play-off. Obsługą przyjęcia zajęli się właściciele Bowens Island – rodzice od małego powtarzali mi, że robią najlepsze w kraju ostrygi pieczone w folii na ruszcie. Ogród na tyłach domu zapełnili zawodnicy z drużyny, a także ich dziewczyny i rodzice. Pomachałem Starli Whitehead, która przyszła z Dave'em Bridgesem, naszym nowym bocznym obrońcą.

Od czasu operacji interesowały się nią tłumy młodych ludzi, nie wyłączając mnie. Zadzwoiłem do niej z pytaniem, czy zechce mi towarzyszyć na przyjęciu, i okazało się, że jestem czwartym graczem naszej drużyny, który ją o to pyta. Wydawała się zakłopotana i zażenowana tak dużym wzięciem.

– Jak myślisz, czego oni ode mnie chcą? – zapytała najzupełniej szczerze.

Nie zamierzałem odpowiadać wprost na tak tendencyjne pytanie, ale też nie chciałem kłamać.

– Zapytaj Shebę – poradziłem, wywołując tym niespodziewany wybuch śmiechu. Przed operacją rzadko słyszałem z jej ust ten cudowny dźwięk.

Zmieniłem kogoś przy stole z ostrygami. Na lewą rękę włożyłem

grubą rękawicę i wyluskiwałem ostrygi ze skorup tępo zakończonym nożem. Wkrótce obok mnie znaleźli się Niles i Ike, do którego podeszła Betty. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego Fraser nie stoi u boku swojego chłopaka.

- Dlaczego nie ma Fraser?
- Podobno nie mogła przyjść – odparł Niles.

Popędziłem susami do stołu, przy którym z resztą cheerleaderek siedziała Molly. Odkąd w zeszłym miesiącu pogodziła się z Chadem, unikała mnie – nawet na zajęciach siadała po drugiej stronie przejścia między ławkami. Powoli pogodziłem się z tym, że stanowi część życia, jakie nigdy nie stanie się moim udziałem, ale choć byłem rozczarowany, nie potrafiłem jej zniechęcić. Była zbyt bezbronna, a także – mimo tego, co mi zrobiła – w gruncie rzeczy zbyt przyzwolona, żebym mógł się na nią poważnie zezłościć.

– Gdzie są Chad i Fraser? – zapytałem bez śladu pretensji w głosie. – Zachorowali czy co?

Po raz pierwszy od tamtego wieczoru w Piggy Park spojrzała mi w oczy i wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, Leo. Zdaje się, że ojciec nie chciał ich puścić.
- Zdaje ci się, czy wiesz na pewno? – spytałem ostro.
- Wiem – przyznała z miną winowajczyni.
- Dlaczego? – Znałem odpowiedź.
- Pan Rutledge postawił szlaban, kiedy dowiedział się, że idą na przyjęcie do domu kolorowych – wyjaśniła i znów wzruszyła ramionami.

- A twoja rodzina?
- Nakłamałam im, że cheerleaderki mają specjalny trening – powiedziała, patrząc mi prosto w oczy. Odniosłem wrażenie, że jej spojrzenie błaga o powrót przyjaźni, jaka nas kiedyś łączyła.

Wytrącony z równowagi, odwróciłem się szybko i poszedłem do kuchni, gdzie pani Jefferson szykowała wielkie miski fasoli w sosie pomidorowym i surówki z białej kapusty. Spytałem, czy mogę skorzystać z telefonu.

– Skarbie, jest aparat w sypialni, tam nikt ci nie będzie przeszkadzał.

Wybrałem numer Chada. Tak jak się spodziewałem, odebrał jego ojciec.

– Czy mógłbym rozmawiać z Chadem, proszę pana? – spytałem uprzejmie, starając się opanować gniew.

– A wolno wiedzieć, w jakiej sprawie? – spytał pan Rutledge. Uświadomiłem sobie, że nigdy nie wyzbyłem się instynktownej niechęci, jaką poczułem do niego po naszym pierwszym spotkaniu w jachtklubie.

– Osobistej.

– Telefonowanie do kogoś zawsze jest osobiste. Ale dzisiaj to ja decyduję, z kim Chad i Fraser mogą rozmawiać. Taki jest przywilej ojca. Zrozumiesz to, gdy już dorobisz się własnych dzieci.

– Nie wątpię. Czy może pan przekazać Chadowi wiadomość ode mnie?

– Powiem mu, że dzwoniłeś, Leo – obiecał pan Rutledge.

– Nie, chcę, żeby przekazał mu pan wiadomość.

– Mów. Papier i pióro mam pod ręką.

– Proszę mu powiedzieć, że w sobotę nie zagra w półfinałach stanowych. Jutro może zdać strój. Czy mam powtórzyć?

– Nie, ty mały draniu. Zapisałem każde słowo. Wiesz, że wystarczy, żebym jeszcze dziś zadzwonił tu i tam, a twoi rodzice i ten czarny trener pożegnają się z pracą?

– Niech pan dzwoni. Ale pański syn nie zagra w meczu przeciwko Gaffney.

– Nie masz aż takiej władzy, Ropuchu. – Moje przezwisko wypowiedział z wyraźnym sarkazmem.

– Jestem jednym z dwóch kapitanów drużyny – poinformowałem go. – Jeżeli drugi kapitan zgodzi się ze mną, że Chad źle wpływa na morale zespołu, pójdziemy do trenera i to on wyleje pańskiego syna.

– Mój syn nie utrzymuje kontaktów towarzyskich z czarnuchami.

- Wobec tego nie gra też z nimi w futbol.
- Leo, w tym mieście lepiej nie mieć we mnie wroga.
- Jesteśmy wrogami, odkąd się poznaliśmy – powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Wracając na przyjęcie, zwątpiłem w sensowność tego, co właśnie zrobiłem. Zebrałem więc trenera Jeffersona, Ike'a i Nilesa, żeby im o tym powiedzieć. Spróbowałem wiernie odtworzyć całą rozmowę z Worthem Rutledge'em i czekałem na przerażający w swej zajadłości nagły wybuch gniewu trenera.

Nie doczekałem się jednak. Ike i Niles sprawiali wrażenie zakłopotanych, ale nie byli obrażeni.

I wtedy trener Jefferson mnie zaskoczył – spojrzał na zegarek i powiedział:

– Idę o zakład, że Chad będzie tu za mniej niż pięć minut. Znam chłopaków i znam ich ojców. Wszyscy chłopcy i ich ojcowie chcą brać udział w rozgrywkach o mistrzostwo. A wiecie, co w tym wszystkim jest najbardziej komiczne? Zgadnijcie, kto najlepiej się bawi na tej imprezie?

Rozejrzeliśmy się. Nagle usłyszałem śmiech Ike'a, a potem Nilesa. Obaj rzucili jednocześnie:

– Sługus Ledbetter!

Nie minęło dziesięć minut, a w uliczkę, przy której mieszkał trener Jefferson, skręcił samochód Chada. Fraser i jej brat wpadli przez furtkę z tyłu domu. Chad podszedł do trenera Jeffersona, posłał mi mordercze spojrzenie i powiedział:

– Przepraszam za spóźnienie, trenerze. Samochód mi nawalił.

– Każdemu może się zdarzyć – odparł trener. – A teraz spróbujcie z siostrą ostryg. – Następnie odwrócił się do naszej trójki i oświadczył: – Chłopcy, właśnie widzieliście, na czym polega dobra robota trenera. Co tam dobra, rewelacyjna! Potrzebujemy Chada na mecz z Gaffhey.

*

Rzeczywiście był nam potrzebny. Główny blokujący napastnik, a jednocześnie wspomagający drużyny Gaffhey, którego obserwowaliśmy na filmach przez okrągły tydzień, na żywo wydawał się pięć razy większy. Miał oczy szaleńca, był jak opętany i napakowany mięśniami nawet w miejscach, gdzie zazwyczaj mięśni się nie ma. W pierwszej połowie zaliczył cztery przyłożenia i kiedy schodziliśmy do szatni, Gaffhey prowadziło dwadzieścia osiem do zera. Trener Jefferson dokonał na tablicy niezbędnych korekt i wymyślił pięć oszukańczych zagrań, które miały zrównoważyć agresję wspomagającego z Gaffhey. Ten wielki chłop grał z numerem pięćdziesiątym piątym; jego szatańskie, wszystkowiedzące oczy miesiącami nawiedzały moją prywatną krainę nocnych koszmarów. Przemykał obok mnie, jakbym był niemowlakiem na jego podjeździe. Gdy raz udało mi się go zablokować (rzadki wyczyn tego wieczoru), miałem wrażenie, jakbym się zderzył z górskim zboczem. W drugiej połowie trzykrotnie zdobyliśmy punkty, grając górą, a Sługus przedarł się dwa razy i po długim biegu zaliczył przyłożenia, a mimo to przegraliśmy czterdzieści dwa do trzydziestu pięciu. Jak dotąd był to najgorszy mecz w mojej karierze.

Próbowałem wyrzucić z pamięci nazwisko numeru pięćdziesiątego piątego i nie myśleć o nim nawet wtedy, gdy został gwiazdą w Georgii i przeszedł na zawodowstwo. W końcu jednak rozpoznałem te pałające ogniem oczy, kiedy dwadzieścia lat później spotkałem go w San Francisco – wtedy po raz drugi zetknąłem się z Macklinem Tijuana Jonesem.

*

W pierwszą styczniową niedzielę ostatniego roku nauki w liceum pojechałem samochodem do sierocińca Świętego Judy i zaparkowałem na wysypanym żwirem parkingu, obok chevy kombi siostry Polycarp. Wpisałem się do księgi gości, nabazgrałem godzinę przybycia, po czym wbiegłem po dwa stopnie naraz do sali zabaw. Gdy tam wszedłem, Ike i Betty grali w bilard. Starla czytała nieznaną mi dziewczynce *Kota w kapeluszu*.

– Bierz kij, białasie – powitał mnie Ike z uśmiechem. – Pokażę ci, jak się nim posługiwać.

Nie znośiłem bilardu, bo była to męska, buzująca adrenaliną gra tocząca się w atmosferze zagrożenia, jaką stwarzali twardziele. No i za cholere nie potrafiłem w to grać. Za to kiedy Ike nacierał niebieską kredą czubek kija i składał się do strzału, wyglądał jak prawdziwy artysta przy pracy. Potem z podziwem prawdziwego konesera patrzył, jak Betty wbija wszystkie bile i wymiata stół do czysta.

– Gdzie jest ten lokal, w którym Sheba i Trevor robią dziś za główną atrakcję wieczoru? – zapytałem.

– U Dużego Johna – odparł Ike. – Przy East Bay.

– Idziecie?

– Zdaje się, Ropuchu, że nie dociera do ciebie, w czym problem. No to posłuchaj. Jestem czarnym bratem. Mam niesamowite poczucie rytmu, wielką klasę, jestem przystojny jak cholera i ruszam się jak kot. Znaczy się, mam cały pakiet, tak samo jak Betty. Jest tylko jeden problem: mieszkamy na Południu, gdzie nasi bracia mieli od groma kłopotów ze strony twoich. A twoi najwyraźniej lubią wieszać ludzi na gałęzi. Dlatego moim weszło w nawyk, żeby trzymać się od twoich z daleka. Kapujesz? U Dużego Johna to bar dla białych. Nie wybieramy się tam, żeby słuchać, jak Sheba i Trevor odstawiają jakiś szajs.

– Znam Dużego Johna. Kiedyś zawodowo grał w futbol. Świetny facet. Byłem w jego barze, czarni też tam przychodzą. Kiedyś byliśmy z ojcem, gdy przyszli trzej jego koledzy z drużyny, sami czarni. Jeżeli nie przyjdziemy, bliźniaki poczują się urażone. A ty idziesz z Nilesem? – zwróciłem się do Starli.

– Niles zabiera Fraser – odparła.

– To co, może pójdziesz ze mną? – zaproponowałem, starając się, żeby wypadło to obojętnie.

– Patrzcie go, jaki czaruś! – prychnął Ike.

– Zapraszasz mnie na randkę? – Starla spojrzała na mnie zaskoczona. Gdy kiedyś się z nią umówiłem, myślała, że robię to z czystej przyjaźni.

– Nie, jestem tylko taksówkarzem.
– Powiedz jej, że zapraszasz ją na randkę – zażądała Betty i westchnęła.

– Zapraszam cię na randkę – powiedziałem. Odkąd Molly wróciła do swojej socjety, stwierdziłem, że często myślę o Starli. Bardzo często.

– Na randkę – powtórzyła. – To brzmi tak zwyczajnie, prawda? Jasne, Ropuchu, z miłą chęcią. Dziękuję. Wiesz, że wyrzucają mnie i Nilesa zaraz po zakończeniu roku szkolnego? Siostra Polycarp właśnie przekazała nam tę wspaniałą wiadomość. Z chwilą odebrania dyplomu lądujemy na bruku. Wciąż się nas czepia i dopytuje, ile mamy lat, a my nie wiemy. Nawet się nie domyślamy. Kurczę, niewykluczone, że mam czterdziestkę. Nikt nigdy nie widział naszych aktów urodzenia. Wiem tylko, że Niles był przy mnie przez całe życie. Zawsze miałam go pod ręką.

– A gdzie jest teraz? – zapytałem.

– Od powrotu ze szkolnej wycieczki przyssał się do Chada jak kleszcz – rzucił Ike od stołu bilardowego.

Betty prychnęła.

– Nie podoba mi się to. Nie ufam Chadowi. Ma wypisane na czole, że jest biały. Nawet kiedy się uśmiecha, wyczuwam w nim podłość.

– Pójdziecie ze mną i Starłą na podwójną randkę? – spytałem.

– Jasne – odparł Ike. – Podjadę po was o dziewiętnastej. Nie mylisz się co do Dużego Johna?

– Poproszę ojca, żeby do niego zadzwonił – obiecałem. – Tak na wszelki wypadek.

– Rodzice się wkurzą, jeśli będą musieli identyfikować moje zwłoki w kostnicy – rzekł Ike.

– Moi nie – powiedziały jednocześnie Betty i Starla, co wywołało salwę śmiechu wśród wszystkich sierot, które to słyszały.

Rozległ się dzwonek. Dołączyliśmy do pochodu sierot na ciemnej klatce schodowej i zeszliliśmy do wielkiego zapuszczonego ogrodu,

który niegdyś zapewne cieszył oko, bo był znakomicie zaprojektowany. Harmonijną ładną murarkę wykonano fachowo i z wyczuciem. Ogród u Świętego Judy doprowadzał moją matkę do szału i rozpacz, wiedziała jednak, ile pieniędzy i ciężkiej pracy potrzeba, by przywrócić mu świetność. Teraz pełnił funkcję placu ćwiczeń, gdzie sieroty mogły rozprostować nogi, chodząc codziennie po ceglanych ścieżkach pod baczynym okiem zakonnicy stojącej w oknie biblioteki. Na widok przejawów zmysłowości albo trzymania się za ręce natchmiasz dmuchała przeraźliwie w gwizdek sędziego, co w gniewnie oka uciszało burzę hormonów zakłócającą spokój ogrodu pod oknem.

Ike i Betty trzymali się trzy metry z tyłu, obserwowani przez zakonnice o sokolim wzroku. W pierwszej chwili szliśmy ze Starłą w milczeniu przez ogród, który o tej porze roku zapadał w sen zimowy. Dzięki namiętności matki do kwiatów rozumiałem, że przechodzimy po ślepym świecie korzeni, cebulek i nasion, które na wiosnę wybuchną jaskrawym płomieniem. Ziemia pod naszymi stopami spała, czekając z bezgraniczną cierpliwością na kwiecień, kiedy to korzenie i łodygi wystrzelą ku światłu. Szliśmy ścieżkami pozbawionymi śladu zieleni, gdzie miasto składało hołd nieuchronności usychania. W milczeniu przeszliśmy nad społecznością paproci i łodyg.

– Muszę z tobą porozmawiać o Nilesie – oznajmiła Starla, gdy skręciliśmy na ścieżkę dzielącą ogród na pół.

– Bo?

– Coś z nim jest nie tak. – Starla była wyraźnie zmartwiona. – Za dużo czasu spędza z Chadem. Betty ma rację, to mnie przyprawia o ciarki.

– On szaleje na punkcie Fraser. To żadna tajemnica.

– Tu chodzi o coś innego. – Pokręciła głową. – Niles zawsze mówił mi o wszystkim, a teraz ma przede mną tajemnice. Rzeczy, których mi nie zdradza.

– Skąd wiesz?

– Potrafię to poznać tak samo, jak potrafię podpisać się własną krwią na tym murze. – Wskazała kaplicę z ciemnoczerwonej cegły przylegającą do Świętego Judy.

– Niles potrafi o siebie zadbać – zapewniłem ją. – Wiesz o tym najlepiej.

– Co weekend wypuszcza się z domu. On i Fraser chodzą na randki razem z Chadem i Molly. Wiesz, że Chad i Molly znów się zesзли, prawda?

– Oczywiście. W szkole chodzą tak ze sobą sklejeni, że nie dałoby się wsadzić między nich bibułki do papierosów.

– Nie ufam parom, które obnoszą się publicznie z uczuciami – oświadczyła Starla. – To tak, jakby coś ukrywały. Jakby to była tylko przykrywka.

– Bo ja wiem? Między mną i Molly... między nami nie doszło do tego etapu. W ogóle do niczego nie doszło.

Pokiwała głową. Z jej brązowych oczu nic nie dało się wyczytać. Zanim zdążyłem ją spytać, o czym myśli, zaskoczyła mnie. Wyciągnęła rękę, ujęła mnie pod brodę i pocałowała w usta. Nie był to bynajmniej siostrzany całus. Ten pocałunek przeszył mnie aż po palce stóp.

Odsunęła się i zapytała:

– Chciałeś mnie pocałować, Leo, prawda? Podobało ci się?

Nie mogłem wydobyć głosu, więc tylko skinąłem głową, oszołomiony.

Roześmiała się i położyła ręce na moich ramionach.

– Więc zakochajmy się w sobie. Tak jak Niles i Fraser. Jak Ike i Betty. Założę się, że możemy być równie szczęśliwi jak oni. Popatrz na nich.

Odwróciłem się i zobaczyłem Ike'a i Betty w namiętym uścisku, złączonych głębokim, pełnym mlaskania pocałunkiem, który wydawał się jak najbardziej na miejscu.

Centralne miejsce w ogrodzie zajmował wiecznie zielony dąb korkowy, mający dobrze ponad sto lat. Sądziłem, że osłoni ich przed

widokiem ze strażnicy w bibliotece, rozległ się jednak przeraźliwy gwizdek. Ike i Betty odsunęli się od siebie niechętnie i podjęli spacer, nawet nie trzymając się za ręce, tylko uśmiechając się promiennie do całego świata. Starla miała rację – wyglądali na szczęśliwych.

Dołączyliśmy do nich i we czworo wymienialiśmy konspiracyjne uśmiechy.

*

Bar U Dużego Johna był dostatecznie wielki, by pomieścić wagon kolejowy: kiedy tam dotarliśmy, roiło się w nim od kadetów z Cytadeli. Bez wątpienia wyglądał na lokal tylko dla białych, więc Ike obrzucił mnie takim spojrzeniem, jakbym go zaprosił na lincz, którego ma być główną atrakcją. Po chwili weszło dwóch czarnych kadetów. Tak się złożyło, że byli to Charles Foster i Joseph Shine, pierwsi dwaj czarni, którzy zintegrowali Cytadelę. Ucieszyli się na wieść, że Ike właśnie zdobył stypendium sportowe w ich uczelni. Przysiedliśmy się do ich stołu na dworze, a w środku baru roiło się od gruppek złopiących piwo kadetów, w przeważającej części wywodzących się z plebsu. Po drugiej stronie małego dziedzińca zauważyłem Chada z Molly i Nilesa z Fraser. Siedzieli przy jednym stole z dwiema parami, których nie znałem, ale ich opalenizna świadczyła o członkostwie w jachtklubie, regatach i dogłębnej znajomości palm kokosowych dzięki świątecznym wypadom na Martynikę. Tłum w lokalu zwrócił uwagę komendanta straży pożarnej, który stanął w progu, blokując wejście spóźnialskim. Tak jak przewidział Ike, wieści o urodzie Sheby rozprzestrzeniły się w korpusie kadetów jak wirus.

Przez tylne drzwi obok kuchni wszedł Trevor i ruszył do pianina. Usiadł i zaczął grać hymn Cytadeli, na co wszyscy kadeci zerwali się z miejsc, stanęli na baczność i założyli czapki. Potem wkroczyła Sheba i odśpiewała hymn głosem tak chropawym i erotycznym, jakim jeszcze nikt tej pieśni nie wykonał. Bar przesycony był dziwnym szokiem podszytym żądzą. Gdy Sheba doszła do ostatniego wersu, a kadeci zerwali czapki z głów i wymachiwali nimi w powietrzu,

Trevor zmienił wydźwięk całego wieczoru, grzmocąc na klawiaturze najbardziej porywającą wersję *Dixie*, jaką zdarzyło mi się słyszeć. W tym zgiełku z trudem dawało się rozpoznać głos Sheby. Potem jednak zaprowadziła spokój zapadającą w pamięć interpretacją *We Shall Overcome*. Dogłębna znajomość muzyki naszych czasów była dziedzictwem identyfikującym moje pokolenie, dlatego uświadomiliśmy sobie, że wmanewrowała nas w amerykańską trylogię, którą zakończy *Hymnem Bojowym Republiki*, wywołując entuzjazm pokaźnej liczby jankeskich kadetów.

Podczas gdy Sheba niewoliła tłum, Starla odwróciła się do mnie, zarzuciła mi ręce na szyję i zaczęła mnie całować. Było bajecznie, ale wstydziłem się migdalić publicznie. Z czerwoną twarzą oderwałem się od niej i rozejrzałem, sprawdzając, czy ktoś był świadkiem tej sceny. Na ile mogłem się zorientować, zauważyła nas tylko Molly, która powoli, kpiarsko zaczęła bić brawo, gdy tylko podchwyciła moje spojrzenie.

– Wszystko w porządku, Leo – uspokoiła mnie Starla. – Mnóstwo ludzi całuje się publicznie. Sama się na nich gapiłam.

– Ludzie tacy jak my?

– Tacy sami. A swoją drogą, chodzisz na szkolne bale?

– W zeszłym roku nie poszedłem.

– W tym roku pójdziesz – oświadczyła.

Sheba rozpoczęła własną interpretację *The Ballad of the Green Berets*, która znów doprowadziła kadetów do białej gorączki, więc Duży John uniósł potężną prawą pięść, żeby zaprowadzić jako taki porządek w swojej knajpie. Było to bezwstydnym graniem pod publiczność, ale Shebie i Trevorowi przychodziło to z wrodzoną łatwością.

– Nie zastanawiałem się nad tym – wyznałem. – Zresztą bal jest dopiero w maju.

– Ike już zaprosił Betty.

– Aha, więc chcesz pójść na bal ze mną?

– Nie, ja nie mogę.

– Więc po co te aluzje? Dlaczego nie możesz pójść ze mną na ten bal?

– Bo nigdy nie będzie mnie stać na suknię balową.

W tym momencie uderzyła mnie myśl, jakby mnie piorun trzasnął, i rzuciłem szybko:

– Sam mogę ci uszyć sukienkę.

– Słucham?

– Matka wychowywała mnie na tak zwanego feministę, cokolwiek to znaczy – wyjaśniłem. – Dwa lata temu uszyłem jej sukienkę z okazji Dnia Matki. Sheba też znakomicie szyje. Pomoże mi.

– A co z butami? Czy matka wyuczyła cię także na szewca?

– Sheba ma pełną szafę butów. Nic się nie martw, załatwimy ci wszystkie dodatki.

Starla dotknęła ramienia Betty.

– Leo zaprosił mnie na bal maturalny!

Uściskały się, a potem Betty szturchnęła mnie pięścią w ramię. Ta dziewczyna miała krzepę w ręku. Ramię bolało mnie przez cały następny dzień i nazajutrz źle wpłynęło na moją skuteczność rzutów podczas rozwożenia gazet. Ike odwrócił się i mi pogratulował, a potem zapytał, czy chcę pójść na podwójną randkę z nim i z Betty. Przez przypadek wpadłem w życie zwyczajnych nastolatków i było to miłe uczucie. Czas Ropucha zostawiałem za sobą. Na zawsze żegnałem się z chłopcem, którego latami zadręczała adekwatność tego przewiska. Do głowy by mi nie przyszło, że taka ślicznotka jak Starla może polubić mnie tak bardzo, jak wszystko na to wskazywało. Znow zaczęliśmy się całować, a kiedy się odsunąłem, poczułem, że sływa na mnie luz i opętanie. Tego wieczoru, spoglądając w melancholijne oczy Starli Whitehead, zakochałem się, niechcący rozpoczynając tym długi i bolesny proces rujnowania sobie życia.

*

Gdy zimą ojciec rozpałał w kominku, zaczynał od podsypywania wiórów przezroczystych jak pancerze krewetek, i rozniecał wspaniale

trzeszczący ogień, układając szczapy tak, by ich nerwy zwrócone były ku wzbijającym się płomieniom. Wdychałem ten zapach, zamykałem oczy i myślałem, że płonące drewno to najbardziej zmysłowe perfumy pod słońcem. Ojciec zmajstrował nam w swoim warsztacie trzy blaty o idealnych proporcjach, tak że mogliśmy je kłaść na poręczach skórzanych foteli. Ja odrabiałem na takim blacie lekcje, matka przed kominkiem nadrabiała zaległości w korespondencji, ojciec zaś czytał czasopisma naukowe i robił obszernie notatki. Ogień hałasował niemiłosiernie, a ojciec na bieżąco dorzucał szczap, dopóki nie trzeba było iść spać.

Pewnej zimowej nocy zadzwonił telefon. Ojciec odebrał i przez chwilę rozmawiał cicho. Odłożył słuchawkę i zwrócił się do mnie:

– Dzwoniła Sheba. Zajrzyj na drugą stronę ulicy i zobacz, co z Trevorem. Jest bardzo zdenerwowany.

Wziąłem kurtkę z szafy przy drzwiach frontowych i wyszedłem na zimne charlestońskie powietrze. Zapach dymu z komina naszego domu był silniejszy niż zapach obu rzek i mokradeł, nasycił okolicę zmysłowym, wonnym aromatem niczym ogród nocą. Podchodząc do Trevora, który siedział na górnym stopniu werandy, słyszałem, jak szlocha. Siostra obejmowała go kurczowo. Wszedłem po schodkach i usiadłem obok mojego przyjaciela. Ująłem jego rękę i kiedy ścisnął mi dłoń, zapytałem Shebę:

- Klótnia kochanków?
- Gorzej. Wypłacz się, kochany. Płacz, ile chcesz.

Gdy wbiegła do domu, by przynieść bratu szklanekę wody, wziąłem go w objęcia i trzymałem tak aż do jej powrotu. Woda pomogła, ale jeszcze przez kilka minut nie mógł wydobyć głosu i się trząsł. W końcu powiedział:

– Miesiąc temu mnie i Nilesa nominowano na kandydatów do bractwa. Próbują się do niego dostać chłopaki ze wszystkich szkół w Charlestonie, publicznych i prywatnych. To wielki zaszczyt.

- Nie wspomniałeś mi o tym ani słowem – przerwała mu Sheba.
- Złożyliśmy przysięgę, że zachowamy to w tajemnicy. Organizacja powstała w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku.
- Zgromadzenie Middletona? – zapytałem.
- Skąd wiesz?
- Matka od dawna podejrzewała, że działają w szkołach średnich w tym mieście, nawet w Peninsuli, ale nie miała dowodów.
- Nasze kandydatury zgłosił Chad Rutledge i dzisiaj wieczorem odbyła się inicjacja. Byłem podekscytowany. Niles nie wierzył w swoje własne szczęście. Obaj nie mogliśmy wyjść ze zdumienia, że spotkał nas taki zaszczyt, mimo że mieliśmy tak gówniane życie.
- Dlaczego mam wrażenie, że coś poszło nie tak? – wtrąciła Sheba.
- Zabrali nas gdzieś na Meeting Street, do sali Konfederatów czy czegoś w tym rodzaju. Było tam ze stu chłopaków w naszym wieku, w smokingach i czarnych maskach na twarzach. Wyglądali na pieprzonych statystów z westernów o Samotnym Jeźdźcu. Wszyscy milczeli, kiedy prowadzono kandydatów do jakiegoś przyszczatego faceta za biurkiem. Było nas ośmiu. Pierwszych sześciu przyjęli bez problemów. Zgromadzeni członkowie bractwa głosowali na tak i podnieśli kciuki. Kwalifikacje tamtych były bez zarzutu. Typowo charlestoński szajs... Prioleau, Ravenelowie, Gaillardowie, Warleyowie. Tych sześciu przedstawiono wszystkim, poszło to jak pierdolona bułka z masłem. A potem wrzucili wsteczny bieg i zaczął się ubaw.
- Gdzie był Chad? – spytałem zimno.
- Pewnie gdzieś w tłumie – odparł Trevor. – Nie widziałem go. Może w ogóle go tam nie było.
- Był, spokojna głowa – zapewniłem. – Mów dalej.
- No więc zabrali się do mnie. Myślałem, że za chwilę wejść do dawnej historii Charlestonu, i dałem się wciągnąć w to poczucie

braterstwa, którego wcześniej nie znałem. I wtedy facet przy biurku powiedział: „Pan Trevor Poe jest pierwszym jawnym homoseksualistą, który ubiega się o członkostwo naszego bractwa. Jego matka jest powszechnie znaną pijaczką, siostra ogólnie znaną kurwą, a reszta rodziny nieznana. Jak zgromadzenie zapatruje się na kandydaturę słynnego pedała, Trevora Poego?”. Rozległo się burzliwe „nie” i kciuki powędrowały w dół. A potem zabrali się do biednego Nilesa.

– Przynajmniej nie mylili się co do twojej siostry. – Sheba trzęsła się z niepohamowanej wściekłości.

– To nieprawda – zaprzeczyłem. – Nie mów tak.

– Ten pryszczaty za biurkiem... Jezu, co za szpetny fiutas!... Zaczął czytać z kartki, koszmarnie cedząc słowa: „Niles Whitehead spędził całe życie, przenosząc się z sierocińca do sierocińca i szukając swej matki, Bright Whitehead, oraz babki, Oli Whitehead. W trakcie naszych poszukiwań znaleźliśmy jednak ich nekrologi w »Chimney Rock Times«. Pan Whitehead najwyraźniej nie wie, kto właściwie jest jego ojcem. Urodził się w chałupie w górach Blue Ridge. W liceum Peninsula zyskał przezwisko »murzyn«. Jak zgromadzenie zagłasuje w sprawie murzyna Nilesa Whiteheada?”. I znów zaczęli ryczeć „nie” i pokazywać kciukami w dół. Czterej faceci wyprowadzili Nilesa i mnie korytarzem, wyrzucili na Meeting Street jak worki śmieci i zostawili tam, oniemiałych.

– Gdzie jest teraz Niles? – zapytałem.

– Rozsypałem się i ruszyłem do domu, a kiedy się obejrzałem, już go nie było. Mój płacz zdenerwował go pewnie nie mniej niż sama ceremonia.

– Nie – zaprzeczyłem. – Powiedzieli Nilesowi coś, o czym nie wiedział. On i Starla stale się przenosili, wierząc, że ich matka i babka wciąż żyją. Wiedziałaś, że matka urodziła Nilesa, gdy miała zaledwie trzynaście lat? A gdy przyszedł na świat, jego babka miała dwadzieścia siedem? Ogłaszając, że obie te kobiety nie żyją, ci dranie coś w nim zabili.

– Poproszę Chada Rutledge'a, żeby mnie zerznął – zapowiedziała Sheba. – A wtedy utnę mu kutasa sekatorem.

Ojciec wyszedł na werandę przed domem.

– Jak tam, dzieci, wszystko w porządku?! – krzyknął, stojąc między dwiema strzelistymi magnoliami.

– Wszystko jest do bani! – odkrzyknąłem. – Mógłbyś tu przyjść?

Ojciec przebiegł przez jezdnię. Z nietypową dla siebie oszczędnością w słowach naszkicowałem mu przebieg wydarzeń tego wieczoru. Coraz głębsze zmarszczki na jego czole świadczyły, że jest wściekły.

– Chodźcie do domu, posiedzicie sobie przy kominku. Muszę zadzwonić w kilka miejsc – powiedział.

Usiadłem przy kominku z wyczerpanymi bliźniakami. Wzruszyłem się, widząc, jak trzymają się za ręce ze wzrokiem wbitym w płomień. Gdy ojciec przyszedł dołożyć do ognia, przyniósł im po kieliszku koniaku, żeby się odprężyli.

– Masz za sobą niemiły wieczór, Trevorze – powiedział – ale jutro rano Chada Rutledge'a czekają jeszcze większe nieprzyjemności. Jedno ci mogę obiecać: przez najbliższe tygodnie Chadowi nie grozi zaparcie. Wygryzę jego wysokości drugą dziurę w dupie. A dyrektorka szkoły wygryzie mu taką samą na drugim półdupku.

Sheba upiła łyk koniaku i rzuciła w stronę ognia:

– Nigdy w życiu nie zaznałam poczucia bezpieczeństwa, ale w tym domu czuję się bezpiecznie.

Słyszając jakiś hałas, podszedłem do drzwi. Wyjrzałem zza zasłony i za szybą ujrzałem poważną twarz Fraser Rutledge. Gdy otworzyłem, wpadła do środka i podbiegła prosto do Trevora, który wstał na jej widok. Przypominał zabawkę, kiedy Fraser podniosła go i przytuliła. Wyglądali jak kruchy, nieszkodliwy bezkręgowiec.

– Właśnie sprąłam brata na kwaśne jabłko, gdy dowiedziałam się, co zrobili tobie i Nilesowi. Oświadczyłam, że żałuję, iż płynie we mnie krew Rutledge'ów, i naplułam Chadowi w twarz.

– A więc brał w tym udział? – upewniłem się.

– Tak się z tego zaśmiewał razem z ojcem, że zeszedł na dół. A on opowiadał ojcu, co stało się dzisiaj w Zgromadzeniu Middletona. Trevorze, kiedy tego słuchałam, coś we mnie umarło. Shebo, Leo, musicie mi uwierzyć. Chad oświadczył, że zrobił to dla dobra nazwiska rodziny. Nikt z Rutledge'ów nie wyjdzie za murzyna.

– Ale dlaczego tak samo potraktowali Trevora? – spytałem.

– Trevor to dla nich dodatkowa gratka. Na deser. Poza tym w ten sposób Niles połknął haczyk. Niczego nie podejrzewał, skoro zaprosili go razem z Trevorem.

Rzuciła mi maskę, którą złapałem zdziwiony.

– Pamiętka po wielkiej nocy Chada. Właśnie upokorzył jedyne go chłopaka, jakiego miała jego brzydka siostra.

– Wcale nie jesteś brzydka, kochanie – zaprotestowała Sheba i uściskała Fraser czule. – Wyrzuć to słowo ze swojego słownika. Hej, Leo, czy staje ci na myśl o Fraser?

– Co noc.

– Ona wydobywa ze mnie tę jedną dziesiątą procenta, która nie jest gejem – dodał Trevor.

Nareszcie znowu usłyszeliśmy śmiech Fraser i w tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi. Ruszyłem, żeby otworzyć.

– Daj znać, Trevorze, jeśli jeszcze kiedyś będziesz chciał wstąpić do jakiegoś klubu – rzuciłem przez ramię. – To zaczyna wyglądać na prywatkę.

Stojąc w świetle, które paliło się nad drzwiami, Starla rzucała wielki cień na cały plac. Uściskałem ją i zaprowadziłem do kominka. Pocałowała Trevora w policzek. Kiedy ojciec wrócił do pokoju, oznajmiła:

– Niles dzwonił do mnie z parkingu dla ciężarówek po tej stronie Columbii. Kazał mi podziękować wam wszystkim i was pożegnać.

- Powiedział ci, dokąd się wybiera? – zapytał ojciec.
- Nie. Ale nie musiał. Wiem, dokąd go ciągnie... do Karoliny Północnej. Wraca na stare śmieci, do domu, w którym się urodziłem.
- Wiesz, gdzie jest ten dom? – dopytywał się ojciec.
- Dwadzieścia mil od jakiejś wielkiej skały. Kiedy przyjechali zabrać mnie i Nilesa, byłam jeszcze malutka.
- Chimney Rock? – podsunął ojciec.
- O właśnie – ucieszyła się. – Skąd pan wie?
- Leo, jutro ruszasz w góry – zarządził ojciec. – Przywieziesz Nilesa z powrotem.
- Jeśli mnie ze sobą nie weźmiesz, pójdę tam pieszo – zagroziła Fraser.
- A ja uciekłam z sierocińca – wyznała Starla.
- My też chcemy jechać – oświadczyli Trevor i Sheba.
- Ojciec pokręcił głową.
- Za dużo was. Ograniczmy się do Starli i Fraser. Weź buicka matki, Leo. Zadzwoń do twojego zmiennika, Berniego, żeby cię zastąpił przy rozwożeniu gazet. Na pewno tam trafisz. Starlo?
- Jestem prawie pewna.
- Zadzwoń do Polycarp – obiecał. – Połóżcie się z Fraser w pokoju gościnnym, a ja skontaktuję się z twoimi rodzicami, Fraser, i powiem im, że nic ci nie jest. No, starczy tego. Musicie się wyspać. Sprowadzimy chłopaka tu, gdzie jego miejsce.
- Przecież on właśnie jedzie tam, gdzie jego miejsce, proszę pana – przypomniała Starla.
- Mój zakochany w Charlestonie ojciec tylko się uśmiechnął.
- Teraz w krwi Nilesa płynie krew charlestończyka – oświadczył. – On dawna już był w domu. Tyle że o tym nie wiedział.

*

O szóstej rano wyprowadziłem samochód matki na podjazd i pojechałem budzącymi się do życia, ciemnymi ulicami do wjazdu na

autostradę międzystanową 1-26. Tam wcisnąłem gaz do dechy i pomknąłem na zachód, przez samo serce Karoliny Południowej. Kiedy mijaliśmy Summerville, Starla spała na siedzeniu obok mnie. Za nami słońce właśnie wynurzało się z morza. Z tyłu Fraser drzemała na jednej z poduszek, które ojciec dał nam razem z przenośną lodówką wypakowaną kanapkami, przyprawionymi na ostro jajkami, pieczoną szynką zawiniętą w folię aluminiową i torbę czekoladowych kruchych ciasteczek. Zanim wyszedłem, wręczył mi dwa szeszczące banknoty studolarowe, a także moją strzelbę i całe pudełko amunicji.

– Na wszelki wypadek spakowałem ci także wędkę i resztę sprzętu wędkarskiego – powiedział.

– Wrócimy najpóźniej w niedzielę – obiecałem. – Bez względu na to, czy znajdziemy Nilesa, czy nie. Jeśli nam się nie uda, nie wiem, czy Starla wróci z nami.

– Nie wróci – orzekł ojciec.

Przed Columbią zjechałem na stację benzynową i zarządziłem krótki postój. Moje pasażerki wygramoliły się z samochodu i rozprostowały kości na zimnym słońcu. Obejrzałem mapę Karoliny Południowej i Północnej i porównałem ją z tą, na której ojciec wytyczył żółtym mazakiem trasę, mającą zaprowadzić nas przez leśny labirynt w góry Karoliny Północnej. Niebieską plamą zaznaczył miejscowość zwaną Lake Lure, stanowiącą chyba przedpole Chimney Rock. Ostrzegł mnie jednak, że kiedy już dotrę do Chimney Rock, czeka mnie praca detektywa. Będziemy się musieli rozdzielić i wypytywać górali, znanych z braku precyzji i skrajnej nieufności wobec obcych. Ale kiedy zobaczył moją wystraszoną minę, przypomniał mi, że Starla wraca w rodzinne strony i znajdzie się wśród swoich.

Zostawiwszy za sobą Spartanburg, wjechaliśmy do tej nawiedzonej krainy, która zawsze była dla mnie kwintesencją Południa – bogobojne parkingi dla ciężarówek i małe, bielone wapnem kościółki, w których otaczano Chrystusa czcią bardziej gorliwie niż ja.

Znaleźliśmy się w królestwie treserów węży, zatwardziałyach bigotów i bimbrowników, gdzie pola uprawne były żylaste, kamieniste i bezlitosne. Tuż przed południem minęliśmy Lake Lure. Napięcie w samochodzie rosło z każdą chwilą, gdy omawialiśmy nasz plan, opracowany bez znajomości terenu i mamroczących pod nosem małowmownych ludzi, których niewątpliwie mieliśmy spotkać.

– Jacy są tutejsi górale? – zapytałem Starłę.

– Tacy jak wszyscy. O wiele miłsi niż ludzie z Charlestonu.

– Protestuję – oświadczyła Fraser. – Charleston słynie z gościnności.

– Naprawdę myślisz, że Trevorowi i Nilesowi podobała się charlestońska gościnność wczoraj wieczorem?

– To tradycja – odrzekła, patrząc prosto przed siebie. – Zawsze wybiera się dwóch chłopaków, którzy nie przejdą selekcji. Umieszczono to nawet w przepisach wewnętrznych Zgromadzenia Middletona. Chad mówił, że gdyby nie odrzucanie tych, którzy się nie nadają, byłaby to najnudniejsza ceremonia pod słońcem.

– Jak to miło ze strony Chada, że pozwolił Nilesowi i Trevorowi zakosztować tej przyjemności – prychnęła Starla. – Fajnie, że z niego taki palant. Chciałabym, żeby Bóg naznaczył wszystkich gnojzków. Wiecie, żeby byli brzydsi od gówna i mieli podłość wypisaną na twarzy. Kiedyś myślałam, że Sługus jest taki, ale gdzie tam, zdecydowanie wolę go od Chada.

– Urok białej hołoty – prychnęła Fraser.

– Niles i ja stoimy o wiele niżej w hierarchii niż biała hołota, Fraser – odcięła się Starla. – Dla nas biała hołota to awans społeczny.

– Może dla ciebie, ale nie dla Nilesa – powiedziała Fraser. – On przynajmniej ma dumę.

Usłyszałem cichy szelest, jakby złapany w pułapkę świerszcz przewracał się na skrzydła. Zerknąłem w bok i ujrzałem błysk metalu w dłoni Starli, która podsunęła Fraser nóż pod nos.

– Chryste, Starlo! – wyszeptałem.

A ona spokojnie zwróciła się do Fraser:

– Po tym, co twój brat zrobił Nilesowi, od rana chodziło mi po głowie, żeby poderznąć ci gardło. Więc dosyć wykładów na temat dumy, charlestońska dziwko. Następnym razem dobrze się zastanów, zanim zdrziesz z góralką.

Zahamowałem z piskiem opon na poboczu przeznaczonym do przepuszczania szybciej jadących pojazdów.

– Celem naszej wyprawy jest sprowadzenie Nilesa z powrotem! – wydarłem się na dziewczyny. – Nie chcę więcej słyszeć żadnej zasranej przepychanki między panną z dobrego domu a góralką. Jak nie, to wysiadka. Starlo, daj mi ten cholerny nóż.

Złożyła nóż i mi go oddała. Włożyłem go do kieszeni, wycofałem samochód na szosę, a kiedy przejeżdżaliśmy przez most, cisnąłem nóż do rzeki.

– Jest Chimney Rock. – Wskazałem strzeliste wypiętrzenie. Wydawało się kapryśne i nie na miejscu, jakby wymodelował je jakiś zidiociały twórca, gdy znudziło go robienie gwiazd. W miasteczku Chimney Rock można było kupić tomahawk Irokezów, indiański pióropusz, skórzany bykowiec albo słoik miodu zebranego z górskich pasiek. Gdyby nie turystyka. Chimney Rock byłoby samotnym pasmem górskiej drogi biegnącej wzdłuż usłanej głazami Broad River. Niektóre sklepy zamknięto na zimę, lecz wiele było otwartych – próbowały przyciągnąć turystów, którzy zabłądzili tu przypadkiem w drodze do leżącego wyżej Asheville. Witryny po obu stronach ulicy sprawiały wrażenie, jakby sprzedawano tam jeden i ten sam towar. Wysadziłem Starłę i Fraser przed jedną z nich, a one niczym psy rasy beagle zaczęły się miotać od drzwi do drzwi, wypytujac o informacje na temat rodziny Whiteheadów.

Zaparkowałem po drugiej stronie miasteczka i wszedłem do fryzjera. Kiedy mnie strzygł, zapytałem o Whiteheadów. Nazwisko nie było mu obce, ale nie przypominał sobie, żeby spotkał kiedyś kogoś z tej rodziny. W każdym razie słyszał legendy – byli to górale słynący

z kłótliwego charakteru i uporą, a szczególną antypatią darzyli stróżów prawa. Jego zdaniem byli półkrwi Irokezami – fizjonomia Nilesa i Starli nie wykluczała takiej teorii. Był jednak prawie pewny, że wynieśli się z tej okolicy, prawdopodobnie pojechali za pracą do Charlotte. I chociaż, jak powiedział, jest wielu twardych górali, to rzadko trafiają się wśród nich szumowiny, a właśnie między takimi należy szukać Whiteheadów.

Udałem się na poszukiwanie Starli i Fraser. Nagle zobaczyłem, że pędzą do mnie przez jezdnię.

– Pani z tego sklepu pamiątkarskiego zadzwoniła do jakiegoś naszego dalekiego kuzyna, zaraz tu do nas przyjedzie – wysapała zdyszana Starla.

Później, widząc nadjeżdżającą półciężarówkę, uznaliśmy, że to nasza największa szansa na złapanie tropu Nilesa. Kierowca miał na sobie dziwną fedorę i kombinezon. Zanim się odezwał, przyjrzał się nam dokładnie, ale i wtedy zwracał się tylko do Starli.

– Jesteś z Whiteheadów – powiedział, z dezaprobatą zerkając na mnie i Fraser. – A to co za jedni?

– Są ze mną – odparła Starla. – Razem w tym siedzimy. Wiesz, gdzie mieszkała moja rodzina?

– Tam. – Wskazał za siebie kciukiem. – Wysoko. Teraz tam nie wjedziecie.

– Dlaczego? Chcę zobaczyć miejsce, gdzie dorastałam z bratem.

– To nieutwardzona droga. Prawie pionowa. Aż strach jechać. Byłem tam tylko raz. Dwa lata temu podczas burzy zeszła kamienna lawina. Od tamtej pory nikt nie widział tych domów.

– Jak można się tam dostać? – Starla nie ustępowała.

– Jedźcie autostradą na Asheville. Właśnie na niej jesteście – wyjaśnił. – Cały czas pod górę. Po lewej będzie Broad River. Tam, gdzie potok z pstrągami wpada do Broad, poszukajcie biegnącej pod górę bitej drogi. Jest bardzo stroma. Uważajcie. Jedźcie aż do osuwiska. Potem musicie iść pieszo, do domów jest mila czy coś koło tego.

Kiedyś mówili na ten trakt „droga Whiteheadów”.

– Dzięki, kuzynie – rzuciła Starla.

– Dla rodziny wszystko. – Dotknął runda kapelusza w wytwornym pozdrowieniu i odjechał.

Zawsze podziwiałem ludzi, którzy pytani o drogę, potrafią udzielić precyzyjnych wskazówek – to nieliczne plemię. Daleki kuzyn Starli opisał trasę tak dokładnie, jakby wyrysował mapę. Zaraz po przekroczeniu granicy miasta wjechaliśmy na stromą górską drogę i wkrótce zmagaliśmy się z serpentynami pośród lasu deszczowego, a tymczasem słońce było coraz niżej. Jechałem jak najszybciej, starając się dotrzeć na teren Whiteheadów przed zapadnięciem zmroku. Buick jęczał, pnąc się pod górę, aż nagle Starla pisnęła przeraźliwie, widząc potok wpadający kaskadą do Broad River. Wjechaliśmy w krainę kalmii szerokolistej i wodospadów z welonami karmionej mlekiem piany, rozbijającej się o głazy wielkości domu.

Skręciłem w drogę, która „wyglądała na niedokończoną. Gdy tak pięliśmy się w nieznaną, wrzuciłem górski bieg. Zostawiliśmy potok z pstrągami daleko w dole – najpierw trzydzieści metrów, potem trzysta. Jazda była coraz bardziej niebezpieczna. Nagle zaczęliśmy zjeżdżać w kierunku potoku, tak blisko przepaści, że roześmiałem się, widząc w lusterku wstecznym, jak Fraser zaciska powieki.

– Nigdy nie lubiłem Nilesa aż tak bardzo – mruknąłem.

Nagle wyrosło przede mną skalne rumowisko. Zahamowałem raptownie i ostrożnie ruszyłem w dół, w stronę rzeki. Ostra rozpadlina wyglądała tak, jakby cała góra nagle przechyliła się na lewo.

Zaparkowałem.

– Przejdźmy się nad potok i poszukajmy tych domów. Nie mogą być daleko. Fraser, bierz wędkę. Ja wezmę jedzenie.

W ostatnich promieniach słońca zobaczyłem starą ścieżkę albo szlak wydeptany przez jelenie. Zawiesiłem przenośną lodówkę na ramieniu i ruszyłem w dół. Gdy dotarłem na skraj wody, skierowałem się w górę strumienia. Ściemniało się. Usłyszałem, jak Starla mówi:

– Czuję zapach ogniska.

W zapadającym zmierzchu przyśpieszyliśmy kroku i wkrótce dojrzeliliśmy zarysy czterech niepomalowanych chat stojących na palach nad potokiem. Ruszyliśmy w tamtym kierunku – zapach dymu z gór Blue Ridge doprowadził nas do ostatniego domku. Otworzyłem drzwi i weszliśmy do chałupy przeżartej grzybem i pleśnią. Przy ogniu siedziała samotna postać.

– Niles? – spytała Starla.

– Dlaczego to trwało tak długo? – odezwał się.

W życiu nie słyszałem równie smutnego głosu.

*

Siedzieliśmy przed płomieniami buchającymi w kamiennym kominku, wcinając kanapki i słuchając niecierpliwego szumu potoku płynącego pod nami. Niles pochłonął trzy kanapki, nie mówiąc ani słowa. Przyszło mi do głowy, że odkąd wyrzucili go z ceremonii inicjacji, nie miał nic w ustach. Fraser usiadła obok, ale sprawiała wrażenie, jakby bała się go dotknąć. Kominek, ziab i wilgoć panująca w tym rozpadającym się domu napawały nas najgorszymi przeczuciami, gdy czekaliśmy, aż Niles przerwie wreszcie to niesamowite milczenie. Wstał z podłogi i dorzucił do ognia dwa polana, które znalazł w pobliskim lesie. Płomienie strzeliły z trzaskiem i nagle zrobiło się jaśniej, gdy drewno poddało się żarłocznemu ogniowi. Cisza przypominała ścianę, która nas od siebie oddzielała.

Wreszcie Fraser zerwała wszelkie układy zmuszające nas do milczenia i powściągliwości.

– A więc to tutaj dorastałeś ze Starłą?

– Tutaj się urodziłem, ale mieszkaliśmy w pierwszym domu, który mijaliście – wyjaśnił Niles. – Nie ma tam nawet podłogi.

Fraser rozejrzała się w mroku tak głębokim, że nawet ogień z kominka niewiele mógł zaradzić.

– Miło tu. Podoba mi się, naprawdę.

Starla i ja wybuchnęliśmy niepohamowanym śmiechem. Nawet przez pochmurną twarz Nilesa przemknął cień uśmiechu.

Nie na takim efekcie zależało Fraser. Zdenerwowana, zaczęła ściągać i zakładać pierścionek z szafirem.

– Źle wyraziłam to, co chciałam powiedzieć – tłumaczyła. – Ja tylko myślałam... mówiłam o egzotyce. O domu nad wodą.

Ja i Starla znów zanieśliśmy się spazmatycznym śmiechem nad potokiem z pstrągami. Płomienie rzucały na ścianę groteskowe chwiejne cienie, a wieczorny mrok zgęstniał w zakłopotanie i niespójność. Niles coraz bardziej mnie irytował. Zawsze uważałem, że milczki są najbardziej przereklamowanym gatunkiem człowieka.

– Kiedy miejscowi kupcy przyślą wóz z reklamówkami swoich towarów? – odezwałem się ni w pięć, ni w dziewięć, byleby przerwać ciszę.

– Po co przyjechaliście? – zapytał Niles.

– Bo słyszeliśmy, że to najlepsza pora na wypad w góry – odparłem. – Jest szansa, że będzie śnieg. Luksusowe zakwaterowanie. Jedzenie podawane do pokoju. Materace wypchane pierzem. Gorące natryski. Sauna. I pasjonujące pogaduszki ze starymi przyjaciółmi.

– Chcemy, żebyś z nami wrócił, Nilesie – powiedziała Fraser. – Bez ciebie nie jesteśmy w komplecie.

– Kocham cię, więc twoja rodzina w każdej chwili znów może się do mnie dobrać – odpowiedział.

Fraser zrozumiała sygnał, objęła go i zaczęła gładzić po włosach tak delikatnie, że się wzruszyłem. Przez wybite szyby wpadł zimny wiatr, więc przysunęliśmy się bliżej ognia. Dorzuciłem trochę drewna.

– Już nigdy nie pozwolę im cię skrzywdzić, Nilesie, przysięgam – zapewniła Fraser. – Kiedy Chad wrócił do domu i zaczął opowiadać, jak to się ubawili, wytrząsałam go po pysku. Rodzice się

zdenerwowali, widząc, że się załamalam. Elita Charlestonu jest taka okrutna, ale nikt z nich tego nie dostrzega. Dwadzieścia lat temu Zgromadzenie Middletona omal nie zwinęło żagli. Ceremonia inicjacji była tak koszmarnie nudna, że tracili członków. Pewnego roku przyszło na nią zaledwie dziewięć osób. Dlatego ktoś wpadł na pomysł, żeby zgłaszać dwóch kandydatów dla zgrywy. Moim rodzicom nigdy się nie podobało, że ze sobą chodzimy, Nilesie. Przecież wiesz. Wyjeżdżając z Charlestonu, tylko poszedłeś im na rękę.

– Bardzo to piękne i wzruszające, ale chce mi się sikać – przerwała jej Starla.

– Skorzystaj z wychodka po drugiej stronie drogi, naprzeciwko drugiego domu – poradził jej Niles. – Jest tam trochę gazet.

– Ja chcę sikać, nie czytać.

– Zbyt długo nie zaglądałaś w góry – skwitował. – Chodź, zaprowadzę cię.

Gdy wrócił z siostrą, opowiedzieliśmy mu, co wydarzyło się od czasu upokorzenia jego i Trevora. Ubawiła go historia o kuzynie w półciężarówce. Kolejne wspomnienia wywoływały falę następnych, aż w końcu Niles całkiem się w nich zatopił. Wkrótce w ruderze słyhać było tylko jego głos. Myślę, że nasz przyjazd coś w nim wyzwolił, odsłonił jakieś od dawna ukryte miejsce, więc zdecydował się otworzyć, korzystając z ochrony, jaką zapewniają ogień, zimno i ciemność, gdy dusza, niczym motyl, odczuwa nagłą potrzebę wzbicia się wysoko. Tego wieczoru jego dusza była żywą istotą zrodzoną ze światła ognia. Opowiedział nam swoją historię, którą do tej pory nie podzielił się nawet ze Starłą.

Urodził się w domu, w którym właśnie siedzieliśmy; Bright, jego trzynastoletnia matka, poszła w południe do domu swojej matki i wtedy odeszły jej wody płodowe. Mąż Bright – zwały, barczysty facet – pracował jako dozorca w zakładzie dla obłąkanych i rzadko bywał w domu. Był dalekim kuzynem swojej żony, z Whiteheadów z Asheville. Dali synowi na imię Niles, od nazwy biblijnego Nilu, o

którym pastor wspominał w kościele, chłopak nie wiedział jednak, że jego imię jest liczbą mnogą nazwy tej rzeki. A kiedy rok później na świat przyszła Starla, nadali jej imię na cześć gwiazdy, która pokazała się nad stajenką w Betlejem.

Gdy Niles się urodził, jego babka miała dwadzieścia siedem lat i pracowała jako położna. W środkowych domach mieszkali dwaj wujowie Nilesa – ponurzy, ciężko pracujący mężczyźni. Synowie jego dziadka, Pickerilla, pędzili najlepszy bimber w tej części Karoliny Północnej, co skądinąd przyplącili odsiadką. Matka Nilesa, uroczą kobietą, rozplakała się po urodzeniu Starli, bo nareszcie miała dwie idealne lalki, chłopczyka i dziewczynkę, którymi – jak to dziecko – mogła się bawić. Niles i Starla przyznawali, że matka uwielbiała ich i rozpieszczała, podobnie zresztą jak babka. Nikt w rodzinie nie potrafił czytać ani pisać, ale wieczorami zabawiali się opowieściami o polowaniach, burdach i rodzinnych waśniach. Wuj Fordham grał na bandzo, oni zaś śpiewali stare pieśni kościelne, a także piosenki górali, przekazywane z pokolenia na pokolenie, opowiadające o niedolach życia.

Niles prawie nie pamiętał ojca, a nieliczne wspomnienia, jakie o nim zachował, nie były dobre. Podczas rzadkich wizyt nad potokiem ojciec był zwykle pijany. Swoją drogą, strumień ten oficjalnie nazywa się Potokiem Whiteheadów, powiedział Niles i obiecał, że na śniadanie dla każdego z nas złowi pstrąga.

– Jeżeli dożyjemy – mruknęła Fraser, gdy zbiliśmy się w ciasny krąg. Dorzuciłem do ognia więcej polan.

Ich ojciec lał matkę, gdzie popadnie, i napażał się z sąsiadami, którzy próbowali jej bronić. Niles pamiętał, że awantury nad potokiem były zajadłe i paskudne. Ojciec przeważnie zostawał na weekend, a potem wracał do Asheville. Coraz rzadziej zaglądał do domu, co akurat Nilesowi i Starli bardzo odpowiadało. Matka Nilesa, Bright, miała wystarczająco dużą pasiekę, żeby starczało na utrzymanie – jej miód sprzedawano nawet w tak odległych miejscowościach jak

Raleigh. Dwie krowy dawały mleko na masło i ser, poza tym hodowali świnie na ubój. Babka była wyśmienitą kucharką. W niedzielę zaprzęgali muła do wozu i jechali do oddalonego o dwie mile Chimney Rock, do kościoła bożego. Po nabożeństwie na terenie przykościelnym podawano obiad i do tego sprowadzało się ich życie towarzyskie.

– Dzieciaki nie wiedzą, czy są szczęśliwe, czy nie – powiedział nam Niles. – Starla i ja byliśmy po prostu dziećmi, ale mieliśmy przynajmniej świadomość, że jesteśmy otaczani opieką, miłością i dobrze odżywieni. Mama była pewna, że jako pierwsi w rodzinie zdobędziemy wykształcenie. Jej strata była dla nas ciosem, ale musieliśmy się budzić z tą gorzką świadomością przez tyle lat, że trudno zliczyć. Dopiero kiedy zaczynasz kochać swoje życie, jakieś piekielne siły postanawiają wszystko ci odebrać.

Ojciec znów wrócił z miasta. Niles i Starla nie wiedzieli, jak ma na imię, bo mówili na niego „tatusiu”, a mama zwracała się do niego „skarbie” albo jakoś podobnie. Przywiózł napisany przez swojego prawnika pozew rozwodowy. Chciał, żeby Bright postawiła krzyżyk na dokumencie, by mógł się z nią rozwieść i ożenić z inną kobietą. Ona wpadła w szal, pobiegła do domu swojej mamy, wzięła z szafy strzelbę ojca i wracała do siebie, gdy nagle zobaczyła męża. Pogryziony, uciekał przed sforą psów, które pełniły funkcję systemu alarmowego – ostrzegały przed obcymi pojawiającymi się na drodze. Bojąc się, że mogłaby trafić psa, Bright rozładowała strzelbę i wyrzuciła naboje do potoku. Chciała tylko nastraszyć tego żalostnego sukinsyna, żeby dobrze się zastanowił, zanim znów zacznie jej się czepiać. Ale Niles w głębi duszy czuł, że dotknęło ją to bardziej, niż okazywała, chociaż nigdy nie powiedziała o jego ojcu złego słowa. Byłoby to sprzeczne z kodeksem Whiteheadów.

Kilka miesięcy później ojciec zmarł w Asheville. Zadzwonili stamtąd do pastora, więc podjechał samochodem do Whiteheadów, by przekazać im ponurą wiadomość. Mama Nilesa zawyla. Wielebny

Grubb zaproponował, że zawiezie całą rodzinę na pogrzeb, co przyjęto z wdzięcznością.

– Wystrojeni w najlepsze niedzielne ubrania, czekaliśmy na autostradzie do Asheville na pastora, który miał nas zabrać – ciągnął Niles. Jego babka była jedyną dorosłą osobą towarzyszącą swej córce na pogrzebie, bo sąsiedzi doszli do wniosku, że mąż Bright był wart tyle co parchaty kundel. Podczas jazdy do Asheville Niles i Starla wymiotowali na zakrętach.

Jak na wiejski gust ich mamy kościół był zbyt wyszukany. Bright nigdy nie widziała prezbiterian. Ona i jej matka niepewnie postawiły krzyżyki w księdze gości i poszły obejrzeć zwłoki.

Dokończenie tej historii przyszło Nilesowi z wielkim trudem. Dorzucił do ognia, zanim podjął opowieść.

Jego mama zaczęła zawodzić i lamentować na pradawną modłę – co w prezbiteriańskim Asheville było zdecydowanie źle widziane. Ludzie gapili się na rodzinę Nilesa jak na przybyszów z kosmosu. Jakaś kobieta podeszła do Bright, gdy ta zaczęła obsypywać pocałunkami twarz zmarłego męża, i zapytała ją oschle, co ona właściwie sobie wyobraża. Bright odwróciła się do niej i wrzasnęła tak, żeby słycać ją było w całym kościele:

– Oplakuję śmierć męża, ojca dwójki moich dzieci. Coś ci się nie podoba, miastowa panno?

Niles zrozumiał, jak niebezpieczny jest wybuch mamy, gdy ujrzał przerażoną minę wielebnego Grubba, który zaczął naradzać się z kościelnym. Zanim jednak wielebny zdążył wrócić do jego mamy, inna kobieta podeszła do Bright i oświadczyła:

– To ja poślubiłam tego mężczyznę w tym oto kościele, osiemnaście lat temu. W pierwszym rzędzie siedzą moi trzej synowie. Proszę opuścić tę świątynię. Dla pani nie ma tu miejsca.

– Wielebny Clyde Grubb udzielił mi ślubu z tym oto zmarłym mężczyzną przed Bogiem i moją rodziną sześć lat temu, kiedy byłam

w ciąży z moim synem Nilesem – odparowała Bright. – A oto jest jego córka Starla. Więc nie opowiadaj mi, że nie ma tu dla mnie miejsca. Jestem jego prawowitą ślubną małżonką.

I wtedy pani Whiteadowa z Asheville popełniła grubego błąd, nakazując szwajcarowi:

– Proszę ją stąd wyrzucić. Na tyle dyskretnie, na ile to możliwe.

Mimo że Asheville leży w górach, miasto już dawno straciło pojęcie o psychologii góralek. W wysokich górach duma rośnie gęsto jak wawrzyn, o czym pani Wymuskana z Asheville przekonała się na własnej skórze, gdy doprowadzona do rozpaczki matka Nilesa wyjęła nóż myśliwski i wbiła go w plecy oddalającej się rywalki. Rana była okropna, aczkolwiek nie śmiertelna. Niles patrzył bezradnie, jak dwaj mężczyźni łapią jego mamę od tyłu. Po chwili jeden z nich leżał na posadzce, a spomiędzy jego łopatek sterczał nóż myśliwski babki Nilesa.

W kościele rozpętało się istne piekło.

– Więcej już nie zobaczyliśmy naszej mamy. Babci też nie. Tego dnia zaczęła się nasza wieloletnia tułaczka po sierocińcach. Starla i ja zawsze myśleliśmy, że one nas odszukają. Słyszeliśmy, że trafiły do więzienia. Wiedzieliśmy, że kiedy wyjdą, nie spoczną, póki nas nie odnajdą. To marzenie dawało nam siłę przez te wszystkie lata. Tylko to marzenie, nic więcej – powiedział Niles.

– Ja wciąż o tym marzę – westchnęła Starla. – Tak bym chciała znów się do nich przytulić.

– Jutro pokażę wam ich groby – rzekł Niles. – Leżą na rodzinnym cmentarzu, wysoko w górach.

Zawodzenie, które odbiło się echem w całym domu, zrodziło się w górach. Przerazająco wymownie opowiadało o górskim smutku, a wyrwało się z gardła Starli, jak gdyby jej serce zaatakowała burza. Pocieszaliśmy ją na zmianę, ale niektórych ran nie da się wyleczyć. Tej nocy Fraser wzięła Nilesa w ramiona i już go nie puściła.

Następnego dnia rano zajrzeliśmy przed wyjazdem na cmentarz i pomodliliśmy się nad zwłokami dwóch kobiet, które urosły w moich oczach tak, że miałem wrażenie, iż zbliżam się do grobu bogiń.

Potem Niles i Starla pozwolili nam zająć się wszystkim. Zawiozłem ich do restauracji w Lake Lure i kazałem im zamówić, co zechcą. Zadzwoiłem stamtąd do ojca i przekazałem dobrą wiadomość, że wracamy do Charlestonu z Nilesem. Matka zapewniła mnie, że Niles ma czyste konto w sierocińcu, w szkole i na policji. Nie będzie żadnych kar z powodu ucieczki. Na tydzień zawiesiła Chada Rutledge'a w prawach ucznia i o mało nie pobiła się z jego rodzicami w swoim gabinecie. Doskonała robota, synu, jedź ostrożnie, powiedzieli mi oboje. Czuję się rozpieszczony ich miłością, kręciło mi się w głowie. Miałem rodziców o niebo lepszych niż wszyscy, których wiozłem samochodem.

Później Niles zdradził mi to, co opuścił, opowiadając swoją historię. Kiedy jego mama wyszła z więzienia i wszelkie poszukiwania dzieci okazały się bezowocne, powiesiła się na gałęzi drzewa rosnącego niedaleko domu, w którym spędziliśmy ubiegłą noc. Po pogrzebie jego babka przyszła na świeży grób córki i wpakowała sobie kulkę w głowę. Niles uważał, że Starla jest zbyt krucha, by mógł jej opowiedzieć coś tak makabrycznego. Przyznałem mu rację i nigdy nie zdradziłem Starli tego szczegółu z życia jej mamy, nawet kiedy już się pobraliśmy i rozpoczęliśmy wspólne katastrofalne życie.

Z powodu tego, co przydarzyło się Starli, do tej pory strachem i zdumieniem napawa mnie fakt, że nie wyjawilem okoliczności śmierci jej matki.

Mgła i zaćmienie

Pewnego wieczoru, wkrótce po naszym powrocie z gór, ktoś zadzwonił do drzwi. Ojciec, który pomagał Ike'owi Jeffersonowi w odrabianiu zadań z trygonometrii, a Betty Roberts z fizyki, wstał i poszedł otworzyć. Trevor siedział przy fortepianie i grał Schuberta, bo – jak powiedział – to „bardzo schubertowski wieczór”. Oczekiwaliśmy od niego takich powiedzonek i powtarzaliśmy je sobie do końca życia. Przy dwóch maszynach do szycia Sheba i ja pracowaliśmy nad sukniami balowymi dla Berty i Starli. Starla co chwila odrywała Betty od lekcji, żeby Sheba mogła je zmierzyć centymetrem. Sheba oświadczyła z przekonaniem, że ich suknie będą przepiękne i wywołają burzę oklasków. Niles uczył się przy moim biurku w sypialni. Muzyka miała w sobie jakąś tęsknotę oraz niezwykle ładunek melancholii.

Ojciec otworzył drzwi. W oświetlonym progu stał Chad Rutledge, mając po bokach siostrę i swoją dziewczynę. Sheba i ja nie oderwaliśmy się od roboty, ale naszą uwagę rozproszyła nienaturalna gwałtowność, z jaką urwała się muzyka. Chad, Molly i Fraser weszli do pokoju równocześnie z moją matką, która wychyłała z sypialni. Zapadła niezręczna cisza. Wyczuwając zmianę nastroju w domu, Niles zszedł na parter i zamarł na widok Chada.

– To ja poprosiłam Chada, żeby zajrzał do nas z dziewczętami – powiedziała matka. – Od czasu powrotu z gór nikt z was się do niego nie odzywa. W szkole jest osamotniony, inni uczniowie go bojkotują. Postąpił głupio, zrobił coś prawie niewybaczalnego, ale nie ma takiej zbrodni, której nie można by wybaczyć. Tego nas uczą literatura, sztuka i religia. Chad?

Zrobił krok do przodu, wyraźnie wstrząśnięty naszymi wrogimi spojrzeniami. Zaczął coś mówić, urwał, odchrząknął i zaczął od nowa. Arogancja Rutledge'ów wyparowała.

– Wszystkim wam winien jestem przeprosiny. Nie zasługuję na to, żebyście mi wybaczyli. Chciałem powiedzieć wam to prosto w oczy i chciałem, żebyście to usłyszeli. Niles i Trevor mają prawo napluć mi w twarz tak, jak zrobiła to Fraser, bo sobie na to zasłużyłem. Nie potrafię znaleźć wytłumaczenia dla tego, co zrobiłem, nawet sam sobie nie potrafię tego wyjaśnić. Niles, od powrotu ani razu nie zadzwoniłeś do mojej siostry. Co noc słyszymy, jak płacze w swoim pokoju. Rodzice odchodzą od zmysłów. Ona nie miała pojęcia o Zgromadzeniu Middletona. Wybaczcie. Przepraszam was. Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć.

Odwrociłem się do niego plecami i zająłem się rąbkiem sukni balowej Starli. Sheba zrobiła to samo, a Trevor wrócił do Schuberta. Niles ruszył do mojej sypialni. Chad stał na środku pokoju jak rażony gromem.

– Chwileczkę – odezwała się matka. – Nilesie, wracaj! Trevorze, przestań hałasować. Leo i Shebo, spójrzcie na mnie. Macie prawo nie przyjąć przeprosin Chada, ale powiedzcie mu to prosto w oczy. Niegrzeczności tolerowała nie będę. Tu wcale nie chodzi o Chada. Chodzi o to, jacy wy jesteście.

– Nilesie, dlaczego do mnie nie dzwoniłeś? – spytała Fraser zalamującym się głosem, gdy ten niechętnie zszedł po schodach i dołączył do nas. – Pojechałam w góry, żeby cię odnaleźć, więc myślałam, że między nami wszystko jest w porządku.

Niles wbił wzrok w podłogę i zacisnął pięści.

– Niby jak miałbym do ciebie dzwonić? A gdyby odebrał twój ojciec albo matka? A nawet twój brat? Co miałbym im powiedzieć? „Cześć, tu Niles, sierota z sąsiedztwa. Czy mogę rozmawiać z państwa córką, Fraser, która mieszka w rezydencji i której rodzina nie nawidzi do szpiku kości i mnie, i tego, co sobą reprezentuję?”.

– Ja wcale tak nie uważam – zapewniła Fraser. – A ich zdanie mnie nie obchodzi.

– Teraz tak mówisz – prychnął Niles. – Ale wybiegnij myślą w przyszłość. A gdybyśmy się pobrali? Wyobrażasz sobie miny twoich rodziców i ich zadzierających nosa znajomych na wieść, że córka charlestońskich Rutledge'ów wychodzi za murzyna? Ike'u, Betty, nie chciałem was obrazić, nie użyłem tego słowa po to, żeby sprawić wam przykrość.

– Kapujemy – rzucił Ike, mierząc Chada twardym spojrzeniem.

– Państwo Rutledge także okropnie się czują – odezwała się Molly. – Żałują, że do tego doszło.

– Jeśli Trevor ci wybaczy, Chad, ja też ci przebaczę – powiedziała Sheba. – Zastanawiałam się nad tym, co zrobiłeś mojemu bratu i Nilesowi. Najbardziej mierzi mnie w tobie to, że wybrałeś sobie na ofiary dwóch najbardziej uroczych i bezbronnych chłopców pod słońcem. Jak myślisz, co przeżywał Trevor, gdy dorastał? Nadwrażliwy mięczak, zniewieściały pedzio. Przez całe życie dawał sobą pomiatać takim łobuzom jak ty. A oni są wszędzie, czekają na mojego brata w każdym mieście i w każdej szkole. Żeby go pobić. Albo rozebrać i ogołocić z pieniędzy.

– Lubię, jak mnie rozbierają – wtrącił się Trevor, puszczając oko do wszystkich obecnych, co trochę rozładowało napięcie.

– W tym mieście napatoczył się Chad Rutledge – ciągnęła Sheba. – Przystojny, próżny, z arystokratycznej rodziny od tyłu pokoleń, że jego postawa nie trąci fałszem. Chad, który nie ma zielonego pojęcia o tym, co to cierpienie i niedola. Najgorsze, co może mu się

przydarzyć, to zajęcie trzeciego miejsca w jakichś pierdolonych regatach.

– Nie wyrażaj się, Shebo! – upomniała ją moja matka.

– Przepraszam, doktor King. No więc wzięłaś mojego uroczego, umęczonego brata, żeby go obśmiać jako pedała przed setką młodych charlestońskich dupków w maskach Samotnego Mściciela na twarzy. Pozwoliłaś mu uwierzyć, że wejdzie do starego charlestońskiego bractwa, bo całe miasto jest pod wrażeniem jego talentu. Ja i Trevor także mamy tatę, Chad. To dopiero model! Szaleniec, gwałciiciel i chyba morderca. Tylko Kingowie wiedzą o naszym tacie. I wiesz, o czym się przekonaliśmy? Że ta cholerna rodzina będzie o nas walczyć. Widzisz tego gościa, którego nazywasz Ropuchem? Tak, to on, Leo. Kiedy się tu przenieśliśmy, ojciec od razu przyjechał do Charlestonu, żeby nas skrzywdzić. Po raz kolejny nas wytropił. Uciekamy przed nim całe życie. Ale nas znalazł, a my pobiegliśmy do Kingów po pomoc. I wiesz co? Pan King nabił strzelbę, drugą dał Leo i ruszyli w noc, żeby złapać tego skurwysyna.

– Shebo, nic nie poradzę na to, w jakiej rodzinie się urodziłaś – odparł Chad. – Nie zmienię tego, przez co przeszli Niles i Starla. Nic nie poradzę nawet na to, że Fraser i ja jesteśmy Rutledge'ami. Mogę tylko przeprosić za moje paskudne zachowanie. Ale nie jestem w stanie tego cofnąć. Mogę jedynie błagać was o wybaczenie.

– Ja i Trevor wybaczymy ci, jeżeli poproszą nas o to państwo King. Jesteśmy im to winni, a nawet dużo więcej. Ale pierwszeństwo ma ten, którego nazywasz Ropuchem – powiedziała.

– Jestem tego samego zdania – rzekł Ike.

– Popieram – włączyła się Betty z wahaniem.

– Przecież ja nic nie zrobiłem Ropuchowi! – wybuchnął Chad.

Wrócił do dawnej formy.

W tym momencie odezwała się Starla:

– Tym, co zrobiłeś, Chad, wyrządziłeś krzywdę całej szkole. I każdemu z nas.

– Nie chciałem. Nie zastanowiłem się nad tym. To błąd popełniony przez kogoś, kogo wychowano tak, żeby myślał wyłącznie o sobie. Byłem oczkiem w głowie rodziców. Przeze mnie nawet moja siostra czuje się brzydka. To coś, czego nie wybaczę sobie do końca życia.

– Czy ktoś ma torebkę, żebym mógł się wyrzygać? – zapytałem.
– Chyba zwrócę kolację.

– Łatwo ci gadać, Chad – prychnął Ike. – Ale liczą się czyny. Jak to możliwe, że ja i Betty nawet nie wiemy, gdzie mieszkasz?

– Rodzice nie pozwolą nam zaprosić was do domu. – Fraser wyręczyła brata w odpowiedzi. – Nie wierzą w integrację i nigdy się do niej nie przekonają. Ale Chad i ja mamy inne poglądy.

– Czy wpojono ci takie przekonania? – spytała Betty.

– Owszem – przyznał Chad. – Tak nas wychowano.

– Mnie również wychowano w tym duchu – włączył się mój ojciec. – Ale ludzie się zmieniają. To jedna z przyjemniejszych stron dorastania.

– Ojczy, czy muszę wybaczyć Chadowi dzisiaj? – zapytałem. – Nie mógłbym nienawidzić go jeszcze z miesiąc czy dwa?

– Powinieneś nauczyć się czegoś o czasie, synu. Mija dziwnie i trudno go zdefiniować. Bywa, że stwarza ci setki okazji, by zrobić coś dobrego. Czasem jednak daje ci tylko jedną szansę. Teraz właśnie ją masz. Na twoim miejscu nie wypuszczałbym jej z rąk.

Pod miażdżącym spojrzeniem ojca zrobiłem, co do mnie należało, i uściskałem się z Chadem. W tej niezręcznej, pełnej nieporadnych ruchów chwili uświadomiłem sobie, jak bardzo ten chłopak cierpi – bojkotowany przez wszystkich uczniów, którzy przestali się do niego odzywać, zupełnie się załamał. Dotychczas nie widziałem, żeby cierpiał jak każdy normalny człowiek.

Potem odwrócił się do Nilesa, Trevora i Starli i wyciągnął do nich ręce, jakby wywieszał białą flagę. Poddając się, zaskomlał piskliwie:

– Nilesie, Trevorze, cały czas szukałem motywu, jakiegoś powodu tłumaczącego to, co wam zrobiłem. Jedyne, jaki przyszedł mi do głowy, to taki, że była to najpodlejsza rzecz, jaką zdołałem wymyślić. A wy obaj byliście tak wyobcowani z towarzystwa, że uznałem, iż nie grozi mi odwet z waszej strony. Nigdy jeszcze nie postąpiłem tak paskudnie. A najgorsze, że świetnie się przy tym bawiłem. Oczywiście do czasu, aż dowiedziałem się o ucieczce Nilesa.

Ike i Betty podeszli, żeby uściskać Chada i z powrotem przyjąć go do naszej zranionej, zdekompletowanej paczki. Sheba podbiegła w podskokach i ucałowała go w oba policzki, niewinnie jak europejska zakonnica.

– Postaraj się być miłszy, Chad. Gdybyś był miły, byłbyś niemal doskonały.

– Postaram się, Shebo. Musicie mnie tego nauczyć krok po kroku.

Niles się nie śpieszył, podchodząc do niego i mierząc go bezlitosnym sokolim wzrokiem. Z bliska spojrzał mu w oczy, jakby próbował złamać szyfr, który ujawni mu, co też Chad naprawdę myśli. W końcu przemówił:

– Przejdę nad tym do porządku dziennego, Chad, ale bynajmniej nie ze względu na ciebie. Kocham twoją siostrę. Kocham ją od dnia, kiedy się poznaliśmy. I jest jeszcze jeden powód. Dzięki ucieczce odnalazłem nareszcie mamę. I babcię. Szukaliśmy ich ze Starłą już jako małe dzieci. Kiedy ten palant na Zgromadzeniu Middletona wspomniał o „Chimney Rock Times”, po raz pierwszy dostałem wskazówkę, gdzie należy szukać. Teraz dla mnie i Starli to już koniec poszukiwań. Jeśli przez całe życie jesteś sierotą, przestajesz wierzyć, że coś się dobrze skończy.

– Ale między nami wszystko może się jeszcze ułożyć, Nilesie – rzekła Fraser.

– Się okaże – mruknął. – W naszym świecie wiara w szczęśliwe zakończenia przynosi pecha. Aha, Chad, oszczędzę ci fatygi. Starla nie wybaczy ci nigdy w życiu, umrze, nienawidząc cię, więc nawet

jej nie proś. Ona już tak jest skonstruowana.

– W porządku – rzucił Chad.

Niles podszedł i uściskał Fraser, która rozplakała się na jego ramieniu.

– Dobrze powiedziane, braciszku – pochwaliła Starla.

Teraz wszyscy zainteresowali się Trevorem, który podczas wystąpienia Chada siedział odwrócony plecami, z rękami wiszącymi nad klawiaturą, jakby chciał zagrać coś w tonacji b-moll. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z klawiszy, chłonał jednak każde słowo odbijające się echem w pokoju. Wstał teatralnie, wiedząc, że teraz to on znajdzie się w centrum uwagi. Zwinnie i nonszalancko podszedł do Chada – zawsze sprawiał wrażenie, jakby chodził na poduszkach powietrznych. Miał przebiegłą minę, niczym walet treflowy w niektórych taliach kart.

– Wybacz, Trevorze – odezwał się Chad. – Nie wiem, jak inaczej mógłbym to wyrazić.

– Nie ma sprawy, kochanie. Pocałuj mnie tylko i będziemy kwita.

Znienacka rzucił się na niego i pocałował go w usta, wsuwając mu język głęboko, niemal do gardła. Chad zaczął się cofać, aż zawadził tyłkiem o frontowe drzwi, po czym złapał popielniczkę i zaczął do niej pluć, jakby wąż ukąsił go w język.

– Zawsze i wszędzie rozpoznam utajoną ciotę – oświadczył Trevor. Wrócił do fortepianu i zaczął grać *One Last Kiss* z musicalu *Bye Bye Birdie*.

I wtedy moi rodzice otworzyli tylne drzwi, wpuszczając tajemniczego gościa. Do pokoju wśliznął się monsinior Max, w zawadiacko przekrzywionym birecie. Zdjął go i rzucił mi jak frisbee, a tymczasem ojciec podał mu wytrawne martini.

– Państwo King prosili mnie o odprawienie egzorcyzmów, a ja niczego nie potrafię im odmówić. Czy ten łotr mógłby się ujawnić? Gdzie jest ten nieszczęsny grzesznik, z którego trzeba wygonić diabła?

Chad wyszedł na środek pokoju.

– Panu chyba chodzi o mnie, proszę pana.

– Miejmy to z głowy jak najszybciej, synu. Wywal kawę na ławę i powiedz mi, byle krótko i treściwie, co takiego zrobiłeś. A swoją drogą, możesz mnie tytułować „monsinior” – oznajmił Max z wielką klasą i fanfaronadą.

– Monsiniorze, chyba wyszedłem na dupka... – zaczął Chad.

– Nie wyrażaj się – upomniała go matka.

– Odpuszczone – odrzekł monsinior. – Twoja dusza została oczyszczona. Bycie dupkiem to tylko jedno z określeń na opisanie kondycji człowieczej. Oznacza tyle, że jesteś bardziej normalny niż większość z nas. Idź i nie grzesz więcej.

Monsinior Max pobłogosławił pokój znakiem krzyża i wieczór zakończył się wesoło, z poczuciem, że wszystko wróciło do normy.

*

Kwiecień tamtego roku zatarł się w mojej pamięci, a maj pamiętam jak przez mgłę. Mam jednak kilka fotografii, które naprowadzają mnie na trop. Na balu maturalnym siedzę przy okrągłym stole, trzymając się za ręce ze Starłą, która promienieje w nowej sukience. Sheba przysłała z Trevorem – obiektyw aparatu skupił się na uderzającej urodzie bliźniaków i zapomniał o innych przy stole. Zawsze poważny Niles nie uśmiecha się, trzymając na kolanach Fraser w eleganckiej sukni od słynnego projektanta, którą matka sprowadziła jej z Nowego Jorku.

Dopiero przyglądając się temu zdjęciu, dochodzę do wniosku, że Fraser ma najładniejsze ramiona i najbardziej nieskazitelną cerę, jakie widziałem. Ike i Betty nie patrzą w obiektyw, tylko na siebie, tak samo jak Molly i Chad. Kiedy spoglądam na tę fotografię dwadzieścia lat później, uderza mnie, jak zdrowa jest nasza paczka, jak promieniuje młodością. Wyglądamy na niej, jakbyśmy mieli żyć wiecznie. Przychodzi mi na myśl, że – oczywiście z wyjątkiem Sheby i Trevora – wszyscy przy tym pamiętnym stole z czasem pobrali się

ze swoimi ówczesnymi partnerami.

Czy wymieniliśmy już ze Starłą słodkie słówka, które w końcu zaprowadziły nas przed ołtarz kaplicy Summerall, gdzie monsinior Max związał nas świętym węzłem małżeńskim w dniu, kiedy ukończyłem naukę w Cytadeli? Tego samego dnia, później, w tej samej kaplicy, wzięli ślub Ike i Betty i potem na zmianę bawiliśmy się na swoich weselach. Sheba i Trevor przylecieli z tej okazji z Kalifornii – ona była druhną Starli. W następną sobotę Niles i Fraser pobrali się u Świętego Michała, a w kolejny weekend odbył się ślub Chada i Molly. Tamtego lata bawiliśmy się na całego.

Wracam jednak do zapomnianego kwietnia i zatartego w pamięci maja 1970 roku. Wzięłem kolejną fotografię i uśmiechnąłem się na wspomnienie chwili, gdy ojciec robił to zdjęcie. Chociaż wychodziliśmy z siebie, żeby jak najlepiej się upozować, ojciec się uparł, że mamy się stosować do jego poleceń – w rezultacie fotografia ta dla wszystkich okazała się prawdziwym skarbem. Byliśmy świeżo po próbie rozdania dyplomów, w togach i czapkach, a ojciec kazał nam wejść na magnolie majestatycznie stojące na warcie przed naszą werandą. Drzewa były obsypane śnieżnobiałymi kwiatami, których woń nasyciała charlestońskie powietrze w promieniu stu metrów. Wdrapaliśmy się na nie z trudem, utyskując – dziewczęta na to po lewej, chłopcy na to po prawej. Ojciec uparł się, żebyśmy wystawili głowy dopiero wtedy, gdy znajdziemy idealny kwiat magnolii i włożymy go sobie między zęby. Klęliśmy i wierciliśmy się tam przez dobry kwadrans, w rezultacie jednak wyszliśmy na zdjęciu jak nowy gatunek nimf wodnych. Z dzikim wzrokiem i rozgwieżdżonymi twarzami balansowaliśmy niebezpiecznie, ryzykując życie, żeby Jasper King mógł zrobić to śmieszne zdjęcie. Fotografia okazała się odbiciem tego cudownego, magicznego roku. Na jej widok nieznajomi wybuchali gromkim śmiechem, my zaś docenialiśmy jej specyficzny humor, a także fakt, że to mój ojciec wpadł na ten pomysł i miał cierpliwość, by doprowadzić go do końca.

Joseph Riley junior – płomienny, dobrze zapowiadający się polityk – wygłosił najrzadsze w historii, pamiętne przemówienie z okazji rozdania dyplomów, które tak zelektryzowało moją klasę, że mieliśmy ochotę wybiec i zacząć zmieniać świat. Molly zaprosiła całą swoją klasę do domku plażowego babki na Wyspie Sullivana – czarnych i białych, biednych i bogatych. Jasno dała do zrozumienia, że ani jej, ani jej rodziców nie obchodzi takie drobiazgi. Zaprosiła też wszystkich nauczycieli, również i białych, i czarnych. Słyszałem, jak moja matka mówiła Hugerom, że gest Molly był najwspanialszym przejawem przywództwa, z jakim spotkała się w swojej karierze pedagoga. Hugerowie byli wniebowzięci, Molly dygnęła uprzejmie przed moją matką, ale odniosłem wrażenie, że zielono cętkowane oczy Chada zasnuwają czarne chmury. W sumie jednak niewiele z tego wieczoru zostało mi w pamięci. Pamiętam, że pływałem w ciepłej wodzie, pamiętam szybki prąd i huk fal. Woda była słona i wspaniała. Wspaniałe były też usta Starli. Przyjęcie trwało do białego rana. Wsiadłem do samochodu o wschodzie słońca i spóźniłem się z rozwożeniem gazet.

Gdy dotarłem na miejsce, Eugene Haverford mnie zrugął. Potem jednak złagodniał i wręczył mi prezent z okazji ukończenia szkoły, zawinięty w stary egzemplarz „News and Courier”. W środku była fabrycznie nowa elektryczna maszyna do pisania marki Olivetti, która pewnie kosztowała majątek.

– Wiem, że zamierzasz zostać dziennikarzem, więc chciałbym, żebyś pracował w tej gazecie – powiedział Eugene Haverford. – I chciałbym być wtedy na tyle w formie, żeby dostarczać te twoje wypociny całemu miastu.

Do dzisiaj piszę felietony na tej maszynie.

W południe na dworcu kolejowym zebrała się wielka grupa maturzystów, którzy przyszli odprowadzić Shebę i Trevora Poe na pociąg do wyśnionej Kalifornii. Sheba postanowiła wziąć we władanie południową część tego stanu, Trevor zaś zadowolił się północną. Na

dworcu była ich matka, Evangeline, i chyba moi rodzice. Pamiętam krzyki tłumu, kiedy bliźniaki przesyłały nam całusy, a pociąg odjeżdżał w kierunku Atlanty, ale teraz wspomnienie to oddala się ode mnie, traci ostrość, znika.

Wracam więc wspomnieniami do rozrzucania gazet w świetle gwiazd i tajemniczo kwitnących ogrodów. W ciemności jadę na rowerze, labirynt ulic wydaje się uduchowiony, słońce wstaje nad różowionymi kolumnami miasta, a ja pedałuje Church Street w kierunku East Bay i na Meeting Street. Mógłbym pokonać tę trasę z zamkniętymi oczami albo przez sen i rozstanie się z tą robotą było dla mnie bardzo bolesne.

Rzuciwszy ostatnią gazetę, pojechałem Broad Street, żeby wraz z rodzicami wziąć udział w porannej mszy. Spóźniłem się kilka minut, stwierdziłem jednak, że monsior Max ma komplet ministrantów, więc usiadłem w pierwszym rzędzie obok matki. Dopiero wtedy zauważyłem, że nie ma ojca.

- Gdzie ojciec? – zapytałem szeptem.
- Źle się dziś czuje – odparła matka.

Po odczytaniu ewangelii poczułem niewytłumaczalny, dojmujący strach. Zerwałem się z ławki i popędziłem główną nawą katedry. Wskoczyłem na rower i jak szalony popedałowałem do domu. Potem sąsiedzi opowiadali mi, że otwierając drzwi, krzychałem. Wbiegłem do sypialni rodziców i zobaczyłem ojca leżącego twarzą w dół na podłodze. Kiedy przewróciłem go na plecy, był już sztywny, ale próbowałem go wskrzesić, robiąc mu sztuczne oddychanie i masaż serca. Wdmuchując powietrze do jego ust i zaciskając mu nos, miałem wrażenie, że dmucham do dziurawej papierowej torby. Moje powietrze nie wracało z jego płuc, pozostawało tam w ciemności i ciszy, jaką jest śmierć. Nagle znalazłem się w objęciach sąsiadki. Evangeline Poe wezwała karetkę, ja zaś siedziałem na podłodze, zastanawiając się, co mam począć z resztą życia.

Zwłoki wystawiono na widok publiczny w piątek wieczorem. Gdy monsinior Max skończył odmawiać różaniec, podszedłem do otwartej trumny. Ucałowałem ojca w oba policzki i bezgłośnie podziękowałem mu za wszystko, co dla mnie zrobił, i za to, że kochał mnie nawet wtedy, gdy ja sam uważałem, że nie sposób mnie kochać. Zdjąłem z palca jego prawej dłoni sygnet Cytadeli i schowałem do kieszeni marynarki.

Widząc to, matka zapytała:

– Dlaczego go nie założysz?

– Bo jeszcze na to nie zasłużyłem. Ale kiedy już zasłużę, nie zdejmę go do końca życia.

Teraz też, pisząc te słowa na maszynie Olivetti, spoglądam na sygnet ojca.

Na pogrzeb przyszło wielu mieszkańców miasta. Co drugiego lekarza i pielęgniarkę w Charlestonie ojciec uczył przedmiotów ścisłych. Monsinior Max wkroczył triumfalnie i rozpoczął mowę pogrzebową od słów: „Jasper King był najwspanialszym człowiekiem, jakiego spotkałem na ziemskim padole. Idę o zakład, że będzie też najwspanialszym człowiekiem, jakiego spotkam w niebie”.

Liczny tłum przyglądał się, jak składają zwłoki ojca w mogile na cmentarzu przy kościele Świętej Marii, obok jego syna Steve'a. Myślałem, że matka zemdleje na widok imienia Steve'a na nagrobku, i uświadomiłem sobie, że ani razu nie przyszła na grób swego starszego syna. Ja bywałem tam dziesiątki razy i zawsze wracałem ze złamanym sercem.

CZEŚĆ PIĄTA

Nareszcie w domu

Kiedy learjet kołuje na pasie startowym w Charlestonie, Ike spozstrzega karetkę czekającą na nasz przylot. Pilot zatrzymuje samolot siedem metrów od niej. Wybiegają dwaj sanitariusze. Po opuszczeniu schodków Niles znosi Trevora, który przespał całą podróż na drugą stronę kontynentu, i kładzie go na noszach. Na powitanie naszej rozmemłanej, wymęczonej grupki wychodzi doktor David Biederman. Wyglądamy jak zaginiony oddział żołnierzy, którzy zbyt długo byli pod ostrzałem nieprzyjaciela.

Ściskam mu dłoń.

– Witaj, Davidzie. Nie widziałem cię od czasu, kiedy jako swojemu następcy od rozwożenia gazet przekazałem ci kwitariusz. Teraz jesteś sławny.

– O Boże, ten samolot jest pełen bogów i bogiń z czasów, kiedy chodziłem do pierwszej klasy liceum – mówi David. – Shebo Poe, ależ ja się w tobie durzyłem!

– Jak wszyscy, Davidzie – odpowiada Sheba. – Potrafisz pomóc mojemu bratu?

– AIDS to zagadka, ale owszem, mogę mu pomóc. Zrobię, co w mojej mocy, żeby utrzymać go przy życiu.

– Dopóki Trevor będzie żył, raz w roku masz u mnie bzykanko – obiecuje Sheba.

- Jestem żonaty – przypomina lekarz. – Mam dwójkę dzieci.
- Czy małżeństwo całkiem odebrało ci rozum? Nie mówię o spędzaniu razem następnych pięćdziesięciu lat, tylko o przyjaciel-skim rypanku.
- Zostaw Davida – wybawia go z opresji Betty. – Cześć, doktor-ku, miło znów cię widzieć. Pamiętasz mojego męża Ike'a?
- Nowy szef policji. – Lekarz podaje Ike'owi rękę.
- Pies nad psami – bagatelizuje Ike. – Dzięki, że przyjechałeś na lotnisko.
- Doktorze, czy mogę jechać z Trevorem karetką? – pyta Niles.
- Nie, to moje zadanie. Chcę go zbadać, jeszcze zanim dotrzemy do szpitala. Zdaje się, że w ogóle nie brał lekarstw.
- Nie brał – potwierdza Molly.
- Nie miał zapewnionej należytej opieki – dodaje Fraser.
- To cud, że jeszcze żyje – wzdycha doktor Biederman.
- Mam wrażenie, jakbyśmy spędzili w San Francisco dziesięć lat – marudzi Sheba. – A teraz muszę się zająć moją upierdliwą matką, widocznie Bóg mnie nienawidzi. Ma ktoś cyjanek?
- Dla ciebie czy dla twojej matki? – pyta Betty.
- Sama jeszcze nie wiem.

Obok samochodu staje limuzyna i pilot zaczyna wnosić bagaże z luku towarowego.

- Idźcie teraz odpocząć – radzi Ike. – Ale w niedzielę musimy się spotkać na naradę.
- Pojedźmy do domu mojej babki na plaży – proponuje Molly.

Podwożę wszystkich po kolei, a następnie jadę z Shebą do jej matki. Przechodzę na drugą stronę ulicy, żeby się spotkać ze swoją. Jak przystało na obowiązkowego syna, codziennie dzwoniłem do niej z San Francisco i na bieżąco składałem relacje z postępów, ona zaś wyczerpująco informowała mnie o tym, co dzieje się wśród elity i klas niższych Charlestonu. Po przejściu na emeryturę stwierdziła,

że ma talent i zamiłowanie do plotek, zwłaszcza tych nieprzyzwoitych. Kilka felietonów oparłem na pogłoskach, które zebrała podczas dyskusji w swoim klubie ogrodowym, a jej wyjątkowo przypadła do gustu rola anonimowego źródła moich co bardziej kontrowersyjnych tekstów. Nie uważała rozpowszechniania plotek za donoszenie synowi, który niszczy ludziom reputację, lecz doszukiwała się w tym inspiracji Joyce'em – nasłuchiwała, co piszczy w charlestońskiej trawie, tak jak robił to Joyce, opisując ulice i nadbrzeża Dublina.

Na wiosnę wydawnictwo University of South Carolina Press ma opublikować jej eseje o Joysie. Gdy ściskamy się w progu, pokazuje mi list od wydawcy, który informuje ją o przyjęciu tekstu do druku, a potem prowadzi mnie do fotela w salonie. W tym domu nic nigdy się nie zmienia – te same meble stoją w tych samych miejscach co w czasach, kiedy byłem dzieckiem. Powrót tu przypomina wejście w sen, w którym pograżałem się tysiące razy.

– Gratuluję, matko – mówię. – Wyprawię ci przyjęcie z okazji wydania książki.

– To oczywiste. Najlepiej w Charleston Library Society, rozmawiałam już z nimi na ten temat.

– Czy można tam przynieść własne jedzenie i alkohol? Nigdy nie byłem u nich na żadnym przyjęciu.

– Prowadzimy w tej sprawie poważne negocjacje – informuje matka. – Mamy mnóstwo czasu na planowanie.

– Jestem pod wrażeniem. W wieku osiemdziesięciu lat wydajesz drugą książkę!

Ona jednak nie daje się złapać na haczyk.

– Zrób matce drinka – prosi ze znużeniem. – Jestem przygnębiona.

– Przygnębiona? Dlaczego? – Wstaję i podchodzę do barku. – Przecież wydają ci książkę.

– Monsinior Max przekazał mi złe wiadomości. Ma nawrót raka.

– Przykro mi. Myślałem, że za pierwszym razem wycięli mu cały nowotwór.

- On też tak sądził. Ale trzyma się bardzo dobrze. Przecież jako duchowny wie, jaka nagroda czeka go w niebie.
- Czy oszukiwanie na temat swojego wieku jest powodem, żeby nie dostać się do nieba? – drocę się z nią.
- Nie w przypadku kobiety. Opowiedz mi teraz wszystko o tej syfilitycznej nierządniczy babilońskiej i jej bracie.
- Sheba jest teraz naprzeciwko, u swojej matki. Trevor trafił w dobre ręce i leży w szpitalu Akademii Medycznej, a Sheba nie ma syfilisu i nie jest nierządnicą babilońską.
- Co ty powiesz? Evangeline się całkiem rozsypała, Leo. Jest z nią coraz gorzej. Muszą ją umieścić w domu opieki.
- Moi przyjaciele to samo mówią o tobie.
- Zaproś ich na moje przyjęcie z okazji premiery książki, to zadziwię ich wykładem o intelektualnych zawiłościach żargonu dublińskiego w *Ulyssesie* – odcina się.
- Wolę ich zastrzelić, niż zanudzić na śmierć. Byłoby to bardziej humanitarne.
- To ostatni esej w książce, iluminacja dzieła mojego życia.
- Czyli zgłębiania kart najgorszej książki, jaką napisano na tym wielkim świecie – nadal się z nią drocę, jak zawsze.
- Na teście egzaminacyjnym na studia dostałeś z angielskiego czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć punktów – przypomina matka. – To bardzo mierny wynik.
- Czy te cholerne testy nie podlegają przepisom o przedawnieniu?
- Będą się za tobą ciągnąć aż po grób. Nigdy nie wypadłeś dobrze na testach. Przeszkodziło ci to w karierze.
- W jakim sensie?
- Mogłeś zostać powieściopisarzem, a nie handlarzem sprośności – prycha moja matka.

*

Pomimo upału postanawiam przejść się nad jezioro Colonial i na Broad Street, by przefiltrowane przez palmy światło mogło powitać mnie w Charlestonie. Skręcając w lewo w Tradd Street, czuję, że w wilgoci późnego popołudnia ubranie klei mi się do spoconego ciała jak jakaś pierwotna skóra. W Charlestonie bywają dni tak skwarne, że ma się wrażenie, jakby pływało się pieskiem w podgrzewanym basenie. Znad portu zrywa się wiatr i znów czuję woń Atlantyku, prawdziwego oceanu, którego zapach wypełniał mój nos w dzieciństwie. Powoli zmierzam wypiełgnowaną, kameralną, wąską uliczką, która stała się moim miejscem zamieszkania. Wróciłem na swoje wody terytorialne, na głębiny bez lwów morskich, na letnie płycizny niepodziurawione przez kryjówki krabów. Pacyfik jest mroczniejszy, chłodniejszy i większy. O dowolnej porze roku wołę Golsfstrom od Prądu Humboldta. Po drodze wdycham wspaniałe, czyste zapachy portu, witające mnie z powrotem tam, gdzie się urodziłem.

Zbliżając się do domu Coteswortha-Canona, rozmyślam o niezwykłych okolicznościach, które zmusiły mnie do pracy społecznej w mrocznym antykwariacie Harringtona Canona. Jego oburzeni dalecy krewni zaskoczyli mnie zajadłością, z jaką próbowali podważyć testament, ale po dwóch latach zmagania na sali sądowej dostałem akt własności domu i sklepu. Natychmiast wynająłem sklep innemu antykwariuszowi, który z ochotą przystał na mój warunek, że musi zachować nazwę Antykwariat Harringtona Canona. Hojność pana Canona umożliwiła mi start w nowe życie.

Kiedy służyłem jako kadet w Cytadeli, wynająłem parter i pierwsze piętro domu młodemu wykładowcom z College of Charleston. Matka chętnie poświęcała czas i siły, by dopilnować, żeby ogród wyglądał kwitnąco. W wielkiej przestronnej fontannie hodowałem japońskie ozdobne karpie koi – obserwowałem, jak pływają i wyskakują nad powierzchnię spod liści lilii wodnych, których białe kwiaty znakomicie komponowały się ze złotoobsydianowym baletem ryb.

Najpierw nawadniam ogród i sprawdzam, jak się mają karpie, a dopiero potem ruszam do domu. Tyle że nie znajduję klucza, który

zwykle wieszam na haku wbitym w rynnę, zakrytym przez azalie. Nie spadł, bo na ziemi też go nie ma. Moi serdeczni przyjaciele wiedzą, gdzie chowam klucz, ale wszyscy właśnie przylecieli ze mną z Kalifornii.

Nagle poraża mnie świadomość tego, co się stało, i nastawiam się na długi wieczór pełen wzajemnych oskarżeń – Starla wróciła po przeszło rocznej nieobecności. Wiedząc, że drzwi nie będą zamknięte na klucz, wchodzę do klimatyzowanego domu, w którym panuje ziąb jak w kostnicy. Większość zapasu alkoholu krąży już pewnie w żyłach Starli. Kuchnia wygląda tak, jakby ktoś próbował posprzątać w niej za pomocą granatu. Zastaję żonę w moim pokoju – słucha ulubionej stacji radiowej nadającej muzykę country. Wygląda na to, że jeszcze nie zaczęła pić, nie wiem jednak, czy to dobrze, czy źle. Zdaję sobie sprawę, że jest zdolna w każdej chwili zarzucić mi związek z całym wachlarzem kobiet, rzecz jasna wyłącznie walecznych i zranionych. Wiele z nich wciąż kocha mężczyznę, który znalazł ją w sierocińcu, przykutą kajdankami do krzesła.

Widzę, że znów bierze psychotropy, bo zawsze przybiera od nich na wadze. Na jej twarzy maluje się głęboko wryta historia wszystkich wypitych przez lata drinków.

- Witaj, kochany mężu – cedzi przez zęby. – Cieszysz się na widok ukochanej żony?
- Nic z tych rzeczy. – Podchodzę i cmokam ją w policzek.
- Zdaje się, że nie jesteś zachwycony.
- Podczas ostatnich dwóch powrotów do domu nie ułatwiałaś mi życia – przypominam. – Napijesz się?
- Wypiłam ci całe białe wino – przyznaje się. – Pozwolisz, że teraz obalę flaszkę czerwonego?
- Już podaję. – Wyciągając korek z butelki, zauważam: – Dobrze wyglądasz, Starlo.
- Wyglądam jak chodząca śmierć. – Odwraca się i lustruje pokój, podczas gdy ja zmagam się z korkiem.

Panujący u mnie porządek potrafi wywołać najbardziej kąśliwe uwagi mojej żony – czasami trafne, często absurdalne, ale zawsze bolesne. Podchodzi do okna i spogląda na sielską panoramę ogrodu z boku posesji – fontanna, mirt, staw z karpiami koi. Kiedy odwraca się, by wziąć kieliszek wina, jej wzrok pada na małą ikonę wiszącą na ścianie, utrzymaną w barwach ochry i szkarłatu.

– Z ciebie rzeczywiście jest kawał pobożnego sukinsyna, Leo – mówi bezbarwnym tonem. – Wciąż zapominam, jak twoja profesjonalna uprzejmość potrafi mnie wyprowadzić z równowagi. Jest nie do zniesienia.

– Nie wątpię. – Nauczyłem się nie wdawać z nią w sprzeczki, więc nalewam kieliszek wina dla siebie. Obojętność jest swego rodzaju zbroją, która ściąga na mnie spojrzenie jej ciemnych oczu – równie ślicznych jak wtedy, gdy byliśmy młodzi.

Starla nade wszystko nie cierpi, kiedy się ją ignoruje, dlatego z wprawą mistrza szermierki ciągnie suchym, swobodnym tonem:

– Ze wszystkich cech twojego charakteru akurat tej nie znosiłam najbardziej. Odpychała mnie wtedy i odpycha teraz. Moja rodzina uwielbiała swój kościółek, ale dla mnie gnojek zawsze był lepszy od dobrego samarytanina. Zawsze wolałam Judasza od Jezusa.

Teraz już prowokuje mnie bez ogródek i swego czasu mężnie dałbym jej odpór. Historia dowiodła jednak, że znacznie korzystniej jest przeczekać burzę, niż z nią walczyć. Poza tym z wiekiem Starla straciła dawny pazur. Na początku naszego małżeństwa, kiedy jeszcze potrafiła zachowywać się normalnie, jej ataki były bardziej subtelne, a przez to trudniejsze do odparcia. Sprowadzanie wszystkiego do dobra albo zła jest smutnym symptomem jej pogarszającego się stanu, stoję więc nieruchomo jak marmurowy posąg, niepodatny na ciosy, a ona nadal gada, coraz bardziej pijackim i płaczkowym głosem:

– Zawsze tak było. Wolę gówno od lodów. Życie w nędzy od Klubu Rotariańskiego. Lubię ciemność – oświadczam i wiem, że w tym akurat momencie jest szczerą. – Ufam jej.

Mamy za sobą wiele rund psychoanalizy, więc nic z tego nie jest nam obce. Kiwam głową, lecz moja cierpliwość wzbudza w niej jeszcze większą furję, próbuje więc bić mocniej, trafić mnie w czuły punkt.

– Jestem w ciąży, Leo – wyznaje nagle, siłąc się na nonszalancję.

Mimo że staram się nie okazywać uczuć, wiadomość ta wywołuje u mnie przelotny grymas.

Starla nie straciła umiejętności czytania z mojej twarzy. Jej mina łagodnieje, gdy dzieli się ze mną szczegółami:

– Zdaje się, że facet jest z Milledgeville. Nie wiem, jak ma na imię. W ogóle go nie znam. Byłam u lekarza, doradzał mi aborcję, ale sama nie wiem. W pewnym sensie chcę mieć to dziecko – mówi nagle posmutniała, pogrążona w swoim dziwnym wewnętrznym świecie. Z jej słów przebija szczypta szczerego, acz całkowicie bezpodstawnego optymizmu.

Prawie dałem się w to wciągnąć. Już miałem na końcu języka słowa otuchy, pociechy czy co tam się mówi ludziom takim jak Starla, gdy wyskakują z tak skandalicznymi twierdzeniami. Ona dostrzeżga lukę w mojej obronie i z kocią zwinnością precyzyjnie zadaje cios w postaci spokojnej pewności siebie.

– Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, Leo... to jedyne dziecko, jakie będę miała. Wiesz, że dwójkę twoich wykrobałam. – I dodaje: – To byli chłopcy. Wiem, bo pytałam.

Rozległą sieć mojego ciała ogarnia przedziwny paraliż, żyły na twarzy reagują, jakby Starla podłożyła pod nie ogień. W trzech charlestońskich rodzinach uchodzę za „wujka Leo”. Z biegiem lat zostałem ojcem chrzestnym kilkanaściorga dzieci i zawsze byłem dumny z tego zaszczytu. Określenie „ojciec chrzestny” sprawia mi tyle radości, bo w głębi ducha nie wierzę, że doczekam się dziecka z tą nieśczęsną, poranioną kobietą, którą zdecydowałem się poślubić. W swej bezgranicznej arogancji sądziłem, że potrafię dać jej szczęście,

oferując życie bez ubóstwa, podłości i konfliktów. Nie przyszło mi do głowy, że niektórzy już za młodu zawierają znajomość z mroczną, oszpecającą anarchią, tak silną, że każdy dzień bez muzyki chaosu rozbrzmiewającej w ich uszach jest dla nich dniem straconym. Starla jest właśnie taką dziewczyną. Już w dniu, kiedy ją poznałem, była straconą duszą. Teraz wiem, że w języku angielskim najbardziej niebezpieczne są te słowa, które kiedyś niewinnie wypowiedziałem do Starli: „Mogę cię zmienić”.

Siedząc tak oniemiały po bezlitosnym wyznaniu, że usunęła nasze nienarodzone dzieci, nie czuję nic oprócz smutku, który wydaje się nieśmiertelny. Przez chwilę mam ochotę rozwalić jej głowę pogrzebaczem. Pragnienie to jednak szybko mija, gdy odwracam się i widzę zagubienie w jej oczach – to najbardziej mrozący krew w żyłach z jej atutów. A także dowód nieuleczalnego obłądzenia, który psychiatra z Miami określił swego czasu jako pograniczne zaburzenie osobowości. Na pytanie, co to znaczy, wyjaśnił mi: „To znaczy, że ma pan przejebane. Ona też. Nafaszeruję ją prochami, ale nic więcej nie mogę zrobić. »Pogranicznicy« to skrajni egocentrycy, podli i nieustępliwi. Ich misją jest doprowadzanie wszystkich dookoła do czarnej rozpacz. Wiem z doświadczenia, że wychodzi im to znakomicie”.

Zawsze kiedy wymawiam słowo „pogranicznik” w obecności psychiatrów, zauważam, że mimowolnie się wzdrygają. Teraz sam czuję mimowolne drgawki całego ciała.

Jak zwykle podczas naszych spotkań, zadawszy mi dostatecznie dotkliwy ból, Starla uderza w pojednawczy ton, tyle że nie wolno jej ufać.

– Jesteś na mnie zły, Leo? – pyta. A ponieważ nie odpowiadam od razu, odstawia kieliszek wina i ciągnie: – Leo, proszę cię! Nie miej mi tego za złe. Nie chciałam o tym mówić. Nie znoszę zadawać ci bólu. Zniszczyłam ci życie, musisz mnie za to nienawidzić. Błagam, ty też musisz mnie znienawidzić. Uderz mnie. Zabij. Uwolnij

od tego wszystkiego. Jestem wariatką, Leo. Szaloną. I nie wiem, co z tym zrobić.

W ten sposób osiąga punkt wrzenia, a wtedy staje się najniebezpieczniejszą kobietą na świecie. Sięga w głąb siebie, próbując wskrzesić ducha tamtej młodej dziewczyny, w której się zakochałem. Ale ta dziewczyna od dawna nie istnieje, podobnie jak tamten pełen entuzjazmu młody człowiek, który się w niej zakochał i obiecał, że nie opuści jej aż do śmierci.

– Znienawidzić cię, Starlo? – odzywam się. – Nie mogę. Potrafię wiele rzeczy, ale tego nie.

– Będziesz mnie nienawidził, Ropuchu, już ja się o to postaram. Mam siły, z których jeszcze nie skorzystałam. Moje romanse? Miałam ich dziesiątki. Nie, to nie to. Hej, już wiem... twoje dzieci! Aborcja numer jeden. Pamiętam, jak położne liczyły jego rączki i nóżki, żeby sprawdzić, czy wszystko wyskrobały.

Wchłaniając tę rozdzierającą serce tyradę w i tak już zszargany układ nerwowy, słyszę szybkie kroki na schodach. Potem dochodzi głośny szloch Starli, która rzuca się w silne ramiona swojego brata. Niles zawsze był dla niej bezpieczną przystanią, ostatnią deską ratunku. Wspaniale jest mieć takiego brata jak Niles, myślę sobie.

I wtedy pokój wypełnia wspomnienie Steve'a. Niepokoi mnie, że nie potrafię przywołać choćby jego przybliżonego wizerunku. Ta twarz jest dla mnie stracona na zawsze, jakby nigdy nie istniał. Nawet fotografie Steve'a wydają mi się martwe, bezkształtne. Pamięć spletała mi straszliwego figła, moja zdolność wydobywania twarzy brata z pustki uległa przedawnieniu. Starla szlocha, Niles pociesza ją z czułością, której mnie brakuje, a ja się zastanawiam, gdzie teraz mój brat mieszkałby w Charlestonie. Z całego serca wierzę, że poślubiłby miejscową dziewczynę, dobrą katoliczkę, z którą miałby kupę dzieci i mieszkaliby na James Island albo dalej, w Mount Pleasant. Byłbym wielokrotnym prawdziwym wujkiem, bratankowie i bratanice by mnie kochali, ja zaś na ochotnika trenowałbym ich małą ligę i drużynę piłki nożnej. Dorastaliby, wiedząc o mnie wszystko.

To dzieci mojego brata, dzieci Steve'a, opiekowałyby się mną przed śmiercią. Tak, dzieci Steve'a, ta hałaśliwa, rozkrzyczana hałastrą, której nie dane było się urodzić z chwilą, gdy życie i czas mojego brata stanęły w miejscu. Myślę o własnym synu, tym, którego rączki i nóżki liczyła anonimowa pielęgniarka – „Jedna, druga, trzecia, czwarta... mamy wszystkie, doktorze” – i myślę, jak by to było bawić się z nim w berka albo wziąć go na ryby na rzekę Ashley, tam, gdzie łowiłem z ojcem.

Mam skłonność do chodzenia po linie nad przepaścią i jestem geniuszem w dokonywaniu złych wyborów. Wybrałem sobie kobietę z tak pokiereszowaną tkanką miękką, że wciągnęła mnie do swojego domu z popiołów i zasłon. Kiedy zniknęła na zawsze? W którym momencie, odwróciwszy się w małżeńskim łóżu, ujrzałem śmiertelnie czarną wdowę z czerwoną klepsydrą na brzuchu? Ta klepsydra odlicza mój czas.

Nilesowi udaje się uspokoić siostrę. Gdy na mnie zerka, czuję na sobie ciężar jego współczucia. Widzę, jak próbuje znaleźć sposób na zakończenie tego pouczającego wieczoru.

Starla odsuwa się od niego. Siada mi na kolanach i wypłakuje się na mojej piersi. Właściwie powinienem ją pocieszyć, przytulić albo w inny sposób ulżyć jej cierpieniu, ale nie robię nic, pozwalam jej karmić się moim chłodem.

– Biedny Leo! Biedny Leo! Nie powinieneś się ze mną żenić! Już w chwili, kiedy powiedziałeś „tak”, wiedziałam, że zniszczyłam ci życie.

– Nie wyszło nam tak, jak planowaliśmy – przyznaję się w końcu, bo wiem, że nie przestanę histeryzować, dopóki nie uzyska jakiejś odpowiedzi.

– Zabiorę ją do nas – proponuje Niles. – Pogadamy o tym jutro. Wszystkim nam przyda się trochę snu.

– Kłamałam w sprawie tych aborcji – mówi Starla, gdy brat prowadzi ją do wyjścia. – Nigdy celowo nie zrobiłabym ci przykrości. Nilesie, ja nie chciałam się skrobać. Ale śmiertelnie się bałam,

że dzieci będą podobne do mnie. Leo, z sejfów w ścianie ukradłam ci dziesięć tysięcy dolarów. Weź je sobie.

Rzuca mi torebkę, a ta odbija się od mojego krzesła i spada na podłogę.

– Przechowam ci te pieniądze, Starlo – obiecuję. – Są twoje. Możesz je wziąć w każdej chwili bez względu na to, czy będę w domu, czy nie. Wiesz, gdzie chowam klucz. To twój dom i możesz w nim mieszkać, kiedy tylko zechcesz. Możesz tu zostać na zawsze. Wciąż jesteś moją żoną.

– Załatw mi, kurwa, rozwód z Ropuchem! – wydziera się Starla na brata. – Jeśli mnie kochasz, wyrwij mnie z łap tego fanatycznego katolika!

– My, katolicy, podchodzimy do tego bardzo poważnie – mówię znużony.

Gdy Niles wyprowadza ją na dwór, jej przekleństwa słysząc we wszystkich ogrodach i na podwórkach przy Tradd Street.

*

Następnego dnia śpię długo. Dopiero koło jedenastej budzi mnie zapach świeżo zaparzonej kawy. Niles czeka na mnie w kuchni, roztrzęsiony po wydarzeniach ubiegłego wieczoru.

– W nocy Starla uciekła – informuje mnie. – Żałuję, że do tego doszło, Leo. Żałuję, że w ogóle się spotkaliśmy. Nie mieliśmy prawa zatruwać ludziom życia.

– Wszyscy jesteśmy niewinni – odpowiadam i ściskamy się z Nilesem. Nie wstydzimy się płakać nad zmarnowanym, roztrwonionym życiem Starli.

Zastanawiam się, ile jeszcze razy będziemy płakali z jej powodu.

*

Dojście do siebie po burzliwych spotkaniach ze Starla zawsze zajmuje mi kilka tygodni. Ale w tym ostatnim starciu dostrzegam prawdę, której wcześniej nie zauważałem. Sądzę, że nareszcie gra dobiegła końca, że już po wszystkim. Jadąc na Wyspę Sullivana,

zastanawiam się, jak to możliwe, że wytrzymałem w tym związku małżeńskim dłużej, niż ktokolwiek się spodziewał. Niewątpliwie na mój upór, żeby nie ciągać jej po sądach w sprawie rozwodu, miała wpływ religia. Sheba i Trevor zawsze uważali moją niewzruszoną wiarę za problem wieku dojrzewania, z którego nie wyrosłem, za coś w rodzaju trądziku. Przypuszczam, że trzymam się religii równie niezłomie, jak trzymałem się świętości tego godnego pożałowania małżeństwa. Moja wiara polega na akceptacji surowych zasad Kościoła, niewiedzącego, co to przebaczenie. Daje mi zasady, którymi kieruję się w życiu, i wymaga, żebym przestrzegał ich przez całą dobę, dzień w dzień. Ani na chwilę nie zwalnia mnie z obowiązku dobrego zachowania. Potęga modlitwy pozwoliła mi przetrwać samobójstwo jedynego brata. I chociaż z pełną świadomością wpakowałem się w toksyczne małżeństwo, to jednak nawet gdy błądziłem, uważałem złożoną Starli przysięgę za nieodwołalną i świętą. Ale kiedy Starla zaczęła mnie epatować zakrwawionymi rączkami i nóżkami syna, o którego poczęciu nawet nie wiedziałem, coś we mnie pękło. Obraz ten ma nade mną jakąś mityczną władzę. Patrzę na wodę pod sobą i zastanawiam się, co przyniesie mi życie bez Starli.

Skręcając na podjazd domu, który zawsze nazywałem domem babki Molly, uświadamiam sobie, że ta kobieta, Weezie, zmarła dobre dziesięć lat temu. Parkuję za kabrioletem porsche Chada i zostawiam kluczyki w stacyjce, na wypadek gdyby ktoś chciał odjechać przede mną.

Zaraz za mną podjeżdża limuzyna Sheby. Podbiegam, żeby otworzyć jej drzwi. Z niedbałą elegancją królowej na wakacjach opuszcza nogi z tylnego siedzenia i mówi szoferowi, że ktoś podrzuci ją z powrotem do miasta.

- Do kiedy możesz korzystać z tej limuzyny? – pytam.
- Dopóki będę robiła laskę producentowi.
- Wieczność to dosyć długo – zauważam.

Sheba bierze mnie pod rękę i idziemy do schodków na tyłach domu.

– Taki mam plan – wyjaśnia. – Da się z tym żyć. Kobieta, którą wynajęłam do opieki nad matką, jest cudowna. Na tyle cierpliwa, że znosi nawet taką jędzę jak ja.

– Chryste, to musi być jakaś święta.

Sheba szturcha mnie w ramię.

– Zamknij się. Dla Ropucha nigdy nie byłam jędzowata.

– Zawsze byłaś wspaniała. Widziałem się rano z Trevorem. Wygląda lepiej.

– Z dnia na dzień jest coraz silniejszy – przyznaje. – Rozmawiałam z Davidem. Jego zdaniem za tydzień będzie można wypisać Trevora do domu.

– Przyślij go do mnie. Masz pełne ręce roboty z matką.

– Mama jest w dużo gorszej formie, niż kiedy ją widziałeś ostatnio. W ogóle nie ma pamięci krótkotrwałej. Czasami nie odróżnia mnie od buicka kombi. A co najdziwniejsze, zawsze mi się wydawało, że ludzie z alzheimerem są łagodni i ulegli, tymczasem ona jest wredna jak jasna cholera. Pierwszego wieczoru po przyjeździe ugryzła mojego szofera, a dzisiaj podrapała mi ramię. Spójrz.

Rozpina bluzkę i pokazuje mi cztery krwawe ślady biegnące od obojczyka po łokieć. Ale nie na to zwracam uwagę w pierwszej chwili – Sheba jak zwykle jest bez stanika. Wlepiam wzrok w jej wspaniałe, słynne na całym świecie piersi.

– Gapię się na twoje cycy – mówię.

– No to co? Już je widziałeś.

– Kiedy to było...

– Słyszałam o Starli – rzuca. – Słuchając cię, mam wrażenie, że przydałoby ci się miękkie ciało, w które mógłbyś się wtulić.

– Pewnie tak – przyznaję.

– Dlaczego nie poprosisz, żebym za ciebie wyszła?

– Dlatego, że chodziłaś z Robertem Redfordem, Clintem Eastwoodem i tysiącem innych gwiazdorów. Nie chcę moczyć mojego małego wacka tam, gdzie wcześniej oni zaglądali.

– E tam – prycha Sheba. – Przez nich miałam tylko kilka nie-przespanych nocy, za to mnóstwo nowych ról. No już, Ropuchu, poproś mnie o rękę.

– Shebo, czy wyjdiesz za mnie? – pytam, klękając na jedno kolano i zgrywając się na balkonie domu babki Molly.

– Przyjmuję twoją miłą propozycję – odpowiada, zupełnie mnie zaskakując. – Najwyższy czas, żebym miała dziecko, a założę się, że nasze małżeństwo będzie prześliczne.

– Słucham? – bąkam wystraszony.

Ale w tym momencie Sheba robi swoje słynne wejście na użytek tych, którzy na nas czekają. Zatrzymuję się przy lodówce, otwieram piwo i wchodzę do salonu, gdzie Sheba właśnie ogłosiła, że zaręczyła się „z Ropuchem, jakby już, kurwa, nie miała z kim?”. Całuje mnie namiętnie, wcale nie udając, a przyjaciele śmieją się z mojego widocznego zażenowania – wszyscy z wyjątkiem Molly, która unosi brwi, i Nilesa, który w ogóle się nie śmieje. Wprawdzie wciąż nawołuje mnie, żebym zostawił Starłę, to jednak ten temat wciąż głęboko go rani.

– Sheba tylko żartuje, Niles – uspokajam go.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiada. – Ta scena wczoraj w nocy była koszmarna.

– Amen – wzdycha Fraser. – Nie wyobrażasz sobie, co się działo, kiedy Niles przywiózł ją do domu.

– Starła jest stracona – oświadcza Niles. – Dla niej to już koniec. Molly nie daje się wciągnąć w tę dyskusję.

– Wkładajcie kostiumy kąpielowe, wszyscy – rzuca beztrosko. – Szef policji zgodził się, żebyśmy popływali, zanim urządzi nam ponurą niasiadówkę.

– Zapomniałem kąpielówek – mówię.

– Mam zapasowe w łazience na dole. – Chad proponuje mi to swobodnie, bez cienia zazdrości, nie zdradzając, że zorientował się, iż charakter mojej przyjaźni z jego żoną się zmienił. – W sam raz na ciebie, tylko w kroczu będą za luźne.

– Kto ostatni, ten ma najmniejszego fiuta albo najmniejsze cycki w całym Charlestonie! – woła Fraser i wybiega na dwór. Niles pędzi za nią i ścigają się, kto pierwszy dotrze na plażę. Oboje są znakomitymi sportowcami, w świetnej formie. Ich synowie też rywalizują zaciekle i w swoich konkurencjach połykają przeciwników żywcem.

Wkładam kąpielówki Chada, wybiegam z piwnicy, pędzę po piasku do oceanu i brnę w wodzie na taką głębokość, żebym mógł bezpiecznie zanurkować. Gdy płynę pod wodą, upał znika w mgnieniu oka. W końcu wyskakuję na powierzchnię, na słońce i przewalającą się nade mną falę. Spoglądam na dom, czując głęboką wdzięczność dla tej zapuszczonej, niepozornej chałupki z przestronnymi, komfortowo umeblowanymi pokojami. Dla niektórych z nas jest stałym elementem życia, bezpieczną przystanią, dla innych zaś schronieniem. Dzięki wielkoduszności Molly zawsze uciekałem do tego domku na plaży, gdy musiałem podleczyć się na duchu. Pozwalała mi mieszkać na Wyspie Sullivana, gdy tylko Starla wypuszczała się na kolejną wędrówkę. Za pierwszym razem ucieczka Starli z naszego domu przy Tradd Street trwała miesiąc. Za drugim nie było jej przez sześć miesięcy, za trzecim przez rok. Potem przestałem liczyć. Za każdym razem Molly wręczała mi klucze do tego domku, a ja przenośiłem się tutaj. To miejsce daje pociechę ludziom, których życie się rozpada. Znam każdy centymetr tej plaży równie dobrze, jak wszelkie skazy i plamki na swoim ciele.

Wyływam na głęboką wodę, gdzie trafiam na ciepły atlantycki prąd. Mam wrażenie, że pieszczony zielonymi falami, płynę przez jasny jedwabny welon. Spoglądam w kierunku Fortu Sumter i patrzę, jak ostatni prom wyrusza w powrotny rejs do miasta. Wysepka wydaje się zdecydowanie za mała jak na miejsce, gdzie rozpoczęła się najbardziej krwawa wojna w historii Ameryki. Jestem jednak dostatecznie stary, by pamiętać czasy, kiedy prawo zabraniało Ike'owi i Betty pływania w tych wodach i wejścia na te plaże.

Podpływa do mnie Molly. Opiera się na moich ramionach, a ja staję na palcach i unosimy się na falach sterowanych wewnętrznym zegarem nastawionym według cyklu księżyca. Jesteśmy razem po raz pierwszy od jej wizyty w moim łóżku w San Francisco – tamtego wieczoru, który był całe wieki temu.

– Mowę ci odjęło? – pyta Molly. – Dlaczego jesteś taki nietowarzystki?

– Wybacz. Tak wyszło.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś i nic powiedziałeś mi o Starli? – docieka.

– Kiepski wieczór, Molly. Najgorszy. Ale już chyba ostatni.

– A twoje zaręczyny z Shebą? – podpuszcza mnie.

– To tylko żart. Mając taką konkurencję jak ty i Betty, jak inaczej mogłaby się znaleźć w centrum uwagi? To profesjonalistka. Wie, jak to się robi.

– Moim zdaniem wcale nie żartowała.

Sheba unosi się na falach razem z Betty, Ikiem i Chadem. Silny prąd szybko nas spycha, już jesteśmy trzy domy od domku babki Molly. Sheba macha do nas i krzyczy:

– Trzymaj się z daleka od mojego narzeczonego, lafiryndo!

– Zostaw moją żonę, napaleńcu! – krzyczy Chad.

Uśmiecha się przy tym, więc dochodzę do wniosku, że ta sytuacja wcale go nie martwi. Po jego minie poznaję, że upłynie dużo czasu, zanim ktoś pokroju Leo Kinga ukradnie cokolwiek komuś takiemu jak on. Zerkam na Molly, szukając potwierdzenia, i owszem, ma je wymalowane na twarzy – jest na niej rezygnacja, lecz także ulga. Wyczuwam głębię jej smutku, ale też pogodzenie się z zahartowaniem w boju, jakiego wymaga jej urodzenie. Straciliśmy tę łatwość kontaktu, która towarzyszyła nam po przylocie do San Francisco, gdzie słońce zachodziło za nieznanym oceanem, a my byliśmy dostatecznie daleko od domu, żeby odsunąć na bok odpowiedzialność,

jaka ciążyła na nas w Charlestonie, i mogliśmy sobie wyznawać rzeczy, których nigdy nie wypowiedzielibyśmy na głos w naszym życiu na południe od Broad. Teraz jesteśmy wobec siebie nieśmiali, między nami unosi się ciemna gwiazda. Słowa wybrały się na urlop. Molly płynie do brzegu i idzie do domu.

Kiedy nas woła, bez słowa wchodzimy do środka i pomagamy jej, zanosząc jedzenie na kredens. Potrawy są niewyszukane, w sam raz na letni dzień. Niles przygotował surówkę z białej kapusty, sałatkę ziemniaczaną i fasolę w sosie pomidorowym, natomiast Ike przywiózł wieprzowinę i kupione na wynos żeberka z rusztu. Molly wyciąga najlepszą porcelanę swojej babki i srebrne sztucce. Mimo zbiorowych protestów i obstawania przy papierowych talerzykach i plastikowych sztućcach upiera się, że mamy jeść na tej zastawie.

– Ja nie jadam na papierowych talerzach – obrusza się Molly. Twarz ma napiętą, ale jako gospodyni jest jak zawsze bez zarzutu. – Nie ma mowy.

Pół godziny schodzi nam na wysłuchiwanie relacji o dzieciach i o tym, jak dziadkowie rozpuszczają je i popychają na drogę do zagłady – te zdyscyplinowane, dobrze ułożone dzieci moich przyjaciół.

– Ojciec zabrał je do domu na wyspie Edisto i wypłynął z nimi na ryby na cały tydzień. Przez ten czas ani razu nie umyli zębów. Ani razu się nie przebrali. Nawet się nie myli. W czasie, który zajęło nam odszukanie Trevora, udało mu się zamienić ich w dzikusów – opowiada Fraser.

- Za to jaki miały ubaw – kwituje Niles.
- Zadzwońmy do Trevora – proponuje Molly.
- Świetny pomysł – popieram ją.

Molly wybiera numer centrali Akademii Medycznej. Sheba rozmawia z bratem pierwsza, ja ostatni. Gdy przejmuję słuchawkę od Berty, słyszę, że Trevor jest wyczerpany.

- Cześć, Trevorze, chciałem się tylko przywitać. Odpoczywaj.

– Wpadnij do mnie, a będę ci mówił same świństwa – obiecuje.
– Gdybyście mnie nie znaleźli, pewnie już bym nie żył.

– Przebrzmiałe wiadomości. Teraz musisz się szykować na całą kupę dni, które masz przed sobą.

Gdy odkładałam słuchawkę, Ike wstaje. Jego wrodzony autorytet sprawia, że w pokoju zapada cisza. Mimo że ma na sobie szorty, hawajską koszulę i klapki, postawa przydaje mu powagi, która jest nieodłączną cechą jego charakteru. Odchrząknięcie, łyk piwa i rzut oka na odręczne notatki.

– Betty i ja uważamy, że wciąż mamy wielki problem – zaczyna.
– Nie wiemy, gdzie jest tatuś Sheby. Naszym zdaniem spokojnie jednak można założyć, że prędzej czy później trafi do Charlestonu.

– Jesteście pewni? – pyta Fraser.

– Nie – odpowiada Berty. – Ten gość może i jest psychopata, ale wyrafinowanym i z przedziwną obsesją. Studiowaliśmy dzisiaj rozmaite przypadki. Nie znaleźliśmy w literaturze fachowej niczego podobnego. Facet jest jedyny w swoim rodzaju, nie cofnie się przed niczym, byleby się dostać do bliźniaków.

– Betty i ja jesteśmy przekonani, że on tu przyjedzie. Z tego, co mówiła Sheba, zaczynał jako pospolity pedofil. Taki zwykle przestaje, kiedy dzieci wchodzi w wiek dojrzewania. Ale w nim coś pękło i sława Sheby jako gwiazdy filmowej doprowadziła go do szału. Całe szczęście, że nie zabił kogoś z nas w San Francisco. Dyrekcja Sing-Sing przesłała jego zdjęcia policyjne, odciski palców i opinię na temat stanu zdrowia psychicznego, sporządzoną, kiedy umieszczono go w psychiatryku. Oni niechętnie przenoszą więźniów do szpitali psychiatrycznych, bo inaczej każdy więzień by świrował, byleby wydostać się na zewnątrz. Żeby sobie zasłużyć na przeniesienie, trzeba być prawdziwym czubkiem i mieć jakiegoś niezwykłego fioła.

– Poddaję się, Ike – jęczy Sheba. – Jakiego fioła ma mój tata?

– Nie chciałem ci tego mówić, ale skoro pytasz... – Ike zdradza

ten szczegół z wyraźnym oporem. – Miał zwyczaj zjadać własne fekalia.

Wszyscy w pokoju wyrażają zniesmaczenie donośnym wyciem. Betty rozdaje odbitki zdjęć policyjnych i przyglądamy się twarzy umiarkowanie atrakcyjnego mężczyzny w średnim wieku, który wydaje się zagadkowy, ale nie wygląda na potwora. Sheba wyjaśnia, że kiedy była dorastającą dziewczynką, jej ojciec sprawiał wrażenie, jakby tę samą twarz zamieszkiwało stu różnych mężczyzn. Nie było takiej roli, której nie potrafiłby odegrać z maestrią urodzonego aktora, nigdy jednak nie dawał poznać, kiedy kończą się jego gierki i staje się sobą. Miał talent do naśladowania rozmaitych akcentów, do przebieranek i wcielania się w różne osobowości. Ponieważ wynajmował domy na wsi albo farmy, zmusił Evangeline Poe, by uczyła dzieci w domu. Bywało, że mieszkali w domach bez adresu. Był złotą rączką i czasami wracał do domu w przebraniu pastora, wiejskiego lekarza, weterynarza, specja od naprawy telewizorów... Do każdej roli opracowywał osobny sposób zachowania, a włosy farbował tak często, że bliźniaki sprzeczały się, jaki jest ich naturalny kolor.

Przeprowadzali się raz albo i dwa razy w roku. Żyjąc w izolacji, dzieci były zastraszane i molestowane. W końcu ich zapijaczona matka skontaktowała się z kimś ze swojej rodziny. Evangeline dowiedziała się, że ciotka, o której nigdy nie słyszała, zostawiła jej w spadku trochę pieniędzy i zapuszczony dom w Charlestonie, w Karolinie Południowej. Dwa lata trwało, zanim zerwała z mężem, w końcu jednak zebrała się na odwagę i odeszła. Wzięła pieniądze zapisane jej przez ciotkę oraz to, co uciulała przez lata, czekając na okazję do ucieczki. Wynajęła ciężarówkę do przeprowadzek, by pojechać na drugą stronę kraju w poszukiwaniu nowego życia. Mieszkali wtedy w Oregonie. Oczywiście dzięki tej ciężarówce ojciec ich odnalazł. Sheba twierdziła, że matka zawsze popełniała drobne błędy taktyczne oraz źle oceniała sytuację.

Teraz Evangeline ma dość uciekania przed tym świrem i godzi się na to, co zgotuje jej los. Sheba Poe wróciła do domu i jest pewna, że ojciec zmierza na południe. Poza tym, mówi Sheba, jest absolutnie zdecydowana wyjść za Ropucha, mieć z nim dwójkę dzieci i osiąść tu na resztę życia. Zaznała zbyt wiele chaosu i zbyt wiele wprowadziła go w życie innych.

– Shebo, daj wreszcie spokój z tym naszym ślubem – proszę ją.
– Wiesz, że tylko się wygłupiałem.

– Ale ja nie. Oświadczyłeś mi się, a ja się zgodziłam. Dla mnie sprawa jest prosta.

Zmartwiona Fraser ignoruje nas i zwraca się do Betty i Ike'a:

– A co z naszymi dziećmi, z naszymi rodzinami? Czy nie narażamy ich na niebezpieczeństwo?

– Uważamy, że celem tego faceta może być każdy z otoczenia Sheby i Trevora – odpowiada Ike. – On nie ma żadnych zahamowań.

– Wobec tego nie możemy ci dłużej pomagać, Shebo – mówi Fraser. – Chętnie poleciliśmy z tobą do San Francisco, ale teraz mamy za dużo do stracenia. Prosisz nas o zbyt wiele.

– Mów za siebie. Będę pilnował twojego domu w nocy, Shebo – obiecuje Niles.

– Nie bądź śmieszny – obrusza się Chad. – Najważniejsze są nasze dzieci i rodziny.

– Ike wpadł na pewien pomysł – oznajmia Betty. – Mnie się podoba.

– Co powiecie na Macklina Tijuane Jonesa? – pyta Ike.

– Takiego wała! – rzuca Sheba.

– On jest w trakcie resocjalizacji – uspokaja ją Betty.

– Rozmawialiśmy z nim dzisiaj – ciągnie Ike. – W ramach odwyku musi ukończyć jakiś kurs. Uczy się na ochroniarza.

– Dlatego zatrudniliśmy go jako twoją obstawę, Shebo – wpada mu w słowo Betty. – Może mieszkać u ciebie w piwnicy. Były

zawodnik Raidersów z Oakland kręcący się po twoim ogrodzie po nocy to całkiem niegłupi pomysł.

– Przysłużył nam się. Znalazł nam Trevora – przypomina Ike.

Po chwili namysłu zabieram głos:

– Albo się zgodzisz, albo odwołuję nasz ślub.

Kończymy zebranie, śmiejąc się z ulgą, chociaż wiemy, że ten nastrój wkrótce może się zmienić.

Parada

W pierwszy piątek września korpus kadetów Cytadeli wychodzi z czterech batalionów na plac apelowy. Idealnie zgrani, maszerują w rytm bębnow i dud. Z samego rana burmistrz Joe Riley zaprzysiął Ike'a Jeffersona na stanowisko nowego szefa policji. Odbyło się to podczas podniosłej, wzruszającej uroczystości, która wydawała mi się i historyczna, i znajoma, gdy obserwowałem przyjaciela składającego przysięgę przed objęciem urzędu. Teraz z zuchwałą żołnierską swadą korpus wyszedł, by uhonorować pierwszego absolwenta Cytadeli, który został szefem charlestońskiej policji. Ike, w galowym mundurze, stoi na baczność obok nowego rektora Cytadeli, generała Buda Wattsa. Liczna i głośnie świta Ike'a zasiada w odgrodzonym czerwona taśmą sektorze dla VIP-ów. Nigdy nie widziałem aż takiego tłumu na letniej paradzie, co najlepiej świadczy o tym, jaką miłością i szacunkiem cieszy się Ike w swoim rodzinnym mieście. Jego rodziców, żonę i trójkę dzieci rozpiera duma, a trener Jefferson płacze za każdym razem, gdy słyszy imię syna – od chwili gdy orkiestra dęta zaczyna grać utwór wzywający kadetów do walki aż do przejścia ostatniego kadeta podczas przeglądu korpusu.

- Niech pan nie pęka, trenerze – żartuję z niego.
- Czasami trzeba zacisnąć zęby i zachować się jak mężczyzna –

dodaje Niles, przywołując słowa, którymi ojciec Ike'a zagrzewał nas do boju na każdym treningu.

– Chłopcy, dajcie mi spokój – bąka trener Jefferson, ocierając oczy mokrą od łez chusteczką. – Kto by pomyślał, że dojdzie do czegoś takiego?

– Kto by pomyślał, że taki twardziel jak mój trener okaże się takim mazgajem – docina mu Niles, podchodząc i obejmując starszego pana. Sam też ma oczy pełne łez. W tak niezwykły dzień nie sposób pozostać obojętnym. Na baczność stoi chyba z pół naszej klasy z Peninsuli, a na trybunach zasiada hałaśliwa reprezentacja naszego rocznika 1974 z Cytadeli.

Patrzę, jak przez bramę Lesesne'a wjeżdża limuzyna Sheby. Idziemy z Nilesem przed wejście do koszar Padgetta-Thomasa. Gdy limuzyna się zatrzymuje, otwieram tylne drzwi z jednej strony, a Niles z drugiej. Sheba ma na sobie obcisłą żółtą sukienkę i biały kapelusz, sprawiający wrażenie, jakby włożyła na głowę obiekt architektoniczny. Jej pojawienie się o mało nie wywołuje buntu kadetów trzymających wartę.

– Spóźnianie się jest w modzie? – rzucam.

– Jak na mnie i tak jestem za wcześnie – odcina się Sheba.

– Weź pod rękę tego kadeta, zaprowadzi cię na miejsce. Ja pomogę twojej matce. Trevor już na was czeka.

Przechodzę na drugą stronę limuzyny.

– Evangeline? Jestem Leo King. Pamiętasz mnie? Mieszkałem naprzeciwko ciebie.

– Przyniosłeś nam ciasteczka. To był bardzo miły gest z twojej strony – mówi matka Sheby, po czym nagle rzuca oskarżenie: – Ten człowiek próbował mnie molestować. Gdzie jesteśmy?

– W Cytadeli. To szkoła kadetów.

– Aha, kadetów – powtarza cicho.

– Ten pan zaprowadzi cię na miejsce.

Do Evangeline podchodzi młody student drugiego roku. Biorę jej

rękę, wkładam pod jego ramię i kiedy kadet rusza z nią do sekcji dla VIP-ów, ona odwraca się i patrzy na nieznanego, który prowadzi ją przez tłum. Widząc błysk przerażenia na twarzy Evangeline, rzucam się w jej kierunku, ale za późno – łapie chłopaka za rękę i z całej siły wbija się w nią zębami. Kadet nie jęczy, nie wydaje najmniejszego dźwięku, tylko spokojnie prowadzi ją na miejsce, nie zwracając uwagi na krwawiącą dłoń. Evangeline uspokaja się dopiero wtedy, gdy siada między Shebą a Trevorem. Wygląda na to, że jej wzburzenie łagodzi parada – kadeci w letnich białych mundurach, muzyka orkiestry dętej, polor dudziarzy w kiltach... Niles wyciąga z kieszeni czystą białą chusteczkę, podaje kadetowi i radzi mu zgłosić się do ambulatorium.

– Mamo, ugryzłaś tego biednego chłopca – wyrzuca jej Sheba.

– Jakiego chłopca? – bełkocze Evangeline, obserwując tłum i starając się przybrać uprzejmy wyraz twarzy. – Proszę, proszę, jak tu ładnie.

– Spokojnie, mamo. – Trevor klepie ją po ręce. – Oglądaj paradę. Przystojniak z tego Ike'a, prawda? Mniam, mniam. Korpus kadetów! Panie, pozwól mi się do nich dobrać. Wpuść mnie do koszar tylko na jedną noc.

– Wiedziałem, że nie powinienem cię tu przywozić – zwracam się do niego. Wciąż jest zbyt słaby, żeby się obejść bez wózka, ale z dnia na dzień nabiera sił. Punktem zwrotnym okazał się dzień, w którym po raz pierwszy bez pomocy zdołał umyć zęby. Dwa tygodnie później sam już się czesał. Zapowiedział, że jeśli nie zgodzę się na jego udział w paradzie na cześć Ike'a Jeffersona, to sam przepęłnie tu ulicami Charlestonu jak wąż. Wobec takiego szantażu wyraziłem zgodę, ale wkrótce, gdy straciłem godzinę na wbijanie go w marynarkę i krawat, pożałowałem swojej decyzji. Schudł tak bardzo, że nie pasowało na niego nic ze starych ubrań, które Anna Cole przysłała z jego dawnego mieszkania w San Francisco. Ludzie z firmy od przeprowadzek wtaszczyli cały jego dobytek na mój strych. Trevor zmusił mnie do wypakowania imponującej kolekcji longplayów i

wstawienia aparatury stereo do pokoju gościnnego na parterze, gdzie mężnie walczył o powrót do zdrowia, by choć trochę przedłużyć życie. Jego płyty były w idealnym stanie, ani jednej rysy, i dom rozbrzmiewał oszalałym geniuszem Brahmsa, Schuberta i Mozarta.

– Wciąż jesteś taki spięty w sprawach dotyczących seksu, chłopcze – marudzi Trevor. – Wcale nie sugerowałem, że chcę się prześpać z całym korpusem kadetów. Wystarczy mi połowa.

– Wobec tego drugą połowę biorę ja – wpada mu w słowo Sheba. Pokazują sobie z bratem uniesione kciuki.

– Cholerne bliźniaki! – burczy Niles.

– Z ust mi to wyjąłeś – przytakuję.

Przed salwą armatnią zapowiadającą hymn *The Star Spangled Banner* ostrzegamy z Nilesem ludzi w sektorze dla VIP-ów, żeby przygotowali się na trzęsienie ziemi. Mimo to Evangeline zaczyna krzyczeć i wymachiwać rękami jak zraniony kocur. Razem z Nilesem odstawiamy ją do limuzyny, a Sheba pomyka za nami.

– Odwiozę ją do domu – mówi, zrywając z głowy kapelusz. – Chyba jednak nie był to natchniony pomysł.

– Znajdź dla niej dom opieki – radzi Niles.

– Nie mogę – odpowiada, wachlując się kapeluszem. – Ty akurat powinieneś wiedzieć to najlepiej.

– Wiem, skarbie. To jeden z powodów, dla których cię kocham.

– A nie za moje nogi? – Siadając z tyłu limuzyny, obok matki, Sheba puszcza do nas oko.

– To pierwszy powód.

Niles i ja odwracamy się w kierunku parady i kładziemy dłonie na sercu – orkiestra gra już ostatnie takty hymnu. Wracamy na swoje miejsca, ale nie udaje nam się rozsiaść, bo podchodzi do nas dwóch bystrych kadetów i prosi, żebyśmy poszli z nimi do łoży generalskiej. Zaskoczeni, wykonujemy polecenie, i nagle stoimy na baczność obok Ike'a i generała, nie mając pojęcia, jaki jest cel tego nieplanowanego spotkania.

Stoję najbliżej Ike'a, więc pytam go szeptem:

– Co jest grane?

– Wal się, Ropuchu – szepcze kącikiem ust. – Ta parada jest na moją cześć. Więc zamknij się, bo chcę się nią nacieszyć.

– Mam nadzieję, że podczas przeglądu korpusu spadniesz z jee-
pa i potłuczysz sobie żałosne dupsko – odpowiadam.

– Jedziesz ze mną. Niles też – informuje mnie. Nie potrafi ukryć triumfalnej nuty w głosie.

– To nielegalne.

– Teraz już nie.

Podjeżdża wojskowy jeep. Kadet za kierownicą skrzy się elegancją, wygląda jak z plakatu, a przez lata naoglądałem się mnóstwo kadetów. Generał Watts dziarsko podchodzi do mnie marszowym krokiem.

– Generał Bud Watts, panie King – przedstawia się. – Rocznik pięćdziesiąty ósmy.

– Leo King, generale – odpowiadam, ściskając jego dłoń w rękawiczce. – Rocznik siedemdziesiąty czwarty.

– Niles Whitehead, generale. Rocznik siedemdziesiąty czwarty. Mieszkaliśmy z Ikiem w jednym pokoju.

– Wiem – mówi generał Watts. – Dlatego Ike nalegał, żebyście mieli zaszczyt wraz z nim dokonać przeglądu korpusu. Panie King, pan usiądzie z przodu obok sierżanta Stewarda, a pan, panie Whitehead, zajmie miejsce po mojej lewej. Szef policji stanie po mojej prawicy.

Żałowałem, że mój ojciec nie dożył tej doniosłej chwili. Jeep elegancko rusza po przyszczyżonej murawie. Zerkam na Bond Hall, gdzie na początku nauki w Cytadeli miałem lekcje chemii i fizyki. Jeep ostro skręca w lewo, mijając salutującą drużynę z Battery, i znów bierze lewy wiraż, przejeżdżając obok kompanii T, a potem naszej dawnej kompanii Romeo, która z dumą wita Ike'a okrzykami. Ponieważ chodzi o Romeo, Ike, Niles i ja dostajemy zgodę na oddanie

salutu kompanii, która wprowadziła nas w wiek męski. Na oczach całej rodziny Cytadeli przeprowadzamy inspekcję korpusu kadetów, których wyszkolenie, moim zdaniem, jest niezrównane. Jeep podrzuca nas pod lożę generalską i wracamy z Nilesem na swoje miejsca, wcześniej jednak ściskamy Ike'a i dziękujemy mu – koledze, z którym dzieliliśmy pokój w czasach, które wspominamy jako jedne z najlepszych w życiu.

Następnie korpus przechodzi przed publicznością w pięknym nie-nagannym szyku, w chwale kompanii, w precyzyjnym rytmie i tempie maszerującego batalionu – ta surrealistyczna scena tchnie dyscypliną i doskonałą choreografią – po czym parada gładko toczy się dalej. Później dowiadujemy się, że wszyscy obecni na uroczystości byli w poważnym, śmiertelnym niebezpieczeństwie.

*

W poniedziałek kończę felieton o uroczystości zaprzysiężenia Ike'a i paradzie na jego cześć. Czytam ten swój pean i jakoś wychodzi mi na to, że słowa są nieadekwatne. Tu i tam podrasowuję jakieś zdanie, inne tonuję, chcąc znaleźć złoty środek między powagą i stosowną dawką humoru. Ponownie oceniam tekst krytycznym okiem i dochodzę do wniosku, że ujdzie.

Przechodzę do newsroomu i daję felieton Kitty Mahoney, która została moją asystentką w dniu, kiedy dostałem stałą codzienną rubrykę w gazecie. Jak przystało na wychowankę katolickiej szkoły dla dziewcząt, Kitty jest genialna, jeśli chodzi o gramatykę, interpunkcję i ortografię, i redaguje moje teksty, krytycznie doszukując się wszelkiej pretensjonalności czy przesady. Jest dla mnie klejnotem koronnym, z czego na szczęście oboje zdajemy sobie sprawę.

– Cześć, Kitty! – rzucam. – Kolejne arcydzieło. Nie wiem, jak mi się to udaje dzień w dzień. Mogłabyś to pociąć na strzępy, pozmieniać wszystkie słowa i podpisać moim nazwiskiem, kiedy już zarżniesz moją nieskazitelną prozę?

– Z miłą chęcią, Leo. Skoro pisałeś o Ike'u, z daleka wyczuwam sentymentalizm.

– Trudna z was kobieta, Mahoney.

Dzwoni jej telefon. Patrzę, jak Kitty słucha głosu, którego nie poznaję, ale widzę w jej oczach strach. Prosi rozmówcę, żeby zaczekał.

– Ktoś nalega na rozmowę z tobą, Leo, ale nie chce się przedstawić.

– Znasz zasady. Nie odbieram anonimowych telefonów.

– On twierdzi, że będziesz zainteresowany. Prosił, żebym ci przypomniała o smutnych buźkach.

– Masz podłączony do telefonu magnetofon? – pytam szeptem, na co Kitty kiwa głową. – A potrafiśz jeszcze stenografować?

– Tego się nie zapomina, jak jazdy na rowerze.

– Wobec tego nagrywaj tę rozmowę i stenografuj – rzucam i pędzę przez newsroom do swojego pokoju. Uspokajam oddech. Dopiero potem wciskam klawisz aparatu i podnoszę słuchawkę.

– Cześć, Ropuchu – słyszę natychmiast. Głos jest wazeliniarski i znajomy. – To już kupa czasu. Ostatnio żeśmy się widzieli się w San Francisco. Zdaje się, żeś mi przystawiał pistolet do głowy na Union Street.

– Na samą myśl o przystawieniu panu pistoletu do głowy dostaję erekcji, panie Poe – odpowiadam. – Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze nadarzy mi się taka okazja.

– Nie jestem Poe, przyjacielu. To nigdy nie było moje nazwisko. Bliźniaki też się tak nie nazywają. Ani ich matka.

– Może skoczymy na lunch? – proponuję.

Facet wybucha normalnym, niewymuszonym śmiechem kogoś z poczuciem humoru, a nie szaleńca, który nawiedza mnie w nocnych koszmarach.

– Muszę się streszczać, Ropuchu. Najpierw zabiję ciebie. Potem Nilesa. Później Ike'a. Bliźniaki zachowam na deser.

– Ze mną pewnie pójdzie łatwo. Z Ikiem i Nilesem może być kłopot.

– Taki jak z zestrzeleniem główki kapusty na polu. – Znowu wybucha śmiechem. – Wczoraj miałem na celowniku was wszystkich, kiedy triumfalnie jechaliście jeepem. Naszła mnie nawet ochota, żeby zdjąć tych mundurowych, żeby wiedzieli, że wróciłem do miasta.

– W Cytadeli nie przepadają za facetami, którzy włączą się na ich terenie z karabinem w rękę. Nie wierzę panu.

– A orzeł na dachu Bond Hall? Podczas parady nie ma tam nikogo na warcie.

– Na dachu Bond Hall jest jakiś orzeł?

– Chciałem ci wpakować kulkę w mózg, ale wpadłem na lepszy pomysł – ciągnie. – Pomyślałem, że zabawa będzie lepsza, jeśli będziesz miał świadomość, że na ciebie poluję.

– Pan słynie z poczucia humoru, panie Poe. To stały temat naszych rozmów. Kiedy się pan zorientował, że jest pedofilem?

– Nie nazywam się Poe! – warczy. – I nie jestem pedofilem. Mam gdzieś, co wygadują moje dzieci.

– Pedofil to jedno z łagodniejszych słów, jakimi pana określają. A swoją drogą, kogo pan wolał rznąć, Shebę czy Trevora? Zaczął się pan do nich dobierać, kiedy mieli po pięć lat. Tak przynajmniej wynika z moich notatek.

– Chowaj klucze do domu w jakimś lepszym miejscu, Ropuchu – radzi mi. Już się nie przekomarza, w jego nickczemnym głosie brzmi wyraźna groźba. – Ubiegłej nocy złożyłem ci wizytę i widziałem, jak ta ciota, mój syn, śpi w pokoju gościnnym. Sprawdź swoją porcelanę. Do rychłego. Miłych snów, Ropuchu.

Wypowiedziawszy tę groźbę, tajemniczy nieznajomy rozłącza się. Jestem złany potem, gdy Kitty wpada przez drzwi i informuje mnie:

– Mam wszystko. Słowo w słowo. Zapisane i nagrane na taśmie. Chryste Panie, w coś ty się wpakował, Ropuchu?

– Nie zapominaj, Mahoney, że zajmujesz w tej gazecie podrzędne stanowisko. Jesteś zaledwie poślednią sekretarką, która ma się do mnie zwracać per „panie King”, i to z należnym szacunkiem. W

newsroomie jestem niczym Bóg, wielbiony w tym wspaniałym mieście.

– Wal się, Ropuchu – prycha. – W coś ty się wpakował? Ten facet w telefonie miał głos jak hrabia Dracula.

– Daj mi taśmę.

Łączę się z nowym szefem policji i zdaję mu relację z przebiegu rozmowy, po czym przekazuję słuchawkę Kitty, by mogła odczytać mu swoje notatki. Potem zbiegam po schodach na parking. Wskakuję do samochodu i na złamanie karku pędzę Meeting Street, lekkomyślnie szybko, licząc na to, że zwrócę uwagę gliniarza z drogówki, ale spotykają mnie tylko obelgi ze strony przestraszonych turystów. Kiedy docieram na Tradd Street, stoją tam już dwa radiowozy, a policjanci przeszukują posesję. Molly wpuściła ich, do domu. Zapomniałem, że tego dnia wypadła jej kolej na pilnowanie Trevora.

Wychodzę z nią do ogrodu. Kiedy przekazuję jej szeptem nowiny o powrocie pana Poego, podchodzi szybko Ike i udręczony każe mi szczegółowo powtórzyć całą rozmowę telefoniczną, słowo w słowo. Ja jednak zapraszam ich ruchem ręki do domu. Przynoszę magnetofon, który trzymam w gabinecie, i puszcza taśmę. Słuchając jej, Molly jest przerażona, Ike zaś nastawia uszu, od czasu do czasu gryzmoląc coś w notesie.

Dzwoni telefon. Odbieram, po czym oddaję słuchawkę Ike'owi.

– Do ciebie, szefie – mówię.

Przykłada ją do ucha i słucha z tym samym opanowaniem i uwagą, które po raz pierwszy zauważyłem u niego na boisku. Gdy się rozłącza, jest zamyślony i zirytowany.

– Jeden z moich ludzi znalazł na dachu Bond Hall trzy łuski. Oczywiście nie ma odcisków palców, ale to były naboje do karabinka snajperskiego. Gdzie twoja porcelana, Ropuchu?

– W jadalni.

– To jest Charleston, a nie film o Nowym Jorku – protestuje Molly. – Tutaj takie rzeczy się nie zdarzają.

– Nie uwierzyłybyś, do czego tu dochodzi – zapewnia ją Ike, gdy schodzimy na parter.

– Ale nie ludziom naszego pokroju – upiera się Molly.

W pokoju na parterze otwieram sekretkę, w której trzymam najlepszą zastawę Harringtona Canona. Na początek wyjmuję lekkie delikatne sztuki porcelany kantońskiej, mojego ulubionego kompletu z trzech, które zapisał mi pan Canon. Ike powstrzymuje mnie i każe założyć cienkie lateksowe rękawiczki. Sam też je zakłada, podczas gdy ja badam porcelanę sztuka po sztuce. Odwracam pierwszy talerz obiadowy i natychmiast to spostrzegam. Okrzyk Molly świadczy o tym, że ona również zauważyła ten przerażający podpis, którego historię wszyscy znamy – buźkę z łzą pod okiem.

– Ma twoje klucze, Ropuchu – stwierdza Ike z ponurą miną. – Czas zmienić zamki. Wiesz, do kogo się z tym zwrócić.

W książce telefonicznej szukam ślusarzy i wybieram numer do firmy Zamki i Alarmy Ledbettera. Słyszac po drugiej stronie znajomy głos, mówię:

– Chciałbym rozmawiać z właścicielem... najdurniejszym, najbardziej wrednym i żalonym burakiem, jakiego w życiu widziałem.

– Jestem. Jak leci, Ropuchu? – pyta Sługus Ledbetter.

– Jest problem. Wczoraj miałem nieproszonego gościa. Muszę zmienić wszystkie zamki.

– A masz system alarmowy? – pyta Sługus.

– Bardzo stary. Myślisz, że czas go zmienić?

– Jakbyś zgadł. Mam coś w sam raz dla ciebie. Cacuszko. Włączy się, nawet jeśli ktoś pierdnie w twoich różach w ogrodzie.

– Zainstaluj go, synu – proszę. – A gdy już skończysz u mnie, mógłbyś założyć to samo w domu matki Sheby Poe?

– Jeżeli podczas instalacji Sheba będzie paradowała w bikini, zrobię to za friko.

– Masz to jak w banku.

– Zaraz wysyłam do ciebie wszystkich pracowników – obiecuje

Sługus. – Zrobimy to, choćbyśmy mieli pracować przez całą noc. Ale tobie policzę podwójną stawkę, Ropuchu.

– Inaczej bym się obraził. Dzięki, Sługusie.

Kończę rozmowę w chwili, gdy policjantka przynosi Ike'owi jakąś kartkę. On czyta ze zdziwieniem i powtarza na głos:

– Pewien kadet, niejaki Tom Wilson, urwał się z piątkowej parady, ale obserwował ją z dachu czwartego batalionu. W trakcie uroczystości zobaczył kogoś idącego po dachu Bond Hall. Pomachali do siebie. Młodego Wilsona zdziwiło tylko to, że facet niósł torbę pełną kijów golfowych.

Ike przez chwilę wpatruje się w kartkę, z troską marszcząc czoło. Szuka właściwych słów i w końcu zwraca się do mnie:

– Jedno mnie tylko martwi Ropuchu. I to bardzo. Po kiego ten facet powiedział ci prawdę?

Zaskoczony słyszę, jak Molly odpowiada:

– On próbuje napędzić nam stracha. W ten sposób niszczy nasze codzienne życie i doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Chce nas ukarać, ukarać nas wszystkich za to, że kochamy jego dzieci.

Geniusz zła

Miasto palm, osmanthusów i niewidzialnych ogrodów w ciągu nocy zamienia się w galwaniczny koszmar. Wąskie uliczki z domami ustawionymi bokiem, jakby jeździły na damskim siodle, które zawsze przepełniały mnie ulgą i radością, teraz sprawiają, że drzę ze strachu. Dęby czają się niczym jakieś monstra, a mech hiszpański zwisa z drzew jak lina szubieniczna. Lagerstremia indyjska jest przebrana za szkielety umarłaków. Zawsze kochałem Charleston nocą, teraz jednak po zachodzie słońca ma nieuleczalnie złowrogi odcień. Nawet za obietnicę bogactwa albo urody nie wyszedłbym na spacer w świetle latarni ani nie zapuścił się w żaden z tarasowatych zaułków. Bez mojej wiedzy Charleston przywdział groteskową maskę zaprojektowaną przez los, kiedy ciężarówka firmy przewozowej Atlas ponad dwadzieścia lat temu zajęła na moją ulicę, przed posesją naprzeciwko nas.

Mój dom najechał Sługus ze swoją ekipą ślusarzy. Obiecał mnie i Trevorowi, że nie wyjdzie przed moim powrotem. Zdziwiłem się, widząc, jak troskliwie i delikatnie zajmuje się chorym. Z niekłamanym wzruszeniem wspominał szkolny wieczór talentów, kiedy Trevor grał na fortepianie, a Sheba śpiewała *Lili Marlene* tak, że – jak to ujął – „gacie im pospadały w tej pieprzonej budzie”. Kiedy

wychodzimy z Ikiem, z każdej kondygnacji dobiega miły hałas narzędzi pracujących fachowców. Ike macha gliniarzowi, którego postawił na warcie przed domem. Gdy przejeżdżamy przed posesją Nilesa i Fraser, Ike opuszcza szybę, żeby pogadać z policjantem, którego przydzielił do ochrony rodziny Whiteheadów.

Skręcamy na podjazd domu matki Sheby, gdzie stoją już dwa radiowozy. Sheba wybiega nam na spotkanie.

– Mam za sobą ciężki dzień z narzeczoną Frankensteina. Fajnie was widzieć, chłopaki. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nudzę się jak mops.

– Nie otwieraj drzwi na oścież – upominają Ike. – Twój tatuś jest w mieście.

Ike sprawdza wszystkie pokoje. Zaciąga kotary na parterze i każe mi zrobić to samo na piętrze. Zastaję tam Evangeline Poe – siedzi w fotelu obok łóżka, nieobecna i obojętna na wszystko. Ike prowadzi Shebę do jej pokoju i pokrótce streszcza najważniejsze punkty mijającego dnia. Gdy puszcza taśmę, niekomunikatywna Evangeline, słysząc głos męża, wpada w szal. Wyje nieziemsko, jak wiedźma, i tak głośno, że zwraca uwagę dwóch policjantów siedzących w wozie patrolowym na dworze.

Sheba natychmiast wyłącza magnetofon i Evangeline wraca do skonsternowanej pustki, która już na zawsze będzie jej miejscem zamieszkania. Gdy Sheba bierze ją pod rękę i prowadzi do łóżka, matka próbuje ugryźć córkę, jak pies skacząc do jej rąk i twarzy. Z zaskakującą zwinnością Sheba przytrzymuje ją i uspokaja, po czym prowadzi do łóżka, a mnie i Ike'owi każe poczekać na dole.

Piętnaście minut później wraca z butelką chardonnay i nalewa nam po kieliszku.

– Jeśli ona zrobi się jeszcze wredniejsza, chyba się zapiszę na kung-fu.

– Daje w kość, to fakt – przyznaje Ike.

– Wczoraj próbowała wydłubać mi oko spinką do włosów –

mówi Sheba. – Dlatego koniec ze spinkami. Teraz schowała pod poduszką nożyczki. Kilka razy dziennie muszę jej przyłożyć, jak gliniarz sprawcy napadu.

– Czy rozpoznałaś na tej taśmie głos taty? – pytam.

– Nie. To głos szatana. Na nieszczęście moje, Trevora i mamy tak się składa, że to przy okazji mój ojciec. Jeśli potrafisz słuchać, jesteś aktorką i znasz się na takich rzeczach, to jego głos. Zło w najczystszej postaci. Nie znam aktora, który potrafiłby go podrobić.

Zaczyna płakać, gdy Ike na cały regulator puszcza taśmę i demoniczny głos jej ojca obraca w perzynę wszystko wokół nas. Pobrzmiewająca w nim groźba mogłaby wystraszyć goryla. Jak sparaliżowany obserwuję wrażenie, jakie wywiera na jego córce, i widzę przepełniony troską, znękany wzrok Ike'a. Ale gdy nagranie dobiega końca i Ike obejmuje Shebę, jego spokój i profesjonalizm napawają otuchą.

– Co możesz nam powiedzieć po wysłuchaniu tej taśmy? – pyta Ike.

Sheba wzrusza ramionami.

– Tyle, że zupełnie przestał nad sobą panować. Dawniej czerpał siłę z opanowania. Doprowadzał człowieka na skraj załamania i nagle się wycofywał. W mgnieniu oka z zabójcy przeistaczał się w człowieka kochającego całą ludzkość. Szczycił się, że w mistrzowski sposób potrafi zapanować nad każdą sytuacją. A teraz celuje z karabinu do gromady dzieciaków na paradzie. Już po nim. Jest skończony. Ma przechlapane. Pa, pa, tato.

– Masz może jego zdjęcia? – dopytuje się Ike. – Jakiś dokument, akt urodzenia, cokolwiek, co pomogłoby nam go dorwać?

– Nic. Przejrzałam rzeczy mamy. Nic w nich nie ma. Matka dała mi imię Sheba w dniu naszej ucieczki z Oregonu. Tamtego roku, kiedy w końcu zwialiśmy, ja byłam Nancy, a Trevor Bobby. A może miał wtedy na imię Henry? Przez jakiś czas tata nazywał go Clarence. Mój brat nie znosił tego imienia. A kiedy miałam jakieś sześć lat, tata dał mi na imię Beulah. – Pod wpływem tego wspomnienia Sheba

marszczy nos i jej twarz wydaje się młoda i bezbronna.

– Doskonały trening dla aktorki – zauważam.

– Od urodzenia bawiłam się w udawanie – przyznaje z nikłym uśmiechem. – Mieszkając z kimś takim jak mój ojciec, nabierasz wprawy w odgrywaniu kogoś, kim nie jesteś.

– Tak czy owak, nie możecie tu zostać same – mówię. – Spakuj się i weź rzeczy matki. Zamieszkacie u mnie.

– Czy mój narzeczony nie jest słodki? – pyta Ike'a. – Czym sobie zasłużyłam na takiego mężczyznę?

– Nie jestem twoim narzeczonym, psiakrew! – syczę. – Skończ te gierki, Shebo, spoważniej wreszcie. Ten facet na taśmie to czubek. I ma karabin. Tutaj nie jesteście bezpieczne.

– Ojciec może i jest szalony, ale także szcwany jak lis – mówi Sheba i znów wrusza ramionami. – W więzieniu najwyraźniej mu się nie podobało. Nie spróbuje niczego, dopóki na zewnątrz stoją radiowozy pełne gliniarzy. Poza tym, Leo, nie mogę zabrać matki ani do ciebie, ani nigdzie indziej. Właśnie dałam jej proszki na sen.

– Prześpijmy się z tym – proponuje Ike. – Muszę opracować plan. Zaczynam podejrzawać, że ten facet może być sprytniejszy niż my wszyscy razem wzięci.

– To geniusz zła – zapewnia Sheba. – Jest zły, ale naprawdę genialny. Kiedy się zjawi mój uroczy ochroniarz? Jeżeli ktokolwiek może wystraszyć mojego starego, to tylko on.

– Betty odbierze Macklina z lotniska w poniedziałek – mówi Ike. – Dyrektor szkoły dla ochroniarzy powiedział mi, że Macklin jest nie z tej ziemi. Najlepszy w klasie.

– Nie wierzę, że ucieszę się z jego przyjazdu. Rano posprzątałam dla niego piwnicę.

Przed wyjściem jeszcze raz próbuję namówić Shebę, ale się opiera, nie może pogodzić się z myślą, że miałyby przynieść gdzieś Evangeline. Wracając z Ikiem do mojego domu, jedziemy w stoickim, niezręcznym milczeniu. Ten dzień wyczerpał mnie i przeraził.

Nie jestem szczególnie odważny, ale też nie ukrywam przed nikim tego pikantnego faktu. Gdy zajeżdżamy przed dom, czeka na nas Sługus – siedzi na krawężniku i rozmawia z pilnującym domu policjantem. Wstaje ociężałe, żeby nas uściśnąć. Każe nam dbać o Trevora i zapowiada, że zabije każdego, kto spróbuje choćby tknąć kogoś, kogo kochał w szkole średniej. Mówi, że chętnie poczytałby o sobie i swojej firmie w moim felietonie, więc daję mu słowo honoru, że o nim napiszę.

– Domem pani Poe zajmę się z samego rana – obiecuje, wsiadając do ciężarówki. – Przesunąłem już terminy. Specjalnie dla Sheby.

*

Następnego dnia rano podaję Trevorowi śniadanie do łóżka, gdy naraz ktoś grzmoci pięścią w drzwi. Otwieram. W progu stoi Ike, jest roztrzęsiony. Zdarzało mi się już widzieć, jak płacze, nigdy jednak nie widziałem go tak załamane. W pierwszej chwili przychodzi mi do głowy, że coś się stało Betty albo ich dzieciom. Ale kiedy łapię go za ramię i pytam, czy z jego rodziną wszystko w porządku, kiwa głową tak stanowczo i z taką wściekłością, że dociera do mnie, iż nie może wykrztusić słowa. Prowadzę go pod rękę i sadzam na najbliższej kanapie. Ike chowa twarz w dłoniach i zaczyna szlochać jak zbite dziecko. Ten dźwięk mrozi mnie do szpiku kości. Siadam obok i obejmuję przyjaciela, ale nie jestem w stanie go pocieszyć. Wstaję, otwieram szufladę i daję mu paczkę chusteczek higienicznych, żeby mógł wytrzeć nos i osuszyć twarz. Ike przykładła chusteczkę do oczu, im bardziej jednak próbuje wziąć się w garść, tym bardziej się rozsypuje. W końcu przeprosza mnie głosem, którego nie poznaję, i chwiejnie rusza korytarzem do łazienki. Słyszę, jak przemywa twarz. Wkrótce dochodzi do siebie i z każdym oddechem jego histeria mija. Gdy wraca do salonu, wchodzi już jako szef policji w Charlestonie.

– Przejedziemy się, Leo? – pyta. – Tylko my dwaj. Trevor niech zostanie tutaj.

– Oczywiście – odpowiadam, zdjęty strachem.

Dopiero kiedy siadamy w radiowozie, Ike rzuca jedno, jedyne słowo:

- Sheba.
- Co z nią?

Słyszając moje pytanie, Ike znów prawie się rozsypuje. Macha tylko ręką, niezdolny wykrztusić słowa, wobec tego nie odzywam się przez całą drogę na Broad Street. Zerkam na niego, gdy skręca w Ashley. Jezioro Colonial skrzy się w porannym świetle. Ike jedzie do domu matki Sheby, który wygląda jak autokomis z radiowozami. Posesja odgradzona jest żółtą taśmą policyjną. W tym momencie przychodzi mi na myśl, że coś się stało Evangeline. Ike parkuje na podjeździe mojej matki.

– Twoja mama jest w domu? – pyta, spoglądając prosto przed siebie.

– Nie wiem – odpowiadam słabym głosem. – Pewnie poszła na mszę. Co się stało w domu Poeów? Do cholery, Ike, gadaj, jeśli chodzi o Evangeline albo Shebę.

– Nie mogę. Sam musisz to zobaczyć.

Przechodzimy przez jezdnię. Ike unosi taśmę i daje mi znak, że bym pod nią przeszedł. Poważnie kiwa głową młodym policjantom, którzy salutują mu dziarsko, ale widać, że nikomu z funkcjonariuszy, bez względu na płęć, nie jest do śmiechu. W otwartych drzwiach natykamy się na dwóch detektywów, którzy przyglądają mi się podejrzliwie. Macham legitymacją prasową, a wtedy ich podejrzliwość znika – teraz patrzą na mnie z jawną wrogością.

– On jest ze mną, Mac – mówi Ike.

– To nie jest widok dla cywila, szefie – odpowiada tamten.

– Dla policjanta też nie. Ropuchu, weź się w garść. Za chwilę zniszczę ci życie.

Już w progu sypialni Evangeline Poe natykam się na prawdziwą jatkę. Widok oraz zapach, który uderza mnie w nos, powodują, że pędzę na dwór i wymiotuję. Oddycham głęboko i zmuszam się do

powrotu na piętro. Zaszokowany próbuję ogarnąć niesłychaną groteskowość tej krwawej łaźni. Evangeline siedzi spokojnie na łóżku, w piżamie i z rzeźnickim nożem w ręku. Jest skąpana we krwi. Na podłodze leżą zwłoki olśniewająco pięknej amerykańskiej aktorki Sheby Poe, tak koszmarnie okaleczone, że rozpoznać je mogliby wyłącznie ci, którzy znali ją osobiście. Ma niezliczone rany klute na całym ciele, nawet twarz i oczy są pochlastane. Jedna z piersi została prawie odcięta.

Odwracam wzrok od Sheby, już nigdy więcej nie spojrzę na jej zmaltretowane szczątki. Straszliwa potęga widoku Evangeline jest wręcz mityczna. Kobieta siedzi z nożem w ręku. W pomieszczeniu zmysłów próbuje dosięgnąć zakrwawionym ostrzem każdego, kto się do niej zbliża. Dziwacznie poskręcane włosy są sklezione krwią córki. Piżama ocieka krwią Sheby.

Twarz stanowi krwawą maskę.

– Pomyślałem, że może rozpozna twój głos, Leo. – Ike stara się mówić wyjątkowo łagodnie.

– Witam panią – odzywam się z wysiłkiem. – Pamięta mnie pani? Jestem Leo King, mieszkam naprzeciwko. Wszyscy nazywają mnie Ropuch. W dniu, kiedy się tu wprowadziliście, przyniosłem wam ciasteczka.

Kobieta wpatruje się we mnie wzrokiem pustym jak studnia. W końcu mamrocze:

- Okularnik?
- Tak, proszę pani, to byłem ja. Wtedy nosiłem okulary w rogowej oprawie. Od lat używam szkieł kontaktowych.
- Ropuch – mówi. – Ropuch?
- To ja, pani Poe.
- Poe? – powtarza pytająco.
- Tak się pani nazywa. Evangeline Poe.
- Nie, nie – protestuje. – Mark. Mark.
- Jaki Mark? – dziwię się. – Czy to prawdziwe imię Trevora?

– Gdzie Sheba? – pyta Evangeline. – Obiecała, że nie zostawi mnie samej. Mark?

– Sheby tu nie ma – odpowiadam łamiącym się głosem. – Ona już nie wróci.

W oczach Evangeline pojawia się wredny błysk. Błyskawicznie próbuje chłasnąć mnie nożem. Cofam się, mimo że dzieli mnie od niej bezpieczny dystans. W sypialni jest policjantka, która nagrywa i zapisuje każde słowo Evangeline.

– Spróbuj ją namówić, żeby oddała nóż, Leo – radzi Ike. – Inaczej będziemy musieli ją obezwładnić, a wolałbym tego uniknąć.

– Pani Poe, chce pani zobaczyć swojego syna Trevora? – pytam. – Jest teraz u mnie naprzeciwno. Chciałby pani zagrać na fortepianie.

– Trevor. Trevor... – powtarza Evangeline. Jej twarz rozjaśnia się w przeblysku świadomości, lecz zaraz znów zastyga. – Trevor? – mówi beznamiętnie.

– On chce pożyczyć od pani nóż. To wielka niespodzianka. Dziś sam ugotuje pani kolację. Pani nóż jest mu do tego potrzebny.

– Jaki nóż? Ja nie mam noża, Mark. Gdzie jest nóż?

– Trzyma go pani w ręku. O, czy to pająk chodzi pani po głowie?

Nagle przypomniałem sobie o jej fobii. Wiosną za żadne skarby nie weszłaby do ogrodu mojej matki z powodu nieuleczalnego strachu przed pająkami.

Nóż wypada z jej ręki i Evangeline gwałtownie zaczyna klepać się po głowie. Policjantka chwytają za rękę. Evangeline gryzie ją w dłoń aż do krwi.

– No dobra, kończmy z tym – rozkazuje Ike. Bierze mnie pod łokieć i wyprowadza z pokoju. Opieram się na nim w drodze na dwór, na słońce. Wokół miejsca zbrodni zebrały się grupki sąsiadów – ciekawskich, wrogo nastawionych gapiów liczących na wszystko, co najgorsze. W pierwszej chwili nienawidzę ich sztuka w sztukę, nagle jednak wybaczam im tę jawną manifestację ludzkiej natury i niewinnej ciekawości.

– Moi ludzie są zdania, że to robota starszej pani – mówi Ike.
– Nie – zaprzeczam. – To on jest sprawcą.
– Niewykluczone, ale musimy to udowodnić. Nigdzie indziej w całym domu nie ma ani kropli krwi. Gdyby zabił ją ojciec, też musiałby być zakrwawiony. Ociekałby krwią Sheby, więc uciekając, zostawiałby ślady.

– To straszny spryciarz – przypominam. – A z tego, co tam widziałem, wygląda na to, że bardzo się zaangażował.

– Mam do ciebie prośbę, Leo – mówi Ike. – Czy mógłbyś to opisać w swojej gazecie? Telefon z groźbami do redakcji, fakt, że ojciec latami prześladował swoje dzieci i że popełnił zbrodnię doskonałą? Bo, moim zdaniem, załatwił to bezbłędnie. Idę o zakład, że technicy nie znajdą żadnego dowodu na obecność kogoś obcego w tym pokoju.

– Wobec tego po co mam pisać ten felieton?

– Myślę, że to go może wypłoszyć. Widząc, jak pociął Shebę na przynętę, mam ochotę stanąć z nim twarzą w twarz i go zabić. Ale tego nie zamieszczaj w artykule.

– Oczywiście – obiecuję. – Kocham cię za to, co powiedziałaś.

Wychodząc na werandę, zataczam się, lecz Ike obserwuje mnie, podtrzymuje i opiera o filar.

– Rany boskie – jęczy. – To był niewyobrażalny koszmar.

Ciekawscy sąsiedzi z satysfakcją będą mogli opowiadać rodzinie i znajomym, że na własne oczy widzieli, jak felietonista gazety i szef policji płakali bezradnie, obejmując się.

*

W felietonie opisuję szok wywołany widokiem zmasakrowanej Sheby i cierpiącej na demencję matki, która ostatnio stała się agresywna i siedziała na łóżku z nożem w ręku, cała we krwi córki. Napisałem, że jeśli Shebę zabiła Evangeline Poe, to nie ma miejsca zbrodni, ponieważ żadnej zbrodni nie popełniono. Byłem po prostu świadkiem niewyobrażalnej tragedii, i tyle – choroba alzheimera

uniemożliwia Evangeline Poe zarówno popełnienie zbrodni, jak i racjonalne zachowanie. Opisuję, jak Sheba i Trevor wprowadzili się do domu naprzeciwko tego, w którym się wychowałem, i jak na powitanie zaniósłem im ciasteczkę. A także noc, kiedy bliźniaki z matką najechały nasz dom, powodowane strachem przez tajemniczym intruzem, w tym samym miesiącu, gdy rozwożąc gazety, zostałem napadnięty w Stoll's Alley przez groźnego mężczyznę w masce. Podaję, że jego znakiem firmowym jest płacząca buźka i że z wytrwałością drapieznika nieustannie prześladowuje dwójkę swoich przerażonych dzieci. Opisuję, jak w końcu został aresztowany w Nowym Jorku, po zabiciu odźwiernego w kamienicy przy Park Avenue, w której mieszkała Sheba. Skazany na dożywocie, w więzieniu udawał, że jest niepoczytalny, a po przewiezieniu do szpitala dla umysłowo chorych sfingował samobójstwo. Opowiadam o jego podróży do San Francisco, o trupie Hindusa w bagażniku samochodu i o włamaniu do domu przy Vallejo Street. Nazywam go człowiekiem bez imienia i zdradzam, że nawet jego własne dzieci nie znały jego prawdziwej tożsamości. Posługiwał się licznymi pseudonimami, co roku zmieniał pracę, wynajmował domy położone na odludziu, izolował dzieci od świata, gwałcił je, gdy tylko miał na to ochotę, i maltretował w każdy możliwy sposób.

Podczas gdy gwałcił Shebę Poe, ona marzyła o tym, że jest wielką aktorką tragiczną, rzucającą cały świat na kolana potęgą kwestii, które wypowiada na scenie. Gdy nadchodziła kolej Trevora, wyobrażał sobie, że występuje w największych salach koncertowych świata, a słuchacze zrywają się z miejsc, słysząc, z jak nieopisaną subtelnością interpretuje dzieła wielkich kompozytorów. Ale z tych niewyobrażalnych ruin dzieciństwa oboje potrafili stworzyć sobie wyjątkowo piękne życie.

Ujawniam to, do czego dotąd się nie przyznawałem: że Sheba Poe była pierwszą dziewczyną, z którą się całowałem. Dla tak brzydkiego i nieśmiałego nastolatka jak ja było to jak pocałunek bogini. Napisałem, że Sheba Poe pragnęła zostać boginią, gdy dzień po ukończeniu

liceum wyruszyła na podbój Los Angeles. I została nią – boginią filmu stojącą w świetle reflektorów, a dzieło sztuki, jakim było jej ciało, zapewni jej nieśmiertelność wśród gwiazd ekranu.

„News and Courier” opublikowała zdjęcie jej ojca zrobione w chwili, gdy wchodził do więzienia Sing-Sing, gdzie miał odsiedzieć wyrok. Redakcyjny rysownik stworzył makabryczną wersję płaczącej buźki, która pojawiała się we wszystkich moich sennych koszmarach.

Ponieważ Sheba Poe była sławna, mój felieton trafił do agencji prasowych i gazety na całym świecie zamieściły przedruk. W dniu, kiedy się ukazał, w centrali redakcji rozdzwoniły się telefony. Czytelnicy zaczęli podsuwać nam tropy i wskazówki, zgłaszać swoje przeczucia i zbiegi okoliczności, informować, jakoby widzieli ojca, i tak dalej. Zapisujemy nazwiska i numery telefonów wszystkich informatorów, upewniając się, że poprawnie zanotowaliśmy dane. Urzędująca w recepcji Blossom Limestone irytuje się rzeszą mężczyzn i kobiet z odręcznymi bądź wystukanymi na maszynie liściami do mnie, w których dzielą się wrażeniami, jakie wywołał na nich mój tekst. Policyjny saper musi kontrolować wszystkie te listy, zanim zostaną przekazane na górę. Tutaj sprawdza je Kitty Mahoney i znosi mi całymi stosami.

Nie mogąc się dodzwonić, bo wszystkie linie są zablokowane, Ike przyjeżdża do redakcji i wchodzi do mnie tylnymi schodami. Z przerażeniem i niecierpliwością spogląda na stos listów na moim biurku.

– Zdaje się, że coś mamy – informuje. – Twój artykuł przeczytała starsza pani mieszkająca w Sergeant Jasper Apartments. Zajmuje jedno z górnych piętér. Cierpi na bezsenność. Lubi spoglądać na dachy Charlestonu. Widziała faceta w średnim wieku, który uciekał z ogrodu na tyłach domu i wskoczył do samochodu stojącego na parkingu. Jej zdaniem było to o trzeciej nad ranem, tej nocy, kiedy zginęła Sheba.

– Podała rysopis?

- Nie. Było za ciemno.
- A samochód?
- Nie odróżniłaby pinto od maserati – prycha Ike. – Musimy znaleźć coś bardziej konkretnego.
- Znajdziemy.
- Skąd ta pewność?
- Ego – wyjaśniam. – Tego faceta rajcuje rozgłos.

Następnego dnia przychodzi list, na którego widok Kitty krzyczy tak, że dziennikarze zrywają się z miejsc. Kiedy mi go przynosi, najpierw czytam dwa razy, a dopiero potem dzwonię do Ike'a. Patrzę na zegarek – jest piątek, ósmy września. Czas tak szybko mija i już nie wiem, jaki akurat mamy dzień. W słuchawce słyszę głos Ike'a.

- Dostaliśmy coś – mówię.
- Co masz?
- List. Nieodręczny. Słowa wycięte z gazet i czasopism. W prawym górnym rogu jest wizerunek ropuchy.
- Liścik miłosny.
- Oto treść: *Jedna z głowy. Gliniarze to idioci. Ty jesteś idiota. Nigdy nie molestowałem dzieci. Moje dzieciaki mnie kochają. W przyszłym tygodniu otwieram sezon łowiecki na ropuchy.*
- To wszystko? Jest podpis?
- A jakże. Najlepszy z dotychczasowych, najbardziej wyszukany. Nie śpieszył się z nim. Buźka zjedna łżą.
- Czerwony atrament czy lakier do paznokci?
- Ani to, ani to. Moim zdaniem tę narysował krwią.

Istotnie, przeprowadzone jeszcze tego samego dnia badania wykazały, że ojciec Sheby Poe do namalowania swego ostatniego dzieła sztuki użył krwi córki.

*

W poniedziałek, jedenastego września, w katedrze Świętego Jana Chrzciciela przy Broad Street odbywa się pogrzeb Sheby Poe. Błady i zbołąły monsinior Max ma jednak swój wielki dzień jako duchowny,

co wyraźnie napawa go dumą. Mimo wewnętrznego oporu upaja się zainteresowaniem ogólnokrajowych mediów. W rezydencji biskupa na własny koszt wydaje kolację dla licznych producentów, reżyserów i gwiazd z Hollywood, którzy przylecieli samolotami rejsowymi bądź prywatnymi. „News and Courier” zamieszcza galerię zdjęć portretowych wybitnych osobistości, które tłumnie przybyły do miasta, by uczcić pamięć zamordowanej aktorki. Meryl Streep, udzielając wywiadu Billowi Sharpe'owi i Debi Chard na Kanale 5, zalewa się łzami. Clint Eastwood jest męski, Paul Newman wstrząśnięty, Jane Fonda wzruszona, Al Pacino rozdrażniony, a Francis Ford Coppola serdeczny.

Mieszkając w zaściankowej Karolinie Południowej, nie doceniam w pełni korozji, jaką powoduje obsesja na punkcie celebrytów, która opanowała Amerykę – korozji powodującej, że nasza kultura jest robaczywa i obsrana przez muchy. Po raz pierwszy dostrzegam to na pogrzebie Sheby Poe, gdy wokół katedry kłębi się pięć tysięcy ludzi, za wszelką cenę próbujących wdrzeć się do środka. To nie przyjaciele Sheby, tylko jej wielbiciel, którzy przybyli z tak dalekich stron jak Seattle czy stolica Meksyku, byleby tylko wpisać się do księgi gości. Dom pogrzebowy wyłożył siedem takich ksiąg, a fani Sheby stoją w kolejce do drugiej nad ranem, by zapisać wylewne, sentymentalne pochwały na cześć swojej „ukochanej aktorki”. Teren przed katedrą wygląda jak zaaranżowana scena zbiorowa i ludzie Ike'a mają pełne ręce roboty, by zapanować nad skłonnym do wybuchu tłumem. Trevor wyznaczył osoby do niesienia trumny – Ike'a, Betty, Nilesa, Fraser, Molly i mnie – a także poprosił moją matkę, żeby pchała go na wózku i usiadła obok niego z przodu kościoła. Zdruzgotany śmiercią siostry oraz rolą, jaką odegrała w tym ich upadła matka, jest przezroczysty jak zjawia.

Gdy wnosimy trumnę Sheby po schodach katedry, obawiam się, że zostaniemy zmiżdżeni przez tłum.

– Pozwólcie nam dotknąć trumny! – drze się jakaś dziewczyna.

– Mamy prawo ją zobaczyć! – krzyczy inna i tłum napiera na nas groźnie, niemal blokując nawę.

– Pięknie, tylko tego brakowało – szepczę znużony do Molly.

Komendant straży pożarnej ograniczył tłum do tysiąca osób, ale i tak, kiedy kroczymy główną nawą, kościół pęka w szwach. Siadając w pierwszym rzędzie, cała nasza szóstka jawnie płacze. Poszukiwania Trevora w San Francisco zmieniły naszą przyjaźń w coś głębszego i piękniejszego niż wszystko, czego wcześniej doświadczyłem. Nasze przymierze jest teraz nierozzerwalne, wyryte w kamieniu i do końca życia będzie częścią naszej samoświadomości. Sheba wróciła do nas, poprosiła, żebyśmy towarzyszyli jej w poszukiwaniach, a my jak jeden mąż bez wahania wyraziliśmy zgodę. Teraz zaś, za sprawą ciemnych mocy wyzwolonych przez tę podróż, szykujemy się do pochówku kobiety, która zabrała nas ze sobą na Zachód. Podczas pogrzebu wszyscy jesteśmy w rozsypce, więc trzymamy się siebie nawzajem niczym kół ratunkowych.

Monsinior Max prowadzi uroczystą majestatyczną ceremonię z naturalnym dla aktora pociąganiem do skupiania na sobie uwagi. Jego głos jest urzekający, widzę, że doskonale zdaje sobie sprawę, iż obserwuje go większość dygnitarzy z Hollywood. Niemal słyszę moją matkę, jak mówi: „Max powinien zostać pierwszym amerykańskim papieżem”, i muszę przyznać, że monsinior naprawdę prezentuje się po królewsku.

Żałobnicy niosący trumnę zaskoczeni patrzą, jak Sługus Ledbetter wstaje i podchodzi do ołtarza, gdzie monsinior prowadzi go do olbrzymiej ozdobnej księgi. Sługus odczytuje fragmenty Biblii z tak silnym południowym akcentem, że spokojnie mógłby dostać niewielką rolę w filmie *Uwolnienie*. Trevor opowiadał mi, jak Sługus rozkleił się na wieść o śmierci Sheby. Z płaczem wyrzucał sobie, że nie został na noc z całą ekipą i nie dokończył instalacji systemu alarmowego w jej domu. Uważał, że mogliby uratować jej życie. Trevor zapewnił go, że jego siostry nic by nie ocaliło.

Sześcioro żałobników nagradza Sługusa bezgłośnymi brawami, gdy wraca na miejsce z twarzą zalaną łzami. Następnie wstaje Chad i czyta fragmenty Ewangelii według świętego Łukasza. Jego godny sposób bycia i melodyjne czytanie pozwalają zrozumieć, dlaczego wychowanie i arystokratyczne pochodzenie odegrały tak istotną rolę w powstaniu elity tego miasta. Jedwabistym, gładkim głosem Chad czyta Biblię tak, jakby sam ją napisał. Wracając na miejsce, kiwa głową w podzięce za bezgłośną brawa, którymi nagradza go szóstka żałobników.

Gdy nadchodzi pora komunii, Molly łapie mnie za ramię i pyta szeptem:

– Czy ja mam prawo przyjmować komunię? Jestem wyznania anglikańskiego.

Uświadamiam sobie, że spośród sześciorga żałobników, którzy nieśli trumnę, tylko ja jestem praktykującym katolikiem.

Spoglądam na monsiniora Maksa, który ruchem ręki każe nam podejść.

– Monsinior chce powiedzieć, że zaprasza wszystkich na ucztę Pana – mówię i prowadzę pozostałych do barierki. Ike i Betty ociągają się, jak przystało na gorliwych baptystów z Południa, ale pozwalając mi doprowadzić się przed ołtarz, na pogrzebie Sheby przyjmują swoją pierwszą komunię. Miażdżące spojrzenie, jakim przeszywa mnie moja matka purystka, wydaje mi się całkiem na miejscu.

Monsinior poprosił sześciu innych księży z diecezji, żeby przed katedrą sprawowali eucharystię dla hałaśliwego tłumu. Teraz wchodzi w ludzką ciżbę, niosąc błyszczące kielichy wypełnione po brzegi setkami poświęconych opłatków. Atencja księży łagodzi nastrój i poskramia przybyłych, którzy do końca życia będą mogli opowiadać: „Na pogrzebie Sheby Poe w Charlestonie przyjąłem komunię”.

Następnie magia monsiniora Maksa wznosi się na wyższy, pełen polotu poziom. Kiedy już eucharystia wróciła na swoje miejsce w tabernakulum, monsinior unosi głowę, dając znak kinooperatorowi na chórze. Dzień wcześniej, na kolacji wydanej dla gości z Hollywood,

Max poznał i oczarował agenta filmowego Sheby, Sidneya Tauba, który odkrył ją jako osiemnastolatkę i był jej wierny do samego końca, sumiennie dbając o karierę swojej podopiecznej. Zawsze byłem przekonany, że podkochał się w Shebie, ale co z tego, ja też. Sidney wygrzebał wszelkie zdjęcia z sesji fotograficznych, z jej występów jako modelki oraz fotosy, jakie tylko zdołał znaleźć. Zmontował z nich pokaz slajdów na wczorajszy wieczór, ale monsinior w przypływie natchnienia wpadł na pomysł, żeby zdjęcia te pokazać również na koniec pogrzebu.

Pierwszy slajd, ukazujący Shebę Poe w kwiecie olśniewającej młodości, zapiera widzom dech w piersiach. Czy kobieta może być aż tak piękna? – myślę, patrząc na jej błyszczące zielone oczy, złote włosy, idealny owal twarzy, pełne usta i figurę, którą Bóg obdarzył ją z miłości do kobiecych kształtów. Na drugim zdjęciu Sheba pozuje nadaśana, seksowna i niewinna. Na trzecim – upadły anioł w wielkim mieście. Wkrótce tłum kwituje kolejne zdjęcia jękami zachwytu. Gdy Sheba po raz pierwszy pojawia się na ekranie w epizodycznej roli z Clintem Eastwoodem, rozlegają się stłumione owacje. Jest świeża i radosna, jest madonną, jędzą i ulicznicą. Cały zgromadzony na pogrzebie tłum z zachwytem obserwuje, jak jej twarz powoli, nieuchronnie dojrzewa z wiekiem. Zdumieni patrzymy, jak z podlotka zamienia się w pierwszą naiwną, a wreszcie w młodą kobietę. Jak staje się coraz piękniejsza, mądrzejsza, jak poważnieje. Na koniec widzimy ją tańczącą z Alem Pacino w restauracji w Los Angeles. Znów jest oszalamiająca, promienieje wewnętrznym światłem, wciąż ma w sobie to nieokreślone coś. Nieskazitelnego spojrzenie, które tylko kamerzysta potrafi uchwycić, oraz twarz i ciało, które cały świat chciałby zaciągnąć do łóżka, oglądać, obserwować i na okrągło podziwiać. Gdy ostatnie zdjęcie znika, wszyscy czekają na pochód z trumną do karawanu.

Kiedy się ustawiamy, Molly na stronie zwraca się do nas wszystkich:

– Wy, chłopaki, nawet nie macie pojęcia, jak ciężko było chodzić do tego samego liceum co Sheba Poe.

– Molly, my doskonale wiemy, jak ciężko było chodzić do tego samego liceum co Sheba Poe – odpowiada jej Niles z kamienną twarzą.

Tylko tyle zdążyliśmy sobie powiedzieć, zanim ruszyliśmy główną nawa, ale wiem, że Sheba byłaby zachwycona tą wymianą zdań.

W milczeniu przechodzimy między przybyłymi na pogrzeb gośćmi, aż w końcu Molly, troskliwa jak zawsze, zaczyna rozmowę o niczym, byleby przełamać nasz ból. I chociaż wiem, co chce osiągnąć, to jednak irytuje mnie, że próbuje nas zająć prognozą pogody z wieczornych wiadomości.

– Słyszeliście o tym cyklonie na Karaibach?

– Nie miałem czasu oglądać wiadomości – rzuca Ike machinalnie.

– Nadali mu już imię? – pyta Niles.

– Dwa dni temu – odpowiada Fraser. – Jakieś męskie, na „H”. Herbert, a może Henry? Coś w tym rodzaju.

– Hugo – informuje nas Molly. – Nazwali go Hugo.

Imię to, podobnie jak Shebę, każde z nas zachowa w pamięci do końca życia.

Guernica

Jest poranek, dwudziesty pierwszy września 1989 roku. Psy w Charlestonie zaczęły zbiorowo wyc ze strachu, za to bezpańskie koty wylegają się niefrasobliwie. Okna wielkich domów noszą okulary ze sklejki, bo ludzie zabezpieczyli je przed huraganem szalejącym w odległości czterystu mil. Nad miastem zalega złowróźbna, dziwna, rozświetlona od zewnątrz poświata. W oknie rezydencji przy East Bay ładna kobieta gra na harfie. Gdy kończy, wstaje i kłania się olbrzymim falom czekającym na bal z huraganem. Ale Hugo roztrząska zabawę straszliwą, ponurą pięścią. Jutro mieszkańcy Karoliny Południowej na własnej skórze poznają zasady, jakimi rządzi się cyklon. Zasady stronnicze i surowe.

Potężny huragan Hugo kieruje się własną ospałą, niszczycielską wolą. Na zebraniu sztabu kryzysowego w redakcji „News and Courier” dziennikarze wysłuchują zwięzłych informacji ponurego meteorologa, który od wielu dni śledzi drogę huraganu. Jego zdaniem Hugo jest „potworny, szalony i nieprzewidywalny”. Najgorsze, co ma nam do zakomunikowania, to to, że mądrość wszystkich światowych speców od pogody razem wziętych nie daje gwarancji, jaką trasę obierze huragan.

Mówi, że zależy to od wahanja temperatury, frontów atmosferycznych stających na drodze cyklonu, oddziaływania Golsfstromu

i tysiąca innych czynników, których nie da się uwzględnić. Może uderzyć na Savannah czy Wilmington albo zostanie zepchnięty na północ, na pełne morze.

– A pańskim zdaniem gdzie uderzy? Jak pan przypuszcza? – pyta jeden z dziennikarzy.

– Moim zdaniem na Charleston – odpowiada meteorolog. – Idzie wprost na nas.

Ponieważ mieszkam na południe od Broad, mam za zadanie informować o wszelkich zniszczeniach, jakie dotyczą tę wytworną, lecz bezbronną część miasta. Molly i Fraser wyprawiły już dzieci pod opieką Chada do letniego domu w Highlands w Karolinie Północnej. Same postanowiły jednak przeczekać huragan w domu Nilesa i Fraser przy Water Street, koło skrzyżowania z Church. Rodzice zarówno Chada, jak Fraser stanowczo odmówili wyjazdu, twierdząc, że nie opuszczą swojego miasta w potrzebie. Dzieci nie zdołały wpłynąć na zmianę ich decyzji. Rodzice upierali się, że ich domy od stuleci wytrzymały napór cyklonów znad Atlantyku, a proszenie ich, żeby podkulili ogony i uciekli w góry, zakrawa na tchórzostwo. Fraser okropnie się z nimi pokłóciła. W rezultacie oni byli oburzeni i bezradni, a ona zapłakana. Charleston stał się miastem zszarganych nerwów i burzliwych kłótni.

Piszę właśnie felieton ostrzegający przed huraganem, gdy dzwoni do mnie matka. Jak zwykle jest w rozterce. Bo przysłała do niej Molly i usilnie namawiają, żeby przeniosła się do domu przy Water Street. Żąda ode mnie potwierdzenia, że jest przy zdrowych zmysłach, w pełni władz umysłowych i zdolna do samodzielnego podejmowania decyzji, po czym oświadcza, że nie porzuci swojego domu i ogrodu z obawy przed cyklonem ochrzczonego nazwiskiem przecenianego, melodramatycznego, francuskiego powieściopisarza. Powtarzając to, o czym dyskutuje się w całym mieście, przypominam jej, że mieszka w pobliżu słonego jeziora. Jeżeli Hugo uderzy na miasto, stanie się to nocą, podczas największego przypływu, kiedy fale osiągną cztery

metry wysokości i zatopią ją wraz z całym domem i ogrodem. Jako jedyny syn rozkazuję jej pojechać z Molly i obiecuję, że później odwiedzę ją u Nilesa. Delikatnie radzę jej spakować najcenniejsze rzeczy oraz wziąć tyle jedzenia i wody, ile zdoła unieść. Kiedy mnie pyta, czy uważam ją za juczne zwierzę, w jej głosie słyszę pierwsze oznaki szaleństwa, które wkrótce ogarnie całe miasto.

Wszystkie szosy i inne drogi ewakuacji są zakorkowane przez rozgorączkowanych kierowców, którzy za bardzo śpieszą się, żeby uciec. Wczesnym popołudniem zrywa się wichura, rzeka pieni się białymi, zderzającymi się wściekle grzywaczami. Wszędzie wiszą małe, ręcznie wymalowane ostrzeżenia, zupełnie zbyteczne. Jadę na Folly Beach, gdzie zebrali się surferzy, by złapać falę stulecia. Jedząc ostatnie ostrygi, które właściciele Bowens Island podają przed wyjazdem do Columbii, zapisuję, jakie wrażenie wywarło na mnie rozgromione, uszczelnione miasto. Radio i telewizja zredukowały nasz świat do jednego nienawistnego imienia – Hugo. O szesnastej jadę do centrum, gdzie w ogóle nie ma ruchu. Jedno mogę napisać z całą pewnością – nikt nie wjeżdża do miasta, za to mnóstwo ludzi z niego ucieka. Nie potrafię sobie wyobrazić bardziej apokaliptycznego scenariusza.

Jadąc wyludnioną East Bay Street, zwracam uwagę, że ptaki przestały śpiewać, a mewy gdzieś się pochowały. Ryby koi w moim stawie w ogrodzie opadły na dno, garbiąc nakrapiane złotem grzbieity. Mimo podmuchów wiatru ociekam potem. Wstawiam samochód do dawnego garażu pana Canona w alejce na tyłach Tradd Street. Jeżeli huragan rzeczywiście uderzy, nie daję żadnych szans ani garażowi, ani jego zawartości. W domu szwendam się z pokoju do pokoju, próbując pozbierać rzeczy wywołujące u mnie ekstazę bądź nostalgię, stwierdzam jednak, że kocham cały ten dom i wszystko, co znajduje się pod jego kojącym dachem. Jest on dla mnie czymś cennym, trwałym przypomnieniem, że los równie dobrze może zesłać na nas szczęście, jak zniszczyć nam życie. Nie roszczę sobie do tego

domu żadnych praw, nie ja go zagarnąłem, tylko on mnie. Stał się moją promienną, luksusową pustelnią dla ducha. Nie potrafię znieść myśli, że mogłoby mu się stać coś złego. Oklejam wszystkie piękne okna na krzyż taśmą izolacyjną. Zamykam na klucz kochane drzwi i w chwili największego zagrożenia porzucam miłość mojego życia i przenoszę się do Whiteheadów. Odmawiam modlitwę za mój dom i proszę ducha Harringtona Canona, żeby zamieszkał w nim pod moją nieobecność.

– Jestem bezdzietny – szepczę do siebie, idąc Church Street, na której karłowate palmy szeleszczą, a dęby drżą w pradawnym łęku przed huraganem. – Pół życia mam już za sobą. Jak do tego doszło, że znalazłem się tutaj, w tej właśnie chwili?

Światło jest nie z tego świata, surrealistyczne, właściwie to zaprzeczenie światła. Miejskie kamienie wydzielają zapach rezygnacji. Mniej więcej co czwarty z moich sąsiadów przeczekuje huragan u siebie, z wielu mijanych domów dolatują odgłosy zabawy. Z jednego coraz silniejsza wichura porywa dźwięki muzyki, to Vivaldi. W innym Emmylou Harris śpiewa *Queen of the Silver Dollar*. W pokojach ekrany telewizorów rzucają akustyczny blask, a jedynym tematem dyskusji jest Hugo. Dotychczas nie widziałem Charlestonu skulonego, wystraszonego... nigdy w życiu. Prawdopodobnie miasto czuło się tak samo podczas wojny secesyjnej, kiedy nieustannie bombardowała je marynarka unionistów. Każdą komórką ciała czuję nadchodzący huragan, jakbym zamienił się w miernik szelmostwa naszej planety.

Szyba w oknie werandy na pierwszym piętrze rozpada się z trzaskiem. Zadzieram głowę i widzę mężczyznę w średnim wieku, z twarzą obwiązaną chustką, który włamuje się do opuszczonego domu. Być może jest pierwszym szabrownikiem zauważonym w mieście, ale na pewno nie ostatnim. Zatrzymuję radiowóz, podaję policjantom niezbędne namiary, ale dwóch mundurowych moje informacje o trwającym właśnie włamaniu najwyraźniej nie interesują. Z ich radia padają trzeszczące wytyczne z centrali. Słyszę dźwięk jadącej

przez miasto karetki. Przez krótką chwilę zastanawiam się, gdzie jest Starla, i modłę się, żeby była daleko. A potem wyrzucam ją z głowy na dobre – to jedyne, co opanowałem do perfekcji.

Podnoszę zasuwkę furki przy Water Street i otwieram drzwi do zawieruchy. Miałem swój udział w doprowadzeniu do niej. Wicher zatrzaskuje je za mną. Wchodzę do oficjalnego salonu, a tam mieszkańcy mojej zagrożonej arki siedzą przed telewizorem. Satelitarne obrazy Hugo zapierają dech w piersiach. Wydaje się większy od całej Karoliny Południowej.

– Nigdy nie uderzy na Charleston – oświadcza Worth Rutledge, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Już zapomniałem brzmienia wszystkowiedzącej nuty w jego kulturalnym głosie. – Kiedy trafi na Golsztrum, odejdzie na północ.

Niedawno Worth złamał biodro podczas gry w golfa w charlestońskim country clubie i wciąż jeszcze niezdarnie porusza się na wózku. Ten wypadek tylko wzmógł jego wrodzoną wybuchowość. Instynktownie zawsze trzymałem się z dala od Chadwortha Rutledge'a dziewiątego, więc nie uśmiecha mi się spędzanie zapewne pamiętnej nocy w towarzystwie tego cymbała o błękitnej krwi. W kuchni Molly krząta się przy kolacji, a Fraser roznosi przystawki przejętym słuchaczom Kanału 5, którego dziennikarze nieustannie dostarczają najnowsze niepokojące informacje. Kilku targanych wicherą reporterów, z rozwianymi starannie utrefionymi fryzurami, podaje, krzycząc, dane o prędkości wiatru, na tle kołujących się za nimi spienionych grzywaczy. Jest dziewiętnasta. Nasze oczy śledzą straszliwe oko cyklonu Hugo, który kierując się własną ponurą wolą, pędzi nienawistne siły i kolosalny wir wprost na Charleston.

– Wspomnicie moje słowa. Golsztrum zmieni jego kurs – powtarza Worth.

– Kochanie, czy mógłbyś być cicho? – prosi jego żona. – Bóg jeden wie, czy huragan w nas uderzy, czy nie.

– Nie bój się, mamó. – Fraser prowadzi matkę do krzesła i sadza ją, trzęsącą się ze strachu.

– Zawsze uważałam, że zginę podczas cyklonu – wyznaje Hess Rutledge.

– Bzdura. Huragan zabija tylko chłopów w nędznych chałupach i białą hołotę mieszkającą w przyczepach. W tym stanie więcej ludzi ginie podczas polowań na jelenie niż w wyniku cyklonów. – Worth podnosi szklanke, domagając się dolewki, więc podchodzę i biorę ją od niego.

– Czego pan sobie życzy? – pytam.

– Życzę sobie, żeby drinka zmieszała mi córka, a nie ty, Leo. Nie wiedziałem, że zjawił się miejscowy plotkarz.

– Daj mi to, Leo – mówi Fraser i pędzi do stojącego w rogu salonu wyszukanego baru ze zlewozmywakiem.

Molly wystawia głowę z kuchni.

– Worth, bądź grzeczny! – woła. – Fraser i ja tłumaczyłyśmy ci już, że masz być miły.

– Szkoda, że nie zostałem w domu – gdera starzec. – Mój dom jest jak warowny zamek, zbudowany z rdzenia sosny. Twardy jak granit. Mógłby przetrzymać atak nuklearny.

– Ale stoi w pobliżu portu – zauważam. – Spiętrzone fale mogą być wyższe niż pański dom.

– Rezydencja Rutledge'a-Benneta przetrwała dwieście lat i jakoś obywatela się bez rad byle katolika – odcina się Worth, na co moja matka, która nie daje sobie w kaszę dmuchać, rusza do boju.

– Worth, ja wiem, że Chrystus umarł na krzyżu, żeby zbawić dusze wszystkich ludzi – oświadcza lodowato – ale jakoś nie mogę uwierzyć, że chciał też uratować takiego drania jak ty.

– Lindsay, to było niepotrzebne – mówi Hess Rutledge tonem urażonej godności. – Worth zaczyna pyskować, kiedy się denerwuje albo boi.

– Ja się boję? – obrusza się jej mąż. – Niby czego? Jakiegoś tam kapuśniaczka? Mówię wam, ten cholerny huragan zawróci. Ile razy jeszcze mam wam to powtarzać?

– Przeprós Leo – nalega Fraser.

– Przepraszam, papisto – rzuca jej ojciec ze śmiechem.

Wiem, że sili się na dowcip, żeby zachować twarz. Jego gest jest nieszczerzy, ale przyjmuję przeprosiny, zgodnie z wypaczonym duchem tego wieczoru.

Tymczasem Niles kończy oklejanie okien taśmą izolacyjną i dołącza do nas.

– Trevorze, zagrasz nam na fortepianie? – pyta nagle Fraser. – Najpiękniejszą muzykę, jaką znasz. Wszyscy mamy zszargane nerwy.

– Czy AIDS to choroba lokomocyjna, której nabawia się w samolocie? – zwraca się Worth do żony, nawet nie starając się mówić cicho.

Trevor gra, a Molly serwuje nam na talerzach supę ogonową, wieprzowinę z gotowanymi na parze szparagami, ziemniaki i sałatkę. Stajemy w szeregu i podajemy sobie talerze z rąk do rąk, aż wreszcie wszystko jest na stole. Kiedy siadamy do kolacji, Molly prosi mnie o odmówienie modlitwy dziękczynnej, a nas wszystkich, żebyśmy wzięli się za ręce przy okrągłym mahoniowym stole, który niegdyś należał do prababki pani Rutledge. Trevor przestaje grać Mozarta w połowie utworu, ale nie śpieszy się z dołączeniem do nas przy stole. Gdy wygłaszam modlitwę, cztery żyrandole łagodzą napiętą atmosferę perlistym, kojącym światłem.

– Panie wiatru, Panie huraganów, oddajemy się w Twoje ręce w tę tajemniczą noc. Noc strachu. Miałeś jakiś zamiar, gromadząc naszą grupę w tym miejscu. To tajemnica, którą rozwikłamy o świcie. Prosimy Cię, bądź łaskawy dla tego miasta, tego domu i tych ludzi. Wielbimy Cię, rozumiemy więc katastrofy nawiedzające świat, istotę trąb powietrznych, potęgę słowa i chwałę Ostatniej Wieczerzy. Ufamy w Twą łaskę, licząc, że nie zawiedziesz dziś naszego zaufania. Wybacz, że Worth Rutledge nie lubi katolików. Wierzę, że za ten ciężki grzech skażesz go na wieczne męki piekielne. Amen.

– Amen – powtarzają pozostali.

Worth zmusza się do sztucznego śmiechu.

– Nie znoszę pretensjonalnych, przesadnie rozbudowanych modlitw – komentuje cierpko moja matka, sięgając po łyżkę.

– Dzisiaj była nam potrzebna, doktor King – zapewnia Molly, nakładając jedzenie teściowi. – Leo, przywieź Trevora do stołu.

– Nie jestem głodny, słońce – wymawia się Trevor. – Pozwól, że posiedzę tu sobie, brzdąkając na fortepianie coś skocznego.

– Muzyka mnie uspokaja – oznajmia pani Rutledge, uśmiechając się blade. – Czuję się jak żona Noego. Przed potopem.

– To huragan – poprawia ją mąż. – Deszcz i wichura, a nie powódź.

– Jak się mają dzieci? – pytam Molly.

– Są bezpieczne w Highlands. Chad mówi, że wszystkie zajazdy mają komplet gości, zresztą tam wszędzie są tłumy. Jeśli sprawy przybiorą naprawdę zły obrót, może będziemy musieli przenieść się do twojego domu, kochanie – zwraca się do Nilesa i tłumaczy pozostałym: – Rodzice Ike'a już tam są, dzieci też.

– Gdybym miał jechać na północ, zatrzymałbym się w Grove Park Inn – oświadcza Worth, nie przerywając jedzenia. – To przytulny luksusowy hotel w Asheville. Wiecie, co dla mnie teraz jest biwakiem? Apartament w Ritzu-Carltonie.

Odchrząknąwszy, moja matka rzuca serwetkę na stół.

– Nie zamierzam przeczekiwać huraganu w towarzystwie tego wulgarnego człowieka.

– Uspokój się, matko – przykazuje jej.

– Zawsze jeszcze zostaje nam Paryż, doktor King – rzuca Trevor i zaczyna grać *As Time Goes By* z *Casablanki*. Wie, że moja matka uwielbia tę piosenkę.

Kończy efektownym pasażem i na chwilę zapada cisza.

– Boże jedyny, posłuchajcie tego wiatru! – szepcze Molly.

– Trzeba było zostać w domu – powtarza Worth Rutledge. – Jeśli zginiemy tutaj, to nawet nie umrzemy w domu, który coś znaczy.

– Zamknij się, Worth! – ruga go żona. Zrywa się z miejsca i wychodzi do przygotowanego dla niej pokoju gościnnego na tyłach. Fraser biegnie za nią, ale uspokojenie matki zajmuje jej dobre dziesięć minut.

W końcu Trevora mężczy gra na fortepianie. Zanoszę go więc na kanapę i zapowiadam, że nie spocznę, dopóki przed snem nie wypije przynajmniej koktajlu na mleku. Jednym z bardziej nielogicznych objawów AIDS jest fakt, że Trevor stale traci na wadze bez względu na to, ile kalorii udaje mi się wpakować mu do gardła. Bez przerwy zarzuca mi, że go przekarmiam niczym francuska chłopka z Dordogne, na siłę tuczająca gęsi na pasztet. Wymyślam setki sposobów, żeby zmusić go do przełknięcia najtłustszych potraw, jakie potrafię wyzarować po latach gotowania, ale żadne jedzenie nie jest w stanie sprawić, żeby utył.

Zanoszę mu koktajl mleczny i staję za matką, która nie potrafi oderwać się od telewizora. Z ekranu nieustannie płynie potok dobrych rad i informacji. Hugo wygląda jak potężne działo, które wzięło nasze miasto na celownik. Wkładam płaszcz przeciwdeszczowy, żeby wyjść i się rozejrzeć na dworze. Matka protestuje.

– Naczelny zlecił mi relacjonowanie huraganu, przydzielił mi teren na południe od Broad – tłumaczę jej z naciskiem. – Muszę iść i się przekonać, jak wygląda woda.

– Idę z tobą – mówi Molly.

– Nie ma mowy – oponuje Fraser. – Pomyśl o swoich dzieciach.

– Zgoda – odpowiada Molly i także wkłada płaszcz. – Już o nich pomyślałam. Chodź, Ropuchu, zanim wichura, rozszałe się na dobre.

Wspólnymi siłami udaje nam się jakoś otworzyć drzwi obłożonego domu, ale wichura natychmiast zatrzaskuje je z głośnym hukiem. Przed chwilą Debi Chard w telewizji podała, że prędkość wiatru

osiąga w porywach sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Po omacku biegniemy z Molly pod mur Battery. Dziwne szmaragdowe światło działa nam na nerwy, kiedy brniemy pod wiatr, trzymając się za ręce i usiłując zachować pion. Kurczowo trzymamy się stalowych poręczy na schodkach prowadzących na wał nadmorski, skąd turyści zazwyczaj oglądają Fort Sumter i podziwiają rezydencje przy East Bay. Deszcz kłuje mnie w oczy, nagła fala, która przetoczyła się nad wałem, zmywa nas z powrotem na ulicę.

– Mam pomysł! – Molly próbuje przekrzyczeć wiatr.

Prostujemy się, obserwując charlestoński port, rozszalały i śmiertelnie groźny. Woda napawa mnie strachem. Sądziłem, że widziałem ją już we wszystkich odcieniach zieleni, brązu i szarości, teraz jednak patrzę, jak spienione grzywacze na Cooper wylewają się poza koryto rzeki.

Trzymając się za ręce, wracamy do domu. Wiatr mamy teraz w plecy, więc czujemy się jak mistrzowie świata w sprincie. Śmiejemy się histerycznie.

Niles wychodzi nam na spotkanie pod bramę.

– Wejdźcie przez tylną furtkę! – krzyczy. – Frontowa się nie otworzy. Poszedłem zamknąć komórkę i nad głowę przeleciał mi krzak lagerstremii. Myślałem, że narobię w gacie ze strachu.

– Narząłeś życie dla jakichś narzędzi w komórce? – dziwi się Molly, rozbawiona takim pomysłem.

– Czy można umrzeć w bardziej żenujący sposób? – krzyczę, skręcając za róg domu.

– Niemożliwe! – odpowiada.

Śmiech nie opuszcza nas nawet wtedy, gdy wchodzimy do środka, otrząsamy się z wody i opisujemy sytuację w porcie. Ale gaśnie w mgnieniu oka, bo w pobliżu, gdzieś na ulicy, rozlega się wybuch. Niebo na chwilę rozświetlają płomienie z palącego się transformatora i dom pogrąża się w ciemności.

Po omacku wchodzimy w głąb domu, do salonu, skąd dobiega wołanie Trevora:

– Tu jest ciemno choć oko wykol!

– Macie latarnie sztormowe? – zwraca się Molly do Fraser, która maca kredens, szukając zapalek.

– Zapalcie świeczniki – zarządza Fraser. – I znajdźcie latarki.

Mówi lekko podniesionym głosem, bo Hugo uderzył na miasto z piekielnym wyciem, łamiąc sosny, jakby to były zapalki, ciskając nimi w podświetloną ciemność i wybijając okna. Na sąsiedniej posesji pada dąb, kolejne transformatory wybuchają jak bomby na całej ulicy. Odchylamy z Nilesem róg żaluzji przeciwsztormowej, by wyjść przez okno po zawietrznej stronie domu. Zdumiewa nas lśniące turkusowe światło, dzięki któremu widzimy samochody i jachty fruwające tak, jakby nic nie ważyły. Przed oknem przelatuje wyjący jamnik. Na sąsiedniej ulicy wybuchają kolejne transformatory i na ziemię spadają druty linii energetycznej zwinięte jak spaghetti. Znak stopu wbija się w pień karłowatej palmy. Potężne podmuchy wiatru niemal unoszą dom z fundamentów, ale stara chałupa trzyma się mocno, uczepiona ziemi jak rzep psiego ogona.

Gdy Molly przyłapuje nas przy oknie, wydiera się:

– Odbiło wam czy co?! Jeżeli ta magnolia padnie, zetnie wam głowy!

– Co racja, to racja – przyznaję i wracamy z Nilesem do salonu. Uszy odytkają nam się z trzaskiem, gardła mamy wysuszone na wiór. Z trudem oddychając, rozdajemy wszystkim butelki schłodzonej wody i piwa.

– Dom się trzyma – rzuca Niles z ostrożnym optymizmem, który moja matka od razu gasi:

– Przestrzegam przed z gruntu nieuzasadnionymi nadziejami.

– Do cholery, Lindsay! – wybucha Worth. – Czy zawsze musisz gadać jak nauczycielka angielskiego?

– Nic podobnego – odgryza się matka cierpko. – Czasami mówię jak idiotka. Wtedy wyrażam się jak prawnik z Broad Street.

Worth nie ma okazji do repliki, bo narasta niesamowity grzmot huraganu, a dom drży w posadach, tak że trzęsą się żyrandole.

– Nie powinniśmy zostawać w mieście! – Molly stara się przekrzywić ryk cyklonu. – Ten dom nie wytrzyma.

– Ma dwieście lat! – oburza się Worth. On także krzyczy. – Nasi przodkowie budowali domy na pokolenia. Takie, które przetrwają każdą katastrofę.

– Twój przodek nie zbudował niczego – prostuje moja matka. – Zrobili to ich niewolnicy.

Worth szykuje się do zjadliwej riposty, ale matka jeszcze bardziej podnosi głos:

– Woda! Mój Boże, Leo... zalewa nas.

My sobie siedzieliśmy, a tymczasem woda zaczęła wdzierać się do domu przez progi drzwi i futryny okien. Początkowo poruszała się wolno, metodycznie. Nagle wiatr zerwał sklejkę z okien i na parterze wszędzie zaczęło fruwać szkło, gdy przyływ oraz wysokie na cztery metry fale oceanu całym ciężarem, z niesamowitą siłą naparły na dom. Ani się obejrzałem, a już brodziłem w wodzie po kostki.

– Czy to możliwe, żeby deszcz tak nas zalał?! – krzyczy Fraser. Na jej twarzy maluje się niedowierzenie.

– Nie, to ocean składa nam wizytę! – odkrzykuje Niles. – A ja się zastanawiałem, dlaczego ta ulica nazywa się Water Street. Do roboty!

Pomagam wstać mojej matce i prowadzę ją ku schodom. Fraser dźwiga Trevora – całe trzydzieści sześć kilogramów żywej wagi – i spotykamy się u stóp schodów, gdzie poziom wody błyskawicznie się podnosi.

– Czy najlepsza koszykarka w historii Ashley Hall da radę sama wstąpić do mojego przyjaciela po schodach?! – wrzeszczy.

– A żebyś wiedział, że dam radę! – odkrzykuje Fraser. – A ty dasz radę wnieść moich rodziców?!

– A żebyś wiedziała, że dam radę! Niles, masz panią Rutledge?!

– Już ją niosę! – woła. Kiedy mnie mijają, trzymając ją na rękach, wokół jest sama ciemność i halucynacje. Brnę w wodzie po Wortha Rutledge'a, który siedzi na wózku.

– Panie Rutledge, gdzie pan jest?! – wołam w głąb pokoju.

– Tutaj, Leo – odpowiada trzęsącym się głosem, w którym nie ma cienia nadziei.

Gdy zmagając się z coraz wyższą, wzburzoną morską wodą, w końcu docieram do niego, jest już zalany po szyję. Chyba całkiem postradał rozum, bo chwytając mnie i w rozpaczy wpycha moją głowę pod czarne nieposkromione fale. Trzymając go, prostuję się i krzyczę mu do ucha:

– Worth! Zaniosę cię na schody! Nie szarp się ze mną! Musimy mieć głowy nad powierzchnią!

Zza pleców dobiega mnie plusk, to Niles brnie przez wodę. Nagle, gdy usiłuję trzymać głowę Wortha nad powierzchnią i samemu się nie utopić, padają na nas snopy światła dwóch latarek. Uświadamiam sobie, że przez ten zagracony antykami pokój przewalają się prawdziwe fale niesione przez wiatr i napór przyływu. Niles dogania mnie i to dzięki jego sile, nie mojej, udaje nam się dotrzeć do schodów. Worth krzyczy z bólu, kiedy taszczymy go na górę, niemal łamiąc mu biodro po raz drugi... i nagle stawiamy go na podeście. Wtedy zarzucamy sobie jego ręce na ramiona i wnosimy go do sypialni jego wnuka. Nieprzytomny z bólu, jęczy głośno. W tym momencie do pokoju wchodzi Hess Rutledge – nieupięte włosy zasłaniają jej twarz. W świetle latarki szuka czegoś w torebce i wyjmuje fiolkę proszków przeciwbólowych.

– Że też w całym tym zamieszaniu pamiętała pani, żeby zabrać torebkę – mówię z podziwem.

– Dama nigdzie nie rusza się bez szminki – odpowiada głośno.

Wytrząsa kilka pigułek i zwraca się do męża: – Pogryź je, Worth. Nie ma wody.

A on natychmiast wykonuje polecenie.

Wygląda na to, że na piętrze nic nam nie grozi, więc wycieramy się i doprowadzamy do porządku, na ile to możliwe. Siadamy z Nilessem na szczycie schodów z latarkami i świecznikiem, obserwując poziom wody na wypadek, gdybyśmy nagle musieli ewakuować się na strych. Moje ciało jest znużone. Duch także. Ze zdumieniem patrzymy, jak woda pokonuje kolejne schodki w drodze na górę. Około trzeciej w nocy zauważamy, że przestała się wznosić tak intensywnie. Przez pół godziny utrzymuje się na tym samym poziomie, dwa schodki poniżej pierwszego piętra, a potem wyraźnie zaczyna opadać.

Wichura na dworze zwalnia tempo – Hugo wynosi się z miasta. Świeczki z kandelabru prawie się wypaliły, gdy Niles oznajmia:

– Już przeszło.

Po czym znienna chwytła mnie za rękę. W upiornej ciemności i urodzie cofającej się wody bierze mnie za rękę, tak po prostu. Myślę, że odczuwał taką potrzebę. Siedząc tam i patrząc na ustępującą wodę, rozmyślałam o tym, jak Niles czuł się w sierocińcu w dniu, kiedy się poznaliśmy – pewnie też chciał, żeby ktoś, ktokolwiek, potrzymał go za rękę i przeprowadził długą, straszną i przymusową drogą przez dzieciństwo. Przynajmniej tyle mogłam dla niego zrobić, bo już dawno pokazał mi, jak wielka siła wewnętrzna drzemie czasami w najbardziej pokiereszowanych mężczyznach. I jak ci mężczyźni z czasem wyrastają na bohaterów.

Zasypiamy na szczycie schodów. O świcie budzę się w ciszy, która jest więcej niż tylko cicha, w spokoju, który jest czymś więcej niż spokojem. Podchodzę do okna i spoglądam na zniekane miasto – zerwane dachy, zwalone werandy, drzewa pozbawione koron bądź wyrwane z korzeniami. Moje miasto wygląda jak po ciężkim bombardowaniu, jest nie do uratowania, jakby przewrotne poczucie artyzmu

huraganu Hugo zamieniło Charleston w Guernicę.

Wkrótce budzi się Niles i razem schodzimy po czarnych od błota stopniach. Z parteru została jedna wielka ruina, aż trudno uwierzyć. Wszystkie meble, antyki i orientalne dywany, dwa żyrandole, portrety przodków Rutledge'ów, cała angielska porcelana Spode... albo są zdewastowane, albo zniknęły. Wszystko pokrywa gruba na stopę warstwa błota. Jedzenie, które było w lodówce i w zamrażarce, jest rozsypane, ukryte pod wszechobecnym błotem, zaczyna już gnić. Przez kilka dni całe miasto będzie cuchnęło jak szambo.

Podchodzę do okna, przez które razem z Nilesem obserwowałem huragan. Teraz jest otwarte, podwójne szyby wyleciały. Żółty kabriolet Volkswagen, rocznik 1968, stoi na środku ogrodu zgnieciony jak puszka po tuńczyku. Obok leży martwy biszkoptowy labrador. Wszędzie walają się ryby i unosi smród ścieków. Miasto jest nie do poznania, to już nie Charleston.

Podchodzi do mnie Niles i kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Śmiało, płacz.

Płaczę, ale łzy nie mogą ukoić smutku. Miasto stworzonej przez człowieka niespotykanej delikatności padło na kolana, dookoła wala się tylko gnijące ścierwo.

– Nie możemy tu zostać – mówi Niles. – Chodź, zobaczymy, czy twój dom jest w lepszym stanie.

Idąc przez ogród, uważnie stawiamy kroki.

– Cholera! – klnie Niles, gdy ostrożnie przechodzimy nad zwałonym ogrodzeniem z kutego żelaza. – Komórka jest w lepszym stanie niż dom.

Rzeczywiście, zamknięta na kłódkę komórka wygląda solidniej niż dom, choć ślady wody podchodzą prawie pod sam dach.

– Zbudowali ją przodkowie Wortha – komentuję cierpko, co Niles kwituje krótkim śmiechem.

Przechodzimy przez resztki ogrodzenia i ruszamy wschodnią stroną Church Street. Wygląda jak zniszczona przez bombardowanie, w końcu jednak docieramy do granicy błota, gdzie woda przestała się

wdzierać. Dookoła walają się ścierwa ptaków, padły kot, przedarty na pół znak nakazujący ustąpienie przejazdu, szyld Exxon przywiany Bóg wie skąd, rozbity samochód, wyrwany z korzeniami dąb, weranda, która spadła z piętra domu, a wszędzie tylko zdewastowane ogrody, zdewastowane ogrody, zdewastowane ogrody... Jak na złość wstał upalny piękny dzień – skwar bezlitosnego słońca Karoliny Południowej tylko wzmaga straszliwy odór rozkładu.

Za rogiem Tradd Street natykamy się na jeszcze większe zniszczenia. To już nie jest miejsce, gdzie spędziłem całe dorosłe życie. Niezwykle ostrożnie posuwamy się ulicą zasypaną odłamkami szkła. Niles zatrzymuje mnie przed moim domem.

- Wygląda nieźle – ocenia ostrożnie.
- Gdzie brama do ogrodu?
- Przemineła z wiatrem – odpowiada oschle. – Masz klucz?

Bierze go ode mnie i otwiera drzwi. Wchodzimy. Wszystko wygląda po staremu. Mój dom oparł się huraganowi Hugo. Odpadło kilka dachówek, przeciekający strych trochę ucierpiał, tu i tam wyleciały szyby, a jednak przetrzymał największy napór cyklonu i jest w całkiem dobrym stanie. Znów zanoszę się płaczem i znów łzy nie przynoszą mi ulgi.

- Rozbieraj się, Ropuchu – rzuca Niles.
- Po co?
- Bo twoje ciuchy są brudne – wyjaśnia.

Bierze z łazienki kilka ręczników i kostek mydła, a z szafy wyciąga buty do biegania.

– Szkło – tłumaczy. Sam też wkłada buty i idzie do ogrodu za domem, do poidła dla ptaków, z którego przelewa się świeża woda. Ochlapuje się od stóp do głów i namydła. Robię to samo. Włosy mam sztywne jak gniazdo rybołowa, ale w miarę jak słońce ogrzewa mój spustoszony ogród, stają się bardziej jedwabiste. Wycierając się, podchodzę do stawu z rybami koi, oplakuję ich śmierć, lecz nagle jestem świadkiem cudu – trzy ryby, które przeżyły, wypływają na

powierzchnię i błyskają złotem na znak, że jakimś cudem ocalały.

- Muszę iść do pracy – mówię.
- Jasne, ale chyba nie w tym stroju.

Patrząc na swoją nagość, na nagiego Nilesa i zaśmiewamy się tak, że aż kręci nam się w głowach. Wydajemy dźwięki, jakich można się spodziewać w domu wariatów, a nie w charlestońskim ogrodzie.

Ubrawszy się, oszołomiony zmierzam wymarłą, spustoszoną King Street, deptając odłamki szkła i starannie omijając skłębione przewody linii elektrycznych, jakby to były grzechotniki. Przechodzę nad pniami i gałęziami zwalonych drzew. Zatrzymuje mnie policjant i informuje, że mogą mnie zastrzelić jako szabrownika. Po raz drugi tego ranka wybucham śmiechem i pokazuję mu przemoczoną legitymację prasową.

– Pan Leo King, ten felietonista – stwierdza policjant. – A to ci dopiero! Jestem sierżant Townsend.

- Mógłby pan coś dla mnie zrobić? – pytam.
- Nie mógłbym. Jestem na służbie. Może pan nie słyszał, ale wczoraj mieliśmy tu huragan.

Wyjaśniam, że jestem serdecznym przyjacielem Ike'a Jeffersona i że muszę mu przekazać wiadomość. Tłumaczę, że Niles potrzebuje pomocy, żeby przewieźć kilka osób ze swojego domu w góry.

– A co to szefa obchodzi? – burczy sierżant Townsend. – Siedzi po uszy w aligatorach.

– Jego rodzice i dzieci już tam są. Ike nie kazał panu aresztować szabrowników, prawda?

– No. Więzienie jest przepełnione. Kazał nam spuszczać im solidny łomot.

– Cały on – mówię. – Przeczyta pan o sobie w jutrzejszej gazecie.

Ike wysłała pod dom samochód kombi i pakujemy wszystkich do środka, zostajemy tylko ja i Molly. Nilesowi nie podoba się, że ona zostaje w mieście. Tłumaczy, że przecież i tak nikomu nijak nie

pomoże, dopóki Gwardia Narodowa nie uprzętnie pobojobowiska i nie przywróci zasilania. Dowodzi, że zarówno dom Rutledge'ów, jak i jej są tak zniszczone, że nie ma się co zabierać do naprawy bez ekipy remontowej. Molly jednak stanowczo postanawia zostać i ku mojemu zdumieniu oświadcza:

- Sprawdzimy z Leo, co się stało z domem mojej babki na plaży.
- Na Wyspę Sullivana nikogo nie wpuszczają – protestuje Niles.
- Dostępu broni Gwardia Narodowa. Mosty są nieprzejezdne.
- Znalazłam łódź – tłumaczy Molly. – Taką z silnikiem. Jest gotowa do drogi.
- A co mam powiedzieć Chadowi? – pyta Fraser. – I twoim dzieciom?
- Przekaż im, że jestem w Brazylii – odpowiada oschle.

Gdy w końcu odjeżdżają, idziemy z Molly na przystań, a raczej na to, co z niej zostało. Po drodze zatrzymujemy się przed domem mojej matki – jest w ruinie, smutny, a dom rodziny Poe w gruncie rzeczy się wali. Jednak Molly uparcie dąży do celu i nie ma czasu na wspomnienia czy emocje. Ike zorganizował jej łódź, która czeka zacumowana do obróconej w przynę przystani. Łodzie i jachty załęgają na Lockwood Boulevard niczym okrutna wystawa wraków. Elegancja kosztującego milion dolarów jachtu jest śmiechu warta, gdy – rozbity i oszepecony – leży na charlestońskiej jezdni. Ale Molly jest zdeterminowana, nic do niej nie dociera, gdy brniemy między wymordowaną nacją łodzi, by dostać się do łódki, która przeżyła atak Hugo w garażu Ike'a. Zapalam silnik, a ona wskazuje palcem Wyspę Sullivana. Tłumaczę jej, że znam drogę, ale jeśli Gwardia Narodowa odstrzeli mi tyłek, to koniec z naszą przyjaźnią. Molly się nie śmieje, w ogóle nic nie mówi, kiedy przecinamy wody portu w Charlestonie i mijając wielkie rezydencje przy Battery, obserwujemy spustoszenia, jakich dokonał huragan. Łódka jest mała, a fala wysoka, więc droga na południowy skraj wyspy zajmuje nam ponad godzinę.

Pośrodku słonych mokradeł tkwią dwa porzucone kutry do połowu krewetek.

Potem mijamy domki plażowe, a raczej to, co z nich zostało.

– Domu biednych Murphych nie ma. Biednych Ravenelów też nie ma. Claire Smythe ciężko to odchoruje. Ale Sandersowie i Holtowie mają szczęście, ich domy wciąż stoją. Biedni St Johnowie i Sinklerowie – mruczy Molly. Wyliczanka nazwisk ciągnie się dalej, kiedy zmierzamy do ukochanego domu jej babki. Domu Weezie. Domku letniskowego. Już zaraz, jeszcze kawałek.

– Gdzie on jest, Leo? Gdzie się podział dom Weezie? Dlaczego Bóg zabrał dom Weezie? Nie ma go. Nic nie zostało!

Molly zalewa się łzami. Skręcam w kierunku miejsca, gdzie kiedyś stał dom Weezie, a które teraz wygląda jak szczelina między zębami. Wprowadzam łódź na piach i przywiązuję, podczas gdy Molly staje twarzą w twarz z nędznymi ruinami swojego dzieciństwa. Klęczy na piachu, szlocha, krzyczy... Zupełnie nad sobą nie panuje i ma gdzieś, czy ktoś widzi lub słyszy jej ból. Z domu pozostały żalosne szczątki, tylko fragment jednej ściany i betonowa podłoga, na której rozgrywaliśmy kiedyś turnieje ping-ponga i tańczyliśmy przy muzyce z szafy grającej Seeberga. Szafa grająca zniknęła, stół do ping-ponga jest rozbity w drzazgi. Jakimś cudem potop przetrwała tania kanapa z dermy, może dlatego, że woda przesunęła ją pod kawałek ściany. Jest też lampa stojąca, pochłaniacz wilgoci i singiel – jedyna płyta, która ocalała z szafy grającej Seeberga. Podnoszę ją i oglądam nalepkę – Johnny Cash, *Ballada o nastoletniej królowej*. Boże jedyny, myślę sobie, toż ta piosenka opowiada historię Sheby jeszcze z czasów, zanim tu przyjechała.

Nagle słyszę głos mężczyzny:

– Stać!

Podnoszę głowę i widzę dwóch nieznośnie młodych chłopaków z Gwardii Narodowej, którzy celują w nas z naładowanych karabinów.

Upuszczam płytę na betonową podłogę i podnoszę ręce.

Molly naciera na nich.

– Spierdalać z mojej posiadłości! – wrzeszczy. – Nie macie prawa przebywać w domu Weezie. Wynoście się z domu mojej babki, żebym was tu więcej nie widziała! Chyba że dostalibyście zaproszenie, ale nie ma takiej możliwości.

Potyka się na piachu i osuwa na kolana.

– Mamy swoje rozkazy, proszę pani! – odpowiada krzykiem jeden ze strażników. – Nikt nie ma prawa wstępu na wyspę. Próbuje-
my nie wpuszczać szabrowników.

– Szabrowników?! – krzyczy Molly. – Myślicie, że przyplłynę-
łam tu na szaber? A co tu można ukrasć, do kurwy nędzy?! O, jest piłeczka do ping-ponga. Pozwolicie, że ją sobie ukradnę. I tę puszkę po piwie. Czy mi się zdaje, czy widzę tam starą tablicę rejestracyjną? Wiesz, po co tak naprawdę tu jestem, młody człowieku?

– Nie, proszę pani – odpowiadają obaj strażnicy, opuszczając karabiny.

– Po album ze zdjęciami. Po fotografie mojej rodziny, która co rok spędzała tu lato. Od pięciu pokoleń. Bezcenne zdjęcia. Zniknęły! Przepadły na zawsze!

– Panowie, zajmę się tą panią! – wołam. – Wywiozę ją z wyspy. Dajcie nam tylko kilka minut.

– W porządku, proszę pana – mówi jeden z nich i odchodzą. Molly, charlestońska arystokratka, zastraszyła chłopaków z prowincji. Gdy po raz ostatni rzucam na nich okiem, biegną do jeepa.

Molly tego nie widzi, znowu płacze. Nie przerywam jej, bo są uczucia, na które nie ma pociechy. Zdaję sobie sprawę, że bycie przy niej w tak intymnej chwili to dla mnie przywilej. Stoimy na świętej ziemi, pomniku jej dzieciństwa. Dom można wprawdzie odbudować, ale minie kolejne pięćdziesiąt lat, zanim ta ziemia znów będzie święta. Molly przestaje płakać dopiero wtedy, gdy słyszymy, że w pobliżu coś nieludzko sapie. Znużeni podchodzimy do nasiąkniętej wodą

kanapy i zastajemy na niej blisko dwumetrowego morświna. Leży na poduszkach, jakby umieściła go tam ręka Boga. Jakimś cudem wciąż żyje. Molly bez wahania każe mi przynieść coś, na czym moglibyśmy przenieść morświna i wrzucić go do morza.

Znajduję potraskany kawałek stołu do ping-ponga, na tyle duży, że powinien się nadać. Niezwykle ostrożnie ładujemy morświna na drewno. Taszcząc go mozolnie w kierunku fal, jęczymy i oblewamy się potem. Wyglądamy jak piechurzy znoszący z pola walki rannego towarzysza. Morświn jest ciężki, bezwładny, a Molly i ja wyczerpani tą samą męką, przez którą zwierzę też o mało nie zginęło. Padam na kolana i wstaję w samą porę, bo Molly też się przewraca. Ale trzymamy morświna pewnie, niosąc go w kierunku fal przypiływu, które księżyc skierował na Charleston.

W zachodzącym słońcu docieramy do brzegu i wchodzimy po pas do wody. Obejmujemy morświna, puszcza fragment stołu i pomagamy zwierzakowi pokonać nasłoneczniony port. W czystej oślepiającej wodzie skóra Molly przybiera złoty odcień. Przez kwadrans mordujemy się z zagrożonym bratnim ssakiem, holując z prądem rannego morświna. Opryskujemy go morską wodą, zaklinamy, a w końcu rozkazujemy mu, by żył. Oboje potrzebujemy jakiegoś znaku, że Hugo nie odebrał nam wszystkiego, że na tej ziemi, w tych wodach żyje duch, którego nawet huragan nie pokona. Stopniowo morświn zaczyna oddychać coraz głębiej i ruszać się w naszych objęciach. Jego skóra nabiera połysku. W ostatnich promieniach słońca wygląda jak złoty pantofel. Gdy uznaję, że dalej już brnąć nie możemy, gdy wydaje mi się, że sam wpadnę do oceanu i się utopię, morświn przewraca mnie nagle uderzeniem potężnego ogona i opuszcza nas na zawsze. Ja i Molly wołamy za nim, po twarzach płyną nam łzy. Znowu coś w nas pęka. Ale to dobrze. Nasza przyjaźń rozkwitła na nowo.

W poniedziałek rano opisuję wyprawę na Wyspę Sullivana i okropną historię Molly, która zastała dom babki w ruinie. Ale tego

roku w Charlestonie krąży tysiące takich opowieści. Opisuję urodę Molly Rutledge Huger i wyznaję, że zakochałem się w niej od pierwszego spojrzenia. Felieton, choć nie było to moim zamiarem, jest listem miłosnym do Molly. W ostatnim akapicie przyznaję, że ujrzałem ją w nowym świetle, kiedy morświn nagle ożył i odpłynął. Oto kobieta, jakiej wcześniej nie znałem. Na moich oczach Molly Rutledge zamieniła się w nimfę wodną, w boginię huraganów.

Siedem procent

W piątek po przejściu Hugo jedziemy z Molly w góry Karoliny Północnej po nasze wygnane przez huragan rodziny. Molly udało się zorganizować trzy ekipy remontowe, które zaczęły sprzątać i naprawiać szkody wyrządzone w rezydencji Rutledge'ów, w jej domu przy East Bay Street oraz u Fraser i Nilesa na Water Street, gdzie nierozsądnie postanowiliśmy przecześć najgorszy huragan w historii Charlestonu. Ja ściągnąłem ekipę budowlanców z Orangeburga, by zaczęła zbierać pokłady czarnego błota w domu, w którym dorastałem. Czuję się, jakby ktoś przez bity tydzień przepuszczał mnie przez wyżymaczkę. Molly spędziła ostatnie siedem dni na czworakach, usuwając ze swojego domu wszechobecne błoto i gruz. Gdy woda przelała się przez Battery, ona i Chad mieli jedno z najcenniejszych antyków w Charlestonie. Odkryłem, że na początku osiemnastego wieku Water Street była potokiem otoczonym z obu stron przez słone mokradła – ulubionym miejscem charlestończyków do połowu ryb i krewetek. Mimo że miasto rozrastało się i wchłonęło mokradła, rzeka zachowała wspomnienia nienaruszalnej integralności i wdzierając się teraz do miasta, obrała swój dawny niesławny szlak. Słodkowodne strumienie i rzeczki można zasypać w dowolnej chwili, ale słona woda zawsze pamięta, skąd pochodzi.

Zaraz po skręceniu na autostradę międzystanową 1-26 Molly zasypia i budzi się dopiero wtedy, gdy skręcam ostro pod górę w drogę prowadzącą do czterech chat, gdzie urodzili się Starla i Niles. Latami słuchałem, jak Niles odnawiał domki ze swego dzieciństwa, nie spodziewałem się jednak zobaczyć tak doskonałej stolarki i takiej dbałości o szczegóły. Wraz z Fraser przekształcił niebezpieczne rudery w domy tak piękne, jak na francuskiej wsi, gdzie miło jest posiedzieć. Cztery domy wciąż stoją na potężnych, wzmocnionych palach nad pięknym potokiem pełnym pstrągów. Przez cały weekend do snu kołysze nas szum czystej wody opływającej kamienie. Po drodze z Highlands do Chicago Chad przywiózł dwójkę swoich dzieci, a także dzieciaki Nilesa i Fraser, które pędzą na powitanie Molly. Z domu wybiegają pociechy Jeffersona. Rozbawione, krzycząc: „Wujek Leo!”, rzucają się na mnie jednocześnie i niemal przewracają.

Z czwartego domku wychodzi moja matka – jej widok porusza mnie do głębi. Po raz pierwszy wygląda jak stara kobieta. Tulimy się, nie możemy się od siebie oderwać, więc połączeni więzami krwi, słuchamy szumu potoku.

- Jak moje magnolie? – pyta.
- Rosną wysoko.
- A dom?
- Parter został zalany, cały jest zniszczony. Załatwiłem ekipę, która teraz sprząta. Dopóki nie doprowadzą go do porządku, możesz zamieszkać ze mną i z Trevorem.

- A twój dom?
- Ledwo draśnięty.
- Jak widać, Bóg wysłuchuje niektórych modlitw – wzdycha.
- W Charlestonie ostatnio wysłuchał niewielu.

Trevor siedzi na osłoniętej siatką werandzie i gra – a to ci dopiero! – na harmonijce ustnej. Tyle że on potrafiłby zagrać Rachmaninowa, stukając nożem do masła w rynnę. Organki doskonale pasują do tych surowych gór i bystrych krętych potoków, a Trevor gra tak, jakby

przez całe życie nie robił niczego innego. Gdy wchodzę do domu za jego plecami, właśnie wykonuje *Barbara Allen*, więc staję i czekam, aż skończy. Podaję mu kieliszek białego wina i schylam się, żeby pocałować go w czoło.

– Co powiesz na szybkie macanki przed kolacją? – pytam.

– Zawsze tylko mnie podpuszczasz – marudzi. – Od samego gadania dzieci nie będzie.

– Przepraszam, że wyzwoliłem w tobie bestię – mówię, oglądając się na matkę, która staje w progu.

– Wyzwoliłeś we mnie bestię? Moim zdaniem bezwstydnie się przystawiałeś.

– Gdzie się nauczyłeś grać na organkach? – dociekam. – Sam słyszałem, jak mówiłeś, że organki mają się do fortepianu jak widły do dupy.

– A, dupa! – rozmarza się Trevor. – To lubię.

– Jak ci się układa z moją matką?

– Jest do rany przyłóż, Leo. Chodząca dobroć. Hugo ją odmienił.

– Ruchem głowy wskazuje organki. – Pozwól, że objaśnię ci ten instrument. Wysokość dźwięku zmienia się, gdy zatykam te otworki językiem. A jakbyś nie wiedział, w posługiwaniu się językiem jestem prawdziwym artystą.

– Wybacz, że zapytałem.

– Ale odpowiedź chyba cię ubawiła? Zawsze lubiłem sprośne podteksty. Najbardziej odpowiada mi poczucie humoru zaprawione pieprzem z domieszką złośliwości.

– Czuję, że pali się węgiel drzewny – mówię. – Niles zaraz będzie gotował. Gdzie Chad?

– W Chicago, pojechał w interesach. Myślisz, że zamierzał przez cały weekend zajmować się bachorami, skoro nie da się na tym zarobić? – I znienacka wyznaje: – Wiesz, Leo, że co noc śni mi się Sheba?

– Jeszcze nie potrafię o niej rozmawiać – ucinam. – Może już

niedługo, ale jeszcze nie teraz. Nie było nawet okazji jej opłakać. Mamy na to całe życie. Może napiszę o niej książkę. O nas wszystkich. Opiszę całą tę historię.

– Nie sprzeda się, no, chyba że ja będę głównym bohaterem – żartuje Trevor.

Śmiejemy się, gdy rozlega się gong wzywający na kolację.

Nasz pierwszy posiłek w górach przebiega w uroczystej, niemal sakramentalnej atmosferze. Niles smaży dla wszystkich steki, a Fraser szykuje tyle sałatki, pieczonych ziemniaków i świeżych warzyw, że można by wykarmić kompanię rekrutów. Pełniący funkcję barmana trener Jefferson przez cały wieczór pilnuje, żeby wszyscy mieli pełne szklanki. Jego żona próbuje wyciągnąć ze mnie jakieś informacje na temat Ike'a i Betty, ja jednak wiem tylko tyle, że pracują na okrągło i że przed i w trakcie ataku Hugo oboje wykazali się bohaterstwem. Molly opowiada, jak spacerowała po mieście i oglądała ogrom spustoszeń. Dokonała zaskakującego odkrycia, że karłowata palma ma większe szanse przetrzymania huraganu niż stuletni dąb. Wysiada teorię, że palma jest z natury bardziej giętka, można ją przygiąć aż do ziemi, a i tak przetrwa, podczas gdy dąb potrafi się tylko opierać podmuchom wichury, przez co naraża się na wyrwanie z korzeniami. Donosi nam, że na terenie Cytadeli padło ponad pięćdziesiąt dębów i że jej zdaniem w mieście nie zachował się ani jeden kwitnący krzew. Z kolei ja informuję, że według „News and Courier” w całej Karolinie Południowej zginęły zaledwie trzydzieści dwie osoby – po tym, co przeszliśmy na Water Street, liczba ta wydaje mi się śmiesznie mała. Nowoczesne środki łączności zalecały mieszkańcom wybrzeża ucieczkę przed niebezpieczeństwem i większość ludzi posłuchała tych ostrzeżeń. Tylko nieliczni durnie, tacy jak my, postanowili przeczekać nawałnicę w swoich domach i zapłacili za tę bezmyślną pychę wysoką cenę.

– Leo, wiem, że mówisz o mnie – przerywa mi Worth Rutledge. – Przyznaję się do winy. Zmusiłem żonę do pozostania w mieście, przez co oczywiście Niles, Fraser i Molly także zostali, żeby się

nami zająć. Gdyby ktoś z nich zginął, nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

– Ale przeżyliśmy, Worth – mówi moja matka. – A przy okazji trafiła nam się rzadka gratka: prawdziwa przygoda.

– Mam nadzieję, że ostatnia – komentuje pani Rutledge.

– A my się cieszymy, że nas ominęła – mówi trener Jefferson. Żona ze śmiechem przyznaje mu rację. – To tak jak z treningami w sierpniu. Pamiętasz, jak ćwiczyliście dwa razy dziennie, Leo?

– Nie zapomnę tego do końca życia.

– Kurczę, z perspektywy czasu nie wierzę, co zafundowałem tym dzieciakom. Ale nie wierzę też w to, co sam przeszedłem.

– Tamten sezon futbolowy zapoczątkował wiele zmian – zauważa moja matka.

– Czy pierwszego dnia w Peninsuli potrafiłabyś wyobrazić sobie taki wieczór? Że będziesz gościł u Nilesa Whiteheada i u charlestońskich Rutledge'ów? – pytam.

– To była dobra drużyna – ciągnie matka, puszczając pytanie mimo uszu. – Doskonale prowadzona.

– Doskonały był zwłaszcza jeden z dwóch kapitanów, ten biały – przyznaje. – Szatan, nie chłopak.

– Czy tatuś też grał w tej drużynie? – wtrąca się mały Ike, kierując pytanie do dziadka.

– Twój tata i wujek Niles byli gwiazdami drużyny – odpowiada mu trener Jefferson. – A wujek Chad zaskoczył mnie jak żaden z moich graczy.

– A wujek Leo? – dopytuje się któregoś z dzieci.

– Dawał się obalać w każdym meczu – mówi trener. – Ale kiedy już tak leżał na ziemi, potykali się o niego najwięksi napastnicy. – Urywa, słysząc, jak protestuję z oburzeniem, i przyznaje: – Nie, synu, prawda jest taka, że Leo nie miał wprawdzie talentu, za to miał serce do walki. O Boże, ależ on był waleczny!

– Porozmawiajmy lepiej o ówczesnym zespole cheerleaderek –

proponuje Trevor z przebłyskiem dawnej swady. – Porozmawiajmy o pionierach... byłem pierwszym mężczyzną w zespole cheerleaderek w Peninsuli, a i tak miałem najlepsze nogi.

– No ja cię przepraszam! – obrusza się Molly.

Nadchodzi chłód i wygania nas do domu. Niles płynnymi ruchami, fachowo rozpala w kominku – blask płomieni miło zabarwia skórę. W domu jest ciasno jak w przepełnionym autobusie, dzieciaki zalegają na podłodze albo siedzą na kolanach dorosłych. Ja na jednym kolanie trzymam małego Ike'a, a na drugim małego Nilesa. Wiem, że tej nocy będę spał głęboko.

Przed kominkiem ogarnia mnie senność. Nagle Sarah, przeurocza czternastoletnia córka Molly i Chada, prosi:

– Mamo, chcemy posłuchać, jak to było z morświnem.

– Skąd o tym wiecie? – dziwi się Molly.

– Tata nam przeczytał – odpowiada jej syn, Worth junior. – Dzwonił aż z Chicago – dodaje z dziecięcym podziwem.

Molly jest zakłopotana.

– Artykuł poszedł na cały kraj – wyjaśniam.

– Leo pisał o tobie jako o bogini mórz – informuje synową pani Rutledge oficjalnym tonem, w którym pobrzmiwa jednak nić sympatii do mnie. Przed huraganem byłoby to nie do pomyślenia.

– Leo jak zwykle przesadzał – bagatelizuje Molly, ale jej oczy skrzą się z radości.

Nie zgadzam się z nią.

– Potraktowałem cię zbyt skromnie – zapewniam.

Dzieci upierają się, że chcą usłyszeć tę historię z jej ust, więc siedzę przy kominku i słucham, jak Molly dźwięcznym głosem przenosi nas z powrotem do pozbawionego dachów, zniszczonego przez huragan miasta, z którego wyjechaliśmy. Opowiada szczerze i precyzyjnie, ale kiedy dochodzi do morświna, jej relacja kuleje.

Czym prędzej chce mieć to za sobą i do jej głosu wkrada się brak zainteresowania, wręcz nuda.

– Zanieśliśmy morświna do wody i wypuściliśmy – kończy tak beznamiętnie, jak to tylko możliwe.

Na chwilę zapada cisza, po czym Sarah oświadcza z właściwym młodości tupetem:

– Wujek Leo lepiej to opisał.

– Molly nie popada w taką przesadę jak mój syn. – Moja matka staje w jej obronie.

– Raczej rozmija się z prawdą – prostuję i zwracam się do dzieci: – Czy nudni, ponurzy, pozbawieni poczucia humoru znajomi waszych rodziców opowiadali wam kiedyś jakieś historyjki? Nie, oczywiście, że nie. Jedyną osobą w tym pokoju, która zabawiała was bajecznymi, cudownymi opowieściami, jest wasz stary wujek Ropuch... facet tak wspaniały, że drugiego takiego ze świecą szukać. Tak czy nie?

– Tak! – przytakują i natychmiast się poprawiają: – Z wyjątkiem mojego tatusia.

Pogodne, szczęśliwe dzieciaki przyjaciół od lat stanowiły dla mnie tajemne źródło przyjemności. To, że właściwie nie miałem dzieciństwa, odcisnęło swoje piętno i stanowi źródło nieustannego napięcia między mną a matką, dlatego w tej uroczej gromadce dzieci znalazłem ochoczą namiastkę. Wymyślałem dla nich bajki na dobranoc i ulepszałem je z biegiem lat. Chcę rozpalić ich wyobraźnię, dlatego to one zawsze są głównymi bohaterami tych historii. Obsadzam je w roli królów, królowych i rycerzy Okrągłego Stołu, a nawet zielonych беретów i żołnierzy francuskiej legii cudzoziemskiej. Wspólnie odpędzamy nocne strachy, walcząc z bestiami, olbrzymami i wściekłymi smokami. Łapiemy przestępców, łajdaków, rozbójników i szkolnych zabijaków, a także tych nauczycieli, którzy zamiast być źródłem wiedzy, zamieniają ich życie w pasmo udręki. I chociaż zawsze walczymy uczciwie, to nasi wrogowie umierają, wszyscy bez wyjątku. To jedna z moich zasad opowiadania bajek: czarny charakter zawsze musi ponieść karę, a jego śmierć jest

powolna i bolesna. Zасыpiając, dzieciaki wiedzą, że zło czające się na granicy nocy zniknęło raz na zawsze, a ja mówię „koniec” i całuję je na dobranoc.

– Jeśli chcecie, opowiem wam, jak to naprawdę było z tym morświnem – obiecuję. – To będzie wasza bajka na dobranoc.

– Jestem już za duża na bajki – protestuje Sarah.

– Bajki na dobranoc są dobre w każdym wieku – tłumaczę jej. – Najważniejsza jest porządna historia. Twój ojciec czytał mój felieton w chicagowskiej gazecie – podaję jako przykład. – A wiesz, dlaczego ten tekst trafił aż tam? Bo historia była ciekawa.

– Przyjąłbym ten dowód przed sądem – wtrąca Worth.

– Kto z obecnych uważa, że wujek Leo ubarwi swoją opowieść? – pyta Fraser.

Wszyscy – te pozbawione humoru niedowiarki, dranie bez polotu – podnoszą ręce, a śmiech dzieciaków dźwięczy w pokoju jak toczne szklane kulki.

– Zdradziła mnie własna matka, rodzice najlepszych przyjaciół, dzieci najlepszych przyjaciół, a wreszcie sami najlepsi przyjaciele – oburzam się. – To czarna chwila w moim życiu. Czy wierzycie w cokolwiek z tego, co wam opowiadam?

– Nie! – piszczą dzieciaki.

– Dwadzieścia siedem procent to prawda – przyznaje Sarah łaskawie, siedząc obok matki. – Przez chwilę nie kłamiesz. A potem zaczynasz zmyślać.

– Dziewiętnaście procent – rzuca mały Ike ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Wujek Leo od zawsze opowiada mi, jak zabijam smoki, a jeszcze żadnego nie widziałem.

Siedzę pośród piszczących dzieci, wzruszony jego słowami.

– A kiedy byliście malutcy i leżeliście w łóżku sami jak palec, przy zgaszonym świetle, nigdy nie mieliście wrażenia, że coś się czai w waszej sypialni?

– Ja wciąż to czuję – przyznaje mały Niles.

– A co się działo z tymi wszystkimi potworami, przez które bałyście się zasnąć, kiedy już opowiedziałem wam bajkę?

– Umierały – odpowiadają dzieciaki.

– Ile z nich umierało? – pytam. – Dwadzieścia siedem procent?

Dziewiętnaście?

– Sto procent – przyznają starsze z nich.

– Wobec tego opowiem wam, jak to było z Molly i morświnem. Słuchajcie uważnie, kochani, żebyście mogli mi powiedzieć, co zmyśliłem, a co było prawdą – mówię. – Dzieci, nauczę was, jak należy opowiadać. To będzie najważniejsza lekcja w waszym życiu.

Staję przed kominkiem i wypowiadam pierwsze słowo powieści *Finnegans Wake* Jamesa Joyce'a: „rzekirzyg”. Puszczam oko do matki, która w odpowiedzi łypie na mnie, zniesmaczona takim żartem.

Pod nami płynie rzeka, a ja nurkuję głęboko w słodkowodną otchłań opowieści.

– Gdy wieść o śmierci wielkiej aktorki Sheby Poe rozeszła się po całym świecie, najpierw zapłakał Bóg. Nadając kształty tej przepięknej kobiecie, napracował się solidnie i zaliczał Shebę do najdoskonalszych ze swoich dzieł. Kiedy tak sobie płakał, jedna z Jego łez wpadła do Atlantyku u wybrzeży Afryki. Wtedy zerwał się wiatr, groźny wiatr, i zapytał Boga, czego sobie od niego życzy. A bóg odrzekł: „Szykuj się do boju, wietrze. Rośnij silny i straszny. Wydrążę oko w środku twojego brutalnego majestatu. Pędź do Charlestonu. To tam dopuścili do tego, żeby ktoś zabił moją Shebę. Daję ci na imię Hugo”.

Hugo powstał więc z tamtejszych wód i, wijąc się jak dziwaczny lej, rozpoczął straszliwy marsz na Charleston, niosąc ze sobą łzę, która spłynęła z oka Boga. A kiedy już dotarł do Charlestonu, obrócił miasto w perzynę. Jego orężem był wiatr, deszcz i fale zesłane przez Boga. Przewracał domy, zrywał dachy, zalewał ulice. Jedyńm miejscem, które oszczędził, był grób Sheby Poe – on pozostał suchy jak

modlitewnik. Za sprawą miłosiernego i litościwego Boga na cześć Sheby wszystkie kwiaty zerwane z ogrodów Charlestonu sfrunęły z nieba, pokrywając jej grób.

Litościwy Bóg oszczędził kilka osób, które przeczekiwały cyklon w domu przy Water Street. Z siebie tylko znanych powodów, które dla nas pozostaną niepojęte, pozostawił ich przy życiu. Jedną z tych osób była śliczna Molly Rutledge, która urodziła się w tym świętym mieście jako księżniczka i wyrosła na jego królową. Dzieciństwo miała usłane różami, jak ze snu, a najbardziej lubiła letnie wypadki do domu babci na Wyspie Sullivana. Królowe często czują rzeczy niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Molly bała się o dom babci, dom Weezie. Poszła więc do stajni i złapała Leo, wieśniaka, który doglądał jej osłów i kurczaków. Złapała go za ucho i rozkazała mu znaleźć łódź, by mógł ją zawieźć na wyspę. Leo pobiegł zarekwirować łódkę skradzioną przez niegodziwego kapitana policji.

Gdy rześka bryza rozwiała jej złote włosy, królowa ze łzami w oczach spojrzała na swe okaleczone miasto. Nagle poczuła okropny smród i pomyślała, że ten wieśniak pachnie dokładnie tak samo jak osioł. Tymczasem Leo myślał sobie, że królowa pachnie jak osmanthus albo jaśmin. Kiedy podpłynęli bliżej wyspy, coś poruszyło się w wodzie. Molly zobaczyła, że jej łódź otacza wspaniałe, ale niespokojne stado morświnów. Spytała więc, co się stało, na co poważny głos wyjaśnił, że podczas huraganu stadko straciło swoją królową. Fale wyniosły ją na ląd, ale żyje, bo słyszą jej wołanie. Molly uroczyście przyrzekła, że im pomoże. A obietnica królowej staje się prawem.

Łódź cięła fale, zmierzając tam, gdzie kiedyś stał domek Weezie. Widząc, że go już nie ma, Molly się rozpląkała. Zawołała wieśniaka Leo i razem pobiegli na ląd, gdzie na białej kanapie w ruinach zatopionego i zrujnowanego domu znaleźli wyrzuconą na brzeg królową morświnów. Miała na imię Sheba. Była zagubiona, opuszczona, porzucona. Straciła wszelką nadzieję i szykowała się na powolną

śmierć we mgle, która nadciągała z nad morza. Ale inna królowa i wieśniak pachnący osłem przenieśli ją na drewnianą płytę, stękając z wysiłku i uginając się pod ciężarem tego pięknego ssaka. Potykali się o wydmy, obolałe mięśnie odmawiały im posłuszeństwa, ale w końcu zataszczyli ją do wody.

Morświny, które obserwowały ich wysiłki, zgotowały im owację. Tańczyły na ogonach na grzbietach fal. W języku, którego nie da się przetłumaczyć, znanym tylko zwierzętom i małym dzieciom, rozkazały, żeby Molly i Leo byli silni i uratowali ich urodziwą monarchię.

W oceanie królowa Sheba odzyskała siły. Wtedy obok niej pojawił się król w otoczeniu gwardii honorowej, uradowanej na wieść, że królowa żyje. Molly usunęła piasek z jej nozdrzy. Sheba wygięła piękny ogon i zanurkowała w głębiny oceanu, który był jej pałacem i miejscem zamieszkania.

Królowa Molly wróciła z Leo do domu, zostawiła go z osłami i kurczakami, a sama poszła do swojego zamku. Pomyślała, że stratę domu Weezie z nawiązką zrekompensowało uratowanie morświna o imieniu Sheba. „Zawsze przedkładaj życie nad dobra materialne” – powiedziała sobie królowa Molly, kładąc się wieczorem do łóżka.

Dobranoc, Hugo. Żegnaj na zawsze.

Kończąc opowieść, kłaniam się i w tym momencie Sarah oznajmia z przekonaniem:

- Dwanaście procent.
- A co z tą królową huraganu? – pyta Fraser. – To moja ulubiona część.
- O tym napisałem w artykule. Ważne jest to, że historia, którą się opowiada na głos, za każdym razem się zmienia. Po przelaniu na papier na zawsze zostaje taka sama. Ale im częściej ją opowiadasz, tym więcej jest zmian. Opowieść to żywa istota, zmienna i ruchliwa. Gdybym poprosił was, żebyście opowiedzieli to samo dokładnie tak, jak ja to zrobiłem, nie dalibyście rady. No, urwisy, chyba pora spać, co?

- Nie! – protestują chórem dzieci.
- Już dawno powinniście być w łózkach – mówi Fraser.

Kładę się na kanapie, ale jestem pobudzony, odechciało mi się spać. Nalewam sobie kieliszek grand marnier i na palcach przechodzę obok sypialni, w której śpią moja matka i Trevor. Wysoki jasny księżyc bardzo mi pomaga, gdy wspinam się drogą w górę, aż w końcu trafiam na granitową półkę, na której mogę przysiąc i zastanowić się nad dalszym życiem. Właśnie myślę o makabrycznej śmierci Sheby, gdy w skałę koło mnie uderza jednocentówka i spada między porastające stok drzewa.

- Grosik za twoje myśli – rzuca Molly.

Siada obok i bierze mnie pod rękę. Upija łyceczek z mojego kieliszka. Jej oddech staje się pomarańczowy i słodki jak noc w San Francisco, kiedy przyszła do mnie do łóżka.

- Myślę o Shebie – odpowiadam. – Ciekawe, czy rzeczywiście chciała za mnie wyjść, czy tylko żartowała.

- Leo, ona sądziła, że skończyła się jako aktorka – mówi Molly.
- Nie przepadała za mężczyznami z Hollywood. Pragnęła mieć dziecko. I chciała się ustatkować.

- Sheba miałaby się ustatkować? Trudno mi w to uwierzyć.

- Mnie też. To był niespokojny duch. Udręczona dusza. I jak koszmarnie skończyła.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak koszmarnie.

- A skoro już mowa o zakończeniach, dziękuję za twoją opowieść – mówi Molly po chwili. – Chyba nie muszę się już martwić, jak mam ci to powiedzieć. Dałeś mi znak, że sam zrozumiałeś.

- Królowa zawsze wraca na zamek. Zawsze wiedziałem, że nie zostawisz Chada. Jeśli ci to pomoże, uważam, że podjęłaś słuszną decyzję.

- Nie bądź wobec mnie taki szlachetny, Ropuchu. Nie zniosę tego. Ale moje miejsce jest u boku Chada. Powinnam być ze swoimi dziećmi, we własnym domu. Muszę być tam, gdzie miałam być od urodzenia.

Nie mówi mi nic takiego, czego sam bym nie wiedział, więc tylko kiwam głową. Przez chwilę siedzimy w milczeniu, po czym gaszę naszą iskierkę rozstania – jakżeby inaczej! – dowcipem:

– Gdyby Chad cię kiedyś uderzył, pierdział za głośno, gdyby po obudzeniu śmierdział i miał cuchnący oddech, zawsze możesz przyjść do mnie.

Uśmiecha się smutno.

– Gdybym go zostawiła, twoja opowieść nie byłaby prawdziwa. A jest prawdziwa. W stu procentach.

Molly całuje mnie i wraca na dół w aureoli światła księżyca – teraz jest boginią tych gór.

Zamknięte drzwi

Wracając do okaleczonego miasta, mam w uszach jazgot pił łańcuchowych odbijający się echem od zaułków i bruku. Ulice Starego Miasta obramowane są przysadzistymi brązowymi kontenerami na gruz, do których robotnicy wyrzucają przesiąkniętą wodą meble. Na półkach i regałach wymarły całe biblioteki. Na stertach śmieci lądują portrety założycieli kolonii, tak przemoczone, że trudno je rozpoznać, a tym bardziej odrestaurować. Flotyllę krewetek z Shem Creek zmiotło z powierzchni ziemi. Na zielonych obrzeżach wielkich słonych mokradeł leżą porzucone trupy smukłych jachtów. Na bagnie za Wyspą Sullivana widać przewrócony na dach czerwony wóz strażacki. Agenci ubezpieczeniowi, którzy dotychczas wiedli spokojne, skromne życie, nagle stali się najbardziej zapracowanymi ludźmi w mieście, nękanymi przez bezsenne noce.

Reporterzy z „News and Courier” nie tracą siły charakteru i determinacji. Uważam się za szczęściarza, bo mogłem przeżyć z tą gazetą jej najświetniejsze dni. Codziennie ruszamy w teren i następnego dnia rano dostarczamy strawę naszym czytelnikom. Przedtem „News and Courier” na dzień dobry przeglądano tylko pobieżnie, chyba że ktoś czytał z nawyku. Ale po Hugo lektura gazety stała się koniecznością, podręcznikiem przetrwania w ciągu przesyconych wilgocią i udręczonych dni, jakie nastąpiły po huraganie.

Przez pierwszy tydzień nad Charlestonem unosi się dekadenci, gnilny odór psujących się zwierząt morskich, które Hugo wyrzucił na brzeg, kiedy przypuścił atak falami i uwięził rozmaite gatunki fauny w bluszczu i pnączach wiciokrzewu. Molly za swoim domkiem gościnnym znajduje półtorametrowego rekina piaskowego, rozkładającego się w upalnym słońcu. Z popękanych rur kanalizacyjnych bucha smród ekskrementów, a my musimy tym oddychać. Przemierzając miasto z północy na południe, ze wschodu na zachód, zaglądając do wszystkich dzielnic w poszukiwaniu ciekawych, z życia wziętych historii, zdaję sobie sprawę, że odczuwam lekkie mdłości, których nie mogę się pozbyć. Wzdęte zwłoki psów i kotów, szopów pracy i oposów, mew i pelikanów dodają odór rozkładu do ohydnych cuchnących wyziewów, przez tydzień wiszących nad miastem jak mgła.

W poniedziałek rano firma South Carolina Electric and Gas dokonuje heroicznych postępów w przywracaniu zasilania w mieście. Łączność odzyskujemy zdumiewająco szybko, bo linie telefoniczne biegną przeważnie pod ziemią. Kończę felieton i sprawdzam, jak idzie robotnikom sprzątającym domy mojej matki oraz przyjaciół. Do matki zajeżdżam w samą porę, by zobaczyć, jak łóżko i materac, na którym zostaliśmy poczęci i ja, i mój brat, lądują w kontenerze. Upaprani robotnicy świetnie sobie radzą w rezydencji Rutledge'ów przy East Bay Street, ale zmierzając Water Street w kierunku domu Nilesa i Fraser, czuję tak obrzydliwy smród, z jakim się jeszcze nie spotkałem. Przedstawiam się brygadziście, który siedzi przed domem w pracującej na jałowym biegu półciężarówce. Ruchem ręki zaprasza mnie na siedzenie obok siebie. Z ulgą stwierdzam, że klimatyzacja pracuje na pełnych obrotach.

- Jak leci, panie Shepperton? – pytam.
- Do dupy – odpowiada. – Zwolniłem ludzi wcześniej.
- A to dlaczego?

– Chciałbyś pan robić w takim smrodzie? Dzisiaj już dwóch mi się porzygało.

– Skąd to tak jedzie?

– Nie wiem – mówię, patrząc przed siebie i ściskając kierownicę tak, jakby prowadził. – Te domy stoją tak ciasno jak parówki w słoiku. Ale naszym zdaniem to dochodzi z tej komórki za domem Nilesa, a sąsiadowi zginął collie. Sęk w tym, że Niles zamknął ją na kłódkę i nie mamy jak się tam dostać.

– Wyłamcie drzwi. Sprawdźcie, co tam jest.

– Muszę to usłyszeć od Nilesa albo jego pani – mówi brygadzi-
sta. – Może być też od Molly, jeśli jest w okolicy.

– Ona wraca dopiero w środę. A na moją odpowiedzialność nie da rady?

– Nic z tego, kierowniku. Ale dopóki nie wyciągniemy stamtąd tej padliny, nic tu po mnie. To może być też szop pracz.

– Cuchnie jak rozkładający się na plaży wieloryb.

– Niech Niles do mnie zadzwoni.

Idąc do siebie na Tradd, widzę, że na Church Street wyrosła całkiem nowa cywilizacja – niewielka nacja robotników budowlanych i ich podwykonawców rozpoczęła długi, owocny sezon odnawiania i ratowania nieruchomości. W każdym domu pracowicie uwijają się wszelkiego rodzaju fachowcy. Z wysokich rusztowań gapią się na mnie malarze i dekarze, kiedy przechodzę po nimi ulicą. Charleston, miasto przyjazne nawet w najgorszych czasach, z wrodzoną serdecznością okazuje swą wrażliwość po katastrofie. Ludzie pozdrawiają się gestami i nawołują, nie patrząc na to, czy są praktykantem u stolarza, czy potomkiem sygnatariusza Deklaracji Niepodległości. To znakomita okazja, żeby odnowić moją miłość do tego miasta, i robię to stopniowo, w miarę jak Charleston wszczyną niepohamowany bunt przeciwko królestwu zgnilizny i pleśni. Po powrocie do domu usiłuję połączyć się z Ikiem Jeffersonem, co nie jest łatwe. Przez ponad dwie godziny nie odpowiada na moje wiadomości, a kiedy już

się odzywa, jego martwy głos świadczy o tym, jak bardzo jest wyczerpany.

– Cześć, Ropuchu. Wybacz, że tak długo nie oddzwaniałem. Jak tam moja rodzina?

– Widziałem ich w górach. To dobra wiadomość. Zła jest taka, że wszyscy nie żyją.

– Daruj sobie, Ropuchu! – warczy Ike. – Nie wryrywaj się teraz z gównianymi żartami.

– Przepraszam. Od wszystkich dostałem listy. Pozbieram je i rano zostawię ci na tym bujaku przed twoimi drzwiami.

– A u innych wszystko gra?

– Jeszcze jak. Co u Betty?

– Tyra jak wół. Jak zresztą wszyscy. Fatalny czas, Ropuchu.

– Zgadza się. Właśnie zajrzałem do Nilesa. Coś tam paskudnie śmierdzi.

– Wyślę kogoś, żeby sprawdził – obiecuje Ike.

– Zrób, co w twojej mocy. Mogę ci w czymś pomóc?

– Wpadnij do mnie i ugotuj coś dobrego dla mnie i Betty, zjemy, gdy znajdziemy chwilkę.

– Załatwione. Masz to jak w banku.

– Dzięki, żeście się zajęli moją rodziną. – Słyszę, że ledwo żywy ze zmęczenia Ike się rozczula. – Kocham cię, Ropuchu.

– Szkoda, że ja ciebie nie – mówię i odkładam słuchawkę.

*

Następnego dnia po południu otwierają się drzwi mojego pokoju w redakcji i wchodzi Ike. W głębinach jego brązowych oczu czai się nieopisany niepokój. Opada na krzesło, a ja przez dłuższą chwilę mam wrażenie, że zasnął.

– Masz coś mocniejszego? – pyta w końcu, nie otwierając oczu. – Muszę sobie walnąć jednego.

Później dowiaduję się, że jeszcze nie zszedł ze służby, którą rozpoczął dwa dni przed nadejściem Hugo. Przez cały ten czas jadał, mył się i golił w swoim gabinecie.

Z górnej szuflady biurka wyciągam butelkę maker's mark, nalewam mu szklanekę i pcham po biurku w jego stronę. Patrzy na nią z taką lubością, z jaką ksiądz moczymorda sięga po wino na porannej mszy. Opróżnia szklaneczkę jednym szybkim ruchem i prosi o kolejną. Nalewam mu następną porcję, a on wychylają tak samo szybko jak pierwszą. Potem przygląda mi się z tym swoim skupieniem, które zawsze sprawiało na mnie wrażenie, że jest spragniony.

– Wysłałem człowieka do domu Nilesa... właściwie to kobitkę, jest jeszcze zielona. Za młoda, żeby się zorientować, że to zlecenie to lipa.

– Czy ten smród dochodził z komórki?

– Ehe. W środku był mężczyzna.

– Niemożliwe. Jak mógłby się tam dostać? Komórka była zamknięta na kłódkę.

– Od kiedy? – pyta Ike.

– Bo ja wiem? Niles wyszedł na dwór, zanim się zerwała wichura. Chyba koło osiemnastej. Wyszliśmy z Molly, żeby obejrzeć huragan.

– Idioci.

– Bał się szabrowników – ciągnę. – Nie wiedział, że ktoś się tam schował... Dlaczego ten ktoś nie zapukał do domu? Jezu, jeszcze tego mu brakowało!

Ike zgadza się ze mną.

– Przejdziesz się ze mną? – pyta, wstając z krzesła.

– Tylko napiszę ostatnie zdanie. – Szybko stukam w klawisze i wychodzę za nim na dwór.

Jedziemy powoli King Street. Ike dopytuje się o rodziców i dzieci. Gdy skręca na parking przed Sergeant Jasper Apartments, jest zamknięty w sobie i poważny. Obok stoi kilka wozów policyjnych. Po drodze do wind Ike salutuje recepcjoniście. Wjeżdżamy na ostatnie piętro. Ike wciąż ani słowem nie zdradza celu naszej wizyty w tym budynku. Gdy winda staje, prowadzi mnie do mieszkania, w którym nadal pracuje ekipa techników policyjnych.

– Niczego nie dotykaj i nie zadawaj żadnych pytań – ostrzega mnie. – Rozglądaj się tylko, później mi powiesz, co o tym myślisz.

Na widok wystroju wnętrza szybko wciągam powietrze – pokój jest czymś w rodzaju sanktuarium Sheby Poe. Jedną ścianę w całości zajmują fotosy z różnych etapów jej kariery. Sheba Poe jest na popielniczkach i zapalkach, poszewkach na poduszki i narzucie na łóżko. Zaskakują mnie wszystkie jej wcielenia filmowe na abażurach, bo nigdy nie przypuszczałem, że kariera mojej przyjaciółki może wzbudzić aż tak chory fanatyzm. W łazience natykam się na mydło z podobizną Sheby na opakowaniu, ale jej zdjęcia są także na szamponie, na płynie do płukania ust, na kremach do rąk. Ten w najwyższym stopniu dziwaczny pokój jest przejawem obsesji.

Ike podaje mi tandetny album z fotografiami. W środku znajdują się zdjęcia wykonane przez teleobiektyw – Sheba wsiada albo wysiada z limuzyny bądź taksówki, wchodzi albo wychodzi na ulicę z hoteli, trzyma się za rękę z partnerami i kochankami, wśród których jest wielu światowej sławy aktorów.

Ike podaje mi następny album.

– Trzymaj się – mówi.

Album zawiera zdjęcia policyjne przedstawiające zmasakrowaną Shebę, wyjątkowo starannie rozmieszczone. Evangeline Poe, siedząca z przerażająco rozmarzonym wyrazem twarzy na łóżku, z nożem w rękę i złana krwią, mrozi mi krew w żyłach. Gdy dochodzę do ostatniej, najbardziej makabrycznej fotografii, dostaję dreszczy – to znakomita podobizna bużki z lżą pod okiem, odwzorowana wręcz perfekcyjnie. Obwąchuję krwawy malunek i wyczuwam zapach lakieru do paznokci.

Ike bierze mnie pod łokieć i prowadzi do okna, skąd roztacza się wspaniały widok na rzekę Ashley. Widzę swój dom, dom Sheby, liceum Peninsula i komendę główną policji w Cytadeli. Dostrzegam nawet dach domu Ike'a i Betty. Gdy dociera do mnie strategiczne znaczenie tego widoku, Ike wydaje odgłos, który rozumiem jako

zaproszenie, bym poszedł za nim, z dala od tej groteskowej sceny zbrodni.

W milczeniu wiezie nas do siebie, idzie na piętro i bierze prysznic. Podchodzi do lodówki i wyjmuję dwa piwa. Kiedy wraca w szlafroku, który nosił jako kadet, i w niebieskich klapkach z Cytadeli, siedzę w jego pokoju. On także siada w fotelu z odchylanym oparciem i otwiera piwo, które mu przyniosłem. Pije łąpczywie, po czym na chwilę przysypia. Wkrótce się budzi, pyta, co ja tu robię, i znów zasypia, tym razem na godzinę. Gdy wstaje, jest już ciemno, a ja smażę jajka na bekonie. Wcześniej naszykowałem kaszę kukurydzianą z serem oraz grzankę z grubą warstwą masła orzechowego i z bananem, który rozgniotłem widelcem. Jemy w milczeniu, jakbyśmy ocaleli z plagi głodu.

– Upijmy się – proponuje Ike, gdy kończy jeść. – Możesz zostać na noc, prześpisz się w pokoju małego Ike'a. – Podchodzi do schodów.

– Brzmi nieźle.

– Powiedz, co o tym sądzisz – prosi, ale nie fatyguję się z precyzowaniem tego, co oczywiste.

– Jak go znaleźliście? – pytam.

– To facet, który utonął w komórce Nilesa – wyjaśnia. – Miał w kieszeni klucz na kółku z napisem Sergeant Jasper Apartments.

– A odciski palców?

– Pasują do tych, które dostaliśmy z Nowego Jorku. To ten sam gość. Ale wciąż nie wiemy, jak się nazywał. Znaleźliśmy sześć paszportów wystawionych na różne nazwiska. Sześć kart kredytowych. Trzy prawa jazdy z trzech różnych stanów.

– Może powinniśmy ściągnąć Trevora, żeby go zidentyfikował?

– Nie ma czego identyfikować. Sekcja zwłok wykazała, że się utopił. Płuca miał pełne śmierdzącej morskiej wody. Twarz jest nie do rozpoznania... zanim go znaleźliśmy, dobrały się do niego szczury. Miał dwa rewolwery, trzydziestkiósemki. I amunicję w ilości

wystarczającej do wystrzelania połowy mieszkańców miasta. Moim zdaniem zamierzał zabić was wszystkich, gdy tylko huragan rozpęta się na dobre. W takim hałasie nikt by nie usłyszał strzałów.

Myślę usilnie, próbując przypomnieć sobie przebieg wydarzeń w dniu, kiedy Hugo zaatakował miasto.

– Fraser! – mówię. – Na pewno ją śledził, kiedy pojechała po Trevora i przywiozła go do siebie.

– Też tak myślę – przytakuje Ike. – Zazwyczaj wszystko starannie planował, był dobrym strategiem, ale też sukinsyn korzystał z każdej nadarzającej się okazji. O paradzie w Cytadeli na moją cześć wyczytał w twoim felietonie. Zawsze wiedział, co robisz, więc znał także ruchy nas wszystkich. W jego szafie znaleźliśmy torbę z kijami do golfa i ukryty między nimi karabin.

– A ten widok z jego mieszkania?

– Idealny. Doskonała kryjówka dla mordercy. Sąsiedzi twierdzą, że był uprzejmy i że często znikał na dłuższy czas. Stąd te fotografie z Los Angeles. Według nich miał piękny południowy akcent.

– On nie był z Południa – mówię.

– Skąd wiesz?

– Bo nawet jak na cholerne Południe był za bardzo groteskowy.

Ike nie zgadza się ze mną.

– Powinieneś popracować przez chwilę jako gliniarz, Leo. Mnie już nic nie dziwi. Człowiek to spieprzony twór. Najlepsze słowo, jakie pasuje do ludzkości, to „niehuman”. – Przerywa na chwilę. – Sekcja zwłok wykazała coś jeszcze... miał raka żołądka. Myślę, że chciał pozłatwiać niedokończone sprawy. W kieszeni miał lakier do paznokci i klucz do domu Nilesa. – Kręci głową i ciągnie: – Pewnie jest więcej rzeczy, o których powinienem ci powiedzieć, ale teraz nic nie przychodzi mi do głowy. Gazeta poda, że w komórce na narzędzia na południe od Broad znaleziono zwłoki niezidentyfikowanego mężczyzny. Policja przypuszcza, że schronił się tam przed huraganem.

– A nazwisko?

– Bill Metts – mówi Ike i wyznaje: – W jego mieszkaniu zrobiłem coś bardzo złego. Ta wszechobecność Sheby tak mną wstrząsnęła, że ukradłem jedno zdjęcie z miejsca zbrodni. Nigdy mi się to nie zdarzyło, to straszliwie nieprofesjonalne. Ale nie mogłem się powstrzymać.

Wstaje, człapie do kurtki munduru, wyjmując oprawioną w srebrną ramkę fotografię i podaje mi, żebym mógł się przyjrzeć. Zdjęcie przedstawia prześliczne bliźniaki, Shebę i Trevora Poe, kiedy mieli pięć, sześć lat. Wyglądają jak dwa aniołki, są zachwycający. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że to najszcześniejsze dzieci na świecie.

– Jak wyglądałoby moje życie, gdyby nie wprowadzili się do domu naprzeciwko? – zastanawiam się.

– Nie byłoby takie zabawne. Ani takie ekscytujące. Byli prorokami, którzy przynieśli nam wszystkim wieści z dalekiego świata.

– Ta kupa gnoju umarła okropną śmiercią – stwierdzam. – Ale nie mogło trafić na nikogo lepszego. O co chodziło z tym mieszkaniem, tym parkiem tematycznym poświęconym Shebie?

– Obsesja przybiera czasem skrajną postać – wyjaśnia Ike.

Wieczorem zjawia się Betty i zastaje nas nieźle wstawionych.

– Mam dość ratowania całego świata – oświadcza. – Ktoś musi mnie dzisiaj zerznąć.

– Wybacz, skarbie – bełkocze Ike – ale wypilem o jednego bourbona za dużo.

– Leo? – rzuca Betty. – Wiem, że na tobie zawsze można polegać.

– Wiesz, że mi staje na sam dźwięk twojego imienia.

– A jak tam nowe plotki? – pyta Betty. – Działo się dziś coś ciekawego?

Ike i ja długo nie możemy opanować śmiechu.

Żarówka

Pierwszego marca 1990 roku, sześć miesięcy po przejściu Hugo, siedzę w redakcji i zastanawiam się nad tematem kolejnego felietonu. To jedna z tych chwil, kiedy odnoszę wrażenie, że mam mózg jak basen bez wody. Każda myśl, którą udaje mi się wydobyć na światło dzienne, jest bezkształtna, nijaka, a felieton jawi się jak wyciągnięty z pustki czasu. I wtedy odbieram telefon od szeryfa z prowincjonalnej miejsciny w Minnesocie, który pyta, czy jestem mężem Starli King. Kiedy potwierdzam, że owszem, i pytam, czy coś się stało, informuje mnie delikatnie, że znaleziono jej zwłoki w domku myśliwskim w pobliżu Boundary Waters przy granicy z Kanadą. Jego ludzie znaleźli przy łóżku pustą butelkę whisky i pustą fiolkę środków nasennych. Właściciel domku odkrył ciało, gdy jak co roku przyjechał z St Paul, by zrobić wiosenne porządki. Zwłoki były w kiepskim stanie, a ślady wskazywały na to, że włamała się tam zaraz po jesiennym sezonie łowieckim. Starla była w zaawansowanej ciąży, ale płód, rzecz jasna, nie przeżył.

– Rzecz jasna – powtarzam takim tonem, jakbym właśnie wysłuchał prognozy pogody, a nie wiadomości o śmierci żony.

Czuję pustkę, ale widocznie zachowałem resztki przyzwoitości, bo żałuję, że nie stać mnie na inne uczucia. Proszę szeryfa, żeby załatwił transport zwłok do Charlestonu, i podaję mu numer telefonu

zakładu pogrzebowego J. Henry'ego Stuhra przy Calhoun Street. On z kolei przeprasza, że Starla nie zostawiła listu pożegnalnego, i przekazuje mi wyrazy współczucia z powodu niepotrzebnej śmierci mojego syna. Nie widzę potrzeby tłumaczenia mu, że nie mam nic wspólnego z martwym płodem w łonie nieżyjącej żony. On wyjaśnia, że Starla zostawiła na stole kuchennym dużą kopertę z moimi felietonami z ubiegłego roku i tylko dzięki temu wiedział, do kogo zadzwonić. Dziękuję mu za ten ozdobnik i mówię, że czekałem na jego telefon od dnia ślubu.

Otumaniony, piszę felieton o swojej żonie, zaczynając od dnia, kiedy się poznaliśmy, aż po telefon z Minnesoty. O tym, jak podczas naszego pierwszego spotkania była przykuta kajdankami do krzesła w sierocińcu Świętego Judy. Opisuję, jak doktor Colwell zoperował jej zezujące oko i jak po udanym zabiegu szła przez życie jako prawdziwa piękność. Opowiadam o tym, jak zakochałem się w niej stopniowo, na raty, tak jak nieśmiali chłopcy zakochują się w nieśmiałyłch dziewczęłach, krocłek po krocłku, po kawałku. Włtedy nie zdawałem sobie sprawy, że należę do łtych pełchowców, którzy zawsze kochają się w kobietach, za którymi ciągnie się smutna historia, i że miłość tę traktowałem jako prawdziwy, zasłułzony prezent. Opisuję, jak przez całe życie toczyła walkę z obłędem, który w końcu doprowadził ją do narkomanii i rozpacy, i wyjaśniam, że jako gorliwy katolik nigdy nie zgodziłem się na rozwód, chociaż się łtego domagała. Uważam, że ponoszę winę za jej śmierć w łtym samym stopniu co wszyscy. Wspominam, że popełniając samobójstwo, była w ciąży. Piszę o swoim szoku, braku żalu i strachu przed łtym, że muszę wstać od biurka, przejechać na drugi brzeg Ashley i powiedzieć Nilesowi Whiteheadowi, że jego ukochana krucha siostra nie żyje. Jestem pewny, że nieutulony w żalu Niles odda cześć życiu siostry, podczas gdy łmnie stać jedynie na niewdzięczną pustkę. Próbuję opisać, co znaczy odczuwać pustkę, ale brakuje łmi słów, czuję się łniegodny łtakiego łzadania. Oddaję tekst Kitty i jadę na spotkanie z Nilesem.

Zastaję go w gabinecie pięknego kampusu szkoły Porter-Gaud, z której rozciąga się magiczny widok na surową, zdyscyplinowaną panoramę Charlestonu. Idziemy nad rzekę, ale nie potrafię znaleźć słów, które na zawsze zmienią świat Nilesa. Gadam o drużynie Atlanta Braves, o zniszczeniach, jakich Hugo dokonał w Cytadeli, o wszystkim, co mi ślina na język przyniesie, byle nie o śmierci jego siostry. W końcu Niles mówi, że Porter-Gaud to jego miejsce pracy, nie siedzi tam dla zabawy, a szkoła wymaga od niego, żeby zapracował na pensję. Wobec tego informuję go o Starli. Ryczy jak ranione zwierzę i szlochając, pada na kolana. Wtula twarz w ziemię i wybucha niepohamowanym płaczem.

– Ona nie miała szansy, Leo – chrypi przez łzy. – Najmniejszej, do kurwy nędzy! Nikt nie mógł naprawić tego, co z nią było nie tak. Ani ty. Ani ja. Ani Bóg. Nikt.

Jego głośny płacz ściąga nauczycieli i uczniów, którzy biegną do nas z głównego kampusu. Obejmują go, tulą, głaszczą i ocierają mu łzy, a ja wracam do samochodu. Wciąż czuję się nieswojo jako nowy mieszkaniec pustki. W drodze do domu zastanawiam się, czy kiedyś jeszcze zacznę odczuwać coś innego i czy w ogóle tego chcę.

Pogrzeb Starli jest skromny, ale rozdzierający serce. Monsinior Max wygłasza wzruszające kazanie, wykazując się dogłębną wiedzą o jej urokach, lecz także o niepokonanych demonach. O samobójstwie opowiada ze współczuciem i głębokim filozoficznym zrozumieniem dla choroby psychicznej. Wyjaśnia, że jego zdaniem Bóg darzy większą miłością swe okaleczone i cierpiące dzieci niż te, które wiodą życie pełne przywilejów, beztroskie. Jego słowa działają na mnie kojąco, smakują ich słodczy, kiedy zalewają mnie jak miód wytwarzany z leśnych kwiatów przez dzikie pszczoły w górach, w których urodziła się Starla. A jeszcze bardziej doceniam słowa monsiniora Maksa, gdy patrzę na jego mizerną, wychudłą twarz. Matka szepcze mi na ucho, że tym razem jego rak płuc nie reaguje na chemię i rokowania są ponure. Z powodu choroby jego wystąpienie jest

nawet nie tyle błyskotliwe, ile heroiczne. Gdy pytam, ile czasu mu zostało, matka wybucha płaczem po raz pierwszy od początku nabożeństwa.

Chowamy Starłę na cmentarzu u Świętej Marii obok grobów mojego brata i ojca. Miasto skrzy się, rozświetlone perlistym blaskiem słońca przedzierającego się przez skłębione warstwy cumulusów. Teren u Świętej Marii jest biały jak kreda i symetryczny na swój surowy ekonomiczny sposób. Próbuję pomodlić się za zmarłą żonę, ale modlitwa nie chce do mnie przyjść. Wzywam Boga, żeby wyjaśnił mi, dlaczego zgotował Starli Whitehead tak straszny los, ale mój Bóg jest twardy i odpowiada milczeniem, które tak łatwo przychodzi Mu z racji Jego majestatu. Tyle że tak straszliwe milczenie Boga obraża naruszoną wrażliwość osamotnionego i cierpiącego człowieka. Mnie ono nie wystarcza. Skoro jedyną ucztą, na jaką zaprasza mnie mój Bóg, jest miska pełna pustki, to modlitwa we mnie usycha. Skoro wielbię nieczułego Boga, to przez myśl mu nie przejdzie, że przecież sam stworzył tego trudnego, nieczułego mężczyznę. Serce we mnie wędnie i nie mogę się z tym pogodzić. Co mamy począć, jeśli postanawiamy złożyć swojego Boga jak chusteczkę, schować do dolnej szuflady i zapomnieć, gdzie się Go włożyło? I chociaż wkraczam w zewnętrzny krąg rozpacz, to nie nazwałem tego w ten sposób. Potrzebuję czasu, żeby pozbierać wszystkie ruchome części i sklecić z nich sens życia, jakie wiodę albo jakiego wieść nie chcę. Kiedy stoję nad trumną, Bóg z mojego dzieciństwa, którego wielbiłem z tak bezmyślną, nabożną łatwością, przemienił się w kogoś, kto ze ślepą obojętnością odwrócił się do mnie plecami. I podczas gdy moja słabo zakorzeniona wiara usycha, zwracam uwagę na odczucia zirytowanego serca i beznadziejny smutek, który ogarnia mnie, gdy degraduję Boga do takiego pisanego przez małe „b”. Całuję trumnę Starli tuż przed opuszczeniem do mogiły.

Sypię pierwszą i drugą łopatę ziemi do grobu, Niles rzuca trzecią i czwartą, następane dwie moja matka. Później przychodzi kolej na

Molly, Fraser, Ike'a, Betty i wreszcie Chada oraz ich dzieci. Potem Niles i ja zasypujemy mogiłę do końca. Cofam się i obserwuję przybyłych. Próbuje się odezwać, lecz słowa kleją mi się do podniebienia, tracając kształt. Tracę poczucie równowagi, potykam się. Niles i Ike chwytają mnie za łokcie, podnoszą i prowadzą do limuzyny podstawionej przez zakład pogrzebowy.

Widać pierwsze oznaki, że w obłokach buja wiosna. Matka spędziła wiele godzin w moim ogrodzie, doprowadzając go do porządku po przejściu Hugo, i teraz widać jej magiczną rękę w strukturze i rozmieszczeniu karłowatych palm, paproci skórzastych, powoju i szalwii lirolistnej. Jako zapalona wielbicielka róż wydzieliła sekretne miejsce w rogu ogrodu dla kilku odmian róż pnących – różowej, żółto-czerwonej i żółtej, które z czasem zawisną nad stawem z rybami koi. Ponieważ po huraganie zamieszkała ze mną i z Trevorem, w krótkim czasie przemieniła ogród z ugoru w krainę czarów. W wielkiej tradycji charlestońskich ogrodników potrafi zaklinać stopę kwadratową błota, zmuszając pędy sadzonek lantany i niecierpków do walki, by wyszły na światło słoneczne.

W domu moi przyjaciele zajmują się karmieniem ponad dwustu osób, a trener Jefferson jak zawsze staje za barem. Wieczór jest chłodny, goście wychodzą do ogrodu, by poczuć zapach tego, co przyniesie wiosna, która już za dwa miesiące zakradnie się do Charlestonu. Idąc nad rzekę Cooper, wyglądam, jakbym brał narkotyki, jak żywy trup, lecz z uporem maszeruję wzdłuż nadmorskiego wału. Czuję, że Charleston zaczyna odprawiać święty rytuał uzdrawiania mojego zamkniętego serca. Mijam szereg olśniewających rezydencji po prawej – ich doskonała architektura wiąże mnie z tym centrum urody miasta pięknego jak róża. To miasto dziesięciu tysięcy tajemnic i zaledwie kilku odpowiedzi. Od urodzenia martwiłem się, że niebo nigdy nie będzie w połowie tak śliczne jak Charleston – miasto powstałe u zbiegu dwóch rzek, które połączyły się w ekstazie, by zrobić miejsce na port, zatokę i wyjście na świat.

Matka poszła za mną. Stajemy w miejscu, gdzie łączą się obie rzeki, i spoglądamy na James Island i Wyspę Sullivana. Perłące się gwiazdami niebo rzuca blask księżyca na wodę, który oświetla nas oboje. Kruchość Charlestonu wiąże mnie uroczystą przysięgą palm i wodociągów. Dla mnie biją dzwony od Świętego Michała – o dziwo wywołują moje imię, niczyje inne, tylko moje.

Kiedy idziemy Broad Street, delikatne dłonie miasta wciąż leczą rany i schorzenia mojej rozpalonej psychiki. Mijając partery domów, zaglądamy w prywatne życie naszych sąsiadów, badamy ich nocne poczynania, jakby byli sardelami albo rybami pilotami w akwarium. Jakaś rodzina je późną kolację, samotna kobieta słucha *Così fan tutte* Mozarta. Ale większość rodzin siedzi zbita posępnie przed ekranami telewizorów.

Matka zatrzymuje mnie przed skrzyżowaniem w Tradd Street.

– Muszę ci coś powiedzieć, Leo. To ci się nie spodoba.

– Hej, ja tylko pochowałem dzisiaj żonę – rzucam. – Dzień jak co dzień.

– Przyznaję, że to nie najlepsza pora, ale nigdy nie będzie dobra. Wracam do klasztoru. Zakon przyjął mnie z powrotem.

– *Una problema, piccola* – przerywam jej łamaną włoszczyzną. – A co ze mną? Zakonnice przeważnie nie mają dzieci.

– Ty nie stanowisz problemu. Mają specjalny program dla zakonnice, które wyszły za mąż i straciły mężów. Od dawna modliłam się o to z monsiniolem Maksem.

– Będę cię mógł odwiedzać? Hej, siostrze, przyjechałem z wizytą do matki. Jest zakonnica.

– Przyzwyczaj się. Odkąd podjęłam tę decyzję, jestem w siódmym niebie.

– Czyżbym, o zgrozo, usłyszał komunał? – dziwię się z udawaną konsternacją.

– Nic nie poradzę, że czuję się, jakbym była w siódmym niebie. Chciałabym, żebyś wyświadczył mi zaszczyt i odwiedził mnie do

Karoliny Północnej, tak jak twój ojciec zrobił to przed laty.

Miesiąc później zawożę matkę do szpitala i czekam przed salą, w której leży monsinior Max, z szacunku dla intymności i oddania, które wnieśli w swą nadzwyczajną przyjaźń. Matka wychodzi po godzinie i płacze cicho, gdy prowadzę ją do samochodu. Odwożę ją do domu, który zbudował mój ojciec. Wchodzi do świeżo odnowionej siedziby i podziwia ulepszenia dokonane przez fachowców. Podczas gdy ogląda dom, wysoko w koronie drzewa spostrzegam samotny kwiat magnolii. Gramolę się na nie, lecz z każdą kolejną gałęzią czuję się coraz starszy. Zrywam pierwszy w tym sezonie kwiat, wdycham jego słodki zapach i stwierdzam, że warto było się po niego wspinać. Wręczam go matce i z zachwytem patrzę, jak wpina go sobie we włosy.

Powoli jedziemy bocznymi drogami przez obie Karoliny. Woń magnolii powoduje, że w samochodzie pachnie, jakby ktoś stłukł flakonik perfum. Dokładnie zauważamy chwilę, w której opuszczamy strefę nadbrzeżną, i stopniowo, niedostrzegalnie pniemy się w górę, w głąb kontynentu. Po drodze matka wymienia nazwy wszystkich mijanych drzew, krzewów i kwiatów. Gdy zatrzymuję samochód, żeby przeprowadzić zółwia sępiego przez autostradę obok czarnego potoku, bije mi brawo. Zjadamy lunch w Camden i docieramy do klasztoru przed siedemnastą. Matka przełożona już na nas czeka. Ściska moją matkę i mówi:

- Witaj z powrotem, siostró Norberto.
- Jestem tu, gdzie chcę być, siostró Mario Urbano.

Obejmujemy się z matką, starając się ułatwić sobie nawzajem tę chwilę. Ale rozstanie jest trudne, nie ma takiej siły na świecie, która mogłaby to zmienić. Nie pamiętam, kiedy zacząłem kochać matkę, ale ją pokochałem. Nie mam też pojęcia, kiedy ona zaczęła kochać mnie, lecz teraz już wiem, że źródło jej miłości jest niewyczerpane. Mogę z niego korzystać jak z obosiecznego miecza albo pustelni, jak z ciepłej kąpieli, ogrodu motyli albo płynącej ciepłej lawy. Jej miłość

jest kolczasta, skomplikowana i czasami rani mnie w najbardziej czule miejsca. Ale kto powiedział, że miłość albo życie to bułka z masłem? Matka i ja walczyliśmy ze sobą, wrzeszcząc, skacząc sobie do oczu i atakując się, tarzając się w krwawym pyłe, sprawdzając brutalną wytrzymałość arsenału, gdzie trzymaliśmy błyskawice naszej miłości. Ta miłość łączy nas na zawsze.

– Dziękuję, Leo, że mi na to pozwoliłeś – mówi. – Bardzo szlachetnie z twojej strony.

– Moja matka to twarda sztuka. Kieruje się własną wolą.

– Zaopiekujesz się monsiniorem?

– Co wieczór będę mu czytał na dobranoc – obiecuję.

– Wiem, że teraz cierpisz, Leo, ale nie odwracaj się od Kościoła.

– Wziąłem sobie urlop. Może nie taki znów długi.

– Nie nadawałam się na matkę – wyznaje. – Wybacz, że byłam taka beznadziejna.

– Lepszej nie miałem – zapewniam i w jednej chwili trzymam ją w objęciach.

– Znajdź sobie jakąś miłą dziewczynę – szepcze mi na ucho. – Tak bym chciała, żebyś został ojcem.

Spoglądam nad jej ramieniem na siostrę Marię Urbanę i pytam:

– Czy zakonnica może zostać babcią?

– Ta może – odpowiada z uśmiechem matka przełożona.

Dwie zakonnice schodzą, by zaprowadzić moją matkę do jej byłego i przyszłego życia. Całujemy się na pożegnanie, a potem patrzę, jak znika za ciemnymi dębowymi drzwiami. Myślę o ojcu, który przed wielu laty też odbył taką podróż. Zastanawiam się nad podobieństwami i zagrożeniami, jakie w życiu człowieka ma zataczanie koła. Przywiezienie mojej matki na stopnie klasztoru świadczy o tym, że los dwóch mężczyzn nazwiskiem King zatoczył koło. Ale wygląda to na unieważnienie dotychczasowego życia i zaczynanie od początku. Matka potrzebuje teraz schronienia, miejsca, gdzie może uciec przed huraganami. Puszczam ją. Pozwalam jej odpłynąć w

morski szlak modlitwy i prostoty, w pachnący kadzidłem mrok klasztoru, który rozpracowuje dylematy ciemności.

– Matko przełożona – odzywam się, gdy zakonnica zamierza wrócić do klasztoru.

– Tak, Leo?

– Czy klasztorowi niczego nie brakuje? Może potrzebny jest zapas czegoś na rok?

– Potrzebujemy wszystkiego – odpowiada. – Niech no się zastanowię. Żarówka. Tak, to teraz najbardziej paląca potrzeba.

Następnego dnia dostarczam pod tylne wejście do klasztoru tysiąc żarówek, zataczając jeszcze jedno koło – nieustannie sprawdzam kwadranty swojego życia. Teraz, kiedy już zostałem ostrzeżony, mam oko na zataczanie kręgów i dziwny wpływ, jaki wywiera na relacje międzyludzkie.

Studia filmowe

W miarę jak Trevor wraca do sił, wieczorami zaczyna wychodzić ze mną na ulice Charlestonu. Za pierwszym razem idziemy tylko do Broad Street i z powrotem, a po powrocie Trevor i tak ledwo zipie ze zmęczenia. Ale codziennie idziemy coraz dalej. Pod koniec lata nasza trasa biegnie przez całą Battery i skręca na północ. Raz dotarliśmy nawet do bram Cytadeli. Często mijamy ulicę, na której się poznaliśmy, a wtedy on zagląda do skrzynki pocztowej swojej matki, ja zaś sprawdzam, czy nie ma poczty dla siostry Norberty. Serce ściska mi się z żalu na widok tablicy z napisem NA SPRZEDAŻ przed domem Trevora i numeru telefonu Bitsy Turner z agencji nieruchomości.

– Jestem głęboko przekonany, że gdyby Bitsy urodziła się mężczyzną, zostałaaby gejem – mówi Trevor. – To pewnik, a nie czczy domysł. Jest do schrupania.

– Nie mów jej tego – radzę.

– Moim zdaniem czułaby się zaszczycona. Jakie plotki krążą teraz po świętym mieście? Chcę usłyszeć najbardziej soczyste, sprośne, lubieżne i odrażające świństwa, jakie znasz.

– Sędziogo Lawsona przyłapali na dmuchaniu swojej pudelki – mówię. – Stale wysłuchuję takich rzeczy, ale nie mogę ich wykorzystać w felietonie.

– To musiał być pudel miniaturowy – komentuje Trevor, przeciągając słowa. – Miałem okazję rzucić okiem na jego genitalia.

– Ciekawe gdzie? – pytam, gdy skręcamy Calhoun Street na zachód, obok szpitala.

– Pod natryskami w jachtklubie.

– Nawet nie wiedziałem, że tam są natryski.

– O, ja pod tymi natryskami robiłem niejedno. Ale niekoniecznie brałem prysznic.

– Nie chcę o tym słuchać – przerywam mu.

– Jakiś ty spięty, pełen zahamowań, cały katolik. – Ze smutkiem kręci głową.

– Bo tak mi się podoba.

– Zaczyna mi brakować San Francisco. – Od bardzo dawna nie słyszałem takiej tęsknoty, rozmarzenia i nostalgii pobrzmiewających w jego głosie. – Pamiętam sobotnie wieczory, kiedy mniej więcej o zachodzie słońca wychodziłem na Union Street. Byłem młody, piękny i ponętny. Byłem królem każdego baru, do którego wstąpiłem. Rzuciłem urok na to miasto. Dzięki mnie stało się magiczne dla tysięcy chłopców.

– Jak się rozwija AIDS? – pytam.

– Bądźże cicho i daj mi się zatopić w zboczonych marzeniach o młodym homosiu, który wyruszył na łowy.

– Dzisiaj zabrali monsiora Maksa do szpitala – mówię. – Chyba długo nie pożyje. Chcesz pójść ze mną do niego w odwiedzin?

– Nie, zobaczymy się w domu.

– Masz coś przeciwko monsiorowi?

– Ani mnie ziębi, ani rajcuje. – Trevor wzrusza ramionami, nie przerywając spaceru po Calhoun Street.

Wchodzę do pokoju monsiora Maksa na oddziale onkologicznym i ruchem głowy pozdrawiam kilku młodych księży, którzy właśnie kończą wizytę. W mrocznym pokoju panuje atmosfera skupienia. Kładąc plik listów od matki na nocnym stoliku, odnoszę wrażenie, że Max śpi.

– Właśnie przyjąłem ostatnie namaszczenie – odzywa się z wysiłkiem, skrzeczącym głosem.

- Wobec tego twoja dusza jest czysta jak łąza.
- Miejmy nadzieję.
- Jesteś wyczerpany. Pobłogosław mnie, proszę, i pójdę sobie.

Jutro znów cię odwiedzę.

Klękam obok łóżka, a on kciukiem kreśli znak krzyża. Dziwię się, że błogosławi mnie po łacinie. Kiedy całuję go w czoło, już śpi, więc na palcach wychodzę z pokoju.

Wracam do domu, gdzie Trevor nalewa mi drinka. Siadamy naprzeciwko siebie. Czujemy się w swoim towarzystwie tak swobodnie jak stare małżeństwo. Większość wieczorów spędzamy w ten sposób... siedzimy i rozmawiamy o wszystkim – o San Francisco, o liceum, o powrocie mojej matki do klasztoru.

A jak już się upijemy, gadamy o Shebie i Starli, teraz jednak jest na to za wcześnie.

– Przechodziłem koło tego liceum, z którego cię wylali – mówi Trevor.

- Biskupa Irlandia?

Kiwa głową.

– Na moje oko okropnie katolicka ta szkoła. Nawet pachniała katolicyzmem.

- Bo jest katolicka. I właśnie tak ma wyglądać i pachnieć.

– Ty wciąż jeszcze wierzysz w te katolickie bzdety?

– Owszem, wierzę we wszystkie katolickie bzdety.

– I sądzisz, że pójdziesz do nieba czy coś w tym rodzaju? Tak jak wy wszyscy?

- Coś w tym rodzaju – przyznaję.

– Biedny odmóżdżony Ropuch. – Po dłuższej chwili Trevor od-
dycha głęboko. – Muszę ci coś powiedzieć, Ropuchu.

Stale to odkładam, ale wiem, że muszę to zrobić.

– Więc mów.

– Nie mogę – mówi cicho. – To zbyt potworne.

– Potworne? – powtarzam. – Mocne słowo.

– Ale i tak nie oddaje istoty rzeczy.

Zamieram na chwilę i powtarzam:

– Mów.

Najpierw wypija kolejnego drinka, a potem opowiada mi, jak kilka dni temu, gdy odzyskał nieco sił, zaczął przeglądać swoje rzeczy schowane w kufrze i pudłach, które Anna Cole przesłała mu z San Francisco. Między innymi trafił na kolekcję gejowskiej pornografii, którą wysłałem mu przed wielu laty, bo ktoś zostawił ją w domu moich rodziców na przechowanie, prawdopodobnie jeden z lokatorów ojca jeszcze z czasów kawalerskich. Z braku lepszego zajęcia przejrzał ją dokładnie.

– Lubię pornografię gejowską, zawsze lubilem. Kiedy wysłałeś mi ten kufer, ciekawiła mnie zwłaszcza ta kolekcja z dawnych lat... to było średniowiecze, jakość produkcji filmowej była żadna. Na każdym filmie tylko rysy i ziarno, wszystkie śnieżą. Większość to produkcja chałupnicza, ale to akurat trzeba wybaczyć. Kręcili je pionierzy w bardzo niebezpiecznych czasach.

– Miło mi, że ci się podobały – wtrącam oschle. – Ale dlaczego mi o tym mówisz?

Trevor oddycha głęboko i wyjaśnia:

– No cóż, tym razem głębiej zajrzałem do kufra i wyciągnąłem czarną skrzynkę... starą skrzynkę na narzędzia, bardzo solidną. W San Francisco nie udało mi się jej otworzyć, więc nie zwracałem sobie nią głowy. Ale kiedy przetrzebiałem moje dobra doczesne... – urywa i upija łyk ze szklanki – ciekawość wzięła górę i odstrzeliłem zamek, używając twojego pistoletu. Nawiasem mówiąc, posiadanie broni palnej to absurd. Jestem temu zdecydowanie przeciwny.

– Kupiłem ten pistolet z powodu twojego zwariowanego ojca – przypominam mu.

– A, mówisz o tym starym świrusie. Wobec tego to absurd, że nie kupiłeś drugiego dla mnie. No trudno... – Znów wzdycha. – A więc tak. Odstrzeliłem zamek i znalazłem w skrzynce prywatną kolekcję. Amatorska robota. No wiesz, stare filmy kręcone w domowych warunkach. Czym prędzej chciałem je obejrzeć... i przy okazji dokonałem odkrycia. Niestety, odkryłem coś paskudnego.

- Co takiego?
- Chyba trzeba połać coś mocniejszego – proponuje. – Będziesz chciał sobie chlapnąć, gdy już zobaczysz ten film. Jest tak koszmar-ny, że sam się zmuszałem, żeby go obejrzeć do końca... ale chciałem się upewnić, zanim ci o tym powiem. Musiałem być pewny, że się nie mylę co do osoby. Przez cały tydzień zastanawiałem się, czy zniszczyć ten film i w ogóle ci o nim nie wspominać. Nawet pomodliłem się w tej intencji do Boga... chociaż w niego nie wierzę.
- I co takiego powiedział ci Bóg?
- No cóż, jak zwykle odjęło mu mowę, więc w końcu uznałem, że powinieneś o tym wiedzieć.
- Puść taśmę – poleciłem.

*

O trzeciej w nocy przemykam obok pielęgniarek i strażników na nocnej zmianie i wchodzę w ciszę pokoju monsiniora Maksa, niosąc pod pachą stary plecak z Cytadeli. W słabym świetle lampki nocnej wyjmuję staroświecki projektor, wtykam kabel do gniazdka i włączam. Bzyczy jak słoń pełen os. Nagle na śnieżnobiałej ścianie naprzeciwko łóżka monsiniora pojawia się kiepskiej jakości film amatorski, kręcony z ręki – drżący, migotliwy obraz. Obiektyw kamery wycelowany jest w łóżko w pustym nieznanym pokoju. Kamera pełni funkcję gapiącego się, nieruchomego oka. Trevor wyjaśnił mi, że w pornografii amatorskiej często ustawia się kamerę obok łóżka, żeby śledziła akcję. Ziarnisty obraz ukazuje księdza, który wchodzi do pokoju, zaciskając ręce na gardle szamoczącego się nagiego chłopca.

Chłopiec jest piękny, jasnowłosy, a ksiądz przystojny, męski i silny. Chłopiec próbuje krzyknąć, lecz ksiądz zasłania mu dłonią usta. Chłopiec walczy, ale silniejszy ksiądz gwałci go, gwałci go brutalnie (jakby można było inaczej).

Księdzem jest młodszy, silniejszy Max Sadler, a chłopcem – mój brat Steve. Stephen Dedalus King, brat, którego znalazłem w kałuży

krwi w wannie tego roku, kiedy się rozsypałem, tego samego roku, kiedy zacząłem wędrówki duszy po szpitalach psychiatrycznych, otepiały od thorazyny, próbujący znaleźć chłopca, którym byłem, zanim wyciągnąłem ciało brata z wanny. Siedząc tam, przypominam sobie, jak swego czasu chodziła mi po głowie straszliwa myśl, że mój ojciec miał coś wspólnego ze śmiercią Steve'a, bo w sennych majakach słyszałem, jak brat krzyczy: „Nie, ojczel! Proszę cię, nie!”. Myślałem, że krzyczy tak ze strachu przed naszym łagodnym ojcem, a nie bestią, która zdycha obok mnie na szpitalnym łóżku.

Puszczam film do końca i dopiero kiedy na ścianie migają podrapane klatki, uświadamiam sobie, że monsinior się obudził i oglądał razem ze mną.

- Trzeba było zniszczyć ten film – odzywa się w końcu.
- Trzeba było – przytakuje.

Moja łagodność go ośmiela.

– Każdy człowiek ma swoje demony – mówi tak wiarygodnie, że aż mrozi się krew.

– Niewątpliwie.

– On był zbyt piękny, żeby ich nie mieć – ciągnie płaczliwie, jakbym się z nim sprzeczał. – Nie mogłem oderwać od niego oczu. Dla odmiany ty byłeś brzydki.

– Bogu dzięki. Jak ci się celebrowało jego pogrzeb?

– Nawet sobie nie wyobrazasz, jakie to było trudne. Ale to mnie nie powstrzymało, Leo. Nawet wtedy.

– Wiem. Przez cały wieczór oglądałem twoje dzieło. Jakim cudem ten film znalazł się w domu mojego ojca?

Waha się przez chwilę. Zbiera siły i mówi dalej, pouczającym tonem, bez cienia wyrzutów sumienia:

– Głupi błąd. Zmagazynowałem u twojego ojca swoje rzeczy, kiedy wróciłem na plebanię. Wiedziałem, że straciłem gdzieś część starej kolekcji. Ale jak miałem o to zapytać?

– Twoja kolekcja ogranicza się wyłącznie do bardzo młodych

chłopców. Czy kochałeś się kiedyś z mężczyzną?

– Nie. A po co? – dziwi się, jakbym obraził jego inteligencję.

W słabym świetle patrzę na niego obojętnie, a on spogląda na mnie bez cienia skruchy.

– Ten film należało zniszczyć – oświadcza. – Wyznałem swoje grzechy i otrzymałem ostatnie namaszczenie. Zgodnie z prawem Kościoła moja dusza bez skazy pójdzie do nieba.

– Módl się, żeby Bóg lubił pedofilów – odpowiadam zimno. – Żeby lubił, jak jego uroczych ministrantów gwałcą księża psychopaci.

– Nic mi nie zrobisz, Leo – oznajmia martwym głosem. – Moje miejsce w historii diecezji Karoliny Południowej jest niepodważalne. W społeczności wiernych moja reputacja jest nienaganna. Nie uda ci się jej zbrukać.

Patrzę na niego, myśląc o wykrzywionej z bólu, upokorzonej twarzy brata. Wolał umrzeć, niż wyznać rodzicom, że ich uwielbiany mentor go zgwałcił. Steve nie potrafiłby znaleźć właściwych słów dla wyrażenia czegoś takiego, nie wiedział nawet, że taki świat istnieje.

– Jeżeli Bóg, do którego się modłę, istnieje naprawdę, to do końca świata będziesz się smażył w ogniu piekielnym. A z powodu tego filmu ja będę się tam smażył razem z tobą. Przecież jesteś gorliwym katolikiem, Max, prawda?

– A ty nie? – odgryza się.

Nachylam się nad łóżkiem.

– W najgorszej chwili i tak byłem o niebo lepszym katolikiem niż ty w swój najlepszy dzień.

– Niedługo będę już razem z Ojcem, w niebie – oświadcza ksiądz, zadowolony z siebie.

Wyciągam sznur projektora z gniazdka i owijam nim przedramię.

– Jeśli tak, to spotkasz tam mojego ojca. A on cię zatłucze gołymi rękami.

Wcale się tym nie przejmuję.

– Ale moja reputacja pozostanie nieposzlakowana. Nie uda ci się jej skalać.

– No, nie wiem – zapowiadam ponuro, składając projektor. – Może jednak uda mi się rzucić na nią cień.

Pakuję projektor i wychodzę z pokoju.

– Leo! – woła do moich oddalających się pleców. – Nie odchodź, zanim cię pobłogosławię! Muszę cię pobłogosławić!

*

Tego samego dnia rano monsinior umiera we śnie. Jego nekrolog trafia na czołówki obu charlestońskich gazet. Wstępniaki w całym stanie wychwalają pod niebiosa jego wybitne zasługi, ambadorski talent w kontaktach z przywódcami innych religii, aurę świętości, która cechowała jego posłannictwo, oraz bohaterską postawę w działalności na rzecz ruchów obrony praw obywatelskich, czego ukoronowaniem był udział w marszu protestacyjnym czarnoskórych z Selmy. Jeden z tytułów brzmiał: *Święty umiera w świętym mieście*. Uczestniczę w wyszukany pogrzebie i przyjmuję komunię po uroczystej mszy świętej celebrowanej przez kardynała Bernardina i trzech biskupów. Po nabożeństwie słyszę, jak parafianie domagają się kanonizacji monsiniora Maksa i uznania za amerykańskiego świętego.

Prosto z pogrzebu idę do redakcji i sumiennie piszę felieton, przedstawiając przebieg uroczystości w najdrobniejszych szczegółach. Pomijam tylko jeden drobiazg – że po pogrzebie wśliznąłem się o zmierzchu na cmentarz i naplułem na jego grób. Następnego dnia biorę na warsztat jego dziedzictwo.

Kolejny felieton poświęcam dobrej, zasłużonej reputacji monsiniora i bezlitośnie ją szargam.

EPILOG

Ostatnia modlitwa

No i tak.

Miałem do opowiedzenia historię, więc ją opowiedziałem.

Po publikacji mojego jątrzącego felietonu monsinior Max zostaje wyklęty we wszystkich domach w mieście, a ja przystępuję do rozwalania głównych składników swojego życia. Gdy zaczynam tekst od słów: *Rodzina to sport kontaktowy*, ogarnia mnie taki smutek, że naczelnicy zwalnia mnie wcześniej i każe iść do domu. Wkraczam w sezon depresji i melancholii. Sporządzam bilans mojego życia i stwierdzam, że przeżyłem wiele, ale prawie niczego się nie nauczyłem.

W dzienniku zapisuję następujące zdanie: *Ktoś, kto urodził się z talentem aktorskim, nie żyje w prawdziwym świecie*. Chyba chodzi mi o Shebę, w każdym razie piszę dalej: *Aktor nie żyje własnym życiem, tylko podrabia cudze*. Nagle przerywam, bo uświadamiam sobie, że wcale nie piszę o Shebie. Piszę o sobie.

Stwierdzam, że ogarnęła mnie czarna rozpacz, która musi zaprowadzić mnie w jeszcze mroczniejsze rejony, zanim zdołam obmyślić plan ucieczki. Przed oczami stale przesuwa mi się film ukazujący scenę gwałtu dokonanego na moim bracie.

Valium nie pomaga, bourbon także nie tonuje zgubnego efektu tego filmu. Nawet codzienne przyjmowanie komunii nie odpędza jego odrażającej mocy. Czuję, że moje ciało się rozsypuje.

W rozpaczcy przypominam sobie drogę do gabinetu psychiatry – pani doktor, która wyrwała mnie ze śpiączki przegranego dzieciństwa. Doktor Criddle ma już pod siedemdziesiątkę, ale wciąż prowadzi prywatną praktykę. Po trzygodzinnej sesji informuje mnie, niezwykle delikatnie, iż żaden z pacjentów, którzy przekroczyli próg jej gabinetu, nie miał tak silnych skłonności samobójczych jak ja. Moja odpowiedź zaskakuje nawet mnie:

– Nie mogę się doczekać, kiedy umrę.

Lekarka traktuje te słowa poważnie i umieszcza mnie na oddziale psychiatrycznym Kliniki Akademii Medycznej Karoliny Południowej. W chorobliwej patologii mojego sposobu myślenia z przyjemnością stwierdzam, że szpital mieści się przy tej samej ulicy co zakład pogrzebowy J. Henry'ego Stuhra. Widzę w tym szczęśliwy zbieg okoliczności i wkrótce uprawiam nurkowanie głębinowe w mojej świadomości, na zaginionym kontynencie, gdzie dżungle są nieprzebyte, góry niebotyczne, a rzeki niosą dziwne prądy pożądania i romansu.

Wszystkie konie króla i jego psychiatrzy* mozolnie próbują poskładać do kupy układankę, jaką jest moje życie, czasami z pomocą nadchodzącą z nieoczekiwanej strony. W głębokim narkotycznym śnie ciało przenosi mnie w świat marzeń, a te pomagają uleczyć nieustający ból, który tak spustoszył moją zagubioną duszę. Oto ojciec, Jasper King, nurkuje w chlorowaną wodę po głębokiej stronie basenu, wyciąga mnie i tłucze po małych plecach tak, że w końcu wymiotuję, wykrztuszam wodę z płuc, a tymczasem starszy brat, Steve, krzyczy, żebym oddychał. Od utonięcia ratuje mnie nagłe wciągnięcie powietrza, jest jak zbawienie prowadzące do całkiem nowego życia. Staję obok ojca i razem pieczemy ciasteczka dla rodziny, która właśnie wprowadziła się naprzeciwno. Ojciec próbuje czytać przepis z wysłużonego egzemplarza *Przepisów z Charlestonu*. Pieczemy ciasteczka sezamowe i czekoladowe, a potem rozdajemy je wszystkim

mieszkańcom naszej oraz sąsiedniej ulicy.

* Nawiązanie do dziecięcej rymowanki *Humpty Dumpty*. Postać Humpty Dumpty, znana z filmów czy piosenek, pojawia się także w wielu dziełach literackich, m.in. w *Alicji w krainie czarów* Lewisa Carrolla i w *Finnegans Wake* Jamesa Joyce'a.

Na odcinkach między jednym domem a drugim ojciec przystaje i uczy mnie tańczyć.

Z któregoś domu wychodzi ładna zakonnica i zaczyna tańczyć razem z nami. Orientuję się, że to moja matka, dopiero wtedy, gdy tańczący z nią ojciec obdarza ją uśmiechem tak promiennym, że mógłby rozświetlić cały świat. Ojciec kilkakrotnie powraca do mnie w snach. Łowimy ryby w charlestońskim porcie albo łapiemy sala-mandry i motyle na bagnach Congaree. Wraca, by nauczyć mnie, jak żyć z bujnym talentem, jaki wprowadził do sztuki kochania własnego syna, kochania kogokolwiek. Na nowo uświadamiam sobie, jakie to szczęście mieć takiego ojca. Od niego nauczyłem się wszystkiego, co powinienem wiedzieć o dobroci ojców. To on przynosił mi wieści z mojego wnętrza.

Tracę poczucie czasu i nie pamiętam tego wieczoru, kiedy Steve robi mi niespodziankę, po raz drugi pojawiając się w moich dramatycznych, wielobarwnych dzielnicach snu. Przerzucamy się piłką i biegamy po okolicy, udając rozgrywających drużyny Rose Bowl, Sugar Bowl albo z Cytadeli czy nawet z liceum imienia Biskupa Irlandia. Rzucamy piłkę, łapiemy ją i gonimy się po niezrównanych, królewskich ulicach Charlestonu, przy których stoją domy z koronek i tęczy. Pamiętam, jak wspaniale jest mieć brata, który mnie kocha, broni i miłuje wszystko, co sobą reprezentuję. Gdy budzę się z długiego koszmaru moich dni, ta świadomość jest mi bardzo potrzebna.

Innej znów nocy wizytę składa mi jakiś cień, który przez pół snu nie raczy się przedstawić. Rzucam się na łóżku, ale gdy cień każe mi leżeć cicho jak trusia, rozpoznaję głos Harringtona Canona siedzącego przy angielskim biurku w swoim antykwariacie. Gdera, że teraz to jest mój antykwariat i że co wieczór sadzam zadek w jego domu przy

Tradd Street. Pyta, dlaczego, na miłość boską, nie wydaję częściej przyjęć i nie chwalebę się piękną porcelaną i srebrną zastawą, które mi zapisał.

– Żeby piękno przetrwało, należy je podziwiać – tłumaczy. – To się tyczy zarówno przedmiotów, jak istot żywych, chociaż ja akurat zdecydowanie wolę przedmioty.

Pan Canon, na swój plotkarski i zniewieściały sposób, narzeka na wady młodego pokolenia – jego zatrwajający brak obycia i oglądy. Według niego jesteśmy tak tępi i niedbali, że z ulgą przyjął śmierć jako wyzwolenie od świata, którego dłużej już nie potrafił tolerować.

Słyszę, że śmieję się z jego słów. Od dawna już nie słyszałem, żebym się śmiał.

Z czasem niecierpliwie wyczekuję wieczornego rytuału, kiedy pielęgniarka z nocnej zmiany przynosi mi mały kubeczek proszków, bo potem mogę zamknąć oczy i obserwować, jak złote płatki z malowideł na suficie, ubrane w tysiąc rozmaitych kształtów, sfruwają na moje zaciśnięte powieki. Sen staje się dla mnie pałacem rozkoszy, wesołym miasteczkiem, w którym tygrysy skaczą przez płonące obręcze, słonie maszerują w równym szyku, a nad głowami wybuchają sztuczne ognie. Odkryłem, że może nam się przyśnić, iż się budzimy. Wcześniej tego nie wiedziałem.

Z ukrytej za wodospadem jaskini wychodzi Starla. Bierze mnie za rękę i prowadzi w dół górską ścieżką do winnicy, gdzie wkłada mi do ust winogrona odmiany scuppernong, a potem sięga do ula i wyjmuję rękę ociekającą kalmią... pachnącym miodem. Zabiera mnie nad głęboki staw pod wodospadem, który nad nami jest biały jak suknia panny młodej, a poniżej czarny jak bezksiężycowa noc. Należy, bez słowa, tulimy się i oddalając się od siebie w wirującym prądzie, wprowadzamy do tego procesu drobne poprawki, aż wreszcie osiągamy taki komfort psychiczny i spokój, jakiego nie dane nam było zaznać na jawie.

Ale ze wszystkich moich nocnych gości najbardziej lubię promienną, olśniewająco piękną Shebę Poe, osiemnastoletnią Shebę,

która efektownie wkracza w moje życie we śnie. Wpada niczym kula ognista, z pompą i blichтром, a w zasięgu słuchu nikt nie jęczy. Gdy ją widziałem po raz ostatni, była zaszlachtowanym trupem leżącym obok ociekającej krwią matki. Teraz podchodzi do mnie i krzyczy:

– Pięć minut!

Nikt nie zna się na dobrym spektaklu tak jak Sheba Poe.

– Przyszłam, żeby nauczyć cię aktorstwa, Leo – oznajmia. – To będzie twoja życiowa rola. Pokażę ci wszystkie kroki. Przejdiesz samego siebie, wykujesz każde słowo na pamięć. Zaczynamy, już! Żadnych wymówek, wątpliwości, żadnego wciskania kitu. Oto twoja rola, Leo... masz się zachowywać jak człowiek szczęśliwy. Wiem, wiem, to najtrudniejsza rola pod słońcem. Tragedia jest łatwa. Ale my przez całe życie odgrywaliśmy tragedię, przyznasz? Moglibyśmy to robić z zamkniętymi oczami. Skup się. Nie gadaj. Słuchaj mnie. Uśmiechnij się. To ma być uśmiech? To jest grymas. Pozbądź się go. Tak masz się uśmiechać – mówi, genialnie pokazując mi, jak to się robi. – To musi wychodzić z twojego wnętrza, jak rumieniec. Zmusz go, żeby do ciebie przyszedł. Zanurz się w nim. Jeszcze raz. Już lepiej, ale to wciąż za mało. Leo, włóż w to trochę słońca! Uśmiech zaczyna się od palców stóp. Oprzyj mocno stopy, niech płynie przez twoje nogi. Włóż w to swoje lędźwia, niech przemknie ci przez kręgosłup jak pociąg. Niech rozjaśni twoje usta i zęby jak świecący grzyb. Błyśnij nim, synu... jesteś teraz na mojej scenie, więc nie udawaj, bo oberwiesz. No, to się nazywa uśmiech! A teraz dodajemy do niego słowa. Opowiedz mi jakąś historię, Leo. Wczuj się w nią. Pokaż ją. Bądź prawdziwy. Ależ tak, słowa przyjdą same. Kotku, ja cię nie proszę... to rozkaz! Do końca życia chcesz gnąć w wariatkowie? Nie sądzę. Widziałeś tego czuba z pokoju na końcu korytarza? Tego, który odciął sobie palce lewej dłoni i zeżał? Czekał, możemy to wykorzystać. Opisz to i daj mi do czytania na weekend. Czy potrafisz grać? Ja?! Nic dziwnego, że cię tu zamknęli! Pozwolę ci niańczyć moje Oscara. Uśmiech, Leo. Gdzie się znów podział? Znajdź go, o

tak. Widzisz mój uśmiech, uśmiech ślicznej dziewczynki? Nie, Leo, ja nigdy nie byłam szczęśliwa. Ale potrafiłam się zagrywać do upadłego.

Następnego dnia rano budzę się wcześniej i siadam do pisania dziennika, gdy pielęgniarka przynosi mi śniadanie. Zaskakuję ją uśmiechem, czego nie omieszka mi powiedzieć. Akurat zacząłem pisać o chłopcu zwanym Ropuchem, którego życie niespodziewanie zaczęło się w Dzień Blooma, latem 1969 roku, kiedy pod dom naprzeciwko zajżdza ciężarówka firmy przewozowej, a ja spotykam dwie sieroty przykute kajdankami do krzeseł i dowiaduję się, że moja matka była zakonnica. Zgodnie z regułą obwodów elektrycznych i krążenia planet na orbitach podczas ich stałego, niezłomnego ruchu objawiło się moje przeznaczenie i poznałem główne postacie biorące udział w tym tańcu, w wielkim krętym ruchu mojego życia.

Podczas ostatniego tygodnia pobytu w szpitalu niespodziewanie odwiedza mnie młoda pielęgniarka z oddziału endokrynologii. Jest nie tylko śliczna i urocza, cechuje ją to niezwykle, właściwe pielęgniarkom zaangażowanie. W trakcie rozmowy uświadamiam sobie, zaszokowany, że przyszła specjalnie do mnie. Na pytanie dlaczego, wyjaśnia, że chodziłem do liceum z jej starszą siostrą, Mary Ellen Driscoll.

– Mówiła, że na pewno jej nie pamiętasz. – Podaje mi rękę. – Jestem Catherine.

– Mary Ellen Driscoll nosiła mysie ogonki – mówię. – Byliście katolikami i zawsze mnie zastanawiało, dlaczego nie poszłyście do Biskupa Irlandia.

– Z braku pieniędzy – wyjaśnia Catherine. – Tata był menelem, mama aniołem. Historia stara jak świat. Irlandzka psychodrama.

– Skąd ja to znam?

– Twoja żona umarła, prawda, Leo?

– Popelniła samobójstwo.

Oblewa się uroczym rumieńcem.

– Przykro mi. Nie wiedziałam. – I ujmująco nieporadnie próbuje zmienić temat: – No więc kiedy znów zaczniesz pisać felietony? Jestem twoją wierną czytelniczką.

– Naprawdę? – upewniam się, mile polechtany.

– Zawsze mnie rozśmieszasz – odpowiada Catherine z uśmiechem.

– Ostatnio na pewno nikogo nie rozbawiłem.

– Miałaś zły okres. Mnie też się to parę razy zdarzało. Jestem samotną matką. Mam fajnego syna, Sama, ale od rozwodu stale mam pod górkę... Aha... gdybyś chciał kiedyś do mnie zadzwonić albo co... znaczy się... na miłość boską, Catherine, zamknij się! Pewnie masz mnie za idiotkę.

– Czyżbyś chciała się ze mną umówić? – pytam zdumiony.

– Ależ skąd! No, w zasadzie tak. Może. Lubisz dzieci?

– Uwielbiam. Czy umawiasz się ze wszystkimi świrami, których odwiedzasz?

Jej śmiech jest naturalny, uroczy.

– No i widzisz? Wiedziałam, że mnie rozśmieszysz. Nie, nie przystawiam się do wszystkich świrów. Ale dowiedziałam się, że wychodzisz, więc to była moja ostatnia szansa, żeby cię poznać. W tym mieście Leo King to jest Ktoś.

– A kim ty jesteś, Catherine?

– Ja jestem siostra Szara Myszka.

– Witaj, Szara Myszko.

– Witaj, Ktosiu – odpowiada nieśmiało i wręcza mi wizytówkę.

– Tu masz mój numer telefonu.

– Wkrótce się odezwę, Szara Myszko.

Posyła mi promienny uśmiech.

– Spodobam ci się, Ktosiu.

*

Po wyjściu ze szpitala idę spacerkiem z Calhoun na King Street. Czuję się jak kanarek wypuszczony z klatki. Mijając zakład

pogrzebowy J. Henry'ego Stuhra, pokazuję mu wała i rzucam:

– Jeszcze nie teraz, kolego.

Wchodzę do redakcji „News and Courier”, całuję Kitty Mahoney i dobrodusznie przekomarzam się z kolegami. Gdy Ken Burger pyta, jak mi się podobało w kukułczym gnieździe, wybucham śmiechem.

– Bardziej niż tutaj! – odpowiadam, idąc do swojego pokoju. Zdejmuję z drzwi napis, który powiesiłem tam przed pójściem do szpitala: ZWARIOWAŁEM, ZARAZ WRACAM. LEO KING. Pi-szę felieton do porannego wydania. Znów jestem w siodle.

Zanim jednak całkiem pozbieram się do kupy, muszę odprawić jeszcze jeden rytuał. Następnego dnia o piątej rano jadę na rowerze do punktu dystrybucji, gdzie Eugene Haverford siadywał kiedyś w ciemności i opowiadał najświeższe nowiny, podczas gdy ja szybko i fachowo zwijałem gazety. Pan Haverford zmarł dziewięć lat temu, wygłaszałem mowę na jego pogrzebie. Teraz po raz ostatni muszę skorzystać z jego pomocy.

– Jakie jest nasze zadanie, synu? – pyta w mojej głowie.

– Dostarczać ludziom wieści ze świata, proszę pana – odpowiadam głośno.

– I robić to jak należy. Każdego dnia w roku robimy to jak trzeba. No, ruszaj. Czekają na ciebie twoi klienci. Oni cię potrzebują.

– Mogą mi zaufać, proszę pana.

– Dlatego zatrudniłem twoją cherlawą dupinę.

– Dziękuję, że był pan dla mnie taki miły, proszę pana.

Zapala cygaro.

– Zamknij się, mały – burczy, ale z uśmiechem. – Masz robotę do wykonania.

Po raz kolejny wyruszam w ciemność. Sięgam po nieistniejącą gazetę i ciskam ją na werandę pierwszego domu przy Rutledge Avenue. Gdy gazeta wyfruwa mi z ręki, a potem kolejna, i jeszcze jedna, księżyc oświetla jezioro Colonial. Moje ciało dokładnie zapamiętało każdy dom na trasie sprzed lat. Skręcam w lewo w Tradd, prawą i

lewą ręką rzucając gazety i podziwiając łuk ich trajektorii. Wykrzykuję nazwiska klientów, z których wielu od lat już nie żyje.

– Cześć, panno Pickney! Cześć, panie Trash! Jak leci, pani Grimball? Miłego dnia, pani Hamill. O, witam, generale Grimsley!

Pedałuję mocno po najpiękniejszych ulicach w Ameryce, po moim rodzinnym mieście. Wiem, że muszę się wyleczyć z Charlestonu. Nie istnieje nic, czego święte miasto nie mogłoby naprawić. Skręcam na południe w Legare Street. Gazety wyfruwają mi z rąk, gdy mijam Sword Gate House. Rzucam niewidzialną gazetę przed dom pani Gervais, kolejną do Seigniousów i jeszcze jedną do Maybanksów. Obsługuję wielkie rodziny mojego eterycznego miasta, mijając ukryte bujne ogrody, gdzie rośnie powój, ligustr, białe oleandry i lawendowe azalie. Poranne ptaki śpiewają dla mnie koncert, gdy żwawo przemykam pod nimi. Wraca do mnie zapomniana muzyka budzącego się miasta, gdy skręciwszy w Meeting Street, słyszę szczekanie psów i dźwięk spadających na werandy gazet, taki sam, jaki w słonawych lagunach wydają ryby wyskakujące dla zabawy nad wodę. A, i zapach parzonej kawy, zapomniałem o tej tajemnej przyjemności! Prawnicy – ranne ptaszki – śpieszą do kancelarii przy Broad Street tak, jak to robili przed nimi ich ojcowie i dziadkowie. To Charleston. Słyszę dzwony od Świętego Michała rozbrzmiewające na wszystkie strony. To jest Charleston, i jest mój. Jestem dostatecznie szczęśliwy, by do końca życia wznosić hymny pochwalne na jego cześć.

*

W Dzień Blooma Chad i Molly Rutledge'owie wydają dla Trevo-
ra Poego przyjęcie pożegnalne w swej rezydencji przy East Bay
Street. Ike, Niles, Chad i ja od poprzedniego wieczoru przez całą noc
piekliśmy prosiaka na ruszcie i opowiadaliśmy historie z naszego
życia. Wspomnienia nami zawładnęły, uczyniły z nas więźniów cza-
su. W porcie jest teraz odpływ, przyływ nadejdzie wtedy, gdy

będziemy wznosili pożegnalne toasty za Trevora, który spędza ostatni wieczór w mieście. Przyływ przynosi szczęście, ma w sobie tę prawość, którą każda kobieta i każdy mężczyzna mieszkający na wybrzeżu czują przez skórę, to zwieńczenie, podsumowanie, idealnie nadające się na zakończenie. Chad żartuje z nas, że powinniśmy włożyć sygnety z Cytadeli, a my nabijamy się z niego, że nie nosi sygnetu z Princeton. Zrywa się wiatr. Łączące nas więzy są teraz silne, wypróbowane przez czas, przez rzekę i zahartowane przez huragan. Kiedy przebywałem w szpitalu, Chad ku mojemu zdziwieniu odwiedzał mnie codziennie.

Po przyjęciu zbieramy się na werandzie na drugim piętrze i patrzymy, jak słońce oświetla port głębokim odcieniem złota, w którym wygląda jak kielich mszalny. Woda jest spokojna, prawie nieruchoma. Wielka czapla modra z właściwym sobie majestatem frunie wzdłuż Battery. Molly przytula się do Chada, a Niles przyciąga do siebie Fraser.

Rano Trevor wylatuje do San Francisco. Jego przyszłość jest niepewna, podobnie jak moja i los dzieci bawiących się w ogrodzie. Odczuliśmy na sobie wściekłość huraganów i gniew rozjuszonego, nieprzejednanego Boga. Ale na tym właśnie polega bycie człowiekiem, któremu od urodzenia pisana jest nagość, wrażliwość i koszt życia w ciele śmiertelnika kruchym jak skorupka jajka. Nad miastem unosi się bezmiar Drogi Mlecznej, a pod bujnymi ogrodami, w pozbawionym oczu świecie królują dżdżownice. Stoję w towarzystwie najlepszych przyjaciół pod słońcem, zauroczony urodą Południa.

Późnym popołudniem, tuż przed zachodem słońca, Trevor z okrzykiem wskazuje rzekę Cooper. Kilwaterem pozostawionym przez kontenerowiec płynie stado morświnów. Pada na nie słońce, zabarwiając ich ciała na taki kolor, jakby odlano je z brązu. Morświny od zawsze były oznaką odnowy oraz naelektryzowanego, magicznego życia wybrzeża Karoliny Południowej. Przepływają przed nami jak na paradzie, a my witamy je owacją. Pokonują głęboki

kanał i skręcają na pełny Atlantyk, w stronę Golfsztromu. Jeden odrywa się od stada i podpływa do nas, tak blisko wału nadmorskiego, że słyszymy, jak oddycha.

Trevor pierwszy o tym pomyślał. Wypowiada na głos jedno słowo, idealną mowę pożegnalną na zakończenie pobytu w Charlestonie:

– Sheba.

Im dłużej jednak słowo to wisi w powietrzu, tym szybciej się rozwiewa, a poczucie humoru, od zawsze będące granitową podstawą naszej przyjaźni, zaczyna nas opuszczać. Trevor przebija się przez szklany klosz pobożności, który sam wydmuchał pośród nas.

– Czy ktoś ma torebkę, żebym się mógł wyrzygać? – pyta oschle. – Sam nie wierzę, że mogłem powiedzieć coś tak ckliwego. Za długo siedziałem na Południu.

– Uważam, że to, co powiedziałeś, było urocze – protestuje Niles. – Lubię myśleć, że Starla i Sheba zamieniły się w jakieś piękne wodne stworzenia.

– Mój ty góralu – mówi Fraser z uśmiechem.

Trevor odchrząkuje.

– Takie dyrdymały wyrwały mi się tylko dlatego, że dałem się ponieść rzadkiej u mnie nostalgii, a może nawet, Boże uchovej, religijnemu sentymentalizmowi w najbardziej groteskowej postaci. Obiecuję, że już nigdy nie ulegnę tak skrajnie płytkim, burżuazyjnym odruchom.

Podchodzę i obejmuję go, a obok staje Ike. Odprowadzamy wzrokiem morświny oddalające się od nas w kierunku otwartego Atlantyku.

– To nie był sentymentalizm, Trevorze, tylko umiłowanie sztuki – uświadamiam mu, nie spuszczać wzroku z odpływających morświnów. A po chwili dodaję: – Jest szesnasty czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. Czego nasza paczka nauczyła się lepiej niż każda inna?

– Mów, Ropuchu – zachęca mnie Trevor z uśmiechem.

To proste, wyjaśniam grupie zebranych wokół mnie przyjaciół. My rozumiemy, jak przemożny wpływ na życie człowieka mają przypadek i magia. Wszyscy, jak tu jesteśmy na przyjęciu pożegnalnym Trevora Poego, przed Dniem Blooma w lecie 1969 roku rzadko się widywaliśmy. Lepiej niż ktokolwiek znamy ogromną potęgę przeznaczenia, wiemy, jak w ciągu jednego dnia może zmienić bieg życia dziesięciu tysięcy istnień. Los może katapultować ich do życia, jakie nigdy nie byłoby im pisane, gdyby nie ten nieśmiertelny dzień. Przywołując wspomnienie Sheby, Trevor wypróbował siłę modlitwy. Ale to dobrze, bo mamy Dzień Blooma, a możemy jak jeden mąż zaświadczyć, że latem w Dniu Blooma wszystko może się zdarzyć. Tak, o to chodzi: wszystko może się zdarzyć. Tak.

PODZIĘKOWANIA

Jestem wdzięczny Janis Owens, znakomitej powieściopisarce z Florydy, która jako jedna z pierwszych przeczytała tę książkę i chwaliła mnie równie gorąco, jak ostro mnie krytykowała. Pokochałem jej męża, Wendela, trzy piękne córki – Emily, Abigail i Isabel – oraz wnuczkę Lily Piekło.

Ucałowania dla Berniego Scheina, mojego przyjaciela od ponad czterdziestu lat, który od czasu wydania *The Boo* w 1970 roku czytał wszystkie moje książki w maszynopisie. Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego czytelnika ani przyjaciela.

Ukłony dla Nan A. Talese, mojej redaktorki i pierwszej laureatki nagrody imienia Maxwella Perkinsa za wybitne osiągnięcia w pracy redakcyjnej. To już nasza piąta wspólna książka, Nan. Już na zawsze będę twoim dłużnikiem.

Wyrazy oddania niech przyjmą moja agentka Marly Rusoff i jej mąż Mihai Radulescu, którzy wzbogacili proces pisania swą wiarą i lojalnością.

Ku pamięci mojego wielkiego niezastąpionego przyjaciela Douga Mariette'a, z którym przez całe życie rozmawiałem, który potrafił mnie rozśmieszyć i dodawał mi otuchy w tym niespokojnym świecie.

Pamięci Jane Lefco, której strata należy do najbardziej traumatycznych przeżyć w moim życiu. Jane prowadziła moje sprawy zawodowe i była bajeczną kobietą. Całym sercem jestem ze Stanem, Leah i Michaeliem Lefco.

Dziękuję także:

Anne Rivers Siddons i jej mężowi Heywardowi, dozgonnym przyjaciółom, którzy otworzyli przed nami swoje domy w Charlestonie i w Maine. Dobrze się składa, że mieszkają na południe od Broad.

Timowi Belkowi, mojemu pianiście z San Francisco, który jest dla mnie mentorem i źródłem natchnienia od dnia, gdy poznaliśmy się w roku 1967. To jemu zawdzięczam znaczną część tej książki.

Mojemu kuzynowi Edowi Conroyowi, który ku mojej radości został głównym trenerem koszykarzy Cytadeli, kontynuując datującą się od 1963 roku koszykarską tradycję Conroyów.

Mojej rodzinie, i tej bliższej, i dalszej, kochanej, ale niepoliczalnej jak ławica śledzi. Ślę wam dozgonne wyrazy miłości i wdzięczności za opowieści, którymi karmiliście mnie przez lata. Najwięcej miłości i wdzięczności ślę moim ślicznym córkom i zachwycającym wnukom.

Dzięki także rodzinie Cassandry, zwłaszcza jej ojcu, Eltonowi Kingowi, nadal mieszkającemu na farmie w Alabamie, jej siostrom i siostrzeńcom oraz synom łobuziakom.

A także innym niezwykłym ludziom: Marcie, Aaronowi i Nancy Scheinom; Dotowi, Waltowi i Milbrey Gnannom; Melindzie i Jacksonowi Marlette'om; Julii Randell; Michaelowi O'Shei; Ann Torrago; Carolyn Krupp; Chrisowi Pavone; Phyllis Grann; Steve'owi Rubinowi; Leslie Wells; Jayowi i Anne Harbeckom; Zoe i Aleksowi Sandersom; Cliffowi i Cynthii Graubartom; Terry'emu i Tommye Kayom; Mike'owi Jonesowi; Beverly Howell; Johnowi Jeffersowi; Jimowi Landonowi; Scottowi i Susan Graberom; Johnowi i Barbarze Warleyom; Kathy Folds; Andrew i Shei St. Johnom; Seanowi Scappaleto; świętej pamięci Mike'owi Sargentowi. I ku pamięci Kate Bockman.

SPIS TREŚCI

PROLOG – Posiadłość nad Rzeką	7
CZĘŚĆ PIERWSZA	
ROZDZIAŁ 1 – 16 czerwca 1969 roku	17
ROZDZIAŁ 2 – Nowi przyjaciele	39
ROZDZIAŁ 3 – Jachtklub	64
ROZDZIAŁ 4 – Śródmieście	90
ROZDZIAŁ 5 – Wychowany przez zakonnice	102
ROZDZIAŁ 6 – Kochany tatuńcio	130
ROZDZIAŁ 7 – Przyjęcie	154
CZĘŚĆ DRUGA	
ROZDZIAŁ 8 – Pukanie do drzwi	175
ROZDZIAŁ 9 – Doskonała zabawa	214
ROZDZIAŁ 10 – Leczenie kaca	228
ROZDZIAŁ 11 – Evangeline	239
ROZDZIAŁ 12 – Niles i Fraser	261
ROZDZIAŁ 13 – Sheba prosi o przysługę	272
CZĘŚĆ TRZECIA	
ROZDZIAŁ 14 – Pacific Heights	291
ROZDZIAŁ 15 – Tenderloin	323
ROZDZIAŁ 16 – Hinduski łącznik	345
ROZDZIAŁ 17 – Nowy mieszkaniec Washbagu	363

CZEŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ 18 – Renegaci	385
ROZDZIAŁ 19 – Pielgrzymi	417
ROZDZIAŁ 20 – Pigmalion	444
ROZDZIAŁ 21 – Modlitewnik dla Wilderness	455
ROZDZIAŁ 22 – Numer 55	467
ROZDZIAŁ 23 – Mgła i zaćmienie	498

CZEŚĆ PIĄTA

ROZDZIAŁ 24 – Nareszcie w domu	513
ROZDZIAŁ 25 – Parada	535
ROZDZIAŁ 26 – Geniusz zła	546
ROZDZIAŁ 27 – Guernica	563
ROZDZIAŁ 28 – Siedem procent	585
ROZDZIAŁ 29 – Zamknięte drzwi	598
ROZDZIAŁ 30 – Żarówki	607
ROZDZIAŁ 31 – Studia filmowe	616
EPILOG – Ostatnia modlitwa	624
PODZIĘKOWANIA	636